

MACIEJ GUZEK

KROLIKARNIA



Agencja Wydawnicza

RUNA

950

KRÓLIKARNIA

Copyright © by Maciej Guzek, Warszawa 2007

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Alicja Daszkiewicz, Renata Lewandowska

Korekta: Jadwiga Piller, Maria Kaniewska

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie Warszawa 2007

ISBN: 978-83-89595-35-5

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Rodzicom

A WY NIE CHCECIE UCIEKAĆ STĄD?

Tak jak obraz uzyskuje pełnię dzięki światłom i cieniom, kontrastom i walorom, tak pełnia życia człowieka i jego poznanie są możliwe dzięki najbardziej krańcowym doznaniom, nawet za cenę cierpienia (pathos), jako patologicznego przekroczenia określonej granicy, zwanej zdrowiem psychicznym. Z punktu widzenia ściśle lekarskiego choroba psychiczna jest zjawiskiem szkodliwym, często prowadzi do degeneracji i zahamowania działalności twórczej, ale z perspektywy historii, poznania psychologicznego i wartości kulturowych poszerzyła ona wiedzę ludzką o takie obszary, których przyszloby może żałować, gdyby je skreślić z dziejów ludzkości.

Schizofrenia, Antoni Kępiński

*Stanął w ogniu nasz wielki dom
Dym w korytarzu kręci sznury
Jest głęboka naprawdę czarna noc
Z piwnic płonące uciekają szczury
Krzyczę przez okno czoło w szybę wgniatam
Haustem powietrza robię w żarze wylom*

*Ten co mnie widzi ma mnie za wariata
Woła - co jeszcze świrze ci się śniło
(...)
Lecz większość śpi nadal przez sen się uśmiecha
A kto się zbudzi nie wierzy w przebudzenie
Krzyk w wytlumionych salach nie zna echa
Na rusztach łóżek milczy przerażenie
(...)
Dym coraz większy obcy ktoś się wdziera
A my wciśnięci w najdalszy sali kąt
- Tędy! - wrzeszczy - Niech was jasna cholera!
A my nie chcemy uciekać stąd!*

Jacek Kaczmarski, 1980

PROLOG

Nie sposób było starego nie zauważyć. Jeśli jesteś psychiatrą, po prostu zwracasz na takich uwagę. Roman Głowacki przystanął zatem przy trzęsącym się dziadku o zamglonym wzroku, zwłaszcza że jakiś rys zmęczonej twarzy - kształt nosa, spojrzenie - wydały się mu znajome. Zresztą i tak musiałby się zatrzymać, wymuszała to geografia poznańskiego Starego Rynku, pływy mas ludzkich, wreszcie sam siwobrody, który zatrzymałby Romana tak czy inaczej. Starzec, jak zauważył wcześniej Roman, zaczepiał wszystkich przechodniów, oferując im towar. Rozłożył swe skarby na suchym bruku uliczki, kryjącej się pomiędzy szpetnym Arsenalem a wychuchanym budynkiem ratusza. Słowem, typowy obrazek dla jarmarków świętojańskich, rok w rok gromadzących wiele podobnych indywiduów, za grosze spieniężających swe dziedzictwo, często wątpliwej wartości i pochodzenia; ale też, bywało, znajdował się podczas owych pchlich targów skarby prawdziwe, niepowtarzalne, klejnoty zapomniane.

Ciekawe, co też on może mieć, zastanawiał się Roman, nim dotarł do stoiska. Zapewne nic interesującego, bo zatrzymani odwracali głowy, głośno odmawiali, strzepywali z rękawów dłoń starca, jak gdyby uwalniali się od pyłu czy brudu. Kłoszard w kapeluszu mrucał wtedy pod nosem, chyba kłął.

Książki! Teraz wszystko jasne, skonstatował Roman. Ilu było Polaków, których mogłyby zainteresować książki? Większość z nich pojawiła się na rynku, aby porządnie się najść i napić. Wybór był zresztą spory, budki i stoiska dymiły. Rozchodził się zapach pieczonych

ziemniaków, kusił chleb ze smalcem, pieczone kielbaski, żeberka i karkówka. Interesująco przedstawiła się również oferta trunków, rodzajów piwa było mnóstwo, prócz znanych marek również browary niszowe zwierzyły okazję, wabiąc jasnym pszenicznym i słodkim ciemnym. Do tego dochodził ukraiński desant ze swą tajną bronią - bursztynowym i pachnącym kwasem chlebowym. Jeśli dodać występy sztukmistrzów, mimów i stoiska ze starymi meblami, nie dziwiło, że nikt nie zainteresował się książkami.

- Mieszkam w Polsce - wycedził Głowacki, zerkając na szare zakurzone grzbiety woluminów, które liczyły pewnie więcej lat niż ich właściciel. Wreszcie psychiatra podniósł głowę, spoglądając prosto w oczy staruszka-sprzedawcy.

Wzrok, który napotkał, nie był przyjazny. Roman pomyślał, że nieraz widywał podobne spojrzenia - u swoich pacjentów, ale zaraz się zmiętygował. Wszędzie widzę chorych umysłowo! To aberracja, skrzywienie zawodowe. Może po prostu koleś nieco wypił.

- Książeczkę? - zapytał brodac, zdejmując kapelusz i wykonując dłonią zapraszający gest.

U jego stóp leżało kilkadziesiąt grubych tomów, mocno sfatygowanych, pamiętających jeżeli nie czasy Franciszka Józefa, to z pewnością powstania śląskie i budowę portu w Gdyni. Kiedy stary mówił, zawiąło od niego alkoholem (gdyby nie powierzchowność mówiącego, Roman mógłby się założyć, że to zapach chivas regal) i mocnym, acz dobrym tytoniem.

- Tanio oddam - zachrypiał stary.

W nos Głowackiego uderzył kolejny alkoholowy dech. To musi być chivas regal, doszedł do wniosku Roman. Dobrze pamiętał zapach tego alkoholu, ulubionego trunku swego kolegi, Adama Niezgody.

- Tanio oddam - powtórzył obszarpaniec. - Czytanie ma przyszłość. Mądrość zdobyta z książek pozwala się ustrzec przed błędami.

Psychiatra machnął ręką. Zmrużył oczy, taksując uważnie sprzedawcę. Wrażenie, że to ktoś znajomy, było coraz bardziej natarczywe. A może, zastanawiał się Roman, jest po prostu podobny do kogoś? Może do Skrzyneckiego z Piwnicy pod Baranami? Odgonił skojarzenia - to przez Adama, uświadomił sobie, on ma fioła na punkcie Piwnicy.

- A co? - powiedział na głos. - Brakuje na jabolka? Obszarpaniec wydał pogardliwie wargi.

- Jabolków nie pijam - prychnął. - Nie to nie. Chociaż myślałem, że to pana zainteresuje.

Skąd on wie, że jestem psychiatrą, zastanawiał się Roman, kartkując książkę podaną przez starego. *Szaleństwo? Historie prawdziwe?* wyglądało dość interesująco. Wprawdzie Głowacki nigdzie nie mógł znaleźć informacji ani o tym, w którym roku książkę wydano, ani

też jaka oficyna to zrobiła, ale jej wygląd - skórzana okładka, tłoczony tytuł, pożółkły papier, krój czcionek, „y” zamiast „i” - wszystko wskazywało na przełom XIX i XX wieku.

- Wie pan, zabory. Wtedy tak robili - mruknął nieudany sobowtór Skrzyneckiego, zapytany, ile lat liczy książka, jednocześnie wzruszając ramionami. - Cztery stówy. I dorzuci pan ten, o, wisiorek.

Głowacki początkowo nie wiedział, o czym stary mówi. Spuścił wzrok, zerknął na amulet. Ach, no tak.

Świecidełko kupił jakiś czas temu na straganie podczas kiermaszu towarzyszącego festynowi archeologicznemu w Biskupinie. Głowacki, samotny, w naturalny sposób ciągnął do tłumu, gwaru, do ludzi. Lubił kręcić się pośród straganów, oglądać setki drobnych przedmiotów, najczęściej tandetnych i kojarzących się z Cepelią, ale też znajdował pośród tej powodzi prawdziwe caczuszka. Tak było z amuletem czy raczej wisiorkiem. Na pozór zwyczajny, pełno takich wszędzie, lecz Roman wiedział, że ten jest wyjątkowy. Dzięki stonowanej barwie kamieni, dzięki temu, że pobłyskiwał pośród nich mały agat, wisior był trendy, jazzy, styły and cool. Wprawdzie na razie wiedzieli o tym nieliczni, ale Roman miał kolegę w firmie reklamowej, która właśnie dostała kontrakt na wypromowanie tego śmiecia mającego trafić do sprzedaży za kwotę, bagatela, dwustu pięćdziesięciu złotych. Targetem była grupa jeszcze młodych, a już dobrze zarabiających facetów. To - opowiadał rozentuzjasmowany kolega, kreśląc plany kampanii reklamowej - wkrótce będzie wyróżnikiem twojej pozycji zawodowej, społecznej!

Zwykły wisiorek, przemknęło psychiatrze przez głowę, ale widząc cenę - 20 złotych - nie mógł z niej nie skorzystać. Dziewczyna, która sprzedawała ozdoby, bardzo zaniedbana i wyglądająca na fanatyczkę życia zgodnego z naturą (co najwidoczniej przejawiało się w nieużywaniu kosmetyków), o twarzy uduchowionej, jak gdyby właśnie objawiła jej się Matka Boska Fatimska, wspominała, że to amulet. Że przynosi szczęście i chroni przed czarami. Roman jednak zaśmiał się jej wtedy prosto w twarz.

- Biorę - powiedział, wyciągając dwudziestozłotowy banknot. - Tylko bez czarów, plizzz.

Mimo że kobieta wyglądała na śmiertelnie obrażoną, wyglądała też na kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje gotówki, dlatego po chwili wahania podała psychiatrze klejnot, burcząc pod nosem:

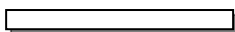
- Działa, nawet jeśli się w niego nie wierzy.

- Biorę - powiedział teraz Głowacki, stojąc przed starcem, chwyciwszy książkę i zdjawszy wisiorek.

Wprawdzie zaskoczyło go, że do kloszarda dotarły już najnowsze trendy mody męskiej, nie było też szans, aby stary po nałożeniu wisiora przeistoczył się w rześkiego, dynamicznego singla, ale niech tam. Co to w końcu za strata? Prawda - po zakupie wisiora wiodło się Romanowi znakomicie, ale czy wcześniej wiodło mu się źle? A poza tym nie wolno mylić korelacji dwóch zdarzeń z ciągiem przyczynowo-skutkowym. Sama myśl, że kilka ozdobnych kamyczków, zawieszonych na srebrnym łańcuszku, może w jakikolwiek sposób wpływać na bieg zdarzeń, była tak absurdalna, że aż śmieszna. Rozstawał się więc Głowacki ze swym niedawnym nabytkiem bez wielkiego żalu.

Niedorobiony Skrzynecki roześmiał się dziko, szaleńczo. Capnął amulet, sapnął bez sensu coś, co brzmiało mniej więcej: „He, he, cudze chwalimy, swego nie znamy, he, he... wiele mnie to kosztowało, te przeskokki wstecz, groźba paradoksu...”, i wsadził go szybko do przepastnej kieszeni. Kiedy stary chował gotówkę do kabzy, Roman zerknął na mocno wytarte podbicie marynarki. Niechby szurnięty dziadek kupił sobie nową za te cztery stówki, pomyślał. W tym samym momencie porwała go rzeka ludzi, zmierzająca ku drobiowym szaszłykom i grillowanej kielbasie z musztardą. Zapachniało przypalonym mięsem i zwietrzałym piwem. Roman nie zwracał uwagi na przysmaki, przeglądał książkę. Dopiero wtedy spostrzegł pomiędzy kartami fotografię przedstawiającą jakiegoś leciwego jegomościa w cylindrze, trochę podobnego do sprzedawcy książki, choć nie mogła to być ta sama osoba, bo zdjęcie wyglądało na bardzo stare. Z trudem zawrócił, przepchnął się przez tłum przy straganach z kwiatami, skręcił, minął pomnik bamberki, spojrzął przed siebie.

- To tutaj - powiedział cicho. - Stał tutaj. Ledwie pięć minut temu. Pokręcił głową. Starca już nie było.



Kiedy tylko przyjechał do domu, rozsiadł się w fotelu, napełnił kieliszek wytrawnym argentyńskim winem, kupionym na promocji w Marche, i otworzył książkę. Głowacki zbierał stare prace na temat szaleństwa i obłądzenia, traktował to jako hobby, którym można było się pochwalić. Poza tym zauważył, że robi to dobre wrażenie na odwiedzających go dziewczynach. Przez moment siedział z przymkniętymi powiekami, śniąc na jawie o pięknej żonie jednego z kolegów, wreszcie jego wzrok padł na pożółkłe karty książki.

Szaleństwo? Historie prawdziwe?

Historia 1

Patrzyłem na człowieka, który zbliżał się do grot. Patrzyłem ze zdumieniem. Słyszałem już o tym pasterzu owiec, o tym rzemieślniku, którego sława rozprzestrzeniła się niby pożar w

oliwnym gaju. Obserwowałem go bacznie, gdy - wyprostowany i nad podziw hardy - kroczył pośród baranich szkieletów i świeżych ludzkich trupów, widziałem, jak bez wahania zmierza w stronę grobów, skąd dobiegały dzikie krzyki. Spoglądałem na jego zamyślane oblicze i widziałem człowieka. Zwykłego człowieka, choć odważnego. Do szaleństwa. Jak ktoś może być równie szalony, pomyślałem.

Stultus!

A potem przypomniałem sobie, jak tutejsi określają takich jak on. „Meszugge”.

Odszedł od zmysłów.

Właściwy człek na miejscu właściwym.

Ledwie chwilę wcześniej jezioro szalało. Wysokie fale biły o brzegi, błyskawice biły w spienione wody, a ci, którzy byli małego ducha i wierzyli w gusła, bili się w piersi. Łódki rybaków przypominały mi łupiny orzecha, rzucone do kałuży, w którą wdepnął olbrzym. Aż nagle, niespodzianie, jezioro ucichło, jakby ów olbrzym rozmyślił się i jednym stanowczym ruchem dłoni wygładził zagniecenia na tkaninie.

Olbrzym istotnie wówczas przybył. Tyle że ja przekonałem się o tym nieco później.

Najbardziej przeszkadzały mi podówczas dwie rzeczy. Pierwsza to konieczność przebywania w kraju pełnym szaleńców, mistyków, chłopów i świń, czego przykładem była dwutysięczna, pasąca się na stoku wzgórza nieopodal, trzoda. Druga to strach.

Strach dla byłego legionisty, a teraz najemnika, oznacza hańbę. Stojąc na brzegu jeziora Genezaret, w dalekim kraju Gadareńczyków, nieopodal Kursi, okrywałem się hańbą w każdej chwili. Ja, Pollion Młodszy! Bałem się śmiertelnie i przeklinałem mojego chlebowawcę, tetrarchę Filipa, za którego przyczyną znalazłem się w owym ponurym miejscu.

- Pojedźcie do Kursi. - Tetrarcha otarł rękawem brudne od oliwy usta.

Spojrzał badawczo na mnie, następnie na człeka stojącego po swej prawicy. Człek był cały w czerniach, oczy miał przenikliwie, a twarz chytrą.

Miejscowy, poznałem. Jeden z magów.

Żyd.

- Tam, w okolicach, w grotach, gdzie trupy chowają, mieszka dwóch szaleńców - mówił tetrarcha, racząc się winem czerwonym niby krew.

Choć siedziałem pośród Żydów już długo i zrosłem się z ich krajem, mówiono o mnie w tamtych dniach - jak o wszystkich Rzymianach - syn wilczycy. I zaiste, miałem naturę wilka, każda czerwień przywodziła mi na myśl krew. Łaknąłem jej. Znacznie bardziej niżli wina.

- Szaleńcy owi niepokoją miejscową ludność. Sieją strach. Zniszczenie. Sieją - a to może najgorsze - zwątpienie. Ty wiesz, Pollionie, ciemna miejscowa ludność w każdym obłąkanym widzi opętanego, w każdej chorobie - szatana.

- Z szatana - rzekł ten w czerniach - naigrawać się nie należy. Niemądrze. Nigdy nie wiadomo, po kogo przyjdzie. Ani kiedy.

- Nie strasz mnie, rabbi, ja się twych złych duchów nie boję!... - wykrzyknął tetrarcha, uśmiechając się pogardliwie, ale tamten, zupełnie bez respektu dla Filipowego urzędu, przerwał mu:

- Nie jestem nauczycielem, nie myl mnie, jeśli łaska, z tym szalonym cieślą.

- Wszyscyście szaleni - warknął Filip, przestając się uśmiechać. - Jak ci dwaj...

- Jak ci dwaj... - powtórzyłem, gdy stanęliśmy obozem nieopodal grobowców, nad brzegiem jeziora Genezaret.

Z dala dobiegały nas jęki i pogrzykiwania. Na przemian z dzikimi krzykami, których znaczenia nie mogłem odgadnąć. Zapytałem noszącego się czarno Żyda, co mniema o owych strasznych odgłosach.

- Szatan ? - zadrwiłem.

Zapytany uśmiechnął się tylko. Milczał długo. Wreszcie rzekł cicho:

- Tyś, panie, z Rzymu? Skinąłem głową.

- Wy tam, w Rzymie, macie wielu bogów. Wierzycie w którego?

Zaśmiałem się dziko. Cóż za pomysł?

Rzecz jasna, nie.

Chytry Żyd również się zaśmiał.

- U nas zaś odwrotnie - powiedział - ludzie wierzą we wszystko. Są, jakby rzec, łatwowierni.

- Ty też? - spytałem.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się uśmiechem zarezerwowanym dla tych, którym za górę złota sprzedawał bezwartościowe świecidełka. - Wierzę w Tego, którego imienia nie wymawia się tak pochopnie jak owych waszych bogów, równie nieżywych, jak posągi, które ich przedstawiają. Wierzę. Ale też - ściszył głos i łypnął na mnie skrzyjącym inteligencją okiem - wiem, że nie wszystko, co lud bierze za działanie duchów, jest tym działaniem w istocie. Na przykład burze... Wystaw sobie, że rybacy, których łódki właśnie dobijają do brzegu, każdą burzę biorą za znak Pana. Podobnie burzy ustanie. I tak ze wszystkim. Z wichurami. Z plagą. Z głodem. Z pomorem bydła.

- Z szaleństwem? - zapytałem, a jego ciemne oczy błysnęły.

- *Nieglupich Rzym ma żołnierzy - stwierdził z przekąsem.*

Na te słowa znów przed oczami stanął mi tetrarcha, który rzekł, że ja i moi ludzie będziemy ramieniem wyprawy. Głową zaś - ów Żyd.

- *Nie sądzę, byśmy mieli do czynienia z szatanem wcielonym - mój rozmówca, zapewne pod wpływem wina, zrobił się bardzo gadatliwy. - Nie sądzę, by ci nieszczęśnicy chowający się po grobach widzieli Szeol czy inne jakowe zaświaty. Jedyne zaświaty im dostępne to zaświaty ich duszy, a jedyna czerń - czernią ich szaleństwa. Lecz w ten sposób mogę rozmawiać z tobą, Pollionie, lub z twoim panem. Z mieszkańcami Kursi trzeba inaczej. Nasz pan zaś nie chce uspokoić ciebie czy mnie, jeno właśnie ich. Tych, którzy zamieszkują te ziemie, tych, którzy płacą daniny...*

- *Tych, którzy burzą się, słuchając proroków - wszedłem mu w słowo - a zwłaszcza jednego z nich. Informatorzy donoszą, że lada dzień on będzie tutaj. Na drugim brzegu jeziora. Lud zaś...*

- *Lud - czarno odziany zlewał się z nocnym niebem, a ja przez moment pomyślałem, że ów żydowski szatan jednak istnieje i siedzi naprzeciwko mnie - jest ciemny i, choć mierzi mnie to, potrzebuje sztuk kuglarskich i czarnoksiężskich.*

Lud w rzeczy samej wydał mi się ciemny i to bynajmniej nie przez wzgląd na karnację. Przypomniałem sobie pierwsze z owym ludem zetknięcie i toczony z jego przedstawicielami rozmowy, gdy przybyliśmy do Kursi. Ugościli nas jęczmiennym chlebem, jajami, serem i pieczoną rybą, która, jak się zdaje, stanowiła miejscowy - pozał się Jowiszu - przysmak. Potem zaś jęli snuć niestworzone opowieści. Opowieści o szaleńcach.

- *Dawniej - powiedział jeden, patrząc ponuro i przegarniając swą brudną dłoń czarne kędziory - byli rybakami.*

Drugi, który, co zabawne, z postury przypominał tego psa Heroda - niech mu ziemia lekką będzie - uzupełnił:

- *Będzie z rok, odkąd opętanie się zaczęło. Łypnął na nas oczyma wielkimi ze strachu.*

- *A zaczęło się od tego, że usłyszeli pono głosy. Głosy, których nikt inny usłyszeć nie mógł. Usłyszeli głosy, które mieli za demony, i zwątpili w moc Pana. Od tamtej chwili prześladować zaczął ich pech. Noc w noc - sieci mieli puste. Ryb łapali niewiele, a rodziny przymierały głodem. Innym zaś, tym, co na innych łodziach pływali, działało się wyśmienie. Ryby, zda się, same garnęły się w sieci.*

- *Po kilku połowach Aaron i Alfeusz poczęli szemrać - wyrwał się trzeci, w którym po brudnej szacie, a nade wszystko po zapachu rozpoznałem świniopasa. - Wspominali o uroku, o tym, że mag przeklął ich, najpewniej po to, by pozostali połów mieli obfitszy. Ile to razy*

wygrazali rybakom pięściami. Rwali sieci. Dziurawili łodzie. Do wróżbitów chodzili. Aż wreszcie...

- Wreszcie zdarzyła się tragedia... Wy płynęli na środek jeziora. Obaj zabrali swych pierworodnych. Do rzemiosła przyuczać.

- Zerwał się wicher - powiedział grobowym głosem świniopas. - Znak!

Słyszając to, Żyd w czerni rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, lecz prócz tego jednego gestu nie dał po sobie poznać, że wierzy w ów znak tak samo jak w centaury i cyklopy, o których bajali Ateńczycy.

- Jezioro oszalało. Fale rzucały łodziami, kto żyw uciekał, byle do brzegu, ale oni nie zdążyli. Wy płynęli daleko. Nie mieli szans - rzekł tamten, który przypominał Heroda. - Ich łódź zobaczyliśmy dopiero, gdy jezioro się uspokoiło. Płynęli sami. Bez synów. Od tamtej pory szatan ich opętał.

- Szatan? - zainteresował się ten, który miał być głową naszej wyprawy.

- Nikt inny! - potwierdził energicznie świniopas. - Ledwie z łodzi wysiedli, poczęli bluźnić Panu. Zły duch wstąpił w ich usta, a następnie w całe ciała. Miotał nimi tak, że wszyscy pierzchli z przystani. Spotkał ich, nieszczęsnych, los Saula.

- Pamiętam - wtrącił się ten, który zaczął opowieść - że chciałem ich powstrzymać. Ruszyłem na Aarona z wiosłem. Uderzałem w głowę, sądząc, że powalę go, a dzięki temu zakończę owe brewerie. Wiosło pękło, lecz jemu, Aaronowi, nie stała się żadna krzywda. Szalał dalej, wygrazając Panu i nam wszystkim.

- Wiosło pękło? - powtórzył z niedowierzaniem mag, który przybył ze mną do Kursi.

- Pękały i łańcuchy - dodał czwarty z mężczyzn, dotąd milkliwy.

Przypominał górę Synaj, a mnie, wychowanemu w Rzymie, przywodził przed oczy posągi Herkulesa. Jego głos dudnił jak bęben na galerach.

Świniopas najbardziej, zdało się, z całej gromady gadatliwy zaraz wszedł w słowo Herkulesowi znad Genezaret.

- Trzeba było ich wówczas zabić! - wykrzyknął w uniesieniu. - Lecz każdy myślał: synów stracili, Pan doświadczył ich niby Hioba, rozpacz jest rzeczą zrozumiałą. Dlatego opowiadają, że widzieli Szeol, dlatego mówią o demonach, z którymi, pono, mieli spotkanie. Stąd Isztar i złoty cielec, stąd Lilith, która wywiodła ich na środek jeziora, stąd i szatan. Złęknieni szaleństwem, puściliśmy ich wolno.

Świniopas przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu, ale że nikt nie kwapił się do kontynuowania opowieści, zaraz wrócił do rozpoczętego wątku.

- Poszli do domów. Wyglądali dziwnie a strasznie. Twarze blade, wzrok zmętniały. Musi szatan to być, nikt inny. Gdybyśmy pojęli to wcześniej, nie doszłoby do kolejnego nieszczęścia.

- Rankiem - przemówił Herkules, chcąc zakończyć wywody świniopasa - znaleziono ich rodziny. Pomordowane, jak gdyby Aaron i Alfeusz składali ofiary przy grobach sumeryjskich władców. Mordercy próbowali zbiec, lecz ujęto ich bez trudu i zakuto w łańcuchy. Wyrok mógł być tylko jeden - śmierć. Podówczas, gdy to usłyszeli, szatan straszliwie miotnął nimi, tak że kajdany pękły, a na nas padł strach blady. Aaron i Alfeusz zbiegli zaś do grobów i od tamtych chwil kryją się po grotach. Kilkakrotnie łapani, rwali łańcuchy, mimo że za każdym razem były one grubsze. Mordowali tych, którzy przyszli ich pojmać, i niedraśnięci uciekali. Bluffnili przy tym okrutnie, klęli i źle czynili. A siły w nich jak w legione całym. Kilkunastu naszych zabili. W dodatku nastął pomór bydła i świń. A nasze niewiasty...

- Domyślam się - mag nie pozwolił mu dokończyć, co też dwaj obłąkani zrobili z niewiastami, a do mnie szepnął, korzystając z chwili, gdy nasi informatorzy oddalili się za potrzebą: - Słyszałeś, Pollionie? Oto i twoje zadanie - obrócić wniwecz mityczną siłę tych dwóch szaleńców.

Głośno zaś, widząc, że rozmówcy wracają, rzekł:

- Tedy jutro z demonem się rozprawimy. Widzi mi się, że szatan to, nikt inny. Jeno on do podobnych zbrodni jest zdolny. Ci dwaj nieszczęśnicy byli w Szeolu, kto słyszał, co mówicie, kwestionować tego faktu nie może. Nic tedy dziwnego, że diabeł załagał się w ich duszach i opanował ciała. Jutro jednak będzie z nim koniec. Jutro.

Gdy odeszli, Żyd, który mimo jasnego dnia ani myślał zmieniać swój czarny przyodziewek, jął snuć plany:

- Twoja rola, Pollionie, jest dwojaka. Po pierwsze twoi ludzie nie dopuszczą gapiów zbyt blisko, a że Zgromadzi się spory tłum gapiów, wiem z całą pewnością. Po drugie - trzeba obstawić grotę, by ci dwaj szaleńcy nam nie umknęli. No i jeszcze przydałoby się ze dwóch zbrojnych, którzy będą chronili mnie osobiście. Kto to wie, czy się prosto na mnie nie rzucą. Diabeł diabłem, ale szaleńcy ze swej natury skłonni są do takich działań.

Żyd uśmiechnął się, a ja dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, z jak starym człkiem mam do czynienia. Zmarszczki głębokie jak bruzdy w ziemi, zostawione za lemieszem, broda w wielu miejscach siwa - jeno wzrok bystry i świdrujący zdawał się mówić, że choć ciało to już vanitas, to jednak intelekt non omnis moriar.

- W jaki sposób zamierzasz sobie z nimi poradzić? - Nie mogłem pohamować ciekawości, kiedy w nocy usiedliśmy razem przy ognisku, piliśmy wino i patrzyliśmy w gwiazdy.

- Rozważałem wiele opcji - odparł. - Jeśli wiatr będzie sprzyjający, posłużę się pewnym proszkiem sprowadzonym z Egiptu. Powstał z wysuszonych liści nieznanej mi rośliny, startych na popiół. Pali się go w kadzidlach, daje to śmiertelnie trujący dym. Na zewnątrz jaskini nic nam nie grozi, natomiast ci, którzy będą w grocie...

Skinałem głowę. Nie musiał kończyć.

- Rzecz jasna, prócz tego zadbam o lud. Lud dostanie przedstawienie i przestanie obawiać się dwóch obłąkanych nieszczęśników, kryjących się w grobach. Wyrecytuję szereg formuł egipskich i asyryjskich, bo choć to belkot jeno, robią na pospółstwie dobre wrażenie. Nie zapomnę też o magii perskiej i czynieniu dziwacznych znaków w powietrzu. Mam przygotowane stosowne przedmioty, kamienie szlachetne, stare kości, tabliczki. A i samych nieszczęśników uwolnię od wszystkiego, co ich dręczy. Od wszystkiego.

Czule poklepał tobół leżący przy jego postaniu, po czym zasnął. Nagle i bez słowa. Później pomyślałem, że była to wróżba.

Następnego ranka, gdy tylko wstało słońce, Żyd rozpoczął przygotowania. Sękatym drągiem kreślił na piachu znaki, rozstawiał drewniane konstrukcje, na których wieszał amulety. Wreszcie, widząc, że wiatr sprzyja jego zamiarom, przygotowywał ów magiczny proszek Egipcjan, który miał wyręczyć nasze miecze. Krzątanie maga od samego ranka obserwował znaczny tłum. Byli wśród nich rybacy, z którymi dzień wcześniej rozmawialiśmy, byli i inni - rolnicy, rzemieślnicy, celnicy i ludzie wielu różnych profesji, przybyły nawet kobiety uważane tutaj, dodam że niesłusznie, za upadłe. Wszyscy przyglądali się staremu Żydowi w czerniach. Wielu z nadzieją.

Część z niewiarą.

Posłyszałem - bo w owym czasie nieźle już rozumiałem tutejszą mowę - jak rzucają do siebie:

- Nie podola. To nie ten, na którego czekamy. Mag, choć z pewnością słyszał te komentarze, nie przejmował się nimi zbyt. Czynił swoje. Nie przejmował się też hałasami dobiegającymi z grot. Nie zrobiło na nim wrażenia ani nieludzkie wycie, które mnie samemu skojarzyło się z opowiadaną na tych terenach historią o mieście Jerycho, ani pełne złorzeczeń monologi, ani opisy bestii wszelakich, ani imię Molocha wykrzykiwane przez opętanych. Pierwsze oznaki niepokoju Żyda dostrzegłem, gdy z czeluści jaskini wypelzły dwa węże. Usłyszałem wówczas, jak szepcze do siebie:

- Nechaszim.

Mimo to nie ustawał w swoich zabiegach, zagrzebując nieopodal grot ołowiane blaszki z wypisanymi na nich formułami magicznymi, kreśląc farbami na skalach figury aniołów i wpisując tam ich imiona. Co chwila jednak przerywał, oganiając się od natrętnych much.

- Przekleństwo! - rzekł do mnie, kiedy wrócił się po kolejne magiczne przyrzędy do obozu. - Gdybym nie wiedział, że wabią je resztki surowego mięsa, pozostawione przed grotami przez szaleńców, gotów byłbym pomyśleć, że istotnie w tych jaskiniach rezyduje Władca Much.

Oddalił się znowu w asyście dwóch najtęższych żołnierzy. Tym razem podszedł jeszcze bliżej grot. Przypomniałem sobie, że dzień wcześniej rozsypywał niedaleko wejścia popiół. „To na wszelki wypadek - wyjaśniał gdyby istotnie był tam jakiś demon, wówczas zobaczę jego ślady”.

Rankiem zapuściłem się z ciekawości pod jaskinie - nie było widać żadnych śladów złego. Jedyne, com mógł wyczytać w popiele, to ślady ptasich łap, przypominających na pierwszy rzut oka pazury koguta. Ot, nic nadzwyczajnego.

Żyd odziany w czarne szmaty myślał chyba inaczej. Kiedy tylko spojrzął na znaki widoczne w rozsypanym popiele, wrócił się do obozu, a jego twarz, oliwkowa przecież, zdała mi się równie szara jak pył, który rozrzucił poprzedniego wieczora u wrót grobów.

- Zaczynamy - rzekł zwięźle. - Daj mi jeszcze dwóch twoich.

Zdziwiłem się, spytałem nawet, cóż takiego zobaczył w popiele, ale odpowiedział niejasno i niezrozumiale. Zgodziłem się, by maga chroniło czterech zbrojnych. Ostatecznie sprawę miały załatwić egipskie prochy i fumi. Czy ma jakiegokolwiek znaczenie, ilu dam mu żołnierzy? - zapytałem siebie samego.

W rzeczy samej, nie miało.

Żyd zaczął od śpiewów i monodeklamacji. Uniósł dłonie ku niebu i jął recytować imiona anielskie. Równocześnie jeden z moich ludzi, odpowiednio poinstruowany, widząc, że wiatr jest sprzyjający, podпалиł starte na pył liście owej tajemnej, trującej rośliny. Dym istotnie był gęsty, a miejsca, z których się sączył, dobrze dobrane, opary gromadziły się więc w grocie. Żyd w czerni tymczasem na przemian wzywał swym grzmiącym głosem imiona aniołów, to znów urągał duchom nieczystym, które, jak przypuszczali mieszkańcy Kursi, opętały dwóch rybaków.- Wyjdz, Molochu, wyjdz, Lewiatanie, wyjdz, szatanie! - darł się. - Nakazuję ci, wyjdz!

I szatan wyszedł. W dwóch osobach.

Najpierw posłyszałem śmiech, i powiadam wam, śmiechu tego nie zapomnę do końca moich dni. Ów śmiech był jak wyzwanie rzucone magowi. Sądziłem, że szaleńcy odurzeni są

dymami, lecz gdy wyłonili się z groty, nie wyglądali wcale na osłabionych, choć nie przypominali też Apolla. Ich ciała pokrywały rany, w większości stare, ale sporo było też świeżych nacięć. Nie mieli odzienia, za to nadzwyczaj obfite owłosienie, co przypomniało mi małpy sprowadzane do Rzymu z Egiptu. Stada much krążyły nad potarganymi włosami.

Nie przejęli się w ogóle zaklęciami starego Żyda. Bredzili coś o wiecznych ciemnościach i o ogniach piekieł. Wspomnieli i o Baalu, i o Lewiatanie, a kiedy mag chciał przywołać imię najpotężniejszego z aniołów - po prostu się nań rzucili.

Moich żołnierzy byłem pewny. Zresztą za przeciwników mieli nieuzbrojonych, nagich dzikusów, w dodatku niespełna rozumu. Szaleńcy musieli zginąć.

Pierwszy umarł jednak mag.

Nie wiem, czy dopadł go Aaron, czy może Alfeusz. Nie wiem też, dlaczego żaden z czterech przybocznych nie zdołał powstrzymać szarżującego szaleńca. Zdało się, że obląkaniec znika tylko po to, by wyrosnąć jak spod ziemi za plecami Żyda. Ów chciał bronić się amuletem, lecz nie zdążył - dzikus z niebywałą wprawą skrzył mu kark. Drugi z rybaków uniknął dwóch ciosów miecza, wywinął się sprytnie i uderzeniem godnym samego Marsa przebił tarczę jednego ze zbrojnych. Wraz ze zbroją. Nagą pięścią.

Jeden z moich najlepszych żołnierzy nie żył.

Nie namyślałem się długo. Poderwałem wszystkich, którzy przybyli ze mną do Kursi, całą dwudziestkę. Ruszyliśmy na dzikusów. Nie mają szans, pomyślałem.

Szans nie mieliśmy jednak my.

Obląkani w walce zachowywali się nad wyraz racjonalnie i byli piekielnie silni. Uderzeniem gruchotali czaszki, łamali miecze, rozłupywali hełmy, skręcali karki, wyjąc przy tym, zawodząc i śmiejąc się na przemian. Nie zważali na rany, a choć krew lała się z nich obficie, nie wykazywali żadnych oznak zmęczenia czy słabości. Siali spustoszenie.

W pewnej chwili, gdy ośmiu z moich ludzi leżało już bez ducha, spojrzałem za siebie, na tłum gapiów...

Nikogo nie było.

Wtedy zrozumiałem, że mieszkańcy Kursi oglądali podobne sceny już nieraz. I wiedzieli, jak się to skończy. Przypomniałem sobie słowa starego Żyda: - Nieglupich Rzym ma żołnierzy. Nieglupich, pomyślałem.

I uciekłem, widząc, że kolejni trzej zbrojni padają bez życia na piach.

Umknąłem na nieodległe wzgórza, dostatecznie daleko od przeklętych grot, by czuć się bezpiecznie, dostatecznie blisko - by je obserwować. Nie mogłem odejść; nie pozwalały mi na to resztki honoru. Na to, by ponownie zbliżyć się do grobów, brakowało mi jednak odwagi.

Czekałem więc, sam nie wiedząc na co, przeklinałem chwilę, w której trzydzieści lat wcześniej mój sandał, sandał młodziutkiego legionisty, po raz pierwszy dotknął Ziemi Judzkiej i patrzyłem na pobojuwisko. Kilkanaście trupów zalegało przed zamieszkanymi przez żywych grobami.

Z lękiem myślałem o nocy. Na horyzoncie nad jeziorem Genezaret zbierała się ciężka, czarna chmura.

- Niedługo - powiedział do mnie tutejszy Herkules. Nie usłyszałem, kiedy podchodził. Spodziewałem się, że spojrzy na mnie z pogardą. Jednak nie. W jego oczach dostrzegłem zrozumienie.

- Już niedługo - powtórzył, wpatrując się w dal jeziora, jak gdyby na kogoś czekał.

Kto może przybyć, pomyślałem, jeśli nad wodą szaleje burza. Jeżeli wichura wzbudza fale zdolne przewrócić każdą łódź i zmyć z pokładu każdą załogę? Kto może przybyć, jeśli nie sposób sterować w taką nie pogodę, myślałem, zerkając na burzące się wody.

Czas pokazał, że i tym razem się myliłem.

Przybył wraz z uczniami.

Ostatnio, powiadali, uczniowie nie opuszczają go ani na krok. Ich łódź wyłoniła się z fal, które z nagłą zgasty i splaszczyły się do spokojnej tafli. Dobili do brzegu nieopodal grot, a ów słynny cieśla, nie pytając o nic, ruszył ku jaskiniom, zostawiając za sobą i łódź, i uczniów, i tych, którzy przyszli go powitać.

Szedł w stronę grot.

Sam.

Szaleńcy - czy może demony, sam już nie byłem pewny - nie mogli go widzieć, był zbyt daleko, przysłaniały go skalne załomy. A jednak wybiegli ze swego ukrycia, wrzeszcząc dziko.

Koniec, pomyślałem, koniec z nim.

Tego dnia wszelako dane mi było pomylić się po raz trzeci.

Obląkani, gdy byli oddaleni nie więcej niż o dziesięć, może piętnaście kroków od cieśli, padli na kolana i zanieśli się płaczem.

- Czego chcesz? Przyszedłeś przed czasem dręczyć nas? - zawył jeden.

Zapytany nie odpowiedział, ale bez lęku podszedł do nich i przyjrzał się ich twarzom.

- Byliście tam - rzekł cicho - po drugiej stronie... Widzieliście otchłań. Wstąpił w was duch nieczysty.

Rozejrzał się dookoła, podczas gdy szaleńcy skomleli, z płaczem błagając, by ich nie unicestwił. Wzrok cieśli zatrzymał się na stadzie świń, pasących się w pobliżu.

- Idźcie - rozkazał mocnym głosem. - Idźcie. A ty, Aaronie, i ty, Alfeuszu, wracajcie z Szeolu. Wracajcie!

Obląkani spojrzeli na niego. Przytomnie.

Po raz pierwszy od roku.

W tej samej chwili całe stado świń, które pasło się nieopodal, puściło się pędem w dół, w stronę stromej skarpy. Pasterze odskoczyli w popłochu, a świnię, jedna po drugiej, ginęły w falach jeziora Genezaret.

Od tamtych wydarzeń starałem się unikać szaleńców, obląkanych i wszelkich innych chorych na umyśle, opowiadających dziwaczne historie, w które nie wierzył nikt przy zdrowych zmysłach. Unikałem tych, co wieszczili na rozstajach, i tych, co przepowiadali przyszłość, trzymałem się z dala od włóczęgów, co opowiadali o wizytach w innych krainach, zdało się, żywcem wykrojonych ze snu.

Balem się, że któryś z nich może mówić prawdę.

1

Adam Niezgoda stał na dziesiątym piętrze wieżowca PFC, spoglądając na Poznań. Po prawej miał brudne dachy wildeckich kamienic, dalej Multikino, olbrzymie targowisko z ciuchami i nielegalnym oprogramowaniem, Wartę tnącą miasto na dwie nierówne części, i monotonną architekturę blokowisk na Ratajach.

Kiedy nie widać szarych, obskurnych murów, kiedy na miasto patrzy się z dystansu - wygląda ono całkiem ładnie, pomyślał. Nie słysząc warkotu samochodów, przez szczelne okna nie wdziera się smród spalin, samochód nie wpada w dziury w asfalcie, tłum ludzi nie usiłuje cię stratować... Nawet te cholerne bloki nie przeszkadzają.

Rozmyślenia przerwał dzwonek windy. Stres powrócił. Adam upił łyk kawy - czwartej, choć była dopiero dziesiąta rano - i zaczął żałować, że nie pali. Papieros być może pozwoliłby mu uspokoić nerwy przed spotkaniem.

Zaraz się zacznie, zauważył niechętnie. Po raz osiemdziesiąty poprawił krawat i spojrzął za siebie. Przestrzeń drzwi wiodących do salki konferencyjnej wypełniał Robert Mlicki, firmowy prawnik o potężnej sylwetce i brzuchu zdradzającym fascynację piłką nożną (ogładaną rzecz jasna w telewizji ze szklanką piwa w dłoni). Mlicki trzymał plik papierów, najprawdopodobniej jeszcze szlifował tekst wstępnego porozumienia.

To była ważna transakcja, nad którą Adam i Robert pracowali od kilku miesięcy. Dziesiątki spotkań, setki godzin negocjacji, tony papieru, późne powroty do domu. Adam wolał nie myśleć o reakcji Renaty, kiedy poprzednio rzucał do słuchawki krótkie:

- Wiesz, BMG Group...

Wiedziała.

BMG Group, jedna z niewielu dużych sieci handlowych, całkowicie w polskich rękach. Dwadzieścia osiem sklepów w największych polskich miastach. Obroty szybujące w 2007 roku poza wykres. Symbol pokazujący, że w młodym, polskim kapitalizmie jednak można zrobić karierę. Polska była z BMG dumna, a Wielkopolska - w dwójnasób. To w Poznaniu BMG Group miała siedzibę, to tu otworzyła swoje pierwsze sklepy. W spotach i na billboardach sieć chwaliła się „hipermarketami z polską duszą”, „bezpiecznymi produktami”, „stawianiem na polską żywność”. BMG starało się budować image korporacji uczciwej i dbającej o konsumenta, co w zestawieniu z innymi sieciami handlowymi nie było czymś przesadnie trudnym, zwłaszcza po „szczurzej aferze” w magazynach Giganta i reportażu TVN o rewitalizacji starych warzyw w sieci SuperMal. W 2007 roku BMG Group była bodaj najcenniejszą marką na polskim rynku sklepów wielkopowierzchniowych. BMG - to była firma!

Adam Niezgoda pracował dla konkurencji. Jego zadaniem było rzucić ludzi z BMG Group na kolana. - Nienawidzę się za to, co robimy - oznajmił ponuro, kiedy tylko wysiadł z windy.

Przechadzający się po schludnym korytarzu Robert wzruszył ramionami.

- Daj spokój. Robota jak każda. Masz skrupuły dlatego, że nam płacą żabojady, a oni to Polacy? W czasach globalnej gospodarki? Zresztą oferta, jaką dostali, nie jest taka zła. Uczciwy deal.

- Wiesz, jak to będzie wyglądało, kiedy ich przejmujemy? Jazda z cenami w dół, wykańczanie polskich dostawców, kurczaki leżakujące po kilka miesięcy w chłodziarkach...

- Racjonalizacja. - W uśmiechu Roberta nie było radości. - Konsumenci chcą niskich cen, na jakości im nie zależy. Ja żarcie kupuję od gospodarzy, na Rynku Wildeckim. Poza tym - machnął ręką - ci z BMG mogą przecież nie przyjąć oferty. Nikt ich pod pistoletem nie trzyma.

Mogą, pomyślał Adam. Nasza oferta jest upokarzająca. Sam bym jej nie przyjął. Zapewne ludzie z BMG przyjdą tylko po to, by rzucić mi w twarz kilka wyzwisk i demonstracyjnie wstać od stołu negocyjnego, do którego więcej już nie usiądą. Dzięki temu wszystkie głupie argumenty (że BMG to polscy przedsiębiorcy, że trzeba ich wspierać, i inne pitu, pitu) wylądują w niszczarce.

Wraz z moją umową o pracę, skonstatował.

Adam był odpowiedzialny za ten projekt. To było jego *to be or not to be* w firmie. Na razie nie miał pomysłu, jak doprowadzić do *to be*.

Po raz kolejny, jak do sennego koszmaru, wrócił do rozmowy sprzed kilku dni.

- Przyciśnij ich. - Szef był równie zimny i cierpki jak whisky z lodem, którą trzymał w dłoni. - Negocjacje ciągną się zbyt długo. Wydziwiają. Zrób coś, żeby jeszcze zeszli z ceny. Powiedzmy... - Nowicki spojrział w sufit, skąd najczęściej brał pomysły - trzydzieści procent. Minimum.

Każdy przeżywa w pracy takie chwile, kiedy - słysząc nierealistyczne wymagania - chciałby rzucić wypowiedzenie, zniknąć, wyparować względnie zapaść się pod ziemię. Jeszcze lepiej natomiast, by to ostatnie spotkało szefa. Otwierają się oto czeluści piekielne, wyłożony skórą fotel spada w otchłań - a wraz z nim przyczyna wszelkiego zła i nieszczęść ludzkości. Wyobrażenia podpowiada zresztą i inne, bardzo widowiskowe sposoby anihilacji przełożonego. Wiele, wiele sposobów. Adam, słysząc owe trzydzieści procent, naliczył kilkanaście rodzajów śmierci Nowickiego. Rozstąpienie się ziemi i zstąpienie do piekieł było jednym z łagodniejszych.

- Minimum - powtórzył tymczasem Nowicki, któremu złorzeczenia pracownika nie wyrządziły najmniejszej szkody (co Adam skonstatował z dużym rozczarowaniem). - Zaczynj od propozycji niższej o czterdzieści procent, żebyś miał pole manewru.

- Obrażą się. - Adam chciał krzyknąć, ale poczuł, że w gardle rośnie olbrzymia klucha, tłumiąca głos. - Wycofają z negocjacji...

- Słyszałeś, że David odchodzi? Stanowisko dyrektora finansowego będzie puste. - Szef uśmiechnął się do Adama i upił odrobinę whisky. - Myślałem o tobie. Zakładam, że nie pozwolisz im się wycofać. Ale dość I już o pracy. O ile pamiętam, niedawno kupiłeś dom, prawda? Jak tam spłata rat?

Wiceprezes Nowicki miał mnóstwo wad. Nie miejsce i czas, by wyliczać wszystkie. Największą z nich, w odczuciu Adama, było to, że Nowicki doskonale pamiętał o każdym kredycie zaciąganym przez któregośkolwiek ze swoich pracowników. Ubiegającym się o pożyczkę osobiście podpisywał zaświadczenia wysokości zarobków, a kopia każdego (wraz z kopią umowy kredytowej, której dostarczenie Nowicki bezceremonialnie wymuszał na personelu) trafiała do podręcznych akt wiceprezesa. Tak zgromadzonej wiedzy nie wahał się używać - zwykle po to, by udowodniać pracownikom, że zadania, z pozoru niewykonalne, załatwić jednak można.

Metody były dla Nowickiego obojętne. Zwykle o nie nie pytał. Lepiej nie wiedzieć.

- I co z tego, że to mobbing - prychnął Robert, słysząc narzekania Adama. - Większość pracowników i tak nie zdaje sobie z tego sprawy. W sądzie będę tego bronił jako dopuszczalnego „agresywnego zarządzania personelem”.

Trzydzieści procent. *To be or not to be.*

Bufet, do którego Adam chodził na lunch, tuż obok biurowca PFC, serwował jedzenie smaczne i lekkie, ale owego dnia, podczas rozmowy z Nowickim, Niezgoda poczuł, że pyszne naleśniki ze szpinakiem podchodzą mu do gardła. Krew pulsowała w skroniach i choć w pokoju nie było żadnego lustra, wiedział, że jego skóra przybiera bordowy kolor krawatów noszonych przez szefa Marche.

Gdybym tylko mógł, pomyślał, zawisłbyś na tym krawacie pod sufitem, skurwielu. Zawisłbyś! Gdybym mógł... Zacisnął pięści. Przed oczyma pojawiły mu się mroczki. Uciec stąd, rzucić to wszystko w diabły, pomyślał. Spalić. Zniknąć.

Dom, o którym wspomniał Nowicki, przytulna chatka pod lasem, kosztował sporo. Adam i Renata byli młodym małżeństwem - ledwie cztery lata po ślubie - i gdyby nie kredyt, nie mogliby sobie pozwolić na jego kupno. Z pożyczką nie było jednak żadnego problemu - on był młodym specjalistą do spraw finansów z teczką pełną dyplomów. Renata miała stabilną, ale marnie płatną pracę w szkole. Dlatego Adam początkowo niechętnie podchodził do zaciągania długów.

- Mieszkanie nam wystarczy - przekonywał.

Przedstawiciel banku kusił jednak skutecznie. Tak skutecznie, że Adam nabrał w pewnej chwili podejrzeń, że Lucyfer ubrał się w garnitur, spiłował rogi, ogon schował w nogawkę i zatrudnił się jako opiekun klienta w dziale kredytów hipotecznych. *Apage* samo cisnęło się na usta. Szatan oszedł jednak dopiero, kiedy cyrograf - umowa kredytowa na dwadzieścia lat - został podpisany.

Zabezpieczeniem kredytu była rzecz jasna hipoteka na nieruchomości. Jeśli tylko przestaną spłacać raty, to...

Adam wypierał tę nieprzyjemną myśl ze świadomości.

Nie mógł, krótko mówiąc, pozwolić sobie na utratę pracy. Musiał doprowadzić do zawarcia umowy. I to na warunkach szefa.

Tylko jak?

Owe trzydzieści procent stanowiło przekleństwo Adama przez parę następnych dni.

- Stale jesteś rozdrażniony. Kłębek nerwów - mówiła Renata z wyrzutem, kiedy późnym wieczorem wracał do domu. - Wyluzuj.

Nie potrafił.

Po raz kolejny przeglądał dokumentację BGM, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, którego mógłby użyć jako pretekstu do obniżki ceny. Może przeszacowali wartość nieruchomości? Albo zapasów? Jakież ukryte zobowiązania wobec banku? Silne związki zawodowe?

Nic podobnego. BMG Group była czysta jak ręce Cimoszewicza.

- Swoją drogą, ciekawe, jak taka mała firma w ciągu kilku lat zdobyła tak dobrą pozycję na rynku - mrucał, ślęcząc nad dokumentami do późna w nocy. Głowa mu chwiała się, powieki ciążyły, aż wreszcie - jak co noc - zasypiał przy biurku, przytulony do rachunku zysków i strat.

Sen, niestety, nie przynosił wytchnienia. BMG Group prześladowała Adama również w objęciach Morfeusza.

Noc w noc śnił o tym, że chodzi po korytarzach biur BMG. Korytarze były puste i ciche, a w oknach przeglądał się księżyc. Ochroniarz drzemał przy pulpicie z ekranami monitorującymi obiekt, psy ujadły, a Adam szedł cicho, bezgłośnie. Przewodnikiem po siedzibie BMG Group, która w jego snach zyskiwała iście baśniowy koloryt, był biały królik - ten sam, który wprowadził do Krainy Czarów Alicję. Adam uwielbiał tę książkę, była to jedyna odskocznia pozwalająca choć na chwilę oderwać myśli od transakcji, nad którą pracował. Każdego wieczora starał się zajrzeć do baśni Carrolla chociaż na kilka minut. Stąd zapewne - tłumaczył sobie Niezgoda - królik.

Nie wiedział, kim była druga z postaci, której zarys, zdarzało się, widywał w snach, gdy przemierzał biura BMG. Ten drugi stał zawsze z boku, w cieniu, tak że Adam nigdy nie mógł przyjrzeć mu się dokładniej. Nie, wręcz przeciwnie. To on obserwował Niezgodę, spoglądał badawczo i, jak zdawało się Adamowi, bardzo krytycznie. Pojawiał się jedynie przez moment, na początku snu - po czym dematerializował się, przed odejściem uchylając dwornie kapelusza.

Budził lęk.

Królik, dla odmiany, nie znikał. Co więcej, okazywał się nadzwyczaj pożytecznym zwierzęciem - prowadził Adama sobie tylko znanymi drogami, omijającymi wszystkie zabezpieczenia, pokazywał szafy pełne dokumentów, zdradzał hasła do komputerów członków zarządu. Adam - we śnie - siadał każdej nocy przy biurku, czytał, robił notatki, kopiował. Informacji znajdował masę, a każda następna okazywała się bardziej istotna niż poprzednie. To były owe haczyki, o których marzył Adam, ba, nie haczyki, lecz haki, gorsze

od tych, na których powiesili Janosika. Niezgoda wiedział, że - i nareszcie! - znalazł rozwiązanie.

Po przebudzeniu, każdego ranka, okazywało się, że niczego nie pamięta.

Duszkciem dopił kawę. Poprzedniej nocy spał wyjątkowo źle i niespokojnie. Znów, jak zwykle ostatnimi czasy, spacerował po biurach BMG, znów odkrywał wyimaginowane tajemnice, lecz tym razem został zauważony. Emeryt-ochroniarz widocznie nie mógł zasnąć i wyjątkowo robił to, co powinien robić co wieczór - patrolował budynek. W pewnym momencie dostrzegł blade światło ekranu komputera, sączące się przez szparę w drzwiach do jednego z biur zarządu.

- Ktoś tam jest? - zawołał.

Adam zastanawiał się, jakiej odpowiedzi oczekiwał ochroniarz. Miał wstać i krzyknąć: „Tak, to ja. Pracuję dla konkurencji i przyszedłem wykraść tajemnice handlowe!”? Zamiast tego w pośpiechu zamknął przeglądane pliki i wczołgał się pod masywne, prezesowskie biurko z dębowego drewna. Komputera nie zdążył wyłączyć.

Ochroniarz wszedł do pokoju, rozejrzał się niepewnie.

- Kto tam? - krzyknął ponownie.

Snop światła przesunął się miarowo od ściany, przez niszczarkę, do szafy z segregatorami, dalej na biurko i znowu, w drugą stronę. Krok za krokiem, ochroniarz był coraz bliżej. Zaraz mnie znajdzie, pomyślał Adam. Zaraz stanie nade mną z tą cholerną lampą i wezwie policję. A ja - co zrobię? Przecież nie zaatakuję emeryta!

Poczuł, że koszulka, w której sypiał, robi się mokra od potu.

Nagle, tuż obok niego, znów pojawił się biały królik. Niezgoda zdziwił się, bowiem królik był tym razem mały, tak mały, że ochroniarz nie mógł dostrzec go z drugiej strony biurka. Naraz poczuł, że sam kurczy się do podobnych królikowi rozmiarów. Błat biurka oddalał się, a podłoga przybliżała z zawrotną prędkością. Adam krzyknął, ale z jego piersi wydobył się tylko nieśmiały, wąty pisk.

- Cholera jasna, szczury? - Ochroniarz zrobił kolejny krok.

Jeszcze chwila... pomyślał Adam i popatrzył w stronę królika.

Zwierzę - ubrane w piękną, kolorową kamizelkę - to spoglądało na Adama, to znów zerknęło na zegarek. Za nim zaś... Tak, najważniejsze było właśnie to, co za królikiem. Kolistą plama czerni. Niezgoda przez moment przyglądał się temu zjawisku i dopiero po chwili zrozumiał, że widzi wejście. Wejście do króliczej, bezdennie głębokiej nory.

Zaszurało odsuwane krzesło. Jeszcze krok, pomyślał Adam, a ochroniarz będzie po tej stronie biurka. Królik tymczasem wyglądał na wyraźnie zniecierpliwionego. Jego spojrzenie zdawało się wołać: „Idziesz czy nie?!“.

- Szlag by to - burczał ochroniarz.

Sapał ciężko, odsuwając meble. Niezgoda odwrócił głowę i dostrzegł cień, wielki jak góra. Również biurko z perspektywy Adama wyraźnie urosło, przypominając teraz sporych rozmiarów dom jednorodzinny. Olbrzym-ochroniarz zbliżał się nieubłaganie.

Adam podjął decyzję.

- Idę - rzucił w desperacji i wszedł w czerń tunelu, dokładnie w tej samej chwili, kiedy ochroniarz znalazł się po drugiej stronie kontenerka na akta.

Co za cholerny sen. Chory, cholerny sen, myślał Niezgoda. Obudził się w środku nocy, cały mokry i roztrzęsiony. Do rana nie zmrządził już oka i teraz, przed spotkaniem, czuł się wykończony.

Niespokojnie spojrzął w stronę wind. Przedstawiciele BMG się spóźniali.

I dobrze. Egzekucja trochę się przesunie.

Wyobraźnia podsuwała Adamowi obrazy Nowickiego wpadającego w furję po tym, jak druga strona zerwie negocjacje. Wiceprezes Marche słuchał rad psychologów, którzy doradzali mu, by nie tłumił negatywnych emocji. Nie tłumił ich więc. W furję wpadał często, bez skrępowania praktykował asertywność, rozumiejąc ją jako możliwość wyzycia się na pracownikach. Niezgoda dobrze pamiętał reakcję Nowickiego, kiedy Adrian Bloch, dyrektor jednego ze sklepów, wsiadł przez pomyłkę do windy przeznaczonej do wyłącznego użytku Nowickiego. Winda miała wyjście dokładnie w gabinecie wiceprezesa. Nieszczęsny dyrektor Bloch znalazł się tam, kiedy trwała jedna z tajnych narad w sprawie BMG.

Na widok nieco zdezorientowanego Blocha wysiadającego z windy Nowicki początkowo zachowywał powściągliwe milczenie. Nie trwało ono jednak zbyt długo.

- Won! - Z pozoru głos Nowickiego mógł wydawać się spokojny, ale ci, którzy znali wiceprezesa dłużej, wiedzieli, że taki sposób mówienia nie wróży dobrze.

Wyjdź, po prostu wyjdź, myślał Adam intensywnie, licząc, że dzięki wciąż nieodkrytym, pozostającym w sferze *urban legend*, właściwościom ludzkiego umysłu jego ostrzeżenia dotrą do Adriana. Nie drażnij go. Może mu przejdzie. Po prostu wyjdź. I broń Boże się nie odzywaj.

- Słucham? - spytał Bloch, dziwnie głuchy na telepatyczne przestrogi Adama. - Przepraszam, ale chyba pomyliłem windy.

- I to grubo - wycedził wiceprezes, wstając ze skórzanego fotela.

No to się doigrał, pomyślał Adam współczująco.

- Czy jesteś buldogiem francuskim? - Nowicki podszedł do Blocha i spojrzał na niego krytycznie.

- Buldogiem?

- Taki piesek z wylupiastymi oczami, krótkim ogonkiem i uszami jak u nietoperza, który obsikuje każdy fotel - syknął usłużnie Nowicki. - Jesteś buldogiem?

- Nie bardzo rozumiem - bąknął Bloch, mocno już zakłopotany.

- Skoro nie jesteś buldogiem, jakim pieprzonym prawem wsiadłeś, cholera, do windy? Do TEJ windy?

Adrian podrapał się w głowę. Pracuje w terenie, nie bywa w centrali, skonstatował Adam. Rzadko ma do czynienia z prezesem. Z przewodnikiem. Nie zna zwyczajów panujących w stadzie.

A zwyczaje były takie, że do windy po prawej stronie, tej, której wyjście znajdowało się w gabinecie Nowickiego, wstęp miał tylko wiceprezes i jego dwa koszmarne brzydkie buldogi francuskie. Psy były sławne na całą Polskę, zdobywały mnóstwo nagród na rozmaitych wystawach i stanowiły bodaj jedyną miłość wiceprezesa.

Pozostali pracownicy, do których Nowicki nie żywił innych uczuć prócz niechęci i podejrzliwości, byli z używania windy wykluczeni na zasadzie *gentlemen's agreement*. O ile, smutna refleksja sama nasunęła się Adamowi, Nowickiego można nazwać dżentelmenem.

- Więc spieprzaj! - Nowicki ryknął prosto do ucha Adriana, udowadniając, że istotnie, o żadnym *gentlemen's agreement* w jego wypadku mowy być nie może. Widząc zaś, że Adrian cofa się w kierunku windy, rzucił: - Schodami!

Adam zacisnął pięści. Robił to przy każdym spotkaniu z szefem - za każdym razem był to wyraz bezsilności. Niezgoda w takich chwilach z mściwą satysfakcją przypominał sobie o buldogach francuskich i ich wizycie w biurze jakieś pół roku wcześniej. Wówczas, kiedy Nowicki zdecydował się zabrać swoich czworonożnych pupili do biura, Marche odwiedził jeden z ważniejszych potencjalnych kontrahentów, szef sieci sklepów z ekskluzywną odzieżą, której Marche miało wynająć powierzchnie handlowe we wszystkich swoich marketach. Do uzgodnienia pozostawało wiele, lecz rozmowy zmierzały w dobrą stronę.

W trakcie negocjacji toczonych w gabinecie „Jego Wściekłości” (tym mianem pracownicy określali Nowickiego wtedy, kiedy byli pewni, że po pierwsze nie słyszy ich szef, po drugie - żaden z biurowych kapusiów), jeden z buldogów nagle się zbudził. Adam nie wiedział, czy był to August les Petits Arcyanges, wielokrotny zdobywca tytułu Best in Show (zdecydowanie bardziej pasowałby do niego tytuł Beast in Show), czy może Ikar Chevalier Młodszy, Interchampion, Champion Czech, Polski i Rosji. Zresztą dla przebiegu zdarzeń nie

miało to większego znaczenia. Pies wstał, wyłonił się zza ciemnego biurka, stylizowanego na XIX wiek, drobiąc krótkimi nóżkami, i spojrzał swymi smutnymi wylupiastymi oczyma na zaskoczonego szefa sieci sklepów z ekskluzywną odzieżą.

- Musimy być postrzegani jako marka elitarna, dlatego będę obstawał przy lokalizacjach w lepszych punktach. Gdyby jednak był pan łaskaw rozważyć obniżenie ceny... Na obecnie oferowane warunki przystać nie... - rozmówca Nowickiego zamilkł, widząc wpatrzony weń zwierzę.

Odruchowo poprawił apaszkę, przyglądził włosy. August les Petits Arcyanges względnie Ikar Chevalier Młodszy nie przejął się zbyt dystyngowanym gościem. Stanąwszy na środku pokoju, pierdnął głośno, po czym nabrudził na wykładzinę.

- Pan wybaczy... - Sieć sklepów z ekskluzywną odzieżą wstała od stołu, by nigdy więcej doń nie powrócić. - Chyba przyszedłem nie w porę.

Po tej dotkliwej porażce na kilka dni Nowicki ucichł i spokorniał, zwłaszcza że przez szklane ściany jego gabinetu zdarzenie oglądał cały dział księgowości. Plotki rozeszły się niczym ptasia grypa po kurniku. W Marche jednak nie było tego dobrego, co by na złe nie wyszło.

Długookresowy efekt wpadki sprowadzał się do tego, że upokorzony wiceprezes, kiedy tylko mógł, negocjacje i spotkania powierzał współpracownikom. Tak jak w wypadku BMG Group.

- Idą! - portier wykazał się refleksem, dzwoniąc na wewnętrzny numer do Adama.

Chwilę później odezwał się sygnał windy, z której wysiedli udziałowcy BMG Group, bracia Marcin i Michał Wiśniewscy. Nienagannie skrojone garnitury, drogie koszule, świetnie dobrane krawaty, w rękach czarne, wąskie aktówki. Wyższy z braci, Marcin, wysiadając z windy, krzyczał do komórki:

- ...kupę forsy, a wy przysyłacie emerytów?! Niech was szlag, jeśli nie zmienicie personelu, zrywamy umowę. Tak, zrywamy, dobrze pan słyszał. Mam się uspokoić? Niech pan nie żartuje, dobrze? Zadzwoń później, teraz jestem na spotkaniu.

- Jakież problemy? - Adam podszedł do przybyłych, wyciągając rękę na powitanie.

- Nic poważnego. Kłopoty z agencją, która ochrania nasze obiekty. Jeśli korzystacie z usług Cerbera, to, mówiąc szczerze, nie polecam. Żeby obniżyć koszty, przysyłają emerytów. Dziś w nocy ktoś próbował włamać się do naszych biur. Na szczęście niczego nie skradziono.

Salka konferencyjna, którą przygotowano na spotkanie, wyglądała ascetycznie. Lampy ukryte w suficie, brak ozdób na ścianach, meble proste i nierzucające się w oczy - metalowe krzesła obite kremową skórą i owalny stół podobnego koloru. Na stole pliki czystych kartek,

firmowe długopisy Marche. Obrazu dopełniał flip-chart i stojący w rogu stół z dwoma termosami („Tea” i „Coffee”). Po zamknięciu drzwi właśnie do stolika z napojami powędrował Michał Wiśniewski. Chwytał filiżankę, nalał sobie kawy i nie patrząc na Adama, zaczął:

- Szczerze mówiąc, jesteśmy rozczarowani.

- Nawet bardzo. - Marcin rozsiadł się wygodnie na krześle i huśtał delikatnie. - Bardzo rozczarowani. Cena, którą zaproponowano w ostatnim piśmie...

Robert Mlicki spuścił wzrok, udając, że po raz kolejny sprawdza dokumenty. Adam milczał.

- Jest, mówiąc eufemistycznie, bardzo oryginalna - dokończył drugi z braci. - Wiecie, że przedsiębiorstwo warte jest znacznie więcej. Robiliście przecież wyceny. Zresztą wcześniej mowa była o innych kwotach, prawda?

- Państwa spółka - Adam usiłował ratować sytuację nie do uratowania - potrzebuje dofinansowania. Dotarliście do granic możliwości rozwojowych. Bez zewnętrznego wsparcia BMG Group czeka stagnacja.

- Są inne źródła. - Marcin Wiśniewski nie przestawał kołysać się na krześle. - Kredyty bankowe na przykład. Inni oferenci. Kto powiedział, że musimy sprzedać udziały właśnie Marche?

- Wartość państwa spółki jest przeszacowana. - Adam czuł, jak wilgotnieją mu dłonie. Spotniałymi palcami wertował notatki, wreszcie znalazł właściwe wyliczenia. - Zawyżyliście wartość środków trwałych...

- O kilka procent, panie Niezgoda. Kilka procent, o których moglibyśmy dyskutować. - Wyższy z braci Wiśniewskich wciąż huśtał się na krześle i wciąż się uśmiechał, ale jego głos stwardniał wyraźnie. - Ale o czterdziestu procentach? Nie, o takiej obniżce nikt dyskutować nie będzie. Sześcioprocentowa bonifikata to wszystko, co pan od nas usłyszy.

- A jeśli my nie...

- Jeśli Marche takiej ceny nie zapłaci, trudno. Będziemy musieli się pożegnać.

Adam przeklinał w myślach Nowickiego. Nie trzeba być pieprzonym Nostradamusem, żeby przewidzieć ich decyzję.

A co ze mną?

...not to be?

Przełknął ślinę z miną europejskiego podróżnika, któremu tubylcy zaserwowali na kolację jądra pawiana i podsmażaną szarańczę. Robert mamrotał coś o szczegółowych postanowieniach umowy, ale Wiśniewscy machnęli na to ręką. Jeden z braci wymownie

spojrzał na zegarek kosztujący tyle, ile wynosiły półroczne dochody Adama. Atmosfera w salce zrobiła się gęsta jak grochówka w przydrożnych barach ozdobionych kawałkami siatki ochronnej brudnej od spalin.

- Mimo argumentów wskazanych w naszym ostatnim piśmie? - zapytał Niezgoda głosem suchym i pełnym beznadziei.

- Panie Adamie, niechże pan się nie kompromituje. Co to za argumenty? - prychnął Marcin Wiśniewski. - Nie ma pan innych?

Zapytany wstał nagle, jak gdyby blat stołu zaczął parzyć. Twarz mu poszarzała, wzrok zmętniał. Westchnął, odwrócił się do zgromadzonych plecami i wbił wzrok w okno.

Milczał.

Bracia Wiśniewscy mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Wiedzieli, że twarda postawa w negocjacjach daje efekty. Zdawali sobie sprawę, że szefostwu Marche zależy na transakcji. Niezgoda został więc postawiony pod ścianą - czy raczej pod oknem - i kalkulował, co zaproponować.

Adam oddychał nierówno, nie odzywał się. Przed oczyma miał ciemne plamy. Czuł, że serce bije w rytmie stroboskopu, jego ręce drżały. W głowie kotłowały się czarne wizje - wyrzucenie z pracy, komornik pukający do ich drzwi, eksmisja na bruk, Renata zmuszona do prostytucji, by pospłacać wszystkie zobowiązania... Poczłł uporczywy ból w skroniach, chwycił się za głowę.

Kątem oka zobaczył biały kształt. Obok niego zamajaczył cień. Niezgoda odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Jezu, mam urojenia, pomyślał rozpaczliwie. Cień tymczasem przybliżył się wyraźnie. Adam zamrugał...

Chwilę później oglądany przez panoramiczne okno Poznań wywinął kozła i wywrócił się na nice.

- Panie Adamie... - Wiśniewskich zaczynało niepokoić przedłużające się milczenie. - Coś nie tak? Nie jest dobrze, zmartwił się tymczasem Robert, patrząc w twarz kolegi. Niezgoda miał już takie odpały. Bach, i robił się szary jak obudowa komputera, oczy uciekały mu w głąb czaszki i odpływał. Mógł tak tkwić godzinami, bez ruchu. Prawnikowi przypomniał się jeden z wyjazdów integracyjnych w Góry Stołowe. Adam siedział przez całą noc na zewnątrz, bezmyślnie wpatrzony w drzewo rosnące przed hotelem. Wszyscy sądzili wówczas, że, jak wielu innych, pozwolił sobie na odrobinę luksusu i zamiast piwem, odurzył się narkotykami. Następnego dnia Niezgoda niczego nie pamiętał, ale zaprzeczał, by brał cokolwiek mocniejszego niż aspirynę.

Cholera, nie jest dobrze...

- Panie Adamie, czas nas goni - mruknął Wiśniewski.

- Czas... - powtórzył beznamiętnie Niezgoda, jak robot wyzuty z jakichkolwiek emocji. - Prast!

Jest bardzo źle, skonstatował Mlicki, jest megakurewsko źle.

- Słucham? - Marcin Wiśniewski powoli uniósł się z fotela.

Nie podobał mu się ton głosu Niezgody, nie rozumiał, o co chodzi, zaczynał tracić panowanie nad sytuacją. Na zdarzenia nieprzewidziane, na zachowania niezrozumiałe, których nie można ani pojąć, ani kontrolować, reagował Wiśniewski stereotypowo - irytacją.

Adam nie zwracał jednak uwagi na swoich kontrahentów. Odwrócił się od okna, spojrzął w prawo, pochylił głowę w stronę pojemnika na śmieci i wbił mętny wzrok w pustkę przed sobą. Przez chwilę kiwał głową i gestykulował, zupełnie jakby z kimś rozmawiał.

Właśnie, jakby.

Obok niego nikogo nie było.

- Chyba powinieneś już iść - rzucił Niezgoda przed siebie. Konfidencjonalny szept usłyszeli wszyscy zgromadzeni w salce. - Tak będzie lepiej. Jeszcze ktoś cię zobaczy...

- Do mnie mówisz, pęta? - Twarz wyższego Wiśniewskiego przybrała kolor sałaty lodowej, podczas gdy oblicze niższego barwą upodobniło się do modrej kapusty.

Co to za szopki, kłął w duchu Marcin, Marche powierzyło negocjacje pomyłce. Autentycznemu świrowi. Większość ludzi czuje się nieco nieswojo w obecności chorych psychicznie, ale dla Wiśniewskich, przeczulonych jak wielu nowobogackich na punkcie swojego honoru, zachowanie Adama nie było dyskomfortem - było zniewagą. Oznaczało brak szacunku z drugiej strony.

- Niech pan się idzie leczyć - wycedził, przyrzekając sobie w duchu, że jeszcze tego samego dnia doprowadzi do wyrzucenia Niezgody z pracy. - Żegnam.

Życie miało jednak sprawić Marciniowi Wiśniewskiemu wkrótce niejedną niespodziankę.

- Mam! - powiedział nagle Adam, spoglądając na właścicieli BMG Group wzrokiem nieco bardziej przytomnym.

Ci zatrzymali się dwa kroki przed drzwiami.

- Co takiego? - Michał, zwolennik połączenia obu firm, uniósł głowę.

- Mam inne argumenty - wyjaśnił Niezgoda. - Usiądźcie!

Mlicki zamrugał. To, że Adam zwracał się w sposób mało dyplomatyczny, choć było dziwne, wpisywało się jakoś w logikę sytuacji, którą Robert sprowadził do lapidarnego stwierdzenia: „Adamowi odjechało”. Naprawdę zastanawiało to, że Wiśniewscy, sekundę wcześniej śmiertelnie obrażeni, posłusznie wracają do negocjacyjnego stołu. W głosie Adama

brzmiał dziwny ton, który wykluczał jakikolwiek sprzeciw. Głos Niezgody hipnotyzował, skonstatował prawnik Marche. Niczym mowa I kaznodziei. Proroka.

- Raporty. - Adam chwycił plik papierów. - Analizy sytuacji BMG Group... Na papierze wygląda to pięknie, prawda? Ale - popatrzył w twarze Wiśniewskich - na papierze wszystkiego nie widać. Na przykład tego, że w waszych sklepach sprzedajecie przemycany ze Wschodu alkohol. Ani tego, że macie cichy układ z Meat-Corp. Odbieracie od nich przeterminowane wędliny, myjecie, metkujecie na nowo, płacicie grosze i wciskacie klientom jako promocję. Pięknie dbacie o polskiego konsumenta. Ciekawe, czy zainteresuje to prasę?

Robert przygryzł wargę. Teraz był już pewien. Adam oszalał. No, po prostu, wszystko mu się pomieszało. Nie ma biedak wszystkich w domu. To się skończy nie tylko zerwaniem negocjacji. To się skończy wyniszczającym procesem w sądzie, który Marche rzecz jasna przegra i zapłaci krociowe odszkodowania. A Adam oczywiście wyleci z pracy, dyscyplinarka murowana. Co za świr!

Świr tymczasem nie przestawał mówić:

- Od kilku dni nurtowało mnie pytanie: jak dokonaliście tego, że BMG w ciągu roku podwoiło obroty. No jak? Dlaczego macie tyle dużych, naprawdę dużych pojedynczych transakcji. Przecież markety to głównie detal. Kto normalny robi zakupy za sto czy dwieście tysięcy?

- Proszę nie kończyć - szepnął starszy z braci Wiśniewskich.

- Mafia. - Adam był nieubłagany. - Macie układ z mafią, która w ten sposób pierze pieniądze z prostytucji i handlu fetą. Całkiem niezłe jak na chlubę polskiego kapitalizmu. W tym świetle to, że nie płacicie pracownikom za nadgodziny, to betka.

Mlicki ze zdumieniem skonstatował, że Wiśniewscy cały czas siedzą przy stole. Mimo kubła pomyj wylanych na nich przez Adama, mimo steku bzdur, które przed momentem usłyszeli na swój temat, nie wyglądali na ludzi, którzy zamierzają zerwać negocjacje.

Wręcz przeciwnie.

A może - w głowie Roberta zakiełkowało dziwne podejrzenie - może to wszystko, o czym Adam mówił, to...

- Skąd pan o tym wie? - Michał Wiśniewski wyglądał na załamane. - Nikt do tych informacji nie ma dostępu. A ani ja, ani mój brat...

Niezgoda uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy tego dnia, poprawił krawat, strzepnął wymaginowany pyłek z garnituru.

- Powiedział mi... - zaczął, ale machnął ręką. - I tak, mi panowie nie uwierzą.

- To blef. Głupi blef. - Marcin Wiśniewski wciąż był w wojowniczym nastroju. - Nie będziemy słuchali obelg. Nie damy się zastraszyć.

- Nie? - Niezgoda wzruszył ramionami. - Znajdę inne audytorium. Myślałem o komendzie wojewódzkiej. Sprawdźmy...

Wyciągnął z kieszeni komórkę, ale nie zdążył wybrać numeru. Dłoń starszego z braci wylądowała na ręce Adama.

- Niech pan się nie unosi - syknął Marcin, mrużąc oczy. - Nie ma powodów do pośpiechu.

- Ależ są. Dziś musimy zakończyć negocjacje. Podpisać list intencyjny i porozumienie wstępne.

- Podpiszemy - zapewnił Wiśniewski głosem równie matowym, jak papier na swoich wizytówkach.

- Płacimy czterdzieści procent mniej? - upewnił się Adam.

Tamten tylko skinął głową.

- Jeśli pan chce, jeszcze dziś możemy jechać do notariusza - potwierdził Michał.

Kiedy wszystkie dokumenty były już podpisane i wychodzili z kancelarii notarialnej, jednej z wielu, ukrytych w gęstej sieci uliczek okalających Stary Rynek, Mlicki westchnął z podziwem.

- Aleś to rozegrał, stary. Mistrzostwo świata. Cool. Prawdziwy nokaut. Wiśniewscy leżą na deskach z twarzą przykrytą ręcznikiem i kwiczą. Ale dlaczego nie powiedziałeś wcześniej? Mnie mogłeś, gramy przecież w jednym teamie, co nie? I skąd miałeś te informacje?

Adam zamrugał.

- Jakie informacje? O co ci chodzi?

- No wiesz, te o szmuglowanej wódzie, mafii i nadgodzinach. To ich ugotowało. No ale skąd to wiedziałeś? Biały wywiad? Szpiegostwo przemysłowe? Włamałeś się do ich komputerów czy co?

Niezgoda nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami.

Ostatnie wspomnienie z pokoju konferencyjnego było dziwaczne - zobaczył białego królika ubranego w kolorową kamizelkę, za którym stał człowiek w cylindrze. Cylinder, choć miał wąskie rondo, rzucał cień, tak że Adam nie mógł dostrzec twarzy mężczyzny, który nachylił się do niego i powiedział coś cichym, znajomym głosem, po czym świat rozpląnął się w mrugnięciu powiek.

Jaka mafia, jaka woda, jakie przekręty z nadgodzinami?

Adam milczał, bo nie miał pojęcia, o czym Robert mówi.

Klucząc uliczkami starego miasta, Adam przeklinał, że dał się namówić na wypad do baru sushi. Tęsknie wypatrywał białego obrysu na chodniku. Niestety, wszystkie miejsca postojowe były zajęte. Jechał Wielką, mijając po drodze wydawnictwo Zysk i S-ka, skręcił w prawo, ale na Ślusarskiej nie można parkować, więc znów odbił w bok - tym razem w Dominikańską. Dostrzegł wreszcie wolną przestrzeń pod starą zniszczoną kamienicą, w której mieściły się kancelarie adwokackie. Dopiero kiedy się zatrzymał, zobaczył kilku mężczyzn, wcześniej zasłoniętych przez pień pobliskiego drzewa. Byli w trudnym do określenia wieku, twarze mieli jednakowo purpurowe i rzadki, niechlujny zarost. W dłoniach błyskały im butelki taniego wina.

- Popilnować autka? - propozycję nie do odrzucenia złożył najwyższy z nich, chuchając Adamowi prosto twarz smrodem najtańszych papierosów i przetrawionego alkoholu.

Niezgoda kiwnął głową i dał mężczyźnie dziesięć złotych.

- Byle mi tylko nie został draśnięty - warknął, i a zanim tamten zdążył odpowiedzieć, Adam zniknął już za zakrętem, biegnąc po bruku staromiejskich uliczek. Był już spóźniony, a nie znośił nie przychodzić na czas.

Idąc, zastanawiał się nad zdarzeniami w salce konferencyjnej. Czuł się nieswojo. Nie pamiętając szczegółów spotkania, odnosił bardzo nieprzyjemne wrażenie, że umysł płata mu figle. Musi, zdecydował, zobaczyć się z Romanem. Jak najszybciej.

Roman Głowacki. Jeden z nielicznych Adamowych kumpli, z którym Niezgoda nie stracił kontaktu mimo ciągłego braku czasu, był lekarzem. Psychiatrą. I jak każdy psychiatra budził wśród ludzi lęk.

- Oni to grzebać w mózgu potrafią - przedrzeźniał Głowacki statystycznych zjadaczy chleba. - Wiedzą, o czym myślisz... Ledwie do takiego podejdziesz, a już rozpozna odchylenia. Jest też inny powód, dla którego psychiatrzy wzbudzają lęk - już poważniej tłumaczył Roman przyczyny otaczającej psychiatrów niechęci. - Można chodzić do laryngologa, internisty, foniatry i zastępu innych medyków, ale słowo psychiatra wywołuje pośród tłumu szmer niepewności. Jeśli potrzebujesz psychiatry, to źle z tobą, bracie. Jesteś, delikatnie mówiąc, stuknięty. Czy też bardziej dosadnie - pojebany. No, nie patrz tak, ludzie naprawdę tak myślą!

Adam oburzał się na podobne słowa, ale w tym jego oburzeniu kryła się spora doza hipokryzji. Przecież sam czuł się w towarzystwie przyjaciela nieco mniej pewnie. Strach ów uśmierzał za pomocą różnego rodzaju trunków - a Roman, zdawało się, pił wszystko. To

chyba jeszcze pozostałość po czasach studenckich, kiedy dla oszczędności we dwójkę raczyli się przygotowywanym na bazie spirytusu nieobłożonym akcyzą aromatem do ciast.

I ja mam czelność wzdragać się przed żułami, którzy jak Pan Bóg przykazał upijają się tanimi winami, skarcił się w myślach, mijając pustą o tej porze „Charyzmę”.

Kilka dni wcześniej, przypomniał sobie, podczas wizyty u Romana znów pili jakieś wynalazki.

- Co to za cholerstwo? - pytał Niezgoda, ale Roman tylko uśmiechał się zagadkowo.

Adam ujął kieliszek. Ciecz była gęsta jak atmosfera w sejmie, gdy PiS robiło Giertycha wicepremierem i ministrem edukacji. Lekko seledynowy kolor i przyjemny aromat zachęcały do spożycia. Kieliszek wręcz krzyczał „wypij mnie”.

Więc wypił. Jednym haustem. Zakręciło mu się w głowie, a wtedy Roman wyjaśnił: - Wzbogacona piołunówka.

Czym wzbogacona, nie chciał powiedzieć. Adam zresztą nie nalegał. Rozsmakował się w niej tak bardzo, że do domu wracał taksówką. Nieprzytomny.

- Możesz spać u mnie. - Roman wykonał zapraszający gest ręką.

Jako stary kawaler miał do dyspozycji cały, zupełnie wygodny dom. Adam przez długi czas zachodził w głowę, w jaki sposób jego przyjaciela stać było na chatę w bardzo dobrej okolicy i to jeszcze bez kredytów. Podczas jednego ze spotkań przy chivas regal (stawiał wtedy Adam) mocno już pijany Głowacki wyjaśnił, że bogaci się dzięki „czarodziejskiemu stoliczkowi”.

- Czarodziejskiemu stoliczkowi? - Niezgoda zrobił minę, jakby zobaczył Yeti biesiadującego w towarzystwie potwora z Loch Ness.

- A tak - tłumaczył Roman, uśmiechając się chytrze. - Jestem, widzisz, w komisji ZUS-owskiej, orzekam o niepełnosprawności. Przychodzi zazwyczaj delikwent, na pierwszy rzut oka całkiem zdrowy gość, tyle że na bezrobociu, i próbuje mi wmówić, że jest chory psychicznie. Badam go przez chwilę, a kiedy widzę, że łże jak, nie przymierzając, łżeelity, mówię: „Panie, jesteś pan tak chory jak mój stolik czarodziejski”. I wychodzę. Kiedy wracam, okazuje się, że stolik faktycznie jest czarodziejski, bo leży na nim koperta z pieniędzmi. Pacjent mówi - to nie on. No, jeśli nie on - znaczy cud. Znaleźne biorę, no bo chyba mi się należy, pacjent przecież twierdzi, że nie jego.

- Rentę dostają? - dopytywał się Adam.

- Wiesz, słowo się rzekło. A ja danego słowa łamać nie lubię.

Jasne, kłął w myślach Adam, wcale a wcale. Ile już dziewczyn nabrałeś na tę gadkę, Roman? Nie lubisz łamać danego słowa? A nie przysięgałeś przypadkiem, że będziesz

uczciwy? Ty pieprzony stary kawalerze, oszuście i playboyu, pomagasz wyłudzać renty, żeby mieć pieniądze na dziewczyny i dobre samochody. Jeśli tacy jak ty funkcjonują bezkarnie, to nasze państwo naprawdę jest chore.

Chory czuł się jednak również Adam, a w tej sytuacji, stwierdzał, wszystkie moralne zastrzeżenia, jakie miał do postępowania Romana, blakły jak chińskie T-shirty na słońcu. Muszę do niego zadzwonić, pomyślał Niezgoda, przekraczając próg baru sushi.

Wszedł do większej salki, w której siedziało się przy elipsoidalnej ladzie. Wewnątrz elipsy była pusta przestrzeń - tam pracował kucharz, serwując jedzenie klientom. Kilku ciekawskich patrzyło uważnie, jak z niewielu produktów powstają arcydzieła sztuki kulinarnej. Kiedy już ryżowo-rybne roladki przygotowano i pokrojono, barman-kucharz nakładał je na gliniane tacki, a te następnie na drewniane łożeczki z kwiatem orchidei na dziobie, pływające w rynience wydrążonej w ladzie. Gdy któryś z gości chciał poczęstować się sushi, czekał, aż wybrana porcja przypłynie prosto pod jego nos i zdejmował talerzyk z łożeczki. Kelner w tej sytuacji miał niewiele pracy - donosił tylko napoje i licząc opróżnione talerzyki, informował o wysokości rachunku.

- Już zaczęli - mruknął Adam, spostrzegając kilka pustych talerzyków, stojących przed znajomymi z pracy.

- Sake? - zaproponował kelner, nim Adam zdążył dosięść się do pozostałych.

- Herbatę - odburknął, po raz kolejny żałując, że do podpoznańskiej wioski, w której się wybudował, musi dojeżdżać samochodem.

- O, idzie nasz Copperfield - zadudnił Mlicki i pozdrowił Adama pustą czarką po sake.

Zanim Adam usiadł, zadzwonił telefon.

- Znowu... - jęknął Niezgoda, odbierając połączenie. To była jego współpracownica. Dzwoniła z urlopu, właśnie wysłała Adamowi zaległe dane. Oczywiście dobrze byłoby, gdyby zdążył jeszcze dziś zerknąć na te pliki, ocenić je, ewentualnie przesłać uwagi, bo Iza jutro po dwunastej wylatywała do Indii. W hotelu, tak się nieprzypadkowo składało, nie będzie miała dostępu do Internetu. Dlatego, sam rozumiesz, Adam...

Rozumiał doskonale - jeśli nie chce robić wszystkiego sam, musi odezwać się do Izy w ciągu paru godzin.

Trzymając telefon lewą dłonią przy uchu, prawą witał się z kolegami. Oni skończyli na dziś pracę. Mlicki aż kraśniał z zadowolenia, grzejąc się w blasku Adamowego sukcesu. Ściągał talerzyki z łożeczek, jeden za drugim, pospiesznie maczał krążki sushi w wasabi, nakładał na nie liść imbiru, do tego jeszcze sos sojowy - i w mgnieniu oka cała porcja niknęła w przepastnych lochach układu pokarmowego Roberta. Obok Mlickiego siedział Bogdan

Matura, kadrowiec, zadowolony z siebie w prawie takim samym stopniu co prawnik. Miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku, bo po raz kolejny udało mu się udaremnić próbę założenia w Marche związku zawodowego. Było to nadzwyczaj proste

- Matura wyrzucił na bruk okazałą grupę pracowników podejrzanych o owe zbrodnicze zamiary.

Tylko ja, cholera, cały czas pracuję, pomyślał Adam, siadając na wysokim krześle przy barze. Tylko... Telefon zadzwonił ponownie. - Cześć, Adaś. - To była sekretarka Nowickiego.

- Ci z BGM przysłali właśnie jakieś dokumenty. Cały cholerny segregator. Nie, nie e-mailem, faksem. Wiesz, ja właśnie wychodzę z pracy, nie zdążę ci tego zeskanować. Gdybyś chciał się z tym zapoznać - zostawiam u ciebie na biurku. Pa.

Rozłączyła się.

- Pa - burknął z rezygnacją do głuchej słuchawki.

- Brak czasu, co? - Kadrowiec porozumiewawczo zmrużył oko. - Zapewne źle organizujesz sobie pracę.

Zapewne, pomyślał Adam. Tak brzmiało ulubione uzasadnienie Matury wpisywane do każdego wypowiedzenia: „Poprzez złą organizację czasu pracy, efektywność pracy oraz jakość jej wykonania spadły. Spółka nie widzi żadnych szans na poprawę tej sytuacji”. Bla, bla, bla - cały Marche znał ten tekst na pamięć i cały Marche przed nim drżał.

Gdybyś miał tyle pracy co ja, w głowie Adama zakiełkowała cięta riposta, której nie zdążył zwerbalizować, bo telefony odezwały się znowu. Dwa naraz - służbowy i prywatny.

- Kochanie, ja muszę jeszcze do biura... - zaczął się tłumaczyć, kiedy usłyszał Renatę. W tle cały czas pobrzmiwał *Imperial March* wygrywany przez telefon służbowy. - Idziesz do przyjaciółki? Jasne. Mam drugi telefon, muszę kończyć.

Kiedy żona się rozłączyła, *Imperial March* ucichł. Adam popatrzył na wyświetlacz - numer zastrzeżony. Odetchnął zadowolony, że nie musi oddzwaniać, i wepchnął sobie pierwszą porcję sushi do ust.

Tam tam tadam, tam tadam tam tadam - służbowa komórka ponownie odezwała się melodią z *Gwiezdných wojen*. Niezgoda trzymał w jednej dłoni filiżankę z herbatą, w drugiej miał pałeczki, pomiędzy którymi zawisł następny krążek sushi. Komórka podskakiwała w rytm melodii, zamknięta w kieszeni marynarki. Adam spojrział w lewo, w prawo, wzrokiem zaszczutej zwierzyny, oczekującej skądś pomocy. Zjeść, cholera, chciałbym tylko zjeść w spokoju.

Odłożył sushi na talerz i sięgnął po komórkę.

- Pierdolę - warknął wściekły, po czym zdał sobie sprawę, że powiedział to do telefonu. Zbladł.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Złowroga, pomyślał Adam, widząc, że rozmówca o zastrzeżonym numerze wcale się nie rozłączył. To nie wróżyło niczego dobrego.

- Nie jest to powitanie, o którym bym marzył. Głos Nowickiego nieco zmieniony przez komórkę nie brzmiał tak nieprzyjemnie jak w rzeczywistości. Mimo to ze słuchawki wiało chłodem na tyle dojmującym, że Adam przez moment zastanawiał się, czy nie zamarznie mu herbata w filiżance. Nadciąga powietrze arktyczne, temperatury spadną do minus trzydziestu stopni Celsjusza. Prosimy nie wychodzić bez czapki i kożucha.

- Zrealizował pan zadanie, więc wybaczę to dziwne słowo. Puszczam w niepamięć. Jestem dziś łaskawy, zasłużył pan.

Niezgoda zaczął się nieporadnie tłumaczyć, ale szef przerwał mu obcesowo:

- Chcę mieć na jutro dokładny raport z negocjacji. I drugi na temat tych dokumentów, które przysłali. Pani Magda mnie poinformowała.

Ty mała zdiro, pomyślał z rozpaczą Adam, musiałaś mu mówić? Nie mogłaś poczekać do jutra? Nie wyjdę z pracy do północy.

- Na jedenastą rano. - To był ostatni gwóźdź do trumny.

- Cholera! - krzyknął Adam, kryjąc komórkę na powrót w kieszeni marynarki.

Kilkoro gości zerknęło na niego z obawą. Zawstydzony pochylił głowę.

- Co jest? - zapytał Mlicki, cały czerwony od sake i kilkunastu porcji sushi.

- Są chwile, kiedy człowiek chciałby, żeby czas nie istniał. - Adam mówił cicho i bezbarwnie, głosem człowieka, który dociera do kresu. - Albo, jeszcze lepiej, żeby można się było z nim dogadać. Na przykład w ten sposób, by cofnął się o pół dnia - zrobiłbym wtedy wszystko, co potrzeba. A tak - kolejna noc zarwana. Żona narzeka, że dom to dla mnie tylko sypialnia. Jeśli tak dalej będzie wyglądało moje życie, wyrzuci mnie albo wyprowadzi się do mamy. Jak Lubawa.

Zamilkł i uniósł do ust filiżankę, stwierdzając, że Bogu dziękować, japońska herbata, mimo arktycznego chłodu wiejącego od słuchawki, nie zbryliła się w lód. Spojrzał na niemal czarny napój. Coś mu przypominał. W pierwszej chwili nie wiedział, co, ale szybko uświadomił sobie, że podobny mrok widział we śnie.

Królicza nora.

W barze nagle pociemniało i ścichło, nawet purpurowa twarz Mlickiego traciła, zda się, barwy. Z odmętów czarnej herbaty wychynęła sylwetka białego królika. Jednocześnie na skraju pola widzenia zamajaczył cień. Człowiek w kapeluszu.

Adam zadrzał.

Królik dawał Adamowi niecierpliwe znaki. Chce, żebym poszedł za nim, zrozumiał Niezgoda. Tylko jak?

Człowiek w kapeluszu był coraz bliżej. Adam poczuł za plecami zapach cygar i chivas regal. Poczul też - znacznie mocniej - strach.

No, dobrze, zdecydował, idę.

Zanurkował za królikiem w czerni.

Dalsza część majaku - bo jakaś część Adamowej świadomości pojmowała przecież, że to tylko przywidzenie - działa się w pomieszczeniach biurowych Marche. Adam uwijał się jak w ukropie, załatwiając wszystkie sprawy, jakie spłynęły w ciągu popołudnia. Odpowiedział na kilkanaście bardzo ważnych maili, przejrzał kalkulacje przesłane przez Izę i zaznaczył, co jeszcze trzeba zmienić, wreszcie zapoznał się z dokumentami, które trafiły z BMG Group i - z niezwykłą łatwością - sporządził raport dla Nowickiego. Po biurze krzątała się gromada sprzątaczek, które zdawały się Adama nie zauważać. Najdziwniejsze jednak były zegary.

Zegary wyczyniały cuda.

Siedząc przed komputerem, zerkał od czasu do czasu na prawy dolny róg ekranu. Komputerowy chronometr zastanawiająco długo stał w miejscu, potem ruszył, leniwie i ospale, na podobieństwo Tuwimowej *Lokomotywy*. Ruszył tylko po to, by cofnąć się do momentu wyjścia. I tak w kółko. Adam sądził początkowo, że to jakaś awaria, lecz zegar wiszący na ścianie zachowywał się identycznie. Podobnie jak luksusowy Casio na Adamowym nadgarstku.

Wciąż było za dwie dziewiętnasta.

- Adam, Adam - poczuł, że ktoś szarpie go za ramię.

W pierwszej chwili chciał obcesowo odmachnąć, ale zapanował nad odruchem. Zamrugął.

- Adam - usłyszał tubalny głos Mlickiego. - Ty się, chłopie, dobrze czujesz? Jesteś równie błąd jak pojęcie Nowickiego o zarządzaniu.

Niezgoda zdał sobie sprawę, że wpatruje się w tarczę zegarka.

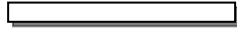
Za dwie dziewiętnasta.

- W porządku. Rozmarzyłem się - odparł zmieszany i wrócił do posiłku.

Przez dalszą część wieczoru starał się nie zwracać na siebie uwagi pozostałych, lecz wciąż był roztrzęsiony. Stanowczo musi zadzwonić do Romana. Poczul, że jego własny umysł buntuje się przeciwko właścicielowi coraz bardziej i dlatego zdecydował, że dziś nie pojedzie

już do biura, a wszystkie sprawy załatwi jutro rano.- Jestem przemęczony. Jestem chory - szepnął, zwieszając głowę nad porcelanową filiżanką.

- Wcale nie! - odparł smok wymalowany na japońskiej ścianie czarki, parszkając, strosząc skrzydła i spoglądając na Niezgodę z wyraźną dezaprobatą.



Kiedy Adam przebijał się do domu, lawirując pomiędzy dziurami w asfalcie, jego telefon po raz kolejny przypominał o swoim istnieniu. Iza. Przysłała SMS-a.

- Czego ona znowu chce? - jęknął, otwierając wiadomość.

Stanął w korku, zatrzymany przez światła ronda Rataje. „Thnx za szybką reakcję”, pisała. „Poprawiłam tak, jak chciałeś, i wysyłam”.

- Kurwa! - powiedział głucho, czując zimny pot na skroniach. - O kurwa!

Ruszył z piskiem, kiedy tylko zabłysło zielone. Objechał rondo dookoła, zawracając w stronę biurowca Marche. Po kilku minutach był już na podziemnym parkingu. Kiedy wysiadł z samochodu, spostrzegł, że ochroniarz przygląda mu się z zaciekawieniem.

- Zapomniał pan czegoś? - spytał pracownik agencji ochrony „Ośmiornica”.

- Zapomniałem? Nie, dlaczego...

- Tak tylko pomyślałem - bąknął nieco speszony ochroniarz. - Wychodził pan przecież ledwie dziesięć minut temu.

Adam poczuł, że robi mu się słabo.

3

Jadąc przez ciemny las, Adam bawił się przypuszczeniem, iż żyje w ontologicznym rozkroku, w dwóch światach naraz. Zwykle, gdy wracał nocą do domu, a wracał nocą nawet podczas letniego przesilenia, las wydawał mu się przerażający. Mroczny. Słabością Adama były bowiem tanie horrory.

Tego dnia las wyglądał na to, czym był w istocie - na las właśnie, nic ponadto. A złowroga otoczka, którą wcześniej sobie stworzył, złoczyńcy, owe wilki, olbrzymie sowy i inna menażeria nawiedzająca Adamowe powroty do domu, zdała się odpustowym diabłem, plastikowym straszylem ze straganu. Dziś w nocy Niezgoda nie wyobrażał sobie szarżującego nań dzika czy czających się za grubym pniem sosny zbiegłych więźniów, nie przerażało go bliżej niezidentyfikowane skrzydlate stworzenie, które łopotało nad samochodem.

Miał poważniejsze problemy.

Rozważając swoją sytuację, doszedł do dwóch wniosków - i każdy z nich był równie przerażający. Pierwsza możliwość zdecydowanie bardziej przemawiała do Adama. Otóż, tłumaczył sobie młody finansista, jestem chory psychicznie.

- Jestem chory psychicznie - powtórzył na głos i zdziwił się, jak łatwo przyszło mu zaakceptowanie tej oczywistej prawdy.

Myśl, iż jest obłąkany, pozwalała mu zachować resztki zdrowego rozsądku - i to był straszny paradoks położenia Adama. Gdyby bowiem przyjął drugą możliwość, to rzecz pewna postradałby zmysły zupełnie i nieodwołalnie. Nie odważył się o niej mówić głośno. To była myśl, którą starał się, jak tylko mógł, odsunąć od siebie, wyprzec z umysłu.

Bezskutecznie.

- To nie może być prawda! - wydarł się na całe gardło, waląc pięścią w kierownicę.

Zahamował gwałtownie, skręcając w wąską dróżkę, w której więcej było dziur niż asfaltu. Jeszcze dwieście metrów i stał pod domem. Cicho zatrzymał się przed garażem.

Oto, pomyślał, wysiadając z samochodu, moja kieszonkowa Arkadia. Moje schronienie. Moja ucieczka z mroków miasta. Lecz to nie przed miastem powinienem uciekać. Miasto nie ma wyłączności na zło i niepokój.

To wszystko dzieje się w mojej głowie.

Trzasnął drzwiami od garażu, a chwilę później firanka w oknie kuchni poruszyła się. Renata, ucieszył się. Czeka na mnie.

Zaraz pojawiła się jednak myśl mniej przyjemna, co przyjął za kolejny dowód, że jego świadomość rozłupana jest na pół niby toporem. Problem w tym, że nie wiedział, której z tych połówek ufać. Zwłaszcza że ta, którą miał za chorą, podsuwała obrazy często rzeczywiste do bólu, rzekłbyś, hiperrealistyczne.

Kiedy więc romantyczna połówka szeptała Adamowi, że firankę poruszyła dłoń stęsknionej żony, połówka mroczna i podejrzliwa kontrowała, iż była to dłoń żony, prawda, lecz nie stęsknionej, ale złąknionej. Złąknionej, że Adam spostrzeże postać, która przeciskała się przez okno wychodzące na las, po drugiej stronie domu. Że Adam dojrzy skryty pośród sosen samochód. Że zauważy chaos, który zapanował na nocnym stoliku. Że pościel wyda się Niezgodzie dziwnie pognieciona i skotłowana, a oczy Renaty niechętnie i zimne.

Potrząsnął głową w proteście, bezsilnym, bo oto znów doznał tego przytłaczającego uczucia, że staje się kimś innym, że patrzy oczyma bezimiennego człowieka w kapeluszu, że dusza - w której istnienie, nawiasem mówiąc, Adam mocno powątpiewał - oddziela się od ciała i wędruje na drugą stronę domu tylko po to, by zobaczyć, iż przez okno sypialni ktoś wyskakuje, że ów ktoś w pośpiechu zapina koszulę i biegnie w stronę lasu. Adam słyszał

oddech uciekiniera i śledził go bez wysiłku - bo przecież stanowił podówczas byt niematerialny. Wreszcie, niepomny swej bezcielesności, podstawił zbiegowi nogę, a ten, o dziwo, runął na gałęzie, klnąc tak dosadnie, że najbardziej wulgarny z szewców z wrażenia upuściłby swe narzędzia.

- Adam, jak ty wyglądasz.

Renata stanęła przy nim z latarką, przypatrując się badawczo twarzy swego męża. Czarna wielka kula futra precyzyjnie się pomiędzy nią a drzwiami i zvaliła na przybyłego. Cezar, półtoraroczny nowofundland, szalał z radości na widok swego pana.

- ...dasz - powtórzył głucho Adam. - Wyglądasz. Wygadasz. Wyga. Gdzie on jest?

- Adam - w oczach Renaty pojawiło się zdziwienie - o co ci chodzi?

- Chodzi? Jeździ? Biega? Ten, który był u ciebie...

- Piłeś? - spytała ostro.

Adam, rzecz jasna, miał swoje słabości, hołdował jednak zarazem kilku żelaznym zasadom. Jedną z nich było powstrzymywanie się od alkoholu, gdy musiał kierować samochodem. Trasa, którą wracał do domu, była zbyt obstawiana patrolami policyjnymi.

Renata prychnęła, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

- Nikogo u mnie nie było! Kto miał zresztą być? Wszystkie moje koleżanki mieszkają w Poznaniu. Nie przyjadą w odwiedziny. Można zwariować na tym cholernym pustkowiu!

- Nie chodziło mi o koleżanki - powiedział Adam, powoli przytomniejąc. - Mówiłem o mężczyźnie.

Wiedział, że to co mówi, było głupie. Nie miał żadnych, naprawdę żadnych powodów, by podejrzewać Renatę o niewierność. Na dodatek zdawał sobie sprawę, że tego typu oskarżenia brała ona za ciężką obrazę. Mimo to nie potrafił powstrzymać słów.

To ta druga półkula, usprawiedliwił się, w tej samej chwili czując piekący ból. Renata spoliczkowała go zamasyście.

- Świnia! - krzyknęła, a Adam, dziwnie nieczuły, pomyślał tylko, że powinna zostać śpiewaczką. Taka skala głosu. Marnuje się w tej szkole. - O której wracasz?! - zaszlochała. - Czekałam godzinami, siedzę sama i jeszcze... jeszcze to. Jesteś podły!

Gratulacje, stary, pomyślał, odzyskując nad sobą kontrolę. Szczera rozmowa, o której marzył, nie wchodziła teraz w grę. Renata płakała i patrzyła na niego z wyrzutem. A tak chciał się komuś zwierzyć!

Gratulacje.

Uciekła przed nim, ocierając dłonią mokre oczy.

Pobiegł za żoną do domu, ale ona zdążyła już zamknąć się w sypialni i nie reagowała na przeprosiny.

Pomyślał, że wcale tak nie musiało być. Cholera, wcale nie musiało tak być.

Kiedyś, zaraz po studiach, żyli marzeniami. On chciał zostać scenarzystą - posyłał wszędzie swoje scenariusze pisane podczas bezsennych nocy w mieszkaniu studenckim. Ba, miał nawet jakiś odzew. Komuś się nawet spodobało. Renata z kolei śniła o życiu tak bliskim natury, jak tylko to było możliwe. Oboje zgadzali się co do tego, że kiedy tylko skończą studia na Akademii Ekonomicznej, porzucą miejskie życie, wyprowadzając się w góry.

- Powinno nam starczyć - powtarzała Renata, ołówkiem na kartce papieru budując schronisko w Beskidzie Żywieckim.

A Adam nie protestował.

- Starczy mi komputer, na którym odpalę najstarszego Worda - śmiał się, obracając w palcach nielegalnie skopiowaną płytę.

Kiedy absolutorium się zbliżało, im ubywało odwagi, a przybywało wątpliwości.

- Chyba nie będziesz usługiwać obcym! Prać, gotować, nadskakiwać! Zwariowałaś?

Słyszac słowa przyszłej teściowej, Adam zapragnął zrealizować wszystkie możliwe kawały o teściowych, a przynajmniej jeden z nich.

Ten z siekierą.

- A z czego tam, w tych waszych górach, będziecie żyli? - dodawał z kolei ojciec Niezgody, patrząc na młodych z miną dobrotliwego nauczyciela, przed którym stanęło dwoje uczniów z klasy specjalnej.

Ze scenariuszy? Nie, tego Adam nie odważył się powiedzieć. Nie chciał, by ojciec zabił go śmiechem.

Zwłaszcza przy Renacie.

Zamiast schroniska było więc ciasne mieszkanie w Poznaniu na brzydkim piątkowskim osiedlu, pełnym agencji towarzyskich i złodziei samochodów. Zamiast górskich szlaków - ścieżka kariery. Zamiast pisania scenariuszy - pierwsza praca w dziale kontrolingu sporej firmy, handlującej materiałami budowlanymi. Jakże oboje się cieszyli, kiedy wreszcie, po dwudziestej z kolei rozmowie kwalifikacyjnej, zadzwonił telefon.

- Zupełnie jakby krowa cieszyła się, widząc bramy rzeźni - rzucił przez zęby. Choć z perspektywy czasu praca w AI-budzie nie wydawała się taka zła. Wracał przynajmniej o rozsądnych porach do domu. Miał czas dla Renaty. I na pisanie scenariuszy. Gdyby tylko płacili więcej...

- Człowiek w twoim wieku i z takimi kwalifikacjami nie może zarabiać trzech tysięcy. - Matka Renaty miała nieprzyjemny zwyczaj pouczania go w takich sytuacjach, w których nie mógł zareagować, na przykład podczas jej imienin. Zacisnął więc tylko pięści. Szósty zmysł podpowiadał, że to nie był koniec. I rzeczywiście. - Brutto - dokończyła teściowa (wtedy byli już z Renatą po ślubie).

Owo „brutto” zabrzmiało niczym najgorsza obelga. Zaboląło.

To wtedy właśnie postanowił udowodnić całemu światu, że jednak potrafi. Kariera w biznesie? Nie, mnie to nie interesuje, powtarzał. OK, jeśli tylko bym chciał - to nie problem, ale ja mam inne priorytety. Przyszedł więc czas, że chciał. Rzucił się w wir pracy. I utonął.

Bydło, pomyślał. Bramy rzeźni.

Wysłał jeden, jedyny list motywacyjny. Do Marche. Czekał na telefon.

Komórka tego dnia zadzwoniła dwukrotnie. Pierwszy telefon był z centrali Marche. Tak, oczywiście, jesteśmy zainteresowani. Chcemy pana widzieć u siebie. Warunki finansowe? Ależ to nie jest żaden kłopot. Tak, akceptujemy. Musi być pan u nas za dwa tygodnie.

Czuł wtedy, że rozpiera go energia. Ścisnął komórkę z taką mocą, że pękła obudowa. W tym samym momencie telefon zadzwonił po raz drugi.

- Pan Niezgoda? - Głos w słuchawce brzmiał nieco bełkotliwie. W taki sposób mówią ludzie na lekkim rauszu, skojarzył Adam. Bardzo celnie. - Wpadł mi w ręce pański scenariusz. Niezły, naprawdę niezły. Ja bym go chciał wziąć. Widzi pan, tylko on, ten scenariusz, potrzebuje poprawek. Wyrobi się pan w półtora miesiąca?

Adam wiedział, że nie. Zmiana pracy absorbowała, a reżyser chciał przerobić pół scenariusza. Mimo to odpowiedział:

- Oczywiście.

Nie można powiedzieć, próbował. Nie dosypiał, nocami ślęcząc nad swoim dziełem. Pisał jak oszalały. W połowie wyznaczonego przez reżysera okresu pomyślał nawet, pozwalając sobie na luksus optymizmu, że może, może...

Potem jednak nastąpiły dwa mordercze tygodnie w pracy i scenariusz poszedł w odstawkę. Reżyser, nietrudno zgadnąć, wściekł się.- I to by było na tyle - powiedział pewnego razu Adam, patrząc w lustro.

Tak skończyła się jego kariera filmowca.

Od tamtej pory bez reszty poświęcił się pracy. Postawił wszystko na jedną kartę, spalił wszystkie mosty - i przez pewien czas wydawało mu się, że wygrał. Niosła go każda fala, awansował, zarabiał coraz więcej, na tyle dobrze, że stać ich było na atrapę wymarzonego górskiego schroniska - przenieśli się do domku pod lasem.

Tak, przez pewien czas Adam myślał, że wygrał. Dopóki nie zaczął dostrzegać, jaką cenę płaci za sukces. Ale wtedy było zbyt późno, by się wycofać. Miękkie kajdany systemu - kredyt do spłacenia, pozycja społeczna, przyzwyczajenie, by jadać poza domem, wycieczki zagraniczne - trzymały zbyt dobrze. Zniewolony umysł, myślał nieraz. Klatka miła, fakt, ale mimo wszystko klatka. Były chwile, że chciał zostać anarchista tak jak kumpel z czasów studenckich, który mieszkał na „skłocie”, pojawiał się na każdej demonstracji, aby ciskać tortami we wszystkich polityków, jacy przyjeżdżali do Poznania.

Oczywiście to były tylko rojenia, których nie miał zamiaru realizować. Jednak wypalenie zawodowe bezlitośnie dawało o sobie znać.

- Wypalenie - rzekł, patrząc na zatrzaśnięte drzwi sypialni, zza których wciąż dobiegał szloch. Westchnął. - Powiniennem zwolnić.

Był na siebie wściekły. Rozumiał, że jego umysłowe aberracje mogą zaszkodzić temu, co z mozołem próbował budować. Niełatwo w tych czasach o szczęśliwe małżeństwa. Adam uznał z bólem, że jego związek nie należał do chlubnych wyjątków.

Pocieszyciel (a może raczej kusiciel) zjawił się w mgnieniu oka. Wykwitł jak kwiat cienia, jak eksplozja czerni, jak chmura cygarowego dymu i oparów chivas regal. W sposób dla siebie charakterystyczny krył się na skraju pola widzenia. Niemniej podsuwał pomysły. Siał wątpliwości. Adam doszedł do wniosku, że to musi być szatan.

Zamknęła się, myślał za Adama cień w kapeluszu, ukryła przed tobą. Płacze? A może wcale nie? Może to tylko przedstawienie, sprytna gra, która pozwoli na usunięcie wszystkich śladów małżeńskiej zdrady? Krząta się teraz, w pośpiechu zmieniając pościel. Ciekawe, co zrobi z prezerwatywą?

- Odejdź - jęknął Adam.

Siewca wątpliwości zarechotał, a Adamowe myśli pognały dalej, brudnymi koleinami wytyczonymi przez złowrogą plamę, którą mógł dostrzec tylko widzeniem obwodowym.

- To niesprawiedliwe - szepnął w stronę cienia. - Jesteś cholernym, niesprawiedliwym głupcem.

Długą część nocy spędził pod drzwiami sypialni Renaty. Co jakiś czas słyszał dobiegający stamtąd szloch. Wreszcie, gdy było już dobrze po północy, zasiadł w fotelu. Nalał pół szklanki whisky, włączył energooszczędną żarówkę i sięgnął z półki po *Alicję w Krainie Czarów*. Zanurzył się w spokojny dziecięcy świat, świat dziwów, pięknych, staroświeckich ilustracji i niesamowitych krajobrazów, jakie rysowała jego imaginacja.

Gdyby tak można było uciec. Tak jak ona.

Zasnął, gdy Alicja zbliżała się do domostwa Marcowego Zająca.

Rankiem, mówi się, umysł bywa jaśniejszy, lepiej funkcjonuje. Rankiem ostrość widzenia jest lepsza. Tak dobra, że można dostrzec prawdę. Te oklepane stwierdzenia miały, jak pojął Adam, swoje uzasadnienie. Ledwie wszedł do biura, a - rozejrzawszy się po tych nielicznych, którzy pojawili się przed nim - dostrzegł prawdę.

Ta zaś - jak zwykle - była niewesoła.

Sukces - to inny z komunałów - ma wielu ojców. W wypadku transakcji pomiędzy Marche a BGM Group reguła ta bynajmniej się nie sprawdzała. Adam szybko i doszedł do wniosku, że jego sukces był sierotą. Miał za to wielu ginekologów. Każdy z nich chciał dokonać aborcji.

Kiedy po wstukaniu kodu Niezgoda pchnął szklane drzwi, wydało mu się, że sekretarka patrzy na niego jakoś dziwnie. To jednak nie był jeszcze powód do wielkich zmartwień. Adam, wypoczęty po nocy, podczas której, co zaskakujące, nie męczyły go koszmary, maszerował korytarzem. Raz dwa, raz dwa, oto krok dobrego żołnierza kapitalizmu. Nie rozumiał fenomenu, który pozwolił mu odnieść sukces, nie przeszkadzało mu to jednak czuć rozpierającej go dumy. Czuł się diablo dumny.

Miał do tego prawo!

Szedł więc przez biuro, a dookoła niego rozlegały się szmery. Widział, jak Kasia z księgowości na jego widok przystaje, robi krok do tyłu, nachyla się do koleżanki, jak unoszą głowy, jak zwężają im się oczy. Kątem oka dostrzegał złe spojrzenie podarowane mu przez Marcina z kontrolingu, który tylko z powierzchowności nie przypominał bazyliuszka. Mateusz, stojąc przy kserze, demonstracyjnie pokazał Niezgodzie plecy i nową koszulę od Pierre'a Cardina, ale Adam tylko się uśmiechnął.

Zazdroścżą, pomyślał.

Spojrzenie Zbyszka...

Spojrzenie Zbyszka było tak sympatyczne, że musiało być fałszywe.

Zbyszek był biurową inkarnacją Mrozkowskiego Edka. O ile każdy inny, nawet najbardziej zanurzony w korporacyjnej rzeczywistości pracownik, brał swoje funkcjonowanie w firmie w nawias, patrzył na swą pracę poprzez pryzmat tego, kim był w życiu prywatnym, to Zbyszek wczuwał się w rolę do imentu. Zresztą nie, on nie wczuwał się w rolę, on z ową rolą społeczną zespałał się i zrastał tak, że zza pozy samego Zbyszka nie było widać. Nie odstawał na milimetr.

Idealny pracownik biurowy...

Horror.

Najłatwiej opisać go jako człowieka bez wątpliwości. W dawnych czasach ktoś taki jak on śniłby o tronie królewskim lub przynajmniej o własnym księstwie i knuł intrygi dworskie. Znacznie później, w czasach znacznie bardziej mrocznych niż mroki średniowiecza, ludzie w typie Zbyszka dochodzili do stanowisk pierwszych sekretarzy PZPR. Świat jednak poszedł naprzód, po raz kolejny wywracając hierarchie społeczne do góry nogami, i Zbyszek miał inny cel niż jego mentalni antenaci. Dążył mianowicie do posady prezesa firmy. A ponieważ ogień i miecz, podobnie jak tron, wyszły z mody, stosował inne sposoby - mniej krwawe, choć równie niszczycielskie.

Wojował plotką wbijaną prosto w plecy i pochlebstwem, którego używał miast tarczy.

Najgorsze zaś było to, że mimo wszystko ludzie go lubili. Może dlatego, że - paradoksalnie - nie znalazłbyś w nim sztuczności. Choć korpulentny, co nie odpowiadało kanonom męskiej urody, nie starał się na siłę upodabniać do metroseksualnych bożków straszących z lakierowanych kart kolorowych magazynów. Kiedy jadł, nie sposób było nie zauważyć, że mu smakuje. Gdy się bawił - cały parkiet należał do niego podobnie sądził o koleżankach, które istotnie miały niejaką słabość do tego pewnego siebie aroganta. Kiedy się uśmiechał, uśmiechał się całym sobą. Kiedy obmawiał - obmawiał przekonująco.

Niezgoda należał do nielicznych, którzy nie dawali nabrać się na jego szeroki uśmiech.

- Gratulacje, stary. - Zbyszek potrząsnął dłonią Adama z siłą wodospadu. - To awans już pewny?

Pewny, pewny - Adam zamienił się w rottweilera, warknął na kolegę i skoczył mu do gardła. Stał się wściekłą kulą mięśni i futra, która zębami rozszarpuje Zbyszkowi tchawicę, podczas gdy krew zalewa białe ściany biura. Wciąż miał w pamięci kłopoty, jakie sprawiły mu Zbyszkowe donosy. Okazały się wyssane z palca, ale przełożony Adama w pierwszej chwili w nie uwierzył. Przez dwa miesiące śledził każdy krok Niezgody. Zatrudniono nawet firmę detektywistyczną. Wreszcie przekonano się, że w oskarżeniu o szpiegostwo na rzecz konkurencji nie było ziarna prawdy. O miesiąc zbyt późno. Awansowano Zbyszka. Dlatego Adam nie miał skrupułów i metodycznie rozrywał wciąż radosnemu Zbyszkowi tchawicę.

W myślach.

W rzeczywistości Niezgoda uśmiechnął się, nieco sztucznie, to prawda, i rzucił zdawkowe „się zobaczy”. Długie lata pracy w biurze nauczyły Adama obłudy. Czy może raczej pozwoliły wykształcić „doskonałe umiejętności interpersonalne”.

Szedł dalej, mijając kolejne osoby, i patrzył mimochodem na ich ubrania. Wszyscy jednakowi, po prostu szablon. *Dress code* w centrali Marche - stonowane garnitury lub

garsonki, mężczyźni obowiązkowo w krawatach, kobiety w spódniczkach ciut za kolana i w butach na niezbyt wysokich obcasach. Odkąd szefostwo wprowadziło konkurs na najgorzej ubranego pracownika, wszyscy ubierali się identycznie.

Mijając merchandiserów, mimowolnie obrócił głowę i zerknął na Ewę, wysoką szatynkę o nienagannej figurze i równie nienagannym stroju. Pamiętał, kiedy przychodziła do pracy, wieki temu. Przypominała wtedy iskrę, która lada chwila podpali całe biuro. Pachniała górskim słońcem, spojrzenie miała niepokorne, jawnie kpiała z korporacyjnych standardów i regularnie zdobywała tytuł najgorzej - bo nieszablonowo - ubranego pracownika. Była wyjątkowa. Żadnego wyścigu szczurów, żadnych złośliwości, kryształowo uczciwa. Krótko mówiąc - całkowity brak dostosowania do rzeczywistości społecznej.

Gdyby nie jej wybitna inteligencja, wyleciałaby z pracy, to pewne.

Teraz jednak lepiej nie wchodzić jej w drogę, pomyślał Niezgoda. Kilkakrotnie widział Ewę, jak wyszarpywała serce swojego konkurenta i spożywała je na surowo przed Nowickim, który przyglądał się temu ze stoickim spokojem.

W rzeźni, jak to w rzeźni, czas wątpliwości szybko mija. A dziecko zmienia perspektywę.

Z zalem pokręcił głową. Przyspieszył kroku, minął małe pomieszczenie z ekspresem ciśnieniowym. Ze swego oszklonego biura nieopodal lubił spoglądać w tę stronę, kiedy do kuchenki ciągnęły prawdziwe pielgrzymki, a wszyscy, często zwaśnieni z sobą pracownicy w spokoju popijali espresso. Panowało tam zawieszenie broni, Pax Caffé. Adamowi przypominało to obrazki z dżungli, jakie widywał na Animai Planet czy Discovery; wszystkie zwierzęta - duże, małe, pręgowane i kudłate - biegną do wodopoju.

Biurko Niezgody zapełniały rozmaite papiery związane z fuzją z BGM, teraz już niepotrzebne. Przez moment patrzył na nie z niechęcią, wreszcie ułożył kartki w dwie wysokie sterty, przypominające z odległości dwóch kroków makiety wieżowców. Chwycił z biurka firmowy długopis Centralwings (dawali je każdemu, kiedy leciał do Paryża) i imitując wizg odrzutowca, uderzył długopisem w stosy kartek. Były chwile, kiedy cieszył się, że pracuje u Francuzów. U nich mógł sobie pozwolić na odrobinę politycznej niepoprawności.

Zwłaszcza antyamerykańskiej.

No, no, dość tej zabawy, upomniał się i zerknął - po raz pierwszy tego dnia - na swój ciekłokrystaliczny ołtarz. Skrzywił się na obowiązkową tapetę, którą było mało wyszukane logo Marche. Ciekawe, ilu odważy się dzisiaj mieć na pulpicie coś innego?

Rzucił okiem na automatycznie wyświetlający się terminarz - spotkanie z szefem miało za godzinę, potem sesja z prawnikiem (znów ten cholerny BGM), potem bieżące raporty, potem

lunch. Wyświetlił skrzynkę nadawczą i zerknął na raport wysłany wczoraj. To musiałem być ja, zdał sobie sprawę. Musiałem. Ale jak to możliwe?

- Nie myśleć - powiedział na głos, wpatrując się w zburzone długopisem Centralwings dwie wieże. - Przynajmniej do spotkania z Romanem.

W pośpiechu, czując, że zimny pot znów oblewa mu czoło, wyszukał kolegę psychiatrę w książce adresatów, połączył się i umówił wizytę.

- Nie myśleć - powtórzył i wrzuciwszy do niszcarki wszystkie papiery tworzące przed momentem WTC, zasiadł do komputera. Może praca mnie uspokoi?

Przejrzał e-maile. Skasował spam, jaki przecisnął się przez firewalla, kusząc hasłami, które uznawał nawet za całkiem interesujące jak na przykład „Enlarge your penis”, „Cheep Viagra” względnie „Czy Twój brzuch jest z Ciebie zadowolony?”.

Mój brzuch z pewnością nie jest ze mnie zadowolony, skonstatował ze smutkiem. A Renata zapewne chciałaby, żebym skorzystał z opcji „enlarge...”. Ech. !

Na ekranie po prawej stronie błysnęła malutka ikona - spyware, przygotowane specjalnie dla Marche. Dzięki temu programikowi Adam wiedział, co robią jego podwładni - miał uprawnienia, by śledzić cały swój zespół. Machinalnie - jak co rano - kliknął na niebieską ikonę i przerzucał z osoby na osobę. Marta, jak zwykle, plotkowała. Była bardzo ładna i swej urodzie zawdzięczała, że firmowy informatyk zainstalował jej nielegalnie Gadu-Gadu, którego używała cały czas. Marek z kolei siedział na serwisach randkowych. Jak oszalały wpisywał w wyszukiwarce ciąg wyrazów seks/sponsoring/ Poznań, mimo że od dwóch lat był zaręczony. Adam specjalnie się temu nie dziwił.

Weszliśmy przecież, pomyślał, do Europy.

Spyware zainstalowano po aferze z poprzednim szefem, Francuzem, który rządził w Marche przez kilka lat. Za jego czasów dostęp do sieci był wolny i niekontrolowany. Również dla niego samego. Zachwycony Polkami zalogował się kiedyś na jednym z portali randkowych, umieszczając tam swój profil. Adam dobrze pamiętał, jak całą firmą wstrząsały spazmy śmiechu, gdy pracownicy czytali anons „Poznam ekskluzywną dziewczynę, która zrobię szczęśliwa i masa pieniędzy. Kocham mojego domu we Francju. Trzeba mocno stąpać po ziemię, by trzymać głowa w chmurzech. A to mój hobby i ja” (to był podpis pod zdjęciem, na którym widniał szacowny prezes Marche obok sportowego samochodu).

Ktoś życzliwy, Adam nie wiedział kto, choć stawiał na Zbyszka, przesłał przetłumaczone na francuski ogłoszenie do centrali. Tydzień później Pierre Virgo w trybie pilnym został wezwany do Paryża. Już nie wrócił.

Od tamtej pory w firmie niepodzielnie władał Nowicki, a w dostępie do Internetu pojawiły się ograniczenia. Na dodatek - w tajemnicy przed personelem - zainstalowano Spyware, z którego mogli korzystać menedżerowie.

Adam wiele razy żałował, że nie może zobaczyć, co wypisuje na przykład Zbyszek. Albo Ewa. Siedzieli wpatrzni w monitory, miny mieli zacięte. Szkoda, cholera, że nie pracowali u niego. Albo że bardzo kiepsko znał się na komputerach. Wielokrotnie przeklinał swą ignorancję informatyczną.

Może dlatego nie zdziwiła go kolejna ikona na pasku, tuż obok zegara. Informatycy znowu dodali jakiś niepotrzebny program. Ot, z ciekawości najechał kursorem na rysunek, nacisnął klawisz myszki... Poczul się wtedy jak bohater amerykańskiego horroru. Zaraz się coś zdarzy, myślał gorączkowo, musi się zdarzyć. Tego wymaga dramaturgia sytuacji, logika opowieści. Praca w biurze różniła się jednak od amerykańskich filmów. Mimo że często przypominała horror, to zwroty akcji nie następowały wtedy, kiedy nakazywałyby to przemyślany scenariusz. Wbrew oczekiwaniom Adama nie stało się nic. Zupełnie nic. Ikona była nieaktywna.

- Taaa, informatycy - westchnął, ale przyjrzał się dokładniej tej ikonce.

Była dziwna. Przypominała... No, do końca nie wiedział, co. Jeśli miałby szukać analogii, powiedziałby, że przypomina mu ilustracje, stare ilustracje, które widywał w książkach Lewisa Carrolla.

Tego od Alicji.

- Adam - do pokoju weszła sekretarka - dzwonił z...

- Wyjść! - ryknął, blednąc. Wzrok miał wbity w monitor. Sekretarka zaszczyciła go spojrzeniem, jakim królowa angielska zaszczyciłaby rewolucjonistę, nawołującego, by znieść monarchię, lecz nim zdążyła się cofnąć, Adam nieco oprzytomniał.

- Hej, Dorota, przepraszam. Mogłabyś podejść? Co to jest?

- To? - Dziewczyna spojrzała na prawy dolny róg ekranu. Przez chwilę przypatrywała się małej grafice. - Ach, to. Nowy antywirus. Andrzej niedawno instalował. Musiałeś przecież dostać mailing?

- Czy to... cokolwiek ci przypomina? Cokolwiek? - Jego głos był rozchwiany niby giełda podczas kryzysu rządowego.

Dorota zmarszczyła brwi.

- Niby co? Kolorowe kółko?

- Nie przypomina ci to może... - zawahał się. Nie chciał się ośmieszyć, sekretariat był znakomitym rozsadnikiem plotek. - Królika? Tego z *Alicji w Krainie Czarów!* Na pewno czytałaś...

Dorota popatrzyła na niego dziwnie. No tak, zreflektował się ponieważ Adam, przypuszczenie, że ona mogła czytać cokolwiek, co wykraczało poza poziom „Cosmo”, było bardzo, bardzo odważne.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. W jej wzroku wyczuwał zdziwienie. Choć nie, to nie było zdziwienie. Strach. Spojrzała mu w oczy. - Gdybyś był babą, powiedziałabym, że masz okres! - rzuciła i wyszła z pokoju.

Adam rozparł się na fotelu, wykręcił wewnętrzny do informatyka, ale ten, jak zawsze, miał zajętą linię. Cholera.

Wariuję, powtórzył w myślach, a biorąc pod uwagę jego niedawne przeżycia, nie była to zbyt odkrywcza konstatacja. Jeszcze tylko brakuje, żebym zobaczył ten pierdolony cień w kapeluszu, na którego widok ciarki przechodzą po plecach.

- Nie! - rzekł na głos, zerkając szybko na boki. - Niczego już nie brakuje.

I rzeczywiście. Cień stał przy nim. Nie widział go, ale wyczuwał jego istnienie, bijący od niego chłód i spokój. Paradoksalnie - owa obecność wpłynęła uspokajająco na Adama. Zniknęło drżenie rąk, dłonie, które pociły się dotąd jak przed rozmową kwalifikacyjną, odzyskały zwykłą suchość. Akceptacja szaleństwa pozwalała zachować resztki zdrowego rozsądku.

- Nie wiem, co to za choroba - powiedział. Spozstrzegł, że jego głos się zmienił, stał się bardziej stanowczy, twardy. - Ale czuję się z nią... dobrze.

Spojrzał na biuro - to samo, które widywał od lat. Wszystko, rzekłbyś, z pozoru identyczne i zgodne z ustalonym porządkiem. Ważny był jednak ów nieopisywalny rys, cecha dodana, wymiar ukryty, którego wcześniej Adam nie zauważał. Spojrzał na biuro i czuł, że patrzy na nie po raz pierwszy.

Po raz pierwszy oczami szaleńca.

I choć mógłby kto myśleć, że kilka lat stepiło jego wrażliwość, że przywykł i startł moralne kanty, że przecież widział już wiele, a życie dało mu niejedną lekcję pokory - mimo tego wszystkiego widok bardzo go zaskoczył.

- Nie przypuszczałem, że jest tak źle - zwierzył się filizance kawy. Filizanka - wyglądało - nie ustępuje człowieczeństwem pracownikom Marche.

Pojął - i było to spostrzeżenie tyleż przydatne, co przykre - że wie, co inni mówią, co piszą, co myślą. Niespodziewany dar od obłądu pozbawił go resztek złudzeń.

- Uważam, że jest super - mówiła Asia, dziewczyna pracująca w marketingu, oglądając projekt przesłany jej przez szefa działu. Myślała zaś - Boże, co za gówno, dzisiaj napiszę do Nowickiego. Ile jeszcze czasu ten imbecyl będzie moim szefem? Gdyby wzorem Adama mogła poznać myśli Piotrka, swojego przełożonego, odkryłaby ze zdziwieniem (bo sama nie miała sobie niczego do zarzucenia), że analogiczne wnioski względem jej osoby kłębią się w jego głowie.

Piotrek nerwowo obracał obrączkę z salonu Yes i powtarzał w myślach, że Asię już dawno należało zwolnić. Nielojalna szmata, wysłała na mnie skargi do Nowickiego. Potem zaś jego wzrok zsuwał się po Asinej garsonce, omiatał kolana i zatrzymywał się na niebywale smukłych łydkach, oplecionych czarnym eleganckim paskiem od butów. Szef działu marketingu wzdychał wtedy, przypominał sobie firmowy wyjazd nad morze, jeszcze raz nerwowo obracał obrączkę i rezygnował ze zwolnienia.

Spojrzenie Adama przesunęło się na Monikę, jedną z nowych pracownic. Siedziała skupiona przed komputerem, wyglądało, że ciężko pracuje. W istocie - korespondowała zawzięcie z firmą headhunterską, i właśnie przygotowywała odpowiedź na pytanie: „Dlaczego zamierza pani zmienić pracę?”. Chciałabym znaleźć się w bardziej dynamicznym otoczeniu, pisała. Atmosfera jest ciężka i bardzo zła.

W rzeczy samej, była.

Iluminacja Adama trwała dopiero chwilę, lecz spostrzeżenia zgromadzone w tym czasie nie napawały optymizmem, zaklęcia wyniesione ze szkoły pozytywnego myślenia można było swobodnie cisnąć w kąt.

A jeśli to wszystko to ułuda? Co z tego, że wydaje się realne? Jeśli to urojenia spowodowane szaleństwem?

Odegnał od siebie tę myśl.

Skoro jestem szalony, dlaczego miałbym nie korzystać z dobrodziejstw tego stanu?

Należało, zdecydował, przyjrzeć się temu, kto najbardziej Adama interesował. Nie żałował już, że nie ma uprawnień, by korzystając z programu spyware przejrzeć zawartość Zbyszkowego komputera. Uprawnienia okazały się bowiem zbyt dobre.

- Wiesz, kurwa - Zbyszek nachylał się właśnie nad Magdą, z którą sypiał podczas wyjazdów integracyjnych i ściśle współpracował w drodze na korporacyjny Mount Everest. - Jeśli się nie pospieszymy, gnojek będzie nie do ruszenia. Stary po wczorajszym przedstawieniu chciałby go, kurwa, obsypać eurasami.

Adam siedział kilkanaście metrów od rozmawiających, na dodatek dzieliło go od nich kilka szklanych, dźwiękoszczelnych ścian. Nie miał prawa słyszeć, o czym rozmawiają. A jednak - rozróżniał każde wypowiedziane przez nich słowo.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Miał styczność ze sprawozdaniami poszczególnych sklepów? - spytała Magda z miną łowcy, który wymyślił sposób na złapanie zwierzyny. - Miał?

- Chcesz go wystawić CBA? Myślisz, że nie doszliby do nas? Nie, to głupie - skontrował Zbyszek. - Jest lepszy sposób. Wyruchamy go sposobem à la Eliot Ness.

- Eliot Ness...

- Wiesz, za co posadzili Ala Capone? - wszedł jej w słowo, nie pozwalając dokończyć. - Za podatki. Nasz pierdolony Adaś Niezgódka podzielił los słynnego gangstera. Czyż to nie piękna kariera? Pamiętasz, kiedy Sławek chorował? Z miesiąc. To Adam miał wtedy upoważnienie. On podpisywał kwity do skarbówki.

Skinęła głową.]

- Napompowana strata. Nie płaciliśmy wtedy podatku.

- A ja - Zbyszek wprost tryskał zadowoleniem - mam znajomego w urzędzie kontroli skarbowej. Wystawię im go jak na widelcu i jeszcze dostanę procent za donos.

Adam spostrzegł, że świat ciemnieje. Tuż pod sufitem zbierały się gęste czarne chmury, a za plecami kotłował rój żmirlaczy, żabarłoków, żarnoroźców i żarbójców. Na skraju pola widzenia pojawił się cień mężczyzny w kapeluszu.

- Gnoje! - wycharczał Niezgoda. Wbił wzrok w dalekie postacie Zbyszka i Magdy. Czuł, jak w żyłach zamiast krwi pulsuje wściekłość. - Byłby nasz świat normalny, szybko załatwiłoby się sprawę w pojedynku - wycodził, wspominając stereotypowe wyobrażenia epok minionych. - Byłby nasz świat taki jak ten, u Carrolla, kazałbym ich ściąć. Pozbawić głów. I po kłopotcie.

Kłopot jednak, kaleka hydra poznańska, miał dwie głowy, wyjątkowo złośliwe, i nic nie wskazywało na to, by miał stracić choć jedną z nich. Zbyszek i Magda układali kolejną część planu, która w ich zamierzeniach powinna zmieść Adama z powierzchni ziemi.

A przynajmniej z powierzchni Marche.

Ciekawe, co oni zrobią, kiedy zostaną w firmie sami. Kiedy już dojdą na szczyt, zastanawiał się przez moment Niezgoda. Rzucają się sobie do gardeł? Po chwili doszedł do wniosku, że nastąpi to znacznie, znacznie wcześniej.

Niezgoda usłyszał, jak otwierają się za nim bramy, zza których wychylają łby potwory, znane mu dotąd tylko ze snów. Poczł nagle, że jest wszechmocny, że mógłby - jednym

gestem, tak jak to sobie wyfantazjował - pozbawić oboje spiskowców głów. Gdyby tylko chciał.

Boże, cóż za aberracje, pomyślał w przeblysku zdrowego rozsądku. Niestety przeblysk - co można wywnioskować z samej jego nazwy - trwał przeraźliwie krótko.

Wstąpił w niego demiurg, czy może on wszedł w pozę demiurga. Zbyszek i Magda wydali mu się mali i słabi niby robaki. On sam zaś - wielki mag, kreator i władca - rósł niby góra, cud, że nie rozsadził wieżowca.

Wstał zza biurka, prostując się dumnie. Brwi ściągnął w gniewie, pionowa zmarszczka przepołowiła czoło. Wyciągnął przed siebie prawą dłoń, rozczapierzając palce. Zastygł w teatralnej pozie i pełnym, głębokim głosem, niczym Saruman u Jacksona, rzucił na Zbyszka i Magdę klątwę.

Tak zaskoczyła go sekretarka. Trwająca w swym zdziwieniu przypominała Adamowi tolkienowskie trolle, które promień słońca po wsze czasy uwięził w kamieniu.

- Adam? - wydukała wreszcie. - OK?

Niezgoda oprzytomniał

- Ręka mi ścierpła - wybąkał.

Choć tłumaczenie zabrzmiało wyjątkowo nieprzekonująco, Dorota uwierzyła. A przynajmniej bardzo chciała w nie uwierzyć. Inaczej nie potrafiła sobie wytłumaczyć zachowania Niezgody.

Ludzie bardzo pragną racjonalnych uzasadnień.

- Ręka ścierpła... - powtórzyła za Adamem. A potem dodała: - Szef.

Szef był tego dnia wyjątkowo miły, co wyćwiczony umysł Adama potraktował jako poważne ostrzeżenie. Nowicki bardzo rzadko bywał miły dla pracowników, właściwie nie zdarzało mu się to nigdy. A jeżeli już kiedykolwiek się zdarzyło, zwiastowało coś naprawdę złego - bilans musiał wychodzić na zero. Zwolnienie dyscyplinarne na przykład. Ograniczenie zarobków. Naganą pracowniczą. Trzymiesięczną delegację do Koziej Wólki.

Tym razem jednak Nowicki nie miał krwiożerczych zamiarów. A jeśli je miał - odłożył ad acta. Przywitał Adama aneksem do umowy zmieniającym jego stanowisko z junior menedżera na dyrektora finansowego. Aneks zawierał ponadto bardzo interesujący zapis w paragrafie „wynagrodzenie”. Niezgoda przeczytał go dwukrotnie, za pierwszym razem nie wierząc własnym oczom. Po raz kolejny tego dnia pomyślał, że zwariował.

Chwilę później pojawiło się zrozumienie dla Zbyszka i jemu podobnych. Można rzec, że nowo mianowany dyrektor finansowy doznał iluminacji, jak Paweł na drodze do Damaszku. Dotąd postrzegał wyścig szczurów raczej jak coroczne marsze lemingów, lecz po tym, co

zobaczył w umowie, nie był pewien, czy rzeczywiście ma rację. Okazało się bowiem, że lemingi mają jednak dokąd iść.

Ale na tym niespodzianki się nie kończyły.

- Jest pan zmęczony - powiedział Nowicki, a gdyby potrafił, z pewnością by się szczerze uśmiechnął. - Ja rozumiem. BGM to bardzo trudna transakcja. Nie chciałby pan odpocząć? Powiedzmy do końca tygodnia?

Do końca tygodnia? Adam zamrugnął. Co miałby zrobić z taką ilością wolnego czasu? Poczł, że podłoga ucieka spod jego stóp.

- Dziękuję - bąknął słabo, nie pytając nawet, czemu zawdzięcza ten nadmiar szczęścia.

Nowicki, uznając to za zgodę na swoją propozycję, na pożegnanie wstał i uściśnął dłoń Niezgody. Cholera, co mu się stało, pomyślał Adam, to mnie odbiło, nie jemu. Niespiesznie wyszedł z biura, licząc wolne godziny. To razem z weekendem będzie sto dwadzieścia.

Niemożliwe.

Idąc korytarzem, kręcił z niedowierzaniem głową.

Mijał szare twarze, skupione na ekranach LCD, mijał podkrążone oczy, ślęczące nad stosami papierów, mijał pocięte zmarszczkami czoła, mijał boksy, w których bezustannie trwała podjazdowa wojna biurowa. Choć jego urlop miał trwać ledwie kilka dni, ogarnęło go poczucie, że zostawia ten świat na zawsze.

Nie czuł żalu.

Tuż przy wyjściu minął Zbyszka, który wrzeszczał na sekretarki.

- Drukarka nie działa, nie przechodzą maile, szlag trafił moje ostatnie kalkulacje, a wy mi, kurwa, mówicie, że informatyk wyszedł i że z siecią jest wszystko w porządku? W dodatku nie ma dla mnie komory!

Dopiero teraz Adam zauważył kilka okazałych plam na koszuli Zbyszka, z telefonu zaś kapła woda. Wyglądało na to, że aparat wpadł do jakiegoś zbiornika, być może do umywalki, choć z plam na Zbyszkowej koszuli i zmarszczonych nosów sekretarek Niezgoda wysnuł inne przypuszczenia. Zbyszek, widząc swojego rywala, zamilkł wyraźnie speszony - co bodaj nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło.

Adam minął go z lekceważącą miną, skinął sekretarkom na pożegnanie i wyszedł z biura.

Kiedy wsiadał do windy, jego myśli jeszcze raz powróciły do Zbyszka.

Głowa, pomyślał.

Precz z jego głową!

Szkiełko i oko.

Adam siedział na krześle w domu swojego najlepszego, a może i jedyne przyjaciela. Stała przed nim szklaneczka piwa, celem rozluźnienia, a mimo to czuł się nieswojo. Jak okaz dziwnego zwierzęcia badany przez biologa. Albo trup w prosektorium, któremu przygląda się rocznik wyjątkowo opanowanych studentów medycyny.

Głowacki rozparty w fotelu naprzeciwko Niezgody przypatrywał mu się uważnie, zerkając przez szkła osadzone w znakomicie dobranych rogowych oprawkach. Musiały sporo kosztować, oszacował Adam, przypominając sobie, że właśnie takie oprawki podobają się Renacie. Swego czasu namawiała go na kupno identycznych.

Szkiełko i oko.

Na biurku, obok notatnika, piętrzył się stos książek specjalistycznych. *Etiologia chorób psychicznych* przykrywała *Substancje niebezpieczne dla zdrowia psychicznego pacjentów*. Nieco dalej leżała sędziwa *Schizofrenia* Kępińskiego. Obok nich była sterta czasopism i wydruków rozmaitych artykułów, wszystkie o tej samej tematyce. Roman, spostrzegłszy, na co patrzy jego przyjaciel, zgarnął papiery, odsuwając je od siebie.

- Nie powinno cię to rozpraszać. Pracowałem nad doktoratem - wyjaśnił. - Widząc takie tytuły, zaraz pomyślisz, że istotnie jesteś chory, to powszechne zjawisko.

- A myślisz, że nie jestem? Po tym wszystkim, co ci opowiedziałem?

Niezgoda był w podłym nastroju. W domu przywitało go arktyczne powietrze i gradowe chmury nadciągające od strony jego małżonki. Przysięgłby, że Renata straciła humor, gdy okazało się, że wrócił przed czasem.

Rzuciła wprawdzie kilka komentarzy na temat awansu, lecz uwagi te brzmiały zdawkowo i niezbyt entuzjastycznie. Widocznie wciąż jest obrażona po wczorajszej kłótni, pomyślał. Skorzystał więc z pierwszej lepszej okazji, by wyrwać się do Romana.

- Prawdziwym szaleństwem jest przekonywać obłąkanego. - Psychiatra wyszczerzył zęby, lecz widząc ponury wzrok przyjaciela, natychmiast spoważniał. - Sorry, taki żart. Ale, mówiąc serio, nie wiem, czy jesteś chory.

- Nie wiesz? Cholera, Roman...

- Spokojnie.

Roman w jednej chwili przeszedł przemianę. Teraz to już nie był kumpel od kieliszka, lecz lekarz, a osoba siedząca po drugiej stronie biurka stała się kolejnym przypadkiem medycznym. Całkiem interesującym, przyznawał w duchu Głowacki.

Przypadkiem, nad którym próbował zapanować.

- Spokojnie. Wiesz, ze mną jest jak z tym radzieckim prokuratorem - dajcie mi człowieka, a znajdę u niego chorobę. Gdybym chciał, mógłbym znaleźć ją i u ciebie. Sztuka w tym, by dociec, jaka jest prawda.

- Prawda - sarknął Adam - jest dla mnie oczywista. A tobie mało? Chcesz posłuchać o ścieżce w lesie, ścieżce, którą znam tylko ja, której nikt, kurwa, nie może znaleźć? Ja też nie - kiedy wychodzę na spacer z Renatą. Tylko wtedy, gdy idę sam z psem.

- Ścieżka - łagodny głos psychiatry zdradzał zainteresowanie. - I co na niej?

Adam zawahał się.

- Widzę - powiedział po chwili - polaną. Rozświetloną i przestronną.

To chyba nic nadzwyczajnego w lesie, pomyślał Roman, ale nie przerywał.

- Stoi tam chatka, przed chatką zaś - stolik, wokół którego siedzi zawsze kilka osób. Odległość jest duża, nie widzę dokładnie, lecz wszystko to przypomina scenę z *Alicji w Krainie Czarów*. Emanuje stamtąd sielskość, spokój, niesamowitość. Zieleń jest bardziej zielona, dach chatki nie tak szary i przykurzony jak u nas, nawet światło zdaje się bardziej świetliste. Widzę czarowne stwory przebiegające w pobliżu domku - a choć są one dziwne, znam ich nazwy...

- Kraina czarów... - powiedział w zamyśleniu psychiatra, pocierając dłonią czoło. Dłoń przewiązana była bandażem.

- Skaleczyłem się, rąbiąc drwa do kominka - wyjaśnił, gdy Adam zapytał, co się stało. - To nic poważnego, chociaż boli co najmniej tak jak oglądanie polskich klubów w pucharach.

Roman był zapalonym kibicem i jako taki skazany był na permanentną frustrację. Dlatego gdy oglądał mecze z udziałem którejs z polskich drużyn, mimo znieczulenia w postaci piwa, które aplikował sobie w sporych dawkach, wpatrywał się w telewizor z miną Hannibala Lectera, a czoło cięła mu na dwie części pionowa zmarszczka.

Tak jak teraz, uświadomił sobie Niezgoda.

- Kraina czarów - powtórzył psychiatra. W jego głosie pobrzmiwało lekkie zniecierpliwienie. - Stary, kurwa, kiedy ty wreszcie wyrośniesz z tych bajeczek?

Z tej popieprzonej fantastyki? Tolkien, Lewisy, Carrolle, Sapkowski - to faktycznie może namieszać we łbie. Przeczytałbyś jakąś dobrą prozę współczesną. Realistyczną. Odwrócił się, sięgając w stronę półki z książkami, i mówił dalej.

- Jakiś *Zwał*, na przykład. Jakiś *Gnój*. Jakaś, kurwa, Masłowska.

- Gnój to mam w pracy - odparł Adam. - *Zwał* też. Wystarczy.

- Bajki są dobre dla dzieci. - Roman nie przejął się komentarzem Adama. - Ba, mogą mieć wtedy właściwości terapeutyczne. Ale ty już nie jesteś dzieckiem.

Nie jesteś kilkunastoletnim samcem, który fascynuje się przygodami wojowniczej księżniczki i onanizuje się pod prysznicem. Masz niezłą żonę, sporo kasy, pozycję społeczną... i mimo to uciekasz. Wciąż uciekasz, choć nie ma przed czym. I to jest twój problem. Brak odwagi.

Niezgoda spaşowiał. Cholera, przyszedłem tutaj po pomoc, a tymczasem dostaję po łbie, pomyślał.

- Naprawdę sądzisz, że nie ma od czego? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Psychiatra nie odpowiedział, kontynuując wywód, już nieco spokojniej.

- Uciekasz w świat nierzeczywisty. Wyobraźnię zawsze miałeś pokreconą, fakt, pamiętam te twoje scenariusze. Teraz, jak widzę, zaczynasz w to wszystko wierzyć. Jeśli mówisz prawdę - a zakładam, że tak - to cierpisz na urojenia. Cholera, trzeba będzie coś z tym zrobić.

Zamyślił się przez chwilę, upił łyk herbaty i spojrział na notatki.

- Tak... Sielankowa scenka, którą, rzekomo, widzisz podczas spacerów, to ideał tyleż pożądanym, co niedoścignionym. Twój umysł produkuje majaki, bo sam, zapracowany, nie masz czasu na spokojne podwieczorki, na wczasy pod gruszą, na rozmowę przy herbatce. Obraz królika to, moim zdaniem, znak olśnienia. Biorę poprawkę na to, że zaczytujesz się *Alicją w Krainie Czarów*, a królik spełniał tam bardzo istotną rolę. Był przewodnikiem. Był zwiastunem. Tak też jest i u ciebie.

- Zwiastunem tego, że jestem stuknięty?

- Nie, bynajmniej. Spójrz, zawsze, kiedy pojawia się ten obraz, przychodzą ci do głowy najlepsze pomysły. Być może ta halucynacja to cena, którą płacisz, kiedy umysł wskakuje na wyższe obroty.

- Wolę pracować na niższych.

Roman zaśmiał się, przeganiał dłonią nieco rzednącą czarną czuprynę, czesaną na wzór Harrisona Forda.

- Intryguje mnie ta postać w kapeluszu. Moim zdaniem - a będzie to tylko przypuszczenie, potrzebowałbym jeszcze potwierdzenia, badań - patrzysz wtedy na drugą stronę medalu. To bezpiecznik, który ostrzega. Mówisz, że czujesz przed nim lęk - i bardzo dobrze! Bo to lęk przed obłędem. To kotwica wbita w rzeczywistość. Dzwonek alarmowy.

- A kłótnie z Renatą? To, że nie wita mnie tak jak kiedyś? Wciąż wydaje mi się, że się z kimś...

Rozmowę przerwał ostry dzwonek komórki. Roman zerknął na wyświetlacz, uśmiechnął się, szepnął do Adama „chwileczkę” i odebrał połączenie.

- Cześć, kochanie - rzucił niedbale do słuchawki. - Nie, już nie boli. Nie mogę teraz rozmawiać, mam... pacjenta. Dzisiaj? Jasne, do zobaczenia. Całusy!

Rozłączył się i skrył telefon w kieszeni sztruksowej marynarki.- Że się z kimś spotyka? - dokończył za Adama. - To już naprawdę są fantazje. Renata to porządna dziewczyna, choć nie przeczę, bardzo ładna.

- A to, że wydzwania do kogoś, mówi szeptem, wychodzi z telefonem do drugiego pokoju?

- I co w tym dziwnego? Może nie chce ci przeszkadzać, kiedy ślęczysz nad laptopem.

- Stroi się... - powiedział cicho Adam, ale psychiatra nie pozwolił mu skończyć.

- Kiedy zaczynałeś się z nią spotykać, to ci nie wadziło. To kobieta, stary! Wolisz, żeby przypominała kaszalota?

Adam stropił się.

- Bierze pigułki - szepnął z wyraźnym wstydem. - A my... my bardzo rzadko...

- O tym, że może ma na ciebie ochotę, nie pomyślałeś, tak? Że chce być gotowa? - Roman się zaśmiał. - Oczywiście rozwiązania przychodzą do głowy na samym końcu, co?

- Niedawno - zaczął Adam - kiedy przyjechałem, nie było jej w domu...

- Niedawno - przerwał znów Roman - żaliłeś się, że nie ma cię w domu całymi dniami. A ona ma na ciebie czekać - i co? Nudzić się? Słuchaj, wiem, wychowywałeś się w PRL-u, ale twoja żona to nie jest niewolnica Isaura.

- Wczoraj - głos Adama był matowy i suchy - przysięgłbym, że ktoś u niej był. Kiedy przyjechałem, wyskoczył przez okno. A ja... ja widziałem go oczyma owej zjawy. Ducha w kapeluszu...

Adam pokrótce zrelacjonował całe zdarzenie. Roman zachnął się, gdy jego przyjaciel skończył.

- Ustalmy najpierw jedno: duchy nie istnieją. I z całą pewnością nie podkładają nóg kochankom, uciekającym przez okno od niewiernych żon. Ergo - to, co się wczoraj stało, to wymysł, wytwór twojego umysłu. Ułuda. Renata zaś to bardzo porządna kobieta. Ale słuchaj, może sam masz ochotę na mały skok w bok z którąś z koleżanek z biura? To by wiele wyjaśniało - dokonujesz projekcji psychologicznej własnych uczuć na żonę. Do tego dochodzi mania prześladowcza, no, ten incydent, że rzekomo słyszysz, co mówi twój kolega z biura... I jeszcze efekt olśnienia, wrażenie, że z porzrzuconych po podłodze puzzli układa się nagle spójny obraz... - Psychiatra zamyślił się. - Hmm, to możliwe.

- Co możliwe? - zapytał Adam, kiedy milczenie Romana się przedłużało.

Głowacki nie odpowiedział od razu. Ważył słowa, jak gdyby był to cenny kruszec.

- Muszę to dokładnie sprawdzić. Przekonać się. Odbyć kilka sesji.
- Sesji?
- Rozmów. Badań. Muszę być pewny.
- Roman, jaśniej. Coś tam u mnie znalazł?

Psychiatra odwrócił głowę. Wzrok wbił w okno. Jakoś nie mógł powiedzieć tego Adamowi prosto w twarz. Mimo kilkuletniej praktyki Romanowi ciągle z trudem przychodziło mówienie prawdy bez ogródek. Zwłaszcza przykrej. Oznajmił ją więc Adamowemu odbiciu na szybie.

- To mogą być początki schizofrenii. Psychiatra wciąż patrzył w okno, wciąż nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć przyjacielowi w oczy, które nagle zgasły i posmutniały. W jednej chwili Niezgoda postarzał się o dobrych kilka lat.

Roman przez moment czuł smutek, który jednak nie trwał zbyt długo. Kolejny przypadek, napomniął się, to tylko kolejny przypadek. Musiałem to zrobić. Doktor Głowacki szybko pozbywał się skrupułów.

Był w tym mistrzem.

Dlatego kiedy jego przyjaciel bez słowa wstał i ze zwieszoną głową podszedł do drzwi wyjściowych, Roman pozwolił sobie na lekki uśmiech. Myślał o telefonie, który przerwał rozmowę z Adamem. Myślał o zbliżającym się spotkaniu. Myślał o kolejnej zdobyczy. Znow popatrzył na szybę. Z narcystyczną miłością. Już niedługo.

6

- Dobrze - syknął Niezgoda w stronę pustych korytarzy, widząc, że Renaty nie ma w domu. - Bardzo dobrze.

W dłoni trzymał butelkę. Szkło przyjemnie ciążyło, a chłodna zielona zawartość obiecywała zapomnienie. Tylko tyle.

I aż tyle.

Adam ucieszył się, kiedy zobaczył karteczkę przyklejoną do lodówki: „Jadę do Marty na ploty. Będę o dziesiątej”.

- Dobrze - powtórzył, głaszcząc psa wyskakującego na powitanie.

Wprawdzie gdy tylko przeczytał wiadomość, znow pojawiły się podejrzenia, już nawet chwycił telefon, by zadzwonić do Marty, ale w połowie wykręcania numeru, przypomniawszy sobie spotkanie z psychiatrą, odłożył słuchawkę.

- Mania prześladowcza - tłumaczył Roman cierpliwie. - Ciągłe podejrzenia. Przeglądasz jej SMS-y? Sprawdzasz jej e-maile? A może zaglądasz ukradkiem do torebki? W ten sposób nie zbudujesz zaufania. Stary, walcz z tym.

- Walcz - powtórzył Adam, napełniając kieliszek. Zapachniało piołunem i koprem włoskim. Podarunek od Głowackiego.

- Nie martw się. - Psychiatra na odchodnym klepnął Niezgodę w plecy i uśmiechnął się, tak jak on to potrafił, sympatycznie i przekonująco. - Z tą schizofrenią to przecież nic pewnego, mówiłem tylko, że twoje objawy nieco ją przypominają. Zresztą od tego się nie umiera. Są teraz świetne leki. Nie mam przy sobie, ale ściągnę i za kilka dni ci podrzucę. A na razie mam coś innego. Lekarstwo na przygnębienie.

Z tajemniczą miną sięgnął do jednej z szuflad.

- Absynt - wyjaśnił. - Ten, który piliśmy jakiś czas temu, pamiętasz? Napój artystów. Gwarantuję, że szybko zapomnisz o kłopotach. Zielona wróżka. Jedyna prawdziwa wróżka, jaka istnieje. Siedemdziesiąt procent czarów.

Siedemdziesiąt procent paliło niczym ognie piekielne, a drapało jak ryżowa szczotka. Adam sapnął, nalał do szklanki chłodnej wody, popił. Gardło zapiekło boleśnie.

- Dobrze!

Napełnił kieliszek po raz drugi. Spieszył się. Czuł, że życie nie będzie tak jak powinno, a po rozmowie z Romanem wiedział, że to jego, Adama, wina. Postanowił więc się ukarać. Szybko i sprawnie. Niegdyś przywdziewano pokutne szaty i dołączano do procesji biczowników. Zdaniem Adama siedemdziesięcioprocentowy dar nadawał się do tego celu znacznie lepiej.

Przepił do lustra, żałując, że Roman miał zajęty wieczór. Smutki lepiej topi się we dwóch - szybciej idą na dno.

- No, nie mogę - przepraszał psychiatra szeptem konfidenta, dodając zaraz: - Kobieta, sam rozumiesz. Ty masz żonę, aleja muszę sobie radzić inaczej. Każdy facet ma potrzeby, a nie chcę rozładowywać ich sam, pod prysznicem.

- Ładna? - spytał Niezgoda.

Roman zaśmiał się i w odpowiedzi wykonał niepoprawny politycznie gest, rysując dłońmi w powietrzu ponętne kształty. Masz szczęście, że nie jestem feministką, pomyślał wtedy Adam.

Ponętne kształty. Niezgoda skrzywił się, zastanawiając się, kiedy ostatni raz kochał się z Renatą. Policzył w myślach... cholera, minęły dwa miesiące! Ale czemu się dziwić? Ostatnie

kilka tygodni spędził w pracy, do domu wracał jedynie po to, by się wyspać. Nie miał sił choćby na rozmowę, cóż dopiero mówić o seksie?

- Więcej okazji miałbym w biurze - powiedział cicho, myśląc o kilku koleżankach, które zachowywały się wobec niego dość prowokacyjnie. Jednak na to, by skorzystać z obietnic, kryjących się za ich dwuznacznymi uśmiechami, spojrzeniami czy żartami, był Adam mimo wszystko zbyt porządny. A jeśli nie porządny, to nieśmiały.

- Nawet bym, cholera, nie wiedział, jak zacząć. - Uderzył dłonią w kolano, zły na samego siebie, wpatrując się w ciemność korytarza, którego obraz zaczynał powoli drżeć i falować. O dziwo - nie pojawiał się żaden biały królik, żaden mężczyzna w kapeluszu, żadna sielska polana, żaden cholerny szajs, żadne zwidy i mary.

- Pomaga - stwierdził z satysfakcją i opróżnił trzeci kieliszek.

Chwycił butelkę pod pachę i poszedł na górę, do pokoju, w którym była biblioteczka. Sięgnął po *Alicję w Krainie Czarów*.

- Eskapizm, kurwa - zaśmiał się.

Czuł, że mocno kręci mu się w głowie, co nie powstrzymało go przed wypiciem następnych kieliszków. Absynt drażnił gardło, tak że Adam porządnie ochrypl.

- Przelyk musi wyglądać teraz jak Sauron w filmie Jacksona. Jak rozżarzona wagina - wycharczał do lustra, nalewając sobie kolejną porcję alkoholu.

Popatrzył na zegarek - dochodziła ósma. Wcześniej się upił. Bardzo wcześnie. Kiedy wróci Renata, on będzie spał jak zabity. Pomyślał o upływającym dniu, o niewesołej diagnozie postawionej przez Romana, o chłodnym wzroku żony, o urojonych knowaniach Zbyszka. Uniósł kieliszek.

To już siódmy, policzył w myślach. Siódma pieczęć. Wypił. Jego spojrzenie przesunęło się po pokoju, zahaczając o mosiężną nasadę lampy.

- Kolejny zabytkowy grat - skomentował półgębkiem, kiedy Renata zaciągnęła go do sklepu ze starzyzną i roześmiana wskazała na lampę, która Adamowi skojarzyła się od razu z knajpami młodopolskiego Krakowa. Cena przekonała Niezgodę, że, faktycznie, był to grat z epoki, autentyk, nie żadna podróbka przywieziona na TIR-ze z Holandii. Co nie zmieniało oczywistego faktu, że to grat, zakurzony, brzydki i na dodatek niedziałający. Renata jednak pozostała głucha na jego argumenty.

Teraz lampa wyglądała znacznie lepiej. Żona Adama poświęciła jej odnowieniu sporo czasu, poszukując odpowiedniego klosza z epoki, wydała fortunę na elektryka, który sprawił, że znów zaświeciła. Najwięcej czasu spędzała nad metalowymi elementami, czyszcząc je i polerując, a kiedy Adam obserwował Renatę pochyloną i wytrwale pocierającą antyk

ściereczka, miał wrażenie, że oto jego małżonka znalazła lampę Aladyna. Efekty widać było gołym okiem - mosiądz lśnił tak, że mógłbyś się w nim przeglądać.

- Przeglądać... - zachrypiał, zatrzymując wzrok na zniekształconym odbiciu. - Zaraz...
Ciężko.

Gdzieś na skraju pola widzenia. Ten sam co zwykle.

Tym razem jednak Adam niespecjalnie się zmartwił.

- Jestem pijany. Ba, urzęnięty jak noga chorego na gangrenę. Halucynacje to normalka - wytłumaczył sobie.

I zapadł w ponury, pełen majaków sen.

7

Poznań nocą, oglądany z biura na dziesiątym piętrze PFC, był jak zdjęcie cementarza podczas Wszystkich Świętych, zrobione za pomocą komórki. Czerń nocy, setki światełek, które powinny robić kolosalne wrażenie, a widok - mimo wszystko - zamazany i nieimponujący.

- Dawno nie myli okien - skomentował Zbyszek, pokazując Poznaniowi nocą plecy. Wrócił do szaf z dokumentami. - Sporo jeszcze zostało do zrobienia.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Dziesiąta wieczór.

Praca po godzinach była w Marche normą, lecz tego dnia biuro - jeśli nie liczyć Zbyszka - świeciło pustkami. Pośród pustych boksów, bez szmerów rozmów telefonicznych i miarowego stukotu palców w klawiatury, Zbyszek czuł się dziwnie. Patrzył na martwe, czarne ekrany i wyobrażał sobie, że stoi pośrodku cementarza, a ciemne LCD to stele nagrobne.

Mimowolnie się wzdrygnął pod wpływem tego skojarzenia.

- Cholera, że też do tej pory nie ma sprzątaczek.

Choć przez cały dzień zrobił niewiele, w biurze został nie po to, by nadgonić zaległości. Zbyszek znakomicie odnalazł się w strukturach korporacyjnych, co oznaczało, że obowiązków miał jak na lekarstwo, a zaległości w związku z tym - wcale.

- Pogrzebię w papierach - wyjaśnił Magdzie, gdy ta proponowała spotkanie wieczorem u niej w mieszkaniu. - Trzeba przyszykować dokumentację. A jutro z rana zadzwonię do tego znajomego w skarbowce i podam dokładne namiary. Pójdzie dobrze, to chłopak podzieli się ze mną premią za odkrycie przekrętów.

Magda tylko się uśmiechnęła.

- Nie wyda się! - powiedział z mocą, kiedy, spójrzawszy na niego z obawą, spytała, czy ktoś przypadkiem nie odkryje, kto faktycznie stał za oszustwami.

- Wszyscy będą szczęśliwi, że znalazł się kozioł ofiarny. Nikt nie trafi do mnie. Przecież jego nikt nie lubi.

Istotnie - nikt w Marche nie lubił Adama. Nikogo innego również nie. Jeśli mówić o przyjaźni, to między pracownikami koncernu była ona męska i szorstka niczym przyjaźń Kwaśniewskiego z Millerem.

Zbyszek zajrzał do kolejnej teczki. Nic, cholera. Nie mógł znaleźć właściwych dokumentów. Gdzie one się podziały? Pomyślał, że wybrał niezbyt dobry dzień na spiskowanie - przez cały czas prześladował go pech. Wysyłane przez niego maile nie dochodziły, pliki znikwały z twardego dysku, kontrahenci, do których udawało mu się dodzwonić, bądź rzucali słuchawką, bądź też zanim rzucili słuchawką, wyzywali Zbyszka od najgorszych. Jeżeli dodać do tego awarię samochodu, przesolony lunch, głupią utarczkę z Nowickim oraz kawę rozlaną na klawiaturę i spodnie od garnituru, to w zasadzie Zbyszek nie powinien się dziwić, że mu nie idzie. Wielu ludzi, którzy mimo pracy w wielkim mieście pozostali przesądni, zapewne zrezygnowałoby z wysiłków i przełożyło całą akcję na inny, bardziej sprzyjający moment. Zbyszek jednak był umysłowością na wskroś laicką, a lewicowo-liberalny światopogląd nie pozwalał poddać się czemuś tak irracjonalnemu jak pech.

- Pech nie istnieje - zawołał buńczucznie.

W tej samej chwili zawieszona na ścianie szafka, spadając, rąbnęła Zbyszka w głowę.

- Kurwa - stęknął.

Sięgnął dłonią szyi i poczuł, że ze skaleczenia płynie krew.

Szczęście, że była pusta, pomyślał, widząc, że tę obok wypełniały segregatory z papierami. Uważniej przyjrzał się ścianie. Kołki rozporowe, na których zawieszono mebel, tkwiły dalej w murze, nietknięte.

- Co to ma być? - rzucił w stronę ściany, jego głos drżał oskarżycielsko. - To nie miało prawa spaść.

W biurze zaległa cisza, do uszu Zbyszka nie docierał nawet szum samochodów, mknących ulicą Królowej Jadwigi. Nikt zatem nie odpowiedział, co, przyzwyczajony do meetingów w firmie, potraktował jako pełną zgodę. Nagle, zupełnie jak w amerykańskich thrillerach, odwrócił się, chwytając w dłoń jeden z cięższych segregatorów, - Zdawało mi się - westchnął. Mimo dojmującego wrażenia czyjejs obecności nie znalazł nikogo. Machinalnie dotknął czoła i zdał sobie sprawę, że jest mokre od potu. Wciąż kurczowo trzymając segregator, który miał posłużyć jako broń, poszedł kilka kroków w głąb biura, nieufnie przyglądając się szafkom i biurkom.

- Cholera, przysięgłbym, że coś słyszałem. Ale to pewnie sprzątaczk... Ta myśl wcale go nie uspokoiła. Dotknął włącznika, a całe piętro rozjaśniło się zimnym, mlecznym światłem. Zbyszek skradał się przez korytarz krokiem, który podpatrzył w filmach klasy B. Zawsze chciał być jak Chuck Norris. Wreszcie miał okazję.

Mijając pokój Adama, przystanął. Spojrzał nienawistnie na puste krzesło. - Niedługo - syknął, a w jego głosie była ilość jadu zdolna zabić każdego węża. - Znikniesz stąd na dobre.

Stał tak przed pokojem Niezgody kilka minut i dopiero po dłuższym czasie spostrzegł, że w szybie coś się odbija. Jakaś postać. Pierwsza, oczywista myśl była taka, że widzi siebie samego. Po niej przyszła następna refleksja, znacznie bardziej niepokojąca.

- Przecież ja nie noszę jebanego kapelusza - wyszeptał Zbyszek, odwracając się błyskawicznie i rzucając segregator w kierunku napastnika. Rozległ się trzask i brzęk tłuczonej szyby. Szklana ściana, oddzielająca pokój merchandiserów, tysiącem okruchów posypała się na podłogę. Zbyszek dyszał ciężko, rozglądając się na boki.

Żadnego napastnika nie było.

- Ja pierdołę! - krzyknął. - Wyłaż, dupojebie. Wyłaż! Biuro jednak pozostawało nieme i obojętne na Zbyszkowe przekleństwa. Ściany wciąż tak samo białe i bezduszne, pomieszczenia ciche, a monitory zimne i czarne.

- Cmentarz.

Zbyszek ruszył przed siebie. Był pewny, że widział coś, kogoś, w szybie. Choć, oczywiście, mogło to być również złudzenie, wyjątkowo niefortunny układ światła i cieni, powodujący pomyłkę.

- Jak ja się z tego wytłumaczę?

Zbyszek z przerażeniem przyjrzał się zniszczeniom. Szklany gruz zakrywał całą powierzchnię podłogi, segregator leżał pośrodku tuż obok nowiutkiego dwudziestojednocalowego LCD. Monitor właśnie zakupiono z myślą o Nowickim.

- Chwała Bogu, że segregator nie poleciał kilka centymetrów dalej - powiedział, choć wcale nie wierzył w Boga.

Nie wierzył zresztą w żadne nadnaturalne byty. Rzeczywistość w jego rozumieniu była do bólu materialna, a życie sprowadzało się do bezustannego zaspokajania potrzeb. W wypadku Zbyszka górę zazwyczaj brały potrzeby przyziemne, by nie rzec - fizjologiczne. Dlatego z dużym sceptycyzmem traktował wszelkie opowieści o duchach, cudach, niepsujących się ciałach świętych, nawiedzonych domach czy UFO. Wszystkie wydawały mu się jednakowo nieprawdopodobne.

- A nawiedzony wieżowiec? Wszedł do pokoju informatyków, zabierając stamtąd kilka ciężkich kabli do komputera. W razie niebezpieczeństwa, ocenił, kable będą lepszą bronią niż segregator. Wychodząc, raz jeszcze popatrzył na szklane odłamki. Jeden z nich, szczególnie duży, ze względu na trójkątny kształt i rozmiary kojarzył się z serem Brie. Mógłby też, co Zbyszek stwierdził z zadowoleniem, stanowić całkiem niezłą broń. Mężczyzna schylił się po szkło, a wtedy kątem oka znowu spostrzegł - no właściwie, co to było? Postać? Odbicie? Cień? Złudzenie?

Zbyszek stanął pośród odłamków wyprostowany jak struna. Dłoń zaciskała się na kawałku szkła, pomiędzy palców płynęły strużki krwi, a serce biło w rytmie agresywnego techno. Spojrzał w głąb korytarza, w stronę pokoju konferencyjnego. Pobiegł w tamtym kierunku, sądząc, że tam musiał się kryć intruz. Minął po drodze aneks kuchenny i w przelocie zerknął w lustro.

W tej samej chwili, znów gdzieś na skraju pola widzenia, mignął cień.

- Skurwielu! - ryknął Zbyszek, który był pewny, że przybysz zbiegł do salki konferencyjnej. - Ty skurwielu! - powtórzył, stając w drzwiach pokoju.

Ze ścian obojętnie patrzyły na Zbyszka portrety założycieli firmy.

- Jak to? - zawołał zdziwiony.

Pokój konferencyjny świecił pustkami.

- Nie! Nie! Nie!

Zbyszek cofał się, nie wierząc własnym oczom. Wolałby zastać w konferencyjnym włamywacza, ducha, jakiegoś zombie albo nawet, cholera, szefa - kogokolwiek, co pozwalałoby sądzić, że nie postradał jeszcze zmysłów. Pustka jednak nie dawała mu tej szansy. I dlatego tak przerażała.

Kiedy tak stał pośrodku zdemolowanego pustego biura, trzymając w jednej dłoni ciężki kabel, w drugiej - mimo skaleczeń - odłamek szkła, kiedy rozważał to, czy właśnie traci zmysły, w biurze zgasły światła. Wszystkie. Przyłgnął do ściany, wstrzymując oddech. Przez chwilę wzrok przyzwyczajał się do mroku, a Zbyszek przez ten czas nasłuchiwał. Ktoś szedł korytarzem. Dźwięki były zbyt realne, hałasy zbyt oczywiste, by mógł je produkować obłąkany umysł. Ktoś szedł.

W jego kierunku.

Powoli, po kilka centymetrów, przesuwał się w stronę dźwięków. Czuł, że szkło coraz mocniej kaleczy mu palce, ale miał to gdzieś. Ważne, że zaraz dostanie drania, który bawił się z nim w kotka i myszkę. Za moment. No, Zając, ja ci jeszcze pokażę... W myślach liczył kroki. Jeszcze cztery.

Zbyszek słyszy szuranie. Ten, który się zbliża, wcale nie jest taki zręczny, jak można by przypuszczać po jego nagłych zniknięciach.

Trzy.

O, właśnie uderzył o ksero, stojące na korytarzu. Wnęka jest zbyt płytka, dlatego przechodząc, wszyscy o nie trącają.

Dwa. Palce mocniej zaciskają się na szkle. Jeden. Zbyszek jest już spokojny. Jak tafla pierdolonego jeziora w chłodny bezwietrzny poranek. Wie, co ma zrobić. Teraz!



Renata wróciła późno.

Zbyt późno - tak przynajmniej skomentowałby sytuację Sapkowski, ulubiony polski autor jej męża. Uśmiechnęła się pod nosem. Z politowaniem.

Gdy weszła do domu, dobry humor ulotnił się jak policjanci na widok dresiarzy. Jeśli liczyła, że Adam zrobi cokolwiek - pozmywa naczynia, uprzątnie talerze czy nakarmi psa - czekało ją rozczarowanie porównywalne z doświadczeniami kibiców obstawiających polskie kluby w eliminacjach do Ligi Mistrzów. W kuchni panował chaos, szafki z naczyniami straszły pootwieranymi drzwiczkami, na blacie nieopodal zlewu stały dwie szklanki wypełnione do połowy wodą, a biały obrus zdobiła nieregularna zielonkawa plama.

Westchnęła.

Back to the real world.

Plama pachniała alkoholem i jałowcem. Zrezygnowana spojrzała na drzwi od biblioteki. Adam musiał być właśnie tam - od czasu do czasu zwykł chować się w bibliotece na piętrze, sam na sam w towarzystwie butelki whisky, kilku cygar i *Alicji w Krainie Czarów*. Do tego DVD z *Piwnicą pod Baranami* - jej mąż uwielbiał starsze nagrania, w których mógł zobaczyć Skrzyneckiego. Zamykał wtedy drzwi i trwał niewzruszony w swej samotności. Potrafił tak siedzieć godzinami.

Nowofundland trącił Renatę zimnym nosem. Nie uśmiechnęła się. Miała dość. Serdecznie dość męża, małżeństwa, domku na wsi. Były momenty, w których życzyła Adamowi najgorszego. Albo inaczej! - szybko się poprawiła - bywają jeszcze takie momenty, w których życzę mu dobrze.

Kiedy więc za oknem błysnęły jaskrawoniebieskie światła radiowozu, kiedy syrena zawyla pod oknami jak wilk do księżycy, a Renata ujrzała dwie rosłe postacie wysiadające z radiowozu, pomyślała, że spełniły się jej złorzeczenia.

- Z mężem? - zapytała, otwierając drzwi i wsłuchując się w niewyraźną mowę funkcjonariusza o fizjonomii człowieka z Cro-Magnon, obok którego wyrósł zaraz drugi policjant, drobny i wymuskany, żywe zaprzeczenie kromaniończyka.

- Owszem - wymuskany był znacznie bardziej wymowny i nie pozwolił dojść do słowa swemu nieokrzesanemu koledze. - Chcielibyśmy widzieć się z pani mężem. O ile - tu teatralnie przerwał, a gliniarz z Cro-Magnon równie teatralnie trzasnął palcami - mąż jest w domu.

- Jest? - zaburczał kromaniończyk, tym razem, i o dziwo, zrozumiale.

Renata próbowała nie zerkać w jego stronę - ilekroć obracała głowę, miała wrażenie, że funkcjonariusz porwie zwęglone drewno z kominka i zacznie kreślić na jej ukochanej ścianie koloru ecru dzieła sztuki naskalnej.

- Tak - odpowiedziała niepewnie. - Myślę, że jest.

- Myśli pani? - Wymuskany starał na siłę wpasować się w archetyp cynika i inteligenta. Szło mu średnio.

Renata popatrzyła na niego niechętnie. Mimo że przed momentem sama wściekała się na Adama, teraz czuła, że budzi się w niej atawistyczny instynkt obrony własnego terytorium. - O co chodzi? Czy mąż jest o coś podejrzany? Coś się stało?

- Stało się! - Głos kromaniończyka zabrzmiał groźnie. Badawczym spojrzeniem łowcy omiół wnętrze domku. Jego wzrok zatrzymał się na drzwiach do biblioteki. - Tam? - spytał.

Renata potwierdziła skinieniem. Nie mógłby reklamować colgate, pomyślała mimochodem, gdy kromaniończyk odsłonił w drapieżnym uśmiechu krzywe zęby. Kiedy policjanci pierwszy raz zapukali do drzwi biblioteki, a one nie otworzyły się, tłumaczyła sobie, że Adam, zaczytany, zlekceważył pukanie. Druga próba była znacznie bardziej energiczna, ale równie bezskuteczna.

Wówczas Renacie przyszło do głowy, że najprawdopodobniej mąż upił się i teraz próbuje wstać z podłogi. Przecież ta zielonkawa, śmierdząca wódka płama na obrusie nie wzięła się z niczego. Gdy po długiej przerwie kromaniończyk załomotał do drzwi po raz trzeci i w dalszym ciągu nie było żadnej reakcji, Renata uświadomiła sobie, że pokój jest pusty. Te uderzenia, krzyki, hałasy obudziłyby umarłego.

Podobnie musieli pomyśleć policjanci, bo wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia, a wymuskany wtrącił:

- Pierwsza myśl najlepsza. Mówiłem, że koleś musiał w tym maczać palce.

- Maczać palce? W czym? - Niezgoda wyłonił się zza drzwi niczym duch.

Kromaniończyk cofnął się niepewnie, a wymuskany odskoczył od drzwi i potknąwszy się na schodku, sturlał się na parter. Adam oglądał całą scenę, jak gdyby była to kreskówka w Cartoon Network - beznamiętnie, znudzonym wzrokiem, tęsknie szukającym czegoś, czego mógłby się napić.

- Wyglądasz jak upiór. - Renata zwerbalizowała myśl całej trójki, widząc siną twarz męża i jego mętne oczy.

Nie zwróciwszy uwagi na leżącego policjanta, podbiegła do Adama, starła płynącą po policzku kroplę krwi. Niezgoda czknął, a wówczas nie dało się ukryć dłużej oczywistej prawdy. Upił się, co przede wszystkim było czuć.

- Chciałem spytać - zaczął wymuskany, zbierając dokumenty z sosnowych paneli, którymi wyłożona była podłoga. - Ale nie zapytam. Widzę, że nie miał pan z tym nic wspólnego. Jednak nie.

- A z czym niby?

Adam z wolna odzyskiwał przytomność. Zły sen rozplątywał się w rzeczywistości. Która, jak się okazało, wiele się od niego nie różniła.

- Zbyszek. Zbyszek Patycki - powiedział kromaniończyk głosem głębokim jak jaskinie, które zamieszkiwali jego przodkowie.

Niezgoda skrzywił się, jego twarz przypominała przez chwilę kogoś, kto niespodziewanie rozgryzł ziarno pieprzu. Wróciły nieprzyjemne wspomnienia z pracy, przed oczyma stanęła mu zarozumiała twarz Zbyszka, jego uśmiech, pewnością siebie kłujący w oczy, wróciły wbijane w plecy maile. Wrócił wreszcie chory, dziwaczny sen. - Zbyszek? - powtórzył Adam za funkcjonariuszem, a kto chciałby w jego głosie doszukać się choćby cienia sympatii, szukałby na próżno.- Wyskoczył z okna. Wymuskany - bo to on oznajmił wiadomość - wyglądał na człowieka wprawionego w przynoszeniu podobnych nowin. Jego twarz trwała nieruchoma, przypominała rzeźbę. Pozostała niezmienna, gdy przybliżał Adamowi okoliczności zdarzenia.

Najpierw opisał szereg zniszczeń, których Zbyszek dopuścił się w biurze, co spowodowało, że Adam po myślał o swoim znienawidzonym koledze nieco cieplej. Sam wielokrotnie miał ochotę zrobić z siedziby Marche to, co Katrina zrobiła z Nowym Orleanem. Kolejne szczegóły były jednak znacznie mniej wesołe. Nie wiadomo, dlaczego Zbyszek rzucił się na sprzątaczkę w biurze. Kobieta dotkliwie poraniona przebywała teraz na oddziale intensywnej terapii. Policjant wyraził przypuszczenie, że to wydarzenie spowodowało ów skok z okna - przerażony konsekwencjami swojego czynu Zbyszek postanowił popełnić samobójstwo.

- Myśleliśmy też, że ktoś mu w samobójstwie pomógł. - Niewysoki funkcjonariusz spojrział na Adama.

Niezgoda mógłby przysiąc, że w oczach mundurowego dostrzega rozczarowanie.

- Szybko ustaliliśmy, że miał pan z nim zatarg. - W głosie wymuskanego pojawił się ostrzejszy ton. - Miał pan motyw...

Przerwał. Pociągnął nosem, a to, co poczuł od Adama, nie mogło bynajmniej uchodzić za świeżość o poranku.

- Miał pan motyw - podjął - lecz w tym stanie nie sądzę, by zdołał pan dojechać do Poznania, wypchnąć Patyckiego z okna i wrócić tutaj. Nie. Idziemy.

Obaj funkcjonariusze w milczeniu ruszyli w stronę drzwi. Gdy od wyjścia dzielił ich ledwie krok, zatrzymał ich głos Adama.

- Dlaczego? - zachrypiał i chwiejnie przeszedł kilka metrów w stronę policjantów. - Dlaczego myślicie, że ktoś... ktoś pomógł mu wyskoczyć?

Kromaniończyk powoli odwrócił się ku niemu. Bez słowa przejechał palcem po gardle.

- Bo widzi pan - zaczął wymuskany - pański kolega z pracy... Jak by to rzec... Kiedy go znaleźliśmy... Hmmm, no tak. Jego głowa...

- Głowy nie było - dokończył kromaniończyk.

8

- Głowy nie było - psychiatra pokiwał swoją, ciesząc się, że w jego wypadku jest ona na miejscu.

Opowieść Adama brzmiała niesamowicie i Roman początkowo brał ją za kolejny wyraz umysłowych aberracji swojego przyjaciela. Następny dowód, że Niezgoda popadał w obłąd. Gdy wreszcie rzucił okiem na przyniesioną przez Adama gazetę, musiał przyznać, że wersja zdarzeń przedstawiona przez niego była prawdziwa. Przynajmniej w części.

- Kiedy zjawilo się tych dwóch w nocy, wiedziałem, po co przyszli - gorączkował się Adam. - Wiedziałem, czego chcą, jeszcze nim się odezwali. Ja... - mówił teraz ciszej, pochylając się w stronę Romana. W twarz psychologa uderzył zapach przetrawionego alkoholu. - Ja to widziałem. Byłem tam.

- Byłeś? Jeżeli wypileś choć połowę tego, ile powiedziałeś, nie mogłeś ruszyć się dokądkolwiek. Alkohol bywa najskuteczniejszą kotwicą.

- Roman, ty nie rozumiesz! - Niezgoda podniósł głos. Palcami zakręcił młynka, prawą ręką zamachał w dziwacznym zaprzeczeniu.

Hiperreaktywność, przemknęło przez głowę psychiatrze. Gwałtowne wyładowania ruchowe. Kolejny objaw. Więc jednak schizofrenia, postać hiperkinetyczna.

- Nie rozumiesz! - Adam gestykulował przesadnie, wpisując się w archetyp Żyda targującego się o cenę. - Byłem tam we śnie!

Głowacki zastanawiał się właśnie, w jaki sposób uzmysłwić przyjacielowi, że podczas snu ludzie chodzą raczej mało, a już ci zamroczeni alkoholem nie mają w zwyczaju chadzać w ogóle, kiedy zabrzmiał telefon.

- Ta sama, co poprzednio? - zaciekawił się Adam, wysłuchawszy następnej, poprzetykanej czułościami wymiany zdań, zakończonej solenną obietnicą, że psychiatra spotka się z nieznajomą w kawiarni. - Chciałbym - dodał smutno Niezgoda - żeby i u mnie się tak układało.

- Grzeszysz! - skarcił przyjaciela Roman. - Masz świetną żonę!

- Która mnie zdradza! - Wybuch nastąpił tak niespodziewanie, że Głowacki aż odskoczył.

Adam uderzył dłonią w blat z taką siłą, że psychiatra w myślach pożegnał się ze swym ulubionym biurkiem. Twarz Niezgody, przed momentem spokojna, wyostrzyła się, rysy nabrały agresji. A w oczach... w oczach psychiatra zobaczył to, co oglądał z racji swej profesji wielokrotnie.

- Nikomu nie mogę wierzyć. Nikomu. Nawet jej. Roman westchnął nieco przesadnie. Nic nie mówił, czekając, aż opadną emocje. Obserwował rozbiegane oczy, grymasy, gesty zastygłe w pół, niedokończone, sprawiające wrażenie, że rzeźbiarz znudził się swoim dziełem, nie doprowadzając go do końca. Rozważał, czy jego przyjaciel może okazać się niebezpieczny. Dotąd psychiatra sądził, że kontroluje sytuację, lecz zwątpił w pewnej chwili, widząc Adamowe źrenice. Przypominają... pomyślał, ale zaraz się poprawił. Ważne jest to, czego nie przypominały.

A nie przypominały oczu Adama. Adama Niezgody, którego Roman znał - zapracowanego finansisty, szczura korporacji, twardo stąpającego po ziemi, asfalcie, pozbruku i konkurentach w firmie.

Przez moment wrażenie obcości było tak silne, że Romanowi zdało się, że siedzi przed nim ktoś inny, ktoś, kto jedynie powierzchownością przypomina Niezgodę. Przecież obłęd nie jest zaraźliwy, skarcił się w myślach, zerkając na Adama, którego twarz z wolna łagodniała. Wreszcie, stwierdziwszy, że przyjaciel uspokoił się, oznajmił: ;

- Jutro będę miał leki. Powinny pomóc. Do tego czasu odpoczywaj. Nie ruszaj się z domu, co najwyżej pomyśl o spacerze po lesie. Niezgoda stał się naraz łagodny jak baranek. Oto wzór pacjenta współpracującego znakomicie z lekarzem, realizującego każde z jego

polecień. Ciekawe, czy długo, zastanowił się Roman. Z doświadczenia wiedział, że takie wrażenie często bywa mylące.

Miał rację.

Kiedy tylko Adam wrócił do domu i zamiast żony zastał karteczkę informującą, że tego dnia znów spotyka się z koleżanką, zalecenia lekarskie trafiły do kosza wraz z karteczką od Renaty i przygotowanym przez nią obiadem, na którym Adam wyładował irytację.

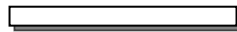
- Nikomu nie mogę ufać! - krzyknął Niezgoda. - Ani jej! Ani tobie! Westchnął.

- Nie ruszaj się z domu! - z zimnym uśmiechem na ustach przedrzeźniał Romana, podczas gdy fabia kombi niosła go do Poznania. Robił dzikie grymasy do lusterka samochodowego, a ten, którego chwilami tam dostrzegał – odpowiadał.

- Więc jednak - Adam mówi cicho, zaciska pięści, łzy płyną strumieniami, uliczne lampy przygasają. Przegląda się w kałuży deszczówki, zebranej we wgłębieniu przy krawężniku.

Kiedy później wróci myślami w przeszłość, stwierdzi, że jego los przypieczętowany został właśnie w momencie, gdy powtórzył głosem pełnym bólu:

- Więc jednak!



Próbował jeszcze podjąć walkę. Próbował tłumaczyć samemu sobie, co owocowało pełnymi nieufności spojrzeniami, jakimi obdarzali go przechodnie, spostrzegając, że mamrocze pod nosem. Ludzie ci nie mieli dla niego w tamtej chwili żadnego znaczenia.

- To zwidy, tylko zwidy, jestem, kurwa, chory, przecież tam nawet nie poszedłem! Nie mogę!

Od godziny Adam zataczał kręgi niczym wilk wokół rannej zwierzyny. Szedł ulicą Kościuszki aż do Collegium Historicum, skręcał w lewo, w Święty Marcin, potem w Gwarną, przy Okrąglaku zbaczał w ulicę 27 Lutego, a kiedy docierał do budynku Arkadii, odbijał w 3 Maja tylko po to, by przeciąć plac Cyryla, pójść w dół ulicą Libelta i znów skręcić w Kościuszki.

- To już czwarty raz - policzył, mijając stojące na Libelta dziwki, które strzelały do niego oczami, myśląc najwyraźniej, że jest potencjalnym klientem, jednym z tych, co nie mogą się zdecydować.

- Francuza? W krzaki? - krzyczała do Adama dziewczyna o pięknych nogach i smutnej twarzy.

Mogła mieć co najwyżej siedemnaście lat, a młodość wstydliwie kryła pod warstwą mocnego makijażu. Niezgoda nie zwracał na nią uwagi. Krążył.

Wystarczyło skręcić gdzie indziej, odbić na placu Cyryła w lewo, w Mielżyńskiego - po kilkudziesięciu krokach byłby na miejscu. Za drugim i trzecim okrążeniem nawet skręcał, ale zaraz wracał do stałej trasy.

Kawiarnia literacka „U Przyjaciół”, na dziedzińcu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przytulne, magiczne miejsce. Na myśl o kawiarni przechodziły po plecach Adama ciarki.

Bywał tam wielokrotnie, choć ostatni raz bodaj rok wcześniej. A teraz miał ją wciąż przed oczyma - dziewiętnastowieczny dziedziniec, wspaniała księgarnia, świetna biblioteka, posąg Mickiewicza i wejście do knajpki kryjącej tajemnicę.

Renata bardzo lubiła tam chodzić. Kiedy tylko przymykał oczy, widział ją w środku. Siedziała przy stoliku - nie, bynajmniej nie sama, tuż przy niej siedział mężczyzna, który głaskał jej dłonie i całował końce palców.

- Skurwielu!!! - Adam wyl w rozpacz, patrząc na faceta siedzącego przy jego żonie. - Ty skurwielu! Opamiętanie przychodziło po chwili, gdy wizja się ulatniała. Wtedy Adam konstatował, że to wszystko przywidzenia - choć niezwykle realne. Bo przecież słyszał, co do siebie mówią, czuł zapach ciasta marchewkowego. - Urojenia - powtarzał wtedy. Zupełnie bez przekonania.

Nie miał jednak odwagi przekonać się na własne oczy, bo gdyby okazało się, że to nie złudzenia, nie powstrzymałby się i skręciłby gnojki kark.

- Ej, ty, normals! Tak, kurwa, ty. Nie udawaj, że nie słyszysz, pniaku!

Podniósł wzrok. Przed nim, obok kilkunastoletniego BMW, stojącego w cieniu zamku, spostrzegł trzech mężczyzn. Głowy łyse, dresy, na szyjach łańcuchy, szaliki z emblematami Lecha Poznań, spojrzenia tępe jak u posłów Samoobrony.

- Profesorek - zaśmiał się najwyższy, który Adamowi skojarzył się z trollem z *Władcy Pierścieni*. - Ciekawe, czy ma wypchany portfel?

- Albo kartę. Bankomat o kilka kroków.

- No właśnie, cwelu ruchany, kartę dawaj. I PIN pierdolony.

Próbował ich wyminąć, przejść mimo, nie zauważając, lecz oni, szybko zmieniając geopolitykę ulicy, nie dali mu szansy. Ten podobny do trolla chwycił Adama za kołnierz kurtki, pociągnął do tyłu, drugi popchnął na mur, a najniższy z trzaskiem otworzył nóż.

- Nie rozumiemy się? Wyglądasz mi na pierdolonego warszawiaka. Czego ty tu szukasz?

- Szuka kogoś, komu odda portfel.

- Nie słyszałeś, pniaku? Karta!

Przyparty do zamkowego muru Adam czuł ostre krawędzie kamieni wrzynających się w jego plecy. Rozpaczliwie rozglądał się, szukając ratunku. Ulica Kościuszki była o tej porze dość ruchliwa, sporo osób szło do położonych w zamkowych piwnicach klubów - „Blue Note” i „Bogoty”, lecz nikt, mimo krzyków Niezgody, nie zareagował, nie przyszedł z pomocą. Polska, pomyślał Adam. Polska A.D. 2007. - Nie fikaj - warknął troll, wałąc Niezgodę w szczękę. Adamem rzuciło, upadł dwa kroki od nich. Wstał z trudem. Czuł, że z nosa cieknie ciepła, lepka ciecz. Spojrzał na chodnik. Krew.

- Karta, śmieciu - zarechotał troll, wyciągając rękę. - Karta.

- Nie! Odpowiedź Adama zaskoczyła ich tak bardzo, że przez moment nie wydawali z siebie słowa. Niezgoda zdążył nawet pomyśleć, że może zostawić go w spokoju. Lecz nie, ich milczenie okazało się tylko antraktem, przerwą na zastanowienie, w czasie której układali cięte wobec Niezgody riposty.

- Jak, kurwa, nie? - rzucił pierwszy.

- PEN, karta, portfel, łochu - warknął ten trollowaty. - Bo jak nie...

- Kosa we flaki - oznajmił ostatni, bawiąc się sprężynowym nożem. - Wybieraj glucie, kosa albo siano.

Adam tylko kręcił głową.

Ruszyli na niego, oszczędziwszy sobie dalszego gadania. Troll dzielił Niezgodę otwartą dłonią, posyłając na maskę stojącego w pobliżu samochodu. Adam przeturlał się po srebrzystym fordzie focus, upadł na chodnik, tuż przed panienką w szpilkach, bluzeczce kusej na tyle, by nie zakrywała kolczyka w pępku, i obcisłych spodniach, odslaniających łydki w czarnych rajstopach. Dziewczyna spojrzała obojętnie najpierw na Adama, potem na osiłków, zgrabnym krokiem ominęła leżącego i kałużę krwi, i poszła w kierunku dyskoteki. Gdy schodziła schodkami do „Bogoty”, drugi z dresiarzy metodycznie kopał Adama w brzuch.

To jeszcze nie ten z nożem, myślał Niezgoda. Całe szczęście, że nie z nożem.

Jednak nożownik był niedaleko, zbliżał się powoli, wykrzykując, co robi Adamowi, kiedy już dostanie go w swoje ręce.

Wtedy, po raz kolejny tego dnia, wzrok Niezgody zamglił się. Dostrzegł białego królika, dostrzegł ciemną plamę, a nade wszystko - człowieka w kapeluszu. Królik dawał znaki, wskazywał drogę ucieczki z koszmaru, wskazywał norę, lecz Kapelusznik kiwał głową z dezaprobatą. Zawsze pozostawał w ukryciu, zawsze milczał, lecz teraz Adam usłyszał jego chropowaty głos:

- Chyba nie załatwiłeś wszystkiego?

Palec zjawy wskazywał bandytów.

Adam wahał się, lecz niezbyt długo, tylko do czasu otrzymania kolejnego kopniaka. Nie zwracając uwagi na dresiarza, który właśnie zamierzał się do następnego kopnięcia, obrócił spojrzenie w stronę zjawy.

- Nie.

Widmo w kapeluszu z zadowoleniem skinęło głową. Dresiarz chybił, zamiast Adama kopnął w zderzak focusa. Niezgoda wstał.

- Ty worze! - napastnik zaryczał głosem prawdziwego trolla.

Nie myślał już o karcie kredytowej, jego zachowaniem kierowały instynkty bardziej pierwotne i motywy bardziej irracjonalne. Kiedy Adam popatrzył na dresiarzy, na wykrzywione wściekłością twarze, na nabrzmiałe żyły, na pięści zaciśnięte, zrozumiał - teraz nie idzie o pieniądze, idzie o życie.

- Albo oni, albo ja - szepnął, kiedy bandyta biegł w jego stronę z obnażonym nożem. - Albo oni...

Nadal nie miał pomysłu, w jaki sposób się bronić. Byli zbyt duzi, zbyt silni, było ich trzech. Mimo to - nie czuł strachu. Wiedział, że widmo w kapeluszu stoi tuż obok niego i to, paradoksalnie, go uspokajało. Kiedy nożownika dzieliły od Adama centymetry, znów usłyszał chropowaty głos:

- Wpuść mnie.

- Tak - odparł bez zastanowienia.

A nanosekundę później coś się zmieniło. Nadal był Adamem, świat z pozoru wciąż wyglądał tak samo, jeszcze nie umiał opisać istoty zmiany, która zaszła, lecz wyczuwał ją na poziomie sygnałów nie do końca uświadomionych, za pomocą czegoś, co, być może, wywołałoby uśmiech politowania na twarzy sceptyka, lecz co (jednak!) działało - intuicji. Dresiarz pchnął nożem, celując w Adamowe zębra i to bynajmniej nie po to, by wydobyć stamtąd biblijną Ewę. Zamiast Niezgody ostrze przeorało jednak karoserię fordą. - Jak to? - powiedział oniemiały napastnik. Ada ma, stojącego jeszcze przed momentem tuż obok niego, nie było. - Znikł?

Nożownik obejrzał się przez ramię, słysząc głośny trzask i krzyk trolla, który leżał na plecach w swoim BMW, pośród odłamków szyby. Dopiero po chwili bandyta zrozumiał, co się stało. Nie istniało inne wytłumaczenie - Niezgoda, który był teraz tuż przy samochodzie trolla, musiał wrzucić przywódcę całej grupy do BMW. Przez przednią szybę.

Drugi dresiarz, ten, który wcześniej kopał Adama, zamachnął się, ale jego cios przeciął powietrze. Niezgoda, nie wiadomo jakim sposobem, znalazł się za nim i z całej siły uderzył go w skroń. Coś chrupnęło nieapetycznie.

Nożownik nie czekał dłużej, ruszył w stronę Niezgody, który spokojnie patrzył, jak uderzony w głowę dresiarz osuwa się na chodnik. Bandyta wiedział, że musi działać szybko - ten fajfus, z którym walczyli, okazał się wyjątkowo sprawny. Dlatego też cios wyprowadził jeszcze w biegu, jeszcze wtedy, kiedy pniak stał bokiem do niego. Poczul, że nóż wchodzi aż po rękajeść.

Nareszcie!

W następnej chwili nożownik zorientował się, że Adam wciąż stoi obok, a jego dłoń, uzbrojona w masywny kluczyk od skody, trafia go prosto oko. Nim zapadła ciemność, dresiarz zdążył pomyśleć jeszcze: „To kogo ja, kurwa, trafiłem”. Gdyby zachował przytomność bodaj dwie sekundy dłużej, poznałby zapewne głos kolegi (choć nieco zniekształcony), poznałby charkot wydobywający się ze zranionego gardła, zobaczyłby, jak biało-niebieski szalik barwi czerwień krwi. Lecz kluczyk wszedł głęboko, uderzenie bólu ogłuszyło nożownika, odbierając mu świadomość.

Niezgoda obrócił się w stronę trolla, który jęczał wewnątrz BMW. Dresiarz chciał się wydostać z samochodu, nieporadnie zamachał nogami, przywodząc na myśl żuka, przewróconego na plecy przez sadystycznie usposobione dzieci.

Nie wstanie, skonstatował Adam, przyglądając się swej ofierze. Uderzył mocno, dresiarz musiał mieć połamane żebra, a krwotoków wewnętrznych było zapewne więcej niż zewnętrznych.

Załatwione.

Znów poczul, że nastąpiła zmiana. Siły, pozwalające pokonać napastników, opuściły go równie nagle, jak się pojawiły. Nie pamiętał, jak tego dokonał, nie rozumiał, co pozwoliło mu przemieszczać się z szybkością taką, że zdało się, że jest w dwóch miejscach naraz.

Machnął ręką. Nieważne jak, ważne, że się udało. Z satysfakcją spojrzął na pokonanych, leżących u jego stóp. Kierowany impulsem uniósł w górę obie ręce, krzyknął triumfalnie, echo poniosło po ulicy dziki wrzask. - I co, może i tym razem powie pan, że nie miał z tym nic wspólnego? - Głos zza pleców zaskoczył go, więc odwrócił się błyskawicznie, zaciskając pięści.

Przed Adamem stało dwóch policjantów. Popatrzył na nich - jeden elegant, prawie metroseksualista, drugi z kilkunniowym niedbałym zarostem, wielki, zwały, o twarzy niebudzącej zaufania. Niezgoda nie słyszał, jak podchodzili, nie słyszał też, gdy podjeżdżał radiowóz, zaparkowany kilkanaście kroków dalej.

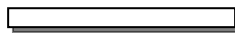
- Musimy pana zatrzymać. - Elegant przyjrzał się kałużom krwi, jego wzrok przesunął się na okrwawiony kluczyk od samochodu, który Niezgoda wciąż trzymał w dłoni. Dopiero

wtedy Adam uświadomił sobie, że tych gliniarzy spotkał już dzień wcześniej. - Ale pan sobie narobił kłopotów, panie Niezgoda.

Zagadnięty spojrział na policjanta szklistymi oczyma. Milczał, podczas gdy kromaniończyk podchodził powoli do każdego z trzech dresiarzy, chwycił za nadgarstek, próbował wyczuć puls, z niedowierzaniem, ale i podziwem kiwał głową, oglądając obrażenia napastników.

Wreszcie z ust Adama wyrwał się chichot. Nerwowy, pozbawiony radości, zimny.

Dreszcze przechodzą od tego cholernego śmiechu, pomyślał wymuskany, opinając obręczami kajdanek nadgarstki zatrzymanego.



Są wyspy pośród morza, oazy pośród pustyń i kobiety uczciwe pośród powszechnej rozwiązłości. Renata Niezgoda do takich kobiet należała, nie tylko w swojej opinii.

Przez długi czas.

- Zmęczyłam się - powiedziała, bawiąc się filiżanką. - Kiedyś naprawdę go kochałam, wiesz? Ale potem, przez te wszystkie kłótnie i podejrzenia, przez lata samotności, uczucie się zużyło, rozciągnęło i teraz przypomina znoszoną bluzkę, na dodatek potraktowaną zbyt silnym wybielaczem. Bluzkę, która zupełnie już do mnie nie pasuje. Patrzę w lustro i chce mi się płakać.

- Trzeba się przebrać. - Głos dobiegający z drugiej strony stolika był niski i ciepły, dokładnie taki, jaki Renata pragnęła usłyszeć.

Opanowanie i wiara we własne siły mężczyzny, siedzącego naprzeciwko niej, boleśnie kontrastowały z rozchwianymi reakcjami Adama. Tak, pomyślała, teraz czuję się bezpiecznie. Mogłabym go słuchać godzinami. Godzinami mogłabym z nim rozmawiać - jest jak najlepsza przyjaciółka.

Mógłby godzinami gładzić moją dłoń i całować koniuszki palców.

Uczucie - wciąż wahała się, by użyć słowa „miłość” - przyszło niespodziewanie. Być może winna była samotność, być może - w co chciała wierzyć - to wina Adama. Albo też, pomyślała, prawdziwe są te stereotypy o kobietach, o tym, że gdzieś głęboko w nich tkwi nasienie zła... Przestań! - zrugowała się, twoje myśli są równie tandetne jak dialogi bohaterów *Samotności w sieci*.

- Czujesz się winna? - spytał. Pokiwała głową w zamyśleniu, wbijając wzrok w rysunki porozwieszane na ścianach. Kawiarnia „U Przyjaciół” miała fascynujący, literacki rys, a przy tym, dzięki umiejętnemu dobraniu dekoracji, odnosiło się wrażenie podróży w czasie,

podróży do chwil, w których tworzyli Rimbaud czy Carroll. Półki po prawej stronie bufetu zapelniono książkami o twardych, podniszczonych okładkach, pachnących starością. Jednak Renacie najfajniejsze wydawały się zawsze kreślone ołówkiem kopie starych ilustracji do obu *Alicji...* Carrolla. Popatrzyła na najbliższy obrazek, wiszący tuż nad ich stolikiem. Światło lampy było przytłumione, a mimo to postać Kapelusznika widziała bardzo wyraźnie.

- Przez moment - zaczęła, zakreśliła palcem kosmyk włosów, chrząknęła niepewnie - przez moment miałam wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

- Pewnie kelner. - Jej rozmówca zaśmiał się przyjaźnie, ujął jej dłoń, pogłaskał. - Zresztą wcale bym się nie zdziwił. Jesteś piękna.

- Nie, nie o to chodzi. Zdawało mi się... - Zmarszczyła brwi. - Tylko obiecaj, że nie będziesz się śmiał, co? No, dobrze. Wydawało mi się, że obserwuje nas ten, o - palcem wskazała na Kapelusznika. - Naprawdę.

- To ulubiona powieść Adama, nie? Ta *Alicja*? - spytał mężczyzna. - Więc jednak czujesz się winna, to właśnie tak się objawia. Na każdym kroku czujesz się obserwowana, nie możesz w spokoju wypić kawy, nawet teraz co chwila spoglądasz odruchowo za siebie, profilaktycznie kasujesz SMS-y ode mnie, mimo że ich wielokrotne czytanie sprawia ci przyjemność. Jesteś wciąż spięta...

- Wiem - przyznała niechętnie, pociągając łyk latte z syropem orzechowym.

Przez moment milczała, wdychając zapach ciasta marchewkowego, upieczonego przez właścicielkę kawiarni i przysłuchując się szmerom rozmów przy pozostałych stolikach. Większość z nich była pusta, czekała jeszcze na gości, a tych, którzy chcieli usiąść, odstraszała kartka z napisem „Rezerwacja”.

- Wiem - powtórzyła. - Najchętniej nie wracałabym do domu. Do niego. Nie mam najmniejszej ochoty znowu go oglądać. Ma urlop, mówiłam ci? Ale, oczywiście, tyle wolnego czasu to dla niego szok, nie wie, co z nim zrobić. Zgadniesz, co było wczoraj? - Długą łyżką zadzwoniła o ścianki szklanki, oblizwała pianę. - Upił się! Upił się w trupa.

- Tak przypuszczałem.

- Co mam zrobić? - kontynuowała. - Co mam zrobić, żeby już nie wracać? Chciałabym być z tobą!

- Musisz wierzyć - odpowiedział. Jego głęboki głos świetnie wpasowywał się w atmosferę kawiarni. - Uda nam się. Sądzę, że już niebawem. Coś wymyślimy. Ja wymyślę.

- Widziałeś?! - Renata naraz krzyknęła, zrywając się z krzesła.

Nieco kawy jej rozmówcy rozlało się na stolik. Grupka dziewcząt, siedzących obok i obgadujących koleżankę z pracy, której z nimi nie było, spojrzała na panią Niezgoda nieufnie. Renata zmieszana zniżyła głos, przysunęła się do mężczyzny i szepnęła:

- Odwrócił głowę. Na obrazku. Kapelusznik. Mężczyzna uważniej przyjrzał się ilustracji, przecząco pokręcił głową. - Renatko, spokojnie. Jest tak, jak poprzednio. Może to cień ze świecy, może ktoś przechodził. Już dobrze. - Wariuję - westchnęła. - Chyba wariuję. Ale przysięgłabym, że się odwrócił. I w geście pożegnania uchylił kapelusza.

Jej rozmówca chciał to skomentować, lecz nie zdążył. Telefon Renaty zagrał *Smoke on the water*, szybkim ruchem wyciągnęła go z okrągłej skórzanej torebki, przyłożyła do ucha. - Czy rozmawiam z panią Niezgoda? - Głos w słuchawce brzmiał znajomo, Renata miała wrażenie, że słyszała go już wcześniej. Wreszcie stanął jej przed oczyma wymuskany policjant, który wczoraj odwiedził ich dom.

- Przy telefonie - odparła.

- Chciałbym z panią porozmawiać. Chodzi o pani męża.

10

Wsiadajcie madonny, madonny...

Zostawili ci lustro w pokoju? Coś podobnego! Niespotykane zaufanie, czyż nie? Jesteś przecież świrem, tak cię zakwalifikowali policjanci, zresztą czy można mieć do nich pretensję? Zastali cię wznoszącego triumfalne okrzyki, niczym King Kong bębniłeś dłońmi w piersi. A potem, gdy zaśmiałeś się histerycznie i rechotałeś tak dobre piętnaście minut, twój los został przesądzony.

Psychiatryk.

Niech cię to nie dziwi. Nie mogli się z tobą dogadać, ignorowałeś ich lub odpowiadałeś bez ładu i składu. W jaki sposób mieli się niby dowiedzieć, że to ja tobą wtedy kierowałem - każdy ruch ręką, każde skinienie, każde słowo - ja miałem nad tym kontrolę i nie zahałem się jej użyć. Spytasz, skąd tedy owe brednie, nic nieznaczący słowotok, sprośne śpiewki, głupie żarty? Cóż, nie mogłem się oprzeć. To przecież pierwszorzędna zabawa. Nieco też sobie pośpiewałem. Jakie oni, policjanci, mieli miny, słysząc Białoszewskiego, wyśpiewywanego twoim tubalnym głosem. W tych dowcipach, które się w twoim świecie opowiada, jest jednak sporo prawdy.

Do bryk sześciokonnych, ...ściokonnych!

Poza tym musiałem cię ratować. Gdyby nie ja, gdyby nie moje facecje, siedziałbyś nie w szpitalu, gdzie, mimo braku klamek, nie jest, przynajmniej, najgorzej, lecz w areszcie na

Młyńskiej. Pośród meneli, dresiarzy, złodziei samochodów czy zdradzonych mężów, którzy własnoręcznie wymierzili sprawiedliwość.

O, pardon, zdaje się, że nadepnąłem na odcisk.

Przed godziną wyszła ze szpitala Renata - nie chciałeś z nią rozmawiać, zwymyślałeś ją od najgorszych, krzyczałeś, że wiesz o jej romansie. Odeszła z płaczem. One doskonale potrafią udawać, czapki z głów.

Czy raczej - kapelusze.

Chciałbyś wiedzieć, co robi teraz? Do kogo teraz dzwoni, dokąd jedzie? Chciałbyś wiedzieć, dlaczego spogląda w niewielkie lusterko w samochodzie, dla kogo poprawia włosy, makijaż? Nie chcesz? W zasadzie się nie dziwię. A może ukażemy się jej w tym kieszonkowym zwierciadelku, co ty na to? Pewnie poraziłaby ją apopleksja, zawał, a może spowodowałaby wypadek samochodowy. Nie chcesz?

Cóż, zawsze miałeś zbędne zahamowania.

Konie wiszą kopytami nad ziemią.

Siedzisz więc teraz skulony w rogu pokoju, ściany śnieżnobiałe, choć nieco brudne, światło zimne, obce i bezosobowe. Zupełnie jak w twoim biurze, prawda?

Nie dostrzegasz zbyt wielu różnic między firmą a psychiatrykiem, czyż nie? Może tylko - brak komputera. Tylko że od teraz komputer nie będzie ci już potrzebny. Spojrzenie masz złężnione, a niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie. Najpierw, kiedy zobaczyłeś ciemną plamę w rogu sufitu, pomyślałeś, że to zaciek, że pękła rura, szpitalny budynek nie należał do nowych. Zaraz jednak zweryfikowałeś swe przypuszczenia - starczyło kilka minut, aby plama wypełzła na sufit i jęła przemieszczać się na drugą stronę, w kierunku ściany, na której wisiało lustro. Patrzyłeś wówczas na plachetek cienia wzrokiem zahipnotyzowanej kobry. Bo cień przybrał określony kształt.

Mój kształt - człowieka w kapeluszu.

W okrągłych ogniach, w klatkach z lin...

Z ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia śledziłeś więc powolny ruch cienia, obserwowałeś, jak ów majestatycznie płynie przez białe połacie sufitu, jak omija lampę, jak zsuwa się na boczną ścianę, ogarniając wreszcie lustro.

W tej samej chwili pojawił się łącznik. Cholera, sam nie wiem, czemu wygląda to w ten sposób, cóż, tak a nie inaczej jest nasz świat urządzony. Przyznaję, że widok łącznika może wprawiać w zakłopotanie. Ciebie wprawił, choć przecież widziałeś go nie pierwszy raz.

Biały królik.

Zaskoczenie rozumiem i wybaczam, lecz pora się otrząsnąć. Jest kilka spraw do załatwienia, nim będziesz, a w zasadzie będziemy mogli dołączyć do naszych przyjaciół, choć powiadam ci, warto się poświęcić, warto zadać sobie trochę trudu. Podano już do stołu. Podwieczorek trwa.

I w każdej bryce vis-à-vis...

Teraz twoja kolej. Czas decyzji. Zaśpiewaj ze mną. Zanim się jednak zdecydujesz, uprzedzę wpierw, byś później nie miał do mnie pretensji, zresztą ja zawsze

jestem szczery. Ostrzegam zatem - może boleć. Niedługo, prawda, nie dłużej niż kilka sekund, nim twoja świadomość przeniesie się w mój wymiar, jednak może boleć. Ogień bywa bezlitosny. Niestety, nie ma innej drogi.

No, chyba że zamierzasz tutaj zostać. Nie zamierzasz? Nie jestem zdziwiony, doprawdy. Znam cię przecież lepiej niż ktokolwiek inny. Znam cię, bo chociaż wciąż wzbranasz się przeciw tej, oczywistej, konstatacji, jest jasne, że ty i ja to...

Nie odwracaj głowy, gdy do ciebie mówię! Przede mną i tak nie uciekniesz. Wiesz, że jestem twoim jedynym ratunkiem. Nie lubisz przecież swojego świata, mierzi cię jego zakłamanie, a nade wszystko - mierzi cię nuda i wygoda. Tak, trafnie rozpoznajesz problemy, a jeśli pójdziesz ze mną, uzyskasz umiejętności pozwalające wiele zmienić. I oczywiście, nie obawiaj się, zdążysz pożegnać się z tym światem i z głupcami, którym się zdaje, że wszystko z nimi w porządku. Wprawdzie zostawili nam tylko zegarek, lecz to wystarczy. Damy radę.

Przestań zatem się ociagać. Cień już spłynął po ścianie do lustra. Spójrzyjże w nie wreszcie, wiem, że jesteś ciekaw. Spójrzyj, nie ma się czego bać. Odwagi, Adamie!

No, zuch chłopak.

Widzisz siebie? Widzisz mnie? Już rozumiesz?

Oto jestem.

Podchodzimy do ściany, pracowicie, krawędzią zegarka, drapiemy napis. Skończone?

Teraz więc się trzymajmy. Będzie bolało.

[Magnifikat!!!!](#)



Sylwia Jaroszyk poczuła, że musi zrobić sobie przerwę w pracy. Chociaż króciutką. Te krzyki, bełkoty, te rozkojarzone spojrzenia - wszystko ją dziś przygnębiało. Pracowała w szpitalu psychiatrycznym długo, myślała, że jest uodporniona, ale bywały sytuacje, kiedy jej nerwy nie wytrzymały. Obawiała się wówczas, że kiedyś - niedługo - znajdzie się po drugiej stronie. Że dołączy do zastępu Napoleonów, Aleksandrów Macedońskich i Bóg, który

zresztą również był w klinice obecny (i to w kilku osobach) wie, kogo jeszcze. Szukała wtedy zapomnienia w zwykłych czynnościach, poprawiała makijaż, celebrowała każdy łyk kawy. Doceniała dar codzienności.

Później wielokrotnie wracała wspomnieniami do tamtych chwil, kiedy czekała na znajomy trzask, sygnał, że czajnik elektryczny już zagotował wodę.

Zalała wrzątkiem kawę z trzech łyżeczek - zwykle nie piła tak mocnej, ale tego dnia czekał ją dyżur, a powieki dziwnie ciążyły. Wyszła z pokoju, podchodząc do zabrudzonego okna, i popatrzyła na szpitalny dziedziniec.

Za poplamioną szybą czekał kolejny przygnębiający obrazek. Zmarniała magnolia. Spojrzała na drzewo okolone wysoką trawą i prawie się rozplakała. Co roku na wiosnę magnolia wybuchała pięknymi kwiatami, lecz nie tym razem. Tym razem drzewo wyglądało strasznie, było pożółkłe, bezlistne i martwe.

Martwe.

Jak to się mogło stać, pomyślała, a jej oczy zrobiły się mokre, gdy przypomniała sobie słowa dyrektora szpitala, napomykającego mimochodem, że trzeba będzie wreszcie pozbyć się tego kikuta.

Magnolia towarzyszyła jej od samego początku pracy - osiem długich lat. Smutny widok spowodował kolejne ponure asocjacje. Wszystko układa się nie tak, jak powinno, stwierdziła, przypominając sobie ostatni list Marka. Ach, jacy oni byli kiedyś w sobie zakochani! Niestety, Marek stracił pracę tuż przed planowanym ślubem. By zarobić na wesele, wyjechał do Irlandii. Na krótko, mówił, na kilka tygodni. Praca nie jest ciężka, roboty montażowe. Sylwia obruszyła się, miał przecież wyższe wykształcenie, ale on bezradnie rozłożył ręce.

- Absolwentów zarządzania i marketingu produkuje się w tym kraju na legiony. Potrzebujemy pieniędzy. Kilka tygodni.

Siedział tam już drugi rok, myślała ze złością. A jego ostatni list też nie pozostawiał wątpliwości. Nie wróci.

- Straszne, prawda?

Drgnęła, trochę kawy się wylało i pociekło po ściance kubka z duraleksu. Była przekonana, że jest sama. Do kogo mógł należeć ten głęboki, ciepły głos, przepełniony smutkiem? Odwróciła głowę.

- Jak pan się tu dostał? - rzuciła ostro, jednocześnie robiąc krok w tył. - To pomieszczenia tylko dla personelu medycznego! Panu... panu nie wolno tutaj przebywać. Pacjenta, którego przed sobą zobaczyła, otaczała ponura legenda. Lekarze wspominali o bardzo silnym stadium

schizofrenii, a ilekroć do niego szła, nakazywali daleko posuniętą ostrożność. On, ostrzegali, może być agresywny. Bardzo agresywny.

Sylwia nie musiała zresztą słuchać lekarzy. Wystarczająco dużo przeczytała na temat pacjenta w gazetach. Któryś z pomysłowych dziennikarzy podsumował jego historię zdaniem „od milionera do zera” i Sylwia przyznawała, że tkwiło w tym tytule ziarno prawdy. Upadek z dziesiątego piętra wieżowca - akwarium pełnego grubych ryb, prosto do szpitala psychiatrycznego. A - jeśli wyzdrowieje - upadek może się nie skończyć na psychiatryku. On może trafić jeszcze gorzej, uświadomiła sobie. Do więzienia na przykład.

Za zabójstwo trzech osób sądy nie pobłazają. To nic, że działał w samoobronie. To nic, że ci, którzy go napadli, mieli łańcuchy, pałki i noże, a on bronił się gołymi rękoma. Nie, to się dla sądów nie liczy, wiedziała. Liczyło się to, że mimo wszystko dał sobie z napastnikami radę.

Finansista, który zabił trzech dresiarzy, schizofrenik, pacjent Adam Niezgoda pod specjalnym nadzorem, pokiwał smutno głową.

- Straszne - powtórzył wpatrzony w magnolię, nie zwracając uwagi na reprimendę Sylwii. - Świat jest tak okrutny, że aż chciałoby się uciec. Kiedyś to musiało być piękne drzewo.

- Było. - Sylwia przypomniała sobie różowobiałe kwiaty, które co roku wprawiały ją w zachwyt. - Gdyby pan je widział w rozkwicie... Może to i komunał, ale to, co piękne, odchodzi szybko, wie pan?

- Myśli pani, że ono już się nie odrodzi?

Zaśmiała się, a śmiech miała gorzki i czarny jak kawa.

- Niech pan tylko na nie spojrzy - jest suche i martwe. Zwykle o tej porze roku kwitło, a teraz... Nie, nie mam nadziei. Wyleczyłam się z niej. W Polsce to bardzo proste.

Adam spochmurniał.

- Nie powinna pani tak mówić. Tutaj wiele się zmieni. Niebawem. Niebawem nikt już nie będzie musiał wyjeżdżać z Polski. Bo, na razie, wszyscy chcą stąd uciekać, prawda?

Drgnęła. Skąd on to może wiedzieć, pomyślała. Przecież nikomu nie opowiadałam o Marku. Nikomu. To musiał być przypadek.

Znowu zaśmiała się niewesoło.

- Na takie żarty stać tylko... - zawahała się, ale Adam bezbłędnie odgadł jej intencję.

- Obląkanych? A nie pomyślała pani, że nawet tacy jak ja czasami mogą mieć rację? Sylwia zawstydzona schyliła głowę. Chcąc ukryć zmieszanie, zaatakowała.

- Nie powiedział mi pan, w jaki sposób dostał się do tej części budynku. Pacjentom nie wolno tu wchodzić.

- Wiem - powiedział pokornie. - Ale chciałem panią zobaczyć.

Sylwia mimowolnie poprawiła pielęgniarski fartuch, ale jednocześnie poczuła ukłucie strachu. Adam pokręcił przecząco głową. Zdawało się, że czyta w jej myślach.

- Niech się pani nie obawia. Pani była dla mnie dobra. Miła. Chciałem po prostu jeszcze raz panią zobaczyć, zanim... Chciałem się pożegnać.

- Pożegnać? - spytała ostro, zastanawiając się, o czym pacjent mówi. - Pan się przecież nigdzie nie wybiera, prawda?

Zignorował ją.

- Więcej nadziei. - Uśmiechnął się do niej. Tak ciepło, że - pomyślała - żadnego z ludzi zdrowych na umyśle nie byłoby stać na taki uśmiech.

Mężczyzna tymczasem podniósł dłoń i dotknął policzka Sylwii. Delikatnie. Nie było w tym geście nachalnej seksualności. Odczuła to jak powiew lekkiego wiatru.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc sobie w oczy.

Nastrój i kawa z kubka przysły, kiedy zawyły syreny alarmu. Sylwia aż podskoczyła.

- Pożar! - krzyknęła przerażona, rozpoznając sygnał.

Spojrzała w okno. Lewe skrzydło szpitala spowijał dym. Syrena wyła ostrzegawczo. Sylwia usłyszała krzyki i zobaczyła kilku sanitariuszy, biegnących w tę stronę, gdzie szalały płomienie.

Kiedy odwróciła głowę, jej rozmówcy już nie było. Zamrugła - nie miał przecież dokąd odejść. Widziałaby, musiał przejść obok niej. Chociaż... Zdała sobie sprawę, że przyjscia Niezgody też nie spostrzegła. Ot - pusty korytarz, a w następnym momencie stał obok niej. Zdezorientowana potarła dłonią czoło.

Może to wszystko mi się przesłyszało, zastanawiała się. Ciśnienie dzisiaj wariuje, a ja zawsze miałam z tym problemy. Ciśnienie...

- Sylwia!!! - wrzask tuż przy uchu podziałał jak dobrej klasy sole trzeźwiące.

To darł się Wardecki, jeden z młodszych lekarzy. Nie lubiła go, ale tym razem powitała jego widok z wdzięcznością, mimo że mężczyzna bezceremonialnie szarpał ją za ramię.

- Sylwia! Wyglądasz, jakbyś śniła na jawie - powiedział, patrząc jej w twarz. - Wszystko OK?

- Tak... - szepnęła. - W porządku. Marek, czy ja... czy ktoś tu ze mną był?

Wardecki spojrzał na nią dziwnie. - Nie myślałaś o urlopie? Jesteś przemęczona. Od piętnastu minut stoisz tutaj sama i wpatrujesz się w magnolię, a pożar szaleje za oknami. Dziewczyno, pali się! Zabieram cię stąd! Już!

Pociągnął ją i wyprowadził z budynku, przedzierając się przez chaos. Pierwsze grupy strażaków wbiegały do środka, trzaskały wybijane szyby, a syreny zbliżających się wozów strażackich przypominały płaczki zawodzące podczas pogrzebów. Ktoś krzychał - krzychało bardzo wiele osób. Jeden z lekarzy, ten, który miał dyżur na oddziale, tłumaczył coś zawzięcie dwóm strażakom.

Ubrany był w kitel, kiedyś biały, teraz brudnoczarny od dymu. Sylwia słyszała strzępki ich rozmowy: - Izolatka - gestykulował. - Pomieszczenia dla szczególnie niebezpiecznych pacjentów. Sami się nie wydostaną... pomóc... musicie pomóc...

Pchnięta przez falę ludzi, którzy chcieli uciec z płonącego szpitala, straciła z oczu psychiatrę w brudnym ubraniu. Drzwi wyjściowe były bardzo blisko. Kiedy podjechały kolejne wozy strażackie, w chaotyczne poczynania zaczął wkraczać porządek. Można było dostrzec, że ktoś zaczął koordynować działania służb ratowniczych. Pojawiało się coraz więcej sprzętu przeciwpożarowego.

Usłyszała, jak trzech strażaków, rozwijając wąż, wymienia się uwagami:

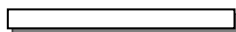
- Nie będzie źle, ogień powstrzymany.
- Tylko ten, wiesz, cholera, który - tam nasi nie doszli.
- A kto go będzie żałował, skurwysyna...

Kiedy wreszcie znalazła się na zewnątrz, odetchnęła z ulgą i spojrzała za siebie. Dymy wciąż unosiły się nad szpitalem, lecz z mniejszą intensywnością. Może straty nie będą zbyt duże, pomyślała. Oby tylko pacjentom nic się nie stało.

- Wszyscy są - powtarzał z ulgą Wardecki, popatrując po twarzach ludzi, których ewakuowano z płonącego budynku. - Wszyscy.

Serce Sylwii zabiło żywiej. Pozwoliła sobie nawet na luksus nadziei. Ona też wpatrywała się w twarze uratowanych, ona też liczyła na to, że wszyscy przeżyli. Wszyscy. A zwłaszcza ten jeden. Naprawdę, pierwszy raz od długiego czasu miała nadzieję.

Następnego dnia okazało się, że Wardecki się mylił.



- Jedna ofiara - dyrektor szpitala mówił niewyraźnie, w oczywisty sposób zdenerwowany.

Zgromadzony personel otoczył go ciasnym wianuszkiem, chcąc dowiedzieć się więcej o tragedii, która wydarzyła się dzień wcześniej. Dyrektor zaś czuł się w obowiązku udzielać odpowiedzi. Odchrząknął.

- Nie wiem, naprawdę... - wymamrotał. - Każdy jest dokładnie rewidowany, no a ten, ten był pacjentem szczególnym. To niemożliwe, by miał z sobą zapalniczkę czy zapalki. Nie mówiąc już o materiałach łatwopalnych. - Samozapłon? - wyrwał się Wardecki. Dyrektor pogładził krótko przyciętą brodę.

- Kto wie? Kiedyś uważałem to za bajki, ale po tym, co stało się wczoraj, sędzę, że takie tłumaczenie nawet ma sens. Tylko czy można wywołać samozapłon na zawołanie? Ot tak? - pstryknął palcami.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął:

- Wiele wskazuje na to, że nasz pacjent wiedział, że umrze. Wiele wskazuje na samobójstwo. Prócz zegarka nie miał metalowych przedmiotów, ale przed śmiercią zdołał wydrapać napis na jednej ze ścian, tuż pod oknem, które wychodzi na magnolię. Napis, powiedz my, dość jednoznaczny.

- Co to było? - Sylwia z trudem trzymała nerwy na wodzy i tylko silnej woli zawdzięczała, że głos nie zadrżał przy pytaniu. - „A wy nie chcecie uciekać stąd?” - tak to brzmiało, słowo w słowo. Sadza nie zatarła liter. To chyba dość jednoznaczne wotum nieufności wobec naszego świata? Jestem przekonany, że my, jako szpital, do tego go nie popchnęliśmy. Niestety, policja zamierza rozmawiać z każdym z państwa. I jeszcze jedno - mamy teraz trudne warunki lokalowe, więc pozostali pacjenci tymczasowo zostali przeniesieni...Sylwia Jaroszyk nie słuchała dłużej. Do krwi przygryzając wargę, szła korytarzem, który wydawał się jej bardziej szary niż kiedykolwiek przedtem.

11

Szaleństwo? Historie prawdziwe?

Historia 7

- Słuchaj, dziewczeczko! - krzyknął starzec, chwytając blondynkę o twarzy zwracającej uwagę sinymi plamami podkrężeń pod oczyma.

Ona jednak słuchać nie zamierzała. Szamotała się jak gołąb zamknięty w klatce i wreszcie, odskakując, odtrąciła rękę siwowłosego profesora.

- Nie ciebie wołam! - wrzasnęła, a starzec, bywały przecież i mimo swych lat wcale niebudzący odrazy, wyczuł w jej głosie wstręt. Dziewczyna potoczyła zamglonym wzrokiem dokoła i zawieszając swoje spojrzenie na pustce, szepnęła:

- Tu jesteś. Jasieńku...

Wyciągnęła dłoń i pogłaskała powietrze przed sobą.

Ten dzień, przeklął starzec w myślach, to cholerne miasteczko. Jeśli to dalej pójdzie w tym kierunku, moja reputacja legnie w gruzach. Po cóż tedy przyjeżdżałem tutaj z Wilna ?

Popatrzył na otaczających go ludzi. Wyglądali biednie, byli zacofani. Wierzą dziewczę, uświadomił sobie profesor, słysząc, jak któryś z wieśniaków nawołuje do odmawiania pacierzy. Trwali tak jeden obok drugiego, porządnie przelęknięci - co najmniej jakby miast dziewczyny stał przed nimi szwadron kozacki.

Och, ile podobnych miasteczek było na Litwie! I ilu podobnie ciemnych ludzi?

Starzec uważnie obserwował dziewczynę. Była szalona - to nie ulegało wątpliwości. Objawy podręcznikowe. Zalewała się łzami w najmniej odpowiednich sytuacjach, co stanowiło dowód rozchwiania emocjonalnego. Podobnie jak radosny śmiech - znów nie wiadomo z jakiej przyczyny. Bez wątpienia dręczyły ją urojenia, co można było łatwo stwierdzić po gestach - to wyciągała rękę, jak gdyby dotykała kogoś, kto stał przed nią, to znowu w rozpaczę chwytala powietrze. Potwierdzały to też słowa dziewczyny adresowane w większości do tworów jej imaginacji.

- Tyżeś to, Jasieńku. Ach! i po śmierci kocha!

Dziwactwa dziewczki trwały już kilka tygodni. Ludność miasteczka z jednej strony ekscesy te napawały lękiem, z drugiej zaś męczyły, natomiast macochę dziewczyny - wyraźnie irytowały. Macocha, jedna z nielicznych person, która mogła uchodzić w owej biednej litewskiej miejscowości za majątną, była kobietą obrotną i coważniejsze - obrotową. Znakomicie radziła sobie z pomnazaniem majątku pozostawionego przez męża - szlachetkę, który dał gardło w walce „o sprawę”, przy czym pani Grażyna wielokrotnie powtarzała, że jest to sprawa przegrana. Szlachetka cierpiał na wszelkie przywary swego stanu. Macocha potrafiłaby, owszem, wybaczyć pijaństwo czy niewierność, ostatecznie to przecież mężczyzna, czegoś oczekiwać po takim, lecz jednej z obsesji, tej, która o mały włos zakończyłaby się utratą majątku, wybaczyć nie mogła. Ów obłęd stał się zresztą przyczyną śmierci podkomorzego Ksawerego. Pod Austerlitz.

Ksawery Orzeszko był nieuleczalnym patriotą. Polskim.

Pani Grażyna, wspomniawszy o tym, zwykła była dyskretnie spluwać. W odróżnieniu od swego całkiem niepolitycznego męża, zawsze wiedziała, z której strony wieje wiatr. A w ostatnich latach wiał on - nieprzerwanie - ze wschodu.

I był wyjątkowo mroźny.

Przesadą byłoby powiedzieć, że rosyjscy oficerowie czy carscy urzędnicy odwiedzali miasteczko często. Jeżeli jednak w ogóle przyjeżdżali, gościła ich właśnie pani Grażyna. Gościła pięknie i prawdziwie po pańsku. Biła trzodę, bydło i kury. Piekarze uwijali się jak w

ukropie, by przygotować bułeczki, które tak lubił stacjonujący w Wilnie pułkownik Kornilow. Z piwnic wytaczano przednie miody, a gajowy wraz z kilkoma parobkami donosił dziczyznę. Pieczono ciasta, porcelanowe misy zapełniały się suszonymi owocami. Stół nakrywano co najmniej tak jak na wesele. Srebrna rodowa zastawa, która pamiętała jeszcze czasy bitwy pod Beresteczkiem, służyła zaś Moskalom. Przyjaciołom Moskalom! I tylko jednej rozrywki pani Grażyna nie potrafiła zapewnić swoim carskim gościom.

Karusia, piękna córka Ksawerego z pierwszego małżeństwa, pozostawała całkowicie obojętna i na niezgrabne zaloty grubo ciosanych żołnierzy rosyjskich, i na stanowcze rozkazy wydawane przez macochę. Za nic nie chciała zabawiać najeźdźców, ba, ona nie chciała ich nawet znać, wpatrzona w swego pięknoducha, w swego szaleńca, który również okazał się patriotą.

Jan Czechowicz. Jasieniek.

O takich ludziach jak on mówiło się „żywe srebro” i przybrana matka Karusi musiała (z wielką niechęcią) przyznać, że w wypadku młodego Czechowicza było w tym określeniu sporo prawdy. Energiczny i inteligentny. Wyrósł przy tym na potężnego mężczyznę o pięknym obliczu przepelnionym dumą. Cechowało go dobrotliwe spojrzenie, które po wielokroć myliło wrogów. Bo choć jowialny i do rany przyłoż, twardniał, gdy słyszał „Moskwa” czy „carat”, dłoń zaciskała mu się w pięść, kiedy dostrzegał carskie epolety, twarz bladła zaś na dźwięk parszywej nazwy „Targowica”.

Chłopak mógłby być wcale niezłą partią, westchnęła pani Grażyna z żalem, jeśli byłby bardziej polityczny, mniej gorączka, gdyby, zakłęła brzydko, potrafił myśleć po prostu! Przecież ich włości, połączone włości obu rodów, to szmat ziemi, a Jan, on miał w ręku wszystko, co potrzeba, by wydzwignąć rodzinę - a w rzeczy samej dwie połączone rodziny - na poziom wyższy, niedostępny żadnej z nich z osobna. Oczyma wyobraźni pani Grażyna widziała siebie zarządzającą w imieniu zięcia rozległymi włościami. Oczyma wyobraźni widziała siebie przechadzającą się ulicami Moskwy czy Petersburga.

Stało się jednak inaczej.

Miał używać swej bystrości do pomnażania majątku, do powiększania tych łąk zielonych, tych pól malowanych zbożem rozmaitem, tych stodół wielkich i stogów licznych, nieszczęsny chłopak wdał się w antyrosyjskie spiski i knowania. Jakiś, myślała z żalem macocha, zły robak toczył trzewia młodego, jakiś ogień palił jego serce. Słyszac półsłówka i plotki, widząc tajemne wizyty, otrzymując bardzo oględne odpowiedzi na swoje pytania, czy wreszcie dostrzegając Janową niechęć do spotkań z przedstawicielami nowej władzy, wyciągała wnioski.

Pani Grażyna Orzeszko potrafiła wyciągać wnioski jak nikt inny. Im mniej mówił jej młody Czechowicz, tym więcej rozumiała.

Kręciło się w owych czasach po Litwie wielu emisariuszy złej nowiny i burzycieli uległego porządku. Czy to kryjąc się w stroju włóczęgi, czy przybierając mnisi habit, przemierzali cały kraj od Wilna po Grodno i niby wicher nieśli z sobą nasiona niepokoju. Jan Czechowicz, słuchając Karusinych opowieści, stanowił dla tych nasion grunt podatny i żyzny. Na takiej glebie bunt musiał zakiełkować szybko.

Chwast buntu.

Ci, którzy wciąż żywili mrzonki o Rzeczpospolitej, podnieśli podówczas głowy. Napoleon, mówiono, przybędzie. Przy jego pomocy odbudujemy gmach państwa. Dał on nam przykład, jak mamy zwyciężać, teraz pora na nas! Po powstaniu Księstwa Warszawskiego głosy te jeszcze wezbrały. Każda akcja - co było wiadome od czasów Newtona - wywołuje jednak reakcję. Zbyt wielkie zamieszanie zapanowało na Litwie, by nowi władcy zachowali spokój. Śledztwa, aresztowania i procesy były tylko kwestią czasu.

I to czasu teraźniejszego.

Nie wiadomo, w jaki sposób carscy trafili na ślad spisku, w który uwikłał się młody Czechowicz. Być może zdradził jeden z emisariuszy, bo proweniencja i przeszłość tych ludzi nie zawsze były chlubne. Możliwe też, że informację przekazał któryś ze spiskowców. Ktoś, kto, podobnie jak pani Grażyna, bardziej cenił porządek i osobistą pomyślność niżli Rzeczpospolitą - twór istniejący jeno w wyobraźni. A może to ktoś trzeci, jakiś szpieg, współpracujący z caratem?

Dość powiedzieć, że Jan Czechowicz, wraz z kilkoma innymi ziemianami, został pojmany, a po krótkim pobycie w wileńskim areszcie i jeszcze krótszym procesie otrzymał wyrok, który mroził serca.

Sybir.

Przed wywózką jakimś cudem, dzięki wciąż żywym koneksjom ojca, Karusi udało się przeniknąć do więzienia. To było krótkie spotkanie pośród mroków, pełne szlochów, pocałunków, zapewnień o miłości, co od śmierci silniejsza, i obietnic.

- Wróć - obiecał. – Wróć.

Istotnie, próbował.

Pierwsza próba ucieczki zakończyła się pojmaniem go dwa kilometry od miejscowości, do której został zesłany. Powążył się na isticie kawaleryjski krok, tyleż odważny, co nieprzemysłany. Do drugiej ucieczki przygotowywał się znacznie lepiej, we współpracy z innymi zesłańcami. Jan, mówiono, dorósł do roli przywódcy, rozumiał, że tylko wspólnie

mogą osiągnąć to, o czym marzyli - wrócić na Litwę, zaciągnąć się pod sztandar Napoleona, w którego wierzono powszechnie niby w jakiego świętego, i bić się z Moskałem. Przemyślano prawie wszystko, lecz ogrom Rosji okazał się nie doprzewyciężenia. Zagubieni w lodowym oceanie państwa carów uciekinierzy byliby umarli, gdyby przypadkiem nie napotkali oddziału carskich, którzy zakończyli ich beznadziejną eskapadę.

Jan, już sam, bo inni mieli dość, spróbował po raz trzeci. Ta ostatnia ucieczka była aktem desperacji. Desperacji i tęsknoty za Karusią.

Zginął szybko, od kuli carskiego oficera. Upadł twarzą prosto w pole bławatkowych kwiatów. Nim umarł, spostrzegł jeszcze, że kwiaty mają taki sam kolor jak oczy jego ukochanej.

Dziewczyna, już wcześniej melancholijna ze względu na śmierć obojga rodziców, po pojmaniu Jana schła i marniała w oczach. Stała się równie rozmowna jak egipski Sfinks i równie pogodna jak Cierpienia młodego Wertera, którymi zaczytywała się podczas bezsennych nocy. Nie reagowała na jakiegokolwiek propozycje czy zachęty, nie brała udziału w ucztach, spotkaniach, polowaniach lub grzybobraniach, które w owej okolicy niejednokrotnie przeradzały się w pijackie orgie. Pani Grażyna, widząc w zesłaniu Czechowicza pewną szansę, próbowała wyswatać pasierbicę z jednym z carskich oficerów rezydujących w Wilnie, lecz poniosła na tym polu klęskę. Na nic zdały się prośzone obiady, na nic były szczyty elokwencji, na które wzbijał się zachwycony młodą Polką pułkownik Domagarow. Karusia ignorowała jego zaloty z miną tyleż wyniosłą, co nieobecną. Siedziała przy stole, a tak jakby jej nie było. Mówiła coś - lecz nie rozmawiała. Patrzyła na Domagarowa - a tak jak gdyby go nie widziała.

W dodatku, co macocha zauważyła ze sporym rozdrażnieniem, dziewczyna zaczęła mówić od rzeczy.

Początkowo były to po prostu wypowiedzi niezborne i nie na miejscu. Dla przykładu, podczas jednego z proszonych obiadów, gdy Domagarow opowiadał o walkach z Napoleonem, dziewczyna zerwała się na równe nogi, podbiegła do okna i szepnęła:

- Tańczą. Tańczą w mgle.

Domagarow spojrzał na nią dziwnie. Pani Grażyna zmarszczyła brwi i chciała już skrzyczeć głupią pasierbicę, ale Domagarow podszedł do okna i również popatrzył na opar ścielący się na zewnątrz.

- Kto tańczy, pani? Ja nikogo nie dostrzegam.

Karusia milczała długo, macocha zdążyła pomyśleć, że zapewne słowa oficera umknęły uwagi pasierbicy, gdy ta nagle przemówiła. Co było jeszcze gorsze niż jej milczenie.

- Świtezianki - powiedziała, wprawiając Rosjanina w osłupienie.

Kilka następnych zaproszeń Domagarow grzecznie odrzucił. Sprawy sztabowe, tłumaczył, lecz pani Grażyna domyślała się prawdziwej przyczyny. Któż chciałby mieć do czynienia z obłąkaną?

Niestety, ów wybryk to był dopiero początek, pomyślała macocha, stojąc pośrodku miasteczka i przyglądając się zabiegom profesora Narbuta. Gdyby na tym zdarzeniu Karusine dziwactwa się kończyły, nie byłoby wcale źle.

O, tak. Nie byłoby najgorzej.

Najgorzej nastąpiło jakiś miesiąc temu, skonstatowała macocha. Do majątku całą rodziną przybyli w gościnę dalecy krewni z Nowogródka. W ich towarzystwie zjawiał się również pocztylion. Ów niósł dla Karusi wiadomość.

Z Sybiru.

Czarna noc, przypomniała sobie pani Grażyna. Wtedy, gdy dziewczyna dowiedziała się, że jej ukochany nie żyje. Wycie w pokoju na górze, isticie wilcze, szlochy przez noc całą wstrząsające domem... Dziewka zamknęła się w swoim pokoju, zostawiając świat za grubymi dębowymi drzwiami. Pani Orzeszko pomyślała nawet z pewną nadzieją, że może pasierbica targnie się na swoje życie, tym samym uwalniając świat, a przy okazji i dworek w Turgielach oraz ją, Grażynę, od dalszych kłopotów. Podejrzenia, a raczej oczekiwania macochy nie ziściły się jednak. Mimo strasznej nocy Karusia przeżyła, choć jej stan z dnia na dzień ulegał pogorszeniu.

- Obiecałeś - powtarzała bez ustanku, a łzy kapąły jej z oczu. - Obiecałeś. Wracaj!

Pani Orzeszko nie komentowała dziewczęcych wołań i tęsknot. Wszelako prywatnie uważała, że młodego Czechowicza spotkała zasłużona kara.

- Mniemał - burknęła, śniadając pewnego razu z krewnymi z Nowogródka - że sam zdusi centaury. Tymczasem trzeba mierzyć zamiary na siły...

Pani Grażyna nigdy nie zapomni spojrzenia, jakim w tamtej chwili obdarzył ją syn Mikołaja, jej dalekiego kuzyna, mały Adam. To jeszcze dziecko, myślała, niedorostek, ile on może mieć lat. Dziewięć? Dziesięć? Czyżby też wyznawca narodowych mitów? I Mikołaj również? Może tak być, Mikołaj brał przecie udział w insurekcji. Ach, będą z nimi jeszcze kłopoty.

Nie pozbyła się jednak swoich gości z dworu. Młody Adam, jak się okazało, był jedyną osobą, z którą Karusia, rzadko bo rzadko, lecz w ogóle rozmawiała. W jego obecności dziewczyna przestawała szlochać, od niego przyjmowała posiłki, z nim - bywało - chodziła na

spacery. Nieoczekiwanie daleka rodzina, którą pani Grażyna zaprosiła pierwotnie na kilka dni, stała się jej potrzebna.

Po dwóch tygodniach od chwili, gdy Karusia otrzymała list, jej stan jeszcze się pogorszył, a szaleństwo - bo podówczas macocha nie miała już wątpliwości, że dziewczyna doznała pomieszenia zmysłów - pochłaniało ją, z każdym dniem czarniejsze, bardziej złowrogie.

- Jesteś. - Karusia pewnego razu zerwała się od stołu tak gwałtownie, że przewróciła kilka naczyń, a chłódnik rozlał się na obrus. - Jesteś!

I wybiegła w noc.

Szukali jej długo, przez parę godzin, chodząc po całym miasteczku, które rozpościerało się nieopodal. Chodzili z łuczywami, od chaty do chaty, budząc gospodarzy i niepokój. Wreszcie ją znaleźli - stała pod wielkim modrzewiem, na rozstajach. W miejscu, w którym po raz pierwszy zobaczyła Jasienka.

Karusia, ubrana w jasne szaty, wyglądała wówczas niby zjawą ze starych litewskich opowieści, tańcząca w mroku nocy pod świętym drzewem. Włosy miała rozwiane, a wzrok nieobecny. Wykonywała dziwne gesty - palcami chwyciła powietrze, gestykulowała, zupełnie jak gdyby z kimś rozmawiała. Monologowała, a treść wypowiedzi pozwalała przypuszczać, że dyskutuje - czy raczej sądzi, że dyskutuje - ze swym zmarłym kochankiem.

Grażyna Orzeszko dobrze zapamiętała wyraz twarzy towarzyszących jej parobków. Widząc pasierbicę, bledli, ręce im się trzęsły i ani myśleli wypełniać poleceń swej pani. Cóż z tego, że duchy tworem gawiedzi karczemnej? Właśnie spośród karczemnej gawiedzi rekrutowali się parobkowie pracujący we dworze.

Pani Orzeszko zrozumiała w tamtej chwili, że dziewczka staje się dla niej niebezpieczna.

Śmiertelnie niebezpieczna.

Musiła działać.

Oczywiście, działanie podówczas trwało długo, lecz Grażyna Orzeszko należała do osób energicznych i świetnie zorganizowanych. Nie wahała się też - wtedy, gdy było to konieczne - ponieść spore nakłady. Jeszcze tej samej nocy, kiedy dziewczyna leżała zamknięta na cztery spusty w swoim pokoju (dla pewności pod drzwi podstawiono ciężką szafę gdańską), Pani Grażyna zasiadła przed sekretarzykiem i nakreśliła kilka listów. Przygotowała koperty, odliczyła pieniądze i posłała starego służącego, Mohyllę, do Wilna.

Pozostawało czekać.

Czekanie dłużyło się niemiłosiernie, zwłaszcza że nocna wycieczka nie zakończyła wcale ekscesów Karusi. Nie wiedzieć jakim sposobem następnego dnia wątpła przecież dziewczyna

wyrwała drzwi wraz z zawiasami, odepchnęła gdańską szafę i pobiegła. Pod modrzew, oczywista.

Pani Orzeszko była bardzo czuła na punkcie swej godności i swego - wymagowanego - honoru, który, jak sądziła, ucierpiał znacznie, kiedy Karusia w biały dzień odprawiała pod modrzewiem swe szaleńcze tańce i monologi. Nastął dzień targowy, zebrał się spory tłum, a że rodzina znamienita, dziewczynę znali wszyscy. Znali i wytykali palcami. Jedni śmiali się wniebogłosy, inni, i tych zebrało się więcej, patrzyli na nią z mieszaniną przestachu i szacunku. Zdawali się jej wierzyć. Niebawem całe miasteczko aż gotowało się od plotek.

Tymczasem nienawiść do pasierbicy, obecna już wcześniej w sercu macochy, jeszcze bardziej stężała. A decyzje - te, o których pani Grażyna do tej pory myślała z pewną obawą - zostały podjęte.

Karusię ponownie sprowadzono do dworu. I tym razem dobrze ją zamknięto w jej pokoju, którego okna w międzyczasie zabito, a drzwi wprawiono. Wzmocniono zamki. Postawiono przy drzwiach stróża.

Następnego dnia znaleziono ją pod modrzewiem, w środku miasteczka. Towarzyszył jej ów przeklęty syn Mikołaja. Pani Orzeszko zamierzała w pierwszym odruchu zwymyślać chłopca, lecz, po pierwsze, zależało jej na poprawnych relacjach z jego rodzicami (na wypadek gdyby to jednak oni mieli rację i Napoleon faktycznie przekroczyłby Niemen), po drugie - ojciec młokosa prowadził własną praktykę adwokacką, co mogło w najbliższym czasie okazać się bardzo pomocne, wreszcie po trzecie - niczego by taka reprimenda nie zmieniła. To nie młody Adam sprawiał problemy.

- Niedługo - warknęła - to wszystko się skończy. Już niedługo.

To powiedziawszy, starała się znosić dziwactwa Karusi z niespotykaną cierpliwością. Wprawdzie przez kilka dni podejmowała próby zamykania dziewczyny w różnych, coraz mniej dostępnych zakamarkach dworu, ale po pewnym czasie i z tych środków ostrożności macocha zrezygnowała. Powód był prosty - środki takie, nie dość że nieskuteczne, okazały się na dodatek zbyt kosztowne. Ta nagła zmiana wywołała zdziwienie osób, które znały całą sprawę.

- Wezwałam lekarza. Specjalistę z Wilna - odrzekła zdawkowo, gdy miejscowy ksiądz próbował wywiedzieć się, jakie też pani Orzeszko ma wobec pasierbicy zamiary. - Niechże tylko ojciec nie robi z niej świętej - dodała pośpiesznie. - O pogańskich ona gada duchach, pogańskie bożki wzywa.

Ksiądz przeżegnał się, wymamrotał jakąś łacińską formułę, półgębkiem rzucił „tu jego dusza być musi”, i odszedł.

- I dobrze - powiedziała ze złością, żywiąc wobec obłąkanej plany bynajmniej nie chrześcijańskie.

Listy tymczasem odbywały swą drogę.

Jeden z nich trafił do wileńskiego adwokata, którego Grażyna Orzeszko zwykła się radzić w sprawach majątkowych. Wielekroć już adwokat świadczył jejmość Grażynie rozmaite usługi, zwłaszcza że stosunki rodzinne i węzły prawne nie były proste. Pani Orzeszko, dzierżąca włości żelazną ręką, sprawowała jedynie zarząd nad majątkiem - prawnie zaś wszystkie ziemie po Ksawerym należały do Karusi.

Tym razem, co adwokat znający rodzinę zauważył z pewnym zdumieniem, pani Orzeszko pytała o komplikacje dziedziczenia. Stan tego nieszczęsnego dziewczątka - pisała jejmość Grażyna - bardzo się ostatnimi czasy pogorszył, a, spodziewam się, pogorszy się jeszcze bardziej. Tedy trzeba się na tragedię - która zdaje się pewną - przygotować. I panu to zlecam.

Dalej następowały szczegółowe instrukcje i prośby, by adwokat uczynił wszystko, co w jego mocy, by zawczasu zapewnić dziedziczenie pani Grażynie, nie zaś licznym pociotkom, którzy formalnie mieli prawo do majątku. Adwokat zdziwił się niepomierne, część sugestii była bowiem jawnie sprzeczna z prawem, lecz jego wątpliwości zostały rozwiane przez ostatnie zdania, te, w których opisano jego wynagrodzenie. Dopomogła im ledwie zawołowana groźba, że o tajonych sympatiach adwokata do cesarza Francuzów i odradzającej się Polski mogą się przecież dowiedzieć urzędnicy carscy.

Podobnej wyrozumiałości jejmość Orzeszko nie okazała już w drugim liście, zaadresowanym do komendanta rosyjskiej tajnej policji. Informowała w nim o kilkunastu osobach, które zaangażowane były w antyrosyjskie knowania i występowały przeciwko władzy cara Aleksandra. List zawierał szczegółowe dane o tym, kiedy przybywają emisariusze, gdzie się kryją, gdzie przechowuje się wywrotowe pisma, a gdzie broń na wypadek powstania. Lista osób zaś dziwnie przypominała tę, którą otrzymał w pierwszym liście adwokat.

Znalazły się na niej nazwiska wszystkich potencjalnych spadkobierców.

Trzeci list, słany do innego carskiego urzędnika, zawierał prośbę o wszelką potrzebną pomoc i wsparcie - „za wcześniejsze przysługi i zasługi”. Mikołaj Fiodorowicz, czytając pismo, uśmiechnął się z rozrzewnieniem - zasługi i usługi oddawane przez panią Grażynę w rzeczy samej były znaczne i należała się za nie nagroda. Gdyby nie uzyskane od niej informacje, o awansie mógłby jedynie pomarzyć.

Czwarty list był szczególny. Adresatem był rektor Uniwersytetu Wileńskiego.

Czytelnika może zdziwić, że ktoś taki jak Grażyna Orzeszko słał list do tej szacownej i znanej z sympatii do, niech jej ziemia lekką będzie, Rzeczypospolitej, uczelni. Zdziwił się

również rektor; któremu posłaniec dostarczył pismo w tajemnicy, na osobności, w zakamarkach uniwersytetu, rozglądając się nerwowo, z obawą (polecenie brzmiało wyraźnie - nikt nie mógł zobaczyć go w towarzystwie rektora). Zaciekawiony rektor otworzył przesyłkę, gdy tylko znalazł się sam w swoim gabinecie.

List nie był długi, lecz rektor spędził nad nim wiele godzin. Bezceremonialnie wyrzucił kilku wizytantów, wyrzucił też służącą niosącą obiad, nie chciał rozmawiać nawet ze swoim bratankiem, któremu zastępował ojca i matkę poległych w czasie insurekcji. Kiedy zaś posyłał po profesora Narbuta, rektorowy głos brzmiał słabo, a twarz zwykle rumiana i pulchna, straciła kolory aż do chorobliwej bladości. W myślach natomiast przeklinał grzechy przeszłości i to, co za chwilę przyjdzie mu zrobić.

Widząc siwowłosego Narbuta stojącego w drzwiach, rektor raz jeszcze się zawahał. To podłość - skarcił się w myślach, lecz gdy znów spojrzął na leżący przed nim papier, pojął, że wybór, owszem, miał.

Wiele lat wcześniej.

Przygryzł wargi i zaczął mówić. Rozmowa i w formie, i w treści upodobniła się do listu - była nieprzyjemna, sucha i pełna konkretów - choć bardzo krótka. Kiedy znany wileński psychiatra wyszedł od rektora, siwizna na jego skroniach - służąca mogłaby przysiąc na Matkę Boską Ostrobramską - stała się bardziej intensywna, a na czole przybyło zmarszczek.

Jakie to smutne, zreflektował się Narbut, rozmyślając o poplątanych ścieżkach życia, które przywiodły go do Turgielów. Jakie to nieromantyczne. A wszystko ma korzenie w przeszłości, w naszej głupocie, w naszej nieroztropności, w naszych popędach. Gdzie tu miejsce na szlachetność, na uczucia wyższe?

Profesor przyglądał się obłąkanej dziewczce przez grube szkła okularów i przeklinał siebie za to, co nakazano mu zrobić.

- Pozbyć się - rzekła sucho pani Grażyna, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, jakie ma zamiary.

Płomień świecy chwiejnie zniekształcał cienie, które przybierały fantasmagoryczne kształty. Twarz matrony przypominała w tym świetle demona. Demona chciwości, przemknęło przez głowę Narbutowi.

- Niechże profesor coś wymyśli. Niech profesor zabierze ją do siebie, do Wilna. Niech ją profesor zamknie w odosobnieniu i bada. Albo lepiej...

Nie musiała kończyć. Wystarczająco wiele powiedział rektor:

- Jeśli nie dasz rady pomóc dziewczce... Cóż, błędy medyczne - głos najważniejszej osoby na uniwersytecie drżał, zdradzając tłumione zdenerwowanie - zdarzają się często. Nikt nie będzie ci robił wyrzutów. }

Narbut chciał zaprotestować, oznajmić, że ani myśli doprowadzać do „błędów medycznych”, ale po raz kolejny uświadomił sobie, że jest zbyt wielkim tchórzem, by się zbuntować. Rektor wiedział za dużo. Psychiatra westchnął. Należy postrzegać ją nie jako osobę, lecz jako przypadek. Przypadek choroby. To pomaga.

A przypadek - jako naukowiec musiał to przyznać - z medycznej perspektywy prezentował się interesująco. Dziewczyna, zda się, miała świadomość, że stoi pośrodku kręgu ludzi. Dostrzegła i Narbuta, i macochę, i małego Adama, i wieśniaków dookoła, i majestatyczny modrzew, pod którym onegdaj przeżywała upojne chwile ze swym kochankiem. Jednocześnie jednak funkcjonowała w innej rzeczywistości, w rzeczywistości niedostępnej zmysłom obserwatorów. W rzeczywistości, w której żył zamordowany przez Rosjan Czechowicz, a Świtezianki tańczyły we mgle i mroku. Narbut obserwował Karusię od kilku dni, sporządzał notatki i w dalszym ciągu nie znajdował rozwiązania.

- Pojedziesz ze mną! - powiedział, łapiąc dziewczynę za ramię.

Obok niego zjawili się dwóch parobków z gospodarstwa. Postawni i barczyści, w dłoniach mieli powrozy, którymi planowali związać Karusię.

Dziewczyna odtrąciła dłoń profesora. Parobków, zabierających się do wiązania, potraktowała znacznie gorzej. Jednego pchnęła tak mocno, że zatrzymał się na oddalonym o kilka metrów płocie. Drugiego uniosła do góry i - mimo że była filigranowej postury, a parobkowi, jeśli idzie o wagę, niewiele brakowało do odyńca - cisnęła nim o drzewo z taką siłą, że z gałęzi sypnęły się poźółkłe igły.

- Powiedział mi. Powiedział. - Karusia spojrzała na macochę, a jej wzrok nagle wydał się Grażynie Orzeszko całkowicie przytomny. - Ty go zdradziłaś. Wydałaś na śmierć. Im!

Dziewczyna palcem wskazała na carskich przysłanych przez jednego ze znajomych urzędników z Wilna. Dłonie żołnierzy przezornie krążyły w pobliżu rękojeści pistoletów i szabel. Słusznie, bo tłum zamruczał niby niedźwiedź litewski. Narbut zbladł, a macocha syknęła:

- Niechże pan coś zrobi, profesorze! Niechże pan wreszcie co zrobi!

- Zostawcie mnie! - zapłakała dziewczyna. - Zostawcie. On przyszedł do mnie. Wrócił. Przyniósł mi kwiaty.

- Panienko! - Narbut miał już wszystkiego dość. W tamtej chwili marzył tylko o ciepłym, spokojnym pokoiku w Wilnie, wypełnionym książkami, w którym mógłby się skryć przed całą,

nadzwyczaj krępującą sytuacją. Dlatego podniósł głos. - Tutaj nie ma nikogo. Nikogo, rozumiesz? Duchy karczemnej są tworem gawiedzi. Jan nie żyje!

Profesor rozejrzył się dookoła, szukając potwierdzenia. Nie znalazł. Gawieź karczemna była nad wyraz liczna i spoglądała na psychiatrę z wyraźną niechęcią. Niech mnie, zmitygował się Narbut, muszę uważać, co mówię, bo głowy stąd nie uniosę.

- Nieprawda. - Krzyk Karusi rozdzierał serca. - On do mnie wrócił. Przyniósł mi kwiaty!

- Nieprawda - powtórzył mały Adam niczym echo, wpatrując się w pustkę pod modrzewiem. Oczy chłopca rozszerzyły się z zadziwienia. - Ona ma rację.

Nikt go jednak nie słuchał, bo oto kilku parobków rzuciło się na Karusię z powrozami i wspólnym wysiłkiem przygniotło ją do ziemi. Narbut skorzystał z okazji, podszedł do dziewczyny i przyłożył do jej ust chustkę nasączoną spirytusem. Karusia zwiotczała, ale - co dziwne - nie straciła przytomności.

- Weź mię, ja umrę przy tobie - powiedziała słabo, znów zwracając się do własnych przywidzeń, a wargi jej zsiniały. Z trudem wyciągnęła prawą rękę przed siebie. Choć dopiero co potrafiła obronić się przed atakiem paru mężczyzn, teraz była wątpła jak źdźbło trawy.

- Idę do ciebie, Jasieńku!

Jej głowa opadła nagle do tyłu na trawę pod modrzewiem. Twarz dziewczyny zbieleła. Zbladł również wileński profesor - on pierwszy domyślił się, co się zdarzyło, wprawnym okiem rozpoznając symptomy, które chwilę później stały się oczywiste dla każdego. Gromada ludzi zaszemrała. Ich spojrzenia wróżyły źle - i Narbutowi, i macosze, i, nade wszystko, rosyjskim żołnierzom. Tylko widok broni w rękach carskich powstrzymywał chłopów przed atakiem.

- Jak to ? - spytał medyk z niedowierzaniem. - Jak to możliwe, przecież...

- Nie żyje! - pani Orzeszko oznajmiła oczywistą już prawdę. Jej głos był chłodny niczym monety, które (szybko obliczyła je w myślach) przyniesie jej śmierć pasierbicy. - Zabierzcie ciało.

Parobkowie posłusznie nachylili się nad zwłokami. Wtedy jednak wyczerpała się cierpliwość gapiów, hamujących dotąd emocje. Gawieź karczemna rzuciła się w stronę Karusi. Poeta opisałby to słowami „rozpętało się piekło”, ale że nie było tam żadnego, przyjdzie nam zadowolić się relacją profesora Narbuta, któremu jakimś cudem udało się ujść z tej całej zawieruchy bez szwanku.

- Gruchnęła salwa, ale carskich stawało niewiele - relacjonował później. - Kilku zebranych, owszem, ucierpiało, lecz ich, chłopów, była cała masa. Zalali Moskali, zdeptali ich, wyrwali broń, zadźgali tym, co kto trzymał w ręku. Parobków, którzy wywodzili się

przecie z gminu, poranili ciężko, a ciało dziewczki obścapi i unieśli, robiąc z niej świętą. Tacy byli rozpaleni, że nawet miejscowy proboszcz nie protestował. Gmin, nie pierwszy to raz, rozumowi bluźnił. Inni jęli się pastwić nad jejmość Grażyną, turbując ją okrutnie. Ja zaś, korzystając z okazji, pociągnąłem za sobą owego chłopaczka z Nowogródka i zbiegłem do dworu. A młodzik, choć go przecie ratowałem z opresji, wcale iść stamtąd nie chciał. Istotnie. Młodzik nie chciał odejść. Młodzik na tyle był młody, że bardziej ufał uczuciom i zmysłom niżli słowom profesora, choćby i najmędrszym. A zmysły w tym wypadku nie kłamały. Nie chciał iść, bowiem wpatrywał się w niebieski punkt, którego, zdało się, nikt prócz niego nie zauważał. Chłopak zamrugął, wyteżył wzrok, koncentrując się na dłoni Karusi.

Zsiniałe palce lewej dłoni zaciskały się w pięść. Spomiędzy nich zaś wylaniał się... młody Adam uszczypnął się, by upewnić się, że nie śpi - tak, kwiat. Kwiat o bławatkowej barwie.

- Jakżeż nazywał się ten chłopak? Zapomniałem... - zapytał rektor, wcięż rad, że osoba, która tyle wiedziała o jego przeszłości, Grażyna Orzeszko, nikomu już o tej przeszłości nie opowie ani słowa.

- Mickiewicz - powiedział psychiatra, popijając krupnik z kieliszka. - Adam Mickiewicz.



Roman westchnął, zamykając książkę. Nie miała zbyt dużej wartości naukowej, interesowała go bardziej jako ciekawostka. W trzech czwartych na jej zawartość składały się fabularyzowane przeróbki znanych historii - wszystkich dokonano na tę samą modłę. Autor udowadniał mianowicie, że to, co brano za obłąd, obłądem nie było, że to normalni mylili się co do natury świata i rzeczywistości. Pierwsza opowieść, Roman pamiętał ją jak dziś, była o jeziorze Genezaret, i zdała się całkiem interesująca, druga już mniej, bo pozbawiona była świeżości, a przy trzeciej Głowacki odłożył sfatygowany tom na półkę, nawet nie skończywszy czytać. Schemat pozostawał bowiem zawsze podobny, podczas gdy Roman lubił różnorodność (co najlepsze odzwierciedlenie znajdowało w liczbie partnerek psychiatry).

Nigdy by sobie o książce nie przypomniał, gdyby nie Adam. Głowacki przekartkował jedną z ostatnich opowieści i wziął się do rozwlekłego eseju zamykającego książkę. Główną jego tezą było, że szaleńcy to nie osoby chore, lecz ludzie bardziej niż inni wyczuleni na rzeczywistość, pełniej odbierający strukturę świata, wyraźniej dostrzegający sprawiedliwość i niesprawiedliwość, a przede wszystkim - widzący to, co zakryte przed zwykłymi śmiertelnikami.

- Jasne, jasne. - Roman zaśmiał się, obracając w dłoni kieliszek argentyńskiego wina, które pijał pasjami.

Przez moment igrał z myślą, że Adam, ów nieszczęsny Adam, mógł mieć rację, że jego wizje to nie zespoły urojeniowe. Przed oczyma psychiatry stały całe zastępy bardziej lub mniej wydarzonych autorów rozmaitych baśni i fantazji - zabawne było sądzić, że krainy wydumane przez Carrolla czy Tolkiena istnieją naprawdę. Że istnieje Avalon, że Merlin to faktycznie mag, że gdzieś tam czają się diabły, anioły, demony rozmaitego sortu, że są światy, w których smoki zieją ogniem, krasnoludy panują w kopalniach, a lasy pozostają domeną elfów. Że istnieje magia, że istnieją jakieś królicze nory czy stare szafy pozwalające przedostać się do Narnii lub innego Hogwartu. - Czy nasz świat jest faktycznie taki zły, że niektórzy wolą pogrążyć się w iluzji? - mruknął.

Zatrzasnął wolumin, delikatnie wodził palcami po złotych tłoczonych literach i skórzanej oprawie. Księga być może nie była przydatna, gdy szło o przewód doktorski, natomiast, nie sposób zaprzeczyć, miała wartość bibliofilską. Zastanawiał tylko brak danych identyfikacyjnych - ani autora, ani wydawnictwa, ani daty wydania.

- Czy nasz świat faktycznie jest taki zły? - powtórzył. Wiedział, że nie. W myślach podsumował zdarzenia ostatnich dni. Cały ciąg zdarzeń. Nawet nie przypuszczał, że wszystko ułoży się aż tak dobrze. Aż tak szczęśliwie.

Najpierw doktorat - życie samo wepchnęło w jego ręce pacjenta idealnego - cóż z tego, że kumpla, czy nie można doktoryzować się na kumplu? Poczawszy od etiologii choroby, aż po stadium zaawansowane, hiper-reaktywne. I samozniszczenie.

Pomyślał o pierwszych symptomach schizofrenii - zaśmiał się na wspomnienie, że Adam jeszcze przez kilka dobrych miesięcy uważał się za zdrowego.

Przemęczenie, powtarzał Niezgoda, lecz Głowacki dobrze wiedział, że chodzi o coś innego. Psychiatra zdawał sobie sprawę, że ludzie korporacji skłonni byli przemęceniem tłumaczyć niemal wszystko.

- Ciekawe, czy gdyby urwało ci rękę, też powiedziałbyś „przemęczenie”? - drwił.

Przemęczenie.

Niech więc tak sądzi, pomyślał wtedy Roman i podsunął koledze pióluńówkę. Z premedytacją.

- Nie - odparł swemu odbiciu zniekształconemu w resztkach wina.

Nie czuł się winny. Schizofrenia rozwinęłaby się u Adama tak czy inaczej, zapewne postępowałaby trochę wolniej, ale w sumie co za różnica? A on, Roman, miał wreszcie dowód, dowód na to, że substancje chemiczne mogą przyspieszyć rozwój choroby.

- A nawet jeśli - warknął, twarz stężała mu w nieprzyjemnym grymasie. - Nawet jeśli przyczyniłem się do tego...

Przerwał, słysząc dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz komórki, uśmiechnął się i zanim odebrał, rzucił pod nos:

- Było warto!

- Cześć, kochanie - już mówił do słuchawki, już grał, już wabił. - Słuchaj, nie powinnaś się obwiniać. Nie masz z tym nic wspólnego. Nic, rozumiesz? On był... Sama wiesz, że nie był normalny. Popatrz na to z innego punktu widzenia - wreszcie jesteś wolna.

Wiesz... myślę, przyjedź. Przyjedź do mnie. Uczymy to! Za pół godziny? Świetnie.

Odłożył komórkę na biurko, zaśmiał się, zacisnął pięść w geście zwycięstwa. Wreszcie! Czuł już jej dotyk, jej ciepły oddech, jej zapach, delikatny i jednocześnie oszałamiający. Zapach, którego nie dawało się zapomnieć. Nareszcie koniec z tajnymi schadzkami, z obściskiwaniem się w aucie, z niespokojnymi spojrzeniami w stronę drzwi, z nasłuchiowaniem, czy przypadkiem nie nadjeżdża samochód. Nareszcie koniec ze skokami przez okno i ucieczkami przez las. Mimochodem zerknął na dłoń, która goiła się kiepsko.

- Tak! - powtórzył, wyzbywając się skrupułów. - Opłacało się.

Teraz, pomyślał, czas przygotować się na przybycie gościa. Czas zadbać o wygląd.

Wstał zza biurka. Kiedy podchodził do lustra, na jego ustach błąkał się zawadiacki uśmiech - starannie wyćwiczony, dokładnie taki, jaki kobiety lubiły najbardziej. Pewnym ruchem przecesał włosy układane na wzór fryzury Harrisona Forda i popatrzył w zwierciadło.

- Lustreczko, powiedz przecie - zaczął ze śmiechem - kto jest najpięk...

- Na pewno nie ty, skurwielu - odpowiedziało lustreczko.

Roman odskoczył, zamrugał, przetaił oczy. Spanikowany rozejrzał się dookoła. Pustka. Zaklął paskudnie.

- Szkodzi mi ta robota. Szkodzi mi towarzystwo świrów - wycedził, znów podchodząc do lustra. Mimo że racjonalista do szpiku swych przekonań, spoglądał na zimną taflę z obawą i wahaniem.

Co to?

- Nic - odrzekł samemu sobie Głowacki. Głośno, wyraźnie, tak aby siebie przekonać. W lustrze nie było bowiem nic nadzwyczajnego. Ot, jego własna, nieco zmęczona, sfatygowana, mimo wielu metroseksualnych zabiegów, fizys.

I tyle.

- Fakt, że ktoś jest psychiatrą, nie chroni przed zaburzeniami umysłu - napomniał się. - I mnie mogą przytrafić się omamy słuchowe.

A jednak, kiedy już odwracał głowę, coś ledwie zauważalnego mignęło mu na skraju pola widzenia. Coś, czego nie odważył się nazwać ni opisać. Coś, co balansowało na granicy percepcji.

Cień.

Oddech Romana przyspieszył, a serce zerwało się do galopu, gdy usłyszał rumor. Hałasy dobiegały z kuchni. Skoczył w tamtą stronę, łapiąc po drodze pogrzebacz oparty o kominek. Już zamachnął się do uderzenia, już kopniakiem otwierał drzwi, gdy zrozumiał, że kuchnia jest pusta.

Wyjrzał przez okno.

Dzień chylił się ku końcowi, lecz widoczność pozostawała na tyle dobra, by dostrzegł pojedynczą białą plamę na swoim wypielegnowanym trawniku. Zaklął - nie wiedzieć który to już raz tego popołudnia, i otworzył okno, by obejrzeć ową plamę wyraźniej.

Plama miała długie uszy, kicała nieco nieporadnie, a wypielegnowany przez ogrodnika trawnik przed domem Głowackiego w sposób oczywisty bardzo jej smakował. Roman w pierwszym odruchu wściekł się, widząc, że stworzenie niszczy jego własność, chciał w nie cisnąć pogrzebaczem, ale powstrzymał się szybko.

Biały królik. Coś mu to przypominało. - Nie! W dupę jeża, nie! Odwrócił się naraz, czując, że ktoś go obserwuje, i jednocześnie wyprowadzając cios pogrzebaczem. Szkło witryny kryjącej cenną chińską zastawę posypało się po kuchni. Również warta majątek porcelana z Dalekiego Wschodu uległa nagłej i nieodwracalnej dewaluacji. Roman dyszał, ścierał z czoła zimny pot i oceniał rozmiar zniszczeń. - Co się z tobą dzieje? - szeptał. - Stary, weź się w garść. Omamy, ot co. Okazuje się, że wyrzuty sumienia to nie wymysł poetów. Trudno, koszt uzyskania. Jakoś przeżyję. Trudno. Ale teraz już starczy. Starczy!

Popatrzył przez okno, sprawdzając, czy przypadkiem nie podjeżdża samochód Renaty, lecz nie - to tylko sąsiad z piskiem opon i dudnieniem głośników ruszał w kierunku Poznania.

- No świetnie. Teraz prócz mnie nie ma w promieniu pół kilometra żywej duszy - wycedził, zauważając jednocześnie, że królik gdzieś zniknął.

A potem zerknął na łyżeczkę. Roman Głowacki uchodził za chorobliwego pedanta, potrafił godzinami polerować szklanki, talerze czy sztućce - w rezultacie cała zastawa lśniła, a w łyżeczkach czy nożach można było się przeglądać. Tak jak teraz. Roman właśnie się przejrzał. Nie był sam.

Stała za nim jakaś postać, ciemna i złowroga, kryjąc się w cieniu, a za nią - za nią psychiatra dostrzegł drogę w las, zieloną łąkę i kontur przytulnego domku. Wbił spojrzenie w płaskie ostrze noża, przyglądając się majaczącej z tyłu sylwetce - nieco korpulentnej, kwadratowej, lecz jednak znajomej. Cień najwyraźniej zrozumiał, że został odkryty, bo uniósł kapelusz w geście powitania. Na jego szyi, Roman wyteżył wzrok, tak, na szyi zjawy wisiał wisiorek z agatem. Podobny do tego, jaki Głowacki nosił kilka miesięcy wcześniej.

- Nie! - Krzyk Romana rozbrzmiewał już w całym domu.

Lewą ręką psychiatra sięgnął do ciasnej kieszeni, wyłuskał komórkę. Renata nie odbierała, najwidoczniej jadąc polną drogą, gubiła zasięg. Bez zastanowienia wybrał kolejny numer z listy.

Policja.

- Nie dostaniesz mnie - szeptał, spoglądając w odbicie, gdy udało mu się wreszcie dodzwonić na komendę i wezwać funkcjonariuszy. - Nie dostaniesz.

Nagle doznał olśnienia. Książka. Przecież czytał o tym w tej książce.

Dopał do półki, sięgnął po oprawiony w skórę wolumin, w panice kartkował strony, znajdując na koniec odpowiedni fragment.

- Lustro - czytał na głos, co chwilę unosząc głowę i rozglądając się dookoła. - Lustro uważane jest przez niektórych za symbol szaleństwa. Nie bez przyczyny. Zwierciadło bowiem to wrota. Dzielą one świat na pół, na to, co widzialne, i na to, co niewidzialne. Rzecz ma się podobnie z wszelkimi przedmiotami, w których możesz ujrzeć odbicie. Lustro to droga... - To droga - powtórzył Roman i walnął z rozmachem w okno.

Wszystkie przedmioty, w których można się przejrzeć, to droga. Dobrze więc. Czas na dróg blokadę.

- Nie dostaniesz mnie - wrzeszczał, wybijając szyby. Oberwał telewizor, talerze, w śmieciach wylądowały łyżki i noże, połyskliwy ekran komórki przecięła pajęczyna pęknięć, nawet CD połamał na drobne kawałeczki.

- Nie dostaniesz mnie! Nie dostaniesz! - krzyczał Głowacki, zanosząc się histerycznym śmiechem. Chwytał ze stołu wazon i z rozmachem cisnął nim w lustro, które rozpekło się na tysiąc części. Dalej - metodycznie - jął niszczyć metalowe miski, zapamiętałe drapiąc je papierem ściernym. Kieliszki do wina - trach i było po kieliszkach, następne uderzenie zniszczyło starą polerowaną lampę. Zegarek, piękny, wart z tysiąc złotych, rozbił o kant stołu.

- To chyba wszystko - sapnął, ocierając mokre czoło, po czym jego wzrok padł na pękatą butelkę absyntu. Za nią stała stara fotografia, którą Roman nabył przez przypadek - stary kloszard sprzedając psychiatrze *Szaleństwo? Historie prawdziwe?*, pozostawił zdjęcie między

pożółkłymi kartkami; najpewniej służyło poprzedniemu właścicielowi jako zakładka. Głowacki nigdy wcześniej nie zwracał na nie uwagi, ale teraz przyjrzał się mu bliżej. Uwieczniona na fotografii twarz spoglądała na niego wzrokiem pełnym złości.

Była to twarz, którą Roman znał.

Aż za dobrze.



- Popatrz, popatrz, kto przyjechał - mruknął wymuskany funkcjonariusz do swojego partnera, przypominającego człowieka z Cro-Magnon.

Zwalisty odwrócił głowę, odrywając wzrok od wisiora z agatem, narzucającego skojarzenia z odpustem, i zerknął na wysiadającą z samochodu Renatę Niezgoda. Jej twarz, blada i wykrzywiona w grymasie strachu, w świetle biało-niebieskich błysków przywodziła na myśl trupy, które w ostatnim czasie i kromaniończyk, i wymuskany oglądali w nadmiarze. Masywny policjant odłożył na bok woreczek zawierający strzępy jakiegoś zdjęcia, pochodzącego - na ile jego stan pozwalał to ocenić - jeszcze z XIX wieku, i obrzucił spojrzeniem nadchodzącą kobietę. Spojrzeniem - jak zwykle - niewesołym.

- Panowie, ale dlaczego? - pisnęła przestraszona Renata. - Co panowie tutaj robią? Przecież...

- Bardziej nas interesuje, skąd pani tutaj? - Wymuskany wyłonił się zza wielkich pleców kolegi i wbił w przybyłą swój dociekliwy i bezczelny wzrok. - Po tylu latach pracy w policji człowiek, wie pani, przestaje wierzyć w przypadki.

Renata zająknęła się:

- Ja... ja, nie, to nie przypadek. Chciałam porozmawiać. Mieszkam w sąsiedniej miejscowości, a pan Głowacki był moim przyjacielem. I lekarzem.

- Przyjacielem - elegant powoli powtórzył po Renacie. - I lekarzem. Okazuje się, że on leczył wszystkich, pani męża też, prawda? A panią, jeśli wolno spytać, to z czego?

- Nie wolno! - warknęła Renata. - Chcę się z nim widzieć. Natychmiast.

- Może ze smutku leczył? - wtrącił się kromaniończyk.

Ilekróć mówił, zaskakiwał tym Renatę, która nigdy by nie pomyślała, że ktoś taki w ogóle potrafi artykułować inne dźwięki prócz groźnych pomruków i bębnienia dłońmi w klatkę piersiową.

- Chcę się z nim widzieć! - powiedziała dobitnie, nie reagując na impertynencje olbrzyma.

- A z tym akurat będzie, droga pani, kłopot - inicjatywę znów przejął wymuskany.

Renata zauważyła, że policjant przestępuje z nogi na nogę, że jego wzrok wędruje gdzieś do góry. Co mają znaczyć te chrząknięcia, te przerwy, te spojrzenia dziwaczne, grymasy? - Czy to znaczy, że nie ma go w domu? Zabraliście go na komisariat, tak? - spytała.

Jej wyobraźnia podpowiadała jeszcze inne scenariusze - na przykład szpital. Sądząc po zębach szyb sterczących z porozbijanych okien, miał tu miejsce napad. Roman musiał teraz leżeć pod kroplówką, w śpiączce. Renacie przemknęła przez myśl cała galeria ckliwych scen, poczynając od *Na dobre i na złe*, na *Matriksie* kończąc. *Kiss of life*, pomyślała, widząc siebie nachylającą się nad nieprzytomnym Romanem i całującą go w usta.

- Nie, jest tutaj... - bąknął od niechcienia elegant, wrywając Renatę z zadumy. - Tylko że...

- Że co? - prawie krzyczała. Głos wymuskanego brzmiał fałszywie i budził niepokój.

- Tylko... - kromaniończyk sapnął, podszedł do niej i niespodziewanie objął ją ramieniem.

- Tylko że nie możemy znaleźć jego głowy.

EPILOG

Sylwia Jaroszyk wyslizgnęła się z salki konferencyjnej, tłumiąc płacz. Mimo że od pożaru minęło już kilka dni, na każde wspomnienie o tragedii łzy same napływały jej do oczu. Nie rozumiejąc, co robi, biegła korytarzami zdewastowanymi przez akcję strażaków. Mijała okopcone ściany, przyglądała się czarnym zaciekom na murach, wybitym szybom i walającym się wszędzie papierom. Przeglądała się w kałużach na podłodze. Wreszcie znalazła się na miejscu.

Nie wspominała nikomu o swojej przygodzie sprzed pożaru, choć spotkanie z Niezgoda wydawało jej się tak realne, że nie mogło, po prostu nie mogło być przywidzeniem. Niemniej jednak tu wszyscy byli przeczuleni, w szpitalu wszystko kojarzyło się z chorobą psychiczną. Sylwia przez lata pracy nauczyła się, że zbytne ufanie współpracownikom jest niebezpieczne - człowiek człowiekowi stanowczo zbyt często bywał polaczkiem. Trzymała więc język za zębami.

„Zmieni się”, przypomniała sobie głęboki, ciepły głos Niezgody. „Tutaj wiele się zmieni. Niebawem”.

Z pewnym wahaniem podeszła pod okno, pod którym tamtego dnia piła kawę. Była przekonana, że jeśli przyjdzie w to samo miejsce, stanie tam i spojrzy na dziedziniec - on przybędzie, zjawi się znowu. Że ktoś zrobił błąd, przeprowadzając to cholerne badanie uzębienia, za pomocą którego zidentyfikowano zwłoki. Że pożar to tylko sprytny fortel, który umożliwił Adamowi ucieczkę z tego quasi-więzienia. Nie przyszedł.

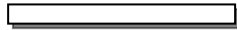
Sylwia stała wpatrzona w okno. Po jej policzkach spływały słone krople. Nie przyszedł. Nagle zamruwała. Rękawem lekkiego bawełnianego swetra otarła mokre oczy. iMagnolia.

Pokręciła głową. Znów mam przywidzenia, skarciła się, tak samo jak wtedy. Głupia! Mimo wszystko otworzyła okno i wychyliła się przez nie. Jeszcze raz zamruwała, a dla pewności uszczypnęła się w nadgarstek (gdzieś czytała, że ból pomaga rozróżnić, czy to wciąż jawa, czy już sen). Syknęła, stwierdzając, że z całą pewnością nie śpi.

Uśmiechnęła się. Najpierw lekko, nieśmiało, chwilę potem roześmiała się na całe gardło. Radośnie.

Magnolia.

Magnolia była obsypana kwiatami.



Trudno jednak żyć w dwóch światach jednocześnie. Dlatego (...) zwykle jedna z rzeczywistości przeważa.*

* *Schizofrenia*, Antoni Kępiński

SKARBY

For too long now, there were secrets in my mind

For too long now, there were things I should have said

In the darkness, I was stumbling for the door

To find a reason, to find the time, the place, the hour

Tears Of The Dragon, Bruce Dickinson

1

Monika postanowiła, że nie będzie płakać, lecz łzy same płynęły po policzkach, kapiąc na obcisłą bluzeczkę o kolorze śniegu i zostawiając na niej mokre plamy. Chciało jej się krzyczeć, wyć - co najmniej tak głośno i przejmująco jak syreny wozów strażackich, które właśnie wtoczyły się na poznański Stary Rynek, usiłując dotrzeć do płonącej kamienicy. Na rynku zapanowało szaleństwo, ludzie wybiegali z okolicznych kawiarni i restauracji. Kilka dziewczyn, wyglądających na licealistki, które urwały się na wagary, by pierwszy raz w życiu posmakować piwa i zapalić pierwszego w życiu papierosa, darło się wniebogłosy. Biznesmeni zrywali się od stolików, cały czas rozmawiając przez komórki, ktoś, gnając na oślep, wpadł na stoisko z poznańskimi landszaftami. Kilka obrazków spotkał los, na który faktycznie zasłużyły - zostały rozdeptane. Nad chaosem bezskutecznie próbowały zapanować jednostki straży pożarnej, wspomagane przez „municypałów”. Sanitariusze w pośpiechu nakrywali ciało wysokiego mężczyzny. Nawet z dala można było dostrzec straszliwe poparzenia twarzy, rąk, tułowia.

Na to wszystko Monika, która miała dość swoich problemów, patrzyła z wyjątkową obojętnością i spokojem. Spojrzała na kłęby czarnego dymu, spowijające narożną kamienicę, okiem reportera „National Géographie”, którego życiową misją jest zrobić zdjęcie, zapewniające sukces na World Press Photo. Zauważyła tylko, że w Poznaniu ostatnio sporo było pożarów.

- Samochód, który spłonął tuż przy bibliotece Raczyńskich, kamienica na Jeżycach, blok na Tysiąclecia, jeden z osiedlowych marketów, namiot cyrkowy... - liczyła cicho, dochodząc do wniosku, że powoli zaczynało to przypominać wojnę gangów.

Zaczynam myśleć jak PiS-owcy, skarciła się w duchu, wszędzie widzę spiski. A przyczyna tych tragedii z pewnością jest oczywista. Na przykład upalne lato. Albo przestarzałe instalacje elektryczne. Wzruszyła ramionami. Jakie to ma teraz znaczenie? Dla niej pożar oznaczał tyle, że na rynku zrobiło się zdecydowanie mniej miło. Zonk - i szanse na dobrą zabawę spadły prawie do zera. A Monika tego dnia miała mocne postanowienie, że się zabawi. Upije i upali. Znajdzie sobie faceta. Spędzi w łóżku następny tydzień, a jeśli nie będzie już mógł, sama kupi mu te cholerne tabletki, po których widzi się na niebiesko. Tak, Monika postanowiła, że tego dnia zabawi się ostro. Musiała się spieszyć.

Bo niebawem, pomyślała smutno, może być już za późno.

Wspomnieniami wróciła do kolejki w publicznym szpitalu, bo na prywatny nie było jej stać. Pracowała jako nauczycielka angielskiego i mimo że miała godziny w kilku szkołach, a do tego dorabiała jeszcze korepetycjami, nie zarabiała zbyt dużo - w roku 2009, po wielkiej fali powrotów emigrantów z Anglii, co druga osoba mówiła w języku Szekspira, a ceny za dodatkowe lekcje sięgnęły dna.

- Może i w Polsce się poprawiło, ale my, nauczyciele, dalej zarabiamy grosze - fuknęła gorzko, przypominając sobie kolejkę w szpitalu na Lutyckiej, w której spędziła całe trzy godziny. W bezsilnej złości zacisnęła palce w pięść. Zniosłaby pewnie i dłuższe oczekiwanie, gdyby tylko usłyszała coś innego.

Lekarz był sztywny i oschły jak pieczywo chrupkie ze Szwecji.

- Tak - zaczął komunałem. - Zdrowie to prawdziwy skarb.

A potem spojrzął w papiery i bez jakichkolwiek emocji, głosem niczym z komputerowego syntezyzatora mowy, oznajmił krótko: - Stwardnienie rozsiane. Nie ma żadnych wątpliwości.

Owo „żadnych wątpliwości” utkwilo w jej pamięci niczym drażniący cierń. Minęła już godzina, odkąd opuściła szpital, godzina, w której przespacerowała spory kawałek miasta i wypaliła siedem czerwonych LM-ów z rzędu (zazwyczaj paliła lighty, ale tego dnia potrzebowała czegoś mocniejszego), a mimo to nie mogła się otrząsnąć. Dlatego pożar narożnej kamienicy, dramatyczny i wywołujący popłoch, na Monice nie zrobił większego wrażenia. Stała z boku z papierosem w ręku, nieopodal fontanny, bezpieczna - bo przecież od płonącego domu dzieliło ją kilkadziesiąt kroków - i obserwowała całe zdarzenie coraz bardziej znudzona. Kątem oka zobaczyła rosłego mężczyznę w czarnym garniturze i czarnych

okularach. Musi mu być zajebiście gorąco, zauważyła, bo słońce tego czerwcowego dnia paliło bez litości. Wygląda jak BOR-owik.

Funkcjonariusz BOR-u nie zwracał na nią uwagi, rozmawiając z kimś zawzięcie przez komórkę.

- Tak, kurwa. Spierdolił! - krzyczał, rozglądając się na boki. - No, jakąś godzinę temu. Tak, od Jerzego. Co robimy? Szukamy, kurwa, a co mamy robić? Tutaj jest wielka rozpierducha, pożar, straż, cholera. Słucham? Tak, użył, kurwa, swoich talentów. Wszystkich talentów. Aż nam pociski w magazynkach powypierdały. A Hamerskiego to dziabnęła żmija, kurwa, najprawdziwsza żmija, wsunęła się przez okno i jeb, zanim odrąbaliśmy jej głowę, siekła Wojtka w przedramię. Dobrze, że dostał serum, bo inaczej...

Żmije, pomyślała Monika, padalce, zaskrońce i wszelkie inne gady były drugą z plag, która tego lata nawiedziła Poznań. Pchały się do miasta jak mużulmanie do Mekki. Zaglądając w jakikolwiek zakamarek, można było być pewnym, że stanie się oko w oko z jaszczurką, a wyjście na przestronne podwórze groziło rendez-vous ze żmijami, wygrzewającymi się w słońcu. Nie dość tego - oszalały również węże zamknięte w prywatnych terrariach, sklepach zoologicznych i w samym zoo.

Monika, widziała w wiadomościach lokalnych wywiad z ekscentrycznym dyrektorem ogrodu zoologicznego, Maciejem Gorczyńskim, który próbował wytłumaczyć tłumowi dziennikarzy, że ucieczka dziesięciometrowego pytona siatkowanego to nie wina pracowników zoo, a sam wąż jest niegroźny dla mieszkańców.

- Wiem, że trzeba uważać, żeby nie opitolił teraz jakiegoś banku - BOR-owik nie przestawał krzyżeć do słuchawki. - Dałem już znać, komu trzeba. Znaleźliśmy ciało, jasne. Ale co z tego? To tylko ciało. Co?

Dobra, idę. Funkcjonariusz odsunął telefon od ucha, przez moment obserwował to, co dzieje się na rynku. Mruknął: „Tutaj chuja nie ma. Zwiął.” i odszedł wolnym krokiem.

W czarnym garniturze, kiedy tak szedł miękko i czujnie, skojarzył się Monice z pumą. Ta myśl przypomniała jej, po co przyszła na rynek. Niestety, sądząc po pustkach, jakie zapanowały w przyknajpianych ogródkach, pożar zniszczył nie tylko kamienicę, ale również erotyczno-rozrywkowe plany młodej anglistki.

Podmuch wiatru smagnał ją po twarzy wodną mgiełką, która unosiła się nad fontanną. Było gorąco, chłodny powiew powitała więc z zadowoleniem, nie przejmując się, że woda rozmaże jej makijaż. Odwróciła się w stronę fontanny. Apolla z brązu prawie nie było widać zza chmury drobnych kropel, unoszących się nad ośmiokątną studnią z piaskowca. Monika uśmiechnęła się, a wtedy... Wtedy spośród strumieni ktoś wyszedł.

W pierwszej chwili myślała, że to sam Apollo postanowił zejść z cokołu i zwiedzić Poznań. Zaniepokoiła się o siebie - słyszała to i owo o stwardnieniu rozsianym, lecz nie sądziła, że do objawów należą również urojenia. Zamrugła i spostrzegła, że Apollo, chwala Bogu, pozostał na swoim miejscu. Ten, który wyszedł z fontanny, stał teraz oparty o piaskowiec i przypatrywał się jej uważnie.

Przetarła wilgotne oczy i przyjrzała się nieznajomemu uważniej. Wyglądał nieco... dziwnie. Brzydki nie był, bynajmniej. Równie wysoki jak BOR-owik, jednak zdecydowanie przystojniejszy - ramiona nie tak napakowane, klatka piersiowa nie tak groteskowo rozdęta, każda część ciała miała idealne proporcje. Obrazu dopełniała płowa czupryna i smągła, opalona na lekki brąz, twarz. Monika oceniła, że mężczyzna jest przystojny. Bardzo przystojny. Nie w tym jednak tkwiła jego dziwność.

Pominąwszy fakt, że nieznajomy wyskoczył z fontanny, zwracał uwagę swoim ubiorem, niecodziennym, by nie rzec - dziwacznym. Spodnie wyglądały na skórzane, lecz Monika mimo lekkiego bzika na punkcie odzieży nie potrafiła zidentyfikować, jakie zwierzę musiało umrzeć, by stojący przed nią dandys zyskał przyodziewek. Nogawki były połyskliwe i niemal czarne - właśnie niemal - bo w słońcu spodnie wydały jej się grafitowe. Monikę tak zaciekawił ów niezwykle efekt, że na moment zapomniała, iż była przeciwniczką zabijania zwierząt. Marynarka nieznajomego prezentowała się jeszcze bardziej osobliwie.

W promieniach słońca migotała wszystkimi kolorami tęczy, a anglistka pomyślała, że to z pewnością skóra krokodyla. Albo węża. Tak czy inaczej - ciuch ekstrawagancki, w którym nieznajomy przypominał nieco drag queen. Monika uważała się za osobę tolerancyjną, co najmniej w takim stopniu jak redaktorzy „Wyborczej”, jednakże w duchu przyznawała, że ten ubiór, uzupełniony sportową pstrokatą koszulką bez rękawów i równie niespotykanym jak marynarka wisiorem, przedstawiającym węża pożerającego swój ogon, wygląda śmiesznie.

Dziewczynę zafascynowały również jego oczy. Gdyby zobaczyła podobne tęczówki u jakiejś innej osoby, powiedziała, że taki kolor nie istnieje - owszem, bywają oczy zielone, lecz nie zielone tak intensywnie, nie tak agresywne w swej zieloności, że aż wyzywające. Gdyby Monika zobaczyła takie tęczówki u kogoś innego, powiedziała, że soczewki kontaktowe. Oryginalne. Ot, fajny lans. Paradoksalnie jednak, w zestawieniu z marynarką, koszulką i wisiorkiem, niezwykłe oczy nieznajomego były jak najbardziej na miejscu. Monika zastanowiła się, czy świecą w nocy - jak u kotów. Kolejna myśl anglistki była znacznie bardziej samolubna. Ładny, skonstatowała. Byłoby miło pozapominać o problemach w jego towarzystwie. Przy piwie i lufce napełnionej suszem.

Nieznajomy tymczasem popatrzył w lewo, w prawo, z ramienia zdjął mały plecak, zajrzał do środka i odetchnął z ulgą. A potem uśmiechnął się sympatycznie do Moniki. Choć nie miał uzębienia hollywoodzkiej gwiazdy - kły duże i ostre wystawały na boki trochę jak u wampira - Monice ten uśmiech bardzo przypadł do gustu. Podobnie jak spojrzenie, gorętsze niż żar buchający od rozgrzanego bruku. Wiedziała, że jest atrakcyjna, że podoba się facetom. Temu z pewnością się spodobała.

Podszedł do niej, wyciągnął przed siebie dłoń i z obcym akcentem powiedział:

- Smaugowicz. Rafał Smaugowicz.

Monika odwzajemniła uścisk, dochodząc do wniosku, że popołudnie jednak jest do uratowania.

2

- Skarbów. Szukam skarbów. I właśnie jeden znalazłem - odpowiedział, patrząc w jej oczy z uśmiechem polityka obiecującego trzy miliony mieszkań, gdy Monika spytała, czym się Rafał właściwie zajmuje.

Siedzieli przy małym stoliku wystawionym na podwórze kamienicy. Dookoła Starego Rynku pełno było knajpek, które - kiedy tylko nastawała wiosna - rozpełzały się na przyległe podwórza, dekorując je ozdobnymi matami, parasolkami, drewnianym rzeźbami, starymi meblami i nieśmiertelnymi nogami od maszyn do szycia. Monika zaprowadziła Rafała do jednej ze swoich ulubionych - „Cafe Trzy Kawki” okazały się miejscem miłym, przytulnym i dyskretnym. Anglistka zaciągnęła się marihuaną i podała lufkę Rafałowi, który zdążył już opróżnić cztery szklanki wypełnione wódką i kostkami lodu.

- To najlepszy polski wynalazek - powielił stereotyp powszechny na Zachodzie, wlewając w siebie kolejną dawkę wyborowej.

Sięgnął po lód i zagryzł alkohol kilkoma kostkami. Skinął na kelnera.

- Jeszcze - głową wskazał na blaszany pojemnik.

- Jeszcze lodu.

Kiedy zapytała, dlaczego tak lubi lód, znów się zaśmiał, a śmiech miał tak głośny i czysty, że słyhać go było na całym podwórzu.

- Gorący chłopak jestem - odparł, a Monika spostrzegła, że bardzo lubi tę nutkę bezczelnej pewności siebie, która pobrzmiwa w jego głosie. Spostrzegła też, że lubi jego śmiech, jego energiczność i bezkompromisowość, z którą podchodzi do życia. Jeżeli się już na coś decydował - robił to całym sobą, nawet papierosem zaciągał się tak, jak gdyby od tego zależały losy świata.

- Palisz jak smok - skomentowała, widząc, że papieros znika z każdym sztachnięciem po centymetrze. - Nie wiesz, że to niezdrowe?

- Mnie to nie zaszkodzi - prychnął, zabawnie ziejąc dymem. - Natomiast ty powinnaś na siebie uważać.

Zanim skończył, już rozumiał, że powiedział zbyt wiele. Monika posmutniała, spuściła oczy i machinalnie sięgnęła do paczki LM-ów. Chciał się wycofać, obrócić całą w sytuację w żart, ale wtedy dziewczyna doszła do wniosku, że to nie ma sensu. Że musi mu opowiedzieć o wyroku, który usłyszała kilka godzin wcześniej z ust „syntetyzatora mowy”, przebranego w lekarski fartuch. - Sam więc rozumiesz - kończąc opowieść, uśmiechnęła się, tak jak potrafią to tylko kobiety, ładnie i smutno zarazem - szukam jedynie rozrywki. Przelotnej przygody. Nie mogę niczego obiecać, bo za kilka lat stanę się tylko ciężarem. Dlatego chciałabym, żeby sprawa była jasna.

Byli wtedy już po kilku pocałunkach, a dłoń Rafała raz po raz zapuszczała się w okolice jej kolan. Wpatrywał się w nią jak w obraz, ona odwzajemniała mu się tym samym, bo z każdą chwilą fascynował ją bardziej i bardziej. Wolała zawczasu przeciąć wszelkie nadzieje, choćby nawet jeszcze nie powstały, zabić potencjalne uczucie, zanim zakiełkowało - bo później sytuacja mogła wyniknąć się spod kontroli. Nie chciała się zakochiwać. Chciała tylko zapomnieć.

Z Rafałem zapominało się zbyt dobrze.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Oczy miał mądre, zdawało się, że mają tysiąc lat. W duchu prosiła, żeby domyślił się, czego od niego oczekuje, żeby nie zaczął się teraz nad nią użalać, powtarzać setki razy, że jest mu przykro i jednocześnie podświadomie traktować ją jak trędowatą - co zapewne zrobiłaby większość facetów. Ale Rafał - na szczęście - był inny.

- Ale dzisiejszej nocy... - zagaił, przyglądając się jej wypielęgnowanym dłoniom - nie masz zamiaru spędzić sama?

Roześmiała się i całe napięcie z niej spłynęło. Zupełnie jak wtedy, jakąś godzinę wcześniej, kiedy spacerując po starówce, Rafał zauważył jaszczurkę. Monika nie przepadała za takimi stworzeniami, czując do nich instynktowną odrazę. Ostatnie tygodnie w Poznaniu były dla niej koszmarem - cały czas coś się pod nogami wiło, co chwilę betonowo-asfaltową rzeczywistość zakłócało coś zwinnego i podłużnego. Dlatego widząc jaszczurkę, która jak spod ziemi wyrosła na ich drodze, odskoczyła instynktownie do tyłu i krzyknęła.

Smaugowicz nie wystraszył się gada. Wręcz przeciwnie - uśmiechnął się z dziwną czułością, pochylił i - o zgrozo - podniósł zwierzę z chodnika.

- Piękny - wymruczał. - Jesteś piękny.

Uniósł stworzenie do góry, przypatrując się jego jaskrawozielonym bokom i brązowoplamistej prędze biegnącej przez środek pleców. Jaszczurka zaś, zamiast zaatakować mężczyznę, spełniając tym samym wymaginowane lęki anglistki, zachowywała się spokojnie. Łypała okiem to na Rafała, to znów na stojącą krok dalej Monikę. - Chyba nie boisz się zwykłej zwinki? - zapytał Smaugowicz, odwracając się do dziewczyny. - Chodź, przecież nie zrobi ci krzywdy. Boi się znacznie bardziej niż ty. No zobacz - oto ja, pan zwinka.

To mówiąc, Rafał delikatnie dotknął nakrapianej szyi zwierzęcia, które wykonało gest, jak gdyby skłaniało głowę, przedstawiając się anglistce. Wtedy Monika nie wytrzymała, wybuchnęła śmiechem. Nie pierwszy raz zresztą. - On zarabia i tak zbyt dużo - szepnął Rafał Monice do ucha, przynosząc jej kilka gałek lodów włoskich.

Dziewczyna obserwowała go uważnie, widziała, jak z miejsca zaprzyjaźnił się ze sprzedawcą. Słyszała, jak wymieniają się kawałami o teściowych i spostrzeżeniami na temat przechodzących przez rynek dziewczyn w kusych spódniczkach. Widziała też, że Smaugowicz odchodzi, nie płacąc, a właściciel stoiska nawet nie próbuje go zatrzymać.

- Dał mi je, bo jestem sympatyczny - wyjaśnił Rafał z rozbijającą szczerością. - Poza tym mam mało tych waszych pieniędzy, nie chcę teraz wydać wszystkiego, nie?

To dobry moment, pomyślała Monika i spytała, skąd Rafał przyjechał. Zapytany wykonał dziwny gest ręką, mający chyba oznaczać, że zewsząd.

- Nie z Polski - powiedział. - Ojciec został otruty, a matka musiała stąd uciekać. Poza kurtynę.

- Była działaczką „Solidarności”? - Monika domyśliła się, że chodzi o żelazną kurtynę. - Dokąd wyjechaliście?

Znów nieokreślony gest, który z grubsza mógł oznaczać północ.

- Skandynawia? Norwegia? - dedukowała, z satysfakcją przyjmując, że Rafał ruchem głowy potwierdził jej domysły.

- Ojca nie znałem, ale matka szybko znalazła sobie męża stamtąd. Wiesz, była niezła. Nawet przez jakiś czas musiałem nosić nazwisko tamtego gościa.

- I jak się wtedy nazywałeś? Svan? Ljunberg? Floe? - Monika, śmiejąc się, zasypywała go pytaniami.

Jeszcze trochę, jeszcze chwilę - i naprawdę zapomni. Naprawdę zapomni o swojej pieprzonej chorobie, o tym, że pracuje w szkole, a kilku wyrosniętych uczniów czyniło jej otwartym tekstem propozycje erotyczne, o tym, że jeśli dalej będzie tak zarabiać, to nigdy w

życiu nie kupi własnego mieszkania, i o tym, że za pięć lat własne mieszkanie nie będzie jej już do niczego potrzebne, bo będzie spoczywała *six feet under*, na cmentarzu junikowskim.

- Villentretenmerth - odparł mężczyzna, przekrzykując odgłos przejeżdżających obok samochodów.

Dla Moniki było to bardzo trudne do powtórzenia, więc szli w milczeniu ulicą Paderewskiego, aż nagle Rafał zatrzymał się przed gablotą sklepu jubilerskiego Kruka.

- Myślałam, że tylko kobiety fascynują się biżuterią - powiedziała, kiedy stał przez kilka minut, przypatrując się bransoletom, wisiorkom i pierścionkom.

Sama niezbyt często tutaj zaglądała. W sklepie rzecz jasna znajdowało się wiele bardzo interesujących rzeczy, ale nie było jej stać na żaden z drogocennych klejnotów. Ceny u Kruka przyprawiały ją o ból głowy i frustrację.

- To feministyczny przesąd - odrzekł półgębkiem, z trudem odrywając oczy od sklepowej ekspozycji. - Misternie wykonane. Ale w sumie to taniocha.

- Taniocha? - obruszyła się. - Taniocha?

- No, tak - potwierdził. - Bardzo oszczędzają na surowcach. Niewiele złota. Przez to wszystko jest takie... małe. Cienkie. Musiałabyś zobaczyć skarby mojej matki. Mam je w domu.

Zadumał się. Tęskni, zdała sobie sprawę Monika, naprawdę tęskni za domem. Dlaczego on tutaj przyjechał? Zwiedzić rodzinne strony?

W tej samej chwili Rafał gwałtownie skręcił, mówiąc, że chciałby pójść „tam”, co przełożone przez dziewczynę na topografię miasta oznaczało - na górę Przemyśla. Zgodziła się, ale zachowanie mężczyzny trochę ją zaskoczyło, było zbyt nerwowe. Znow zerknął na wszystkie strony, znow odruchowo sięgnął do plecaka. Bardzo ją korciło, żeby sprawdzić, co też Smaugowicz może tam nosić - snuła rozmaite hipotezy, oparte wszakże na przesłankach dość wątplych - ot, widziała pewne zaokrąglenia, kiedy tkanina plecaka opinała się na sporych rozmiarów przedmiocie. Mógł być to na przykład mały arbuz, piłka albo czaszka. Wszystkie przypuszczenia były w równym stopniu uprawnione.

Po kilkudziesięciu krokach, kiedy po lewej stronie mieli wzgórze, a po prawej kościół Franciszkanów, Rafał przystanął. Dokładnie się rozejrzył, uniósł też głowę niczym pies, łowiący górny wiatr, potem mruknął coś, ale tak cicho, że Monika nie była w stanie powiedzieć, co. Jednak wyraźnie się uspokoił. Spoglądał teraz na świątynię. Monika, która już od długiego czasu nie chodziła do kościoła, skrzywiła się i pociągnęła Smaugowicza za rękaw jego ekstrawaganckiej marynarki.

- Chodź. Nie ma tu nic ciekawego.

Poszli więc, skręcając ostatecznie w stronę rynku i kończąc w jednej z przytulnych kawiarenek, gdzie zakotwiczyli się na długie godziny, aż wreszcie Monika zaprosiła Rafała do siebie.

Kiedy wsiadali do taksówki, świat wirował przed jej oczami. Nic dziwnego, była przecież po paru głębszych i dwóch lufkach marihuany. Smaugowicz, choć zaliczył osiem kolejek wódki, poprawił to kilkoma piwami, a na koniec kilkakrotnie zaciągnął się trawą, świetnie się trzymał - wciąż żywy i energiczny. Monika dotknęła jego ręki, drugą dłoń wsuwając pod koszulę. Był gorący, piekielnie gorący, jak gdyby buzowały w nim płomienie. Przyszło jej do głowy, że to dla niej, że to ona go tak rozpała.

Kiedy taksówka wyjeżdżała na Garbary, minął ich kolejny wóz strażacki, pędząc na sygnale, na czerwonych światłach. Taksówkarz burknął coś, że to chyba Ruscy wzniecają te pożary, bo to nie może być przypadek. Monika nie słuchała go jednak. Przytuliła się do Rafała, który głaskał ją i jednocześnie wyglądał przez szybę samochodu.

Tydzień, powtarzała w myślach, fajnie byłoby spędzić z nim choć tydzień. Pojeździć po Polsce. Pozapominać.

A kiedy już dojechali do jej mieszkania na osiedlu Chrobrego, kiedy wskoczyli do małej dziupli, którą wynajmowała za astronomiczne dla niej pieniądze, i kiedy Rafał w pośpiechu zdjął z niej wszystko, co było do zdjęcia, kiedy pokazał, że nie tylko w pić jest dobry, stwierdziła, że mimo wszystko dzień kończy się dobrze.

Zapomniała.

3

- Wyjedźmy stąd - zaproponował ni stąd, ni zowąd. - Na kilka dni. Robi się tutaj duszno. Te pożary. Patrole na ulicach. Jakaś psychoza.

Siedzieli na łóżku, którego nie opuszczali od trzech dni. Oglądali telewizję. Wiadomości tego dnia były wyjątkowo ponure. Zaczęło się - a jakże - od kolejnych pożarów w Poznaniu. Wybuchaly w najmniej spodziewanych miejscach, również tam, gdzie - jak podpowiadał zdrowy rozsądek - nie było nic do spalenia. Narastał również problem węży, które pokasały kilkaset osób - relacjonował reporter. Jeden z wypowiedających się lekarzy alarmował, że niebawem w Poznaniu skończą się leki. Monika, która nie miała ochoty na słuchanie przygnębiających newsów, przerzuciła na inny kanał, trafiając na reportaż dotyczący sytuacji w Rosji. Już chciała wyłączyć i to, kiedy nagle Rafał, niesprawiający wrażenia osoby zainteresowanej polityką, przytrzymał jej rękę.

- Poczekaj - poprosił, wpatrując się w wymuszanego reportera TVN-u objaśniającego skutki objęcia władzy w Rosji przez nowy nacjonalistyczny rząd. - To ważne.

- Niestety, nie może już być mowy o ociepleniu stosunków z naszym wschodnim sąsiadem - relacjonował spod Kremla młody gładko wygolony mężczyzna, starając się ukryć zdenerwowanie, co notabene wychodziło mu kiepsko. - Nowi władarze Kremla otwarcie zapowiedzieli twarde kurs wobec Polski i pozostałych krajów dawnego bloku wschodniego, które teraz zwróciły się w stronę Europy Zachodniej. Jak oznajmił nowy prezydent, Aleksander Łukaszenko, Polska staje się głównym przeciwnikiem Kremla i albo w sposób radykalny zmieni się nasza orientacja polityczna, a Warszawa dołączy do związku Białorusi i Rosji, albo wobec Polski zostaną wyciągnięte konsekwencje. Jakie - tego Łukaszenko nie zdradził, ale jeden z jego doradców sugerował, że pod rządami obecnego prezydenta Rosja odzyskała zdolność używania siły militarnej. Ponieważ dla Warszawy zmiana kierunku polityki z prozachodniego na prorosyjski w sposób oczywisty nie wchodzi w grę, pozostaje liczyć tylko na skuteczność naszej dyplomacji, bo spokój na naszej wschodniej granicy to prawdziwy skarb. Wprawdzie spora część Rosjan jest bardzo niezadowolona z postępowania swojego nowego prezydenta, a po Moskwie krążą pogłoski o wyborczych fałszerstwach, lecz wątpliwe, by Łukaszenko i jego ekipa pytali zwykłych Rosjan o zdanie.

- Cholera - Monika skrzywiła się, zapalając papierosa.

Świat bezsprzecznie schodził na psy i to bodaj na wszystkich frontach.

- Kto to jest? - zapytał Rafał, kiedy reporter z kwaśną miną pożegnał się z widzami. - Ten Łukaszenko?

- Człowieku, gdzie ty żyjesz? Nie macie w Norwegii telewizji? Internetu? Nie nadają wiadomości? - prychnęła nieco rozczarowana brakiem orientacji swojego kochanka w polityce.

Sama była doskonale poinformowana, jeszcze do niedawna działała w rozmaitych stowarzyszeniach i organizacjach, między innymi walcząc o prawa człowieka na Białorusi. Pamiętała koncerty białoruskich kapel w 2007 roku w Poznaniu. Pamiętała raporty, które pomagała tłumaczyć na angielski. Przygotowywali je emigranci zza wschodniej granicy, pełno w nich było smutnych informacji o więzieniach, pobiciach, ograniczaniu praw, fałszowaniu wszelkich możliwych głosowań i dyskryminacji mniejszości seksualnych. Białorusini przekazywali to do Amnesty International, a ta organizacja nagłaśniała sprawę na Zachodzie. Jak się jednak właśnie okazało - robiła to niestety nie dość skutecznie.

Monika westchnęła i pokrótce opowiedziała Rafałowi o „zasługach” Łukaszenki. Smaugowicz zadumał się, wbił oczy w martwy ekran telewizora i wreszcie mruknął pod nosem:

- Przestaję im się dziwić... A dyplomacja zawiodła.

- Słucham?

- Nie, nic. Głośno myślałem. Co z tym wyjazdem?

- Zobaczymy - mrugnęła filuternie, sięgając po papierosy, i zobaczyła, że paczka już jest pusta.

Nie spotkała jeszcze nikogo, kto by tak szybko palił. I z takim zapalem.

- Najpierw muszę się przejść po fajki. Idziesz ze mną? Rafał nie miał ochoty opuszczać mieszkania. Po nocy, podczas której naprawdę niewiele spali, wyglądał na nieco zmęczonego, choć, powtarzała sobie Monika, bezustannie porównując Rafała z poprzednimi swoimi facetami, i tak był o niebo lepszy niż inni. Z rozczarowaniem myślała teraz o tych, którzy całkiem niedawno jej imponowali - wszyscy wydali się mali, słabi i, co tu dużo mówić, mieli problemy z potencją.

Wychodząc na klatkę schodową, minęła się z sąsiadką z naprzeciwka. Starsza kobieta popatrzyła na Monikę dziwnie. Jasne, przypomniała sobie anglistka, w nocy krzyczałam. Bardzo, bardzo głośno. Cóż, w odróżnieniu od ciebie, ty radiomaryjna dewotko, ja mogę, pomyślała, ale zaraz straciła humor. Przed oczyma znów stanął ubrany na biało syntezator mowy.

Jeszcze mogę.

- Niech pani uważa - odezwała się kobieta poważnym głosem. Monika już chciała jej odburknąć, ale tamta dokończyła: - Wczoraj widziałam, że do pani mieszkania przeciska się mały wąż. Albo jaszczurka. Wszędzie ich teraz pełno. Zaraza, proszę pani.

- Dzięk... dziękuję - wybąkała zaskoczona Monika. Spojrzała niepewnie na drzwi. Faktycznie, między nimi a podłogą była mała szparka, ale aż nie chciało się wierzyć, by jakieś stworzenie mogło się tamtędy dostać do środka. Już miała się wrócić, ale zdała sobie sprawę, że w mieszkaniu jest Rafał. On lubi te paskudztwa, zaśmiała się w myślach. Nawet jeżeli to prawda - da sobie radę... Idąc korytarzem ozdobionym monotonnymi, gdy szło o formę, wyrazami rozpaczliwej i nieodwzajemnionej miłości do Lecha Poznań, spostrzegła, że ściany w kilku miejscach są bardzo osmalone. Wprawdzie zdarzało się, że toczyli tu długie, nocne rozmowy małeletni złodzieje samochodowych radioodbiorników, urozmaicając dyskusje papierosami i marihuaną, lecz zacieki dymu były tak mocne, że papierosy nie mogły ich spowodować. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś rozpałił na korytarzu ognisko, i to nie

zwyczajne, ale takie, jak u Indian, gdy ci przesyłali sobie sygnały dymne. Co tam się działo, zastanawiała się, wychodząc z bloku.

Słońce na zewnątrz prażyło - jedną z charakterystycznych cech betonowisk było to, że nagrzewały się bardzo szybko i wtedy zmieniały się w prawdziwe piekło.

- Rafał czułby się tutaj świetnie - powiedziała do siebie, otarłszy pot z czoła.

Smaugowicz bardzo lubił upały.

- Gorący chłopak - wciąż tak o sobie mówił, a perlisty śmiech roznosił się w całym mieszkaniu, i dalej, aż na korytarz i klatkę schodową.

Szła przez osiedle, myśląc o swoim mężczyźnie. Zastanawiała się, jak długo będą razem. Było jej dobrze, ale też sama, od razu, na początku znajomości, postawiła sprawę jasno. Żadnych złudzeń. Chodziło jej o dobrą zabawę. Rafał zaakceptował to łatwo. Zbyt łatwo, pomyślała teraz z żalem, przeglądając się mimochodem w witrynie sklepiku mięsnego. Stwierdziła, że pod oczami ma wory, dookoła ust tworzy się siatka zmarszczek, choć ogólnie wciąż prezentowała się nieźle.

- *Say farewell* - rzuciła do swojego odbicia, które nawet jej się spodobało. - Już niedługo.

Znów przypomniała sobie o chorobie i z pewnością opanowałyby ją chandra, gdyby nie przejeżdżający samochód. Wewnątrz był mężczyzna ubrany identycznie jak funkcjonariusz BOR-u, którego widziała kilka dni temu na rynku. Pomyślała nawet, że to może ten sam, choć oni wszyscy wyglądają identycznie, w czarnych garniturach, białych koszulach i ciemnych okularach. Pieprzone Matriksy.

Obok BOR-owca siedział ktoś ubrany podobnie, przynajmniej jeśli chodzi o kolorystykę stroju - czerń i biel. Z tą różnicą, że czerń wyraźnie dominowała, a biała była tylko koloratka. To ksiądz, zdała sobie sprawę.

- Jasne - warknęła. - Sojusz z władzą. Jeszcze trochę, a zrobią z tego zaścianka państwo wyznaniowe.

Samochód - luksusowy czarny mercedes, który z miejsca wzbudził w umyśle Moniki spekulacje, skąd klechę stać na takie auto - przejechał obok. Ksiądz i funkcjonariusz rozglądali się na wszystkie strony, obserwowali osiedle, przyglądali się badawczo każdemu z przechodniów. Monika spojrzała w ich stronę, BOR-owiec przyspieszył, ale mimo to dziewczynie udało się dostrzec, że na tylnym siedzeniu leży jakiś podłużny, lśniący kształt.

Miecz?

Niedaleko kiosku Monika obejrzała się ponownie. Samochód stanął pod szyldem „Wróżka Agata”. Ostatnimi czasy coraz więcej ludzi chodzi do rozmaitych wrózek i jasnowidzów, skonstatowała z rozczarowaniem. Wróżki i jasnowidze jawili się bowiem

Monice tym samym co księża - wykorzystywali ludzką naiwność i brak wiedzy. Niestety, obiegowa opinia była taka, że ich wróżby się sprawdzały. Ten boom trwał już dobre dwa lata, policzyła w myślach. Tak, odwiedzanie gabinetu wróżki weszło w modę jakoś w 2007 roku. Splunęła w piach przy kiosku i przepchnęła się przez kilka rozdyktowanych kobiet, by kupić papierosy. Do jej uszu dolatywały strzępy rozmowy.

- A ten wybuch gazu pod czternastką, to co! - mówiła podniesionym głosem jedna z kobiet. - Przypadek może? Ruscy winni są, w telewizorze mówili o Łukaszence, że politykę zaostrzy...

- Pani Goździkowa, niech pani nie przesadza - wtrąciła zdecydowanie kobieta o twarzy surowej nauczycielki. - To nie żadne zamachy. Wady instalacji, spięcia, ludzka głupota - zwykłych, naturalnych przyczyn jest bez liku.

- A ta inwazja węży to też ma całkiem naturalne przyczyny, pani Dudek? Też winna jest wadliwa instalacja czy ludzka głupota? - odcięła się Goździkowa.

Pani Dudek, która faktycznie była nauczycielką i w związku z tym bardzo nie lubiła, gdy ktoś kwestionował jej zdanie, popatrzyła na mówiącą z wyższością. Właśnie zamierzała jej wyjaśnić, że tak, inwazja węży musi mieć przyczyny jak najbardziej naturalne, że zaburzony został biotop (tym słowem ostatecznie zamierzała zamknąć usta Goździkowej) i na skutek jakiejś ingerencji człowieka w środowisko naturalne trwa masowy exodus tych stworzeń do miast, gdy odezwała się trzecia z pań, o spojrzeniu zamglonym i nieobecnym.

- Koniec świata. Idzie koniec świata. Powiada bowiem Jan w Piśmie, że wąż starodawny - smok - odda Bestii władzę na światem. Apokalipsa...

- A idźżeż pani - obruszyła się Goździkowa. - Za dużo pani Rydzyka słuchasz, a za mało rozumu.

Monika podpisywała się pod tym stwierdzeniem obiema rękami. Szybkim krokiem odeszła od kiosku, zostawiając za sobą rozdyktowane kobiety. Gdy weszła do mieszkania, Rafał stał w oknie. Być może ze względu na padające na jego sylwetkę słońce wydał jej się znacznie większy, niż był w rzeczywistości. Przypominał starożytne posągi herosów, choć Fidiasz nie byłby w stanie stworzyć tak doskonałego dzieła. Emanowały z niego siła i gniew.

Przyczajony tygrys, pomyślała.

Nie odezwał się na jej powitanie, nie oderwał wzroku od szyby. Podeszła bliżej, spostrzegając, że jego brwi w gniewie zmarszczyły się jakoś tak dziwnie... niemal nieludzko. Jej wzrok podążył za spojrzeniem Smaugowicza, zahaczając o czarną limuzynę, którą widziała, gdy szła po papierosy. Rafał miał zaciśnięte pięści. Mocno, aż kostki białły.

Przytuliła się do niego, zdając sobie sprawę, że jest słaba, bardzo słaba, i że będzie go jej brakowało, kiedy już się rozstaną.

- To miasto faktycznie schodzi na psy - powiedziała cicho, do ucha. - Jedziemy na wycieczkę. Pokażę ci Kraków.

117

W roku 2009, mimo nadzwyczajnych sukcesów gospodarczych i politycznych, które nie do końca wiadomo skąd się brały, PKP pozostawały ostoją tradycyjnie rozumianej polskości. Czyli, uściślając - brudu, niechlujstwa, niepunktualności i brzydoty. Chyba tylko Rafał nie zwracał na to uwagi.

- Wygląda jak wąż. Wielki!

Stał przed pospiesznym do Krakowa, bynajmniej nie prezentującym się zachwycająco, i zachwycał się tak, jak ktoś, kto po raz pierwszy widzi pociąg.

Pospieszny pomalowano kolorem, który Monika nazywała „odpychającą zielenią” przeciętą w dole beżowo-brudnym pasem. Ktoś, mimo wyraźnego zakazu, załatwiał swoje potrzeby podczas postoju, ktoś inny ostentacyjnie palił w przedziale dla niepalących, a tłum studentów zalegał w korytarzu, ale Rafałowi wszystko to nie przeszkadzało. Cieszył się jak dziecko, że będzie podróżował w brzuchu wielkiego węża.

- Tutaj - oświadczył - nic złego spotkać mnie nie może.

Monika bezskutecznie próbowała mu uświadamiać, że owszem, może, i to bynajmniej nie to, co spotykało ludzi w horrorach opowiadających o pociągach przenoszących do innych, gorszych światów. Zagrożenie było bardzo realne - pijani kibice, jeszcze bardziej pijani rezerwiści, względnie całkowicie trzeźwe grupy kolejowych złodziei. Równie niebezpieczny mógł być zwykły kanar w otoczeniu sokistów. Zwłaszcza jeżeli - do czego przekonał ją Rafał - nie kupowało się biletu.

- Żartujesz? Dzisiaj ja zapraszam. - Siłą odciągnął Monikę od wężopodobnych kolejek wijących się w holu dworca głównego.

Dziewczyna przez moment zastanawiała się, w jaki sposób Smaugowicz zapłaci za bilety; dotąd nie miała okazji zauważyć, by Rafał płacił za cokolwiek.

Tym razem - co pokazały późniejsze zdarzenia - było podobnie.

- Niech pan sobie wyobrazi, zgubiłem! - wykrzyknął, łapiąc się teatralnie za głowę, kiedy konduktor z miną posła zasiadającego w komisji śledczej zapytał o bilety.

Monika myślała wtedy, że zapadnie się pod podłogę wagonu i z pewnością by to zrobiła, gdyby nie strach, że zostanie rozjechana przez pędzący pociąg. Jasne, grzmiała w myślach,

masz swoje sposoby. Na to, by nas wyrzucili w Środzie, no może w Jarocinie. Do Krakowa pozostanie, bagatela, kilkaset kilometrów, ale ty się świetnie bawisz, prawda?

Istotnie, Rafał bawił się świetnie. Kontynuował nieprawdopodobną opowieść pełną zwrotów akcji i wypadków godnych taniego westernu. Barwnie opisywał przyczyny, dla których zaginęły bilety uprawniające jego i Monikę do jazdy oczywiście w pierwszej klasie, oczywiście z miejscówkami. Tylko pech, że to pociąg bez miejscówek, zdała sobie sprawę dziewczyna i od tamtej chwili ze stoickim spokojem czekała, aż konduktor każe im opuścić pociąg. Ona czekała, konduktor zaś słuchał. Zrazu niechętnie, ot tak, dając się wygadać oszustowi, lecz z sekundy na sekundę jego marsowe oblicze zmieniał się. Gdzieś tak przy piątym zwrocie akcji we wzroku konduktora błysnęło żywe zainteresowanie, a dwie minuty później współczuł już szczerze Rafałowi i Monice i prowadził ich do pierwszej klasy. Bezceremonialnie opróżnił jeden z przedziałów, sadzając tam uśmiechniętego Smaugowicza i jego bezbrzeżnie zdumioną towarzyszkę. Na sam koniec, dyskretnie ocierając grubym, niezgrabnym palcem łzę, wręczył im plik banknotów - łapówki, jakie otrzymał w ciągu ostatniego tygodnia od pasażerów jadących na gapę. - Dwa tysiące. - Monikę замуrowało, kiedy przeliczyli pieniądze.

- Skarby - mlasnął tymczasem Rafał i schował pospiesznie zdobycz do kieszeni.

Monika nie widziała, by je później wyjmował.

W każdym razie nie wyjął ich, kiedy przed krakowskim dworcem złapał taksówkę. Anglistka, niestety, nie zdążyła mu wytłumaczyć, że nie należy brać taksówki niezrzeszonej w żadnej korporacji, bo jazda nią może skończyć się utratą całego dziennego budżetu. Miało się tak zdarzyć i tym razem. Z tą różnicą, że spotkało taksówkarza.

- Poczekajcie - rzucił gardłowo łysy napakowany osiłek, gdy wysiadali z samochodu, a Rafał nie raczył nawet zapytać, ile powinni zapłacić. Monika odruchowo zanurzyła dłoń w kieszeni bojówek, chwytając gaz pieprzowy i szykując się do obrony swojego chłopaka przed pokrytą metanabolowymi wypryskami bestią. Bestia wykrzywiła się brzydtko i powtórzyła:

- Poczekajcie. To drogi hotel. A ja dzisiaj miałem niezły utarg. Wiecie, nabrały się jelenie ze stolicy.

To rzekłszy, wcisnął Smaugowiczowi w dłoń cebulę banknotów i odjechał z piskiem opon.

- Skarby - ucieszył się Rafał.

Hotel, w którym - co nagle przestało Monikę dziwić - nikt nie spytał ich o pieniądze, był w samym centrum miasta. Spacer po Starówce w tej sytuacji okazał się nieuniknioną - ale i przyjemną - konsekwencją. Monika co rusz przystawała, wdychała i, co nakazywała moda,

zachwycała się pięknem Krakowa, myśląc o nim jako o miejscu magicznym. Zwierzyła się z tych myśli Rafałowi, który nie podzielał jej ekscytacji miastem.

- Magiczne? - Zmarszczył brwi w roztargnieniu. - Tak, z całą pewnością.

- Byłeś tu już kiedyś? - spytała, widząc, że Rafał rozgląda się uważnie.

Przypominał niemieckiego turystę, który przyjechawszy do Wrocławia czy Olsztyna, szuka śladów przeszłości.

Potaknął stanowczym ruchem głowy.

- Byłem zbyt młody, by cokolwiek pamiętać - zastrzegł i wciąż przypatrywał się kamienicom, murom, brukowi na rynku.

- Czasami - szepnęła - człowiek ma wrażenie, że był już kiedyś w jakimś miejscu, choć wie, że to niemożliwe. Że zna obrazy, które stają mu przed oczyma - domy, kawiarnie, uliczki. Déjà vu...

- Nie - przerwał gwałtownie, spoglądając dookoła.

- Kiedyś tu byłem. Ale dawno, dawno temu. Zmieniło się tyle, że tego miasta nie poznaję. Monika roześmiała się i pociągnęła go za rękę.

- Fakt, od tamtej pory zmieniło się bardzo dużo. Ale tego nie mogłeś zapomnieć.

To mówiąc, wskazała na nierówne wieże kościoła Mariackiego. Rafał zatrzymał się przed budowlą. Monika szybko spostrzegła jakiś cień w jego spojrzeniu.

- Trwają w chwale - powiedział cicho, nieprzyjaźnie. Zdało się, że cedzi słowa przez zęby, że szykuje się do walki. - Zadziwiające, że też oni się trzymają. - Wejdziemy? - zaproponowała. Sama również była przeciwniczką kleru, mierzyła ją bogoojczyźniana estetyka, ale architektura kościelna mimo wszystko budziła jej zainteresowanie. Traktowała ją jako część bogatego europejskiego dziedzictwa kulturowego - choć, dodawała zaraz w myślach, nie pozwalając sobie na nadmierne zachwyty - był to kwiat, który wyrósł na glebie podlanej krwią i potem tysięcy : ciemnych i wykorzystywanych ludzi.

- Nie - odparł z niechęcią.

Wciąż wpatrywał się w kościół, wzrok zatrzymawszy na złotym krzyżu, który zdobił pokrytą patyną kopułę przy wyjściu. Monika, która już wcześniej zauważyła, że Rafał ma iście niewieścią skłonność do wszelkich świecidełek i ozdób, byleby zrobiono je z cennych kruszców, pomyślała, że zaraz znów powtórzy „skarby”, lecz nie.

- Czy to możliwe? - Pokręcił głową. - Umrzeć i zmartwychwstać. I to za was... Szaleństwo. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. - Ach - machnęła lekceważąco ręką. - Zmartwychwstanie to motyw, który pojawia się w wielu kulturach i wierzeniach. Ale nie

przejmuj się - nikomu rozsądnemu nie podoba się ta bajka i nikt już w nią nie wierzy. Popatrzył na nią dziwnie.

- Nie podoba się - potaknął. - Ale czy wy w nią nie wierzycie?

- No coś ty? - Monika aż zamrugła ze zdumienia. - Nie uczyli was w tej Norwegii o ewolucji? Big Bangu? Chyba nie chcesz powiedzieć, że w to - podbródkiem wskazała krzyż - wierzysz.

- Nie. Nie wierzę - zaprzeczył.

Wojowniczy nastrój Moniki opadał, odetchnęła z ulgą, że nie będzie musiała nawracać Rafała na racjonalizm.

- Ja wiem - rzekł, zaciskając pięści i nienawistnie spoglądając na złoty krucyfiks.

Nie zdążyła zapytać, co Smaugowicz miał na myśli, gdy jej uwagę przykuł radiowy komunikat.

- Ze sklepu zoologicznego przy krakowskiej Starówce uciekł grzechotnik. - Głos reportera zdradzał zdenerwowanie. - Nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie jest obecnie zwierzę, ani też w jaki sposób trafiło do Polski. Właściciel sklepiku, który najprawdopodobniej dopuścił się przemytu, przez kilka godzin prowadził poszukiwania na własną rękę, w końcu jednak zawiadomił policję. Wszystkich przebywających w okolicach rynku prosimy o ostrożność - wąż jest niebezpieczny. Jeśli ktokolwiek zobaczy coś podejrzanego, proszony jest o natychmiastowe powiadomienie władz.

- Jakaś plaga - szepnęła zaskoczona.

Rafał pociągnął ją za sobą, bo dookoła stoiska z szaszłykami, gdzie stało radio, zebrał się spory tłum.

Ludzie zamarli z podniesionymi do ust gotowanymi kukurydzami, obwarzankami i lodami włoskimi.

Dopiero gdy oddalili się o kilka kroków, dziewczyna spostrzegła, że Rafał trzyma dwa obwarzanki i jedną kukurydzianą kolbę.

- Ukradłeś? - krzyknęła oburzona, a Smaugowicz tylko wzruszył ramionami.

- Miałem ochotę.

- Zawsze bierzesz to, na co masz ochotę? - fuknęła. Potwierdził, przytulając ją do siebie.

- Przecież ten biedak tak zarabia na życie. Ty chcesz, tak... A co z innymi? - jeszcze się bronila, jeszcze próbowała zbawiać świat, co dla Rafała było całkowicie niezrozumiałe.

- Inni niech sami się o siebie troszczą. Mam ich...

Położyła palec na jego wargach. Nie kończ, poprosiła w duchu, nie kończ, bo wtedy pomyśle, że to dotyczy również mnie. Że jesteś ze mną tylko dlatego, że masz na mnie ochotę. A ja tak bardzo chciałabym wierzyć, że jest inaczej. Jeszcze przez kilka dni.

- Chodź - porwał ją za sobą, pocałował i ruszył krakowskimi uliczkami.

W tamtej chwili był żywą reklamą Marlboro - oto król życia, rozpromieniony, z nienaganną opalenizną i piękną dziewczyną u boku. Uosobienie marzeń nastolatków.

Włóczyli się tak po mieście jeszcze jakiś czas, aż wreszcie, gdy słońce już zachodziło, znaleźli się u podnóża Wawelu. Monika spoglądała na Wisłę, zachwycając się czerwonymi refleksami słońca, odbitymi w wodzie, patrzyła na tłumy przechodniów, obserwowała cyborgów uprawiających jogging, zasłuchanych w dźwięki płynące z przenośnych odtwarzaczy MP-3. Pochłonął ją ów widok, stopiła się z sielankowym krajobrazem, zapominając nie tylko o swojej chorobie, ale o całym Bożym świecie. Przeszła kilkanaście metrów i dopiero wówczas zauważyła, że nie ma przy niej Rafała. Poczula łomotanie serca, odwróciła się, przerażona, że oto nadszedł ten moment, którego przez ostatnie parę dni bała się najbardziej. Była pewna, że Smaugowicz znudził się nią, a jeśli go zobaczy, to z inną, przysgarbioną z równą co Monika łatwością. Gwałtownie spojrzała do tyłu.

Stał kilkadziesiąt kroków za nią, u wejścia do Smoczej Jamy, przed kiczowatym pomnikiem Smoka Wawelskiego - Monika serdecznie nie znosiła tej pokracznej rzeźby. Smok ział gazowym ogniem, wzbudzając radość gromady dzieci. Czytała kiedyś, że za pomocą SMS-ów można uruchomić aparaturę i spowodować, że z rzeźby buchnie kolejny płomień. Jeśli była to prawda, jakiś szalony SMS-owicz musiał właśnie tracić fortunę na rzecz sieci komórkowych, bo smok ział ogniem bez przerwy.

Rafał patrzył zafascynowany. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła jego rozpalony wzrok. Cieszy się jak dziecko, pomyślała, lecz stając tuż przy nim i wtulając głowę w jego ramię, zobaczyła, że mina Smaugowicza jest smutna.

- Zabawne - powiedział, kiedy Monika traciła już nadzieję, że uda jej się oderwać Rafała od smoczej podobizny. - Niegdyś to był ich największy wróg. Nieprzyjaciel. Otruli go. A teraz - proszę, cieszą się, oglądają, robią zdjęcia.

- Pokonany wróg - zapaliła papierosa, dmuchnęła dymem w stronę brzydkiej rzeźby - jest lubiany przez i zwycięzców. Właśnie dlatego, że to oni są zwycięzcami. Zresztą... - machnęła lekceważąco ręką, ale Rafał nie pozwolił jej dokończyć.

- Pewnie myślisz, że to jest legenda? Następny ludzki wymysł? - Nie odpowiedziała, a Smaugowicz nie przestawał mówić. - Miał wszystko. Był panem tej okolicy, a ten oferma

Krak tańczył tak, jak smok mu zagrał. Był tutaj królem - kontynuował z mocą - i upadł. Tak nagle, jak upadają władcy, pozornie nietykalni. Upadł, co też jest zwyczajne, bo popełnił błąd.

- Jesteś historykiem? Pisarzem? - Zaśmiała się, puszczając ramię mężczyzny i zawracając w kierunku rzeki.

Rafał potrafił być taki zabawny. Snując swoje opowieści, brzmiał wiarygodnie i przekonująco. Gdyby tylko te historie nie były tak fantastyczne, mogłaby w nie nawet uwierzyć.

- Upadł - kontynuował Smaugowicz, podchodząc bliżej do rzeźby - bo okazał się zbyt zachłanny.

Odpowiedź, że może i on, Rafał, powinien wziąć sobie ów morał do serca, sama cisnęła się na usta, ale Monika nie zdążyła jej wypowiedzieć. Nie zdążyła wypowiedzieć również niczego innego, a jedyny dźwięk, jaki z siebie wydała, przypominał coś pomiędzy arią operową a syreną erki pędzącej do wypadku. Zamarła, blednąc w jednej chwili, a papieros wypadł na trawę pomiędzy zeszywniałych palców.

- Tam - wyjąkała wreszcie, wskazując pod nogi. - Tam.

Pod nogami dziewczyny wił się wąż.

Monika nie miała pojęcia o węzach i nie potrafiłaby rozróżnić żmii od zaskrońca, a wąż Eskulapa niczym w jej oczach nie różnił się od anakondy, lecz tym razem była pewna. Miała przed sobą zbiegłego ze sklepu zoologicznego grzechotnika.

Matki, słysząc krzyk dziewczyny, przypadły do swoich dzieci i z trwogą spoglądały teraz na pełznącego powoli gada. Niejedna miała szczerą nadzieję, że wąż zatopi zęby w łydce Moniki, uwalniając tym samym od zagrożenia pozostałych. W tłum wmieszał się jakiś policjant, który o dziwo nie uciekł, słysząc krzyki - cofnął się dopiero wtedy, gdy w promieniach zachodzącego słońca mignął mu rozdwojony język. Zdenerwowany sięgnął po pistolet, ale zaraz zabrał dłoń, widząc, że mógłby zrobić krzywdę dziewczynie. Wyjął krótkofalówkę i przyłożył ją do ucha. Jego głos zginął w gwarze dziesiątków innych. Ludzie jednocześnie i czuli strach, i byli zahipnotyzowani niebezpieczeństwem. W kilka chwil Monikę otoczył sporych rozmiarów obwarzanek ciekawskich. Dziewczyna jednak, zapatrzona w gadzie oczy, nie zwracała uwagi na otaczających ją ludzi, nie słyszała ich rozemocjonowanych głosów.

Głosów, które ucichły nagle, niespodzianie, niczym orkiestra milknąca pod władczą batutą dyrygenta.

Dyrygentem tym okazał się Rafał.

Nie od razu spostrzegł przyczynę całego zamieszania. Gdy Monika krzyknęła, odwrócił się, ale odepchnięty przez uciekających stracił orientację. Teraz precyzyjnie się przez tłum i wszedł na kilkumetrowy pas ziemi niczyjej. Monika, która racjonalizując sytuację, dochodziła właśnie do wniosku, że lepsza już szybka śmierć zadana przez grzechotnika niż przewlekłe męki choroby, westchnęła. W promieniach słońca Rafał wyglądał pięknie. Po prostu pięknie.

Złoty rycerz, pomyślała, zawstydzony się infantylnym porównaniem. Nawet skórę ma złotą. Idzie mnie ocalić. - Stój pan! - policjant wrzasnął bezsilnie. - Za moment będą tu specjalistyczne służby.

Rafał nie zareagował, nie dał nawet po sobie poznać, że w ogóle słyszał krzyk funkcjonariusza. Zgromadzeni spoglądali na Smaugowicza w przekonaniu, że oto mają przed sobą wariata, który idzie na pewną śmierć. Monika zauważyła, że dłonie pocą jej się jak na rozmowie kwalifikacyjnej. - Uciekaj - powiedziała, czując, że jej wargi są straszliwie suche. Mówiła cicho, ale wiedziała, że Rafał ją słyszy. - Uciekaj, a nic ci się nie stanie.

- Nic się nie stanie - powtórzył Smaugowicz i nachylił się nad gadem. Tłum zaszemrał i zamarł w wyczekiwaniu. Obserwował szykującego się do ataku węża, obserwował mężczyznę, który patrzy w oczy gada i coś szepcze. Zaraz tu będzie umieranie, zaraz stanie się sensacja. Sensacja faktycznie się zdarzyła. Inna jednak niż ta, której podświadomie pragnęli zgromadzeni. Umierania na oczach tłumu, niestety, nie było.

Przez moment sytuacja wydawała się nieznośnie statyczna - wszyscy zamarli w miejscu. Rafał, pochylony nad grzechotnikiem wciąż coś mamrotał, ale nikt ze zgromadzonych nie wiedział co, wąż również pozostawał w bezruchu. Tak jak i policjant, przypominający bardziej słup soli niż stróża prawa. Czuł, że powinien coś zrobić, ale zupełnie nie wiedział, co. Myślał tylko, że węże to jednak głupie stworzenia, bo zamiast wpatrywać się w oczy człowieka w dziwacznej marynarce, grzechotnik już dawno powinien ukąsić czy to dziwaka, czy to skamieniałą ze strachu dziewczynę. Potem, starając się znaleźć usprawiedliwienie dla swojej beczynności, wywnioskował, że mężczyzna jest zapewne zaklinaczem węży. Wprawdzie funkcjonariusz nigdy nie spotkał żadnego, ale przypuszczał, że nie może on wyglądać jak zwykły człowiek. Ten, który schylał się nad wężem, zwyczajnie nie wyglądał, ergo - odpowiadał z grubsza wyobrażeniu funkcjonariusza. Policjant teraz już pewny, że sprawa jest w odpowiednich rękach, odetchnął z ulgą. Dzięki swemu godnemu Sherlocka Holmesa rozumowaniu uwolnił się od obowiązku.

Zaklinacz tymczasem nieco się uniósł i jął kreślić w powietrzu skomplikowane figury. Policjantowi przemknęło przez głowę, że to chyba nie jest żaden zaklinacz, tylko jakiś czubek albo epileptyk, którego śmierć obciąży właśnie jego - starszego posterunkowego Nowaka.

Jednak nie, jednak coś w tych gestach być musiało, bo wąż cofnął głowę. Na moment płaski łeb odwrócił się w stronę dziewczyny, na moment węzowe oczy wbiły się w jej opalone łydki, przez moment wszyscy myśleli, że zwierzę zaatakuje. Wszyscy byli w błędzie.

Wąż wystrzelił niczym strzała w stronę zgromadzonych, powodując popłoch. Starszy posterunkowy chwycił za pistolet, ale gad nikogo nie ukąsił, prześlizgnął się tylko przez gąszcz nóg i zniknął pośród skał Smoczej Jamy. Tłum westchnął z ulgą, kilka osób rzuciło się do Rafała z gratulacjami, ale euforię przerwał donośny huk. Chwilę później poszarzałe wieczorne niebo zasnuły gęste, czarne kłęby. To płonął kościół Mariacki.

5

Czerwień ognia pulsowała przed oczami Moniki, a ona śmiała się całą sobą.

Leżeli obok siebie w pokoju hotelowym, pałac dzointy. Chwilę wcześniej Monika znów przypomniała sobie o swojej chorobie i znów, mimo że cudownie ocalała, jej oczy zaszklily się łzami.

- Lepiej byłoby, gdybyś go zostawił - łkała wtulona w ramię Rafała. - Koniec byłby szybki. Chwila bólu, a potem ciemność, sen - i światełko w tunelu, które jest wytwarzana przez mózg halucynacją.

Smaugowicz nic nie odpowiedział, tylko przywarł do niej. Mocno. Dziwnie mocno, pomyślała. Do tej pory jego pieczyoty były delikatne i intymne. Ta była inna.

- Mogłeś zginąć! - krzyknęła i znowu się rozplakała. Świadomość, że ktokolwiek narażał dla niej życie, zupełnie ją rozkleiła. A zwłaszcza ktoś taki jak Rafał. - Mogłeś zginąć - powtórzyła, uderzając lekko w jego ramię dłonią zaciśniętą w pięść.

Rafał nie zaśmiał się, nie obrócił wszystkiego w żart, co byłoby dla niego naturalne. Chwycił jej rękę w nadgarstku i pocałował zaciśnięte palce. Twarz miał poważną jak nigdy. Czy to spotkanie z węzem odmieniło go w jakiś sposób, myślała Monika, wpatrując się w wyjątkowo smutne oczy Rafała. Od tamtego zdarzenia nie śmiał się ani razu, mówił niewiele, nie zaciekał go nawet pożar kościoła Mariackiego. Jego pieczyoty zaś stały się bardziej gwałtowne. Dotyka mnie jak tonący, który chwyta koło ratunkowe, pomyślała. Z rozpaczą, z łapczywością biednych dzieci ściskających wyżebranego hot doga.

Zanurzyła dłoń w plecaku, z wewnętrznej kieszonki wyciągnęła foliowy woreczek. Był zamykany na strunę, a wypełniały go drobno kruszone, suszone listki. Na pierwszy rzut oka przypominały egzotyczną herbatę. Albo przyprawę.

- To - oznajmiła, wręczając Rafałowi rozjarzonego skręta - poprawi nam humor.

Zaciągnął się głęboko - czyżby i on chciał zapomnieć? Nic nie mówił, wypalił dżointa, poczekał, aż Monika skręci następnego. Dziewczyna również się zaciągała, w rezultacie porządnie zaczęło kręcić się jej w głowie.

- Dawno tyle nie wypaliłam - powiedziała, z trudem składając spójne zdanie.

Nastrój nieco jej się poprawił, lecz wciąż była trochę smutna i rozdrażniona. Swoją irytację przelała na mały czarny punkt pod sufitem.

- Zobacz, taki hotel, a muchy latają w najlepsze. Żenada. Nienawidzę much.

Rafał zerknął na kołującego pod sufitem owada, potem na zaciętą twarz Moniki.

- A co mi tam, i tak już wiedzą - mruknął. Na moment odchylił głowę, odchrząknął...

I zionął ogniem zupełnie jak blaszana pokraka stojąca u wrót Smoczej Jamy. Płomień pochłonął zaskoczoną muchę, po której nie pozostał nawet ślad popiołu. Monika zamrugła, myśląc, że to halucynacja, lecz kiedy stwierdziła, że owad istotnie gdzieś zniknął, wybuchnęła śmiechem.

- Świetne - powiedziała, całując Rafała w szyję i wpatrując się w żar rozpalonego papierosa. Nie mogła przestać się śmiać. - To trik? Zrobiłeś to dla mnie? Zupełnie jak ci kuglarze na rynkach. To był spirytus? Zrobisz tak jeszcze raz?

Rafał, który nie wyglądał na przesadnie rozbawionego, odmówił. - Zrobiłem to dla ciebie - przyznał. - To, i kilka innych rzeczy też.

Pogładził jej policzek. Delikatnie. Jego dotyk był - Monice znów przychodziły do głowy tylko banalne porównania - jak muśnięcie wiatru.

- Serce mi pękało, kiedy widziałem cię smutną. Wzruszyła ramionami, obojętna nagle na wszystkie uczucia świata. Dżointy, jeśli chodzi o zapominanie, były prawie tak dobre jak seks z Rafałem. Świat w jej oczach falował, zmartwienia zniknęły, a Rafał, który najwidoczniej również poczuł działanie zieleń, zaczął tymczasem majaczyć.

- To nie była sztuczka - zaczął poważnym głosem, który wyraźnie kontrastował z uchachaną Moniką.

- Tak - dziewczyna potaknęła z wesołą miną. W tamtej chwili gotowa była przytaknąć wszystkiemu.

- To nie była sztuczka.

- Pomyślałabyś, że smoki naprawdę istnieją? - spytał niespodziewanie i nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej. - Ludzie wyobrażają sobie, że smoki przypominają tę maskarę przed jaskinią. A prawda bywa inna. Istotnie, przybierają one czasami odrażające formy, lecz to jest uproszczenie, dostosowanie się do wyobrażeń i oczekiwań ludzkich. Smoki korzystają po prostu ze stworzonych stereotypów. By osiągnąć pożądany efekt - strach.

- Jeśli smoki istnieją, to gdzie? - Monice spodobała się zabawna opowieść Rafała. Pasowała do ich stanu - była całkowicie nierzeczywista.

- Tutaj można oglądać jedynie pozostałości ich chwały. Stąd smoki zostały wygnane, choć pamięć o nich wciąż jest przechowywana przez jaszczurki, przez węże. Ale... - ściszył głos do szeptu - są światy inne niż ten.

- No pewnie - powiedziała z przekonaniem Monika, biorąc do ust kolejnego skręta. - Zaraz zamierzam się tam przenieść.

- Wy to już wiecie - ciągnął Smaugowicz. - Wasz rząd. Od dwóch lat otwieracie przejścia. Od dwóch lat demolujecie królestwa nie z tego świata. Krainy, w których żyją smoki. Polujecie na nie.

- A na co nam smoki? - Przekrzywiła głowę, udając zdziwienie.

Zabawa wciągała ją coraz bardziej. Narkotyk zaś powodował, że Rafałowa opowieść zdała się tak bardzo autentyczna.

- To oczywiste - oświadczył. - Smoki to potężna broń. Wiesz, dlaczego najczęściej przedstawia się je jako potwory ziejące ogniem? Bo panują nad płomieniami, mogą wywołać pożar, gdziekolwiek chcą. Jeśli smok zacznie używać swojej magii, ogień, bywa, wymyka się spod kontroli, a wtedy pożary wybuchają samoczynnie. Na przykład podczas snu... Taki efekt uboczny. Poza tym w naturze smoka leży dążenie do dominacji - potrafi on narzucić swą wolę ludziom, sterować ich myślami. Smok, twór ze świata ducha, nie materii, rzuca na rzeczywistość materialną potężny cień. Dlatego w ludzkiej kulturze przedstawiany jest zazwyczaj jako bestia, której należy się bać. Ale, zdarzało się, smoki rządziły całymi narodami.

- Chiny - wymruczała, kładąc głowę na jego kolanach. Czuła, że powoli nadchodzi sen. - Iran... Coś czytałam...

- Smoczy tron w Państwie Środka. Piękne czasy... Smoki, które zasiadały na tronach, niczym z wyglądu nie różniły się wówczas od ludzi.

- Potrafią przybierać ludzką postać?

- Każdą - rzekł z naciskiem. - Ludzką również.

- Mój ty smoku. - Objęła go i uśmiechając się, pocałowała w usta. Długo. Namiętnie. Gorąco.

- Nie uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że ja też... Chociaż bardzo, bardzo się starała, nie powstrzymała kolejnego napadu dzikiego śmiechu. Pierwszy raz widziała, żeby komuś tak odbiło po dwóch dżointach. Rafał miał totalny odlot!

- Uwierzyłam - odparła zmysłowo, sięgając do Rafałowego rozporzeka. - Twój smoczy pazur jest cudny.

- Gdybym powiedział ci, że zostałem ściągnięty do tego świata przez twoich rodaków? Macie problemy polityczne, wciąż czujecie na sobie oddech sąsiada ze Wschodu, który mocno się radykalizował. Dyplomacja zawiodła, wasz rząd od pewnego czasu wie, że jeśli dojdzie do konfliktu zbrojnego, Rosja użyje przeciwko wam broni jądrowej. I nikt nie stanie jej na drodze, bo to oni mają surowce i bomby atomowe, nie wy. Potrzebowaliście czegoś, co zrównoważy te przewagi - kontynuował, wcale niezrażony jej kpina.

Monika, ledwie powstrzymując narkotyczny rechot, postanowiła ciągnąć tę dziwną grę.

- Jeśli smoki są tak potężne, dlaczego dałeś się złapać? Coś tu nie gra...

- A w jaki sposób nas stąd wypędzono? - burknął, wykonując gest kojarzący się dziewczynie z Jurandem ze Spychowa, który, okaleczony, tłumaczy, kim byli jego oprawcy. - Święty Jerzy! - Splunął na podłogę.

Monika zafascynowana patrzyła, jak kropla śliny wypala dziurę w wykładzinie.

- W Polsce istnieją oddziały specjalne przeznaczone do tego, by przeszukiwać zaświaty, a w skład każdego wchodzi klecha. Ci, którzy zajmują się smokami, pochodzą właśnie od świętego Jerzego. Znają jego metody. Wiedzą, jak z nami walczyć. Psy!

Walnął dłonią w ścianę.

- Chcą mnie wykorzystać do machinacji politycznych na Wschodzie. Jestem ich ostatnią szansą. Tylko że - popatrzył na Monikę, odsłaniając zęby w drapieżnym uśmiechu - ja im uciekłem.

Przez moment trwali w milczeniu, ale Monika spodziewała się, że to jeszcze nie koniec opowieści. I faktycznie.

- Oczywiście, wasze tajne służby nie mogą tolerować tego, że po Polsce krąży stwór z zaświatów. I na to są przygotowane. Istnieją specjalne departamenty, które tropią podobnych do mnie zbiegów, najlepsi z różdkarzy pracują teraz dla rządu, prowadząc bezustanny nasłuch. Jeśli użyję magii, stanę się dla nich widoczny, a im silniejszy czar, tym większe prawdopodobieństwo, że mnie namierzą. Wielka magia spowoduje, że będę dla nich jak latarnia morska - rozbłyśnięta w ciemności.

- W takim razie - powiedziała poważnie - nie rób więcej takich sztuczek jak ta z ogniem. Nie chciałabym cię stracić. Objęła go w pól, przytuliła się. Błogi sen, czuła to, był coraz bliżej.

- Plucie ogniem czy rozmowa z wężem to nie są wielkie sprawy - rzekł cicho. - Prawdziwa magia wkracza tam, gdzie chodzi o życie. O zdrowie.

- Czy smoki potrafią tylko niszczyć? - spytała jeszcze. - Tylko palić, rabować, gromadzić skarby, zaspokajać swoje żądze? Nie doczekała odpowiedzi. Jej głowa osunęła się na uda Rafała, oddech stał się regularny, usta rozchyliły się lekko.

- Nie tylko - odparł, spoglądając na śpiącą.

Z kącika półprzymkniętego oka spłynęła jedna, jedyna łza, która przecięła jego policzek mokrą szramą. Pocałował ją w czoło i westchnął: - Ja też nie chciałbym cię stracić, skarbie. Bardzo bym nie chciał. Następnie wykonał serię dziwnych niby-epileptycznych gestów, podobnych do tych, które zaprezentował przed Smoczą Jamą. Później nachylił się nad pograżoną we śnie dziewczyną i szepnął: - Żegnaj.

6

Tej nocy Monika spała wyjątkowo niespokojnie, a jej sny były dziwaczne i nieprawdopodobne. To przed oczyma stawały jej smoki, to znów rycerz na białym koniu (wiedziała, że to święty Jerzy). Przez jej myśli prześlizgiwały się węże i jaszczurki, dookoła wybuchały pożary, a lekarz z kamienną twarzą i kamiennym głosem obwieszczał po raz nie wiadomo który: „stwardnienie rozsiane”. Jednak ostatni sen, ten, który zapamiętała najlepiej, przyszedł tuż przed przebudzeniem. Majak wydał się jej bardzo rzeczywisty, tak rzeczywisty, że Monika początkowo myślała, iż wcale nie śni.

Rafał stał przy oknie, a ona leżała na łóżku. Na tle bladego księżyca mężczyzna wyglądał jak olbrzym, jakby miał ze trzy metry wzrostu. Stał z założonymi rękami i co chwila patrzył w dół. Nagle pod oknem zawarczał silnik. Rafał zerwał się, chwycił skórzaną marynarkę przewieszoną przez oparcie krzesła i wyszedł. Monika próbowała wstać, krzyczeć, żeby został, ale, co zdarza się w snach, nie mogła ruszyć nawet palcem. Udało jej się podnieść dopiero, gdy mężczyzna wyszedł z pokoju. Podbiegła do okna, czując, że po jej policzku płyną łzy. Spojrzała w dół.

Limuzyna, którą ujrzała, była czarniejsza od nocy. Stało przed nią kilku rostrych mężczyzn. Jeden z nich przypominał BOR-owca z poznańskiego rynku. Następny był chudy, wyraźnie starszy, okryty purpurowym płaszczem, dziewczynie skojarzył się z duchownym.

A obok...

Krzyknęła.

Obok stał Rafał. Miał spuszczoną głowę, szarą twarz. Być może usłyszał jej krzyk, bo odwrócił się, spojrzał w okno, a ona wtedy rozplakała się jak małe dziecko. Nie dlatego, że odchodził. Dlatego, że w jego oczach, zawsze wesołych, strzelających iskrami, teraz była

pustka. I rezygnacja. Monice przypomniały się końcowe sceny *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

BOR-owiec z Poznania popchnął Smaugowicza, który zniknął we wnętrzu limuzyny. Pozostali też wskoczyli do środka. Ostatni wsiadał duchowny w purpurowym płaszczu. Zerknął do góry, dostrzegając Monikę. Widziała, jak marszczy brwi, widziała, że jego twarz twardnieje, widziała pulsującą żyłę na czole. Przez moment przypatrywał się jej z ciekawością, coś rozważając, wreszcie wyciągnął w jej stronę upierścienioną dłoń. Zdażyła jeszcze zauważyć, że Rafał szarpie się wewnątrz limuzyny, zauważyła, że BOR-owiec uderza Smaugowicza czymś ciężkim i srebrzystym w głowę... Sen się skończył. Drgnęła niespokojnie, otworzyła oczy, westchnęła. Świtało. Sięgnęła dłonią pod siebie - piżamę miała mokrą od potu, podobnie prześcieradło. Sięgnęła teraz po Rafała, chcąc przytulić się, odegnąć koszmary... Pustka.

Zerwała się z łóżka, drżącymi dłońmi poszukała papierosów i niczym więzień rozglądała się po pokoju. Odetchnęła, widząc, że na oparciu krzesła wciąż wisi jego plecak. Marynarki nie było, no, ale to normalne. Wyszedł gdzieś na moment, być może chciał przynieść jej coś do picia albo właśnie organizował śniadanie do łóżka. Przysiadła przy stoliku, już spokojna.

Właśnie wtedy dostrzegła kartkę.

To właściwie nie była kartka, ale papierowa serwetka, na której nabazgrano kilka słów. Monika nigdy by nie pomyślała, że zwykłą serwetką można zranić kogoś tak głęboko. Tak boleśnie.

„To nie tak, jak myślisz” - przeczytała.

Jasne.

7

Znowu pożary, pomyślała niechętnie. Niestety, nie mogła wyłączyć radia ani przestawić na inną stację. Włącznik był w gabinecie lekarza, a ona siedziała w poczekalni. Minęło kilkanaście dni od jej eskapady do Krakowa i postanowiła, że czas już spojrzeć prawdzie w oczy. Prawda zaś - spodziewała się Monika - zostanie jej obwieszczona głosem „syntezatora mowy”, ubranego w biały, lekarski fartuch.

- Nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego nie zadziałały zabezpieczenia przeciwpożarowe.

Zagraniczni korespondenci kojarzyli się Monice z karabinami maszynowymi. Wypluwali z siebie informacje z zawrotną prędkością, sprawnie i bezdusznie. Tak było i tym razem.

- Kreml wyposażony został przecież w najnowsze systemy gaśnicze. Jednak służby porządkowe wykluczają zamach. Wszyscy w Moskwie powtarzają jak echo: „To był

nieszczęśliwy wypadek". Wypadek, dodajmy, który pozbawił Rosję kilkuset najważniejszych urzędników, a w samej Moskwie zapoczątkował wydarzenia, które już teraz porównuje się do osławionej Pomarańczowej Rewolucji. Siły demokratyczne, mimo że oficjalnie zachowują powagę i smutek, w nieoficjalnych rozmowach wspominają wręcz o niezwykle szczęśliwym zbiegu okoliczności, który może pchnąć Rosję na drogę reform. Tłumy wyległy na ulice, a sądząc po nastrojach społecznych, nie może być wątpliwości, że wybory, które w tej sytuacji muszą nastąpić, wygra kandydat demokratów. Dla Polski to znakomita wiadomość...

Nie zdążyła wysłuchać informacji do końca, bo pielęgniarka zaprosiła ją do gabinetu. - Hmmm - zaczął „syntezator mowy” i była to najbardziej ludzka wypowiedź, jaką do tej pory Monika od niego usłyszała. - No, nie wiem. Nie wiem, jak to powiedzieć. Poprzednie badania były jednoznaczne. Nie pozostawiały cienia wątpliwości. Nie mogliśmy się przecież pomylić. A teraz...

- Co usiłuje mi pan powiedzieć?

- Pani... - „syntezator mowy” w lekarskim kitlu chrząknął. Monika pomyślała, że to pewnie błąd programu. - Pani jest zdrowa. Całkowicie zdrowa.

Wybiegła z gabinetu. Nie usłyszała już końcowego, ogłoszonego jakby mniej mechanicznie: „Gratuluję. Zdrowie to prawdziwy skarb”.

8

Ludzie w takich sytuacjach mówią: „wróciła z dalekiej podróży”. Mówią też: „dostała drugie życie”. Mówią: „los się do niej uśmiechnął”. Ludzie, generalnie, lubią wygłaszać komunały. Monika siedziała w ciemnym pokoju. Wysłuchiwała po raz kolejny wiadomości, znając już na pamięć przebieg rosyjskiej rewolucji. Bezkrwawej - jeśli nie liczyć kilkuset oficjeli, których pochłonął pożar Kremla. W dłoni trzymała pomietą papierową serwetkę. Ścisnęła ją jak najcenniejszy skarb.

„To nie tak, jak myślisz”.

Spojrzała na ciężki owalny przedmiot, który postawiła na szafie jako ozdobę. Wtedy, gdy otworzyła plecak Rafała, pomyślała, że to skamieniałe jajo jakiegoś dinozaura. Teraz nie była tego już tak pewna.

„To nie tak, jak myślisz”.

Monika postanowiła, że nie będzie płakać.

KRÓLIKARNIA

W Chybach wyły psy.

Chyby jeszcze kilka lat wcześniej były samodzielną miejscowością, podręcznym rajem, do którego uciekali z zatłoczonego Poznania nowobogacy. Powiększająca się błyskawicznie aglomeracja upomniła się jednak małą miejscowość przy Jeziorze Kierskim, wchłonęła ją niczym biblijny Lewiatan, rozprzestrzeniając się dalej, na wszystkie strony. Mimo to Chyby cieszyły się nieustającą popularnością. Wysokie drzewa, których na szczęście nie wycięto, przesłaniały Iglicę i dwie bliźniacze wieże AE, izolowały od miejskiego zgiełku i rwetesu. A Poznań, najszybciej rozwijająca się polska metropolia, tętnił zgiełkiem i rwetesem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ceny chybskich posiadłości rosły szybciej niż kurs akcji Polskiego Konsorcjum Ezoterycznego. Coraz to bogatsi ludzie wprowadzali się do domów-twierdz, otaczanych kutymi płotami, zabezpieczanych elektronicznymi systemami wczesnego ostrzegania i zakłęciami paralizującymi. Wraz z nimi, z nową polską szlachtą, wprowadzała się godna tej szlachty świta służących, praczek, sprzątaczek, lokajów, kucharzy - no i psy. Najczęściej wielkie kosmate olbrzymy - ich utrzymanie było najdroższe. Taki pies był synonimem luksusu, wyróżnikiem społecznej pozycji; pełnił straż, samym wyglądem budząc respekt. Nie było bodaj jednego domu, którego nie strzegłby psi obrońca. Któż się wyłamał, skoro taka jest moda? Potrzebne czy nie, psy kupowano, bo tak się robi w wyższych sferach. Co, nie masz, psa, żartujesz, taki miły zwierzak, nie widziałeś w telewizji, gazet nie czytałeś, a ta strona w Internecie, no wiesz, nie masz psa? Phi...

W chłodną wrześnieową noc roku 2020 nowofundlandy o dobrotliwych spojrzeniach, groźne owczarki kaukaskie, płowe leonbergery, wciąż modne labradory i bure wilczarze wyły i ujadły, jeden przez drugiego. Jak gdyby ujrzały samego diabła.

- Kurwa, co z nimi? - mruknął Drobnica.

Całą noc spędził z nosem przyklejonym do kuloodpornej szyby, bolała go głowa i był - jak sam to określał - podkurwiony. Tak jak pozostałych czternastu płatnych zabójców, złodziei samochodów, hakerów, dilerów narkotyków i kidnaperów, którzy stłoczyli się w luksusowej chybskiej rezydencji - siedzibie poznańskiej mafii.

Dookoła - zieloniutki trawnik, klomby, kryty basen, chodniczki marmurowe, równo przycięte drzewka, plusk sztucznych strumyczków kojący nerwy, potężne drzewa w głębi działki. Słowem - idylla, nowobogacki eden. Mimo to każdy z bandytów gryzł wargi, wypalał papierosa za papierosem. Niedopałki wysypywały się z popielniczek, dłonie potniały na płaskich kolbach od pistoletów, palce podświadomie błędziły, szukając amuletów.

Nerwówka, stres, gdzież tu mówić o ukojeniu, nawet haszysz nie pomagał. A wszystko przez...

- Jeden w dupę jebany samochód - wycedził Zimny, złodziej samochodów, postrach berlińskich parkingów.

- Chyba w rurę? - Spoiler, haker mafii, jako jedyny zachowywał resztki poczucia humoru.

- Co, kurwa? W jaką znowu rurę? - Zimny spojrzał na kumpla. Chłodno, oczywiście.

- No, samochód nie ma dupy. Rurę ma... - zaczął haker, ale że spojrzenie Zimnego stawało się coraz zimniejsze, urwał w pół zdania.

Faktycznie, sytuacja była dziwna. Auto stało na ulicy przez całą noc: przed dziesiątą wieczór podjechało pod bramę mafijnej rezydencji i tak stało. A świt już niedaleko. Szyby przyciemniane, nie było widać, kto jest w środku. Nikt nie wychodził. Z początku bawiło to przestępców: „Co, oni łać nie muszą? Do bryki paskudzą?”. Ale z upływem godzin zrozumieli, że kimkolwiek byli pasażerowie czarnego BMW na niemieckich numerach, faktycznie nie musieli łać, jeść, wychodzić. - Gliny - burczał Ziele, narkoman totalny, który szczycił się tym, że spróbował wszelkich środków odurzających, jakie wymyślił człowiek. - Namierzają nas od miesiący. Niech ich chuj! - Ale numery... Czemu na niemieckich blachach? zastanawiał się Siergiej, wbijając oczy na przemian to w rejestrację, którą miał na podglądzie na jednym z ekranów po prawej ręce, to znów na ekran podczerwieni po lewej stronie. Czujnik nie wykrywał w samochodzie jakichkolwiek śladów życia.

Chybska rezydencja to była prawdziwa twierdza - systemy wczesnego ostrzegania, inteligentny płot pod wysokim napięciem, działka w kilku strategicznych punktach sterowane za pomocą dżojstika z wnętrza domu, miny w trawniku. Jakikolwiek atak - czy to policji, czy innego gangu - musiałby zakończyć się hekatombą, krwawą masakrą na kilkadziesiąt trupów. Gliny to wszystko wiedzą, który komendant zaryzykowałby uderzenie w tych warunkach? Kto nie lękałby się gniewu ministra, zmuszonego do wygłaszania nadętych mów nad grobami funkcjonariuszy? Nie, policja nie powinna uderzyć.

Zresztą, czego oni się boją?

...jeden samochód.

A inne gangi? Ale jakie inne? - tych prawie nie ma. Konkurencja gryzie ziemię albo siedzi w więzieniach. Po fali zaginięć, które zdarzyły się parę, paręnaście lat wcześniej, w półświatku zrobiło się sporo miejsca. A Słaby, nowo wschodząca gwiazda przestępczości, nie jest jeszcze na tyle silny, by ryzykować konflikt.

Brak jednym słowem jakichkolwiek powodów do lęku.

Jeden samochód.

Zakała spojrział w okno. Szarówka, mgła i sporo zgniłych liści na trawniku. O, jak tylko się zjawi ogrodnik, będzie „zjeb”, bo nie posprzątał. Zakała lubił „dawać zjeb” - ostatniej dostało się wróżce, do której poszedł poprzedniego wieczora. Była cholernie droga. No, ale marmurki, kadzidełka, ciemne atłasy, kości i czaszki (prawdziwe!), szklane kule i do tego jedna z najlepszych lokalizacji w dolnym pasażu Ezoterycznego Poznania - to musiało kosztować. Lecz nie takich wróżb Zakała oczekiwał, nie to chciał usłyszeć! On płaci kupę kasy, a jęzda mu z grubej rury: „Nie dożyjesz świtu”. Nigdy więcej nie pójdzie do Łysica Hills, co to, jedna wróżka w Poznaniu, jeden salon?

Pięknie, kurwa, pięknie! Ja nie dożyję?! Ja?! Już dożyłem! - pomyślał z satysfakcją, wpatrując się w szarzące niebo.

Zimny na chwilę spuścił z oka ekrany, zerkając na panel sterowania u dołu. Jedna z diod zaczęła pulsować szybko, bardzo szybko, jak stroboskop na oldskulowym techno party. Zimny, wspomagany przez specyfiki, które miał od Siergieja (Siergieja, k... co to było?), odpłynął we wspomnienia. Ach, to były czasy, piętnaście, dwadzieścia lat temu! Techno party, łatwe nastolatki, stare dobre ecstazy, nie jakiś nowomodny szajs, złote łańcuchy i dresy! Najbardziej Zimny żałował dresów, to był wporzo ciuch, dopóki jakaś głupia siksa nie opisała ich w swojej książce. Smarkula! Od tamtej pory dres to obciach, a łańcuch trzeba kryć pod bluzą. Od tego momentu Zimny ma wstręt do literatury, do ręki nie weźmie nawet instrukcji obsługi, brzydzi się zakłamanym, parszywym słowem pisany. Nikt nie będzie manipulował Zimnym!

Ktoś szarpnął go za ramię, zdzielił w niedogoloną twarz dłonią. Ocknął się. To nie stroboskop, to pulsowała biała dioda alarmu.

- Co to...? - Zimny nie dokończył, jego słowa zagłuszył huk wybuchu.

Drobnica nie wytrzymał, odpalił miny w trawniku. W kuloodporne szyby trzepnęło kępami darni, zagruchotały dźwięcznie szczątki lampy ogrodowej. Zamiast klombu pośrodku ogrodu był teraz płytki krater.

- Tak nawet lepiej - bąknął Drobnica.

Zamilkł, kiedy spostrzegł, że eksplozja nie powstrzymała dwóch ciemnych postaci, które szybko zbliżały się do domu.

Drugi nie wytrzymał Zakała. Wybiegł na zewnątrz, krzycząc: „Spierdalać, gliny!” i wygarnął do nadchodzących z pistoletu maszynowego. Broń przez chwilę terkotała miarowo, tatak, tatak, tatak, potem wszystko ucichło. Bandyty zgromadzeni w salonie usłyszeli głos Zakały:

- Ja jebię! Jak w *Matriksie!*

- Co on, znowu oglądał *Perły z lamusa!* - warknął Zimny, ale z ciekawości wyjrzał przez drzwi.

Kilka kroków przed Zakałą stali mężczyzna i kobieta, oboje w czarnych skórzanych płaszczach po kostki. Z lufy pistoletu Zakały sączył się dym. Mężczyzna w czarnym płaszczu stał nieruchomo, prawą rękę wyprostował przed siebie.

Wystrzelone przez Zakałą pociski wisiały w powietrzu jakiś metr od wyprostowanej ręki Matriksa - jak ochrzcił przybysza Zimny.

Spoglądając przed dom, zrozumiał dwie rzeczy. Pierwszą, że powinien uciekać, bo tym koleśiom to on nie poradzi. I drugą - że uciec nie zdąży.

- Napierdalamy - warknął do pozostałych. Nacisnął kilka przycisków na konsoli, nad trawnik wzbily się fontanny ziemi. Z otworzonych na komendę okien plunęło ogniem kilkanaście pistoletów maszynowych.

Drobnica podbiegł do przeszklonej gabloty wiszącej na ścianie. Uderzył kolbą w szybę, poprawił łokciem i wyciągnął gliniany dzban zdobiony arabskim pismem. Zgodnie z instrukcją, jakiej udzielił mu sprzedawca - mały, chudy człowieczek (zresztą, może to wcale nie był człowiek, te spiłowane rożki musiały coś znaczyć, a w Ezoterycznym Poznaniu różnych typów można spotkać) - bandyta złamał pieczęcie, wyszarpnął korek (mocno siedział, skurwiel).

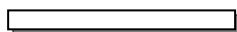
Raz, dwa, trzy... - liczył w pamięci do sześciu, potem cisnął dzban za okno. Dżinn powinien rozprawić się z tymi, którzy atakowali posiadłość, kimkolwiek by byli. Dżinn powinien w ogóle rozprawić się z wszelkim życiem poza domem w promieniu stu metrów od miejsca, gdzie upadła butelka. Taka już była jego natura, dlatego handel dżinnami był oficjalnie zabroniony - i tym bardziej opłacalny. Nieoficjalnie mówiono, że nawet armia polska posiadała całkiem spory zapas glinianych butelek pokrytych arabskimi inskrypcjami. Była to wprawdzie broń masowej zagłady, ale jej użycia nie zakazywała jeszcze żadna konwencja międzynarodowa.

Cóż, prawo często pozostaje w tyle za postępem. Zabije wszystko co żyje, myślał Drobnica, oddychając z ulgą. I rzeczywiście. Pierwszym zabitym przez śmiercionośną ludzkokształtną chmurę był Zakała - w mgnieniu oka pożółkł, wysechł i zmarł. Nawet nie jęknął. Trawa zrobiła się popielata, igły jodełek i świerczków spłonęły w wybuchu. Na ganek spadły bezióre wróble i wrony, siła dżinna zabiła nawet rybki i żaby skryte w oczkach wodnych. Tylko dwoje Matriksów szło, jak gdyby nigdy nic, przed siebie.

Nie trudzili się szukaniem drzwi, po prostu przeniknęli przez szybę panoramicznego okna w dziennym pokoju. Zatrzymali się na chwilę przy kominku, w którym dopalały się ostatnie polana. Zimny pomyślał, że jego życie jest jak to pieprzone drewno - zaraz się dopali, byle podmuch je zdusi. A przyrzekał sobie, że gliny go nigdy nie dopadną. Ledwie kilka miesięcy wcześniej, podczas Kupała Days, śmiał się policji w twarz!

Nie dopadną!

Zimny strzelił sobie w głowę.



Samochód Słabego mknął ulicami Poznania, zostawiając za sobą uniwersytet na Morasku. Potężny kampus, rozległy kompleks budynków wykładowych, dziesiątki pubów, dyskoteki, sklepy, kina - dwustutysięczna rzesza studentów miała pod ręką wszystko, co potrzeba. A to, czego nie miała, dostarczał jej Słaby, który zgodnie z układem, jaki zawarł z Siergiejem, Zimnym i Drobnicą, miał wyłączność na handel ze studentami.

Słaby lubił studentów. Nie żeby od razu iść na studia, Słaby splamił się dwoma klasami gimnazjum i uważał, że to aż za dużo, ale mimo to twierdził, że studenci byli spoko. Kupowali od niego wszystko, czym można się odurzać, co w laboratoriach wymyślił Zachód, co wyhodował na rozległych azjatyckich równinach Wschód, co zebrano na bieszczadzskich połoninach. A w dodatku się nie targowali!

Oczywiście Słaby nie dilował drągów sam - od tego miał ludzi. Na przykład Kapustę, który siedział obok niego. Tacy też są potrzebni, dumał Słaby nad złożonością społeczeństwa. Fizyczni, nie umysłowi. Robią, co im powiesz, i teges!

Muskularny Kapusta zwany również Słoniem - a to dlatego, że szyję miał grubszą niż głowę - tak jak Słaby splamił się dwiema klasami, tyle że szkoły podstawowej. Dlatego Słabego uważał za prawdziwego intelektualistę i naturalnego przywódcę.

Pędzili sześciopasmową estakadą prowadzącą z Moraska prosto do centrum miasta. Świtało. W oddali majaczyły światła dwóch owalnych wież Akademii Ezoterycznej, zaraz obok lśnił lewitujący nad miastem dysk ASP, czyli Akademii Sztuk Paranormalnych. Owalny talerz ASP przesłaniał Rajskie Ogrody Doktora zwane popularnie Bajopolis lub wiszącymi

ogrodami - potężną platformę unoszącą się na wysokości sześciuset metrów nad ziemią. Było to supernowoczesne, niebotycznie drogie osiedle mieszkalne przeznaczone dla najbogatszych poznaniaków. Prawdziwe wyższe sfery. W ten sposób elita odgradzała się od takich jak Słaby, a ten mógł tylko zgrzytać zębami. Osobne szkoły, przedszkola, żłobki, sklepy, szpitale, baseny, nawet osobny park do joggingu. Ech, wzdychał ciężko Słaby, takie osiedla wieszczą kres ery kidnapingu. Wzrok przestępcy przesunął się na krwistą czerwień Iglicy Ezoterycznego Poznania.

To największe centrum handlowe w Europie Środkowej zajęło teren Targów Poznańskich. Czynne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę lśniło tysiącem świateł. Stragany z amuletami, gabinety wrózek, zielarnie, firmy doradztwa finansowego oferujące zastosowanie jasnowidzenia w biznesie, gabinety kosmetyczne proponujące „specyfiki medycyny naturalnej” i „magiczne kuracje plastyczne”, wreszcie największa w Europie dyskoteka pod gołym niebem zwana Wielkim Ogniem, od rozpalonego na środku placu ogniska, wokół którego odbywały się wyuzdane pląsy - to wszystko powodowało, że Ezoteryczny Poznań zyskał rozgłos na całym świecie. Autostradami ze Szczecina, Świecka i Zgorzelca ciągnęli Niemcy, Duńczycy, Belgowie, Holendrzy i Francuzi. Superszybka kolej Gdańsk-Poznań-Praga-Wiedeń zapewniała stały napływ Austriaków, Czechów, Słowaków, Węgrów i Chorwatów. Ze Wschodu zaś szerokimi pasmami nowoczesnych dróg zjeżdżali się do Poznania Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini i mieszkańcy republik nadbałtyckich, a lotnisko Ławica przeżywało szturm Amerykanów. Dzięki temu miasto kwitło i rosło jak ciasto drożdżowe. W ciągu dwudziestu lat liczba ludności podwoiła się, sięgając miliona trzystu tysięcy mieszkańców.

A to wszystko dzięki czarom, myślał Słaby, dociskając pedał gazu. Dzięki magicznym błyskotkom, ulotnym bujdom, robieniu ludzi w chuja!

Ostatnim hitem Ezoterycznego Poznania, który ściągał do miasta miliony turystów, były „pidzamy porno” - strój, który według „The Times” miał uratować populacje zgnuśniałych narodów Europy Zachodniej. Nawet najbardziej rozleniwiony Francuz czy zblazowany Duńczyk odzyskiwał łózkowy wigor po włożeniu „pidzamy”, a że władze miejskie w porozumieniu z właścicielami patentu uzgodniły, że towar ten będzie sprzedawany tylko w Poznaniu - do miasta ciągnęły prawdziwe pielgrzymki.

- Fakty! - krzyknął Słaby.

Deska rozdzielcza reagująca na polecenia głosowe zaiskrzyła, na płaskim ekranie pojawiła się twarz prezentera.

- Nadal impas w sprawie zmian konstytucji europejskiej. Niemcy wciąż nie chcą się zgodzić na przyznanie Polsce samodzielnego prawa weta. Jednak wysoki przedstawiciel polskiego MSZ-u, zastrzegając anonimowość, zdradził Faktom, że Francja na następnym posiedzeniu Rady poprze polskie stanowisko. W tej sytuacji - również kanclerz Brotte powinien ustąpić.

- Pierdola! - zaśmiał się Kapusta. - Zapodamy muzę!

Nim Słaby zdążył zaprotestować, z głośników popłynęły hipnotyczne dźwięki najnowszej płyty Dębieć Pagan Tribe. Folk-hop, muzyka od kilku lat zdobywająca szczyty list przebojów na całym świecie, był typowo polskim produktem. Rapowane teksty, a w tle podkład celtycki albo góralski - to sprzedawało się teraz najlepiej. Połowę utworów stanowiły hymny ku czci Bogini. Słaby, już zgred - miał przecież trzydziestkę - nie chwycił folk-hopu, a w dodatku był zdeklarowanym ateistą.

- Wyłącz ten szit! - warknął tak, że Kapusta aż się skulił. - Fakty!

Powrócił obraz. Nad wymuskany prezydentem pojawił się napis: „Ekonomia”.

- Ministerstwo Finansów zapowiedziało na przyszły rok kolejną obniżkę podatków. Jest to możliwe dzięki dynamicznemu wzrostowi gospodarcemu. Analitycy zgodnie twierdzą, że ósmy rok z rzędu Polska zanotuje dwucyfrowy wzrost PKB. Najbardziej dynamicznie rośnie eksport.

- Import też nieźle! - Słaby zaśmiał się, zapalając papierosa. - Ostatnio zaimportowaliśmy z Berlina kilkanaście samochodów. Ciekawe, co na to ich właściciele?

Ekran zamigotał, „Ekonomię” zastąpił „Sport”.

- Wspaniale wieści z Poznania - mówiła urocza dziennikarka. - Tamtejszy Lech rozgromił Manchester United cztery do zera w meczu grupy A Ligi Mistrzów. Wściekli fani czerwonych diabłów zdemolowali przeznaczony dla nich sektor stadionu. Unia Piłkarska zapowiada surowe kary...

- Eee, powtórka - zamruczał Słaby. - Już wieczorem słyszałem. Ale zajeb, postawiłem na Lecha kupę bejmów. Zawsze wygrywam, kiedy używam wahadełka!

- Szefie. - Kapusta klepnął Słabego w ramię, wskazał na ekran i zrobił głośniejsze.

- Wiadomość z ostatniej chwili - prezydent był wyraźnie zaskoczony. - W poznańskiej dzielnicy Chyby doszło do strzelaniny z użyciem broni maszynowej i granatów. Nieoficjalnie przedstawiciele policji mówią też o użyciu „dzinnów”. Jak donosi nasz poznański korespondent, jest kilkanaście ofiar śmiertelnych. Wszyscy zamordowani to znani przestępcy podejrzewani o liczne wymuszenia, zabójstwa, handel bronią, narkotykami i ludźmi, oraz zuchwałe kradzieże samochodów. Wśród zabitych są: Jarosław S. pseudonim „Drobnica”,

domniemany zabójca komendanta Europolu, Andrzej Z. pseudonim „Zimny”, znany z licznych kradzieży na terenie Niemiec, i obywatel Ukrainy, niejaki Siergiej podejrzwany o handel materiałami rozszczepialnymi. Jak oświadczył przedstawiciel policji, jest jeszcze zbyt wcześnie, by stwierdzić, co się naprawdę stało. Nieoficjalnie mówi się o porachunkach mafijnych. Przedstawiciel policji stanowczo zaprzeczył, jakoby była to akcja CBS, zaprzeczył też sugestiom, że zastosowano kontrowersyjną „procedurę uproszczoną” wprowadzoną do kodeksu postępowania karnego...

- Kurwa! - wycedził Słaby. - Ktoś sprzątnął konkurencję. Całą pierdoloną konkurencję! Spas! Ale kto?

- My nie! - zauważył przytomnie Kapusta. - Mamy alibi. W tym czasie sprzedawaliśmy dragi dzieciakom.

- Właśnie. My nie. - Słaby zasepił się, zaciągnął papierosem. - CBS? Też cholera nie. Gdyby to byli oni, jeszcze by się pochwalili. Tyle że poza nami i Zimnym nie było w Poznaniu liczącej się ekipy.

- Szefie, dojeżdżamy! - zwrócił uwagę Kapusta. - Czerwone!

Renault serpent zatrzymał się na światłach, tuż przed wjazdem na trzypoziomowe rondo Kaponiera.

- Gdzie dalej? Gdzie ta beja, co ją mamy zrobić? - zapytał Słaby.

- Żubr dał cynk, że stoi na parkingu na Piekarach. To w lewo, drugim poziomem w Święty Marcin.

Słaby wyrzucił kierunkowskaz. Zapalił kolejnego papierosa, odruchowo sprawdził, czy amulet wisi na szyi. Był na miejscu, duży bursztyn z pęcherzykiem powietrza w środku, który zwisał na złotym łańcuchu. Przestępca odetchnął.

- Piętnaście trupów! Siergiej, Zakała, Zimny, fuck, kto ich puknął? - mamrotał, gryząc filtr.

- Ale suma subaru - gut, sehr gut, wszystkie suki niechybnie w Chybach, nie mogłoby być lepszego momentu na jucht.

- Parkingowy jest nasz. Jebnie mu się raz, dwa, skórę podrapie, żeby nie było, że się nie stawiał. Kajdankami do barierki go przypierdołę, będzie psom ściemniał - nawijał Kapusta. - A my sobie spoko wodza, bez żadnego pierdolenia...

- Zrobimy beję! - dokończył Słaby i uśmiechnął się znad chmury dymu. - Upewniłeś się, że to nie polska bryka? Bo nasi to się teraz zabezpieczają. Ostatnio próbowałem gwizdnąć wózek jakiemuś adwokacinie, a ten, kurwa, zakłęcie paraliżujące miał. Ręka mi zeszywniała jak fujara, do znachora chodzić musiałem.

- Spoko boss, Żubr mówił, że niemieckie blachy. Ruszyli. Ślimak ronda wyprowadził ich na Święty Marcin, upstrzony setkami neonów. Przejechali obok szarego budynku, w którym mieściła się Okręgowa Rada Wiedźm i Wróżek - samorząd zawodowy tej prężnie rozwijającej się grupy usługodawców. Dalej był zamek, w którym właśnie odbywał się Czwarty Światowy Kongres Bioenergoterapeutów, zwanych w skrócie bio-energami. Słaby minął zamek, minął ulicę Ratajczaka i skręcił w prawo, prosto na wjazd podziemnego parkingu na Piekarach. Strażnik, widząc Kapustę, porozumiewawczo skinął głową.

- Ostatni poziom - wyjaśnił.

Po chwili z kilkoma sińcami, podbitym okiem i lekko krwawiącym nosem stał przyszpilony kajdankami z tyłu budki. Przecierpi tych kilka godzin, niech tam - ale pięć procent od auta jego!

Jeden zawijas, drugi, trzeci, inwestor wgrzył się naprawdę głęboko, ileż ten parking ma poziomów.

- Sześć - sapnął Kapusta. - W pale mi wiruje jak po skunach, ale... - urwał w pół zdania. - Tam, szefie - aż podskoczył. - Ja pizgam, ale fura, fiuuuuu, co za wózek, sam miód. Żubr nie pierdolił.

Rzeczywiście. Nowe BMW 790 iX robiło piorunujące wrażenie. Masywna, a jednocześnie pełna gracji sylwetka, wysokie sportowe zawieszenie, połyskliwy lakier, a pod maską - najnowocześniejszy układ dwóch silników, superszybka elektronika, komputer pokładowy.

- Cudo! - Słaby z uznaniem pokiwał głową. - Czytałem o tym w katalogach. I ma szwabskie numery.

Renault serpent zatrzymał się z piskiem. Na tym poziomie było pusto, tu jeden samochód, tam drugi, zero ludzi - warunki do pracy idealne, jak kalkulował Słaby. Wyciągnął delikatną różdżkę, skierował jej czubek w stronę czarnego auta.

- Ty, patrz, jakie jelenie. Zero magicznych zabezpieczeń. Tylko zwykłe immobilizery, komputer pokładowy, sranie w banie, teges. Pestka, żeby obejść. Wejść do systemu przez satelitę, te cacka wszystkie mają stałe połączenie z orbitą. Ty otworzysz brykę. Jazda!

Połączenie z systemem sterującym BMW nie było zbyt trudne, wszak polscy „informersi” potrafią złamać wszelkie zabezpieczenia. Słaby szybko rozpracował program - ot, niezbyt skomplikowany standard. Nie minęło piętnaście minut, a wszystkie elektroniczne zabezpieczenia zostały sforsowane.

- Teraz ty! - Słaby machnął na Kapustę. - Otworzysz zamki, wsiądziesz, ja ci go zdalnie odpalę. A potem schrzaniamy na Kórnik. Czaisz?

Kapusta czaił oczywiście. Zrobił około setki wózków, dokładnej liczby podać nie potrafił, z rachunków zawsze był kiepski - z innych przedmiotów zresztą też.

Złodziej wyskoczył z renault, trzymając w dłoni małą blaszkę. Najprostsze sposoby bywają zawsze najlepsze. Słaby ze spokojem przyglądał się, jak jego pomagier zbliża się do samochodu. Ciekawe, ile tym razem zajmie mu to czasu? Zejdzie poniżej minuty? Powinien dać radę, ma chłopak dryg, niektórzy w plecaku noszą buławę, Kapusta nosił wytrych. Do każdego typu samochodu. Pod pewnymi względami Kapusta to był prawdziwy skarb. Z rozmyślań wyrwał Słabego dźwięk telefonu.

- Taaa? - spytał, przykładając złotą komórkę do ucha.

- Cze boss, Żubr mówi.

- No, czego?

- Szeffie, sorry, że od trzech dni nie dawałem znaku, ale napaliłem się jakiegoś zielska prosto z Ezoterycznego. Doktorki myślały, że już po mnie, spałem, kurwa, siedemdziesiąt dwie godziny. Trefny towar.

- Spox, nie ma sprawy - Słaby miał dobry humor. - Radzimy sobie bez ciebie. Zadzwoń jutro!

Rozłączył się. Spojrzał na Kapustę, który właśnie zatrzymał się przy drzwiach czarnego BMW. Zaraz...

Żubr był w śpiączce? Od trzech dni?

A kto, kurwa, dzwonił do Kapusty? Kto nadał beję?

- Spierdalaj! - ryknął na całe gardło do kumpla.

Zbyt późno.

Głowa Kapusty rozpadła się na milion kawałków.

- Kurwa! - krzyknął Słaby. Jakoś nic innego nie przyszło mu w tamtej chwili na myśl. - Co to było?

Dobrze, że silnik wciąż pracuje, pomyślał, dociskając gaz. Kątem oka zobaczył kobietę w czarnej skórze, pochylającą się nad trupem kumpla.

Później się z tą suką policzy. Kapusty nie daruje, o nie! Ale później. Na razie trzeba spieprzać, wzięli go z zaskoczenia, nie pora na wendetę, na huzarskie szarże.

Ruszył z piskiem. Już podczas jazdy włączył wycieraczki, by zetrzeć z szyb resztki Kapusty (wybuch był naprawdę mocny, renault serpent stał przecież dobre dwadzieścia kroków od BMW). Jednak droga przed Słabym nie była pusta. Długowłosa mężczyzna, tak jak kobieta ubrany w połyskliwe czarne skóry, stał pośrodku przejazdu. W dłoni trzymał

miecz, który lśnił jak jarzeniówka. Słaby był rodowitym Wielkopolaninem i bardzo nie lubił tracić pieniędzy. Kiedy więc zobaczył tego kolesia stojącego na drodze, tę niby ludzką, bladą jak shake z McDonalda twarz, wiedział, że to już, że trzeba użyć kupionego za ciężką kasę w Ezoterycznym Poznaniu czaru. Bo jeśli nie teraz, to nigdy. Trupom czary niepotrzebne. Pieniądze też.

Z kieszeni wyciągnął kopertę zrobioną z pergaminu. Złamał pieczęć. Renault serpent zdrzął, potężny podmuch poderwał faceta z lśniącym mieczem, odrzucając go pod jeden z filarów parkingu. Na grubym betonowym słupie powstało pęknięcie.

- Co, kurwa, grasz ze mną w oczko, fiucie? Myślałeś, że masz do czynienia z byle dresem? - prychnął Słaby z satysfakcją.

W tej samej chwili napastnik podniósł się z asfaltu.

- Ja jebie! - Złodziej nie czekał, aż dziwny człowiek (czy aby na pewno człowiek?) otrzepie rękaw z pyłu. Poderwał renault, aż zadymiły opony.

Serpentynę pokonał w mgnieniu oka, zgruchotał barierkę parkingu i znalazł się na ulicy.

Będą go ścigać, czuł to! Amulet drżał, ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Będą go ścigać. Więc rura. Szybciej, szybciej. Przecież Kapusta... Takich jak on są tysiące, zwykły złodziej nie mógł być celem, więc kto? Ja, ja, ja...

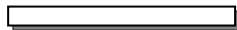
Celem, tak, ale czyim?

Nieważne, pomyśli później, byle dalej, byle szybciej, który ziomal ma zabezpieczenia, kto ma dom jak twierdzę?

Pszczelarz!

Skreślił w stronę ronda Środka i pomknął dalej, na Swarzędz.

Nie widział ich, ale przecież wiedział, czuł to (amulet był niezły, trzeba przyznać). BMW nie mogło być daleko.



Kiedy Słaby w otoczeniu dwóch ochroniarzy wszedł do swarzędzkiego domu Mirosława Mioduszewskiego, aka Pszczelarz, gospodarz był zły jak osa. Miotał się po mieszkaniu, kłął i z mściwą satysfakcją niszczył domowe sprzęty - to krzesło, to lustro, a tu znowu, bach w szybę, na której pojawiła się zaraz pajęczyna pęknięć.

- Tyle peelenów! - krzyczał. - Tyle, kurwa, bejmów poszło w Ezoterycznym i co? Chore! Wszystkie chore! Och - teatralnie złapał się za głowę, widząc Słabego. - Ule moje biedne...

- Ule, kurwa? - Słaby błysnął kurtuazją i miał męczyć Pszczelarza opowieściami o swoich perypetiach, pochylił się nad problemem bliźniego. - Co z nimi?

- Chore - sapnął Pszczelarz. Cisnął o podłogę garść amuletów i począł je metodycznie, raz za razem miażdżyć obcasem. - Syfilis. Rzeżączka. Kiła! Dobrze, że nie adidas. A zielarka w Ezoterycznym obiecywała: „O panie, żadna zaraza się ich imać nie będzie, pracę będą w spokoju, nomen, kurwa, omen świętym wykonywały”.

Słaby przyjrzał się czarniawym dziewczętom, stojącym tuż za Pszczelarzem. „Ule” - tak Mioduszewski, jeden z bardziej znanych alfonsów poznańskich, zwykł był mawiać na swoje dziewczyny. Ponoć dlatego, że lubiły się bzykać.

- Konkurencja - mruknął Słaby, patrząc w smutne oczy Pszczelarzowych dziewczyn. - Z ciebie to prawdziwa poznańska pyra jest, kutwa i Szkot. Żałowało się na amulety, co? A Różowy Dawid wykosztował się na „Psa Urok” i teraz, kiedy twoje pszczołki pochlipują, on obstawia wszystkie wyjazdówki z Poznania, cały miód zbiera.

Gdyby Pszczelarz był bioenergiem, ze Słabego pozostałaby ledwie garstka popiołu na podłodze, tyle jadu było w spojrzeniu alfonsa. Cóż, kiedy Mirosław Mioduszewski urodził się jako całkowite magiczne beztalencie, prawdziwy człowiek starej daty, nieprzystosowany do nowych czasów. Starszy od Słabego, odebrał klasyczne wykształcenie - i to nie byle jakie, sam uniwersytet. Wyrosły w tradycji racjonalizmu, nie mógł sobie poradzić z tym całym bełkotem New Age, z ezoterycznym boomem, modą na magię. A w dodatku, ku rozpaczycy Pszczelarza - z wykształcenia matematyka, niegdyś nauczyciela w liceum - ta magia działała! Porzuciwszy szkołę, w której rozszalały się demony, zajął się zajęciem przyjemniejszym, a przede wszystkim - bardziej dochodowym. Wnet zbudował prawdziwe różowe imperium, z którym z czasem coraz mocniej się identyfikował. I jak prawdziwy imperator, bardzo źle znosił krytykę.

- A ty tu czego? - Mioduszewski spojrział na Słabego, częstego klienta i przez to znajomka. - Chcesz się zarazić? Nie ma sprawy.

- Kłopoty mam - oświadczył Słaby z rozbijającą szczerością.

Taka odpowiedź nie zaskoczyła Pszczelarza. Przecież ten gość, ten łysy, tępy „kark” bez przerwy miał kłopoty, trudno, żeby ich nie miał, złodziej i diler dragów. Ha, trudno, pomyślał Mioduszewski. Cholernie mi przykro, stary, naprawdę, kiedy cierpi mój ziomal, ja cierpię razem z nim, ale wiesz, teraz...

- Spierdalaj - powiedział na głos. - Moich mi wystarczy.

W tym momencie spod bramy, obstawionej przez kilku goryli Pszczelarza, dobiegł trzask. Ktoś krzychał strasznie, rozdzierająco, bardzo głośno. I bardzo krótko.

- Moje kłopoty... - Słaby zawahał się, wyjrzał przez okno i szybko schował głowę - stoją przed bramą, Mirek. Będą w twojej pasiece lada chwila.

Pszczelarz prychnął z pogardą, ale z ciekawości też zerknął przez szybę. I zamarł.

- Psy? CBS? Co to za fiutafony? - wyszeptał wreszcie, odwracając wzrok od okna.

Był wyraźnie bledszy. Jak sztuczne, pozbawione bakterii i wartości odżywczych mleko UHT, pomyślał Słaby.

- Nie wiem, co to za kolo. Panny też nie znam. I nie zamierzam poznać, po tym jak rozpierdoliła głowę Kapuście.

- Kapusta?

- Sztywny.

- Mówiłem „spierdalaj”? I widzisz, jak dobrze radziłem. W długą! - krzyknął Mioduszewski, ciągnąc Słabego w głąb domu.

- Dokąd? Musimy uciekać, tu się nie ukryjesz. Oni są jak psy szatana, pierdolone demony z amerykańskiego komiksu. Znajdą nas.

- Spoko, spoko. Co ty myślisz, że Pszczelarz nie opracował planu B? Że nie mam drogi, którą ewakuuję królową roju? Plan B musi być. A mało to już miałem nalotów konkurencji?

Kilkoma susami pokonali korytarz, później schody, drzwi, na których wymalowano znak odpędzający Złe, potem kolejne drzwi, aż w końcu znaleźli się w pokoju bez wyjścia. Pokój - a właściwie klitka - to była prawdziwa graciarnia, zatechła komórka, w której gromadzono nieprzydatne rupiecie. Ot, uszkodzona lampa, zegar ze zbitą szybą i wywleczoną na zewnątrz kukułką, czarno-biały telewizor. W kącie stała szafa, stara i krzywa. Krył ją kurz, gruby na palec, a w środku były łachy, które miały chyba ze trzydzieści lat. Dziurawe kożuchy, stare szale, swetry, istne siedlisko dla moli, jakieś trepy - wszystko brudne i pachnące starością.

Ohyda, pomyślał Słaby.

Pszczelarz bez namysłu wskoczył do środka.

- Co jest? Co, kurwa?!

Słaby podrapał się w łysą głowę. Coś tu nie grało, Pszczelarz nie wychodził, ale jak można wytrzymać w tym smrodzie starej naftaliny, w tym brudzie, w tym syfie?

Naraz na korytarzu zastukały czyjeś buty. Pościg? Słaby przestał się zastanawiać. Ruszył za Mioduszewskim.

Jeszcze krok - i był na rozległym, podziemnym parkingu. Zielony opel mistic mrugnął do niego światłami. Za kierownicą - któż, jeśli nie Pszczelarz, szczerzący się, łokieć na oknie, pełny luz.

- A co myślałeś! - krzyknął do Słabego, opuszczając szybę. - Mnie tak łatwo nie pójdzie złapać. Wsiadaj, opowiesz, kto cię goni. Ale szybko, szafa ma ograniczony zasięg. Jesteśmy jakieś pięćset metrów od domu. Jeśli ci goście, ubrani jak niemieccy sadomasochiści, są tak

dobrzy, zaraz odkryją fortel. Ale szafa niezła, co nie? Import z Anglii, nie nasz, wiesz, oni też mają ciekawe magiczne gadżety.

Słaby tylko kiwnął głową.



Kordon policji otaczał chybską rezydencję - tę samą, w której rozegrał się dramat grupy poznańskich gangsterów. Wokół błyskały koguty radiowozów, zimnoniebieskie jak poranek, gapie - jak to gapie - tłoczyli się, czekając na sensację, próbowali dojrzeć cokolwiek, jakiś szczegół, który można by później opowiedzieć w pracy, skupiając uwagę całego biura. Niektórzy z nich podpytywali funkcjonariuszy: „Co tam się stało, te hałasy, dymy, wie pan, bo ja, mój dom niedaleko i zaczynam się zastanawiać, czy dobrze wybrałem, może sprzedać? Nooo, panie władzo, przecież się dogadamy, to nie żadna tajemnica, a ja o panu nie zapomnę...”.

Policjanci jednak milczeli. Jak zakłęci.

Każdy z nich złożył przysięgę. Nie zwyczajne ślubowanie, które składa pół Polski wykonujące te czy inne regulowane przepisami zawody, ale przysięgę prawdziwą. Po prostu nie mogli zdradzić tajemnicy, choćby i chcieli, choćby połasczyli się na drobne czy większe korzyści. Nowoczesny program do walki z korupcją w szeregach policji, wykorzystujący czary, sprawdzał się znakomicie. Nadano mu kryptonim „W kamień zakłęci”.

Kiedy dzień wstał na dobre i tłum gapiów się przerzedził, zza zakrętu wyskoczyło ciemne auto z gnieźnieńską rejestracją. Przyciemniane szyby kryły pasażerów. Policyjny pierścień otworzył się na moment, połknął samochód i na powrót się zamknął, osłaniając tych, co przyjechali, przed ciekawskimi spojrzeniami. Gdyby ktoś obserwował przybyłych z daleka, zza policyjnej taśmy, oznaczającej teren zamknięty dla postronnych, zobaczyłby tylko trzech wysokich mężczyzn, ubranych w ciemne garnitury, którzy mimo że niebo było chmurne, nosili przeciwsłoneczne okulary. Nikt z takiej odległości nie mógłby natomiast dojrzeć koloratek - i o to chodziło. Po chwili mężczyźni schowali się w domu.

Przystanęli na progu, zdawałoby się, że zatrzymała ich jakaś niewidzialna bariera. Najwyższy parsknął, zgoła nie po ludzku, z jego gardła dobiegł zduszony charkot. Weszli ostrożnie do salonu, z którego dopiero co uprzątnięto kilkanaście ciał, a kredowe obrysy trupów nikły w plamach krwi. Następnie zdjęli okulary.

Ich oczy były czerwone, zupełnie jak na starych fotografiach z końca XX wieku, robionych tanimi „idiot-kamerami”.

Najwyższy pochylił się przy panoramicznym oknie, wciągnął nosem powietrze raz, drugi, szybciej i szybciej, jak ogar na polowaniu. Pozostali zrobili to samo, to schylając się, to wstając krążyli po pokoju.

- Teufle! - powiedział wreszcie najwyższy. - Bracia mili, to teufle niemieckie. Jednak to uczynili...

- Głupcy - zawtórował drugi, prostując się jak struna. - Nie wiedzą, z czym igrają, to nie jest zwykły wyścig zbrojeń. Nie powinni ich ściągać zza „Siedmiu Gór”.

- A myślisz, bracie, że im leży na sercu dobro świata? Nie, mój drogi, im leży na sercu byt własny - a teraz każdemu Niemcowi zagląda w oczy demon marginalizacji, sam powiedz, cóż znaczy Berlin przy Warszawie, przy Poznaniu? Przeciwnik w ten sposób może kusić ludzkie dusze - podsycając strach przed słabością, rozniecając fałszywą dumę narodową, chęć dominacji; w ten właśnie sposób karmi złe myśli, w ten sposób prowadzi do szaleństwa, a stamtąd - do piekła. Sprowadzenie teufli takim szaleństwem jest.

- Racja, bracia - włączył się do rozmowy trzeci mężczyzna. - Ale nie czas na dysputy. Trzeba zawiadomić Prymasa i Wielkiego Mistrza.

- Tak - przytaknął najwyższy. - Módlmy się.

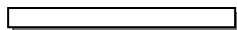
Przez moment pograżyli się w ciszy, poruszając ustami w bezgłośniejszej modlitwie. Czerwień w ich oczach zaiskrzyła mocniej.

- Prymas już wie - rzekł najwyższy z braci, kiedy minęły dwa pacierze. - Wielki Mistrz także. Teraz prezydent.

- Przez modlitwę? - spytał drugi. Zapytany pokręcił głową.

- Nie każdy jest święty, nie każdy może zaznać łaski Słyszania. - To mówiąc wyciągnął z kieszeni garnituru mały telefon, wybrał numer, przyłożył komórkę do ucha.

- Brat Tomasz, z Nowych Ubogich Żołnierzy Chrystusa - powiedział do słuchawki. - Tak jak pan prosił, sprawdziliśmy, co stało się w Chybach, panie prezydencie.



- Nie, panie prezydencie. Od kilku dni czekam na wieści od Kapelusznika. Czy trwa seans? Oczywiście, że trwa, jakżeby inaczej? Mam tutaj w transie dwadzieścia kilka umysłów, utrzymujemy z Drugą Stroną Lustra kontakt permanentny. Nie, to nie kwestia łączy, tutaj nikt nam nie podskoczy, mamy najlepsze mózgi na Ziemi. Nikt po prostu nie przechodzi, agentów mało. Potrzebuję więcej, więcej agentów, szkolenie ostatniego naboru jeszcze nie dobiegło końca. Nie ma? Jakże, no przecież u nas, w Poznaniu, ta duża szajka Zimnego i

Drobnicy, którą namierzaliśmy. Oni byliby idealni. Mam o nich zapomnieć? Wybić sobie z głowy albo sprowadzić nekromantów? Nekromantów? Kur... przepraszam, panie prezydencie, ale nigdy bym nie pomyślał, że ktoś da radę ich zabić. To może chociaż ten, no - Słaby? Z nim też jest problem? Oczywiście, szefie, możemy posłać tam zwykłych ludzi, ale wtedy będziemy mieli skuteczność zbioru taką jak Francuzi, no może Brytyjczycy, a chyba nie o to chodzi. Że przestępcy się w Polsce kończą? Nie, panie prezydencie, z całym szacunkiem, w to nie uwierzę. Mam się zamknąć, bo nic nie wiem? Tak jest! Ale może w takim razie zacząć kaptować Ukraińców, Białorusinów? Albo chociaż Włochów? No, ktoś u nas musi przecież pracować! Dobrze, przestaję już pieprzyć, działam tym, co mam. Postaram się znaleźć odpowiedź na pana pytanie. Teufle, tak? O cholera, u nas? Niech mnie... Nie mam teraz wolnych stealcarów, ale znajdzie się kilku handlarzy - pójdą na Targ, wywiedzą się wszystkiego, zabiorą ze sobą trochę towaru, to kupią każdą informację. Jakiego towaru? To było w ostatnim raporcie - starych, zdezelowanych samochodów, mogą być same karoserie z kołami, nawet po wypadku. Co oni z tym robią? Też chciałbym wiedzieć. Kuria nam pomoże? Ooo, świetnie, oni zawsze byli z boku, a mają znakomitych fachowców. Ci Żołnierze Chrystusa z za Drugiej Strony

Lustra są niesamowici. Znowu mam się zamknąć? Ta-aajees! Słucham? W pobliżu Poznania ktoś otworzył kolejną czarną norę? Nielegalny przemyt magii, bez cła, bez święceń, bez narzutu rządowego? Coś dużego, tak? O cholera! Ale, panie prezydencie, to już zadanie dla policji, ja im mogę co najwyżej wsparcia udzielić, paru ludzi podesłać. Robi się, panie prezydencie, wysyłam natychmiast. I jeszcze kilku neutralizatorów do Gniezna? Przez norę, kuria ich odbierze? A to po co? Jeśli chcę mieć agentów, mam już nic nie mówić? Ta-aajees! Ku chwale ojczyzny!

Generał Wdowiak zasalutował, odszedł od ekranu transmitera. Przez okno baraku wyjrzał na skrytą w głębi Wielkopolskiego Parku Krajobrazowego pustą polanę, która zieleniła się równą soczystą trawą. Na kopuły i łuki zabudowań przykrytych siatkami maskującymi. Na płaską, talerzopodobną rotundę, w której pod okiem najlepszych lekarzy spoczywali zanurzeni w stymulowanym farmakologicznie letargu czytelnicy.

A potem generał popatrzył na leżącą na jego stoliku książkę, na jego służbową Biblię, przewertowaną dziesiątki razy, pełną notatek, komentarzy i zakładek. Wymięte, przybrudzone kartki, twarda oprawa już nie tak twarda jak przy pierwszym czytaniu, w środku dedykacja.

Alicja w Krainie Czarów.

Wdowiak zaśmiał się nerwowo i mruknął sam do siebie:

- Kto by pomyślał, że gówniara miała rację?



- Są w cholere blisko! - zakomunikował Mioduszewski, spoglądając w lusterko. Głos miał dziwnie piskliwy. Nacisnął przycisk uchylający szyberdach i przez powstałą szczelinę wypchnął na zewnątrz mały flakon, który stoczył się po tylnej szybie i gruchnął o asfalt, tuż przed maską ścigającego ich samochodu.

Zakotłowało się, buchnął dym, kwaśny i gryzący. Słupki podtrzymujące płot na obrzeżach autostrady powyginały się na boki, znaki drogowe straciły kolory, a jadący z naprzeciwka kierowcy zjeżdżali do rowu, uderzali w barierki, dachowali na poboczu. Po tym Słaby poznał, że we flaconie zamknięty był dzinn.

Pszczelarz zaklął wyjątkowo szpetnie i wyjątkowo wymyślnie - nawet jeśli mierzyć to osobliwą Pszczelarzową miarą. Widocznie kupiony na czarnym rynku dzinn musiał kosztować go naprawdę sporo.

A w dodatku okazał się nieskuteczny.

Słaby widział przez tylną szybę, jak rdzawa amorficzna masa pochłania BMW, jak pęka asfalt, jak odkształca się barierka przedzielająca obie nitki autostrady. Nie mógł oderwać wzroku od dzinna, mimo że wykrecony kark bardzo go - jak sam mówił - napierdalał. Już nawet zaczął się cieszyć, że to koniec, że dzinn Pszczelarza załatwi tych świrów, że beja pójdzie w diabły razem z pasażerami, ba, już nawet zaczął żałować pięknego wózka, kiedy dzinn zbladł, sflaczał jak dziecięcy balonik, w którym zrobiła się mała dziurka, i opadł - tylko jako lekka rdzawa mgiełka - na jezdnię.

BMW lśniło jak nigdy dotąd, po ataku dzinna nie pozostało choćby zadrapanie na karoserii, wręcz przeciwnie, zdawało się, że auto urosło, nabrało sił, tak jakby wyssało energię z atakującego je stwora.

Jedyny pożytek to taki, że są trochę bardziej z tyłu, pomyślał Słaby, który czuł się jak bohater jednego z tandetnych filmów amerykańskich z końca XX wieku, przeładowanych efektami pirotechnicznymi, a pozbawionych jakiegokolwiek konceptu, finezji, inteligencji - zupełnie jak martwy już Kapusta. Tyle że amerykańskie filmidła miały jedną, niezaprzeczalną zaletę: zawsze kończyły się szczęśliwie. Gangster, zerkając co chwila za siebie, wiedział, że to nie jest scenariusz dla niego.

Byli już kilkadziesiąt kilometrów za Poznaniem i mknęli autostradą na Toruń. Szerokim łukiem obwodnicy minęli Gniezno. Wieże katedry, symbol spokojnej potęgi, górowały nad okolicą. Słabemu wydało się, że BMW zwolniło, zmagając się z niewidzialną przeszkodą. Ale to musiało być złudzenie, bo czarne auto na niemieckich numerach zaraz doskoczyło do opla mistic.

Katedra zniknęła za nasypem, ciągnącym się wzdłuż autostrady.

- Chujafon - warknął Pszczelarz, dociskając pedał gazu. - Zaraz nas będzie chciał zepchnąć, skubany.

Gdzieś w tle migwały drogowaskazy - Mogilno, Strzelno, Inowrocław, Toruń. Słupki na poboczu zlewały się w ścianę, błyskały światła samochodów jadących z naprzeciwka, silniki ryczały, a Pszczelarz kłął, na czym świat stoi.

Chmurę ujrzeli, kiedy Gniezno zostało kilka kilometrów za nimi. Gęsta i popielata wisiała tuż nad asfaltem, wypełniając całe koryto autostrady. Na prawym pasie zrobił się spory korek, pulsowały światła awaryjne, paru kierowców wyszło z samochodów. Po karku Słabego przebiegł dreszcz. Ten obłok nie wyglądał na zjawisko atmosferyczne, nie, on był od zjawiska atmosferycznego kurewsko daleko. To była chmura magiczna, wiedział to każdy, kto choć raz odwiedził Ezoteryczny Poznań.

- No to wpadliśmy jak śliwowica w szambo. Mają nas - załkał Mioduszewski. - Ale mnie wpierdoliłeś, Słaby... Dick ci w oko.

Z tymi słowy wjechali w gęstą, prawie namacalną zawiesinę.

Opel mistic kaszlnął raz, drugi, trzeci, szarpnął, zarzęził, a potem - ku rozpaczy Słabego - silnik zgasł. Siłą rozpędu samochód przetoczył się kilkaset metrów, coraz wolniej i wolniej, jak gdyby - oprócz tarcia - hamowała go dziwna mgła, która nie pozwalała widzieć dalej niż na dwadzieścia kroków.

- Zdechł - szepnął Słaby. Usta miał sine, a w gardle - przerażenie.

- Kurwa jego dziwka - rzucił wściekle Pszczelarz. - Kilka dni temu byłem w warsztacie u zaklinacza silników. Ostukał, opukał, rzucił czar naprawczy - bryka miała chodzić bezawaryjnie przez parę lat. Co jest?

- Oni - Słaby skinął głową za siebie - udupili nas i mają na tacy jak danie w jebanej chińskiej restauracji. Zaraz przyjdzie żółty kelner, ukłoni się, podniesie srebrną pokrywę, a w kotle - Słaby w sosie słodko-gorzkim i Pszczelarz z warzywami.

- Wal się! - zapiszczał Mioduszewski. - To twoja brocha, za tobą się ciągną, jak smród za kloszardem.

- Klo... Co? - Słaby zrobił głupią minę. - Grasz ze mną w oczko?

- Ty! - Pszczelarz nagle podskoczył. - Oni też, oni też! Dym im spod maski napierdala, też im się bryka rozkraczyła przez tę mgłę. Spadamy, Słaby, może się jeszcze uda.

Błyskawicznie wyskoczyli z samochodu. Powietrze było gęste i lepkie.

- Biegiem - zasapał Słaby.

Lata wygodnego życia nie sprzyjały utrzymaniu dobrej kondycji - on pierwszy się zmęczył, czuł, że zamiast serca ma w piersi młot pneumatyczny do robót drogowych.

- Dalej!

Pszczelarz, sam czerwony jak neon jednego z jego burdeli, szarpnął Słabego za rękaw i poderwał do biegu. Przecież ich prześladowcy byli tuż za nimi, dwie zamazane sylwetki majaczyły we mgle. Trzeba uciekać! Strach dodał im siłę, przez minutę gnali, ile powietrza w płucach... a potem zatrzymali się tak nagle, jakby nogi wrosły im w asfalt.

Przed nimi stały trzy postacie w czerni. Chociaż Słaby nie widział ich twarzy, było dla niego jasne, że wpadli z Pszczelarzem w pułapkę. Za nimi pościg, z boków - stromy nasyp autostrady i płot, nie wyjdiesz choćbyś był Spidermanem, a z przodu - ech, szkoda gadać. Słaby i Pszczelarz wybrali więc jedyny możliwy wariant ucieczki. Przynajmniej nie będą świadomi swojej śmierci, nie poczują bólu, ojedzą we śnie. Obaj zemdleli jak na komendę.

Szkoda. Gdyby byli przytomni, mieliby nie lada satysfakcję. Zobaczyliby, jak ich prześladowcy stają niby biblijne słupy soli. Zobaczyliby, że każdy z trzech wysokich mężczyzn, którzy szli z naprzeciwka, pod szyją nosi koloratkę, a na ramieniu ma wyszyty dyskretny czerwony krzyż. Zobaczyliby wreszcie (co, przynajmniej, mogłoby nie być przyjemne), jak ścigający ich ludzie „metamorfuja” w rogate, brunatne potwory, jak z niezmiernym rykiem rzucają się na mężczyzn w koloratkach, jak rozpościerają olbrzymie, błoniaste skrzydła...

Zobaczyliby też, jak mężczyźni w koloratkach unieszkodliwiają kreatury. Bez żadnych wystrzałów. Bez żadnych mieczy. Ba, bez żadnych błyskawic, kul ognistych, świetlistej aury czy innych tanich fajerwerków. Kilka słów wypowiedzianych cichym natchnionym głosem - i z monstrów zostały suche, złuszczone wióry.

- Tfu! - splunął jeden z mężczyzn w koloratkach, zdejmując okulary, zza których błysnęły rubinowe oczy. Z kieszeni wyciągnął flakon z wodą święconą, skropił poźółkłe resztki demonów. Resztki, jak w tanim horrorze, zaskwierczały. - Teufle, bracia mili, teufle niemieckie. Nasi bracia w Poznaniu mieli rację.

- Te na szczęście były małej mocy, Wielki Mistrzu. Niemcy muszą mieć jeszcze wąskie przejścia, nic wielkiego się nie przeciwie do naszego świata.

- Być może, bracie, być może. Ale kotara raz rozdarta pruć się będzie dalej, starczy, że ktoś mocniej pociągnie. Źle zrobili.

- A co z tymi dwoma, bracia? - Trzeci mężczyzna pochylił się nad omdlałymi Słabym i Pszczelarzem. - Ten łysy z zakazaną gębą nadałby się na stealcara. A ten drugi, chytrus, pasowałby na kupca.

- To już osądzą inni - powiedział spokojnie ten, którego nazwano Wielkim Mistrzem. - Przekażemy ich, tak jak prosił prezydent, generałowi Wdowiakowi. On niejednego śmiecia wyprowadził na ludzi.



Sala była zimna i ciemna, półmrok rozjaśniał blask płaskiego ekranu, na którego tle stał wojskowy. Twarz miał surową, zaciętą. Kiedy patrzył na siedzących naprzeciwko niego ludzi, taksował ich bezwzględny spojrzeniem, z wprawą dokonując wstępnych ocen. Ten przeżyje cztery, może pięć misji, ten - jedną, no, przy dużym szczęściu dwie, ten pewnie nie wróci z pierwszej - generał Wdowiak, szef jednostki specjalnej, mylił się w swych kalkulacjach nad wyraz rzadko.

Dłużej zatrzymał wzrok na dwóch siedzących obok siebie mężczyznach - jeden łysy, bardzo mocno zbudowany, góra trzydziestolatek, drugi starszy, wychudły, z oczyma rozbieganymi i twarzą szarą od papierosów.

Więc to z nimi były takie ceregiele, pomyślał, ha, ciekawe, czy było warto?

Słaby skulił się pod spojrzeniem generała. W innej sytuacji ryknąłby tylko: „Ej, chuju, grasz ze mną w oczko?” i nie czekając na odpowiedź, zastosował którąś z licznych, znanych mu metod dawania w pysk, lecz tym razem czuł się dziwnie nieswojo. Generał - choć szczupły - budził respekt. Była w nim ukryta siła, coś, co czaiło się pod samą powierzchnią świadomości, jak potwór morski - postronny obserwator początkowo widzi jedynie zmarszczki na tafii wody, a kiedy monstrum się wynurzy, dla postronnego obserwatora jest już zdecydowanie za późno.

Słaby pomyślał, że wojskowy musi mieć bardzo potężny amulet - nic dziwnego, na pierwszy rzut oka widać, że to gruba ryba.

- Straszne z was śmiecie - zaczął Wdowiak, tocząc wzrokiem po sali. Przed nim było dwudziestu czterech złodziei, kiboli, morderców, gwałcicieli i dilerów narkotyków z całej Polski, jedna gęba bardziej podła od drugiej...

Żaden nie zareagował na obraźliwe słowa, żaden nawet nie podniósł głowy. Coś trzymało ich w żelaznym uścisku, mocniej niż kajdany, mocniej niż prochy, od których każdy z nich był uzależniony. Co to było? Słaby nie pamiętał, co się z nim działo od momentu ucieczki autostradą, do chwili gdy jakiś głos obudził go i kazał pójść w stronę drzwi. Przeszedł więc korytarz i znalazł się w sali, w której już siedział Pszczelarz, rozglądając się nerwowo.

Gangster zapamiętał z letargu tylko poszczególne obrazy, majaki senne. To ponury sędzia w todze, z łańcuchem na szyi wstaje i coś tam recytuje (kurwa, przecież ja, Słaby, nigdy bym

do teatru nie poszedł). To znowu jakiś dziwny gość z czerwonymi oczami rozkazuje powtarzać za nim słowa przysięgi, całować krzyż i coś szeptać (he, he, moja stara na zdjęciach z młodości miała takie same czerwone gały - myśli Słaby). I jeszcze las, gęsta, ciemna knieja - ale te obrazy nic nie mówią, niczego nie wyjaśniają.

- Tak, śmiecie - ciągnął generał. - Aż wstyd, że będę dowodził takimi mętami. Cóż, służba... - przerwał na chwilę, przeczesał palcami jasne, przerzedzone wiekiem włosy. - Nie pytam was o zdanie, bo nie macie wyboru. Nie pytam was o zgodę, bo ta już zapadła - w stosunku do każdego z was. Procedura uproszczona - zostaliście przez sąd pozbawieni jakichkolwiek praw obywatelskich, ubezwłasnowolnieni i skazani. Karą jest służba pod moimi rozkazami. Dożywotnia. Krótko mówiąc, wpakowano was w gówno. Ale bądźmy szczerzy, należało wam się!

Wdowiak popatrzył na przestępców, którzy rzucali mu wściekłe spojrzenia. Spojrzenia bezradne.

- Chcielibyście mnie zaatakować, zabić, rozszarpać i wdeptać w podłogę? Nie możecie, zuczki, po prostu nie jesteście w stanie. Czy myślicie, że Rzeczpospolita się nie zabezpieczyła? Że nie zastosowano którejś z form magicznej przysięgi? Nie bądźcie naiwni, nawet wy, w waszych śmiesznych szajkach stosujecie wyniesione z Ezoterycznego Poznania rytuały poddaństwa lub zaklęcia wierności - a jest to najmniejszy z możliwych kalibrów, bo do Ezoterycznego trafiają odrzuty i przemyt, nic specjalnego. Z tych skleconych przez domorośle wiedźmy czarów można się wyrwać, ot tak - Wdowiak pstryknął palcami. - Z tych, których używamy my - nie. Złożyliście hołd, każdy z was został związany przysięgą wasala, aż do śmierci, na którą, nawiasem mówiąc, długo nie będziecie musieli czekać. Nie należycie już do siebie, należycie do państwa polskiego. Teraz, choć trudno mi to przechodzi przez gardło, jesteście dobrem ogólnonarodowym, żołnierzami, którzy jeszcze niewiele potrafią, ale są bezgranicznie posłuszni. Mógłbym wam kazać się zastrzelić tu, teraz, a wy posłuchalibyście bez sprzeciwu. Nie wierzycie, zuczki? Który chce spróbować?

Uwierzili wszyscy. Wdowiak z zadowoleniem pokiwał głową.

- Zaczynacie łapać, jakie zasady obowiązują w Królikarni.

- Nigdy o niej nie słyszeliście - podjął generał po dłuższej przerwie. - Nie mieliście prawa, z Królikarni nie wydostaje się żadna informacja. Nie sądzę też, byście zrozumieli wszystko z tego, co powiem, ale zasada jest prosta: kto zrozumie najwięcej, ten pożyje najdłużej. Słuchajcie więc uważnie.

Słaby zadrżał i zamienił się w słuch - wyobraził sobie, że nie ma Słabego, jest tylko ucho, jedno wielkie ucho, jest tylko słuch, słuchać, słuchać, słuchać...

- Słyszeliście o teorii rabbitholi? Nie, na pewno nie. A może czytaliście *Alicję w Krainie Czarów*? Cóż, też mało prawdopodobne. No, ale grę komputerową *Alice* chyba znacie?

Przestępcy potakiwali - wreszcie coś, co rozumieli. *Alice* to była gra ich młodości, prawdziwy hit. Dzięki erotycznym podtekstom zdobyła większą popularność niż film, który promowała. Wprawdzie starość - ukazała się w końcu pierwszej dekady XXI wieku - ale jeszcze do tej pory ten czy ów pogrywał z sentymentem w sławną *Alice*, a gangsterzy nie byli pod tym względem inni niż reszta społeczeństwa.

- Bohaterka książki, podążając za białym królikiem, dotarła przez króliczą norę do innego świata, tytułowej Krainy Czarów, pamiętacie?

- Ale to była bajka - wyrwał się długi, chudy Lolo.

- Takie tam bzdury, co ktoś sobie wymyślił.

- Bajka? - Wdowiak z politowaniem popatrzył na Lola. - Bajka? A jak wyjaśnisz działanie amuletów, które mają chronić was - i chronią - przed kulami? Jak wytłumaczysz to, że nad Poznaniem unoszą się Rajskie Ogrody Doktora? Kiedy byliście na wolności, każdy z was miał przynajmniej jedną butelkę, w której zamknięty był dzinn - to też bajka? A to, że sprawdzają się wróżby, że działają czary zabezpieczające samochody przed wami, a wy używacie kontrczarów - także bajka? Przecież to przeczy fizyce, chemii, przeczy zwykłej logice - nigdy was to nie zastanawiało?

Generał spojrział smętnym wzrokiem po zgromadzonych. Nikt nie protestował, nikt się nie dziwił, wszyscy akceptowali irracjonalność bez mrugnięcia okiem, ot, dobro zastane - komputer, pole, las, latająca miotła - wszystko tak samo oczywiste i tak samo dla człowieka niezrozumiałe. Ech, nowoczesny system edukacyjny, niech go szlag...

Jeden Pszczelarz podniósł głowę.

- To bez sensu, panie...

- Generale - odpowiedział Wdowiak.

- Panie generale, to bez sensu. To, o czym pan mówi, nie ma prawa istnieć w rzeczywistości!

- Zgoda. - Wdowiak przytaknął z satysfakcją. - Cieszę się, że choć jeden z was jest bardziej rozgarnięty. Pójdziecie na kupca, panie Mioduszewski. To nie ma prawa działać. Tyle że działa.

Pszczelarz posmutniał. Fakt - Rajskim Ogirodem Doktora wiszącym nad Poznaniem trudno było zaprzeczać.

- Chce pan powiedzieć, że Alicja, ta mała z książki...

- Miała rację - dokończył za niego Wdowiak. - Dokładnie tak. Nie pytajcie mnie, jak to się dzieje, nie znam szczegółów technicznych, nie wiem, czy ktokolwiek na Ziemi to ogarnia. Trudno o naukowe wyjaśnienia, być może nigdy ich nie znajdziemy. Zespół naszych ekspertów - fizycy, matematycy, ale też literaturoznawcy i filozofowie - pracuje wprawdzie nad teorią wyjaśniającą zjawisko znane pod nazwą rabbithole, ale efekty są mizerne. Na razie profesorowie opisują jedynie to, co widzą. A widzą wiele, za to mówią mało. Jeden z nich powtarza tylko: „Współczesna fizyka zwariowała, a nauka przestała być potrzebna”. Fakty są następujące - możliwe jest otworzenie przejścia do innych światów, światów, nazwijmy to, magicznych. Tam działają prawa inne niż te, znane nam - magia jest tam na porządku dziennym. A co najważniejsze - światy, nazywane przez nas Drugą Stroną Lustra, są kopalnią przedmiotów, które z naszego punktu widzenia stanowią prawdziwe skarby. Dlaczego? Dlatego że, co możecie sami obserwować, funkcjonują i w naszej rzeczywistości. My, Polacy, pierwsi to zrozumieliśmy. I pierwsi nauczyliśmy się eksplorować Drugą Stronę na wielką skalę.

Pszczelarz uderzył się dłonią w czoło.

- Stąd ten nagły postęp, stąd boom gospodarczy, stąd trudny do wytłumaczenia racjonalnymi argumentami wzrost znaczenia Polski na arenie międzynarodowej. Mamy monopol na magię!

- No, niezupełnie monopol - sprostował generał.

- Anglicy są całkiem niezli - to przez tę Rowling od Pottera, coś tam działali Rosjanie, Chińczycy też, chociaż u nich pociągnęło to za sobą zastraszającą liczbę ofiar w ludziach. Amerykanie cały czas mają problemy, dlatego wciąż stawiają na nowoczesną technologię, która jednak przegrywa z importem z za Drugiej Strony Lustra. Ostatnio próby podjęli Niemcy - wy, Mioduszewski, i wasz łysy koleś, mieliście okazję zobaczyć rezultaty ich wysiłków.

- Czarne BMW?

Wdowiak potakująco kiwnął głową.

- Panie generale, chciałem zapytać.

Pszczelarz spojrział na wojskowego błagalnym wzrokiem, ale ten, zadowolony, że spośród zgrai przestępców wyłowił choć jednego inteligentnego, zachęcił go ruchem ręki.

- Mam pytanie - powtórzył ośmielony Pszczelarz. - Czego oni od nas chcieli?

- Od was, Mioduszewski, niczego, tyle tylko, że byliście razem z tym, no... Słabym. A od niego? Cóż, chyba było widać - chcieli go zabić. Niemcy, choć opóźnieni w rozwoju połączeń z Drugą Stroną, nie są głupi. Dostrzegli pewną regułę. Otóż od momentu, kiedy Rzeczpospolita rozpoczęła eksplorację innych światów, kiedy pchnęła pierwsze transporty

towarów magicznych, zaczęła gwałtownie spadać przestępczość. Nie mów, że tego nie zauważyłeś, sławni gangsterzy znikali jeden po drugim, to musiało zyskać znaczny rozgłos w półświatku.

Pszczelarz potwierdził, któż nie widział zaskakującej fali zaginięć? A niby dzięki czemu on zrobił karierę alfonsa? - ot, całą konkurencję diabli wzięli.

- Oni wszyscy trafili do nas. Najpierw wysyłaliśmy przez rabbithole zwyczajnych, uczciwych ludzi - wyjaśnił tymczasem Wdowiak. - Zresztą teraz, od czasu do czasu, jeszcze tak robimy. Ale straty, zwłaszcza na początku, były ogromne, zastraszające, a efekty mizerne. Kiedy całe nasze komando przepadło Bóg jeden wie gdzie, któryś zdesperowany oficer wpadł na pomysł - a może wysłać tam więźniów, mają odsiadkę dożywotnią, są pozbawieni wszelkich praw przez sądy. Posłaliśmy. W najgorsze bagno. Myśleliśmy, że wykonujemy na nich wyrok śmierci.

Generał urwał na chwilę, w zadumie pokręcił głową.

- Wrócili wszyscy. Razem z tajemną księgą wróżb, która zaraz powędrowała do Ministerstwa Finansów. Ale było zamieszanie na Wall Street...! Mniejsza z tym zresztą. Chłopaków posłaliśmy drugi raz - znów pełny sukces. Kolejne przykłady potwierdzały prawidłowość. Okazało się, że polska natura złodzieja i cwaniaczka do czegoś się jednak przydaje! Nie obyło się bez strat - to niebezpieczna robota, każdy, choćby najmniej cenny przedmiot magiczny trzeba dosłownie wrywać z gardła, tak więc rekrutowaliśmy wciąż nowych i nowych. A ponieważ mieliśmy po swojej stronie magię - trudno było komukolwiek z waszych kumpli nam uciec. Utworzono specjalny oddział, ktoś go przezwał „stalkerzy” - to ze starej książki, wątpię, byście ją czytali, szczerze mówiąc, wątpię, byście czytali cokolwiek, nawet nazwę na batonikach. No, ale że grupa składała się głównie ze złodziei samochodów, ktoś inny przerobił nazwę na „stealcarów” i tak już zostało. Niemcy spostrzegli tę zależność i zaczęli likwidować złodziei samochodów z Polski.

Kolejna przerwa, kolejny łyk whisky, generał przesunął się na bok, tak by nie zasłaniać ekranu, na którym zamajaczył przymglony początkowo obraz. Rozpoczęła się multimedialna prezentacja. Słabemu mignęło kilka znajomych twarzy - to byli dawno zaginieni „chłopcy z miasta”, u których zdobywał pierwsze szlify w złodziejskim fachu. Słaby był pewny, że ich kości już dawno rozpuściły się w niegaszonym wapnie, a tymczasem proszę, jaka niespodzianka! Pszczelarz natomiast rozpoznał filmowaną okolicę - podpoznańskie lasy, rejon Puszczykowa. Obrazy przelatywały jeden za drugim, w tempie teledysku, przez parę minut pokazując a to dziwacznych ludzi w koloratkach o czerwonych oczach, to znów magiczne

symbole, kolekcję buteleczek z dzinnami, księgi oprawione w skórę, złote pierścienie, sękatę kosturę, szklane kule, lustra z płynnymi taflami i masę podobnych rzeczy. Naraz film zwolnił i oczom zebranych w salce ukazała się niewielka leśna polana porośnięta równiutką zieloną trawą. Na owej sielskiej łączce stali gangsterzy, którzy, jak na gust Słabego, wyglądali cokolwiek dziwnie. Niektórzy mieli na sobie zbroje, inni skórzane kaftany, był też jakiś wychudzony narkoman przebrany za żebraka, no i jeszcze jeden, wystrojony w bogate szaty, z upierścienionymi rękami, który siedział rozparty na drewnianym wozie. Cała grupa przywodziła Pszczelarzowi na myśl statystów z jednego ze znieawidzonych przez niego filmów fantasy. Gdzieś w tle, pomiędzy drzewami, majaczyły transportery opancerzone, stacje nadawcze i kontury futurystycznie wyglądających baraków, co stwarzało dodatkowy kontrast z ubiorami tych na pierwszym planie. Statyści stali bez ruchu. Kiedy za ich plecami ktoś krzyknął: „Idzie, idzie, czytelnicy wpadli w trans, będą, w cholere, duże nory!”, nagle zniknęli. Nikt z widzów nie zauważył, jak to się stało - po prostu w jednej chwili przebrani gangsterzy byli na łące, w drugiej już nie. Wdowiak zatrzymał film, cofnął i puścił w zwolnionym tempie. Tym razem Pszczelarz widział wyraźnie - najpierw widmo królika, potem - czarną, krętą i głęboką jak wszechświat norę.

To musiała być jedna z rabbitholi.

- Udaje nam się wygenerować do dziesięciu widm króliczych naraz - mruknął Wdowiak.
- To lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Przyjrzelście się?

Przestępcy skwapliwie pokiwali głowami.

- To i dobrze, bo niedługo i was to czeka. Służba dla Rzeczypospolitej, w której będziecie robić to, co umiecie najlepiej - kraść. Kraść dla ojczyzny! Ha, kto by przypuszczał, że Polska będzie zawdzięczała swoje odrodzenie takim szumowinom!

Wdowiak zamyślił się.

- Jeszcze słówko do was, Mioduszewski - podjął po chwili. - Zbyt inteligentni jesteście na stealcara, mam lepszy pomysł. Większość magicznych tajemnic kradniemy, to prawda, część jednak można zwyczajnie kupić. Jest takie miejsce, mówią o nim Targ. Nie ma dobrej sławy, arabska ulica to przy nim wzór kurtuazji, ale, jak mi doniesiono, nieźle radziliście sobie na tureckich targach dziwek, to i tutaj dacie sobie radę. Tak, myślę, że Targ to odpowiednie miejsce. Będziecie handlować z Obcymi, jak nazywamy mieszkających po Drugiej Stronie Lustra.

- Jacy oni są? - spytał Pszczelarz. Jego gardło ścisnął strach.

- Długo by opowiadać, są bardzo różni. Bardzo. - Wdowiak spojrzał na przestępcę. Pszczelarzowi to spojrzenie wyjątkowo się nie spodobało. - Zresztą sam zobaczysz. No,

koniec wykładu! - powiedział głośniej generał. - Od tej chwili jesteście żołnierzami Jednostki Specjalnej Wojska Polskiego do spraw Eksploracji Światów Magicznych KRÓLIKARNIĄ.

BRUDNE BRZEGI

(...) Kto się tej wody chociaż raz napije

Tego oplotą jadowite żmije

Nie zazna serca normalnego bicia

Ni chwili myśli spokojnej za życia

Będzie w szaleństwie szarpał własne ciało

Rył pazurami pod lodową skałą

I póki życia każdą chwilę strawi

Żeby zatrute źródło bólu zdławić (...)

Zatruta studnia,

sł. J. Kaczmarek, muz. P. Gintrowski, album „Muzeum”

1

Jeziro było zanieczyszczone. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Po pierwsze, leżało tuż obok szerokiej, ośmiopasmowej autostrady Poznań-Toruń-Gdańsk. Mknęły nią codziennie dziesiątki tysięcy samochodów z i do stolicy Wielkopolski, ezoterycznego zagłębia Europy, miasta tandetnych koziołków, wiszących ogrodów i największego centrum handlu i usług magicznych. W dodatku brzegi jeziora i okolicznych rzek obsiadły fabryki i elektrownie nowej generacji, oparte na ściśle strzeżonych technologiach rodem... No właśnie, nie wiadomo skąd - tajemnic strzeżono bardzo skrupulatnie. Dość powiedzieć, że fabryki i elektrownie były piekielnie efektywne. Odbijało się to na gęstości substancji, które płynęły kanałami ściekowymi, na tym, z czego usypywano czarne hałdy popiołu, co wyrzucano do zsyków, co ulatywało z wielkich kominów i wracało z pierwszym deszczem. Nikt się tym specjalnie nie przejmował, najważniejsze, że w regionie

nie było bezrobocia, a Kruszwica i Inowrocław rozrosły się niepomierne, wyrastając na prężne ośrodki „mag-gospodarki”.

Po drugie, wystarczyło powąchać.

Tafla wody była oleiście i niezmaczenie czarna, niczym wały żużlu otaczające brzegi. W wodzie, choć nazwanie cieczy wypełniającej jezioro „wodą” wymagało sporej odwagi, pływały fabryczne odpady i trupy wodnych ptaków oraz ryb. Widać nie zmutowały dość szybko, by przeżyć. Swoje dorzucali miejscowi rolnicy, którzy, dofinansowani przez Unię Europejską, choć kupowali nowoczesny sprzęt i jeszcze bardziej nowoczesne nawozy, z nieczystościami postępowali po staremu - wylewali je do jeziora. Do wody trafiały też wszelkie śmieci z okolicznych parkingów, o czym wiedzieli jedynie śmieciarze oraz wodne ptactwo i ryby, które zmutowały wystarczająco szybko. I to wszystko, niestety, było czuć, jak nie przymierzając, człowieka z miasta. Szkopuł w tym, że wąchać nie było już komu. Dawniej pełne turystów i plażowiczów brzegi teraz świeciły pustkami, nawet tam, gdzie wciąż stał las, nikt nie miał ochoty przychodzić. Kogo było stać na przeprowadzkę letniej rezydencji, wyniósł się, kogo stać nie było - po prostu machnął ręką i zrezygnował z urokliwego niegdyś domku z widokiem na kominy. Nikt, prócz tych którzy pracowali w tutejszych fabrykach i elektrowniach, nie zaglądał nad Gopło.

Prawie nikt.

Artur Jeleń stapał płochliwie pośród nadbrzeżnych chaszczy. W dali snuły się dymy, nad jeziorem unosił się opar, ciężki i gęsty jak zatechła zupa, ale Jeleń parł w stronę czarnej toni.

Nie lubił łowić ryb, a zresztą Gopło i tak było złym miejscem do wędkowania. Nie lubił wczesnie wstawać, ale co jakiś czas zrywał się, nim słońce wzeszło, ubierał się pospiesznie i wybiegał z domu. Nie znosił odoru, który wisiał nad jeziorem, nie cierpiał chodzić po przybrzeżnym bloku, nadgniłych szuwarach i marniejącym od chemikaliów tataraku. A jednak co jakiś czas podążał nad Gopło i robił to wszystko.

Nie wiedział, dlaczego.

Arturowe eskapady zaczęły się dwa lata wcześniej. Najpierw były sny, dziwne i niepokojące. Słyszał głos przemawiający w języku, którego nie rozumiał. Widział twarz, której po przebudzeniu nie pamiętał. Sny powtarzały się przez tydzień, nim Artur pojął ich sens. Nim zerwał się po raz pierwszy, w pośpiechu wciągnął dzinsy, zarzucił na siebie polar i pognął nad jezioro. Tylko po to, by wbić wzrok w kłęby mgły wymieszanej z dymem. Artur stał dobrą godzinę na nadbrzeżu, wpatrywał się w siny opar i zastanawiał się, co też ukazałoby się jego oczom, gdyby nagle wiatr rozgonił ciemne, skłębione zasłony. Nic takiego jednak się nie zdarzyło, wicher nie zawiął, dymomgła wciąż zalegała nad Gopłem. Artur

wrócił do domu niewyspany i wściekły, dziwiąc się samemu sobie. Przrzekał sobie, że był to pierwszy i ostatni taki wyskok. Nadaremnie. Historia powtórzyła się wielokrotnie. Pędził samochodem nad jezioro, stawał na brzegu, spoglądał we mgły i odchodził zziębnięty i skołowany. Na dodatek czuł przed jeziorem irracjonalny lęk.

Sny Artura szybko się zmieniły, stały się bardziej zrozumiałe. Co nie znaczy, że mniej niepokojące. Po kolejnej serii jeszcze był roztrzęsiony. Od pewnego czasu widywał siebie jako ważną osobistość, intelektualistę, polityka, błyskotliwego informatyka, adwokata czy szefa wielkiej korporacji. Już idzie drugi rok z rzędu, jak policzył na palcach. Hołdy, honory, zachwyty, pieniądze, piękne kobiety, ach, to było wspaniałe.

W snach.

Rzeczywistość skrzeczała, a w zasadzie kwiczała pod rzeźnickim nożem Artura, prowincjonalnego masarza. Dobrze chociaż, że naturalna żywność była w modzie, co pozwalało Jeleniowi utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie. Ale nie taki los mu się marzył, nie do tego był stworzony. Dlatego gdy budził się, przeżywał bolesny szok rzeczywistości. Sny były tak realne, tak przyjemne. Życie nie.

Przystanął, otarł pot z czoła. Był wczesny poranek. Od jeziora wiało chłodem i smrodem.

- Szlag! - Artur splunął z obrzydzeniem. - Ciekawe, co tym razem wypuściły te cholery? Nie widać dalej jak na dziesięć kroków.

Gęsty dym pomieszany z mokrą parą otulał jezioro i lepił się do ubrania mężczyzny. Duchota narastała, Artur porządnie się spocił, choć niezbyt daleko odszedł od samochodu. No, ale napotkał na swej drodze sporo przeszkód - a to zbutwiałe opony od ciągnika, a to sporych rozmiarów kopiec śmieci, a to przerdzewiałą rurę wydechową dumnie sterczącą pośrodku grzęzawiska - widome znaki, że bywali tutaj inni. Tym razem zatrzymała go oleista plama, ruda na brzegach.

Wyjątkowo się Arturowi nie spodobała.

- Obejść trzeba kurestwo - burknął, spoglądając nieufnie na nalot w kolorze miedzi, na wypalone dookoła trawy i zdechłe kijanki pływające po wierzchu kałuży.

Silny podmuch przeredził opary. Artur Jeleń podniósł głowę, jego wzrok trafił na skraj szuwarów, gdzie kończył się tatarak, a zaczynała brudna toń.

Stała właśnie tam, na skraju, pośród wysokich, zgniózielonych łądyg jątrzących się chorobliwymi cętkami. Patrzyła na jezioro, odwrócona tyłem do Artura. Mężczyzna zastygł w bezruchu.

Tirówka, czy jak? - pomyślał. Bo i cóż innego sugerował ubiór kobiety? Krótka spódniczka, długie nogi, wciśnięte w czarne pończochy i krótkie botki, a do tego jaskrawoczerwona bluzeczka. Tlenione blond włosy powiewające na wietrze.

- Niech ją. Już w robocie? Przecież nie ma ruchu o tej porze. Dziwki tu bywają, prawda, ale gdzieś tak od południa - mruknął.

Omijając kałużę o rudych brzegach, postąpił kilka kroków w stronę trzcin.

Znów dmuchnęło od wody. Dymy jeszcze bardziej zrzędyły. Wiatr rozchylił szuwały, pośród których stała dziewczyna. Przez ułamek sekundy Artur zobaczył ją w całej okazałości.

- Kurwa jego... ta zdzira chodzi po wodzie! - krzyknął, nie myśląc o tym, że kobieta może go usłyszeć. I rzucił się do ucieczki.

Zostawił za sobą jezioro, biegł, zdjęty lękiem.

- Chodzi po wodzie, ja pierdołę, po wodzie chodzi, dziwka... - bełkotał, z trudem łapiąc oddech.

Samochód był blisko, ledwie kilkadziesiąt kroków. Usłyszał za sobą śmiech. Zgrzytliwy. Urywany. Nieludzki.

Chlap, chlap, błoto pryska na boki, Artur miażdży butami śnięte ryby, łamie łądygi tataraku, pod butem pęka pokryty zielonym nalotem bak od motocykla, w tle majaczy czerwona karoseria fiata koala.

Samochód...! Tak blisko!

Zbyt daleko.



Ocknął się, zbudziło go lekkie kołysanie. Otworzyć oczy, nie otworzyć? Czuł lęk, pod powiekami czał się obraz kobiety spacerującej po zatrutych falach. Więc może lepiej leżeć, czekać, aż wszystko minie, aż go zostawią w spokoju? Ale kto zostawi, czego się bać, kim była tajemnicza prostytutka? Nie wiedział.

Ciekawość zwyciężyła.

Najpierw zobaczył JĄ. Przyciągała ukradkowe spojrzenia Artura jak magnes. Stała metr, może dwa metry od niego, odwrócona plecami. Na dziobie?

Łodzi! - pomyślał Artur. Jestem w łodzi! Jasne, dlatego kołysze.

Z trudem oderwał wzrok od kobiety, od jej fascynujących kształtów i tandetnego ubioru. Nerwowo się rozejrzał.

Był na jeziorze. W którym miejscu - trudno stwierdzić, dymomgła wciąż ograniczała widoczność. Bezsprzecznie płynął - i to ze sporą prędkością - ale to, czym płynął, z trudem zasługiwało na miano łodzi. Bo któż nazwałby tak przerdzewiałą karoserię starego

samochodu, odwróconą dachem do dołu? Czy ktoś przy zdrowych zmysłach pomyślałby, że coś takiego może unosić się na wodzie? Zwłaszcza że w oknach karoserii wszystkie szyby wybito, tylko tu i ówdzie widniał szklany okruch, ledwie trzymający się zbutwiałych uszczelek.

Jak to jest, kuźwa, że nie toniemy? Fakt pozostawał faktem, brudna woda nie wlewała się do środka, a dziwna łódź miast tonać, rażno pruć przez „gęste” fale. Na dziobie zaś (a właściwie na masce) stała tania prostytutka i wpatrywała się w chemiczny opar. To sen, sen, trzeba się zbudzić, zemdląłem nad jeziorem, duszność, dymy, gazy fabryczne, nawdychałem się tego świństwa, to i mam we łbie karuzelę, ale, cholera, przecież nie z madonnami, myślał Artur. I już, już miał zamknąć oczy w nadziei, że naprawdę się ocknie, że znikną wszelkie majaki i ułudy... kiedy kobieta uniosła dłoń.

Kiedy uniosła mgły.

Ciężki, duszący opar rozwiął się jak zły sen, odsłaniając wyspę. Artur znał jezioro, wiedział, że wyspa gdzieś tam jest, ot, nieduży przyszc porośnięty żółkłymi krzakami i zeschniętymi drzewami, które nie potrafiły oprzeć się zanieczyszczeniom. Tym bardziej zaskoczyło go to, co zobaczył.

Wyspa była o wiele większa niż ta, którą pamiętał, i co najważniejsze - zabudowana. Okopcone bryły budynków o poplamionych chemikaliami ścianach czerniły się w oddali. W stronę łodzi, zapraszającym łukiem, wyciągało się długie ramię pomostu, osadzonego na rurach pcv i metalowych prętach. Zamiast drewnianych desek pomost wyłożono kawałkami falowanego plastiku i płyt kartonowo-gipsowych. I znów Artur pomyślał, że to nieprawda. Taka konstrukcja nie miała prawa utrzymać się ani chwili.

Ale pomost, obojętny na Arturowe zastrzeżenia, stał. Nic nie wskazywało na to, by miał runąć.

Jednak nie była to wcale najdziwniejsza konstrukcja na wyspie. Oto na środku, obok brudnych, zbudowanych z pustaków budynków, wznosił się czarny słup wieży. Stołp górował nad resztą. Dumny i wysoki przypominałby romańskie baszty, gdyby nie budulec. Ciężki kamień zastąpiły nie mniej ciężkie, ułożone jedna na drugiej, zużyte opony od ciągników.

- Tylko nie pytaj, jakim prawem trzyma się moja wieża - powiedziała kobieta, nie odwracając głowy. Głos miała przyjemny, choć szorstki.

Artur zaniemówił. Chłonał nieprawdopodobne obrazy jeden po drugim, mimo że ich nie rozumiał. Nie wiedział, co ma znaczyć dziwaczny krąg, ustawiony z zepsutych lodówek, wyrzuconych do jeziora, sprawiający wrażenie karykatury Stonehenge. Nie zaskoczyły go olbrzymie dęby okalające zabudowania i krąg. Drzewa uschły i teraz straszyły szerniałymi

kikutami. W tych okolicznościach karoseria-łódź wydawała się oczywistym dopełnieniem całości. O nic nie pytał, niczemu się nie dziwił.

Gapiąc się tępo w otwór szyberdachu na dnie łodzi, rzecz jasna również pozbawiony szyby, Artur potulnie czekał, aż dobiją do brzegu.



Wyspa przywitała go oczywistym, choć lekkim smrodem spalenizny i znacznie silniejszą wonią podgniętych jabłek.

Artur Jeleń wiedział już, że nie zapomni chwili, kiedy stanął na pomoście. Kiedy po skrzypiącym pod butami plastiku szedł w stronę brzegu, zostawiając za sobą parujące „chemią” jezioro, kiedy zamiast chybottliwego pomostu poczuł pod nogami twardy, gorący żużel wybrzeża.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał jej twarz.

Artur nie przepadał za krzykliwymi prostytutkami. Jednak ta tutaj, ONA była inna. Mimo mocnego makijażu, jaskrawej szminki, kłującego w oczy lakieru na paznokciach, tandetnej bluzeczki i botków, zdawała się inna niż wszystkie dziwki świata. Była fascynująca.

Jej widok przyprawił Artura o gęsią skórę.

Nie wiadomo skąd, w jej palcach pojawił się papieros. Nieznajoma zaciągnęła się, uwodzicielskim krokiem przeszła kilka metrów, a widząc, że Jeleń wciąż stoi w miejscu, znowu się odwróciła.

Słów, które wtedy wypowiedziała, Artur również nie zapomni do końca życia, choć zrozumiał je znacznie później.

- I cóż tak stoisz, niby jaki menhir? Cóż tak spoglądasz? Nie jesteś oczarowany moją dziedziną, mym, jak wy mówicie, ach tak, modernistycznym królestwem? Nie urzeka cię jego czar i piękno? Jeszcze urzeknie, nie bój nic, jeszcze urzeknie. A na razie zapamiętaj. Jakie jezioro, taka pani, kurwa jego mać.

2

Generał Wdowiak wpatrywał się tępo w przybrudzoną szybę. Na zewnątrz w podpoznańskim lesie szarzało. Ukryta wśród drzew Jednostka Specjalna Wojska Polskiego do spraw Eksploracji Światów Magicznych KRÓLIKARNIĄ budziła się do życia.

- Cholera - mruknął Wdowiak, pijąc łyk wystygłej kawy zaprawionej kilkoma kroplami spirytusu.

Była to autorska odpowiedź generała na słynną irish coffee. Wdowiak nazwał swój wynalazek „pałacem kultury”. Tylko prawdziwy Polak potrafił docenić zalety tego drinka, tak jak specyficzny urok największej budowli Warszawy dostrzegali jedynie prawdziwi Polacy.

- Cholera - powtórzył. - Znowu nic. Wszystkie meldunki negatywne. Gdzie to się podziało?

Sygnal ostrzegawczy otrzymał wieczorem dnia poprzedniego. Meldunek Kapelusznika brzmiał jednoznacznie - „przeciek”! Ha, nie byłoby w tym niczego szczególnego, podobnych incydentów zdarzało się w ciągu tygodnia pracy kilka. Ot, znów ktoś próbował obejść rządowe połączenia z Drugą Stroną Lustra, znów ktoś usiłował ściągnąć magiczne artefakty bez uiszczania należności celnych i opłat manipulacyjnych dla Państwowego Monopolu Magicznego. Albo, co gorsza, sprowadzić jakiś z towarów zakazanych z pominięciem obowiązkowych święceń. Przedmiotów sprowadzanych przez nory, czyli rabbithole nie wolno było używać bez uprzedniej homologacji wydanej przez licencjonowanego egzorcystę. Wszyscy pamiętali wypadek, jaki wydarzył się w pierwszym roku istnienia Królikarni, kiedy któryś z agentów ściągnął zza Drugiej Strony czarodziejską lampę bez legalizacji. Kilkudziesięciu zabitych, wielu rannych, zniszczone zabudowania i zgliszcza - oto skutki nierozwagi. Od tej pory każda rzecz, sprowadzana przez rabbithole, musiała przed dopuszczeniem do obrotu przejść procedurę egzorcyzmowania. Kontrola rządowo-kościelna powodowała, że próby przemytu mnożyły się jak króliki. Niektóre z tych wysiłków kończyły się sukcesem i wówczas pojawiał się przeciek.

Kapelusznik bezbłędnie wychwytywał takie zdarzenia. Żadne rozdarcie zasłony rzeczywistości nie pozostawało niezauważone przez niego bądź jego ludzi. Nasłuch prowadzono non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Generała nie zaskoczyła więc wiadomość.

Zaskakujące były natomiast rozmiary przecieku.

- Wygląda, jakby ktoś przerzucał do naszego świata bombę morderową - wyszeptał Kapelusznik z ekranu komunikatora, bledszymi niż zwykle ustami.

- Chybaś szalony! - prychnął Wdowiak. - Bombę morderową mamy tylko my...

A potem generał zobaczył odczyty. Kiedy przyniesiono mu pierwsze dane, musiał przyznać, że przeciek był ogromny. Może Kapelusznik ma rację? Nawet jeśli nie miał, sprawa była poważna. Przeciek należało znaleźć i zlikwidować. Dlatego agenci Królikarni niezwłocznie ruszyli w noc, przeczesując w poszukiwaniu przemytników dwa główne ośrodki ezoteryzmu w Polsce - Poznań i Warszawę.

Bez skutku. Źródła przecieku nie wykryto.

Najmłodszy z podoficerów podszedł do Wdowiaka z plikiem dokumentów.

- Niech pan spojrzy, panie generale. To wykresy i klisze, wszystko zrzuty z wizji śniących. Okazuje się, że podobnych rozmiarów przecieki miały miejsce już kilkakrotnie. Widma na kliszach były właściwie identyczne.

Wdowiak wziął do ręki fotografie. Przypominały zdjęcia rentgenowskie.

- Podobne - zgodził się, porównując obrazy z różnych okresów. - Tyle że nie wiem, co oznaczają.

- Ośmielam się zasugerować, że to kobieta, panie generale - wyrecytował jednym tchem młodzik.

Wdowiak westchnął ciężko, popatrzył na podoficera.

- Rozumiem - rzucił przez zęby. - Dawno już nie byliście na przepustce. Jesteście młodzi. Rozumiem...

Ale kobieta? Wybaczenie, sierżancie, ale nie. Zdecydowanie nie. Obiecuję, dostaniecie tę przepustkę, jak tylko zakończy się kryzys.

Młodzik zarumienił się lekko, lecz nie rezygnował.

- Z pomiarów wynika, że ilość magii, która dostawała się do naszego świata, za każdym razem była taka sama. Sześćdziesiąt sześć kiloAlicji.

- Szlag, rzeczywiście sporo. - Generał pokręcił głową z niedowierzaniem. - Kiedy odnotowano poprzednie przecieki?

- Zaczęło się od 26 kwietnia 2019 roku, potem był 29 października tego samego roku, dalej 30 kwietnia 2020, potem znowu październik, dokładnie 30 - odparł oficer. - No i wczorajsza noc.

- 27 kwietnia - dopowiedział Wdowiak. - Regularnie jak w szwajcarskim zegarku. Ustalcie, czy jakiegokolwiek zdarzenia można połączyć z tymi datami. Od archiwów ABW po zapiski straży miejskiej. Musimy sprawdzić wszystko. Wszystko! Odmaszerować! A, stójcie jeszcze, a nasłuch przy stolikach dał jakieś rezultaty?

- Nie. - Podoficer spuścił wzrok. - Nie rozumiem, dlaczego. Zatrudniliśmy najsilniejsze media, zorganizowaliśmy talerzyki z chińskiej porcelany, a wszystkie stoły były dębowe. Talerzyki tak podskakiwały, że aż się tłukły i pękały. Ale przekazy są bez sensu, nie idzie ich odszyfrować. Duchy udało się wywołać, ale nie chciały mówić.

Generał zamyślił się, spojrzął na szklankę z kawą.

- Albo ktoś celowo zakłócał sygnał. No, możecie odejść. Będę pamiętał o tej przepustce.

Podoficer stuknął butami i wymaszerował z gabinetu. Wdowiak podszedł do komunikatora, zerkając na zegarek.

- Myślę, że Wielki Mistrz już po porannym nabożeństwie - mruknął. - Zobaczymy, co nam w tej sprawie powie Gniezno.

3

- Pani?

Artur pokornie schyla głowę, wolnym krokiem wchodzi do przestronnej sali, białe światło oślepia go szybkimi błyskami. Nie widzi jej, ale wie, gdzie ona jest, wie, że to ona, wie, gdzie jest Pani. To miejsce, ta wyspa, zamek, krąg narzucają posłuszeństwo, wytyczają porządek rzeczy. Pani jest centrum tego świata, Artur czuje to. Są chwile, w których nie potrafi myśleć o ucieczce, mimo że przecież chce wracać.

Jeszcze chce.

Na ścianach wiszą kinkiety plastikowe i żelazne, niedobre. Niektóre prawie nowe, inne mocno podstarzałe, na wielu ślady glonów. Większość ma porozbijane żarówki, co nie przeszkadza im lśnić jasnym światłem, kiedy tylko Pani zechce klasnąć. Wszystko tutaj działa na jej kłaśnięcie, ba, na skinienie, myśli Artur. Dziwka jedna, na cholere mnie tutaj sprowadziła?

Artur słyszy śmiech. Przechodzą go dreszcze. Nie dlatego, by śmiech brzmiał nieludzko, wcale nie. Głos Pani, jak kazała się nazywać, wydaje się przyjemny, zmysłowy. Właśnie dlatego.

Dreszcze.

Do domu, myśli Artur.

Chyba nieprędko.

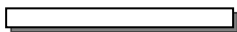
Kiedy prowadziła go korytarzem, kiedy pokazała mu jego komnatę, jego celę, jak nazwał w myślach pomieszczenie, poradziła, żeby się przyzwyczaił, bo przez dłuższy czas tu zostanie. Ale nie było żadnych zamkniętych drzwi, żadnych kajdan, żadnych więzów - nic z tych rzeczy. Zamiast tego wygodnie urządzonego pokój, telewizor, skrzynka piwa, papierosy. I surowy zakaz opuszczania wyspy.

Chciał uciec, nawet wybrał się na brzeg, kiedy sądził, że Pani nie patrzy. Obszedł całą wyspę. Ale nie znalazł łódki, nie licząc zanurzonej w przybrzeżnej mazi karoserii od starego mercedesa.

A dookoła dymy i mgła. Mgła i dymy.

- Gdzie ja, kurwa, jestem - szeptał, stojąc na krańcu chybotliwego pomostu.

A potem wrócił do komnaty. Wbił oczy w ekran, wziął piwo. Czas zleciał dość przyjemnie. Aż nadszedł wieczór. Aż wezwała go Pani. Na wieczerzę.



Wieczerza okazała się prawdziwą ucztą. Starczyło klasnąć, a stawało przed Arturem to, co sobie zamarzył. Nie miał wyszukanych zachcianek - golonka, piwo Merlin Mocny (lubił je najbardziej!), duża pizza z mnóstwem dodatków - tak Jeleń postrzegał luksus. W tle płynęła łagodna muzyka. Pani, Morri, jak się przedstawiła, uśmiechała się do niego. Rzucała spojrzenia, od których Arturowi robiło się gorąco.

Na koniec pojawiło się wino.

Przed Arturem zmaterializował się piękny złoty kielich. Nawet się nie zdziwił. Choć był prowincjuszem, słyszał, co dzieje się w Poznaniu. Wiedział, że sławne, wiszące nad miastem Rajske Ogrody Doktora to nie wytwór techniki. A przynajmniej nie techniki z tego świata. Słyszał o salonach wróżek, o wiedźmach poznańskich, o czarach i przepowiedniach. Ba, daleko cudowności szukać nie musiał. I w Kruszwicy, i w Inowrocławiu były przecież bary sieci SNS, czyli Stoliczku Nakryj Się. No, a elektrownie i fabryki, które zlokalizowano nad Gopłem? Konwencjonalne siłownie nie zaopatrzyłyby w elektryczność połowy Europy. Alternatywne źródła energii, ha, ciekawe, czemu te alternatywne źródła tak śmierdziały siarką?

- Napijesz się? - spytała Pani.

Ona także trzymała w ręku Kielich, nie tak bogato zdobiony, jak stojący przed nim, ale bardziej wykwintny. Oderwał wzrok od kobiety, od jej głębokiego dekoltu i zalotnego uśmiechu. Bez słowa wpatrywał się w naczynie, które oplatały smukłe jak węże palce Morri. Puchar miał w sobie coś magnetycznego. Jego brzegi pokrywał dziwny, czarny osad.

Pani uśmiechnęła się nieznacznie.

- Twoje zdrowie - powiedziała. Wychyliła Kielich do dna.

Zrobił to samo.

- Wino dobre, ale, eee, jeśli Pani pozwoli, piwa bym się napił - rzucił nieśmiało.

- To proste, Arturze. Wystarczy klasnąć. Zawahał się. Do tej pory to ona podawała mu wszystkie potrawy i napoje. To ona była - jak Artur założył, żeby wytłumaczyć swoją sytuację - czarodziejką. On? On miałby czarować?

Zachęciła go uśmiechem.

Klasnął.

Niepewnie.

Z wahaniem.

Małe piwo zapieniło się w szklance. Powąchał - merlin mocny!

Zaśmiał się, zaskoczony. Klasnął mocniej, bardziej zdecydowanie.

Drugi, tym razem półlitrowy kufel, spotniały od chłodnego piwa, stanął przed Arturem.

Morri mrugnęła porozumiewawczo.

Ostatecznie, pomyślał, na ucieczkę przyjdzie czas. Na powrót do domu również. Bo to raz wracał późno?! Wiktoria, jego żona, była przyzwyczajona.

Klasnął.

I jeszcze.

Morri, pomyślał, to dziwne imię. Dziwne. Ale ładne. Klask.

Zaraz, miał przecież spytać, co, jak, dlaczego. Kiedy szedł na wieczerzę, tysiące myśli kłębiło się w jego głowie.

Morri uśmiechnęła się promiennie, różowy lakier błysnął na paznokciach, które niby szpony zamknęły się na Kielichu.

Klask.

- Jestem po to, by dać ci to, czego sobie zażyczysz.

Klask.

- O czym śnisz, Arturze?

Klask.

- Chcesz wracać do rzeźni?

Klask.

- Jestem przeszłością i przyszłością tego świata.

Klask.

- Wróciłam.

4

Inspektor Jakub Merkel pracował do późna. Widząc, że już osiemnasta, zgarnął wszystkie materiały dotyczące śledztwa do teczki i wyszedł z biura. Z piskiem opon ruszył do domu, za plecami zostawiając budynek Komendy Powiatowej Policji w Kruszwicy. I tak był spóźniony (prace kończył zwykle o szesnastej), żona znów powie, że znalazł sobie kogoś na boku.

- Zwariować można z babami - westchnął.

W domu długo ślęczał przed komputerem, przygotowując raport o stanie śledztwa. Z niewiadomych przyczyn komendant Kubiak zażądał go na jutro.

- Ale wodzu, co wódz? - wyjąkał przerażony Merkel. Całość liczyła kilkanaście tomów akt, protokoły przesłuchań, notatki służbowe, ekspertyzy, wycinki z gazet, meldunki, teczki sprawy napuchnięte jak skręcona kostka.

Komendant tylko wzruszył ramionami.

- Na piątą rano, Jakub. Będę czekał na komendzie.

- No, pewnie się doczekasz - burczał inspektor, paląc jednego papierosa za drugim.

Na biurku uzbierało się też sporo kubków po kawie. Dochodziła dziesiąta wieczór, a on nie zrobił nawet połowy tego, co zaplanował. I to miała być ta spokojna praca w budżetówce? Tego chciał, dając łapówkę, by przyjęto go do policji?

Zajmował się tą sprawą od dłuższego czasu. Ile to będzie? Policzył w pamięci, no tak, dwa lata. I bez wyników! Przez ten brak wyników już raz stracił premię, niech to diabli. A co on niby miał wymyślić? To była historia jak z książki! Że też musieli to jemu przydzielić!

W okolicach Gopła zaginęło kilka osób. Oficjalnie nikt tego nie łączył, każde zdarzenie kwitowano krótką notką w pismach lokalnych, by, jak stwierdził komendant, nie wywoływać niezdrowego zainteresowania. W końcu wszyscy żyjemy z nadgoplańskich elektrowni, prawda? Nieoficjalnie jednak połączono te cztery zaginięcia w jedno śledztwo, którym zajmował się inspektor Merkel.

- Zaraz, zaraz, jakie cztery. Pięć, jak w pysk strzelił! Ostatnim z zaginionych, ledwie dwa dni wcześniej, był znajomy inspektora, wiejski rzeźnik, Artur Jeleń. Policjantowi zrobiło się żal, że nie zje już któregoś z wyrobów Artura. Miał takie smaczne wędliny, wspaniałe szynki, prawdziwą polską kiełbasę i kaszanekę. Ach, jaka szkoda!

- Dlaczego akurat on? - mruknął.

A dlaczego pozostali? Ani on, ani nikt inny - również z komendy wojewódzkiej i z krajówki - nie miał pojęcia. Centralne Biuro Śledcze, kiedy im zgłoszono problem, przysłało różdżkarzy i jasnowidzów, ponoć najlepszych w Polsce, i co? Szajs, odjechali z kwitkiem, tylko wzruszyli ramionami, bredzili, że pole ezoteryczne Zespołu Elektrowni „Piast” zagłusza inne sygnały z zaświatów. Kłopot nie zniknął wraz z jasnowidzami, ale pozostał na głowie Jakuba Merkla.

Inspektor jeszcze raz przejrzał meldunki w każdej ze spraw. Scenariusz zawsze był podobny. Porzucony samochód, w środku dokumenty, pieniądze, telefon, bywało, że i kluczyki. Brakowało jedynie kierowcy. Ani śladu. Zaginionym zawsze okazywał się mężczyzna.

Psy za każdym razem docierały nad brzeg Gopła i tam, nieodmiennie, trop się urywał. Przeczesywano więc dno jeziora za pomocą zdalnie sterowanych urządzeń (żaden z

pletwonurków nie odważył się wejść do wody), co przynosiło liczne niespodzianki. Nie było tam jednak niczego, co mogłoby uchodzić za ludzkie ciało. Ktoś nawet wysunął hipotezę, że winne są żrące wody Gopła, że wszystko tam zniknie i rozpuści się w niebyt. Ha, może i tak.

Inspektor wrócił do raportu. Popatrzył na daty zaginięć - 26 kwietnia 2019 r., 29 października 2019 r., dalej 30 kwietnia 2020 r., 30 października 2020 r., i Artur Jeleń, 27 kwietnia 2021 r. Po raz kolejny przeczytał nazwiska zaginionych - Artur Rybacki, Artur Mieczyski, Artur Smoczyński, Artur Walon, no i ten Jeleń. Ciągłe Artur i Artur, nie mógłby zaginać ktoś inny? Cóż to, jakiś psychopata nienawidzi osób o takim imieniu? Trzeba pamiętać, jakby się syn przypadkiem urodził. Żona inspektora była w ósmym tygodniu ciąży.

Imię - oto co łączyło zaginionych. Ale cóż to oznacza? Następnego dnia koniecznie musi porozmawiać z żoną Artura Jelenia, Wiktoria, pomyślał, kończąc raport. Spojrzał na zegarek - trzecia trzydzieści. Jeszcze półtorej godzinki i z powrotem na komendę.



Kiedy Artur Jeleń zbudził się następnego dnia po uczcie, poczuł zdziwienie. Nie bolała go głowa, nie męczyło dzikie pragnienie, nie drżały mu ręce. Krótko mówiąc, nie trapił go zwyczajny po libacjach syndrom dnia poprzedniego.

Potem pojawiło się poczucie winy. Nie powinien! Wiktoria czekała w domu, odchodziła od zmysłów, być może zgłosiła już zaginięcie na policję. Była bardzo nerwowa, zdarzało się, że histeryzowała. Czasem Artur miał jej serdecznie dosyć, nawet często, ale teraz mimo wszystko zrobiło mu się głupio.

Uległ jarmarcznym sztuczkom, hochsztaplerce. Ile to razy widział pokazy magików, odwiedzał przecież Poznań. Sztuczki magiczne, w końcu to nic nowego! Plugastwo, przed którym ksiądz ostrzegał z ambony. Nie dajcie się zwieść tanim efektom, mówił proboszcz Witkowiak, nie myślcie, że raj jest na wyciągnięcie ręki. Nie tędy do gwiazd, gdzie łatwa przyjemność i pełen brzuch.

He, niby racja, pomyślał Artur, ale...

Klasnął w dłonie.

Merlin mocny pojawił się na nocnym stoliku.

Trzeba uciekać, kalkulował, siadając na łóżku, bez wątpienia trzeba. Ale jedno piwko jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Na odwagę. Dla kurażu. Chlup!

Morri, przypomniał sobie. Kim była? Może to jedna z poznańskich czarownic, zrzeszonych w Kole Czarownic Miejskich? Czytał o nich w „Twojej Wróżce” - Wiktoria kupowała tony kolorowych pism. „Twoja Wróżka” w kwietniowym numerze opisała poznańską organizację założoną w 2013 roku, która skupiała większość wiedźm, jędz, wróżek

i czarownic działających w stolicy Wielkopolski i w Warszawie - bo głównie w tych dwóch miastach rozwijał się ezoteryczny biznes. Jak głosił artykuł, wiedźmy to była elita, która zarabiała krocie i potrafiła owe krocie wydawać. To grono kobiet rządzących Polską. Kiedyś lekarze i prawnicy, politycy i psychologowie, informatycy i biznesmeni, a teraz czarownice były najlepiej opłacaną grupą zawodową. W Poznaniu aż roiło się od ich gabinetów, a największa firma - spółka zatrudniająca kilkadziesiąt czarownic, które obsługiwały klientów zagranicznych - Three Witches Corp. S.E. zajmowała biura na terenie wiszących ogrodów. Czyszczenie powierzchni biurowej kosztowało tam więcej, niż Artur zarabiał w ciągu roku.

„Twoja Wróżka” opisywała szaleństwa poznańskich czarodziejek. Miały kobiety fantazję. Zabawy do białego rana były regułą, tak jak skandale obyczajowe wstrząsające co rusz Poznaniem. Czarownice dysponowały afrodyzjakami, które często i chętnie stosowały do przelotnej rozrywki.

Pewnie też jestem taką chwilową rozrywką. Zabawką jednej z wiedźm, której odbiło od nadmiaru pieniędzy, alkoholu i seksu ze zwierzakami, pomyślał ze złością. Porwać kmiotka ze wsi, skołować, ogłupić - w taki sposób się jędze jeszcze nie zabawiały!

- O suczki, skończą się wasze sztuczki! - warknął i dopiwszy piwo, ruszył nad jezioro.

Welon mgły otaczającej wyspę był gęstszy niż poprzedniego dnia, ale o dziwo, woda cuchnęła mniej. Karoseria tkwiła w przybrzeżnym mule.

- Szlag! - zaklął Artur.

Wyciągnął paczkę papierosów, wyłuskał jednego, zapalił. Papierosy, jak piwo, zdobył za pomocą kłaśnięcia.

- Nie wskoczę w tę breję - zamruczał. - Zdechnę prędzej, niż tam wejść. A jak wejść, zdechnę i tak, do brzegu nie dopłynę, zatruję się. Cholera! Uciekać? Pewnie. Ale jak?

- Ale po co? - spytała.

Nie usłyszał, kiedy podeszła Morri. Stąpała lekko jak duch, lichy pomost nawet nie zaskrzypiał. Mglisto pamiętał, że podczas wieczornej uczty wypili brudzia.

Położyła dłonie na jego ramionach. Artur wzdrygnął się, lecz ona nie zabrała rąk.

- Do czego chciałbyś wracać, Arturze? Do tryskającej na wszystkie strony krwi prosiaków? Do krzykliwej żony, która, bądźmy szczerzy, nie jest wymarzoną? Która nie byłaby w ogóle twoją żoną, gdyby nie kilka kieliszków za dużo podczas dyskoteki? Kiedy dziecko w drodze, mężczyźnie trudno się wycofać. Ale dla twoich dzieci liczą się tylko wirtualne gry i objazdowe pokazy magiczne. Arturze, nie do tego jesteś stworzony. Ja dam ci to, o czym śnisz.

Zachnął się, odtrącił jej ręce.

- Gadanie. Nawet nie wiem, kim jesteś, zapewne jedną z tych jędz z Poznania. A ja królikiem doświadczalnym, zabawką. Bo chłop polski głupi i ciemny jest, bo nie ma pojęcia, co wy tam w Poznaniu wyczarowujecie. Jestem jak jakiś twój szczur do epkery... szlag, eksperymentów.

- Mylisz się. Eksperymenty już były. Ty jesteś ostatni. Mam bardzo mało czasu.

- A może przypaliłem trawkę z Józkiem z fabryki i szwagrem Edwinem, a ty mi się zdajesz, jesteś jak te sny, co mnie męczą, jak majaki cholerne, tfu, odejdz, zjawo! Odejdz...

- Nie tym tonem - powiedziała cicho, ale jej głos był jak grzmot, jak pomruk zbliżającej się burzy.

Artur urwał w pół zdania. Milcząc, wpatrywał się w ładną, groźną twarz. Młodszą niż dzień wcześniej? Bardziej gładką? A może to tylko złudzenie?

- Czy to ważne, kim jestem? Jak mnie nazywają? Jedno moje imię już znasz, choć, bywało, że nazywali mnie inaczej. Ale cóż mogą tobie mówić takie imiona jak Timat czy Isztar, Medea lub Domna? Nigdy zapewne nie słyszałeś określenia Magna Mater, obce ci brzmienie słowa Epona. Niech więc zostanę dla ciebie Morri. Morri i koniec. A jeśli chodzi o poznańskie wiedźmy, wiele z nich chciałoby być mną, ale żadna nie ma szans. Lecz dobrze, że są, służą mojej sprawie.

- Jakiej sprawie? - wyrwało się Arturowi.

- Jak to jakiej? Chcę odzyskać swoją własność. To, co odebrali mi czarni, to, co utraciłam, kiedy wypędził mnie krzyż. Wszystkie jeziora, wszystkie wyspy - moje! Pojmujesz?

Nie pojmował.

- A ja? Czego chcesz ode mnie?

- Same poznańskie wiedźmy nie wystarczą. Świat jest dwubiegunowy. Oprócz legionów wiedźm potrzebuję choćby jednego mężczyzny. Ogiera. Do diabła, potrzebuję króla, który poniesie płonącą włócznię, który użyźni ziemię jałowe. Czego chcesz? Drobiazg. Masz we mnie uwierzyć. Wtedy zawrzemy pakt.



Trzeciego dnia Morri pokazała mu swoją pracownię.

Pomieszczenie skryte było w podziemiach budynku, aby do niego dojść, należało pokonać długi, zatechły korytarz. Po drodze minęli szereg metalowych drzwi, ze szwabachą i swastykami. Widząc zaciekawione spojrzenie Artura, Morri rzuciła:

- Niemcy też nieźle mi się przysłużyli. Dużo wiedzieli. Kilkadziesiąt lat przed wami dotarli na Drugą Stronę Lustra, byli o krok od odkrycia wielkich tajemnic. Nie zdążyli, na wasze szczęście, bo wtedy wojna skończyłaby się inaczej. Ale schron został. Całkiem solidny.

Pracownia znajdowała się na końcu korytarza, za ciężkimi drzwiami.

Wnętrze było urządzone ascetycznie, co rozczarowało Artura. Spodziewał się czaszek, wysuszonych nietoperzy, diabelskich rysunków na ścianach, tajemniczych stworzeń zatopionych w jeszcze bardziej tajemniczych cieczach, gwieździstych zasłon, ogni, bulgotów, retort, no i - rzecz jasna - sowy. Sowa, wyobrażał sobie Artur, była elementem w gabinecie czarownicy obowiązkowym.

Życie zburzyło stereotyp.

Wszystko, co Artur zobaczył, to stół, krzesła, drewniane półki zastawione książkami. Ich grzbiety wskazywały, że pamiętają czasy budowniczych schronu. Na jednej z półek, która przysłaniała kamienną rzeźbę kobiety na tronie, postawiono misę pełną nadpsutych jabłek. Obok stał Kielich. Ten sam, z którego Morri pijała co wieczór do kolacji. Ten sam, który budził Arturowe pożądanie. Na środku stołu zaś znajdowała się wielka szklana kula. I to już wszystkie cudowności, jeśli nie liczyć czarnego, olbrzymiego kocura, który leżał owinięty wokół Kielicha. Był jeszcze rysunek, symbolizujący sowę.

Przynajmniej coś, pomyślał Artur.

Podszedł do Kielicha, chcąc zdjąć go z półki. Kot otworzył jedno oko i zamruczał.

Groźnie. Ostrzegawczo. Bardzo nieprzyjemnie.

Artur cofnął rękę, zza pleców usłyszał śmiech.

- Nie lubi obcych - powiedziała Morri.

Podeszła do kocura, pogłaskała go i wzięła Kielich w dłoń.

- Ten Kielich, Arturze, jest mój. Zapamiętaj. Dzięki niemu przetrwałam wygnanie. Nie możesz go dotknąć. Jeszcze nie!

- Niby czemu? - zapytał rozdrażniony. Kielich przyciągał, kusił, szeptał do Artura.

- Bo we mnie nie wierzysz! - odparła Morri i uniosła naczynie do ust.

Chciał zaprotestować, ale nie dała mu dojść do słowa. Nie wierzył w nią? Co za bzdura - widział Morri, mógł jej dotknąć (były chwile, gdy bardzo chciał to zrobić), jak więc mógł w nią nie wierzyć?

Kobieta wskazała szklaną kulę czerwonym paznokciem.

- Patrz! Cały czas chcesz wracać? Patrz!

Artur spojrzał.

Kula pokazała to, co najistotniejsze. Na pierwszym planie była żona Artura. Obok inspektor Merkel. Ten sam, którego Artur nienawidził szczerze i bezwzględnie, przeświadczony, że policjant usiłuje uwieść mu Wiktorię. Ten sam, który zawsze nosił głowę wysoko, bo miał skończone studia, przeczytał kilka książek i znał w stopniu podstawowym angielski. Merkel spisywał zeznania, taki był przynajmniej oficjalny powód wizyty. Wiktoria, jak domyślał się Artur, zgłosiła zaginięcie męża. Inspektor co rusz przerywał i słał Wiktorii promienne uśmiechy, prawiąc komplementy śliskie jak węże i zwodnicze jak telewizyjne reklamy. Och, w umizgach Merkel był bardzo zręczny, w chwilach gdy Artur nie mógł z siebie nic wykrztusić, policjant znajdował na poczekaniu wiele pięknie brzmiących, nie nieznaczących słów, którym wszyscy potakiwali. A Wiktoria? Zamiast raz-dwa, załatwić sprawę, zamiast wyrzucić tego fircyka, tego podstarzałego flirciarza za drzwi, przyjmowała go kawą, ciastkami, rozmawiała z uśmiechem, mrugała zalotnie, częstowała papieroskiem.

- Ciekawe, co jeszcze mu zaproponuje - szepnęła Morri.

- Wszystko - wysyczał Artur w bezsilnej wściekłości. - Mówiłaś, dam ci wszystko. Więc daj! Chcę być lepszy niż on, chcę być ważny, mówić gładko jak prezenter w telewizji, wyglądać jak aktor. Chcę mieć pieniądze i piękne kobiety, i ekstrasamochód, najlepiej BMW. Możesz to zrobić, co?

- A ty? Potrafisz we mnie uwierzyć?

- Niby że nie wierzę? Jak, kurwa tego, nie, jak tak?

- Myślisz o mnie jak o człowieku. Jak o potężnej czarownicy. To błąd. Jeśli tego nie zmienisz, jeśli nie złożysz mi hołdu, nie będę mogła ci pomóc.

- Więc kim jesteś, jak nie czarodziejką?

- Jestem Boginią.

- Dobra - wydyszał. - OK. Jesteś Boginią. No i spoko. Oddam ci każdy hołd, uwierzę, w co każesz, tylko spełnij moje życzenia.

Morri uśmiechnęła się nieznacznie. Skinęła głową.

- Na hołdy przyjdzie czas po uczcie... - zaczęła, ale urwała.

Obraz w szklanej kuli nagle się zmienił. Dom Artura zniknął, kula pokazywała teraz brzeg jeziora.

Po brzegu chodził mężczyzna.

Był wysoki i barczysty. Mimo że niebo zasnuwane było chmurami, nosił czarne okulary, chyba jako dopełnienie stroju, bo i garnitur, i koszula były w tym samym kolorze. Jedyne pod szyją błyskała plamka bieli - koloratka. Mężczyzna zachowywał się dziwnie. Co pewien czas

przystawał, pochylał się nad wodą i pociągał nosem. Przypomina posokowca, pomyślał Artur, węższy jak pies na polowaniu. Mężczyzna znów nachylił się nad wodą, zanurzył palec, oblizał go, skrzywił się z obrzydzeniem.

Morri zakłęła. Szybkim ruchem narzuciła na kulę kawałek czarnego sukna.

- To pies. Tylko pies. W takiej chwili! - rzuciła ze złością. - Czekał tu na mnie. Nie wychodź, póki nie wrócę.

To powiedziawszy, zniknęła.

Zaraz potem nad jeziorem rozszalała się burza.



Tego dnia kolacja była późno. Nawałnica przygasła dopiero popołudniem, Morri wróciła, kiedy szarzało.

Artur od razu spostrzegł zmierzwione włosy, ślady zadrapań, granatowy cień sińca na ramieniu i połamane paznokcie. Jej oczy błyszczały. Dlaczego?

Podeszli do stołu, który ugiął się od jedzenia. Był tam też litr zmrożonej luksusowej. Przez jakiś czas jedli w milczeniu, choć nie w ciszy, co nie powinno dziwić, wzięwszy pod uwagę Arturowe maniery, a raczej ich brak. Mężczyzna, widząc frykasy, nie mógł się pohamować. Jadł łapczywie, pluł kostkami, brudził palce i obrus, rozlewał napoje. Zazwyczaj wytworna i wyniosła Morri nie zwróciła mu nawet uwagi. Przeciwnie, zachęcała uśmiechami, mrugała porozumiewawczo, kokietowała każdym gestem. Odezwała się pierwsza:

- Zatem, Arturze, wciąż chcesz być bogaty, inteligentny i potężny? Chcesz mieć powodzenie u kobiet i władzę nad mężczyznami? Chcesz opływać w dostatki i luksusy, trapi cię żądza posiadania?

Pokiwał skwapliwie głową. Przełknął kęs wybornej karkówki, zapił zimną wódką i zagryzł ogórkiem, wzgardziwszy dorodnym karczochem.

- A pewnie! Pewnie.

- Więc pierwej mi zapłać - powiedziała. - Coś za coś, nie ma mientkiej gry. Chcę, byś oddał mi hołd i czczył mnie, jak dawniej mnie czczono. Tak jak powinno się czczyć Boginię wszelkich uciech cielesnych, Boginię sytości, Boginię dostatku, Boginię zaspokojenia. Przecież od dłuższego czasu wyznajecie moją religię - wy wszyscy, od rzeźnika po prezesa, od klawisza po prezydenta goniący za zyskiem. Jeszcze nie dostąpiliście oświecenia, jeszcze nie pojęli, że zamieniliście religię krzyża na wyznanie instynktu i żądy? Więc czeij mnie! Czeij mnie, jak potrafisz, mój przyszły królu!

Wstała od stołu i podeszła do Artura.

Była w bluzeczce z dużym dekoltem, krótkiej spódnicy i czarnych rajstopach. Smukłe nogi wbiła w wysokie szpilki, co dodawało jej ruchom niezwyklego powabu. Artur był gotów składać dziewczynie hołd, teraz, zaraz i to dokładnie w taki sposób, w jaki życzy sobie Morri. Jakiego żąda Bogini, poprawił się w myślach.

Niech więc mnie zhołduje, rzekł sobie, rozpinając spodnie. Czas użyźnić ziemię jałową! A żona? Żona niech sobie idzie do Merkla, on może jest i dla niej w sam raz, podpowiedział usłużnie jakiś głos. Ty nie! Już nie!

- Dziś wigilia pierwszego maja - szepnęła mu do ucha. - Wigilia Beltane. Dziś świętują strzygi i widziadła, upiory i harpie, wróżki i chochliki. Dziś bawią się elfy! Tak jak przez tysiąclecia, choć w sposób szczególny. Bo one wracają, wracają wraz ze mną. Dziś jest noc rozpalania nowych ognisk, Arturze. Ja rozpalę je w tobie!

Szybkim ruchem przyciągnął Morri do siebie. Pisnęła jak nastolatka. Kątem oka dostrzegł, że zniknęła gdzieś jadalnia, że znaleźli się w komnacie Bogini, tuż obok rozległego łóżka.

Pociągnęła Artura za sobą. Runęli w pościel.

A kiedy złożył jej wszystkie możliwe hołdy, kiedy oddał Bogini cześć od przodu, a potem od tyłu, kiedy wyczerpany lubieżnym misterium leżał spokojnie obok nagiej, piękniejącej z chwili na chwilę Morri, podała mu jabłko z misy stojącej obok łóżka. Ugryzł. Smak miało cierpki, ale przyjemny. Zaraz potem w dłoni Morri pojawił się Kielich.

- Co to jest? - spytał szeptem.

- Szukali go przez wieki. Ginęli zań najwięksi wojownicy, mędrcy tracili dlań głowy. Dzięki niemu przeżyłam.

Dotknęła karminowymi ustami brzegu pucharu, upiła łyk.

- Ukradłam im go - zachichotała. - Chcesz?

6

Piąte spotkanie integracyjne Koła Czarownic Miejskich zorganizowano poza Poznaniem. Cztery poprzednie imprezy odbyły się w stolicy Wielkopolski w dniach: 26 kwietnia - 1 maja 2019 r., 27 października - 1 listopada 2019 r., 28 kwietnia - 2 maja 2020 r. oraz 28 października - 1 listopada 2020 r. Tym razem czarownice postanowiły urządzać zjazd z dala od zgiełku ezoterycznej metropolii, w małej wielkopolskiej wsi Smielów, która była położona w pradolinie Warty. Oddalona od Poznania o kilkadziesiąt kilometrów słyneła z tego, że gościła Adama Mickiewicza, gdy starał się dostać na teren walk Powstania Listopadowego. W

świetnie zachowanym dworku, w którym swego czasu pomieszkiwał wieszcz, powstało jego muzeum. Poza tym nie było w Smielowie wiele ciekawego.

Jeden rzut uważnego oka na mapę okolicy wyjaśniał wybór czarownic. Oto bowiem gdyby ktoś dotarł do sąsiedniego Brzostkowa, wspiął się na polodowcową wysoczyznę, doszedłby do najwyższego wzniesienia okolicy, które wraz z przyległościami kilka lat wcześniej zostało wykupione przez Koło Czarownic Miejskich.

Wzniesienie zwało się Łysa Góra.

To właśnie tam odbędzie się część nieoficjalna, zamknięta dla prasy i dla publiczności. Zajęcia teoretyczne, jeśli żurnaliści chcą (a chcieli), ależ nie ma sprawy! Niech sporządzają notki z wykładu „Mickiewicz polskim prekursorem Ery Wodnika - na przykładzie *Dziadów*, ballady *Lilie* i innych dzieł”. Niech w świat pójda wyimki z burzliwej dyskusji podczas panelu „Byty ezoteryczne u Słowackiego”. Niech bulwarówki znów zamieszczą pikantne zdjęcia Yarugi Dębskiej-Niedziela, przewodniczącej koła i współwłaścicielki Three Witches Corp S.E. Może któraś z gazet opíše wizytę wiedźm pod wiekowymi dębami, rosnącymi na łąkach za Śmielowem? Proszę bardzo! Ale wstęp na część nieoficjalną, na bankiet na Łysej Górze? Co to, to nie! Żadna gazeta, żadna stacja radiowa czy telewizyjna, żaden serwis internetowy - nikt nie otrzymał akredytacji. A dostać się na teren Łysej Góry własnym sumptem nie sposób. Wysoki płot ogradzał kilka hektarów terenu. Czarownice wynajęły agencję ochroniarską. Przez kordon uzbrojonych po zęby osiłków, wspomaganych przez psy tropiące, nawet mysz nie mogłaby się precyzyjnie, cóż dopiero dziennikarze.

Zmierzchało, gdy 30 kwietnia 2021 roku na Łysej Górze zapłonęło ognisko. Słup ognia strzelił wysoko w niebo. Wiedźmy zbiły się w krąg dookoła płomienia.

Yaruga Dębska-Niedziela podniosła ręce. Przekrzykując trzask płonących drewn, zaintonowała *Świteziankę*. Jej twarz gorzała, z oczu sypały się skry. Głos drżał z przejęcia. Pozostałe wiedźmy powtarzały za Dębską:

*(...) Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędny strzela oczyma;
Wtem wiatr zaszumił po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska! (...)*

Yaruga odurzona naparem z ziół, zbieranych wczesnym rankiem przy ruchliwej autostradzie, wpadła w trans i uniosła się nad ognisko.

- To wielka noc! - krzyczała, a wicher niósł jej okrzyk w pobliskie lasy. - Noc Beltane! Nasza Pani, nasza Królowa przemawia przeze mnie. Nadchodzi nasz czas! Czas zmian. Czas powrotu starego porządku! Boginiiii!!!

Skry buchały snopami, polana trzaskała. Wiedźmy dawały się porwać zbiorowemu szaleństwu, popijając przyrządzony przez Yarugę napar, który znajdował się w wielkim kotle przy ognisku.

- Znalazła, znalazła, znalazła... - powtarzała Dębska. - Nastanie król, król tego świata. On przywróci Pani dawne miejsce. Już, już dokonano się. Przejście otworzono. Starsze plemiona czekają na znak. Czekają na zaproszenie. Czekajcie, jeszcze, czekajcie, zaprosi was król, król, który oddał cześć Bogini! Ten król nie zegnje karku przed synem starca! Gopłooo!

- Magna Mater! Mater! Mater! - krzyczały czarownice, tańcząc przy dźwiękach muzyki dawnej, która płynęła z supernowoczesnych głośników.

Pogrążone w ekstatycznych płasach, nie usłyszały nagłego ujadania. Ogrodzenie było daleko od ogniska, a hałas trwał tylko chwilę. Dwa olbrzymie owczarki niemieckie, dopiero co gotowe do skoku, teraz kładły uszy i lizaly rękę barczystego mężczyzny, kryjącego się w mroku.

Nie był to ochroniarz.

- Cicho, cicho, bracia - szeptał, gładząc kudłate bestie po pyskach. Jego oczy lśniły czerwonym blaskiem. - Nie zwróciły na mnie uwagi - mruknął. - Dobrze. Na mnie pora, muszę wracać do Gniezna. Do zobaczenia, bracia.

Psy zaskomlały żałośnie, gdy odchodził.

7

Siedzieli w trójkę w gabinecie arcybiskupa gnieźnieńskiego Jacka Głucha - arcybiskup, generał Wdowiak i Wielki Mistrz.

Wdowiak zamknął tekturową teczkę, dostarczoną przez Komendę Powiatową w Kruszwicy.

- Wyślijcie kogoś, żeby porozmawiał z tym całym Merkle - krzyczał, tak by usłyszał go któryś z warujących za drzwiami podwładnych.

Wielki Mistrz podsunął generałowi kolejny plik papierów. Okładkę zdobił czerwony równoramienny krzyż na białym tle. W prawym dolnym rogu widniała pieczęć przysięgłego egzorcyisty - znak, że w raporcie znajdują się poważne analizy, nie bajania i plotki gminu.

- Ekspertyza przygotowana przez Centrum do spraw New Age przy Kurii Gnieźnieńskiej. Z drobnym współudziałem naszego zakonu.

- Drobnym, drobnym - arcybiskup Jacek Głuch pokręcił głową. - Grzeszysz nadmiarem skromności, mistrzu Hugonie. To przecież brat Tomasz był w Smielowie, to on zawędrował nad Gopło. To jego meldunek ostatecznie potwierdził tezy zawarte w raporcie.

- Właśnie - podchwycił generał, wążąc w dłoni bindowany wydruk. - Analiza liczy kilkaset stron. Chyba nie mamy czasu na ich czytanie.

Arcybiskup westchnął ciężko.

- Istotnie. Nie wiem, czy w ogóle nie jest już zbyt późno. Do wczorajszego wieczora nie podejrzewałem, że sprawy zaszły tak daleko.

Przez moment zapanowała grobowa cisza. Przez okna widać było masywne wieże gnieźnieńskiej katedry w szarzyźnie poranka.

- Nie tylko my próbujemy przedostać się na Drugą Stronę Lustra - podjął hierarcha. - Transfer może być obustronny. Czy znamy wszystkich mieszkańców zaświatów? Czy znamy ich zamiary i możliwości? Nie, nasza wiedza to ułamek, promil tylko. Dlatego nie możemy przewidzieć, kto i po co zechce zajrzeć do naszego świata. Trudno też zlokalizować przejścia. Wie pan doskonale, generale, dlaczego każda rzecz, nim trafi na nasz, nazwijmy to, rynek, musi zostać wyegzorcyzmowana i wyświęcona. Każdy przedmiot musi otrzymać swego rodzaju imprimatur właśnie po to, byśmy sami przez przypadek nie wnieśli do naszej rzeczywistości tego, co chce tu wtargnąć siłą. A wtargnąć zamierzają różne monstra, rozmaite byty magiczne. Nierzadko takie, o których chcielibyśmy zapomnieć. Często te, które Kościół mocą swego Pana stąd wyrzucił, by nie szkodziły ludziom. Takie duchy są najbardziej zajadłe, najmocniej zdeterminowane, by powrócić. I zemścić się na spadkobiercach Piotra. Wdowiak spojrział z zaciekawieniem na arcybiskupa.

- Wasza wielbność, jaśniej, proszę.

- Nie zwrócił pan, generale, uwagi na popularność ruchu wiedźm i czarownic? Już w drugiej połowie ubiegłego wieku zaczęto mówić o Erze Wodnika, o nadejściu Nowej Epoki, czy jak chcieli inni Nowej Ery, z angielska New Age. Początkowo ruch przybierał groteskowe kształty jak osławiona quasi-religia wicca. Kościół uznał zagrożenie za niepoważne - jak argumentować, gdy wszystko oparto na irracjonalnych podstawach? Żadna dysputa nie jest możliwa. Podjęcie rękawicy de facto podnosiłoby rangę adwersarza. Kościół tego zrobić nie zamierzał, ufny, że ideologia oparta na steku bzdur i niespójnych założeniach wypali się lub załamie, gdy zabraknie charyzmatycznej liderki. Niestety, świat zwracał oczy w inną stronę.

My mówiliśmy językiem rozumu, świat już wówczas posługiwał się mową uczuć i płytkich doznań.

Arcybiskup przerwał, popatrzył na katedrę, oświetlaną pierwszymi nieśmiałyymi promieniami słońca.

- Okazało się, że w dobie środków masowego przekazu nieważne, co kto mówi, ważne, jak głośno. A zwolenniczki Bogini były głośne, ba, krzykliwe! Wizyty u wrózek stały się popularne, nim rozpoczął się boom ezoteryczny, pamięta pan? Pierwsze nowożytnie czarownice pojawiły się już w XX wieku. Wraz ze spadkiem poziomu wykształcenia łatwe myślenie, myślenie magiczne stało się jakąś upiorną normą. To Kościół znalazł się w trudnym położeniu, argumentując bowiem w sposób logiczny i skomplikowany, nie potrafił dotrzeć do mas. A te zostały zagarnięte szerokim, zachłannym ramieniem przez czarownice. One dawały proste odpowiedzi.

Głuch, przyzwyczajony do wygłaszania kazań, znów zrobił pauzę, odczekał, dając słuchaczom czas do namysłu, i kontynuował:

- Od czasu gdy otworzyły się pierwsze rabbit hole, ruch zyskał nowy impet, zaczął organizować się, formować struktury, obrastać we wpływy i pieniądze, tworzyć ośrodki ideologiczne. Z każdego takiego ośrodka płynął zaś jeden komunikat, jedno żądanie - niech powróci czas Bogini, niech znów nastanie pogaństwo, niech Jezus Chrystus wynosi się z tego świata, a Stolica Piotrowa odejdzie w niebyt. Wtedy Kościół zareagował po raz pierwszy.

- Pamiętam - przytaknął Wdowiak. - Seria głośnych procesów o zniesławienie. Odwołania do Konstytucji i Traktatu Konstytucyjnego Wspólnoty Europejskiej. Powoływanie się na zapis o równości religii... Organizacje czarownic zapłaciły gigantyczne odszkodowania.

- Prawda - przyznał arcybiskup. - To zahamowało rozwój ich ruchu. Zmienił się też charakter ataków, postronnemu obserwatorowi działania więdźm mogłyby się odtąd wydać umiarkowane i wyważone. Ale cele pozostały te same: przejąć rząd dusz, przywrócić staroceltycki kult Bogini, rzucić Watykan na kolana. Do niedawna jednak wszystkie te harce wydawały się władzom Kościoła niegroźne. Nie spodziewaliśmy się, że więdźmy mogą doprowadzić do faktycznego powrotu Bogini.

- To nie jest wymysł? Bajka? Mit? Kur... wasza wielbność chyba nie chce powiedzieć, że ona istnieje naprawdę?

Arcybiskup gnieźnieński zaśmiał się.

- A co pan myślał, generale? Że mity wzięły się znikąd? Że, jak powtarzają etnologowie, wszelkie kultury powstały z niczego, że człowiek sam je sobie stworzył? Nie, etnologowie przeceniają zdolności człowiecze. Bogini istnieje, rzecz jasna. Czczono ją pod różnymi

postaciami i imionami, w wielu miejscach, w różnych czasach. Demon, bo jest niczym innym jak demonem, zdołał opętać całe cywilizacje, całe kultury. Trzeba było świętego Patryka, by ją wypędzić z naszej rzeczywistości. Myśleliśmy, że nieodwołalnie. Jednak wydarzenia ostatnich lat przeczą temu, jakże wygodnemu dla Kościoła, przekonaniu.

- Ona wraca - odezwał się grobowym głosem Wielki Mistrz. - Lada chwila uderzy w skałę Chrystusa.

- Tak, właśnie tak. Panie generale, wyjaśnienie ostatnich wypadków jest jedno. Bogini usiłuje wdrzeć się do naszego świata. Proszę tylko spojrzeć na daty przecieków - zawsze bezpośrednio przed jednym z dwóch najważniejszych świąt celtyckich - Beltane lub Samhain. Proszę porównać to sobie z terminami nowożytnych sabatów, czyli Spotkań Integracyjnych Koła Czarownic Miejskich. Proszę popatrzeć na opary wiszące nad Gopłem. Ona zawsze kryła się pośród mgieł!

Generał wodził wzrokiem od okna do leżących przed nim papierów.

- Jedno mnie zastanawia - powiedział po chwili namysłu arcybiskup. - Dlaczego Gopło? Skąd ona tutaj?

Dlaczego nie Wyspy Brytyjskie, gdzie jej kult trwał najdłużej, gdzie był najsilniejszy, gdzie religia Chrystusa słabnie? Nie rozumiem...

- Jest zdarzenie, o którym panowie zapewne nie wiecie - powiedział głucho Wdowiak. - O którym wiedzieć nie mieliście prawa. To było w kwietniu, w 2019 roku. Konkretnie, 25 kwietnia. Jeśli się nie mylę, to też jest blisko któregoś ze świąt staroceltyckich. Zdaje się, że Beltane, prawda?

Wstał, podszedł do interaktywnego ekranu zawieszzonego na jednej ze ścian gabinetu. Ekran przedstawiał mapę Polski. Wdowiak dotknął dłonią niewielkiej niebieskiej plamki, która natychmiast rozrosła się, wypełniając większą część ekranu. Gopło.

- Proszę spojrzeć - wskazał na prostokątne kształty na brzegu jeziora. - Oto energetyczne serce Polski i Europy, Zespół Elektrowni „Piast”. Tutaj mamy największy reaktor „Chrobry”, obok stoi najstarsza część kombinatu, elektrownia „Ziemowit”, dalej „Ziemomysł” i „Dobrawa”. A ten prostokąt, który wciną się w jezioro, to najbardziej efektywny z reaktorów, energoblok „Popiel” wybudowany w 2016 roku. Przeklęty „Popiel”, który eksplodował o godzinie 13.32, 25 kwietnia 2019 roku.

Arcybiskup patrzył na wojskowego. Z oczu hierarchy zniknęła jowialność, twarz stężała.

- Chce pan powiedzieć, generale, że nie poinformowaliście ludności cywilnej? Że nie zarządziliście ewakuacji? Przecież dookoła aż roi się od siedzib ludzkich! Bandyci!

- Chcieliśmy uniknąć paniki - wybąkał Wdowiak. - Poza tym, według ekspertyz, opad magioaktywny był nieszkodliwy, a promieniowanie ezoteryczne słabe. Na Boga, liczniki Sapkowskiego pokazywały, że silniej promieniują wiszące ogrody w Poznaniu. Dla ludności cywilnej nie widzieliśmy żadnego zagrożenia. Ostatecznie, kilka koszmarnych snów czy nagły, acz krótkotrwały, dar jasnowidzenia lub wieszczenia w obcych językach jeszcze nikomu nie zaszkodziły. Zresztą nie minął tydzień i promieniowanie ustało, zniknęły też wszelkie anomalie. Skończyło się na kilkunastu ofiarach śmiertelnych wśród personelu elektrowni. Wszyscy zginęli podczas wybuchu. Biorąc pod uwagę, że magioelektrownie „Piast” zaopatrują w energię nie tylko Polskę, ale i pół Europy, pan prezydent zdecydował o utajnieniu zajścia.

- Wspomniał pan, że niektóre osoby wieszczły. Co to było?

- Ach, paplały bez ładu i składu. - Generał machnął ręką. - Jedyne, co się udało ustalić, to język, jakim się posługiwały. Staroceltycki.

Arcybiskup zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem - mruknął. - Staroceltycki? To nie miało prawa przedostać się przez komory legalizacyjne. Egzorcyści są wyczuleni na wszystko, co ma jakikolwiek związek z Boginią... Ciekawe, kto wydał zezwolenie na przemysłowe wykorzystanie materiału, oni coraz mniej przykładają się do pracy.

Wdowiak spuścił głowę.

- Zapewniono nas, że materia jest szczególnie wydajna - rzekł pod nosem.

- Generale! - Arcybiskup podniósł głos, twarz mu spurpurowiała, palce zakręciły nerwowego młynka. -

Nie chce pan chyba powiedzieć, że materiał magio-aktywny przekroczył granicę światów bez...

Generał Wdowiak utkwiał wzrok w oknie, spoglądając tępo na katedrę skąpaną w porannym słońcu.

8

Artur obudził się w swojej komnacie. Po nocy spędzonej z Morri pozostało mgliste, choć przyjemne wspomnienie. I wyrzuty. Nie powinien! Przysięgał przed ołtarzem.

Zaraz się zmitygował. Przed jakim ołtarzem? Czy wierzę jeszcze w Boga? Przecież wczoraj wyznawałem Morri. Wyznawałem Boginię. Jej religia bardziej mi odpowiada. Lepiej pasuje do naszych czasów.

Przypomnił sobie, jak w nocy Morri, rozpiąwszy koszulę, zerwała drewniany krzyżyk z jego piersi. Nie zaprotestował.

Ale gdzie ona jest, gdzie Morri, gdzie Bogini?

Obszedł całą wyspę w poszukiwaniu swego nowego bóstwa. Tęsknił do niej, pragnął jej dotknąć, zobaczyć ją, powąchać.

- Morri? Mooorriiii! Booogiiiiii!

Nie odpowiedziała. Artur spojrzał w gęstą dymno-mgłę otaczającą wyspę. Tego dnia wyglądała wyjątkowo paskudnie.

Szybkim krokiem poszedł w stronę jej pracowni.



Artur Jeleń ponownie spojrzał na granatowe chmury. Nie była to najlepsza pora na ucieczkę, wiatr daj coraz mocniej. Nie miał wyjścia - po tym, co zobaczył w komnacie skrytej za pracownią Morri, bał się zostać.

Przed tobą było wielu, przed tobą były eksperymenty, mówiła. Ty jesteś ostatni!

Czy skończę tak jak pozostałe eksperymenty? Nie miał zamiaru przekonać się o tym na własnej skórze.

Zszedł do pracowni, szukając Morri. Bogini nie znalazł. W pokoju był jednak kot i - obok misy z jabłkami - Kielich, przybrudzony czarnymi zaciekami. Kot tym razem nie prychnął, kiedy Artur wyciągnął rękę po złote naczynie i zajrzał do środka.

Dno Kielicha zakrywała czarna ciecz, gęsta jak smoła. Skrzywił się. Morri to pije? Niemożliwe! To jakaś trucizna, czy jak? Upił łyk, płyn był cierpki.

Zniechęcony odstawił Kielich na półkę. Dręczyło go pytanie, czy poprzedniej nocy sam zanurzył w nim wargi. Nie, na pewno nie, pamiętałby. Chociaż, skąd ten gorzki posmak, którego nie mógł się pozbyć, mimo że upłynęło już sporo czasu od przebudzenia?

Wtedy zobaczył drzwi w ścianie.

Nie było ich dzień wcześniej, mógłby przysiąc, przysiąc na Boginię! Może Morri tam jest, może...?

Wszedł energicznie, jeszcze energiczniej wszedł.

Szkielety, kilka upiornych szkieletów, upchniętych na niewielkiej przestrzeni. Od razu zorientował się, w czym rzecz, był przecież rzeźnikiem, znał trzask łamanych kości. Choć, przyznał w myślach, pierwszy raz zdarza się, by łamał zebra butami. Czaszki szczyrzyły się przerażająco w świetle lamp. Nim wybiegł, spostrzegł, że na szyi każdego z kościotrupów wisiał krzyżyk.

Blady zatrzasnął za sobą drzwi. Nie, to nie mogła być prawda, to sprawka hitlerowców, nie jej, nie Morri. Jego nowe bóstwo nie mogło być zdolne do podobnego bestialstwa.

A może, zreflektował się, może oni nie chcieli złożyć jej hołdu?

Dyszząc ciężko, plecami oparty o drzwi mimochodem spojrzął w szklaną kulę.

Obraz był trochę zamglony, ale starczyło, by Artur Jeleń rozpoznał brzeg jeziora. Było tam pełno wojska. Żołnierze uzbrojeni w miecze, tarcze, topory, łuki i krzyże. Kilku nosiło na plecach dziwne zbiorniki, z których wyprowadzono gumową rurę rozszerzającą się u wylotu. Wyglądają jak opryskiwacze, pomyślał Artur. Klasnął w dłonie, dzięki czemu uzyskał powiększenie obrazu. WODA ŚWIĘCONA, odczytał małe literki na zbiorniku.

- Szukują się na nią. Na Morri - szepnął. - Jej szukają. O mnie nie wiedzą, ale jeśli mnie tutaj spotkają, zabiją jak psa.

Nie myśląc wiele, pognął na pomost.

- Przetestujemy moc Bogini! - krzyknął, stając na końcu chybotałej konstrukcji. Zaklaskał.

Łódź-karoseria zatopiona przy pomoście uniosła się na powierzchnię wody. Artur zaśmiał się triumfalnie i wskoczył na pokład. Znow uderzył w dłonie. Pomiedzy mgłami pojawił się wąski korytarz, w który wpłynęła łódź.

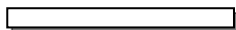
Zostawiał wyspę, ale dar Bogini zabierał z sobą. Odpływając, usłyszał jej śmiech.

9

Cienie, dziesiątki cieni pośród gryzących oparów - tego ranka „Piast” wyjątkowo dawał się we znaki, dymiąc wszystkimi kominami. Ciężki dym wisiał nad jeziorem, widoczność była znikoma, jakże prowadzić szturm, gdzie znaleźć przeciwnika? Czyste szaleństwo. Ale też przewodnikiem miał być nie kto inny jak Kapelusznik.

Umilkł odgłos wojskowych ciężarówek, umilkły krzyki i modły, żołnierze wsiadali do łodzi, z lękiem spoglądając na brzeg. Tam we mgle, kilkadziesiąt kroków dalej, w naszpikowanych elektroniką ambulansach ludzie Kapelusznika zapadali w sen, w letarg. Niektórzy z żołnierzy wiedzieli, co to oznacza, niektórzy brali już udział w akcjach Królikarni. W ambulansach spali saperzy zaświatów, współcześni Charonowie, którzy poprowadzą wojsko przez dym i mgłę. Którzy poprowadzą wojsko do celu.

Chłodna nora wyciągnęła po żołnierzy swe bezdenne ramię.



Niebo nad wyspą było czarne.

Błyskawice jedna za drugą przecinały mrok. W ich świetle ukazywały się żołnierzom zeschnięte kikuty dębów, dziwny walec wieży, pocerniałe budynki i ułożony ze śmieci krąg imitujący Stonehenge. Wicher zawył dziko i uderzył w skupisko łodzi, odpychając je od wyspy. Pośród grzmotów burzy, mimo wycia wiatru, na przekór ulewie, która zadudniła o pokłady i szumem zalała jezioro, usłyszeli cichy jadowity szept:

- Nie przejdziecie! Precz, chrześcijańskie psy, precz, sługi starca! Nie przejdziecie. Jego czas się kończy!

Upiorny jazgot zadzwonił w uszach. A potem nastąpiła cisza.

Kapelusznik otworzył kolejne rabbit hole.



Pistolet jeszcze parzy, palec odruchowo chce nacisnąć spust, lufa wciąż błądzi, szukając celu, serce wciąż łomocze - odzywają się zwierzęce instynkty, choć umysł wie, że to koniec. Że już po wszystkim. Na zimnej posadzce kałuża krwi, a pośród tej czerwonej aureoli głowa kobiety. Głowa demona.

- Gratuluję, Słaby - mówi do żołnierza generał Wdowiak, przechadzając się po pracowni.
- Kto by pomyślał, niespełna rok, jak jesteś w Królikarni, a robi się z ciebie jeden z najskuteczniejszych agentów.

Słaby milczy, oddychając ciężko. Pochwały do niego nie docierają, nie słyszy modlitw zakonników egzorcyzmujących wyspę i zamykających wrota światów, przez które przedostała się Morrigan. Nie widzi swoich kolegów wynoszących szklaną kulę, ołtarz, stół i uśpionego czarnego kota. W uszach Słabego wciąż brzmi upiorny okrzyk, od którego, gdyby nie był łysy, posiwiłby w jednej chwili. Wciąż dźwięczą rzucane pod jego adresem klątwy. Wciąż widzi przepiękny, złoty Kielich w ręku demona. I jego brzeg z czarnymi zaciekami.

Czy srebrne kule, które rozerwały skroń Bogini, na pewno załatwiły sprawę?

- Kielich - stwierdził ponuro Wielki Mistrz, przetrząsając pracownię. - Brak Kielicha.

Tak, Kielich. Widzieli go wszyscy, przez moment zdało się, że przeważą on szalę, że Morrigan dzięki niemu zwycięży. Żołnierze jeden po drugim przystawali jak zahipnotyzowani, natarcie traciło impet, nawet zakonnicy w zdumieniu wpatrywali się w złote naczynie. Niewielu wszak miało okazję zobaczyć Graala.

Tak, to bez wątplenia był Graal, myśli Wielki Mistrz. Ten sam, którego szukano przez wieki, którego odnalazł Galahad. Ale dlaczego więził wzrok, dlaczego mamił zmysły, mieszał myśli, w serca żołnierzy sączył jad wątplenia? Dlaczego z Graala płynęła trucizna?

- Tylko ty, Słaby, tylko ty... - zakonnik przygląda się rozdygotanemu żołnierzowi Królikarni - nie dałeś się zwieść. Ciekawe, dlaczego. Nie wyglądasz na Galahada. Ale celny strzał. Brawo. Załatwiłeś ją.

- Ciało nic nie znaczy... - Brat Tomasz podchodzi wolnym krokiem do Wielkiego Mistrza.
- Ona umknęła. Z Graalem.

- Nic nie znaczy? - Wdowiak prycha oburzony. - Zlikwidowaliśmy największy przeciek magii od początków istnienia Królikarni. Zastopowaliśmy demona, którego tak obawiał się Kościół. Oprócz tego zbiory przedmiotów magicznych są więcej niż niezłe, Rzeczpospolita dobrze wyjdzie na naszej akcji. Wygraliśmy!

- Czyżby? - Wielki Mistrz odwraca się od generała, idzie do dębowego kredensu, na którym stoi misa nadpsutych jabłek. Sięga ręką po owoc, leżący na szczycie jabłkowej piramidy.

Jabłko zostało nadgryzione.

Zakonnik zbliża się szybko do ciała Bogini, wprawnym ruchem rozchyła jej wargi, porównuje ułożenie białych, równych zębów z nieregularnym śladem wygryzionym w jabłku.

- Wygraliśmy? - warczy wściekle. - Wygraliśmy?

Słaby przypomina sobie klątwy i złorzeczenia, jakie demon wykrzykiwał tuż przed śmiercią. Śmiercią? Czy demony umierają? Czy można je unicestwić tak normalnie, po ludzku, strzelając im w głowę? Czy ona rzeczywiście wróci? Czy są kolejne warstwy mgieł i dymów, w które nawet Kapelusznik nie potrafi nas poprowadzić? Jeszcze głębiej i jeszcze... Jak daleko?

10

Artur Jeleń zbudził się w przybrzeżnych szuwarach. Od jeziora wiał rzeński wiaterek, i nawet niespecjalnie śmierdziało. Artur wstał, rozejrzył się. Stara karoseria leżała nieopodal, pogrążona w mule. Mniejsza z tym, już nie będzie potrzebna. Przez dobry kwadrans przypatrywał się brzegowi. To spoglądał na pobliską ścianę drzew, to znów odwracał głowę w stronę Gopła. Miał w pamięci szkielety trzaskające pod jego stopami. Ci, których ujrzał w szklanej kuli, też nie wyglądali przyjaźnie. Zatem wyjść na brzeg? A może nie? Ale nie będzie przecież tak stał całą wieczność. Był wolny! Mógł wracać do domu.

Do domu?

Szybko przebrnął przez krzaki, przemknął przez las i stanął na skraju parkingu przy autostradzie. Musi być bardzo wcześnie, pomyślał. Istotnie, plac świecił pustkami, prócz Artura nie było tam żywego ducha.

Nagle oślepił go błysk, karoseria czarnego lexusa x-calibur zaślniła w słońcu. W tym samym momencie Artur spostrzegł, że zniknęły gdzieś jego stare łąchy. Miał na sobie pierwszorzędny, elegancki garnitur. W kieszeni marynarki wyczuł kluczyki. Zdecydowanym krokiem podszedł do samochodu zaparkowanego za przysadzistymi tujami.

Spełniła obietnicę, pomyślał, rozpierając się w skórzanym fotelu, za kierownicą. To jest dopiero bóstwo!

Już chciał uruchomić silnik, gdy w lusterku zauważył jakiś blask pod tylnym siedzeniem. Sięgnął za siebie, palce trafiły na chłodny metal. Znajomy w dotyku.

Złoty Kielich zaślnił w dłoni Artura. Mężczyzna zaśmiał się i przechylił naczynie do ust. Pił długo, nie mogąc się oderwać od brzegu pucharu. Cierpki, gorzki smak, a jednak jakże wspaniały! Nie rozumiał, jak jeszcze dzień wcześniej, zaglądając do Kielicha, wstrząsał się z obrzydzeniem. Niby dlaczego miałyby się przejmować dziwnymi, czarnymi zaciekami na ściankach? Puchar był piękny, a napój upajający. Chciał pić, nie wyobrażał sobie, że można przestać.

Musiał.

Do domu? Phi, byłby głupcem! Żona, ta gderliwa zdzira, niechże sobie sama radzi. Niechże skoczy w ramiona Merkla, tego prowincjonalnego Lancelota! Nie, Wiktoria i bachory to już przeszłość.

Przyszłość, o jakiej marzył, była na wyciągnięcie ręki.

TYLE CO NIC

ŚMIERĆ

...aarczma...

Ta ...czma!

...ym

...e ...azywa...

Słowa jakoby przez mur jaki.

Ćma.

Kto ja?

Hnet ognie buchają, a ja, ja samojeden pośród nich. Ognie w ciemnicy, w lochu krętym.

Aaa, no tak. Czarty.

Tfu, zum Teufel. K'mnie idą. Gromadą.

Arcybies pergamin pokazuje, czarną pieczęcią oznaczon. Jest i mój znak tam, moje godło, mój lak. Rzy arcybies jak koń. Hnet kolejne płomienie buchają, o dwa kroki ode mnie, o krok...

Szeol.

Gorze! Gorze!

Ognie i gorąc barzo wielgi...

Kostucha. Smert.

1

Pokój konferencyjny był zadbane i czysty, czego, niestety, nie można było powiedzieć o tych, którzy owo wychuchane wnętrze zajmowali. Twarz generała Wdowiaka pokrywał kilkudniowy zarost, łatwo można było wychwycić zagniecenia na schludnych zazwyczaj spodniach. Koszula w tym zestawieniu wyglądała jeszcze gorzej - wymięta, tak jak gdyby została dopiero co wyciągnięta z pralki. Niestety, ostry zapach potu wskazywał, że nie widziała ona pralki od dawna. Nie wdając się w dalsze, niezbyt smaczne szczegóły, trzeba

powiedzieć, że generał Wdowiak, najważniejsza osoba w Wojsku Polskim, wyglądał jak po kilkudniowej, ostrej libacji.

Niestety nie, pomyślał Wdowiak, spoglądając krytycznie na swoje odbicie, które zobaczył w szklance z wodą. Niestety, nie było żadnej libacji. Ani nawet drinka. Ba, piwa chociaż. Tylko kawa - on i jego współpracownicy wypijali w ostatnich dniach całe czarne oceany. Jedynie dzięki kawie jakoś trzymam się na nogach, pomyślał. Ale jak długo tak można?

Na szczęście coroczna sesja planistyczna Królikarni dobiegała końca.

Generał mimochodem spojrział na siedzących przy stole. Z mściwą satysfakcją zauważył, że sam, w porównaniu z innymi, nie wyglądał źle. O, specjalista od zasobów osobowych był znacznie bardziej wymęczony. Albo pułkownik Chmielą, zajmujący się uzbrojeniem pochodzącym z Drugiej Strony Lustra. A już Kapelusznik, jedna z najważniejszych person Królikarni, odpowiedzialny za utrzymanie łączności z Drugą Stroną, prezentował się wyjątkowo niechlujnie. Gęsta dwutygodniowa szczecina, rozchełstana czarna koszula, wzorzysta apaszka zwisająca beładnie gdzieś w okolicach szyi, prześwitujący spod apaszki owłosiony tors... No i nieodłączny czarny kapelusz z niewielkim rondem. Wdowiak był człowiekiem starej daty i pamiętał jeszcze słynnego niegdyś Piotra Skrzyneckiego - duszę krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

Kapelusznik wyglądał identycznie. Kropka w kropkę. W dodatku wciąż zalatywało od niego whisky Chivas Regal i kubańskimi cygarami. Tylko przedstawiciel Gniezna trzyma się świetnie, zauważył generał. Oczy żywe, wcale niezmeżone, twarz blada, ale nie tak blada jak moja czy nawet twarze młodszych ode mnie adiutantów, umysł jasny, uwagi celne. Skąd też kuria bierze takich ludzi?

Wdowiak zabębnił palcami o blat stołu, zerknął na leżącą przed nim listę i zmarszczył brwi. Do omówienia został jeszcze jeden punkt. Nieprzyjemny. Ciekawe, czy Gniezno będzie robić problemy?

- Panowie - spojrział groźnie na podwładnych. Kadrowiec i Kapelusznik drgnęli. Wiedzieli, że generał mówił do nich.

- Macie przed sobą statystyki sporządzone przez Departament Studiów Strategicznych. To są dane z kilku lat, można to sobie wszystko przeliczyć i wyciągnąć wnioski. Lecz uprzedzę fakty: dotychczasowa polityka transferowa Królikarni w odniesieniu do tych, którzy sprowadzani są przez rabbithole na Ziemię, nie sprawdziła się. Tyle - mówiąc delikatnie. Mówiąc nieco mniej oględnie - naszą politykę transferową można sobie wsadzić...

Generał odczekał chwilę, by sprawdzić, czy jego słowa wywrą na słuchaczach odpowiedni efekt. Wywarły. Kadrowiec zrobił się jeszcze bardziej błądy, upodabniając się tym samym do kartki, na której pisał. Kapelusznik przeciwnie, poczerwieniał na twarzy i dyszał ciężko, ocierając co chwila pot z czoła.

- Zastanówmy się, jaki był pożytek dla Rzeczypospolitej ze sprowadzenia choćby elfów - podjął generał. - Może i one mają jakieś tam umiejętności, może i mają potencjał, ale na razie żaden nie puścił pary z gęby. Snują się smętnie po ośrodkach adaptacyjnych, notabene finansowanych z budżetu, śpiewają rzewne pieśni, podrywają pielęgniarki i zażywają narkotyki. Swoją drogą, ciekaw jestem, skąd mają pieniądze na używki - pielęgniarki im kupują? W dodatku nie spotkałem jeszcze bardziej nielojalnych istot - czy one znają w ogóle pojęcie państwa, narodu?

Kapelusznik zaprzeczył szybkim ruchem głowy.

- No właśnie - podchwycił Wdowiak. - Orki to co innego, wiedzą dobrze, co to posłuszeństwo. Niestety, za grosz rozumu ani krzty inteligencji, zero kreatywności. Ha, gdybyśmy mieli czasy drugiej wojny światowej, może i by się nadały do kopania okopów albo do rozpoznawania pola minowego. Teraz jednak, kiedy podstawową bronią jest informacja, całe gromady orków są całkowicie nieprzydatne. W dodatku nie znają żadnych czarów! Można używać ich tylko jako ochroniarzy. Ale, mam wrażenie, lepiej na tych stanowiskach sprawdzają się emeryci.

Kadrowiec skulił się na swoim krześle. Orki to był jego pomysł.

- Olbrzym rozwalił dwa mosty na Warcie, zanim go spacyfikowaliśmy - wyliczał Wdowiak. - Wilkołaki dokonały całej serii gwałtów, do tej pory płacimy odszkodowania ofiarom. Krasnoludy to prawdziwi alkoholicy, chociaż, przyznaję, oni przynajmniej sporo wiedzą na temat górnictwa i prac fortyfikacyjnych. Kot z Cheshire, nie przeczę, ma możliwości, ale to ekscentryk, z którym nie można normalnie porozmawiać. Ostatnio sprawił, że wszystkie psy stróżujące zmieniły umaszczenie. Sami przyznacie, że owczarki niemieckie wyglądające jak miniaturowe zebry są groteskowe. Jedna Calineczka to był strzał w dziesiątkę. Na Kremlu wciąż się zastanawiają, kto przekazuje nam informacje. Wyłukli już połowę swoich generałów, chcąc zlikwidować przeciek.

Kapelusznik uśmiechnął się lekko. Calineczka była jego odkryciem, wyciągnął ją z ryszotki w jednym z zaświatów, w którym pracowała jako uliczna prostytutka, przeprowadził błyskawiczną resocjalizację i wdrożył do służby. Jak dotąd dziewczyna spisywała się świetnie. Chcąc powtórzyć sukces, Śniący przetrząsali obecnie zaświaty w poszukiwaniu Tomcia Palucha.

Jak dotąd bez rezultatu.

- Ale jedna Calineczka wiosny nie czyni. Nam potrzeba prawdziwych fachmanów od czarów, magów...

- Bywali i tacy - mruknął kadrowiec.

- Bywali, bywali - wściekł się Wdowiak. - I co z tego? Ci jegomoście mają ego wielkości wszechświata.

Ziemia ich nie pomieści. Jeden w drugiego przypominają tolkienowskiego Sarumana, śniąc dzień i noc o władzy. Gdybyśmy ich zawczasu nie odesłali, już pewnie byłiby prezydentami, premierami, a może i sekretarzami generalnymi ONZ. Są krańcowo niełojalni i wyrachowani. Zbyt niebezpieczni.

Upił łyk wody ze szklanki. Skrzywił się. Zdecydowanie potrzebował czegoś mocniejszego niż woda.

- Angolom się udało - warknął podirytowany. - Mają tego swojego wymoczkowatego okularnika z peronu nr 9 i $\frac{3}{4}$, który jest całym sercem oddany koronie brytyjskiej. Ilościowo Zjednoczone Królestwo oczywiście do pięt nam nie dorasta, ale jakościowo - tylko pozazdrościć. Wywiad donosi, że Brytyjczycy ostatnio rozpoczęli pracę nad sprowadzeniem Merlina. Jeżeli im się powiedzie, możemy mieć kłopoty.

- Nie powiedzie się - powiedział matowym głosem siedzący po drugiej stronie stołu człowiek w żelaznej masce, szef ósmego wydziału. Ósmy wydział Królikarni nie miał oficjalnej nazwy. Po prostu numer.

- Agent Niume dwa tygodnie temu przeszła przez jedną z rabbitholi i obecnie przemierza Astral - dokończył Żelazny.

Wdowiak odetchnął. Agent Niume. Jedna z nielicznych kobiet w Królikarni. Cóż, jeśli to jej powierzono zadanie, można było być pewnym, że Merlin nie powróci.

- Przynajmniej jeden kłopot z głowy - mruknął. - Niemniej jednak warto przyglądać się Anglikom. Przyglądać się i uczyć! Czy musimy sprowadzać do nas bohaterów z cudzoziemskich baśni? Mamy, cholera, swój język, swoje marzenia i swoje legendy! Potrzebujemy kogoś takiego jak ten ich Potter, tyle że on musi być nasz! Potrzebujemy patrioty. Polaka. Maga! Kogoś, kto w pojedynkę robiłby z naszych wrogów gaspacho. Śnię o kimś takim. Potraficie spełnić moje sny? Macie kogoś takiego?

Kiedy Wdowiak mówił coraz głośniej i głośniej, nakręcając się pod wpływem gniewu i ekscytacji, Kapelusznik poczynił zaskakujące odkrycie. Zawsze sądził, że teczka służy do noszenia różnorodnych papierów, ale teraz posłużył się nią jak tarczą czy parawanem, odgradzając się od podenerwowanego szefa. Wiedział, że wybuchami Wdowiaka nie należy

się przejmować. Zwłaszcza jeżeli odpowiedź na jego pytanie była twierdząca. A w tym wypadku była.

Tak, mieli kogoś takiego.

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Szarzało, gdy podjechałem pod Wieżę. Spojrzałem na parking - same wyczesane bryki, z napędem dywanowym. No, no, dzisiaj w Wieży bawi śmietanka towarzyska, finansowa i mafijna. Jak zwykle zresztą. Tak się złożyło, że z racji wykonywanego zawodu nie raz i nie dwa „ubijałem” śmietankę. Zazwyczaj za pomocą pistoletu.

Chociaż zdarzały się też noże. Albo trucizna.

Sam, rzecz jasna, też miałem samochód z napędem dywanowym. Najlepszy płatny zabójca Czwartej Rzeczypospolitej musi dbać o swój PR - w mojej sytuacji wyjątkowo czarny. Choć trzeba powiedzieć, że napęd dywanowy to nie tylko zbytek, bajer, przydatny w podrywaniu pańienek, ale i niesamowita wygoda. Kiedyś człowiek zamartwiał się dziurami w drodze, tym, że jezdnia nieodśnieżona, bo drogowcy zaspali, i podobnymi duperelami. A potem pojawiły się sprowadzane z Drugiej Strony Lustra latające dywany, które jakiś bystrzak wpakował pod podwozie, po czym ów wynalazek opatentował. Zaraz pod Poznaniem wyrosły fabryki samochodowe. Zjechały do nas wszystkie znaczące koncerny. Drugie Detroit, cholera.

Pepiki i Słowaki rwały sobie włosy ze łba.

Zaparkowałem z dala od Wieży. Nie chciałem, żeby ochroniarze spostrzegli mnie zbyt wcześnie, a mój dywanowy pontiac eagle bez dwóch zdań rzucał się w oczy. Zaparkowałem więc w cieniu drzew, kilkaset kroków od sławnej na całą Polskę pięciopiętrowej Babel Tower. Bywało, że bawiłem się w niej do upadłego, można tam było znaleźć najlepsze w całym kraju pańienki i najlepszy towar.

Nie tym razem.

Spojrzałem na lewe ramię. Mef, dusiołek, wyszczerzył do mnie swoją paskudną, włochatą gębę. Cholera, że też tylko ja go widziałem. Inni - zupełna znieczulica. Mef biegał wokół nich, targał włosy, podszcypywał, pruł ubrania - zero reakcji. Dopiero gdy na mój rozkaz skakał komuś do gardła, delikwentowi otwierały się oczy i dostrzegał wykrzywiony z rozkoszy pysk czarta. Patrząc na Mefa, nie zazdrościłem tym, którzy umierali w ten sposób. Paskudna śmierć.

Choć zadawałem i gorsze.

Zlustrowałem okolicę. Wieża otoczona była wysokim płotem, nad którym przebiegał drut kolczasty, w dodatku pod napięciem. Dookoła ustawiono kilka wieżyczek wartowniczych.

Przyglądając się ogrodzeniu nie dłużej niż minutę, naliczyłem pięć patroli. Chodzili trójkami. Człowiek, ork i mały smok łańcuchowy. Na mundurach człowieka i orka widniała wielka biała litera „G”.

Agencja ochroniarska „Geralt”, przypomniałem sobie. Właściciele Wieży pilnie strzegą swoich gości. Dbają o to, by nikt niechciany nie wszedł na teren otaczający lokal. No bo co by było, gdyby opinia publiczna dowiedziała się, że najsłynniejsi biznesmeni, hołubione aktoreczki, uznani pisarze i filmowcy, a i niektórzy politycy bawią się w lokalu należącym do mafii? Że ramię w ramię z przestępcami korzystają z usług prostytutki się nimf i dziwożon, sprowadzanych przez nielegalne rabbithole do Poznania? Że zażywają szmuglowane zza Drugiej Strony Lustra narkotyki? Dlatego właściciel wynajął najdroższą agencję ochroniarską. Dlatego Wieża stała na uboczu, kilkadziesiąt kilometrów od Poznania. To było prawdziwe siedlisko zła.

Ilekoć odwiedzałem Wieżę, czułem się w niej jak w domu.

Zmierzyłem wzrokiem solidne ogrodzenie. Wiedziałem, że gdzieś tam, w podziemnych bebeczach Wieży siedzi jeszcze zespół różdżkarzy, którzy monitorują wszelkie ruchy na terenie wokół budynku.

Tym razem różdżkarze im nie pomogą, pomyślałem. Ochroniarze również.

Widząc, że przejście przez płot nie wchodzi w grę, ruszyłem w stronę bramy. Było świeżo po deszczu. Szedłem, przeskakując kałuże, w których przeglądały się światła lamp otaczających Wieżę. W pewnej chwili, gdy snop z potężnego reflektora przesunął się niebezpiecznie blisko mnie, przystanąłem. Przyłgnałem do pnia kasztanowca, czekając, aż ostre spojrzenie lampy padnie gdzie indziej. Stojąc tak przez chwilę, bezwiednie wpatrywałem się w pobliskie zagłębienie, w którym zebrała się deszczówka. Na brudnej tafli pojawił się niewyraźny obrys. Co to było? Księżyc? Lampa? Kontur Wieży? Twarz?

Kiedy reflektor na stróżówce zwrócił się w inną stronę, podszedłem bliżej i wbiłem wzrok w kałużę. Siedzący na moim ramieniu Mef ze strachu podkulił ogon. Mnie też nie spodobało się to, co zobaczyłem.

Znałem tę starą, wychudzoną gębę, pełną zmarszczek, która ukazała się na rozedrganej podmuchami wiatru powierzchni wody. Spoglądałem już kiedyś w te same, podkrażone, pełne ognia oczy. I te siwe, długie włosy - nie mógłbym ich zapomnieć. Splunąłem i wdepnąłem impregnowanym butem w kałużę. Widziadło zniknęło.

Pomyślałem, że stanowczo muszę przyhamować z narkotykami.

Reflektor szczęśliwie przeszukiwał inne rejony, mogłem więc bez problemu podejść do bramy. Portier zobaczył mnie dopiero, kiedy byłem krok od barierki. Wszedł w otoczeniu

dwóch zbirów z „Geralta”. Goście byli obwieszani bronią niby jakieś pieprzone choinki. Portier skinął na ochroniarzy, którzy równiutko unieśli lufy pistoletów maszynowych, mierząc prosto w moją pierś. Zafajdane robocopy. Przyjrzałem się uważniej portierowi. Skurwiel pod grzywką miał ukryte trzecie oko! Dzięki niemu wyczuwał, że coś ze mną jest nie w porządku. Dusiołka widzieć nie mógł, to jasne, ale szósty zmysł podpowiadał mu, że pojawiło się zagrożenie.

Trzecie oko! Surowo wzbroniona mutacja magiczna. Można było za coś takiego zarobić kilka lat odsiadki. Gdyby nie to, że władze ściagały i mnie, złożyłbym donos.

To niesprawiedliwe, pomyślałem. Z jednej strony ja, zwykły człowiek, z drugiej modyfikowana magicznie kreatura i dwie maszyny do zabijania. Nieładnie. To narusza zasady uczciwej konkurencji! To nieetyczne!

Dusiołek na moim ramieniu przebierał kopytkami. Zawsze tak robi, kiedy czuje krew. Albo kobietę. Nie muszę dodawać, że ani trójki, ani ochroniarze nie byli kobiecy w najmniejszym stopniu.

- Czego tu szukasz? - warknął portier. - Zaproszenie albo wyjazd!

Coś podobnego! Nie dość, że modyfikowany, to jeszcze gnojek jest nieuprzejmy dla gości, pomyślałem. Zdecydowanie nie nadawał się na portiera.

Zaradzimy i temu.

- Jestem książę, który przyszedł uwolnić księżniczkę z łap złego czarnoksiężnika - rzuciłem mu w twarz. - Jestem Shrek, który przywędrował, by wyswobodzić piękną Fionę. Jestem Marv z Sin City, który idzie zabić skurwysyna o nazwisku Roark. Widzieliście *Sin City*, chłopaki?

Zgłupieli.

Z satysfakcją łowiłem ich zdezorientowane spojrzenia, obserwowałem ich beznadziejnie głupie miny na dresem ciosanych twarzach. Ach, ta dzisiejsza młodzież. W dzieciństwie matki nie czytały im bajek o uwięzionych w wieżach księżniczkach. Nie oglądali w młodości *Shreka*. Ani nawet *Sin City*. Wstyd.

Trzeba było się lepiej edukować, powiedziałem sobie w duchu. Może zdążylibyście uciec.

Choć nie sądzę.

Dusiołek skoczył do gardła jednemu z ochroniarzy. Cyborg zarzęził, chwytając się za grdykę. Spomiędzy jego palców tryskały fontanny krwi. Dusiołek kwiczał ze szczęścia. Był w siódmym piekle.

Drugi z ochroniarzy nie był głupi. Nie patrzył na swojego kumpla. Odgłosy, które słyszał, starczyły, by stwierdzić, że nie zdoła mu już pomóc. Nie, sukinkot bez wahania strzelił do mnie. Wygarnął całą serię. Dzieliło mnie od niego może ze dwa metry.

Wszystkie pociski chybiły.

Uśmiechnąłem się złośliwie, widząc, jak robocop otwiera ze zdziwieniem gębę.

Trójjaki dopiero w tamtej chwili zrozumiał, że sytuacja naprawdę jest poważna. Chciał uciec do stróżówki, ale dusiołek skoczył mu na plecy i wprawnym ruchem skrzył kark. Następnie rozerwał gardło i chciwie chleptał płynącą stamtąd krew. Ja zająłem się żyjącym ochroniarzem. Koleś był opancerzony niczym średniowieczny rycerz. Tylko gdzieś w kuloodpornej zbroi widniały niewielkie luki. Dali ci, panie, zbroję, pomyślałem i wyjąłem pistolet schowany za paskiem. Strzeliłem mu prosto w twarz.

Kula przebiła rzekomo kuloodporną szybę hełmu i przeszła przez oko. Z zaskoczenia, jakie zobaczyłem na jego twarzy, kiedy umierał, domyśliłem się, że czegoś takiego się nie spodziewał. Rękawem otarłem z czoła pot i resztki ochroniarza. Załatwione.

Zagwizdałem na Mefa, który z wyraźną niechęcią zostawił trupa portiera. Nie martw się, pomyślałem, za chwilę będą następne.

Musiałem zlikwidować wszystkie patrole. Jeden po drugim, czysto, bez hałasu. Inaczej któryś mógłby przedwcześnie ostrzec tych w Wieży. A tego chciałem uniknąć.

Przez długą godzinę, godzinę, podczas której dzień ostatecznie zmienił się w noc, czułem się jak bohater gry komputerowej. Namierzałem pojedynczy patrol, kryłem się w cieniu, kucałem, czołgałem się, podchodząc bliżej, wreszcie - akcja. Dusiołek skakał na człowieka, ja strzelałem do smoka, potem do orka. *Mission complete.*

Zaczynała się następna.

Kiedyś, w młodości, słyszałem, że gry komputerowe mają zły wpływ na psychikę młodego człowieka. Że powodują znieczulicę. Że człowiek wychowany na filmach akcji i grach FPP będzie miał zaburzoną równowagę emocjonalną. W przyszłości, mówiły gadające głowy, niebezpiecznie przesunie się granica akceptowanej przez społeczeństwo przemocy. Wyrośnie pokolenie, dla których zabić to tyle, co splunąć.

Gówno prawda.

Splunąłem.

Precyzyjnym strzałem rozwaliłem głowę kolejnego strażnika.

Mission complete.

Podszedłem do trupów. Leżały w kałuży krwi. Dusiołek, co dziwne, zostawił je w spokoju. Przyjrzałem się uważniej wielkiej, czerwonej plamie, która wolno wsiąkała w piach.

Twarz.

Ta sama, którą widziałem przed wejściem na teren Wieży.

Suche usta starucha uśmiechały się kpiąco.

Twarda podeszwa wylądowała pomiędzy jego nosem a oczami. Obraz zniknął.

Rozejrzałem się dookoła. Cisza. Nikt z Wieży mnie nie zauważył. Dobrze. Nieniepokojony ruszyłem w stronę bocznego wejścia. Znów pewnie będą ochroniarze. Znów kontrole. Znów dusiołek będzie miał frajdę.

Kiedy podszedłem bliżej, przystanąłem i spojrzałem na budynek. Był monumentalny. Jak na pięć pięter bardzo wysoki i masywny. No, ale tak naprawdę każde piętro składało się z kilku poziomów, półpięter, antresol i całej masy pokoi. Prawdziwy labirynt. Przyszło mi do głowy, że zanim pójde po NIA, trzeba będzie zatroszczyć się o plany budynku. Już miałem ruszyć do wejścia, kiedy moją uwagę przykuły dziwne refleksy na szybie jednego z okien. Po chwili refleksy pojawiły się na oknie obok. I na następnym. Zmrużyłem oczy.

Cholera. Zaczynało mnie to drażnić.

W każdym oknie. W każdej szybie.

Zabobonni Polacy z pewnością powiedzieliby, że to ukazuje się Matka Boska. Ale ja widziałem, że obraz, który zamajaczył na czarnych taflach okien, z Matką Boską ma akurat mało wspólnego.

Mało jak cholera.

Setka identycznych, szarych twarzy, w których błyskały ogniki oczu. Wszystkie uśmiechały się do mnie zapraszająco.

Zupełnie jak wtedy.

To było w 2007 roku. W Bieszczadach.

2

Żniwowaliśmy.

Dookoła rozciągały się gęste lasy, nieuczęszczane szlaki turystyczne, mało znane szczyty, malownicze połoniny i wilgotne kotlinki. Mieszkaliśmy nieopodal jednej z takich kotlin, w starej opuszczonej chacie, która pamiętała chyba czasy Petlury, a z całą pewnością Akcją „Wisła” i żołnierzy UPA. To nie był szczyt luksusów, ale i tak byłem zadowolony. Miałem wtedy bardzo mało kasy. Dwadzieścia dwa lata to chwila, gdy człowiek chce ze wszystkich sił używać życia, a ciuchy, panienki, skuny, alkohol i benzyna do mojego zdezelowanego golfa kosztowały majątek. Dlatego z zazdrością patrzyłem na kilka lat starszych kumpli, którzy mieli grubsze portfele, lepsze bryki i ładniejsze laski. A największą zazdrość wzbudzał

we mnie Carck, nasz szef. To on zaprowadził nas wszystkich do chaty, on pokazał żniwowisko i on organizował sprzedaż naszych zbiorów. Miał kontakty w Berlinie, Brukseli, Amsterdamie i Frankfurcie. Tam nasz towar brali na pniu. Płacili krocie.

Carck był mały, ale pod koszulką grała cała orkiestra napędzonych anabolikami mięśni. Miał trzydzieści lat, nowiutkie czarne BMW i długonogą blond dwudziestkę na każde zawołanie, która w łóżku robiła wszystko, o czym tylko zamarzył. Tak przynajmniej opowiadał, kiedy siedzieliśmy wieczorami w opuszczonej, połemkowskiej chacie i zjadaliśmy okruchy tego, co zebraliśmy w ciągu dnia. W końcu człowiek musi mieć coś z życia, nie?

- Też będziesz miał kiedyś beję, Janek - mówił do mnie. - I ładną dupencję. Popracujesz jeszcze kilka lat, pojeździsz ze mną na grzyby i będzie cię stać. Teraz w Europie jest popyt na nasz towar. Weszliśmy, chłopie, do Unii. Otwarły się przed nami nieograniczone możliwości. Niech żyje akcesja!

Wtedy, kilkanaście lat temu, jeszcze przedtem, zanim zaczął się w Polsce boom ezoteryczny, wszyscy byli przekonani, że wejście do Unii to szczyt marzeń, który otwiera niespotykane perspektywy. *Toutes proportions gardées*, pewnie i tak było. Gdyby tylko ludzie widzieli, co ich czeka w ciągu następnych dziesięciu lat...

W jednym Carck miał rację - był popyt na nasz towar. Gówniarze z berlińskich czy paryskich dyskotek oszaleli na punkcie niepozornych, brązowych grzybków o cienkiej, delikatnej nóżce i stożkowatym kapeluszu. Ecstasy, amfa, skuny, hasz, nawet kokaina popadły w niełaszkę - liczyły się tylko PM-y, czyli *polish mushrooms*. Grzybki, które u nas rosły na byle łączce, a w bieszczadzkiej kotlinie, którą zajęliśmy, można je było zbierać całymi garściami. Dziennie bez zbytniego wysiłku mieliśmy po kilka koszyków. Wprawdzie Carck cały czas poganiał, mówił, że ceny spadają, ale nigdy mu nie wierzyłem. Kiedyś usłyszałem, że w Berlinie płacą mu za jedną sztukę jedno euro. Niezły przelicznik. My dostawaliśmy od niego kilkanaście euro za koszyk. Z tego powodu nienawidziłem Carcka szczerą nienawiścią oszukanego przestępcy. Na razie jednak byłem od niego zależny. Na razie.

Kolejny bieszczadzki ranek przywitał nas mgłą. W taką pogodę nikomu nie chciało się wychodzić z chaty. Łysy i Bagno, dwaj najlepsi kumple Carcka, zawczasu zapodali po kilkanaście halucynogennych kapeluszy, Stefan rzygał po wczorajszej wódce, ale Carck był nieugięty - dnia nie można było zmarnować. Ktoś musiał pójść z koszykiem na grzyby.

Byłem najmłodszy.

- Mam iść w takie zimno? - wydukałem nieśmiało, ale Carck się na to tylko roześmiał.

- A idź do diabła! - powiedział, cały czas rechocząc, i wypchnął mnie za drzwi.

Wprost we mgłę.

Zacisnąłem zęby. Zawsze traktowali mnie jak szmatę. Jak największego lamera. Tylko dlatego, że byli o kilka lat starsi, bardziej przypakowani i mieli już złote łańcuchy. Ach, zrobiłbym wszystko, żeby się na nich zemścić. Żeby im pokazać, że nie jestem zerem, za jakie mnie brali.

Sukinsyny.

Mgła była gęsta i lepka. Na pamięć skręciłem w lewo, na ścieżkę obok chaty. Szedłem przez jakiś czas przed siebie, ale dróżka wiła się jak żmija, których sporo było w tych rejonach. Zakląłem. Zawsze wydawało mi się, że droga do kotliny była prosta. Ot, kilkanaście minut, dwa niezbyt strome podejścia i równie łagodne spadki, przejście skrajem gęstego lasu i już stałem na połoninie pełnej grzybów halucynogennych, o które zabijały się nastolatki z Europy Zachodniej. Tym razem było jednak inaczej. Cholerna mgła.

Po kolejnych dwudziestu minutach marszu zorientowałem się, że zabłądziłem. W nocy nad górami przeszła ulewa, a przez to chodzenie po błotnistej, pełnej brudnych bajor ścieżce przemakały mi buty. Chciałem zawrócić. Na próżno. Nie mogłem znaleźć drogi powrotnej. Starłem się iść po własnych śladach, ale trop rwał się po kilku krokach. Co się, kurwa, dzieje, pomyślałem.

Pierdolona mgła.

Przed siebie, zdecydowałem, musiałem przecież poprzednio przejść tą drogą, wrócić więc tak samo. Ruszyłem energicznym krokiem i szedłem tak dobre czterdzieści minut. Mijałem po drodze skały, których nie znałem, widziałem dziwnie powykręcane drzewa, nienaturalnie wielkie kruki latające mi nad głową, a raz, kiedy wiatr na moment rozgonił mgłę, zobaczyłem, że stoję u podnóża wysokiej góry, na której zboczach majaczył kontur jakiejś budowli. Okolica, fakt, była interesująca.

I zupełnie mi nieznaną.

Kolejny podmuch i znów gęsty opar ograniczył widoczność do kilku kroków. Szedłem jednak wytrwale przed siebie, mając nadzieję, że ta budowla to jakieś schronisko. Schronisko, o którego istnieniu Carck nie miał pojęcia, bo zapewniał nas, że okolica jest całkowicie bezpieczna i bezludna.

Ścieżka cały czas prowadziła pod górę. Zziębnięty przysiadłem na sporym kamieniu, by chwilę odsapnąć. Tutaj też musiało mocno lać, stwierdziłem. Świadczyło o tym wyjątkowo grząskie błoto, ciężkie krople spadające na mnie z szeroko rozpostartych jodłowych gałęzi i kałuża.

Kałuża rozlewała się szeroko przy kamieniu, na którym siedziałem. Była rozległa, głęboka i mętna jak współczesna polska proza. Zwiesiłem głowę. Mój wzrok mimowolnie przesunął się po tafli wody. I wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem twarz.

TEJ twarz.

Patrzyła na mnie z lustra wody i uśmiechała się zapraszająco. Od biedy można było powiedzieć, że wygląda nawet sympatycznie. Sukinkot musiał bardzo się natrudzić, żeby pierwsze wrażenie było pozytywne.

Widok twarzy wcale mnie wówczas nie przestraszył, wręcz przeciwnie. W jednej chwili cała sytuacja stała się jasna. Oczywiście, poprzedniego wieczora piliśmy pędzoną przez miejscowych wódkę i zagryzaliśmy ją grzybkami. No więc mam pieprzone halucynacje, wydaje mi się, że łączę po jakichś nieznanym mi górach z pustym koszykiem do grzybów w rękę, gdy tymczasem cały czas kimam w starej, górskiej chacie. Śpię i śnię chory, napędzany grzybami sen. Jasne.

Tylko czemu to błoto jest tak cholernie lepkie? Czemu buty mam przemoczone i zimno mi w stopy? Widocznie zebraliśmy ostatnio wyjątkowo dobry towar. Diabło realne wizje.

Odetchnąłem z ulgą. Skoro to sen, będę postępował zgodnie z jego logiką, postanowiłem. Idziemy pod górę. Do schroniska, które sobie wyśniłem.

Mrugnąłem do dziada, który pokazał mi się w kałuży. Odmrugnął i uśmiechnął się z zadowoleniem. No, pięknie. To jesteśmy już ziomale, tak?

Droga nie była łatwa. Wspinałem się z dużym trudem. Przeszkadzał koszyk, którego, mimo że to sen, nie chciałem wyrzucić, przeszkadzało podeszczowe błoto, które powodowało, że co rusz stopa ześlizgiwała się, a ja lądowałem tyłkiem na ziemi, przeszkadzała ograniczająca widoczność mgła.

Zafajdana mgła, niech ją szlag.

Wreszcie, po dobrej godzinie wspinaczki, podejście wypłaszczyło się, a ja odetchnąłem z ulgą. Mgła nieco zrzędła, dzięki czemu dostrzegłem majaczący w dali kontur budynku i kilka cieni krążących nad nim. Schronisko? Duże jakieś, zauważyłem. To była mało uczęszczana przez turystów okolica, kto by budował tutaj takiego kolosa? No ale co tam, przypomniałem sobie, że to jedynie sen, więc wszystko było możliwe. Idziemy dalej.

Po jakichś dwudziestu krokach drogę zagrodziło mi kolejne bajoro. Kiedy je obchodziłem, znów spostrzegłem twarz. Tym razem widziałem ją o wiele wyraźniej. Z mętnej wody spoglądał na mnie wychudzony starzec, z rozwianymi włosami barwy popiołu. Kąciki jego ust drgały w uśmiechu.

- To tylko sen - szepnąłem i ruszyłem w stronę budynku, na którego dachu przysiadło kilka kruków.

Kiedy byłem dostatecznie blisko, zrozumiałem, że to nie żadne schronisko, lecz stary, górski monastyr. Zbudowany częściowo z drewna, częściowo z kamienia, trzymał się świetnie, chociaż musiał tutaj stać dobre kilkaset lat, a ostatnio z pewnością nikt o niego nie dbał.

Tylko krzyże były wszędzie porozwalane.

Zatrzymałem się przed masywnymi drzwiami. Ptak siedzący na grubej belce łypnął na mnie spod oka.

Wejść? Nie wejść? Przecież to tylko halucynacja, jazda po grzybkach, tłumaczyłem sobie. Co szkodzi wejść do środka? Z drugiej strony, no bez ścierny, poczułem strach. Czuję się jak w jakimś tanim horrorze, jakimś, kurwa, *Blair Bieszczady Projekt*.

Niepewnie przestępowałem z nogi na nogę, dłoń z wahaniem unosiła się nad drewnianą kołatką.

Wejść? Nie wejść? Wejść?

Kiedy tak stałem i jak idiota zastanawiałem się, co zrobić, drzwi zadecydowały za mnie. Otworzyły się same.

3

Drzwi od służbowego wejścia do Wieży dla odmiany były zamknięte. Otworzyłem je szybkim, zdecydowanym kopniakiem, wychodząc prosto pod lufy wymierzonych we mnie pistoletów maszynowych. Faceci z „Geralta” powoli stawali się nudni.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Zrobiłem krok przed siebie, a wtedy jeden z ochroniarzy krzyknął. Nie zrozumiałem co, pewnie „stój”, ale ja nie miałem zamiaru się zatrzymać. Wąski korytarz zadrżał od huku wystrzałów. Wszyscy celowali we mnie. Wszyscy strzelali seriami. Dzielily nas trzy, może cztery kroki.

Wszyscy chybili.

Mnie nie można trafić.

Podbiegłem do ochroniarzy, którzy, obwieszeni ciężkim sprzętem, ruszali się wolno jak muchy w smole. Może i macie kuloodporne kamizelki, pomyślałem, może macie zbroje płytowe jak w tandetnych filmach o królu Arturze, ale zgrabny, ostry nóż zawsze gdzieś się tam wciśnie.

Nóż i dusiołek.

Teraz Mef!

Demon, dotąd niecierpliwie drobiący kopytami, runął wraz ze mną na ochroniarzy.

Schyliłem się przed ciosem i jednocześnie sięgnąłem po przypięty do buta nóż. Tego, który próbował uderzyć mnie kolbą pistoletu maszynowego MP5, ciałem w pachwinę. Następnie w szyję. Trzeciego pod pachę, głęboko. Tak głęboko, że przez moment nie mogłem wydobyć ostrza. Dusiołek siał spustoszenie wśród pozostałych, parskając przy tym i kwicząc jak prawdziwy diabeł.

Właściwie, przypomniałem sobie, nie mam się co dziwić. To JEST prawdziwy diabeł.

Tyle że małego kalibru.

Po chwili sytuacja się uspokoiła. Strzały wybrzmiały. Walka była skończona. Bilans nie wypadł dla „Geralta” zbyt okazale. Podziurawiony sufit, ściany, drzwi, rozwalony seria monitor. Fiu, fiu, nieźle rozrzuciło pociski. A przecież mierzyli prosto w moje serce.

Immunitet działał bez zarzutu, pomyślałem. Dusiołek też.

Sześciu ochroniarzy leżało martwych na podłodze. Mef chciwie zlizywał krew z posadzki. Ostatni, ranny bodyguard nie mógł w żaden sposób mi zaszkodzić.

Leżał pod ścianą i jęczał cicho. Mój nóż przeciął mu i mięśnie, i wiązadła, tak więc gdyby zaczął nagle chodzić, bardzo bym się zdziwił. To byłby cholerny cud!

A na cuda tego dnia ja miałem przecież monopol.

Podszedłem do niego powoli, przyklęknąłem i zdjąłem hełm.

- Potrzebuję planów budynku. Dokładnych planów, z mapą przejść. Wiem, że ta wasza Wieża ma specjalne zabezpieczenia. Wiem, że jeśli nie idzie się według określonego klucza, to po prostu nie wejdzie się na kolejny poziom. A ja muszę dojść na samą górę. Złożyć wizytę samemu zarządowi i zgromadzeniu wspólników. A więc?

- Piwnica - wychrypiął ochroniarz bez wahania. Widok jego martwych kumpli musiał go nieźle nastraszyć. - Dowodzenie... W piwnicy.

- No i widzisz, chłopie, jak się dobrze z tobą rozmawiało. - Poklepałem go po ramieniu, uśmiechnąłem się. Zdaje się, że uśmiech wyszedł mi całkiem sympatyczny. - Dzięki.

Wstałem wolno. Przez chwilę wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Zostawię go w spokoju? Jednak będzie żył? Odwróciłem się do niego plecami i poszedłem w stronę klatki schodowej, którą sam mi wskazał. Słyszałem, jak odetchnął z ulgą. Ostatecznie, pomyślałem, nie muszę go zabijać. Jest absolutnie nieszkodliwy. Nie ma telefonu, do przycisków alarmowych nie sięgnie. Naprawdę, nie muszę go zabijać!

Strzeliłem, kiedy byłem tuż przy schodach do piwnicy. Sam nie wiem dlaczego.

Mężczyznami rządzi impuls.

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Kapelusznikiem, bywało, również rządził impuls. Nie przejmując się pozostałymi, zebranych w salce, odwrócił głowę, udając, że szuka czegoś pośród papierów, a w rzeczywistości po to, by za parawanem kartek pociągnąć okazały łyk z blaszanej piersiówki. Na moment zapadła krępująca cisza. Zapachniało chivas regal.

Wdowiak, znający upodobanie swojego najlepszego współpracownika, łaskawie zignorował ów aromat.

- Media przy talerzykach prowadzą nasłuch przez całą dobę. Oddelegowałem do tego zadania czwórkę najlepszych Śniących - kadrowiec, poczuwając się do odpowiedzialności, zaczął gorączkowo się tłumaczyć. - Namierzyliśmy jednego kandydata. Opracowaliśmy nawet wstępne założenia projektu. Oto one, proszę.

Po blacie pomknęło kilkanaście teczek wypełnionych wydrukami z plate-grafów, przezroczami zawierającymi zrzuty wizji Śniących i kilkunastoma stronicami zadrukowanymi drobną czcionką. Wdowiak zerknął na nagłówek nad teczką.

„Operacja di Trevi”.

Przez kilkanaście minut wszyscy zgromadzeni studiowali dokumenty. Pierwszy podniósł głowę przedstawiciel kurii. Był blady.

- Chyba nie myślicie poważnie - wyszeptał. - On jest już w rękach Adwersarza. Nie można go odzyskać.

- Zapewniam księdza, że można - mruknął Kapelusznik, pocierając czoło. - Obiekt jest dopiero w Przedpieklu. Można przeprowadzić jakąś małą przesiadkę. Jeśli się pospieszymy...

- Przecież wiem, że to jest teoretycznie możliwe - warknął zimno duchowny. - Ale jakim kosztem? Ile istnień trzeba będzie poświęcić? Ile grzechów popełnić? A tego, kto będzie prowadził negocjacje, automatycznie skażecie na potępienie.

- Mamy kandydata - powiedział kadrowiec. - A właściwie kandydatkę. Sama się do nas zgłosiła.

- Żona obiektu - dodał Kapelusznik. - Sprawdziliśmy ją. Ma bardzo dobry rating. Operacja nie musi doprowadzić do wiecznego potępienia. Może czyściec...

- Może, może... To wszystko gdybania. Kuria nie da na to zgody. - Ksiądz nie krzychał, nie podniósł nawet głosu. Chłodny, zdecydowany ton, ton niepozostawiający wątpliwości, mówił wszystko.

Kapelusznik nieznacznie odsunął się od mężczyzny w sutannie.

- Ależ nie bądźmy tacy rygorystyczni - zagaił Wdowiak, by przerwać ciszę, którą, nie bez racji, określa się zwykle jako krępującą. - Rzeczpospolita potrzebuje...

- Rzeczpospolita potrzebuje coraz więcej i więcej. Granica niebezpiecznie się przesuwa. Kuria wielokrotnie aprobowała działania wątpliwe, moralnie dwuznaczne. Tylko dlatego, że „Rzeczpospolita potrzebuje”. Ale nie tym razem. Żądacie zbyt wiele.

- Możemy przeprowadzić akcję na własną rękę - powiedział oschle Wdowiak. - Bez udziału gnieźnieńskich egzorcystów i biskupa. Bez Dziewięciu.

- Więc niech pan próbuje, generale, jeśli mocarstwowe mrzonki przesłoniły panu poczucie przyzwoitości i zmały zdrowy rozsądek. Niech pan próbuje. Zarazem jednak niech pan rozważy jedno: nikt jeszcze nie wygrał, paktując z diabłem. A kosztów nie jest pan w stanie oszacować. Żegnam!

Duchowny wstał i bez słowa opuścił salkę konferencyjną. Na stole pozostały rozrzucone papiery, niedopita kawa i ołówek oskarżycielsko wycelowany w generała. Reszta w milczeniu wpatrywała się w swoje komplety dokumentów. Faktycznie, propozycja opracowana przez Kapelusznika to było balansowanie nad przepaścią. Bardzo niebezpieczne. Dwuznaczne moralnie.

A jeśli mimo wszystko się powiedzie?

4

Tamtej nocy, gdy spotkałem Agnieszkę, siedziałem w „Queście”, podłym nocnym klubie w samym centrum Poznania. Może i nie była to Wieża, ale ceny mieli znacznie niższe, a panienki też niezłe. Owej nocy skołowali rusałkę. Skołowali ją, rzekłbym, czart wie skąd, ale spytałem dusiołka - i, cholera, nie wiedział.

Sprowadzenie rusałki kosztuje krocie, a „Quest” nie był to lokal, do którego chadzali biznesmeni. Ot, typowa knajpa morderców, tyle że dobrze płatnych. Oczy jednak nie kłamały, a przy rurze wyginała się piękna, giętka jak guma, najprawdziwsza rusałka. Miała lśniącą, lekko seledynową skórę, wielkie niewinne oczy i nogi dłuższe niż „W poszukiwaniu straconego czasu”. Wszyscy faceci patrzyli właśnie na nią.

Wszyscy z wyjątkiem mnie.

Nie żebym się chwalił, skromność to moje drugie imię, ale miewałem już różne kobiety. I rusałki, i driady, i nimfy, a zdarzył się nawet, niech go szlag, elf transwestyta. Jak widzicie, byłem koneserem, dlatego właśnie nie wbijałem ślepi w młodziutką istotę, oplatającą się jak bluszcz dookoła rury. Moje spojrzenie zatrzymało się na innej.

Była blondynką, ubraną w jasną zwiewną sukienkę, która układała się na piersiach w bardzo powabny owal. Miała bardzo ładny profil i smukłą szyję. Siedziała przy okrągłym stoliku, kilkanaście kroków ode mnie. Obok niej rozpierał się na krześle jakiś stary fajfus w rozchełstanej czarnej koszuli i kapeluszu.

Alfons? Artysta?

Spostrzegłem, że i dziewczyna, i facet co chwila rzucali mi uważne spojrzenia, potem przez moment rozmawiali, skrobali coś na rozłożonych na stoliku kartkach, później znowu zerkali w moją stronę. Nagle poczułem się jak rudojebany orangutan w zoo. Już chciałem wstać i mało delikatnie uświadomić im, że z Twardym nie można grać w oczko, kiedy dziewczyna znów na mnie zerknęła. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

Spod kilometrowych rzęs, których mogłaby jej pozazdrościć każda aktorka, patrzyło na mnie czarne jak węgiel oko. Ten wzrok mnie sparaliżował. Naprawdę! Nawet dusiołek zamarł w zachwycie, chociaż zwykle w takich sytuacjach aż piszczał i wywijał kosmatym ogonem. Nie miałem kobiety już od dwóch tygodni i biedactwo było wyposzczone tak samo jak ja.

Niech więc sobie żyją, pomyślałem. Niech grają w oczko. Zwłaszcza ona.

Kelnerka z obfitym biustem na moment przesłoniła piękną nieznajomą i alfonsa, zbierając puste kieliszki z blatu. Trwało to bardzo krótko, nie dłużej niż wypicie setki wódki. Mimo to, kiedy odeszła, już ich nie było. Tylko puste krzesła, szklanki z niedopitymi drinkami i pionowa smużka gęstego jak skondensowane mleko dymu. Dym unosił się nad stolikiem.

Dziwne. Żadne z nich nie paliło. Poczuję się niepewnie.

Prawie tak jak wtedy.

W Bieszczadach.

5

Przedsiónek monastynu był ciemny, dlatego nie od razu zrozumiałem, że nie było żadnego odźwiernego. Nikt nie czekał z ukłonami, nikt nie podszedł, by zdjąć ze mnie przemoczony dres. Drzwi otworzyły się same. Przeszły mnie dreszcze.

To na pewno z zimna, pomyślałem.

Gdzieś dalej, wewnątrz budynku, rozległy się hałasy. Ktoś spacerował po monastyrze - to były ciężkie, zdecydowane kroki. Kroki kogoś, kto czuje się panem na włościach. Wtedy naprawdę się bałem. Dygotałem, a jednocześnie przeklinałem Carcka i resztę, którzy wypchnęli mnie w góry prosto w objęcia mgły. Skurwiele! Zawsze byłem dla nich popychadłem, zawsze byłem Młodym, który musi odwalać najgorszą robotę. I którego

bezkarnie można oszukać, płacąc wszawę eurocenty. Za to, co dostawałem od Carcka... ech, szkoda gadać. Nawet firmowego dresu nie mogłem sobie kupić, tylko te cholerne bazarowe podroby - Abibos, Addas i inne gówna. Nie wspominając już o łańcuchu.

Nie możesz się bać, powiedziałem sobie, te dupki by się z ciebie śmiały.

W głębi wąskiego korytarza błysnęło światło. Kroki zabrzmiały bliżej, naprawdę niedaleko. Spojrzałem w tył na wpółotwarte drzwi. Był jeszcze czas uciec.

Miękki, przypomniałem sobie. Mówili na mnie Miękki.

Przygryzając wargę do krwi, ruszyłem korytarzem.

To nie było zbyt przytulne miejsce. Niskie sufity oblepione były nietoperzami, co chwila wpadałem prosto w wielką pajęczynę rozsnutą przez pająka-giganta. W kilku miejscach wydawało mi się, że widzę ludzkie czaszki, ale nie schyliłem się, by sprawdzić, czy wzrok mnie nie myli. Wolałem nie wiedzieć.

Kiedy przeszedłem kilka kroków, znalazłem się w niedużej salce, w której było nieco jaśniej. Słabe światło wpadało przez zasnute pajęczynami okno. Spostrzegłem, że ściany pokryte były dziwnymi napisami. Nie rozumiałem ich. No, ni cholery. Wszystkie były po łacinie.

Za to malunki coś mi przypominały.

Jeden, na przykład, przedstawiał wielkiego, czarnego ptaka. Ogromne ptaszysko znajdowało się w centrum malowidła, zajmując prawie połowę jego powierzchni. Ptak miał potężne skrzydła zakończone chwytynymi szponami, w których trzymał czarne miecze.

Co za kicz!

U stóp dziwaczного ptaszyska kłębiły się tłumy. Tłumy nagich, przerażonych ludzi, zapadających się w burą łąkę rozciągającą się u szponów skrzydlatego. Wyglądało to tak, jak gdyby łąka, czy może raczej bagnisko, zasysało struchlałych ludzi, a ci całkowicie bezbronni nie wiedzieli, co robić. Dziwaczny ptak, dostrzegłem to po chwili, miał ludzką twarz! Twarz, wpatrzona w pogrążających się zarazem w bagno i w rozpacz ludzi, wykrzywiła usta w złośliwym uśmiechu. Widziałem już gdzieś ten uśmiech. W kałuży?

Odwrociłem głowę tylko po to, by spojrzeć na fresk jeszcze mniej przyjemny. Niewiele było widać, farba schodziła mocno, kolory zbladły, ale mimo wszystko można było tam zauważyć płomienie. Morze płomieni przemieszanych z dymem. I jakieś kosmate, ogoniaste stwory z pyskami wyszczerzonymi z wścieklej rozkoszy. Niektóre z nich były rogate, inne nie, ale jeden w drugiego - koszmarne brzydkie. Gdzieś między tymi płomieniami i dymem,

podgryzani przez kosmatych, trwali ludzie. Wyglądali na jeszcze bardziej przerażonych niż na pierwszym obrazie.

Kolejny fresk i kolejne paskudztwo. Przed wielgachną, siedmiogłową maskarą, podobną do smoka, klęczeli ludzie, oddając jej hołd. I następny obraz - jadowicie zielony wąż.

Straciłem ochotę, by przyglądać się uważniej ścianom. Stwierdziłem też, że zdecydowanie bardziej lubię malarzy współczesnych, chociaż za cholere nie wiadomo, o co im chodzi, a ich obrazy wyglądają tak, jakby sztalugę, pędzle i farby zostawili na tydzień jakiemuś niesfornemu szympansowi. Jednak wszystko było lepsze od wielkiego czarnego ptaka, od kosmatych stworów wychylających łby z ciemnych czeluści i od płomieni.

Czym prędzej pchnąłem drewniane drzwi i znalazłem się w następnej sali. Usiłowałem nie zwracać uwagi na ściany. Spojrzenie zatrzymałem na wielkim krześle stojącym pośrodku pomieszczenia. Krzesło było bogato zdobione, a niejeden majster zapewne natrudził się, by wyryć na nim tak kunsztowne wzory. Ale te wzory, te złocenia, te rzeźby i inne duperele niewiele mnie interesowały. Oczywiście, zastanawiałem się, za ile mógłbym opchnąć to krzesło w Reichu - lubili tam podobne klamoty, ale żeby je opchnąć, najpierw musiałbym pozbyć się właściciela.

Siedział ze schyloną głową, dlatego nie mogłem dojrzeć jego twarzy. Siwe, poprzetykane kosmykami czerni włosy spadały mu na ramiona. Ubrany był osobliwie. Jak jakiś aktor. Albo ksiądz? W każdym razie - nikt normalny.

Gdy usłyszał moje kroki, uniósł głowę. Nawet się specjalnie nie zdziwiłem, chociaż „kurwa mać” samo wymknęło mi się z ust. Miałem przed sobą starca z kałuży. Wbił we mnie wzrok, w którym płonął ogień, wyciągnął w moją stronę rękę.

Spokojnie, przekonywałem samego siebie. To tylko sen.

Sen?

6

Spoglądając na dusiołka, który tarzał się we krwi różdżkarzy, pomyślałem, że gnojek bardzo przypomina te kudłate maskarony ze ścian monastyru. No, cholera, nie da się tego ukryć - Mef to nie był przyjemny widok. Ale różdżkarzy wcale nie było mi żal. Widać, że odwalali fuszerkę. Zamiast przykładać się do roboty, chlali wodę i grali w pokera. Idioci! Gdyby monitorowali okolicę Wieży (a za to przecież im płacono!), któryś z pewnością zauważyłby ruch, któryś wykryłby moją obecność. A jeśli nie moją - to z pewnością dusiołka.

Sami sobie winni, zawyrokowałem, patrząc na okrwawiony pysk Mefa.

Byłem wtedy świeżo po rozmowie z szefem ochrony Wieży. Trzeba przyznać upartym i gburowatym. Zanim zdecydował się uciąć ze mną pogawędkę, ja uciąłem mu ucho, dwa palce, a na koniec przyrodzenie. Dopiero ten ostatni ruch przekonał go, że nie jestem żadnym akwizytorem, którego można wyrzucić za drzwi i na odchodnym krzyknąć: „Nie chcemy tu pana więcej oglądać!”.

Choć faktycznie nie zamierzałem odwiedzać Wieży ponownie.

Od komendanta dowiedziałem się, ilu mniej więcej ochroniarzy jest na każdym z pięter. Zorientowałem się, gdzie stoją, jak są uzbrojeni i kogo tak naprawdę ochraniają. Szef ochrony wyliczył też ważnych gości, którzy tej nocy bawili się w Wieży. Nie ma co, skonstatowałem, gdybym wysadził cały ten bajzel, kilkanaście dużych korporacji straciłoby swoich szefów, a i niejedno miasto musiałoby ponownie wybierać prezydenta. Ale wysadzić Wieży nie mogłem - bo oprócz tych wszystkich ważnych świń i pozbawionych sumień skurwysynów, oprócz tych wszystkich złych ludzi, była jeszcze ona.

Ona.

Rozmarzyłem się.

Spojrzałem na plany, które zdobyłem od szefa ochrony. Były wprawdzie poplamione krwią, ale mimo to czytelne. I był tam klucz, zgodnie z którym należało pokonywać kolejne poziomy, tak aby dojść na najwyższe piętro. Był sposób. Diagram. Zakłęcie architektoniczne.

Najkrócej mówiąc - trzeba się poruszać po planie pięcioramiennej gwiazdy. Każda winda stanowiła jeden z wierzchołków owej gwiazdy, połączony z innymi. Wierzchołki na planie zostały ponumerowane. Zanim ochroniarz umarł, zdążył wycharczeć, że ważna jest kolejność. Jeśli pomyliłbym kolejność - wtedy trudno, nie przejdę wyżej i całą zabawę trzeba zaczynać od początku.

Jeszcze raz spojrzałem na plik kartek, koncentrując się na opisach poszczególnych pięter. Wieża to był lokal, w którym dbano o to, by goście się nie nudzili - co jakiś czas dokonywano zmiany dekoracji. A na każdym piętrze wystrój były inny - najczęściej poziomy urządzano w stylu danego miasta lub epoki. Z tej różnorodności wzięła się zresztą nazwa - Babel Tower. Ach, wciąż z rozrzewnieniem wspominałem Chicago w czasach prohibicji. Cóż za wspaniały pomysł!

Tym razem podróż też zapowiadała się interesująco. Na dole - starożytny Babilon, a wyżej kilka innych ciekawych miejsc, między innymi Moskwa. W rozpisce, którą wyrwałem umierającemu szefowi ochrony, nie było tylko opisu ostatniego piętra. Trwała tam właśnie przebudowa dekoracji.

Trudno, przekonamy się naocznie, pomyślałem i ruszyłem do góry.

Babilon był taki jak w Biblii i w piosenkach reggae. Pełen zepsucia i rozpusty, pełen pieniędzy i ważnych zdemoralizowanych osób. To jest, chciałem powiedzieć, pełen dobrej zabawy i pięknych nagich kobiet, spoglądających zalotnie na każdego faceta. Choć byli też piękni młodzi chłopcy, którzy spoglądali zalotnie na stare bizneswomen. No i oczywiście nie mogło zabraknąć pięknych chłopców, którzy spoglądali zalotnie na mężczyzn odwiedzających Wieżę, oraz, *last but not least*, pięknych dziewcząt gotowych zaspokoić dowolny kaprys starej, zestresowanej bizneswoman. W Wieży panowały pełna tolerancja i zrozumienie dla wszelkich orientacji seksualnych.

Nie to co w Biblii.

Poczułem smutek na myśl, że nie mogę na tym piętrze zatrzymać się dłużej.

Mimo wszystko nie miałem zamiaru zmieniać się w mnicha. Mimochodem zagarnąłem ramieniem jedną z półnagich kelnerek. Miała ładne piersi i zachęcający uśmiech. Gość w Wieży może wszystko, płaci się tylko za wstęp, a dalej - hulaj dusza, a właściwie - hulaj ciało. Każda kelnerka może być twoja, możesz wypić tyle drinków, ile zdołasz, a jeśli chcesz narkotyki - proszę bardzo, nic prostszego. Raj, cholera. Szkoda, że w tej historii przypadła mi niewdzięczna rola Pana Boga, który kończy z tą sielanką.

Kelnerka zmysłowo oblizwała wargi. Skąd mogła wiedzieć, że ze mnie taki klient jak z niej zakonnica?

Przez moment gładziłem dłonią jej zgrabne udo, ale po chwili jednak zrezygnowałem. Podczas akcji powinienem zachować przytomność umysłu, a kobiety bardzo mnie rozpraszały. Chwyciłem więc jeden z drinków z tacy, którą niosła, zmysłowo kołysząc biodrami, pocałowałem dziewczynę w sutek i odprawiłem.

Idź, pomyślałem, może trafisz na polityka albo innego bogacza. Nieźle na tym wyjdiesz, oni ci jeszcze dodatkowo zapłacą. A za kilka lat, gdy zajmą naprawdę ważne stanowiska, zasugerujesz delikatnie, że cena twojego milczenia w kwestii co bardziej pikantnych szczegółów z ich życia intymnego wzrosła. Zapłacą i wówczas.

Nachyliłem się, by wypić drinka, ale nagle straciłem pragnienie. Przyjrzałem się uważniej plamom światła, które odbijało się w absolicie wymieszanej z sokiem aroniowym. To nie mogło być zwykłe odbicie.

I nie było.

Z wnętrza drinka spoglądał na mnie wychudzony starzec, z rozwianymi włosami barwy popiołu. Ten sam, którego zobaczyłem przed Wieżą.

Ten sam, co w Bieszczadach.

- Spieprzaj, dziadu! - warknąłem, jednym haustem opróżniając szklanę.

Rozejrzałem się.

Dekoracje naprawdę robiły wrażenie. Niedaleko mnie rozciągała się miniatura wiszących ogrodów, przy czym wyglądało na to, że wszystkie rośliny sprowadzono faktycznie z Mezopotamii. Dookoła pełno było fontann i małych oczek wodnych. Meble - stoły, fotele, wieszaki, stojaki do win, lady, wózki z drinkami - wszystko to było zrobione z drewna cedrowego. Na ścianach i murach widniały płaskorzeźby - a to trzech brodatych starców w wysokich tiarach, a to ptaki z głowami lwów, a to gryfy. Wszędzie, gdzie się dało, obsługa poustawiała terakotowe figurki przedstawiające Isztar - boginię miłości, płodności i uciech cielesnych. Jednym z obrzędów jej kultu była prostytutka sakralna, przypomniałem sobie, stwierdzając zarazem, że posążki znakomicie oddają charakter Wieży. Gdzieś dalej mignęła mi nawet czarna replika steli Kodeksu Hammurabiego. Nie ma co - pełny koloryt, goście mają się czuć jak w Babilonie.

Chociaż kibel w kształcie miniaturowego zigguratu to już była przesada.

Duża część pierwszego poziomu, służąca za pokoje schadzek i igraszek seksualnych, odgradzona była od części barowej niebieską bramą, pokrytą złotymi wyobrazeniami zwierząt. Przed bramą, niby strażnik, stał wielki posąg skrzydlatego byka z ludzką głową. Posąg gapił się na mnie podejrzliwie.

No nieźle, mają tu systemy ochrony magicznej, pomyślałem. Oczywiście było, że posąg faktycznie jest strażnikiem obserwującym wchodzących. Bardzo skomplikowane zaklęcie, szefostwo Wieży musiało zapłacić za nie wiedźmom masę forsy. No, ale na biednego nie trafiło.

Pytanie tylko, dokąd posąg przekazuje swoje meldunki. Jeśli na dół, to nie mam się czym przejmować.

Posąg popatrzył na mnie z wyraźną niechęcią. Widocznie czar nie dość, że pozwalał na monitorowanie wejść i wyjść, to jeszcze kontrolował automatycznie to, czy gość opłacił wejściówkę.

Mimo wszystko to kamień, pomyślałem, tylko kamień. Nie ruszy się przecież i mnie nie stratuje. A przez bramę przejść muszę. Tak wynikało z planu. Winda kryła się gdzieś w gąszczu ustronnych, dźwiękoszczelnych pokoików, w których toczyła się najlepsza zabawa. Czy też, jak chcieli inni, w których kwitła rozpusta.

Mnie odpowiadała pierwsza wersja.

Spojrzałem jeszcze raz na strażnika. Dla pewności zaklepiłem mu oczy miętową gumą do żucia, która ponoć daje świeżość poranka - niech i bydlę ma trochę radości w swoim

nieruchomym życiu. Przeszedłem przez bramę. Rozejrzałem się - przestrzeń zmieniono w wąską uliczkę, która wiła się zakosami.

Królestwo za windę!

W tej samej chwili gdzieś od strony wejścia rozległ się przeraźliwy krzyk.

Oho, odkryli ochroniarzy, pomyślałem. Zaraz się zacznie.

Faktycznie, zaczęło się. Pomiędzy gości wbiegło kilkunastu całkiem współczesnych, obwieszonych bronią ochroniarzy. Przyspieszyłem kroku i wszedłem w labirynt uliczek. Kluczyłem tak może z dziesięć minut i nic - dalej nie mogłem znaleźć windy. A chłopcy z „Geralta” byli, sądząc po głosach, coraz bliżej.

Królestwo za windę!

Dusiołek nagle uszczypnął mnie w ucho. Obejrzałem się przez ramię i spostrzegłem, że jeden z kelnerów, odziany w babilońskie szaty, przygląda mi się uważnie. Nieufnie.

- W czymś pomóc? - spytał niby to uprzejmie, ale ja wiedziałem, że to tylko pozór, tylko gra, by odwrócić moją uwagę. Druga dłoń, ta, której nie mogłem dostrzec, zapewne w tej chwili szuka przycisku alarmu.

Cóż, chłopcze, pomyślałem, patrząc na młodego kelnera, pora żegnać się ze światem. Biegnij, Mef!

Zawlokłem ciało kelnera do jednego z pustych pokoików i ułożyłem je na łóżku. Można było mieć nadzieję, że przez jakiś czas nikt się nie zorientuje, że chłopakowi stało się coś złego. Najpierw pomyślał, że poszedł na stronę z jedną z chwilowo wolnych prostytutek. To był oprócz napiwków dodatkowy bonus dla kelnerów pracujących w Wieży. Wiedzieli o tym wszyscy.

Pewnie dlatego mają zawsze tylu chętnych do pracy, pomyślałem, chociaż pracy w Polsce przecież nie brakuje!

Wyjrzałem z pokoiku na zewnątrz. Ludzie z „Geralta” jeszcze nie dotarli do „dzielnicy uciech”, jeszcze nawet nie przeszli przez bramę. Przyspieszyłem kroku. Według planu musiałem być tuż-tuż przy windzie. Tak mówił rysunek - a rzeczywistość?

Wszędzie były tylko niby-domki, które faktycznie stanowiły rząd pokoi rozkoszy. Wszystkie wyglądały podobnie. Monotonię dekoracji przerywała kolejna brama.

Po co tu ona, pomyślałem, podchodząc bliżej.

Brama była zamknięta. Na grubych drewnianych drzwiach umieszczono płaskorzeźbę - wysoka postać, ubrana w długą rozchyloną szatę. Postać deptała ludzi kłębujących się u jej stóp. Powoli odczytałem napis u góry.

NERGAL.

Zrobiłem kolejny krok, a wtedy wszystko stało się jasne. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Winda.

Nareszcie.

Wszedłem pospiesznie, naciskając dwójkę. Drzwi zamknęły się cicho. Gdzieś zza ściany dobiegały wściekle krzyki ochroniarzy, ale mnie to już nie obchodziło. Będą szukać na pierwszym poziomie. Niech szukają.

Ja jechałem do NIEJ.

Po NIA.

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Wdowiak odchrząknął.

- Możemy kontynuować, panowie? - zapytał.

Kapelusznik, wyrwany z rozmyślań, energicznie pokiwał głową. Ręką przywołał adiutanta, który nachylił się do przełożonego. Kapelusznik szepnął mu coś na ucho, po czym adiutant wyszedł szybkim, sprężystym krokiem służbisty. Gdy znów się pojawił, nie był sam. Szła za nim kobieta. Blondynka. Miała białą sukienkę, jasne włosy i jasną cerę. Z całością kontrastowały oczy - ciemne i uważne. Kobieta była zjawiskowo piękna. Wdowiak odruchowo spojrzął na jej palec. Nosila obrączkę. No przecież!

Cholera, zaklął w myślach, dlaczego wszystkie fajne babki muszą już być zajęte? No, ale trzeba przyznać, Departament Nekromancji odwalił kawał dobrej roboty.

- Pani Agnieszka znakomicie posługuje się współczesną polszczyzną - wyjaśnił pospiesznie Kapelusznik, sadzając kobietę na jednym z krzeseł. - Dzięki wysiłkom nekromantów lokalizacja jest kompletna.

- Czy ci wasi... nekromanci... - zaczęła kobieta. Głos miała ciepły, głęboki. Taki jak lubię, zauważył mimochodem Wdowiak, jeśli się zgodzi, naprawdę będzie jej szkoda. - ...nie mogliby pomóc mojemu mężowi? Czy nie mogliby wyciągnąć go tak jak... Jak mnie?

- Niestety, nie - odparł Wdowiak. - To jest możliwe tylko wtedy, gdy dusza nie jest potępiona. Gdy nie stoi w przedsionku piekieł, tuż przed bramą Królestwa Lucyfera. A pani mąż, cóż, nie będę ukrywał... Jego położenie jest niezwykle trudne.

Ukryła twarz w dłoniach. Zgromadzeni w salce wojskowi usłyszeli cichy płacz.

- Wiem - wyszeptwała. - Widziałam. Z góry.

- Jest jednak pewna szansa - wtrącił prędko Kapelusznik. - Wspominałem już pani o niej wcześniej. Ale to wymaga zaangażowania. Również z pani strony. Sami nie możemy podjąć

negocjacji. To byłaby dla nas pewna śmierć. Zły ma na nas zbyt wielki wpływ. Co innego pani. Ktoś, kto jest o krok od Niebios.

- Zgoda - powiedziała bez zastanowienia.

Masz ci los, pomyślał generał. Więc jednak. I tak szybko... Co za kobieta. Aby ukryć rozczarowanie, zerknął w papiery.

- To będzie niebezpieczna misja - zaznaczył. - Operacja nie będzie miała biskupiego imprimatur. Wie pani, ciężki grzech.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Po zakończeniu akcji może pani na wiele lat utracić możliwość powrotu tam, skąd panią ściągnęliśmy. Może pani trafić na powrót do Czyścica, a to, o ile wiem, nie jest zbyt przyjemne miejsce. A może być jeszcze gorzej.

Kobieta otarła łzy i spojrzała na Wdowiaka.

- Chcę mu pomóc - rzekła z mocą. - Nic innego mnie nie interesuje. A cena... panu może wydawać się ona wysoka. Bardzo wysoka. Ale dla mnie to tyle co nic. Tyle co nic, rozumie pan? Niebo bez niego jest puste.

Kapelusznik i kadrowiec odetchnęli z ulgą. Generał skinął głową i nadal wpatrywał się w swojego nieziemskiego gościa.

Nieziemskiego, pomyślał, to bardzo dobre słowo.

7

Drugi raz spotkałem JAŁ w tym samym barze, co poprzednio. Wstydziłem się trochę porównania, które przyszło mi do głowy, gdy ją zobaczyłem. Wiem, że owo porównanie jest oklepane jak pupa sekretarki, ale niech tam, powiedzieć to muszę - w pierwszej chwili pomyślałem, że widzę anioła. Anioła właśnie!

Lecz nie uprzedzajmy faktów.

Począwszy od tego wieczora, kiedy spostrzegłem JAŁ wraz z tym groteskowym indywiduum w kapeluszu, odwiedzałem „Questa” co noc, w nadziei że dziewczyna znów się zjawi. Przesiadywałem długie godziny, wypijałem hektolitry piwa, a na koniec, gdy widziałem, że nie ma szans, by przyszła ONA - brałem sobie inną, zazwyczaj którąś z obecnych w barze pańienek. Każdego ranka natomiast, gdy budziłem się obok nieznanymy prostytutki, miałem przed oczami nie tę, z którą spędziłem noc, ale właśnie ją. JAŁ.

Kobietę w bieli.

Dlatego każdego dnia wracałem do „Questa”. Tak było przez trzy tygodnie. Potem straciłem nadzieję.

Jak wiadomo, tradycyjnym polskim lekarstwem na brak nadziei, na utraconą miłość, na rozczarowanie i na każdy inny Weltschmerz jest zapomnienie. Znałem wiele metod zapominania. W „Queście” też je znali. Nie zmieniłem nawet lokalu - tylko menu było inne. Już nie piwo, ale absynt, już nie marihuana, ale skuny, już nie cukier do kawy, ale kokaina.

Tamtego wieczora zdecydowałem się właśnie na narkotyki. Rozsypałem kokainę na blacie stolika w długą, białą autostradę, na której końcu była niepamięć. Przez moment patrzyłem na przecinającą stół szramę bieli z apetytem, wreszcie przyłożyłem rurkę do nosa i pochyliłem się nad czarnym blatem.

W tej samej chwili ścieżka drgnęła. Początkowo myślałem, że to efekt narkotyków, ale nie, nie zdążyłem wciągnąć do nosa nawet centymetra proszku. Tymczasem ścieżka rozmyła się całkowicie. No tak, jakiś debil otworzył okno i przeciąg zaraz zdmuchnie mi cały towar ze stolika! - pomyślałem. Ale biały proszek bynajmniej nie odfrunął, lecz uformował się w litery. Przetarłem oczy. Zamrugalem. Wypiłem szybko kieliszek wódki.

Na stoliku tuż przed moim nosem wciąż widniało ukształtowane z kokainowego pyłu słowo.

CZEŚĆ

Rozejrzałem się dookoła niespokojnie. Ktoś na mnie poluje? Naraziłem się którejś z poznańskich czarownic? Albo służbom specjalnym RP? Możliwe, cholera. Po kolei rozważałem wszystkie ewentualności. Każda była bardzo prawdopodobna. Żadna nie rokowała dobrze.

Wtedy JA zobaczyłem.

Wyglądało to tak, jakby wyszła do mnie prosto z chmury tytoniowego dymu, która zasnuwała pomieszczenie. Tym razem była sama, bez lamera w kapeluszu. Uśmiechała się do mnie zalotnie. Zdecydowanym ruchem ręki zmiotłem kokainę ze stolika. Już jej nie potrzebowałem.

Dusiołek na moim ramieniu zaczął niecierpliwie przebierać kopytkami.

Słusznie.

Nie rozmawialiśmy długo. Nie jestem zbyt gadatliwy, zresztą o czym miałbym jej opowiadać? O tym, jak zastrzeliłem szefa poznańskiej mam? A może, dla odmiany, o akcji, podczas której poderżnąłem gardło komendantowi wojewódzkiemu policji? O wyprawie do zachodniej Europy, która skończyła się krwawą jatką w jednym z nocnych klubów Paryża? O porządkach w moskiewskiej organizacji przestępczej? Czy może o kilkudziesięciu innych egzekucjach, które wykonałem bez mrugnięcia okiem?

To prawda, praca była moją pasją, ale chwilowo straciłem ochotę, by o niej mówić. Nie chciałem spłoszyć anioła, który przysiadł naprzeciwko mnie.

Poza tym miałem inne niż dar wymowy zalety i nie zawahałem się ich użyć.

Żadna kobieta, z którą spędziłem noc, nie wychodziła ode mnie niezadowolona. Niezależnie od tego, ilu i jakich kochanków miała wcześniej - Murzynów, Ruskich, Włochów czy stwory sprowadzane z Drugiej Strony, żaden nie mógł się ze mną równać. Ile razy słyszałem, gdy szeptały, że to, co ze mną przeżyły, było boskie, zniewalające, że doprowadziło je do transcendentalnych uniesień.

Dusiołek nie był jedyną zdobyczą, którą wyniosłem z Bieszczad.

Poznawaliśmy się z jasnowłosą długo i zapamiętaliśmy, na różne sposoby. Dusiołek podpowiadał mi coraz to nowe konfiguracje, dodawał sił, zachęcał i wył z zachwytu. Dziewczyna w bieli też wyła. Kilkakrotnie doprowadzałem ją do spazmów, ale gdy tylko kończyłem, ona szeptała mi do ucha: „więcej”.

I dostawała to, o co prosiła.

Przez jakiś czas traktowałem to jak czystą rozrywkę, ot, najzwyklejszy na świecie seks od pierwszego wejrzenia. Jednak powoli zacząłem zapadać się w nią, z każdym kolejnym razem jej wspaniałe ciało pochłaniało mnie mocniej i mocniej. Czułem ją wszystkimi pięcioma zmysłami i szóstym, wyostrzonym po wizycie w Bieszczadach również. Tak powinny wyglądać anioły.

Kiedy wreszcie wszystko się skończyło, delikatnie pocałowała mnie w policzek. Czule. Bardzo ciepło.

Chyba właśnie w tamtej chwili się w niej zakochałem.

Opuściła pokój dopiero wtedy, gdy całkiem pojaśniało. Całą noc, myślałem rozgorączkowany, była ze mną przez całą noc! Co za kobieta.

Na odchodnym, gdy już włożyła sukienkę, uczesała włosy i zrobiła sobie makijaż, jeszcze raz spojrzała w moją stronę.

- Byłeś świetny - rzekła miękko. - Niestrudzony.

Kiedy była już przy drzwiach, odwrócona do mnie plecami, szepnęła do siebie. Gdyby dusiołek nie wyostrzył mi zmysłów, nawet bym nie wiedział, że coś powiedziała.

- Prawie tak dobry jak on...

Zdziwienie odebrało mi mowę. Jak kto? Cholera, jak kto? Nie łudziłem się, że jestem pierwszym facetem w jej życiu, co to, to nie. Była zbyt doświadczona, znała zbyt wiele

sekretów męskiego ciała, by mogła być nowicjuską. OK, wszystko się zgadzało. Ale kto mógł być lepszy ode mnie?

Wściekły rzuciłem butem w lustro, tłukąc je w drobny mak. Wyciągnąłem z szuflady pistolet i strzeliłem w lampę.

Kto mógł być lepszy?

Nie tak się umawialiśmy, starcze, pomyślałem. Nie tak. Obiecywałeś coś innego. Wtedy. W monasterze.

8

Sen czy nie, myślałem, słuchając słów starca, oferta nie do odrzucenia. Jeśli to sen - cóż szkodzi powiedzieć: „Tak”? A jeśli nie - tym lepiej dla mnie. Tak kalkulowałem, stojąc pośrodku starego monastyru, wpatrując się to w pomarszczoną twarz siwowłosego, to znów w różne ohydztwa na ścianach.

Słuchałem.

Nadzwyczajna sprawność w łóżku była tylko jedną z wielu propozycji siwego. Wcale nie najważniejszą.

- Siła - ze spieczonych ust płynęła monotonna wyliczanka. - Nieraz obrywałeś od twoich, hmm... ziomali, prawda? To się skończy. Na zawsze!

Z trudem przełknąłem ślinę. Prawda, obrywałem. Całkiem niedawno. Mimowolnie dłoń powędrowała w stronę śliwkowej plamy pod okiem, będącej dziełem Krzywego, w stronę żebra stłuczonego kijem golfowym Carcka.

Carck uważał się za arystokratę wśród dresiarzy. Nigdy nie splamił się używaniem plebejskiego bejsbola, preferując golf - sport dżentelmenów. To było zresztą niegłupie - kije golfowe były metalowe. Dłuższe. I nie budziły tylu podejrzeń u mundurowych.

- Szybkość reakcji - kusił dalej starzec, a każdy kolejny argument brzmiał bardziej przekonująco. - Inteligencja i orientacja w terenie. Wyostrzą się twoje zmysły. Zwiększy się wytrzymałość i odporność na ból.

Brzmiało to wszystko jak bajka, a ja, choć nienawykły do czytania bajek, słuchałem, jak małe dziecko słucha historii o Królownie Śnieżce, Sierotce Marysi czy Czerwonym Kapturku. Każdy słyszy bajki na własną miarę.

Ilekoć oglądałem filmy z van Damme'em, ilekoć biłem się podczas dyskotek, zawsze śniłem o tym, by być silniejszym, sprawniejszym i śmielszym. Marzyłem, żeby nie skomleć, kiedy tylko ktoś muśnie mnie pięścią. Marzyłem, by nie mówili na mnie Miękki.

- Choć, prawdę mówiąc, odporność na ból nie będzie ci wcale potrzebna. - Oczy starca wwiercały się w mój umysł. Zdawało mi się, że czyta kolejne zachcianki i oferuje je na tacy, jedną po drugiej.

Skoro to sen, wszystko jest możliwe, uświadomiłem sobie.

- Ciebie nie będzie można trafić. Będziesz nietykalny. Kula wystrzelona metr od ciebie przejdzie bokiem. Ostrze noża prześlizgnie się po kurtce albo napastnik się potknie i sam się pokaleczy. Jeśli ktoś będzie chciał cię rozjechać samochodem - wpadnie na pobocze. Ktoś będzie chciał cię otruć - trucizna przypadkiem znajdzie się w jego szklance.

Nie kłamał. Kiedyś to sprawdziłem. Wyszedłem na autostradę Poznań-Berlin, gdzie samochody gnały dwieście na godzinę. Stałem na lewym pasie. Czekałem niecałe dziesięć minut. W tym czasie piętnaście samochodów porozbijało się dookoła mnie, bez żadnej widocznej przyczyny trzaskając w barierki, wjeżdżając na stromy, zielony trawą nasyp odgradzający autostradę od normalnego świata. Piętnaście rozpędzonych do dwustu kilometrów na godzinę aut, a w nich piętnastu zakochanych w prędkości kierowców, z których ani jeden nie miał prawa mnie spostrzec, kiedy tak stałem na lewym pasie. Wszyscy oni skończyli w karoseriach pogniecionych jak puszki po piwie.

Ja wyszedłem z tego nawet nie draśnięty.

- A oprócz tego... - Starzec zbliżał się do końca, nie ustając w kuszeniu. Nie wiem, po co. W tamtym momencie byłem już zdecydowany. - Dorzucę coś specjalnego. Nazywacie to promocją, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął za siebie, w pełen pajęczyn mrok, który otaczał jego fotel. Kiedy zobaczyłem, co stamtąd wyciągnął, odskoczyłem z przerażenia. To był jeden z maskaronów namalowanych na ścianie. Szczerzył do mnie brunatny pysk najeżony ostrymi zębami, merdał nagim ogonem, zakończonym gęstym kosmykiem sierści, i płaszczył się przy nodze starca.

Wspominałem już, że Mef nie jest zbyt urodziwy, prawda?

Widząc moje przerażenie, siwy wyjaśnił:

- To dusiołek. Czart. Pomniejszy, lecz bardzo zdolny. Nie służył już od kilkuset lat, ale to nic. Dzięki temu jest głodny wrażeń. Głodny służby na powierzchni. Będzie ci posłuszny. Może się przydać.

Spojrzałem na wytrzeszczone oczy czarta, na jego ostre kły, na pazury. Spostrzegłem, z jak nieprawdopodobną szybkością się poruszał - zupełnie tak, jak gdyby materia dla niego nie istniała - raz był w jednym miejscu i w tej samej sekundzie w innym, oddalonym o wiele kroków.

Istotnie, może się przydać.

- Wabi się Mefistofeles - dokończył starzec, czochrając czarta po gęstych kudłach na głowie. Spod czarnych włosów wychyliły się dwa nieduże rogi. - Ja jestem jednak kimś, kogo pośród ludzi nazwano by człowiekiem interesu. Swego czasu ukułem nawet powiedzenie: „Czas to pieniądz”. Używam skrótu. Po prostu Mef.

- Mef! - powtórzyłem po nim, a dusiołek zamerdał ogonem, zastukał kopytkami i skoczył mi na ramię.

Wzdrygnąłem się, ale czarta nie przegoniłem. Ostatecznie nie wygląda tak źle, pomyślałem.

- Ludzie interesu nie dają nic za darmo - powiedziałem, patrząc w oczy, w których płonął ogień. - Ludzie interesu chcą zapłaty. I to obdarowany zazwyczaj wychodzi gorzej na transakcji. Ludzie interesu nie są głupi.

- Oczywiście, będę oczekiwał wdzięczności - przerwał mi pospiesznie. - Lecz zapewniam, w porównaniu z korzyściami, jakie płyną z umowy, to nic wielkiego.

Ot, nic nieznaczący drobiazg. Jeden podpis, jedno zobowiązanie. Wszystko napisane jasno, ani słowa drobnym drukiem. Starczy ptaszek na umowie.

Starzec wykonał dziwny gest ręką. W jego dłoni pojawił się nagle płat skóry.

- Bycza - wyjaśnił, widząc moje spojrzenie. - Wiem, to wygląda nieco staroświecko, ale wszystkie cyrografy spisują w ten sposób. W mojej branży należy dbać o tradycję.

Skóra była pokryta czarnym pismem. Siwy z uśmiechem wręczył mi dokument. Zacząłem czytać.

Oglądałem swego czasu program o neurologicznych podstawach świadomości. O tym, że dusza z całą pewnością nie istnieje, że to ułuda i wymysł kapłanów, że nasza świadomość gaśnie bezpowrotnie wraz ze śmiercią. Duszy nie ma, wywodził poważny naukowiec, nie było i nie będzie. Należy więc za wszelką cenę dążyć do przedłużenia życia i zachowania ziemskiej świadomości, bo my, ludzie, innej zwyczajnie nie mamy. Pamiętałem dobrze te słowa.

Dusza nie istnieje.

Dlatego czytając umowę, zdziwiłem się mocno. Taki cwaniak, pomyślałem, a gotów dać mi to wszystko, o czym opowiadał, praktycznie za darmo?

W zamian za duszę?

- Wiem, że cena jest niska - wycedził starzec, przyglądając mi się uważnie. - Potraktuj to jako swego rodzaju kredyt. Jeden podpis.

Skinałem głową. Stary kręcił, to było pewne. Ale z drugiej strony, co mi szkodziło podpisać cyrograf? Faktycznie, cena była żadna.

Tyle co nic.

Śmierć frajerom! Trzeba brać, jak głupcy dają!

Poza tym - to wszystko było przecież snem. Snem dziwnym, nadzwyczaj realnym, co świadczyło jedynie o jakości towaru, który zebraliśmy w Bieszczadach. Jeśli wywoływał tak silne halucynacje, to dzieciaki na Zachodzie zapłacą za niego majątek.

- Zgoda - powiedziałem wolno, a widząc, jak twarz starca promienieje, dodałem: - Ale chciałbym wprowadzić pewne warunki dodatkowe.

Wbrew moim oczekiwaniom mój rozmówca nie wybuchnął gniewem, nie zirytował się nawet. Wyglądał tylko na nieco znużonego.

- Warunki dodatkowe? Znowu? Wy ludzie jesteście przeraźliwie nudni, powtarzalni i przewidywalni. Zawsze znajdziecie pokrętne tłumaczenie, do logiki zero-jedynkowej próbujecie wprowadzić całe spektrum stanów pośrednich, rozmywacie odpowiedzialność, dzielcie włos na czworo, a zamiast jednego dusiołka na szpilce dopatrujecie się kilkudziesięciu tysięcy czartów. Jakby jeden Mef to było mało. Ale niech będzie. Nie przedłużajmy. Czas to pieniądz, czyż nie?

Potaknąłem mu bezwiednie, a on z paskudnym uśmiechem spytał:

- No więc co to ma być?

9

Apartament na trzecim piętrze, w którym mieszkał właściciel Wieży, nie wyglądał najlepiej. Uściślając, nie wyglądał najlepiej po tym, kiedy do niego wszedłem, a kilku ochroniarzy próbowało mnie powstrzymać.

Krew zachlapała wszystkie ściany, okruchy luster i wazonów pokrywały podłogę. Amulety, teraz bezużyteczne, wały się tuż obok nadtłuczonej i nieaktywnej szklanej kuli. Szkoda, pomyślałem. Dziś miała być transmisja z Ligi Mistrzów. Jak ja ją teraz obejrzę?

Siedziałem naprzeciwko właściciela Wieży i wpatrywałem w jego pełne strachu oczy. W oczy, w których odbijała się szara lufa mojej broni.

- Nie wiem nic na temat dziewczyny - mówił płaczącym głosem Ryłski.

Znał mnie, swego czasu był moim klientem. Konkurencja dawała mu się mocno we znaki, przy czym grała nieuczciwie - obniżając ceny, poprawiając jakość i inwestując w

promocję swoich lokali. W odróżnieniu od nich, Artur Ryłski postąpił honorowo. Wynajął zabójcę.

Mnie.

Teraz zaś sam próbował się wyłgać, próbował odwrócić moją uwagę od siebie. A wiedział, że nie było to proste zadanie.

- Nie gniewaj się, Janek, przecież jesteś ziomalem. Nie ja kazałem strzelać ochroniarzom.

No jasne, pomyślałem. Nie ty. Ochroniarze to w ogóle chcieli sobie postrzelać do rzutków. Tylko, iście dziw nad dziwy, z windy nie uleciały w stronę sufitu rzutki. Nie uleciał klucz dzikich kaczek, bladym rankiem zerwany do lotu przez płochacza buszującego w szuwarach. Nie pojawiły się tarcze z podobiznami różnych znanych osobistości, do których tak lubią strzelać członkowie bractw kurkowych. Nic z tych rzeczy.

Z windy wyszedłem ja.

Poziom numer dwa to była, jak przeczytałem na planach zabranych z piwnicy, najprawdziwsza Sodoma i Gomora. Czyli - to, co na poziomie pierwszym, tyle że do kwadratu, plus seks ze zwierzętami. Rozpusta i grzech w pełnej krasie. Najlepiej byłoby to skwitować słowami wieszczka: „Jebią, piją, skręty palą, tańce, hulanka, swawola”. Jednym słowem to, co lubiłem najbardziej. Jaka szkoda, że nie mogłem zostać.

Od razu zabrałem się więc do roboty.

Myślę, że sam Bóg, o ile jest w ogóle Bóg, a nie tylko puste gadki księży, więc ów hipotetyczny Bóg, myślę, mógłby być ze mnie zadowolony. Sam nie zniszczyłby Sodomy i Gomory bardziej akuratanie. Zabrakło wprawdzie biblijnych deszczów ognia i siarki, więc być może widowisko nie było tej urody jak wówczas, gdy do niszczenia zabrał się sam Pan, ale, śmiem zaznaczyć, różnorodnych fajerwerków nie żałowałem. Miałem w butli dzinna o wścieklej mocy, kilkadziesiąt granatów ręcznych, które odebrałem ochroniarzom, miałem - również od ochroniarzy - szybkostrzelny pistolet maszynowy, no i dusiołka, który uwielbiał ziać ogniem i wzniecać pożary. Dlatego opuszczając to piętro przez bramę Beliala, gdy całe pomieszczenie zasnuwał gęsty dym jak gdyby z pieca, w którym topią metal, bez kozery mogłem rzec: „Nikt nie wyszedł stąd żywy”.

Bo to źli ludzie byli, pomyślałem, wciskając w windzie trójkę.

Nigdy nie rozumiałem sadomasochistów. Dla mnie stanowili bandę dewiantów i tyle. Dla Wieży był to jednak znaczący segment klientów, a pieniądze, wiadomo, *non olet*. Wieża zawsze przygotowywała jedno piętro przeznaczone specjalnie dla nich. Tym razem padło na trzecie.

Już w windzie przeczytałem, że nosi ono nazwę Dante.

Porzućcie wszelką nadzieję ci, którzy tu wchodzicie.

Ochroniarze, istotnie, porzucili. Opór był znacznie słabszy i mniej skoordynowany. Za to więcej było klientów, którzy, cholera, nawet cieszyli się, jak któregoś kopnąłem czy potraktowałem kolbą. Rura miękła im dopiero wtedy, gdy ukazywał się Mef. Choć nawet wówczas niektórzy bardziej niż z bólu wyli z rozkoszy.

Pieprzeni zboczeńcy.

Szedłem więc przez piętro, rozglądałem się uważnie, mijając biczujących się mężczyzn, nacinające skórę kobiety, biczujące się kobiety, nacinających skórę mężczyzn, kelnerki w czarnych, lśniących tandetą skórach, nacinające i biczujące mężczyzn i kobiety, grupki ludzi we włosiennicach, innych znów upijających się tak, że następny ranek musiał przemienić się w ocean bólu. Dziwaczne towarzystwo, nie ma co, pomyślałem, rozpoznając wśród owego towarzystwa niejednego polityka.

Szedłem i nagle zauważyłem znajomą postać, przemykającą między dekoracjami. Nie wyglądała jak jeden z gości, którzy gustują w katowaniu swego ciała, a kuśka staje im wtedy, kiedy dobrze im przyłać. Nie, ten człowiek wyglądał na normalnego. Przyjrzałem mu się bliżej. Ryłski? Co on robił tutaj, tak nisko? Zawsze rezydował na poziomie piątym.

Może to nawet lepiej. Nie będę musiał włączyć na samą górę.

Dogoniłem drania szybko, tuż przy wejściu do sporego apartamentu, z którego na mój widok wyskoczyli ochroniarze. Czy muszę opowiadać, jak skończyły się ich żałosne wysiłki? Ten cały teatr, te krzyki, te śmiertelnie poważne miny, ech, to by było dobre w filmie, ale nie w życiu.

W każdym razie dusiołek miał niezłą ucztę.

- Przypuszczałem, że znajdę cię wyżej - warknąłem, przygniatając Artura do podłogi.

Moje kolano naciskało jego szyję. Na razie słabo. Niech pojmie, że jest jeszcze dla niego szansa. Dwóch normalnych, rozsądnych ludzi zawsze się dogada.

- Gdzie jest dziewczyna? Gdzie Aga? Pokręcił przecząco głową.

- Nie wiem - wychrypiał. - Puść... opowiem! Niech mu będzie, powiedziałem sobie. Przez moment mogę być miły. Zależało mi na informacjach.

Artur Ryłski mówił wiele, jak gdyby próbował mnie zagadać i odwlec to, co i tak, jak wyczytał w moich oczach, było nieuchronne. Słuchałem go, przyglądając się wielkiemu akwariom, które dziwnym trafem ocalało mimo strzelaniny. Dowiedziałem się od Artura, że sprzedał on udziały w Wieży i dlatego przeniósł się do apartamentów na trzeci poziom. Że - podobno - nie miał nic wspólnego z porwaniem dziewczyny, a o całej sprawie dowiedział się później, kiedy nic już nie mógł zrobić. Wyjaśnił też, że nowemu właścicielowi Wieży zależało

na kupnie klubu ze względu na jego lokalizację. Ponoć z tym miejscem wiązały się jakieś ważne dla niego wspomnienia. Faktycznie, kiedyś stała tu stara knajpa, prowadzona przez emigrantów z Włoch, zdaje się zabytek, bo aby wyburzyć ją i wznieść Wieżę, należało przekupić kilku urzędników z wojewódzkim konserwatorem zabytków na czele (działo się to jeszcze w czasach, gdy urzędnicy nie byli związani zakłębieniami lojalnościowymi, co całkowicie wyeliminowało łapówkarstwo). Ale dlaczego ta stara knajpa i owo miejsce były tak ważne dla nabywcy, Rylski nie potrafił wyjaśnić.

Nie potrafił lub nie chciał również odpowiedzieć na zasadnicze pytanie - kim był ten, który kupił od niego udziały?

- Nie idź tam - rzekł na koniec, chwytając mnie za rękaw. - Nie wiem, kim jest nabywca, ale nie wygląda przyjemnie. Wiem, że ma szerokie koneksje, chyba w rządzie. Z pozoru sprawia wrażenie nieszkodliwego dziwaka, malarza czy może poety, ale to bullshit, zmyła tylko. To groźny człowiek. Niebezpieczny.

- Niebezpieczny... - powtórzyłem przeciągle. - Groźny... Słuchaj, Artur, bajki ci się popierdoliły. W tej to ja jestem ten niebezpieczny. Ten zły. Ten groźny. Jeszcze się nie zorientowałeś, jakie będzie zakończenie? Skurwiel, kimkolwiek on jest i jakiegokolwiek ma koneksje, porwał moją dziewczynę. Porwał anioła. A więc spotka się z diabłem. Diabeł, uważasz, już do niego idzie.

Nie czekając na odpowiedź, strzeliłem do Artura. To na wypadek, gdyby po mojej tyradzie miał jeszcze jakieś wątpliwości.

Strzeżonego diabeł strzeże.

Rozejrzałem się po pokoju. Mój wzrok znów zatrzymał się na pięknym akwarium. Jak to jest, że we wszystkich filmach akcji akwaria rozpryskują się widowiskowo, co strzelanina - to akwarium zamienia się w kupę rozbitego szkła, a tutaj proszę - całe! Welony łypią na mnie wielkimi ślepiami, skalary śmigają z jednego końca zbiornika na drugi, ławica mniejszych rybek kluczy pomiędzy pokrytymi zielonym porostem konarami, a ślimaki i glonojady pracowicie czyszczą ściany.

A co mi tam, pomyślałem. Tradycja to ważna rzecz. Urządzimy zatem rybkom ekstradycję. Z wody na ląd.

Wygarnąłem do rybek całą serię.

Patrzyłem, jak wypływają. Jak się duszą, leżąc na dywanie. Jak próbują oddychać. I jak im to nie wychodzi.

Zupełnie jak Carck i pozostali.

Gdzieżby indziej, jeśli nie w Bieszczadach?

10

Nie uwierzyli oczywiście.

Kiedy wróciłem z dziwnego monastynu, opowiedziałem im, co mi się przydarzyło. Z detalami. Barwnie jak nigdy, z użyciem metafor, makaronizmów, antropomorfizmu, a nawet - onomatopei. Trzeba powiedzieć, że przed spotkaniem siwego starucha nie grzeszyłem elokwencją ani erudycją. Prawdę powiedziawszy, gdyby wcześniej ktokolwiek nazwał mnie erudytą, z miejsca dałbym mu w mordę, przekonany, że to ciężka obelga. Rozmowa z przemiłym starszym panem wiele tutaj zmieniła. Zarówno jeśli idzie o umiejętność wysławiania się, jak i rozumienia.

A oni - to znaczy Carck i pozostali kumple - mimo moich starań, mimo mojej świeżo nabytej elokwencji i erudycji, mimo szczegółowych opisów, a nawet mimo onomatopei, nie uwierzyli. Carck śmiał się gardłowo, krzycząc, że nigdy wcześniej nie trafił na grzyba, który wywoływał tak silne halucynacje, i irytująco poklepywał mnie po plecach. Obiecował nawet, że jeśli pokażę mu, gdzie owo cudo znalazłem, nie będzie mnie karał za to, że wróciłem z niczym. Reszta wzorem Carcka pokpiwała sobie z mojej głupoty, protekcyjnie mnie szturchała, a Jimi, bojąc się pewnie, że teraz to jego Carck wygna na żniwa, próbował zmusić mnie, bym wrócił do kotliny i jeszcze tego samego dnia, choć już szarzało, nzbierał cały koszt towaru.

Niewierni dresiarze. Ta niewiara to był ich błąd.

Zapierdoleni, którzy nie widzieli i nie uwierzyli.

Poczekalem jakiś czas, wiedząc, że niebawem zmorzy ich sen, a kiedy już zasypiali, postanowiłem wypróbować dusiołka.

Ledwie skinałem, ledwie pomyślałem, czego od niego oczekuję, a czart skoczył rozradowany, kręcąc młyńca ogonem. Przemknął obok łóżka Carcka, wzbudzając chmurę kurzu i podnosząc zeschłe liście. Carck, który jeszcze nie spał, zwrócił uwagę na kurz i liście dziwnie wirujące nad jego głową, ale całą sprawę musiał wziąć za omam pogrzybowy, bo tylko machnął ręką i przewrócił się na drugi bok. Dusiołek zaś pędził do Jimiego, śniadego dragala, którego nienawidziłem szczególnie mocno. Jimi chrapał głęboko, ale kiedy Mef był tuż obok, niespodziewanie, wiedziony instynktem otworzył oczy. Na tym jednak działanie instynktu się zakończyło - dalsze kroki podejmował już tylko dusiołek. Jimi nie krzyknął, choć sądząc po wyrazie jego twarzy - bez wątplenia chciał krzyknąć, zobaczywszy czarta. A milczał, bo stwór sprytnie zatkał mu usta kulą włosów, kończącą jego ogon. Jimi osłupiał, nawet nie starał się sięgnąć po pistolet czy nóż, co, nawiasem mówiąc, gównem by mu

pomogło, a Mef tymczasem pokazał dresiarzowi swe szpony i równie imponujące co szpony, użębienie. W Jimim, jasno pojmującym, że to koniec, musiały obudzić się jakieś uspione przez lata resztki katolicyzmu, bo próbował się przeżegnać, lecz próbował na próżno. Diabeł, przecinając mu stosowne mięśnie i ścięgna, skutecznie uniemożliwił wszelkie ruchy. Zwłaszcza te, które miały jakikolwiek związek z religią.

Uświadomiłem sobie, że sukinsyn, to jest Mef, nie Jimi, nie był zbyt tolerancyjny.

Jeszcze parę chwil, kilka cięć czarta, które obserwowałem z niekłamaną przyjemnością, i było po Jimim. Nawet nie krzyknął, tylko od czasu do czasu z cicha pojękiwał, na co pozostali zupełnie nie zwracali uwagi. Jimi miał w zwyczaju jęczeć przez sen, zwłaszcza kiedy abstynencja seksualna trwała dłużej niż tydzień.

Całe widowisko powtórzyło się jeszcze kilkakrotnie. Dusiołek zabijał cicho, lecz okrutnie, precyzyjnie wykonując moje instrukcje. Patrzyłem. W chacie zrobiło się całkiem ciemno, słońce skryło się już za górami, a ja ze zdziwieniem przekonałem się, że wcale mi to nie przeszkadza. Widziałem w ciemnościach. Trochę inaczej, może nieco mniej wyraźnie, ale widziałem. I czułem.

Zapach krwi. Zapach strachu. Zapach śmierci.

Nigdy tego nie dostrzegałem, nigdy nie pomyślałbym nawet, że śmierć czy strach mogą mieć swoją woń. Ale od tamtego momentu zacząłem je rozpoznawać. Polubiłem je.

Kiedy wszyscy prócz Carcka byli martwi, pomyślałem, że czas powąchać, jak będzie pachniał jego strach. I jego śmierć. Podeszedłem bliżej, stając tuż przy łóżku.

Dusiołek był gotów i śmiesznie przebierał kopytkami, ale odesłałem go zdecydowanym ruchem dłoni. Tę sprawę musiałem załatwić sam.

Powoli nachyliłem się nad Carckiem. Obudziłem go niezbyt mocnym uderzeniem w nos - ot, takim, by poczuł, by popłynęła krew, ale nie by zrobić jakąkolwiek krzywdę. Nie chciałem go zabijać. Jeszcze nie.

Muszę przyznać, że zaimponował mi swoją reakcją. W jednej chwili był na nogach, całkowicie przytomny i wściekły. Ze zdziwieniem dotknął rozbitego nosa, bardziej czując, niż widząc, lejącą się krew. Ryknął, jednocześnie jego dłoń szukała latarki.

Prawda, przypomniałem sobie, dupek nie widzi w ciemnościach. Chciałem, by walka była uczciwa. Jeden na jednego. Potrzebowałem takiej walki. I takiego zwycięstwa.

Pstryknąłem, a dusiołek włączył wszystkie lampy i latarki, które były w chacie. Większość świeciła blado, baterie się wyczerpywały, ale nawet ta skromna ilość światła starczyła Carckowi, by ocenić sytuację. By spostrzec, że nikt nie biegnie mu z pomocą, że wszyscy pozostali leżą z rozharatanymi gardłami na podłodze, że jesteśmy tylko my dwaj.

Ja i on.

Zagryzł wargi.

- Skurwielu - syknął bardzo pospolicie, a potem równie szablonowo ruszył na mnie z pięściami.

Pospolicie, ale szybko. Jak na kogoś, kto dopiero co został wyrwany ze snu, jak na kogoś, kto przed położeniem się zażył sporą porcję grzybów halucynogennych - bardzo szybko. Carck słynał z refleksu.

Szybkość reakcji, mówił starzec. Nie kłamał.

Cios Carcka, choć szybki, był czytelny. Uchyliłem się bez wysiłku i postanowiłem sprawdzić kolejną obietnicę, którą otrzymałem w monastyrze.

Siła.

Walnąłem swojego abdykującego właśnie szefa w żebra. Aż chrupnęło. Cios odrzucił go na trzy kroki, pod ścianę.

- Potraktuj to jako wypowiedzenie - mruknąłem.

Stare belki trzasnęły. Carck sapnął, jęknął, odruchowo chwycił się za bok, ale wstał, choć nie bez trudu. A ja tymczasem przypomniałem sobie o następnej obietnicy.

Nikt nie będzie mógł cię trafić. Będiesz nietykalny. Sprawdźmy.

Carck zebrał się w sobie, wstał, miną upodobił się do zranionego buhaja. Sięgnął do kieszeni, wydając stamtąd masywny kastet. Zrozumiałem, że zaraz znowu zaatakuje, na tym przecież polegała ta gra, gra, którą Carck zawsze wygrywał. Nie mógłby znieść porażki, zwłaszcza z mojej ręki, nie mógł nie zaatakować, nie mógł uciec - mimo że pojmował już, że stoi przed nim inny Jaś niż ten, na którego zwykli mówić Miękki.

Stałem.

Kiedy uniósł rękę do ciosu. Kiedy pochylił się do przodu jak bokser. Kiedy ruszył na mnie. Groźny byk na szalonego toreadora, który ani myśli drgnąć. Stałem.

A Carckowi i tak nie udało się mnie uderzyć.

Poślizgnął się na plamie krwi, na plamie, której, dałbym sobie rękę uciąć, jeszcze przed momentem tam nie było. Runął na starą podłogę chaty, smakując zębami spróchniałe kawały drewna, błoto, resztki traw i liści, które wnieśliśmy na butach. Policzek rozpruł sobie paskudnie o jakąś ostrą drzazgę, krwawa krecha sięgała od ucha aż po brodę. Znowu jęknął, znowu chwycił się za żebra, a ja zrozumiałem, że tym razem już nie wstanie.

Dość, uznałem i przyklęknąłem nad leżącym. Chwyciłem ciężki złoty łańcuch, z którym Carck nie rozstawał się nigdy, i kilkakrotnie owinąłem go wokół jego grubego karku. Na tyle

mocno, by mu to bardzo przeszkadzało, na tyle słabo, by się nie udusił. Jeszcze nie. Chciałem zamienić z Carckiem kilka słów. Wiedziałem, że drugiej takiej okazji nie będzie.

Powiedział wszystko. Numery telefonów, e-maile, kontakty, ulubione knajpy, hasła, ceny, adresy - wszystko, co chciałem wiedzieć o handlu naszymi kochanymi grzybkami. Wiedziałem już, do kogo mam się zgłosić w Amsterdamie, co mówić w Berlinie, do jakich drzwi zapukać w Brukseli i jaki posiłek zamówić w Paryżu, by dać kelnerowi oczywisty znak, że kolejny transport z Polski dotarł na miejsce.

Nie wiem, czy Carck liczył na to, że dzięki jego gadaniu daruję mu życie. Być może, tak mu przecież powiedziałem, ale kto przy zdrowych zmysłach wierzyłby obietnicy złożonej przez przestępcę?

Opowiadał długo, tak długo, że czarna noc zdążyła poszarzeć, sygnalizując, że poranek już blisko. Patrzyłem na twarz byłego szefa i wydało mi się, że nadciągająca jasność dodaje mu sił, że pozwala odzyskać nadzieję. Czy Carck naiwnie myślał, że wraz ze świtem moja moc się zmniejszy? Czy sądził, że jestem jakimś pieprzonym wampirem, który boi się światła? Demonem, który na powrót zmienia się w człowieka, gdy zapieje kur? Ech, stereotypy.

Zresztą, czy to ważne, co Carck podówczas myślał? W rzeczy samej był to zwykły przestępca, dresiarz. Debil. Czy kogokolwiek normalnego mogłoby obchodzić, co dzieje się w głowie dresiarza? Czy było tam cokolwiek interesującego? Ot, zwykły śmietnik.

Udusiłem go o wschodzie słońca. Gołymi rękami. Do ostatnich chwil rozpaczliwie łapał drętwiejącymi ustami powietrze.

Ów widok wywołał u mnie skojarzenie z rybą wyrzuconą na brzeg.

11

Miotła się jak ryba, kiedy zabierali ją z sobą.

Pamiętałem dobrze tę chwilę. Pamiętałem i bez przerwy czyniłem sobie wyrzuty. Nie pomogłem Agnieszce. Pozwoliłem jej odejść.

Zachowałem się jak jakiś biurowy dupek!

Wiedziałem, że nie można mnie trafić, lecz można było trafić Agę. Byłem odporny na ból, ale ona, cholera, nie. Nie lękałem się o siebie, lecz o nią - tak. Czarna lufa dotykała jej pięknych pleców, stalowe ostrze noża opisywało jej anielską szyję, delikatne ręce spięto w nadgarstkach potężnymi bransoletami kajdanek. Wiedziałem, że gdybym ich zaatakował, wygrałbym. Zabiłbym ich wszystkich, a mnie ich pociski nawet by nie drasnęły.

Mnie.

A z nią - co?

Patrzyłem bezsilnie. Zaciskałem pięści, aż krew przestawała płynąć w dłoniach. Obezwładniająca furia. Nawet dusiołek nie mógł mi wówczas pomóc - wraz z przyjściem tych w ciemnych garniturach zaczął słaniać się, dziwnie parskać, wyglądał jak zbity, chory pies. Ci, którzy przyszli po nią, musieli mieć wsparcie. Wiedzmy albo może księdza.

Splunąłem wściekle.

To, że Mef alergicznie reagował na księży, nie wymaga chyba żadnych wyjaśnień. Taka już jego czarcia natura, a ja - mówiąc szczerze - wcale jej się nie dziwiłem. Sam nie lubiłem czarnych, ich ciągłego moralizowania, pouczenia, wytykania innym błędów, podczas gdy w ich oczach tkwiły nie belki, ale las cały.

Inna rzecz, że mnie mieliby co wytykać - dlatego relatywizm moralny był znacznie bardziej atrakcyjny niż ich przestarzałe i porośnięte mchem zachodniej cywilizacji dziesięć przekazów.

Za wiedźmami też nie przepadałem. Od czarowania byłem ja, ja miałem dusiołka, ja miałem immunitet na kule. Irytowały mnie przemądrzałe babsztyle, którym wydawało się, że świat należy do nich. Irytowały mnie, bo, jak wieść niosła, i one kumały się z czarnym, zawierały pakty, podpisywały cyrografy na byczej skórze i korzystały z pomocy pochodzącej nie z tego świata. Nie bały się mojego dusiołka i, jak podejrzewałem, mogłyby też w jakiś sposób zneutralizować moją odporność na kule. Lękałem się wiedźm. Były dla mnie równorzędnym przeciwnikiem.

Dlatego kiedy przychodziło zlecenie na czarownicę, wykonywałem je ze szczególną przyjemnością.

Musieli mieć jędzę, kalkulowałem, to ona sparaliżowała dusiołka, ona ich ochraniała. No bo przecież nie mieli księdza ni egzorcysty - ci pracowali jedynie dla kurii i wojska, i byli bezwzględnie lojalni. Więc wiedźma, jedna z poznańskich jędz. Nie wiedziałem tylko, która.

Ale dowiem się, przysiągłem, dowiem się, kto porwał Agę, dowiem się, która czarownica przy tym robiła. I się z nią rozliczę.

Sumiennie.

Ci, którzy uprowadzili Agnieszkę, zjawili się niespodzianie, jak cienie, otoczyli nas, kiedy siedzieliśmy przy stoliku. Ja, płatny zbój, trzymałem blond piękność za rękę i szeptałem jej czule słówka. Do diabła, nie wiedziałem, że potrafię być tak miły, taki, kurwa, romantyczny. Nie wiedziałem, że potrafię godzinami siedzieć przy jednej lampce wina, przy świecach, przy lamerskiej muzyce.

Miałem mnóstwo kobiet, ale to były znajomości przelotne jak deszcze na pustyni - przychodziły nieoczekiwanie, trwały króciutko i nie pozostawał po nich żaden ślad. Korzystałem z życia, korzystałem z kobiet, bo uważałem, że kobieta to nie osoba, partner czy człowiek, ale przedmiot, nadzwyczaj miła maskotka do zaspokajania żądz. Ot, fajny, naturalny pluszak, nic więcej. Traktowałem w ten sposób wszystkie. Z wyjątkiem Agi.

Jej szeptałem czułe słowa i wyszukane komplementy, jej mógłbym śpiewać serenady, jej dłoń trzymałem w mojej, a zamiast wódki piłem całkowicie bezalkoholową kawę o dziwnym aromacie tylko dlatego, że taką lubiła ONA. Zapamiętałem się w Agnieszce - pewnie z tego względu nie zwróciłem na nich uwagi. Nie zwróciłem uwagi, że cienie ich garniturów widziane kątem oka niebezpiecznie gęstnieją. Nie zwróciłem uwagi na niecodzienną nerwowość kelnera. Liczyła się wyłącznie jej twarz, jej oczy, jej brwi, jej piersi, falujące miarowo i spokojnie. Nagle falowanie przyspieszyło - dopiero po tym poznałem, że dzieje się coś złego. Zerwałem się z fotela, odruchowo sięgnąłem po broń.

Pustka. Pistolet zostawiłem, nie chciałem, by zobaczyła mnie z pistoletem, kurwa, nie wzięłem nawet noża. Ich kilkunastu, ja jeden. Oni uzbrojeni po zęby, ja z gołymi rękami. Pierwszy raz od wielu lat zwątpiłem w to, czy dałbym radę. Zwątpiłem na moment, na krótką chwilę, ale to wystarczyło. Dwóch podeszło do Agi, przystawiając broń - jeden do jej pleców, drugi do gardła.

Musiałem, po prostu musiałem pozwolić im cię zabrać, aniele.

Znajdę cię, poprzysiągłem wtedy.

Miałem znajomości. Pieniądze otwierały wiele drzwi, a oni broczyli śladami jak postrzelona zwierzyna na śniegu. Bez trudu dowiedziałem się, kim byli. I dokąd JĄ zabrali.

Do Wieży.

12

Wieża trzęsła się w posadach. Kolejny poziom, czwarty, był przeznaczony dla tych Polaków, którym nie odpowiadały nowomodne rozrywki w rodzaju coraz to innych narkotyków, seksu z rusałkami lub nimfami, czy też bardziej i bardziej perwersyjnych tortur. Nie, mimo postępu, mimo rosnącej skokowo zamożności, wielu Polaków wciąż najlepiej bawiło się przy kilku butelkach wódki, ogórkach i tanich prostytutkach. W dalszym ciągu wielu chciało upijać się na smutno, śpiewać smętne piosenki i rujnować wątroby oraz własne małżeństwa. Ci kręcili nosem, widząc whisky albo wyszukane drinki, a zamiast nich brali gorzką żołądkową. Trzęsły ich dreszcze na widok oliwek czy owoców morza, bo jedyny owoc morza, który tolerowali, to śledzie w occie. Nie zażywali tak popularnych ostatnio grzybów

halucynogennych, a jedyne grzybki, jakie znali, to te marynowane, na zakąskę. Dla takich klientów Wieża przygotowała poziom czwarty. Moskwa.

To, co nie udało się na początku XVII wieku, podczas Dymitriady, to, na co zbyt słaby okazał się Hitler, to, o czym zapewne śnili Amerykanie w czasie zimnej wojny, mnie zajęło pół godziny. A może nawet mniej. Nie miejsce to, by opisywać detale, dość powiedzieć, że Moskwę zostawiłem spaloną i bezludną.

Szkoda, że to tylko dekoracje, pomyślałem, wsiadając do windy.

W pełnym wódki kieliszku, który zachłannym ruchem zgarnąłem ze stołu, połyskiwała twarz starca z rozwianymi przez wiatr włosami.

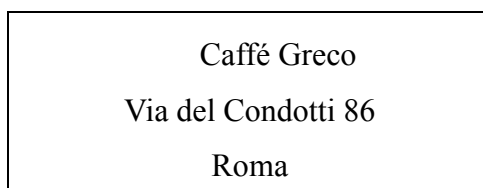
Piętro piąte, powiedziała sucho winda.



Piętro piąte było chwilowo zamknięte dla gości. Trwał remont, gorączkowa, bezładna krzątania. Zmiana dekoracji. Rozejrzałem się i spostrzegłem kręcących się tu i ówdzie robotników, którzy coś montowali, ustawiali pomniki, podłączali fontanny, zapalali stylowe lampy, ustawiali płotki przy ogródkach, rozstawiali wzorzyste parasolki, malowali ściany, kładli fototapety. Poczulem zapach lodów, kawy i spaghetti.

O kurwa!

Przyjrzałem się bliżej dekoracjom. Jakby znajome. Nie, nigdy nie byłem w tym mieście, ale widoki już znałem. Z pocztówek? Z telewizji? Dalej się rozglądałem, ale elektroniczna tablica informacyjna była nieaktywna. Dopadłem jednego z robotników, który niósł szyld, zmierzając do jednej z urokliwych kawiarenek. Zatrzymałem go. Zerknął na mnie zdziwiony, a wtedy ja popatrzyłem uważnie na tablicę.



O kurwa!

Przystanąłem, pozwalając robotnikowi odejść. Spojrzałem raz jeszcze dookoła. A przede mną było miniaturowe Forum Romanum, Campo di Fiori i fontanna di Trevi.

Rzym.

Zobaczyć Rzym i...

- No więc co to ma być? - spytał starzec, wwiercając się we mnie płonącymi kotłami oczu.

Spojrzałem bezradnie w stronę okna, zasnutego pajęczyną. Tłusty pająk łaził po lepkiej sieci i, mógłbym przysiąc, przyglądał się mi z uwagą. Zacierał odnóża.

Nie wiem, myślałem rozpaczliwie. Pomysł, żeby postawić dodatkowe warunki, przyszedł mi do głowy ot tak, z głupia frant. Pieprzona ułańska fantazja.

Co by to miało być, zastanawiałem się. Coś dziwnego, cholera, jakaś, kurwa, fantastyka. Coś, czego z pewnością nie zrobię, co będę mógł bez problemu kontrolować. Ot, nierealna bzdura. Przecież cały monastyr, cała rozmowa to były wymysły. Chora projekcja wyobraźni, podrasowanej działaniem kilkudziesięciu świeżutkich łybiczek lancetowatych, dopiero co zebranych w zacisznej bieszczadzkiej kotlinie. Miałem przed oczyma ich cienkie, delikatne nóżki brązowiejące pośród traw. Miałem przed oczyma ich stożkowate kapelusze, które dawały lepszego kopa niż staroświeckie LSD. Skoro tak, uznałem, skoro to wszystko grzybowy majak i widziadło wysane z psychoaktywnych substancji zawartych w kapeluszu owej łybiczki, więc i moje warunki mogą być z kapelusza.

Starzec tymczasem niecierpliwie kręcił młynka palcami i mrucał:

- Czas to pieniądz, czas to...

- Wiem! - wykrzyknąłem. - Po pierwsze, duszę moją weźmiesz wtedy, jeśli zginę z ręki kobiety, która umarła. Po drugie, weźmiesz ją, jeśli umrę, a żyć będę nadal. Wreszcie trzeci warunek: duszę moją możesz wziąć jedynie wtedy, jeśli umrę w Rzymie - palnąłem, improwizując iście po polsku.

Przede wszystkim, wykalkulowałem, dość łatwo było unikać Rzymu. Jest cała masa innych miast i innych dróg. Wbrew głupiemu powiedzonku, nie wszystkie prowadzą do stolicy Włoch.

Poza tym, przyszło mi do głowy, że to chyba ostatnie miejsce, gdzie diabeł mógłby przywędrować. Wiecie, Watykan, kardynałowie i te sprawy.

Teraz, pomyślałem, teraz starzec z pewnością mnie przegna. Zlekceważy, prychnie wrogo albo, co gorsza, rzuci na mnie tego paskudnego stwora, tego, kurwa, dusiołka czy innego czarta. A zresztą, nawet jeśli tak zrobi - cóż, mała strata. Przecież to sen.

Ułuda.

- Zgoda - powiedział tymczasem stary.

Wyciągnął do mnie rękę i dopiero wtedy spostrzegłem, że jego palce kończą się ostrymi pazurami - a może dopiero wówczas mu te pazury wyrosły, trudno stwierdzić. Dość rzec, że nim mrugnąłem, zapisy, które proponowałem, znalazły się na byczej skórze, równo

wykaligrafowane pod pozostałymi postanowieniami. Spojrzałem machinalnie - wszystko się zgadzało.

- Jesteśmy uczciwą firmą - mruknął starzec o włosach barwy brudnego popiołu, widząc moje zdumienie.

Szybkim ruchem ukłuł mi palec wskazujący. Na opuszku nabrzmiała spora, czerwona kropla.

- Pisz - warknął, odsłaniając zęby, które nagle wydały mi się wilcze, nieprzyjazne. - Czas bieży.

Powoli wodziłem zranionym palcem po byczej skórze. Co za cyrk, myślałem, co za idiotyzm. Co za sen.

KILKANAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

- Jeśli dobrze zrozumiałem wasz plan - Wdowiak odwrócił się do swoich współpracowników - ma dojść do wymiany, tak? Jeden za jednego. Widzę tu jednak pewną trudność. Biorąc pod uwagę położenie szanownego małżonka, trzeba by, *pardon my Polish*, wyjątkowego skurwysyna, by druga strona na taką wymianę wyraziła zgodę.

Kapelusznik uśmiechnął się chytrze. Bez słowa rozdał zgromadzonym kolejne dokumenty. Znow wszyscy pogrążyli się w lekturze, czytając życiorys obiektu, przyglądając się jego zdjęciom, licząc pospiesznie ciężące na nim wyroki sądowe. Szczególnie długo wpatrywał się w otrzymane wydruki Wdowiak. Wreszcie uśmiechnął się szeroko.

- Znakomity wybór - oświadczył. - My wykonamy robotę, której czart nie potrafił sprostać, a w zamian dostaniemy innego. Szanownego małżonka znaczy... Znakomity wybór. Twardy jest jak wrzód na dupie. Wiele razy próbowaliśmy go ująć czy zwerbować - i zawsze fiasko. Tak... - urwał na chwilę. - Myślę, że druga strona się zgodzi. Jestem tego pewny. Tylko że jak wynika z wykresów, naszemu obiektowi brakuje jeszcze nieco grzechów. Biorąc pod uwagę dynamikę przyrostu wykroczeń przeciwko dziesięciorgu przykazaniom, będziemy musieli czekać dobry rok, nim jego bilans zrówna się z bilansem, hmmm... szacownego małżonka. - Wdowiak z ukosa spojrzał na kobietę w bieli.

- Jest i na to sposób - wyjaśnił szybko Kapelusznik, przewracając kartki. Wreszcie znalazł odpowiedni wydruk i podsunął go pod nos generała. - Kilkadziesiąt trupów powinno załatwić sprawę. A nie będziemy przecież żałować mafiosów.

- Nie będziemy - potwierdził Wdowiak zimno, wczytując się w plan. - Więc prowokacja? Doskonale!

Kapelusznik uśmiechnął się z satysfakcją, zdejmując swój dziwaczny kapelusz skłonił głowę. I zniknął.

14

To nie był sen. To nie była halucynacja.

Byłem w Rzymie.

Szlag.

Zaraz, zaraz. Nie bądźmy pieprzonymi prawnikami, pomyślałem. To nie jest żaden Rzym. Jesteśmy w Polsce. Pod Poznaniem. To, że piętro restauracji nazwano w ten sposób, nie znaczyło wcale, że trafiłem do Włoch. To by było nadużycie kontraktu.

Mimo wszystko poczułem ukłucie strachu. Ja też postępowałem niezgodnie z umową. Starzec dał mi dziesięć lat - w tym terminie miałem stawić się w Rzymie, by spłacić dług, by oddać to, co na mocy cyrografu nie należało już do mnie.

By umrzeć.

Jeszcze czego. Dziad chyba nie myślał, że potraktuję tę obietnicę poważnie.

Kiedy tylko pojąłem, że spotkanie w monasterze nie było snem, kiedy zrozumiałem, że łyseczka lancetowata nie miała w owym spotkaniu żadnego udziału, krótko mówiąc, kiedy zorientowałem się, że faktycznie zawarłem pakt z diabłem, zacząłem unikać wszystkiego, co włoskie. Nie żebym się bał. Nadal nie wierzyłem w istnienie duszy. Ale życia stracić nie zamierzałem. Dlatego ilekroć ktokolwiek proponował mi „robotę” na terenie Włoch czy nawet południowej Austrii lub Szwajcarii - odmawiałem. Odmawiałem jazdy włoskimi samochodami, mówiłem stanowcze „nie”, gdy częstowano mnie lodami włoskimi, nie nosiłem włoskich ciuchów. Dostawałem mdłości na sam widok pizzy, a tak liczne w Polsce spaghetti omijałem szerokim łukiem. Na pielgrzymki do Watykanu nikt mnie, na szczęście, nie zapraszał. Reasumując, uniki wychodziły mi całkiem skutecznie.

Aż do chwili, kiedy spostrzegłem, że piąte piętro Wieży to nic innego jak imitacja cholernego Rzymu. Aż do chwili, gdy zrozumiałem, że aby zjechać tą samą windą, którą przybyłem, aby uciec, konieczny jest kolejny kod, kolejna reguła.

Czy muszę dodawać, że jej nie znałem?

Nagle pomiędzy niedokończonymi dekoracjami przemknęła jakaś postać, niknąc za przesłaniającymi ją parasolami kafejek i restauracji, gubiąc się pomiędzy ustawianymi w pośpiechu posągami. Nie widziałem jej zbyt wyraźnie, ale mimo to serce zabiło mi żywiej.

ONA.

Ruszyłem, roztrzając pobliskich robotników. Jeden widząc mnie, krzyknął, że mam się zatrzymać, że dalej gościom wstęp wzbroniony. Dwóch innych próbowało chwycić mnie za rękaw kurtki. Głupi.

Nawet nie spostrzegli, gdy w mojej dłoni zabłysnął nóż. Wyższego, tego, który mógł przysporzyć więcej kłopotów, chlasnąłem prosto przez tchawicę, niższego kopnąłem w krocze, poprawiając rękojeścią noża. Pozostali nie byli już tak głupi. Nie potrzebowali wiele czasu do namysłu. Widząc, że gdyby wszczęli bójkę, przegraliby ją z kretelem, zwyczajnie uciekli. I słusznie. Dzięki temu uratowali życie.

Po ucieczce robotników nie przeszkadzał mi nikt. Szedłem wolno, przeszukując poziom. Czy ta zwiewna sylwetka między domami, ten kosmyk włosów dostrzeżony zza wzorzystej tkaniny parasola - czy to było tylko przywidzenie? Mijałem imitacje kolejnych rzymskich placów, zaglądałem do każdego napotkanego pomieszczenia, lecz nie mogłem znaleźć śladów Agnieszki. Nie to jednak mnie zdziwiło. Jeśli ktoś uprowadza dziewczynę, to oczywiste jest, że będzie ją trzymał pod kluczem.

Zdziwił mnie zupełny brak ochroniarzy. Jeżeli ONA przebywała na tym piętrze, powinny tu być całe legiony uzbrojonych po zęby komandosów. Wiedzieli przecież, że idę, nie dało się tego ukryć. Tymczasem - zupełnie pustki. Ani żywego ducha.

Chociaż nie, jest jeden, poprawiłem się, ujrzawszy pękatą sylwetkę stojącą w cieniu. Podszedłem bliżej, na tyle blisko, by mój wyostrzony wzrok pozwolił rozróżnić szczegóły. Kapelusz, szeroka twarz, okolona niezbyt gęstą, siwą brodą, niechlujna czarna marynarka, szerokie spodnie. I głupawy uśmiech, sugerujący, że facio duchem jest całkiem gdzie indziej - najpewniej w słodkich objęciach Morfeusza, w które zapędziła go bieszczadzka łysiczka lancetowata lub inny halucynogen. Ciekawe, jakąż to substancję zażywaliśmy?

Poznałem go. To był ten sam pajac, którego widziałem, gdy pierwszy raz spotkałem Agnieszkę. To musiał być on.

A potem przypomniałem sobie, co mówił Ryłski o nowym właścicielu Wieży. Kapelusz, apaszka, najpewniej artysta jakiś. Wszystko zaczynało powoli układać się w spójny obraz. Agnieszka była jego kobietą. Do czasu, kiedy w podłej poznańskiej spelunie poznała mnie. Nie da się ukryć - byłem o wiele przystojniejszy niż naćpany łachmyta w brudnej, rozchełstanej koszuli. Nic dziwnego, że go rzuciła. A fajfus nie mógł tego znieść, nie mógł przeboleć, że dziewczyna znalazła sobie prawdziwego faceta - dlatego ją uprowadził. Chciał się zemścić.

Nieładnie, pomyślałem, zemsta jest rozkoszą bogów. Albo diabłów. Z całą pewnością nie jest to rozkosz podstarzałego śmiertelnika w rozchełstanej koszuli, noszącego apaszkę i

wyglądającego jak eksponat, który uciekł z muzeum fin de siecle'u. Nawet jeśli ów eksponat dysponuje na tyle dużą ilością pieniędzy, by nabyć Wieżę.

A Rzym? To musi być przypadek, nic nieznaczący zbieg okoliczności, to wszystko.

- Nieładnie się mścić - wycodziłem mściwie, a potem bez namysłu wyciągnąłem broń, celując w człowieka w kapeluszu.

Strzeliłem. Dla pewności cztery razy.

Wtedy przekonałem się, że fajfus nie był zwykłym podstarzałym śmiertelnikiem w rozchełstanej koszuli. Że uciekinierowi z muzeum fin de siecle'u kurewsko do fajfusa daleko.

Nawet nie próbował uchylać się przed kulami. Zdjął tylko kapelusz w geście takim, jak gdyby chciał mi się pokłonić, ale nie, nakrycie głowy wystawił przed siebie niby tarczę. Tego, co nastąpiło później, nie potrafiłem zrozumieć. Cholerne pociski tuż po opuszczeniu lufy zwolniły lot. Widziałem, jak suną majestatycznie i powoli - prosto do cylindra, jak nikną w jego bezdennej otchłani, w czarnej toni, która niewątpliwie była głębsza niż dwudziestokilkucentymetrowa główka kapelusza. Przez moment miałem nadzieję, że kule przejdą przez czarny materiał i na miejscu zrobią z dziwaka tatara. Ale nie. Mężczyzna spokojnie nałożył kapelusz, uśmiechnął się do mnie sympatycznie i zniknął.

Tak po prostu.

Został po nim jedynie lekki zapach wykwintnych cygar i chivas regal.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - rzuciłem.

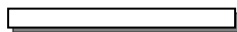
Niespokojnie rozejrzałem się, zatrzymując wzrok na każdym oknie, na każdej ścianie, na każdym zaułku. Mocniej chwyciłem pistolet, choć dotyk chłodnej kolby nie dawał mi już takiego poczucia pewności jak niegdyś. Czekałem na atak, niemal namacalnie czułem niebezpieczeństwo, spodziewałem się go tuż za rogiem, spodziewałem się go w każdym oknie - na próżno.

Piętro było puste. Szalony właściciel osobliwego czarnego kapelusza nie pokazywał się więcej. Zniknęli gdzieś robotnicy pracujący przy dekoracjach. Nie było żadnego gościa. Przez otwarte okna wpadało zimne, nocne powietrze i smuga białego światła. Księżyc był w pełni.

Która to, zastanowiłem się, obracając głowę w poszukiwaniu zegara, która to godzina?

Z jednego z głośników płynęła muzyka starej, dwudziestowiecznej kapeli. To było Iron Maiden.

Zegar na którymś z budynków pokazywał za dwie dwunastą.



Spostrzegłem Agnieszkę wtedy, kiedy straciłem już jakąkolwiek nadzieję, że ją odnajdę.

Stała nieopodal tandetnej repliki fontanny di Trevi. Stała sama, bez eskortujących ją pracowników ochrony, bez szaleńca w kapeluszu, który, jak podejrzewałem, był sprawcą jej nieszczęścia. Ręce miała swobodne, niezwiązane, ba, nawet niepokaleczone. Błada cera odcinała się od półmroku, jaki panował w tej części piętra, a na jej pięknej jasnej skórze brak było sińców, zadrapań, śladów tortur. Nie wyglądała na kogoś, kto został spętany przemocą, kogo trzymano w klatce czy karczerze, na kim wywierano pomstę. Wątpliwość, czy aby na pewno byłem jej wybawicielem, na moment pojawiła się w mojej głowie.

Przez ten cholerny półmrok panujący w pomieszczeniu nie od razu zauważyłem, że Aga stoi pośrodku dziwnego kręgu. Nie zobaczyłem również - a dusiołek, zdradliwa cholera, mnie nie ostrzegł - czającego się z boku człowieka w czarnym cylindrze, pachnącego dymem cygar i znakomitą chivas regal. Nie dostrzegłem czarnej plamy, która materializowała się jeszcze dalej, tam, gdzie nie docierały światła słabych lamp. Niczego, cholera, nie widziałem.

Poza nią.

Spojrzałem na czarta - nie wyglądał najlepiej. Odkąd znaleźliśmy się na tym piętrze, Mef szybko tracił siły, bladł, chudł w oczach, gubił sierść, która podejrzenie szybko szarzała i matowieła. Choć wiedziałem, że to niemożliwe, przysiągłbym, że oklapły mu nawet małe różki, wystające nieco ponad gęstą grzywę. Zniknął gdzieś ten charakterystyczny błysk w oku, a kiedy zobaczyliśmy Agnieszkę, dusiołek, wpadający w obłęd i wściekle drobiący kopytkami na widok każdej urodziwej kobiety, tym razem w ogóle nie zareagował.

Krąg. Dlaczego na posadzce wymalowano krąg? I kto go wymalował? Czy Aga była w nim tylko więźniem, czy może krąg stanowił jej dzieło? To ostatnie przypuszczenie odrzuciłem szybko - bo choć nieco znała się na magii, czego dowiodła przy naszym drugim spotkaniu, z całą pewnością nie była wiedźmą.

Dokonałem szybkiego przeglądu zawartości kieszeni i pasa z amunicją, który miałem na biodrach, potem sprawdziłem jeszcze wisior na szyi. Niewiele już zostało mi magicznych gadżetów. Czymś w końcu trzeba było zniszczyć poprzednie cztery piętra. Dżinna wykorzystałem, podobnie jak dwa czary burzące, kupione na jednym z nielegalnych straganów. Wciąż jednak nosiłem na szyi amulet. „Bardzo silny”, jak zapewniał diler, „nie ma możliwości, by nie zadziałał, choć gdyby jednak, to my panu dajemy dwudziestoczwemiesięczną gwarancję, tylko proszę podbić, o tu, w tym miejscu...”.

Amulet istotnie miał wielką moc. Nie chronił rzecz jasna przed atakami - to w wystarczającym stopniu zapewniała mi bieszczadzka umowa. Mimo to wykosztowałem się na szkaradną wilczą główkę rzeźbioną w bursztynie - ostatnimi czasy namnożyło się wszak magicznych systemów wczesnego ostrzegania, duchów stróżujących, czarodziejskich barier,

pułapek i diabelskich zapadek. Nawet dusiołek, czart robotny, ale - powiedzmy szczerze - nie z tych najsilniejszych, miewał problemy z forsowaniem różnorodnych przeszkód, które za całkiem rozsądne pieniądze można było nabyć w Ezoterycznym Poznaniu. Amulet w tym względzie był od czarta o wiele bardziej skuteczny i - można by rzec - wart wydanych pieniędzy. I chociaż nie łamał wszystkich zabezpieczeń, to przynajmniej ostrzegał, lśniąc miodowym światłem.

Kiedy więc wygrzebałem amulet spod koszuli, ostrzegał miodowym światłem, które aż kłuło w oczy. Odpustowy wilk rzeźbiony w bursztynie wyglądał tak, jak gdyby za moment miał zacząć złowrogo warczeć. Mimo to nie przystanąłem nawet na chwilę, choć sygnał był aż nadto czytelny.

Niebezpieczeństwo.

Sygnał ten zignorowałem. Zignorowałem również to, że Agnieszka wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Owszem, wyraz jej twarzy zmienił się, gdy mnie rozpoznała, już nie była tak spięta i skoncentrowana jak wcześniej, ale nie powiedziałabym, że to, co zobaczyłem, to była radość. Raczej ulga, że to już. Rodzaj rozprężenia, jakie przychodzi wraz z rozpoczęciem egzaminu, na który długo oczekiwałeś przed drzwiami zamkniętej sali. Dopóki nie przejdziesz przez drzwi, za którymi czai się potwór, egzaminator, dopóty rozważasz możliwe warianty, kalkulujesz - wejść czy nie wejść, miota tobą raz po raz to strach, to nadzieja. Ale kiedy wreszcie znajdziesz się po drugiej stronie... cóż, stało się. Mgła emocji opada, zostawiając ożywczą rosę zdecydowania, opanowania i determinacji.

W rzeczy samej, Agnieszka wyglądała na zdeterminowaną.

Wykonała zapraszający gest i uśmiechnęła się blado.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała, a ja, słysząc te słowa, poczułem, że wyrastają mi skrzydła. Rzekłbym - jak u anioła, ale takie porównanie w moim wypadku było szczególnie nie na miejscu. Więc nie rzekłem.

Śmiało przekroczyłem granicę kręgu. I kiedy byłem tak blisko niej, kiedy pokonałem wszystkie przeszkody, kiedy wszystkie kłody, które rzucono mi pod nogi, zostały obrócone w próchno i trociny, zamiast ją objąć, przytulić, zasypać pocałunkami - stanąłem metr od niej, sparaliżowany jej spojrzeniem.

Bardzo, bardzo smutnym.

Wyciągnęła w moją stronę dłoń, tę samą, którą tylekroć całowałem, którą wiodłem w ciemnościach mojego pokoju niżej i niżej, aż do guzików dzinsów, gładką dłoń anioła. Pogładziła mnie po policzku.

- Podobny - szepnęła. - Jesteś do niego podobny. Ten sam chód, ta sama sylwetka i ta sama zaciętość. Tylko nieco mniej wykształcony...

- Do kogo znowu? - rzuciłem, może trochę zbyt szorstko, ale nie po to przecież wytlukłem grupę mafiosów, skorumpowanych polityków i rozpasanych biznesmenów, by wysłuchiwać opowieści o innym facecie, do którego byłem jakoby podobny.

Jednak Agnieszka nie obraziła się.

- Do Janka. Mojego Janka. Boże drogi, to już tyle lat...

No jasne, pojąłem bez dalszych tłumaczeń, kiedyś, widać, dziewczyna też miała faceta, któremu na chrzcie dali tak jak i mnie, a ów, sądząc z jej reakcji, odwalił kitę. Wciąż o nim pamięta! - pomyślałem z zazdrością, ale powstrzymałem się od komentarzy. Ostatecznie i tak byłem w lepszej sytuacji od niego. On w piachu, a ja jego kobietę... Sami zresztą wiecie, co. Oglądaliście *Psy*.

- Tyle lat - powtórzyła, hamując łzy. - Czekałam na niego. Aż wreszcie...

Urwała, podchodząc do mnie. Chwyciła za rękaw mojej bluzy, już nie nieskazitelnie czarnej, ale obryzanej nieco krwią - nie moją, ma się rozumieć, i pociągnęła mnie do siebie. Nie protestowałem, wtuliłem twarz w jej jasne włosy. Były miękkie i pachnące. Jak zawsze.

- To piętro - wyszeptała niespodziewanie - Rzym się nazywa!

- Wiem, jak się nazywa to choler... - zacząłem, ale urwałem, bo zrozumiałem, że nie mówiła do mnie.

Mówiła w stronę czerni, która rozlała się nagle dookoła narysowanego na podłodze kręgu, tłumiąc światło małych lamp i płomienie świec, stojących na posadzce. Zupełnie jakby ktoś otworzył kocioł ze smołą.

Nie, Agnieszka nie zwracała się do mnie. Mówiła w stronę mroku, który zbliżał się, który szedł po nas. Po mnie.

Mrok miał twarz starca z bieszczadzkiego monastyru.

- Spotkamy się jeszcze... - powiedziała cicho. Tym razem jej słowa wyraźnie były skierowane do mnie. Drgnąłem.

- ...w Piekło - dokończyła, a w tej samej chwili poczułem zimny, przeszywający ból w sercu.

Po raz pierwszy od kilkunastu lat, po raz pierwszy od... spotkania w Bieszczadach, gdy na byczej skórze cyrografu skreśliłem krwawy podpis.

Chciałem krzyknąć - nie mogłem, chciałem spytać dlaczego - nie mogłem. Upadłem na kolana, przed oczyma pojawiły się czarne plamy. Kątem oka zobaczyłem dusiołka, który leżał

na brzegu kręgu, przygięty do ziemi. Płaszczył się przed swoim panem, przed panem, który zapewne nie był rad z tego, że dusiołek służył bardziej mnie niż jemu.

Zobaczyłem też Agę. Stała teraz na skraju kręgu, wciąż jasna, wciąż przypominająca anioła - wtedy, na tle wszechogarniającej czerni, może nawet bardziej anielska niż kiedykolwiek przedtem. W ręku trzymała wąski sztylet, ten sam, który wbiła mi w plecy, ten sam, którym przebiła mi serce. Na sztylecie, o dziwo, nie było ani kropli krwi.

- Oto on! - krzyknęła. - Oto grzesznik, równy mojemu mężowi. Teraz twoja kolej! Chcę Janka. W Imię Ducha, Syna, Ojca, zaklinam cię: wypuść mojego męża. Było powiedziane „grzesznik za grzesznika”.

- Było powiedziane, stanie się więc. Inaczej niż twój mąż, ja zawsze dotrzymuję obietnic. Zawsze - rzekł mrok ustami starca z monastynu, a ja zrozumiałem, że zostałem sprzedany.

Sprzedany! Wymieniła mnie jak jakiegoś jeńca wojennego. Jeden za jednego. Dostarczyła na tacy, niby danie w restauracji. W zamian za innego faceta!

W mgnieniu oka wszystkie wzniosłe uczucia, które dotąd zaprzętały mi głowę - miłość, poświęcenie, wyrozumiałość i tym podobne gówna - zniknęły. Ot, wąły płomień zdmuchnięty przez zimny podmuch nienawiści. Nienawiści, która na moment przedłużyła agonię. Wiedziałem, że umieram, ale na chwilę odzyskałem jasność umysłu.

Wystarczyło.

Kolba była wyjątkowo zimna, spust wyjątkowo ciężki pod palcem, a obraz chwiał się niebezpiecznie, ale to nie miało znaczenia. Agnieszka była blisko - krąg miał raptem kilka metrów średnicy. Pistolet trzykrotnie plunął pociskami.

Trzykrotnie celnie.

Śpij, aniele mój.

A potem, kiedy widziałem, że upadła, kiedy spostrzegłem trzy czerwone plamy na białej tkaninie opinającej jej zgrabne plecy, kiedy wiedziałem, że załatwiłem na Ziemi wszelkie sprawy, które były do załatwienia, wpadłem w głęboki, ciemny tunel, na którego końcu tlił się czerwony ogień. Pamiętałem ów ogień dobrze.

Ten sam płomień tańczył w oczach starca z monastynu.

Narodziny

Górze! Górze!

Ognie i gorąc barzo wielgi nad wszelkie mnimanie ludzkie jest. Ciemnica. I ognie znów.

Hnet Diabły precz idą, ćma znika. Ślachcic k mnie bieży. Patrzże - miarkuję - kownata wielga jak władcy zamek, nie karczma. Niewiasty głos - prawdąli to czy kłamem?

Mówże co, pytam, gdzie ja? Nie w popiół obróconyż, nie przez diabły w siarce pławion? Żywioły! Ślachcic ów - nigromanta to - miarkuję. Czarty pierzchły, a jawnie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy...

Chwilę, myślę. Co to za pierdolnięta nawijka? Potrafię przecież normalnie.

Potrafię inaczej.

Ze zdziwieniem patrzę na swe dłonie - całe. Rozglądam się dookoła - ciemno wprawdzie, ale na pewno nie jest to piekło. Pomioty Lucyfera gdzieś zniknęły, zniknął ból, rozplynęły się płomienie.

Żyję.

I wtedy, gdy dopiero oswajam się z tą dziwną, nieprawdopodobną myślą, dostrzegam Agnieszkę. Leży na skraju magicznego kręgu, dość kiepsko wyrysowanego, jeśli mam być szczery. Leży, a spod jej pięknego ciała płynie krew. Spoglądam na swoją rękę - trzymam w niej dziwny metalowy przedmiot

- w chwili, kiedy na niego patrzę, przypomina mi się, co to jest.

To pistolet. Służy do zabijania ludzi. Bardzo szybko i łatwo. Czuję, że lufa pistoletu jest ciepła. A potem przypominam sobie, że to mój palec pociągnął za spust.

Biegnę do Agnieszki, dotykam jej szyi. Jeszcze żyje - zauważam, a wtedy ona otwiera oczy. Tak samo piękne jak dawniej.

- Wróciłeś - szepcze słabym głosem, głosem, który ledwie mogę słyszeć. - Wróciłeś! Więc warto było.

Chcę coś powiedzieć, ale głos więźnie mi w gardle. Nie potrafię jeszcze w pełni panować nad moim nowym ciałem - to przecież kilkaset lat! Kilkaset lat w piekle.

- Masz drugą szansę - mówi do mnie. - Nie zmarnuj jej.

Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko chwytam jej rękę. Chyba płaczę.

- Nie odchodź! - krzyczę. - Nie odchodź! Nie teraz!

- Warto było - jej szept jest coraz słabszy.

Rany - przeklęte postrzały - wyglądają niedobrze. Bardzo niedobrze. Wiem, że Agnieszka nie wyjdzie już z tego. Choć czuję moc w opuszkach palców, wiem, że jestem zbyt słaby. Że nie zdołam jej pomóc. Widzę, jak dookoła gęstnieje ciemność. Ale tym razem nie po mnie przychodzą diabły. Nie po mnie.

Drzę.

- Kochanie - mówię, jednocześnie drugą ręką poprawiając krąg w nadziei, że utrzyma diabły z dala. - Cena, którą zapłaciłaś...

- Nieważne. - Uśmiecha się teraz. Mimo że jest śmiertelnie blada, wygląda pięknie. Piękniej niż kiedykolwiek. - Tyle co nic. Tylko...

Dusza, myślę, widząc gęstniejącą czerń i bojąc się powiedzieć to na głos. Nie widzę czartów, ale domyślam się, że tam są, klębią się w smole cienia. Boże Przenajświętszy, myślę, przecież ona była w Niebie! W Niebie!

Spoglądam na nią i widzę, że już odeszła. Zasnęła spokojnym snem - gdzie się obudzi? Piekło? Czyściec? Niebo utraciła.

Dla mnie.

Klęczę tak przy niej, płacę i trzymam ją w ramionach, choć wiem, że to już niczego nie zmieni. Na nic moja magia i na nic moja wiedza. Moja żona, moja miłość, ta, którą odzyskałem po kilkuset latach - odeszła. Czuję pustkę.

A potem ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Bez słowa podnoszę głowę. Stoi nade mną mężczyzna w dziwnym kapeluszu - uświadamiam sobie, że taki kapelusz nazywa się cylinder. Uświadamiam sobie jeszcze wiele innych rzeczy. Na przykład to, że te białe pręgi, przyklejone do sufitu, to jarzeniówki. Albo że kartka, którą trzyma człowiek w kapeluszu, to wydruk z drukarki laserowej. Albo jeszcze że dziwny zapach, który otacza nieznajomego, to zapach whisky Chivas Regal zmieszany z aromatem kubańskich cygar. Wreszcie to, że teraz Poznań, a nie Kraków jest stolicą polskiej magii.

Wiele jeszcze będę musiał sobie przyswoić.

- Przewidziała i taką możliwość - mówi podstarzały jegomość w kapeluszu, patrząc na ciało Agnieszki. Jego głos jest niewesoły. - I zostawiła list.

Biorę do ręki białą jak śnieg kartkę, pokrytą drobnym wydrukiem, czytam. I znów płacę. Moja Agusia.

- Pan wybaczy... - mruczy człowiek w cylindrze. - Należało ją powstrzymać, odmówić. Królikarnią nie powinna dać zgody na taką akcję - była zbyt ryzykowna, bez pozwolenia kurii.

- Nie ma co wybaczać - mówię ochryłym głosem. - Sam wolałbym, by ona żyła, a ja żebym dalej smażył się na rusztach Samaela, Lucyfera, Asmodeusza i innych arcybiesów. Zaprawdę, wolałbym. Lecz stało się. Stało.

- Skoro już pan tu jest - mówi dalej brodaty - pozwoli pan, że się przedstawię. Kapelusznik, do usług. Będę pana przewodnikiem po współczesnym świecie. Na początku będzie pan potrzebował przewodnika.

Istotnie, będę potrzebował. Tylko dlaczego ma nim być alkoholik, który, jak sędzę, wciąż jest na lekkim rauszu? Zresztą trudno, niech tam. Teraz to mało ważne.

Kapelusznik tymczasem chrząka, kłania się, zdejmując cylinder, a ja uświadamiam sobie, że ów współczesny mag próbuje być dla mnie uprzejmy.

- Witamy w dwudziestym pierwszym wieku, Mistrzu Twardowski. Kiedy, khem, opuszczał pan Ziemię, Rzeczpospolita była mocarstwem. Niestety, przez te kilkaset lat mieliśmy problemy - to Moskał, to Niemiec, to znów Szwed pustoszyli kraj. Teraz próbujemy odbudować dawną potęgę. I stąd, stąd... - niespodziewanie Kapelusznik zaczął się jąkać - ...stąd cała ta akcja. Dlatego wyraziliśmy zgodę na propozycję pańskiej małżonki. Potrzebujemy pańskiej pomocy, Mistrzu. Pańskiej wiedzy. I pańskich umiejętności. Rzeczpospolita ich potrzebuje.

Prycham.

Rzeczpospolita.

Patrę Kapelusznikowi w oczy, potem znów na Agnieszkę, zimną, nieobecną. Martwą.

Cóż jest warta ta twoja Rzeczpospolita, myślę. Cóż ona jest warta w porównaniu z moją Agą?

Tyle co nic.

REORIENTACJE

PROLOG

Żaba siedziała nieruchomo, dostojnie. Jej płuca falowały, nakrapiana gardziel drgała w szybkich, regularnych oddechach, a połączone błoną pławną palce ociekały śluzem. Tylko oczy zdradzały pewne zaniepokojenie. Skakały z jednego punktu na inny, penetrując okolicę.

Płaz zajmował skórzany fotel pośrodku obszernego pokoju. Przednie kończyny oparł na śnieżnobiałej bluzeczce, tylne zaś umiejscowił na czarnej bawełnianej spódniczce. Nieopodal leżały jeszcze czarne pończochy, biustonosz w tym samym kolorze i majtki - rzecz jasna batystowe. Pod fotelem stały zgrabne skórzane pantofelki na obcasie.

- Ewa! - jęknął Robert Chudziński, spoglądając na żabę. - Ewa, nie wyglupiaj się!

Oblicze chłopaka było szarzielone, zupełnie jak skóra na grzbiecie płaza - i tu kończyły się podobieństwa. Na przykład śluz - Robert nie znosił śluzu, którym ociekała żaba. Dlatego starannie otarł usta rękawem marynarki. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

- Ni cholery. Nie działa - mruknął, odwracając się do stojącego za nim niższego, okrągłego młodzieńca. - Tfu, Andrzej, do dupy są twoje rady.

- Może powinieneś wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu, uczucia. Wiesz, kobiety łatwo wyczuwają, kiedy całujesz nieszczerze. Może tylko ognisty, namiętny pocałunek, taki jak na filmach...

Przerwał, widząc wzrok Roberta.

- Sam ją sobie całuj namiętnie i gorąco - warknął Chudziński, plując śluzem.

- O, nie, nie mógłbym tego zrobić przyjacielowi! Nigdy. Co byś o mnie pomyślał, gdybym zaczął dobierać się do Ewy? W końcu to twoja narzeczona, nie?

Robert westchnął ciężko, zerknął znowu na żabę. Długi jęzor wystrzelił z zielonego pyska i owinał się dookoła przelatującej tuż nad Ewą muchy. Gardziel płaza poruszyła się gwałtownie.

- Ewa, co ty? - jęknął Robert, widząc, jak żaba połyka owada.

- A może to wcale nie ona? Może to najzwyklejsza ropucha?

- Żaba - poprawił Robert.

- Jak zwał, tak zwał. - Andrzej machnął ręką. Jak zwykle, kiedy wpadł na jakiś pomysł, nie pozwalał sobie przerwać i opanowywał go dziki entuzjazm. - Może to głupi kawał? Nie pokłóciłeś się z nią ostatnio? Może nie chciałeś kupić jej jakiejś sukienki albo bransoletki? Ewa, Ewa! - Andrzej rozejrzał się po przestronnym salonie. - Wychodź. Już wszystko w porządku.

Robert kupi ci tę sukienkę, masz to jak w banku, tylko wyjdź...

- Zamknij się, Andrzej - przerwał mu Chudziński. - Ewa nigdzie się nie ukryła. Bo tutaj nie miała gdzie się schować. Popatrz, nie weszła przecież pod stół, zresztą sprawdzałem. Zza telewizora byłoby ją widać. Pod parkiet się nie wciśnie. Nie, Andrzej. To nie jest blaga. Zresztą... - urwał na moment. - Dwa dni temu dostała ode mnie nową sukienkę.

Andrzej pokiwał głową. Racja, w salonie u Chudzińskich nie było gdzie się skryć. Oprócz wymienionych przez Roberta miejsc zostawał wprawdzie jeszcze regał z książkami, ale nawet tak szczupła osoba jak Ewa Kubiak nie zdołałaby się za nim schować. Chudzińscy byli zwykłą polską rodziną. Z książek potrzebowali tylko telefonicznej i kucharskiej.

- Matko Boska Częstochowska! - wykrzyknęła matka Roberta, wprowadzona do pokoju przez młodszego syna, Leszka. - Miesiąc przed weselem! Matko Boska, przecież już wszystko popłacone! I kapela, i restauracja, i ksiądz, i samochód do ślubu. Wódka kupiona, a wuj Józef ma już w chlewiku cztery proszczoki. Tragedia, Jezusie Nazareński. Tragedia! Tyle pieniędzy na nic!

- Może posłać po księdza? - mruzczał tymczasem Andrzej, drapiąc się w krótką, kozią bródkę, którą zapuścił, bo sądził, zgoła bezzasadnie, że dodaje mu powagi i podkreśla jego wrodzoną, jak mniemał, inteligencję. - Wyjść nie mogła, to jasne, okna zamknięte od środka, a w kominie krata. Schować się nie schowała. Robert mówi, że nie było go najwyżej dwie minuty, że poszedł tylko przynieść Ewie ciastko...

Milczący dotąd w rogu senior rodu Chudzińskich, wielkie, ponure chłopisko, sapnął wściekle, ocierając pot z czoła skrawkiem koszuli.

- Ktoś mi za to zapłaci - burknął.

Rzecz jasna zapłacić mu za wesele syna miała Unia Europejska, która, chcąc przeciwdziałać odpływowi rolników do miast, dotowała każde wiejskie wesele, w zamian za zapewnienie, że nowo poślubieni zajmą się uprawą roli. Edmundowi Chudzińskiemu nie o taką zapłatę szło. Edmund Chudziński, gospodarz z dziada pradziada, miał swój honor i swoją dumę. I honor, i duma doznałyby uszczerbku, gdyby ślub syna się nie odbył. Uszczerbek zaś byłby jeszcze większy, gdyby się rozniosło, co też uniemożliwiło zaślubiny. Żaba! Przyszła

synowa zamieniona w żabę! Toż Edmund stanie się pośmiewiskiem na całą gminę, ba, na cały powiat! W każdej knajpie gospodarze będą plotkowali, a co kufel, to głośniej śmiać się będą z Edmunda! I najgorsze, że będą mieli rację. Jeżeli, rzecz jasna, on, Edmund, nic z tą sytuacją nie zrobi.

- Ktoś mi za to zapłaci! - powtórzył głucho. Andrzej pogrążony w myślach wbił wzrok w żabę.

Ta była całkowicie obojętna. Jej oczy śledziły kolejną muchę, kołującą przy lampie. Mucha, szczęśliwie dla Andrzeja i Roberta, który też przypatrywał się płazowi, była poza zasięgiem żabiego jęzora.

- Wiem! - krzyknął w olśnieniu Andrzej. - Wiem! Ktoś nam Ewunię zauroczył. To nie podlega kwestii. A skoro jest czar, trzeba znaleźć i czarownicę. Trzeba znaleźć wiedźmę! Jędzę, co to była taka okrutna i rzuciła zaklęcie. Musi być gdzieś tutaj, w miasteczku.

Skoro ją znajdziemy, zmusimy, by nam Ewunię zwróciła, co nie, Robert?

Robert pokiwał ochoczo. Spojrzał na żabę przyjaźniej. Z nadzieją.

- Niech my ją tylko znajdziemy. Niech ją znajdziemy. Pogadamy sobie - powiedział cicho Edmund Chudziński.

Strzyknęło, gdy zacisnął pięść.

1

To było bardzo małe miasteczko.

Przyjezdni z miast, z tych prawdziwych, jak lubili dodawać, spoglądali na miasteczko z poczuciem czasem ledwie skrywanej, innym razem całkiem otwartej, wyższości. Wielkomięjscy pisarze drwili z podobnych miejscowości, ile sił w klawiaturach, i nazywali je już nie Polską C czy D, lecz Polską XYZ, ciemną plamą na mapie, zapleczem wszelkiej miary oszołomów, przetrwalnikiem narodowych przywar czy kwintesencją prowincjonalizmu. Dokładnie takie samo miasteczko miał w dupie głośny w drugiej połowie XX wieku polski poeta.

Z pełną - dodajmy - ze strony mieszkańców miasteczka wzajemnością.

Wiek XX minął, sława poety przebrzmiała, a miasteczko stało sobie dalej. Spokojne, ciche, jakby skulone, bo wielu młodych wyjechało w poszukiwaniu lepszego losu, górowało nad okolicą. Dookoła rozciągały się lasy i pola.

Czarny motocykl mknął pustą, równiutką drogą. Drzewa po obu stronach zlewały się w brązowozieloną ścianę. Długowłosego motocyklista zwolnił, widząc pierwsze zabudowania. Słońce odbijało się w przyciemnionych goglach. Minął tablicę oznaczającą administracyjną

granicę miasta. Spojrzał na napis, który głosił: „Wilków - Schafherde. Miasta partnerskie”. Pod spodem były herby obu miast. Długowłosey nie zdążył przyjrzeć im się dokładnie, ale zauważył, że herb Wilkowa to biała niewiasta z aureolą dookoła głowy, na czerwonym polu. Ciekawe, co to ma wspólnego z wilkami, pomyślał rozbawiony.

Znowu dodał gazu, pędząc długą prostą na rynek miasteczka, na którym na moment przystanął, rozejrzał się. Rynek, cóż, mówiąc delikatnie, nie zaskakiwał, był wręcz typowy dla tego typu miścin. Pośrodku stał zabytkowy, acz dobrze utrzymany budynek ratusza, okolony skwerem. Soczysta zieleń trawy, poprzecinana bielą ścieżek wysypanych drobnymi kamyczkami, aż raziła w oczy. Wszystkie ścieżki zbiegały się przy wielkim dębie, rozpościerającym potężne gałęzie jak przeciągający się moczarny ręce.

Coś ten moczarny nie pierwszej młodości, pomyślał motocyklista, przyglądając się uważniej ogromnemu drzewu. Pień wydawał się spróchniały, wewnątrz pusty, przywodził na myśl Imperium Romanum w fazie schyłku czy może Europę Zachodnią na progu XXI stulecia.

Długowłosey zmarszczył brwi. Drzewo, mimo swego oplakanego stanu, budziło nieufność.

Spojrzał dalej, na skraj trawnika. Zatrzymał wzrok tuż przy krawężniku, oddzielającym skwer od asfaltu. Stał tam stary drewniany krzyż, pod którym płonąła samotna świeca. Krzyż był zaniedbany i brudny od ptasich odchodów.

Motocyklista zniechęcony odwrócił głowę, rozglądając się dookoła. Z każdej strony rynku stały kamieniczki, poupychane ciasno, jedna obok drugiej. Tak jak w dowolnym innym miasteczku południowej Wielkopolski, w kilku kamieniczkach zagnieździły się sklepy z artykułami magicznymi i te, jak się wydawało, nieźle prosperowały. Podobnie jak monopolowe. Z odnowionymi fasadami sklepów z alkoholem kontrastowała szarzyzna komisariatu policji i ośrodka zdrowia, które nie były remontowane od dobrych dziesięciu, piętnastu lat. Gdyby jednak jakiś pracownik policji bądź służby zdrowia chciał poprawić sobie nastrój, powinien spojrzeć na budynek regionalnego muzeum i biblioteki - od razu komisariat i ośrodek zdrowia wydawały się czystsze, zadbane, prawie nowe.

Rynek był dziwnie, wręcz nienaturalnie, pusty. To, że nikt nie wchodził do biblioteki, mężczyzna doskonale rozumiał. Ale że nie było ludzi nawet w monopolowych, no, to już budziło zastanowienie. Tylko jedna, starsza kobieta z długą grzywą siwobiałych włosów krzątała się przy krzyżu. W tej jasnobezowej sukni wyglądała jak duch, pomyślał motocyklista. Kobieta odwróciła się do niego i uśmiechnęła lekko. Spojrzała mu w oczy. Potem, jak gdyby odgadując jego myśli, przeniosła wzrok obok. Popatrzył w tamtą stronę, pośród gałęzi bzu

łowiąc małą niebieskobiłą tabliczkę drogowskazu do motelu Morena. Odwrócił się, chcąc podziękować kobiecie, ale ta już zniknęła. Uruchomił motocykl. Silnik pomrukiwał nisko, kiedy długowłosey zmierzał w kierunku motelu nad jeziorem.

Zbliżając się do masywnego budynku, minął niską przybudówkę z zakratowanymi oknami. Zerknął między kraty, dostrzegając rulon dywanu. Błysk intensywnych kolorów i już wiedział - była tu.

Czarodziejka!

No bo kogo innego stać byłoby na sprowadzany prosto z arabskich baśni statek powietrzny?

Kiedy długowłosey wchodził do dwupiętrowego, otoczonego tarasem budynku, wygrzewający się na schodach kot prychnął nieprzyjaźnie, zjeżył sierść i uciekł. Mężczyzna uśmiechnął się smutno. Lubił koty. Niestety, bez wzajemności. Motocyklista zmrużył oczy, przeganiał dłonią zmierzwiłone włosy. Poprawiwszy okulary przeciwsłoneczne, wszedł na górę, na taras, rozejrzał się. Kilkanaście metrów przed nim rozlewała się plama jeziora. Przeniósł spojrzenie na budynek. Wielki napis na szybie krzychał: „Chrzcziny, Komunie, Wesela, Stypy”.

Kolejność właściwa, pomyślał przybysz.

Pośród reklam piwa, plakatów reklamujących dancingi i wielkiej karty z zamaszystym autografem („Tu byłem - Michał Wiśniewski”) ledwie było widać tablicę informacyjną, świadczącą o tym, że mają tu pokoje na wynajem. Kogo jeszcze ekscytuje Wiśniewski, ten podstarzały, sześćdziesięcioletni cudak? Przybysz zamyślił się. Cóż, prowincja.

Otworzył szklane drzwi i wszedł do środka. W przestronnej sali panował półmrok i ożywczy chłód. Cicho szemrały klimatyzatory. Mężczyzna zmrużył oczy. W rogach sali dostrzegł baloniki - ślad po niedawnym weselu. Zbliżył się do lady, za którą siedziała młoda barmanka. Paliła papierosa i z rezerwą patrzyła na gościa.

- Macie wolne pokoje? - spytał.

Przez moment nie odpowiadała. Spojrzał jej w oczy. Zobaczył niechęć. I zaciekawienie.

- Pan nie stąd? - odpowiedziała pytaniem, odkładając papierosa na popielniczkę.

Skinał głową.

- Dlatego szukam pokoju. - Uśmiechnął się lekko.

- Od razu widać. Znam wszystkich w miasteczku - odrzekła.

- Nie wątpię. To jak, znajdzie się ten pokój?

- Do nas to zwykle mało kto przyjeżdża. Wie pan, mała miejscina. Tylko w lipcu i w sierpniu, nad jezioro, wtedy są tłumy. Ale teraz, pod koniec kwietnia, pusto.

Mężczyzna ucieszył się. Oznaczało to chyba, że pokój się znajdzie. Może nawet z prysznicem? Marzył o prysznicu. Z Poznania było do Wilkowa kilkadziesiąt kilometrów. Przez cały czas słońce prażyło - jego czarna skórzana kurtka nagrzewała się szybko, podobnie jak kask. Nawet pęd powietrza nie pomagał.

- Tylko że teraz jest inaczej. - Dziewczyna odebrała nadzieję przybyszowi. - Teraz u nas aż rojno od miastowych. Wie pan...

Kaszlnął.

- Czyli zajęte? Pokojów nie ma? Trudno. Poszukam gdzieś indziej.

Barmanka się naburmuszyła.

- A co ma nie być! - rzuciła nieprzyjaźnie. - Ale jak się panu nie podoba, to niech pan idzie. Proszę...

- Wiesz - przerwał jej. - Mam wrażenie, że ty mnie nie lubisz.

Spuściła wzrok.

- W zasadzie to nie. Nawet pan miły - zaczęła, lecz zaraz głos jej stwardniał. - Ale miastowy.

- Miastowi źli?

- A jak! - Zadarła głowę, podniosła papierosa z popielniczki, zaciągnęła się. - Ci, co przyjechali ostatnio, to pewno, że źli. Głupków chcą z nas zrobić. Wmawiają, że my ciemni. Że głupi. Że nieoświeceni!

- Nieoświeceni? - zgadł przybyły.

- O, to, to, właśnie - potaknęła. - A wszystko przez tą żabę. Pan też z jej powodu, prawda? Słyszał pan o żabie?

Zaprzeczył ruchem głowy, poprosił o szklankę soku pomidorowego i przysiadł na wysokim stołku, przy barze. Barmanka tymczasem zapaliła kolejnego papierosa i mówiła dalej.

- To, że dziewczynę w żabę zamieniono, to panu wiadomo, co nie? No, Ewunię Kubiak, na pewno pan widział zdjęcia, był reportaż i w telewizorze. Do jednej szkoły z nią chodziłam, wie pan? A tu taka tragedia, tuż przed ślubem. Żeby to chociaż w łanię albo w jakiego łabędzia czy kormorana, no, to są chociaż ładne zwierzaki. Ale w żabę, wyobraża sobie pan? Jej rodzina - przerażona, rodzina pana młodego - jeszcze bardziej, bo przecież z żabą chłopak się nie ożeni. Nawet gdyby chciał, proboszcz ślubu nie udzieli. Już zapowiedział. Myślę, że poradzilibyśmy sobie sami, w końcu tutaj każdy każdego zna, o wszystkim wszystko się wie.

Nawet znaleziono już winną, wie pan? Tylko że ktoś wpadł na pomysł, żeby wezwać na pomoc miastowych. Że niby miastowi wykształceni lepiej, wiedzą więcej, to i remedium będzie skuteczniejsze.

Mężczyzna milczał, przysłuchiwał się słowom barmanki. Poszperał w wewnętrznej kieszonce kurtki, wyłowił stamtąd zmiętą paczkę cameli, wyciągnął jednego papierosa. Dziewczyna usłużnie podała ogień.

- I to była tragedia - opowiadała dalej, patrząc z przejęciem na długowłosego. - Pierwszym, który przyjechał, był profesor biologii z Poznania. Z uniwersytetu. Podobnież jakiś znany bardzo, podróżnik, mieszka w wiszących Rajskich Ogrodach Doktora, a to już przecież o czymś świadczy.

Mężczyzna pokiwał głową. Mieszkanie w wiszących ogrodach dowodziło jednej z dwóch rzeczy - albo ów profesor był bardzo bogaty, albo miał bardzo rozległe koneksje. A najprawdopodobniej jedno i drugie.

- Cóż ciekawego powiedział?

- Ciekawego to nic - barmanka aż prychnęła. - Obejrzał żabę ze wszystkich stron, obfotografował, obmierzył, słuz pipetą pobrał i pod mikroskopem badał. Na drugi dzień przyszedł znowu do Chudzińskich, znaczy się tam, gdzie żaba, do rodziców pana młodego, wie pan. I obwieścił, że po kompleksowych analizach musi stwierdzić, że w żabie nie ma nic a nic z człowieka. Nic a nic.

Przerwała, by zaciągnąć się papierosem, i zaraz trąkotła dalej.

- Ale to nie wszystko. Powiedział też, że bardzo Robertowi zazdrości. Naprawdę bardzo. Bo on, profesor znaczy, jeszcze takiej żaby na oczy nie widział, a oglądał już żab wiele. Ba, nie tylko on, nikt takiej żaby na oczy nie widział, bo to żaba jedyna w swoim rodzaju. Nowy gatunek! *Rana magus*. Kiedy Robert zapytał go uprzejmie, co to oznacza, profesor odparł, że kobiet na świecie jest wiele, a taka żaba tylko jedna. Zaproponował bajońską sumę, jeśli Robert żabę mu sprzeda. Na koniec, kiedy młody Chudziński odmówił, profesor wyciągnął z teczki jakieś papiery i oznajmił, że zgodnie z rozporządzeniem ministra środowiska wszystkie żaby są pod ochroną. Wszystkie, a zwłaszcza ta, jedna jedyna. I dlatego, jak oświadczył, nikomu nie wolno jej odczarowywać. W rozporządzeniu nie ma wprawdzie nic o odczarowywaniu, ale on rozumie, że odczynienie uroku oznacza automatycznie, że żaba zniknie, znaczy będzie unicestwiona. A tego już rozporządzenie zabrania.

- Domyślam się, że wtedy ów Robert zareagował nieco mniej uprzejmie?

- Dobrze się pan domyśla. Nie tylko on, ojciec Ewuni aż zzieleniał. A ten profesor, może on i ważny, może bogaty, ale zwykłej chłopskiej krzepy to za grosz nie miał. I honoru też.

Wył jak zarzynane prosię, gdy go przez miasto wlekli i gębę okładali. O litość błagał. Dopiero przy samochodzie nabrał animuszu, a kiedy już był w środku, odgrażał się, że sprawę w sądzie wytoczy, że policję powiadomi.

- Wspominałaś, że sprawcę całego zamieszania odkryto. Dlaczego w takim razie żaba, pardon Ewa, jeszcze nieodczarowana?

- Jak to dlaczego? Przez was. Przez miastowych! - Dziewczyna potrząsnęła głową. - U nas to każdy wiedział, kto mógł zły czar sprowadzić. Przecież to proste jak dwa dodać dwa. Od razu się wszystkim dodało, że ostatnimi czasy Estera Bielska z górki jakaś dziwna była. Po prawdzie ona to cały czas dziwna, czy teraz, czy wcześniej, ale ostatnio chyba jej się pogorszyło. Raz, że na czarno się ubiera, chociaż w żałobie nie jest. Dwa, do kościoła nie chodzi. Trzy, gada tak, że normalny zrozumieć jej nie może. Cztery, kota czarnego ma, wielkiego jak baleron. Takich kotów, wie pan, to normalnie nie ma.

- Czyli cztery powody - mruknął mężczyzna.

- Nie mówiłam? Jak dwa dodać dwa! - triumfalnie wykrzyknęła barmanka.

Z lodówki wyciągnęła dwie puszki merlina light, jedną otworzyła z sykiem, drugą podała przyjezdnemu.

- Na koszt firmy - powiedziała. - Pan jest chyba inny niż ci wszyscy miastowi.

Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie, nalał piwo do szklanki.

- Te cztery powody to jeszcze nie wszystko. Jest i piąty. Kiedyś, jakiś czas temu, to do Estery Robert Chudziński smalił cholewki, nie do Ewuni. Do niej chadzał w zaloty, a że sama jedna w domku mieszka, a domek pod lasem stoi, nikt ich tam nie widział, co robili. Nikt nie widział, ale wszyscy się domyślali.

- Krew nie woda! - zauważył mężczyzna.

- Ha, właśnie! - Dziewczyna aż klasnęła. - O tym samym myśleli tutaj ludzie. A że u nas od myślenia do roboty droga niedaleka, jeden z drugim szybko przeszli do czynów. Postanowiono problem rozwiązać. Ostatecznie.

- Tylko że w tym, co opowiadasz, wciąż nie widzę winy miastowych.

- Jak to nie? - barmanka zjeżyła się jak kotka. - Jeśli miastowi Estery ukarać nie pozwolili! W obronę wzięli, stwierdzili, że rodziny szukają tego, no, barana ofiarnego.

- Kozła - łagodnie poprawił mężczyzna.

- A niechby i pawiana! - odburknęła rozeźlona, zadziwiając swojego rozmówcę znajomością afrykańskiej fauny. - Tak czy siak, kiedy tylko się wieść rozniosła, zaraz zaczęły się protesty. Przyjechała grupa działaczy z jakiejś organizacji zajmującej się prawami człowieka. Rozwiesili transparenty, przez megafony krzyczeli, że tutaj chce się samosąd

odprawić, że bezprawie, i że oni będą niewinnej bronili. Przy okazji poturbowali kilku miejscowych, wytykając im ciasnotę umysłową i brak chrześcijańskiego miłosierdzia.

Przerwała na moment, odkaszlnęła.

- Z tym brakiem miłosierdzia - oznajmiła - to w zasadzie mieli rację. Nasi chłopcy poczekali do wieczora, a potem udowodnili, gdzie mają to, co ksiądz opowiada na kazaniach o nadstawianiu drugiego policzka... - Uśmiechnęła się wrednie. - Kilka innych stowarzyszeń i organizacji nie chciało być gorszych i przysłało tu swoich przedstawicieli. Na przykład Nowy Matriarchat. Albo Towarzystwo Miłośników Płazów. Za nimi, rzecz jasna, przyjechali dziennikarze. Karnawał trwał ponad tydzień. Demonstranci demonstrowali i jeden w drugiego powtarzali, że ciemnota i katolicyzm odpowiedzialne. Niewinną jakoby dziewczynę chcemy, my wsiowi, zamęczyć i złożyć na ołtarzu zabobonu. Jacy, cholera, wsiowi, przecie prawa miejskie mamy!

- Mówiłaś, że trwa to od kilku dni.

- A tak. Stary Chudziński zawziął się nie na żarty. Powiedział, że on jędzy nie odpuści. Jest żaba, mówił.

Jest. To i gdzieś musi być żaby przyczyna. Mimo że demonstranci chcą bronić dziewczyny, mimo hałasu, który robią dziennikarze, nie odstąpił. A wraz z nim pól Wilkowa, przekonane, że ma rację. Chudziński po piwiarniach gospodarzy buntował, na wódkę zapraszał, ciągiem o swojej i Ewuni krzywdzie przekonywał. I przekonał. Dwa dni temu zebrało się ponad stu chłopca z widłami, toporkami, sznurami do snopowiązałek i poszli pod dom Estery. Zrobić porządek. Znaczą się samosąd. Zrobić z wiedźmą koniec. Jeden nawet przyjechał buldożerem, żeby zrównać z ziemią dom wiedźmy. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie demonstranci i policja, którzy zagroździ drogę do domku Estery. Chłopy były trochę zdziwione, nie wiedzieli, co zrobić. Policję zaatakować strach, odstąpić od chaty jędzy nie honor. Więc zablokowali wszystkich razem z Esterą. I tak tam siedzą.

- Miejscowy ksiądz pewnie nienawidzi podsycy, co? - mruknął długowłosey.

- Lubić to on Estery nie lubi, prawda. Ona prowadzi jeden ze sklepików z magią na rynku i to się księdzu Radzińskiemu nie podobało. Wiele razy o niej mówił w kazaniach. Dowodził, że ona współwinna upadku moralności w Wilkowie. Wskazywał na liche błyskotki i czarcie mamidła, co to ludzi od Boga odwracają. A ona, mówił, Estera, na owych mamidłach i błyskotkach zarabia, na ludzkiej głupocie się bogaci. I bogaci się na ludzkim grzechu.

- Na grzechu?

- Tak! - Barmanka zrobiła zabawną minę, ciesząc się, że może opowiedzieć kolejną plotkę. - To każdy wie, że mężczyźni do niej chadzali, płacąc za to, co w domu mieli za darmo. I nie chodzi mi o obiad. Mrugnęła porozumiewawczo.

- Estera proboszczowi nie pozostawała dłużna - podjęła dziewczyna. - Rozповідаła o nim, że zacofany i niezyciowy, a poglądy ma z lamusa. I jeszcze, że ma nierówno pod sufitem. To ostatnie, niestety, jest zresztą prawdziwe. Ksiądz przez te niedawne wypadki zrobił się dziwny. Ten tego, wie pan, kręcka dostał. Gada, że ukazała mu się święta Anna, nakazując zrobić porządek w miasteczku. Dlatego zaczął atakować Esterę z podwójną energią.

- Brał udział w samosądzie?

- Nie - zaprzeczyła. - Tylko on odmówił Chudzińskiemu, nazywając go bezbożnikiem i żądnym krwi łotrem. Samosądem i stosem, mówił, nie uzdrowi się dusz owczarni Pana. Poza tym Ona nie pozwala.

- Święta Anna? - Długowłosey uśmiechnął się do kufla.

Barmanka z rezygnacją pokiwała głową. Ksiądz był w jej mniemaniu przypadkiem beznadziejnym.

- Właśnie. Chudziński księdza słuchać nie chciał, zwyzywał go od najgorszych, a wychodząc, drzwiami plebani trzasnął tak, że szyby wyleciały, i poszedł wiedźmę palić.

Dziewczyna znów urwała opowieść. Przetarła ściereczką blat, zmywając krople piwa i siwe płatki popiołu z papierosów. Przez chwilę niepewnie rozglądała się, sprawdzając, czy na pewno są sami w lokalu.

- A na koniec przyjechał ktoś jeszcze - szepnęła, nachylając się do przybysza. - Prawdziwa, jak powiadają, jędza, autentyczna czarodziejka. Z samego Poznania! Z wiszących ogrodów. Mówią na nią Koralina. Zatrzymała się u nas.

Ciekawe, gdzie miałyby się zatrzymać, pomyślał długowłosey. To przecież jedyny motel w mieście.

- Myślisz, że ona rzeczywiście... że jest czarodziejką?

- Czy czarodziejką, to nie wiem. - Barmanka się zamyśliła. - Ale po rozmowie mogę stwierdzić, że jędzą jest na pewno.

- Gdzie oni wszyscy poszli? - Mężczyzna rozejrzał się po sali, grzywa jego włosów zafalowała. - U ciebie są pustki.

- Jak to gdzie? - dziewczyna autentycznie się zdziwiła. - Pod dom wiedźmy. Znaczy się Estery.

- Jeśli tak, to też się tam wybiorę. A, jeszcze jedno. - Uśmiechnął się, najładniej jak potrafił. - Kluczyk.

Barmanka bez słowa zdjęła z haczyka jedyny wiszący jeszcze klucz. Mężczyzna spojrzął na numer pokoju. Siódemka. Szczęśliwa liczba.

- Na górę, schodkami - wyjaśniła.

Długowłosa wstał, klucz do pokoju zgarnął do kieszeni i wyszedł na zewnątrz. Chwilę później silnik harleya-davidsona zawarczał grubo. Ciemna sylwetka na motocyklu szybko oddalała się od motelu.

- Niech to diabli! - powiedziała pod nosem barmanka. - Z tego wszystkiego zapomniałam zapisać, jak on się nazywał, i pobrać opłatę klimatyczną!

2

Domek Estery rzeczywiście stał na uboczu. Aby do niego dotrzeć, należało wyjechać z miasteczka, okrążyć cmentarz i przejechać około półtora kilometra polną drogą. Droga na szczęście była utwardzona, koła motocykla nie grzęzły w piachu, ale wypolerowana blacha mocno się przykurzyła. Pagórek był tuż przy gęstym, sosnowym lesie, który porastał północny skraj wzniesienia.

Oto chatka czarownicy, pomyślał motocyklista, spoglądając z oddalenia na domek Estery. Tylko gdzie jest kurza stopka?

Podjechał bliżej, ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Zatrzymał go postawny mężczyzna ze sporych rozmiarów kluczem francuskim w dłoni. Klucz był dziwnie wygięty i nie nadawał się do użytku. A mężczyzna nie wyglądał bynajmniej na mechanika. Motocyklista ochrzcił go w myślach Klucznikiem.

- Czego tu? - zachrypiał Klucznik.

Jego głos wskazywał, że długo już pilnuje chaty czarownicy. Podobnie wskazywały zakurzone buty i brudna flanelowa koszula.

- Popatrzeć chciałem - odparł pojednawczym tonem długowłosa i spojrzął w oczy temu z kluczem. - Zatrzymałem się w motelu. Barmanka opowiedziała, co tu się dzieje. Przyjechałem z ciekawości.

- No, nie wiem. - Klucz francuski zadygotał, powędrował do dołu. - Tam wchodzić zakazano. Jedną babę już przepuściliśmy i teraz kłopot jest.

Długowłosa rozejrzał się dookoła. Kłopot był, istotnie. Wszędzie wały się powykrzywiane, niezdatne do użytku klucze, młoty i metalowe pręty. Zęby wideł powyginane były na boki. Metalowe rurki, których oblegający chcieli użyć podczas negocjacji z

obleganymi, zachowywały się jak węże - wiły się w dłoniach, wyslizgiwały i starały się ukąsić właściciela. Trzonki siekier rozpadały się w drzazgi, nawet pistolety, które ten czy ów posiadał bez pozwolenia, szwankowały. Gdzieś obok kilku mechaników kleło na czym świat stoi, bezskutecznie próbując uruchomić potężny buldożer. Kanistry z benzyną, która miała posłużyć do spalenia czarownicy, nagle przerdzewiały, a paliwo znikło. W pobliskich krzakach paru oblegających wymiotowało bądź zmagalo się z nagłą biegunką. Czarodziejka faktycznie sprawiała mnóstwo kłopotów. Przeczucie podpowiadało przybyszowi, że biegunka nie była największym z nich.

Długowłosa zerknął na swojego rozmówcę, potem na jego kompanów stojących najbliżej. Wszyscy, jeden w drugiego, mieli na twarzach wypisaną złość i przekonanie o własnej racji. Wszyscy byli zdeterminowani, by zaprowadzić w mieście ład i porządek. Dziewczyna zmieniona w żabę, jak wywnioskował długowłosa ze wzroku Klucznika, bezdyskusyjnie się w tym porządku nie mieściła. A skoro lekarstwem było spalenie żyjącej na uboczu wiedźmy...

Cóż, prawo i sprawiedliwość wymagają ofiar.

Spojrzał na przekrwione twarze, prawie słyszał gniewne zgrzytanie zębów, zobaczył oczy pełne chłodu i determinacji. Straszły hasła: „Spalić wiedźmę!”, „Precz z czarną magią!” czy „Odczaruj Ewę, suko!”, wypisane czarną farbą na białych prześcieradłach. Ten ostatni transparent trzymał niedoszły mąż Ewy, Robert Chudziński. On i jego ojciec nadawali ton zgromadzonemu. Stary Chudziński chodził dookoła domu, pohukiwał gniewnie, przekleństwa wylewały się z niego szeroką strugą. Co chwila wskazywał na dom, wymachiwał zapalniczką Zippo i krzychał:

- Oddaj mi synową albo cię spalę!

Długowłosa, nie mogąc się przepchnąć przez tłum, znalazł dobry punkt obserwacyjny na pobliskim drzewie. Z wysoka widok był dużo lepszy, mężczyzna wzrokiem ogarniał całą przestrzeń wokół domu. Pośród transparentów, pił mechanicznych i pałek, którymi jeżył najgorszy z potworów - tłum - długowłosa dojrzał krzyż. Skrzywił się. Krzyż był tutaj szczególnie nie na miejscu.

W masie głów, w oddali, dostrzegł śnieżnobiałe włosy. Kobieta, którą spotkał na rynku. Tłok był zbyt duży, nie zdołałby się do niej przepchnąć, podziękować jej za pomoc. Stała tyłem do niego, wpatrując się w dom. Odwróciła się niespodziewanie. Wyczuła jego obecność? Złowił jej spojrzenie. Twarz miała bardzo smutną, prawie płakała, jednak widząc go, uśmiechnęła się przyjaźnie.

Kilkunastu młodych, niedbale ubranych ludzi tłoczyło się dookoła domu. Motocyklista zatrzymał wzrok na symbolach, które widniały na ich koszulkach. Najczęściej były to popularne pacyfy, chociaż zdarzały się też pentagramy oraz ornamenty indiańskie i hinduskie. Kilka kroków za grupą stał niski, może dwudziestopięcioletni chłopak z megafonem w rękę, który przekrzykiwał się z napierającymi na dom mieszkańcami Wilkowa. Słuchając przez chwilę jego wrzasków, długowłosy doszedł do wniosku, że ma do czynienia z Chudzińskim, tyle że po drugiej stronie barykady.

Najmniej liczni w tym towarzystwie byli policjanci - ledwie kilku funkcjonariuszy w niebieskich mundurach czuwało nieopodal. Chyba tylko ich obecność powstrzymywała tłum. Ich i wysokiej, smukłej kobiety, stojącej przed drzwiami domu.

Koralina. Poznańska czarodziejka. Prawdziwa.

Długowłosy widział wiele czarodziejek. Skutkiem rewolucji magicznej liczba czarownic, wiedźm, różnego rodzaju wrózek i uzdrowicielek szła w dziesiątki tysięcy w samym Poznaniu. Na każdym kroku, w każdym mieście był gabinet, w nim wielkie lustro, granatowe, gwiazdzone kotary, plastikowe czaszki, srebrne noże do korespondencji, kadzidełka, karty Tarota i masa innych bzdur przydatnych jedynie do tego, by wyrzucić wrażenie na potencjalnych klientach. Większość czarownic, które spotkał, nosiła szpiczaste czarne kapelusze, zasłaniała twarze mrocznymi woalkami, okrywała ramiona jarmarcznymi pelerynami, a ich palce gięły się pod ciężarem olbrzymich pierścieni, z których ani jeden nie dawał jakiegokolwiek mocy. Większość czarownic przybierała groteskowe pozy, na proste pytania dawała odpowiedzi mętne i niekonkretne niczym polityk składający obietnice wyborcze. Co najważniejsze, większość owych czarownic nie posiadała żadnych umiejętności magicznych.

Koralina jednak, nie miał co do tego wątpliwości, była autentyczną czarodziejką. Świadczył o tym przede wszystkim strój.

Nosiła nienagannie skrojony kostium - ciemna garsonka, spódnica nieco za kolana, biała bluzka, pończochy podkreślające smukłość nóg. Czarne włosy były upięte w staranny kok. Z daleka wyglądała na bizneswoman, wysoko postawioną pracownicę wielkich korporacji. Albo wziętą prawniczkę, pomyślał długowłosy. Jednak nie dał się zwieść. Jego wzrok złowił dowód potwierdzający, że ma do czynienia z adeptką sztuki znacznie potężniejszej niż prawo czy ekonomia. Złowrogi blask w okolicach smukłej szyi. Bursztyn w srebrze.

No, no, pomyślał mężczyzna, tak wysoko stoi w wiedźmiej hierarchii?

Czarownica uniosła dłoń i rozpoczęła przemowę. Dziennikarze wystawili do przodu mikrofony, fotoreporterzy wycelowali w nią obiektywy, błysnęły flesze. Ciekawe, czy

obiektywy wychwycą poświatę otaczającą klejnot na jej szyi, zastanowił się. Ciekawe, czy ktokolwiek tę poświatę widzi? I czy wie, co ona oznacza.

Kiedy Koralina odezwała się, zgromadzony tłum zafalował. Mówiła spokojnym, niskim głosem, a chociaż nie krzyczała, każdy słyszał ją znakomicie. Pierwszy efekt działania klejnotu, pomyślał długowłosey. Drugi był jeszcze lepiej zauważalny. Tłum, przypominający dotąd garnek z wrzącą wodą, w miarę przemowy stygł i cichł. Mężczyźni z każdym słowem łagodnieli, kobiety z mniejszą niechęcią spoglądały na małą chatkę. A Koralina tłumaczyła.

Tłumaczyła, że nie ma dowodów obciążających Esterę, a jakakolwiek krzywda przez tłum uczyniona będzie krzywdą uczynioną osobie całkowicie niewinnej i dobrej. Przekonywała, że Estera płaci za swoją odmienność i odważne w tak konserwatywnym środowisku poglądy. Cierpliwie wyjaśniała zasluchanym odbiorcom, czym jest ksenofobia i nietolerancja. Wskazywała, że już wielokrotnie Polacy musieli się tych cech wstydzić, w czasach gdy znajdowali sobie urojonych wrogów w postaci Żydów, hippisów i ubeckich agentów. Pytała, czy mieszkańcy Wilkowa chcą jeszcze raz wejść do tej samej rzeki, rzeki brudnej i skażonej najniższymi instynktami.

Prawie wszyscy zgromadzeni zaprzeczyli.

Edmund Chudziński próbował protestować, wysuwać kontrargumenty, próbował zwyczajnie się klócić i pokrzykiwać. Uciszyła go jednym stanowczym gestem, nikt poza długowłosem nie zauważył nawet, że rzuciła na starego Chudzińskiego zaklęcie.

Stary jest na przegranej pozycji, zrozumiał motocyklista. Czarodziejka była profesjonalistką w każdym calu, znakomicie panowała nad tłumem, od razu potrafiła wzbudzić sympatię, sterowała emocjami, raz podsuwając nadzieję (marchewka), innym razem pokazując zagrożenia (kij).

- Cynceron by się nie powstydził - wyszeptał z podziwem.

Edmund Chudziński nie miał najmniejszych szans.

Koralina mówiła dalej. Opowiadała o konsekwencjach, jakie mogłyby spotkać zgromadzonych, gdyby doszło do samosądu. Snuła wizję więzienia i wizję hańby, za którą odpowiadałby cały Wilków, gdyby Esterze spadł choć włos z głowy.

- Chcecie, by mówili, że Wilków to drugie Jedwabne? - pytała.

Tłum znów zaprzeczył, działając jak jeden świadomy organizm. Organizm, który z wolna przekonywał się, że czarodziejka ma rację.

A ona, nie chcąc stawiać zgromadzonych w niezręcznej sytuacji, wskazywała winnych. Winnych tego, że dobrych przecież ludzi ogarnęło szaleństwo.

- Pora pozbyć się złudzeń. Pora przestać zażywać truciznę - rzuciła, spoglądając znacząco w stronę kościoła, którego strzelista wieża górowała nad okolicą.

Wielu popatrzyło na czarodziejkę z uznaniem i wdzięcznością. Jej słowa pozwalały bez wstydu wywinąć się z kłopotów. Wcześniej nie honor było się wycofać, ale i zaatakować - despekt, może nawet większy. Na oczach całej Polski, przeciw policji - niewielu zgromadzonych miało na to ochotę. Dlatego gdy Koralina kontynuowała przemowę, tłum topniał jak lód. Wkrótce zostali jedynie ci najbardziej zdeterminowani i zajadli, ale i ich zapal do wymierzania sprawiedliwości gasł. Poza tym w konfrontacji z policją i obrońcami praw człowieka nie mieliby szans.

- A Ewa? - wołał płaczliwie Robert Chudziński, zaczepiając odchodzących. - Chyba tak jej nie zostawicie?

Zaczepiani odwracali głowy i wzruszali ramionami. Nikt nie chciał słuchać chłopaka.

Ci, którzy zostali, zaszemrali, gdy Estera wyszła z domku. Flesze rozbłyły jak na piłkarskim stadionie.

Długowłose zmrużył oczy, skupił wzrok na oskarżanej o czary dziewczynie. Jej twarz była szara, nieprzenikniona. Ani śladu uśmiechu, radości, że wybawiono ją z opresji. Być może to stres, wielodniowe zdenerwowanie, strach przed tłumem, którego nie chciała dodatkowo drażnić? Swoją drogą, pomyślał mężczyzna, miasteczko istotnie ogarnął amok, zapanowało tu jakieś zbiorowe szaleństwo. Aż trudno uwierzyć, by spokojni rolnicy, których największe zmartwienie stanowiła wielkość unijnych dopłat, mogli podnieść rękę na Estere. Aż trudno uwierzyć, że tych ludzi ceniących rodzinę nie powstrzymał stan zaatakowanej kobiety.

Estera była w ciąży. Bardzo zaawansowanej.

Długowłose nie był ekspertem położnictwa, ale od porodu nie mogło Estery dzielić więcej niż dwa, może trzy tygodnie. Nawet obszerna sukienka nie była w stanie zamaskować rozmiarów brzucha. Tutaj nie policji potrzeba, pomyślał, nie poznańskich czarodziejek, ale położnej.

Czarodziejka tymczasem, która bynajmniej nie czuła się niepotrzebna, opuściła ręce, gdy Estera wsiadła do radiowozu. Za radą Koraliny komendant policji postanowił, że do czasu, aż emocje opadną, dziewczyna będzie mieszkała w komisariacie, zwłaszcza że gabinety lekarskie były tuż obok.

Zdezorientowani Chudzińscy patrzyli po sobie. Co dalej, co z blokadą, po co tutaj sterczeć, no po prostu bez sensu. Ogarnął ich palący wstyd, przecież to śmieszne, polować na

wiedźmy w epoce rabbitholi, latających dywanów, szklanych kul i owianych złą sławą polskich kolonii Po Drugiej Stronie Lustra.

Czarodziejkę otoczył wianuszek dziennikarzy. Długowłosey zeskoczył z drzewa, podszedł w stronę domu. Kobieta udzielała właśnie wywiadu przedstawicielowi jednej z telewizji sieciowych.

- Udało się zapobiec temu, by ciemnogród zwyciężył - mówiła z satysfakcją. - Na szczęście nie doszło tutaj do ludowego samosądu, choć było blisko, naprawdę blisko. Jeszcze chwila i owładnięty ślepym maskulinizmem tłum wyładowałby swoją frustrację na samotnej i bezbronnej dziewczynie. A cała jej wina taka, że stanowi odstępstwo od nor...

Urwała w pół słowa. Jej wzrok wyłowił długowłosego, który właśnie zeskakiwał z gałęzi. Dziennikarz? - zastanowiła się. Nie, raczej podstarzały rockers.

Kiedy się odwrócił, zobaczyła jego twarz. Znajomą? Nie, to chyba złudzenie. Wszyscy faceci noszący długie włosy i chodzący w ramoneskach wyglądają podobnie.

Nie jest już taki młody, spostrzegła, przyglądając się rockersowi uważniej. Pasma siwizny wśród burzy czarnych włosów były aż nadto widoczne. Twarz też ma zniszczoną, skóra nie pierwszej świeżości. Nie dba o siebie. Tacy jak on nigdy nie dorastają.

Odruchowo zerknęła na swoje dłonie. Były gładkie, idealnie gładkie, skóra aż lśniła młodością. Mimowolnie odetchnęła z ulgą.

Młode, pomyślała. Młode.

Odważnie spojrział jej w oczy. Niewielu mężczyzn mogło wytrzymać ostry, ciskający gromy wzrok Koraliny, ale ten tylko się uśmiechnął i skinął głową. Zwróciła uwagę na jego zęby. Białe. Równiutkie. Takie, jak lubiła.

- Czy mógłby pan powtórzyć pytanie? - powiedziała do dziennikarza, otrząsając się z zadumy.

Udzielając wywiadu, patrzyła na mężczyznę na motorze. Nie nałożył kasku, wiatr rozwiał długie włosy. Dopiero gdy zniknął za zakrętem, pomyślała, że warto byłoby się dowiedzieć, jak nieznajomy ma na imię.

3

Cmentarz znajdował się na pagórku sąsiadującym ze wzniesieniem, na którym stał dom Estery. Ze szczytu, obok kościółka przypominającego szyszak, tuż przy wysokim drewnianym krzyżu, można było obserwować polną drogę. Droga wiła się wśród traw i wiodła prosto do małego domku.

Domku domniemanej czarownicy.

Na cmentarzu było pusto. Wieczorem wszystkie cmentarze pustoszeją. Oczywiście nikt rozsądny nie wierzy w duchy, to przecież zabobon. Dziwnie niewielu ludzi odwiedza jednak cmentarze po zmroku. Nekropolia wilkowska nie była tu wyjątkiem. Dlatego, mimo że z cmentarnego wzgórza było widać jak na dłoni polną drogę prowadzącą do domu Estery, nikt nie mógł zauważyć rozświetlających noc światła samochodu podskakującego na wybojach. Nikt nie mógł zobaczyć, jak z samochodu, który zatrzymał się tuż przy domu, wysiada dwóch barczystych mężczyzn. Nikt nie mógł dostrzec odłamków wybijanej przez nich szyby, gdy włamywali się do środka. Nikt też nie mógł wiedzieć, że kilkanaście minut później pod domem, tuż przy drzwiach, wylądował bezszelestnie dywan. Szczupła postać, która siedziała na nim po turecku, wstała i nie łamiąc założonych w czasie dnia pieczęci, weszła do środka.

Przez zamknięte drzwi.

Aby to wszystko widzieć, ktoś musiałby pójść nocą na cmentarz, przysiąść na wzgórzu obok drewnianego krzyża i cierpliwie czekać. A na to nie zdobyłby się przecież żaden mieszkaniec miasteczka.

Długowłosa w miasteczku nie mieszkał.

Gdy dywan osiadł miękko na trawie, mężczyzna wstał, otrzepał spodnie z suchego piachu i bez pośpiechu puścił się w dół ścieżką kluczącą między grobami. Cmentarz był cmentarzem komunalnym, ale z większości grobów strzelały w górę krzyże. Tylko na samym dole było kilkadziesiąt mniejszych mogił, bez żadnych symboli religijnych. Nekropolie, przyszło mu do głowy, podobnie jak miasta, są podzielone na dzielnice - tam dzielnica bogaczy, tu znów dzielnica inteligencji. Na południowym zboczu leżeli jeden obok drugiego rolnicy, natomiast w tych małych niepozornych grobach, które długowłosa właśnie mijał, w pokoju spoczywali niewierzący.

Na moment zatrzymał się przy czarnej płycie nagrobnej, na której stały świeże białe lilie. Wyciągnął zapalniczkę, skrzesał ogień. Sybilla Bielska, przeczytał, zmarła w roku 1998. Jej matka, Leokadia Bielska, zmrużył oczy, opuściła świat w 1971 roku. Interesująca była ornamentyka płyty - srebrne liście dębu. Chciał pochylić się nad grobem, przeczytać drobne napisy na nagrobku, ale kątem oka spostrzegł, że jedno z okien domu Estery rozbliżyło na moment seledynowym światłem. Kiedy spojrział w tamtą stronę, okno znowu było ciemne. Zaintrygowany ruszył w tamtą stronę.

Po kilku minutach znalazł się przy budynku. Domek nie był duży, ale za to urokliwy - białe ściany poprzecinane czarnymi belkami, prawdziwy pruski mur! Położenie również godne pozazdroszczenia, chociaż piękna trawa okalająca budynek została zdeptana. Wszędzie walały się kępy darni wydarte kołami samochodów.

Księżyc nie dawał zbyt wiele światła, w sam raz jednak, by dostrzec, że dookoła domku roztacza się przestrzeń, której blokujący Esterę chłopci nie ośmielili się naruszyć, przestrzeń bez śladów samochodowych kół, przestrzeń, gdzie źdźbła stoją prosto, nawet nie przydepnięte. Regularne koło, jakby ktoś obrysował dom cyrklem, pomyślał. Magiczny krąg.

Niewątpliwie dzieło czarownicy z Poznania.

Przeszkodą okazały się drzwi zamknięte na klucz, a w dodatku zabezpieczone przez prokuratorские pieczęcie. Policja zadbała, by do domu nie wdarli się nieproszeni goście.

Tylko pozadrościć skuteczności, przemknęło mu przez głowę. Dwóch nieproszonych gości po prostu włamało się przez okno. Kolejny nieproszony gość przeszedł przez drzwi. Długowłose westchnął. Pierwsze rozwiązanie raczej nie wchodziło w rachubę - wyłamywanie drzwi lub okna narobiłoby hałasu, a tego chciał uniknąć. Natomiast przechodzenie przez drzwi...

Westchnął po raz drugi, przytulając się do dębowych desek i zamknął oczy. Nie lubił tego, bardzo tego nie lubił. Czuł, że drewno rozdziera mu klatkę piersiową, ostre drzazgi wbijają się w oczy, w sam środek czaszki, czuł, że klamka zahacza jelita, a szkło wizjera kaleczy szyję. Oczy zalewał mrok, absolutna ciemność, zupełnie tak jak gdyby drzwi były wszędzie, jak gdyby drzwi przesłoniły cały świat. Westchnął raz jeszcze.

Był po drugiej stronie.

Starał się stąpać bezgłośnie. Drzwi otworzył delikatnie, nawet nie skrzypnęły. Zamrugał. Zaktywizowane ruchem powiek zakłęcie noktowizyjne, świeżutki nabytek z Ezoterycznego Poznania, działało wyśmienicie. Mężczyzna dokładnie ujrzał wnętrze budynku - przedsionek z wielką czarną belką nad wejściem, z której zwieszały się kępy suszonych ziół i warkocze czosnku. Dalej długi korytarz, wąski, bo stał tam również regał z książkami, kilka par drzwi, a na końcu - jak się domyślał, dostrzegłszy kontur lodówki - mała kuchnia i schody na piętro. Drzwi do jednego z pomieszczeń były uchylone. Przez szparę sączyło się słabiutkie światło.

Ruszył wolno, uważając, by nie potrącić blaszanej kocięj miski. Ramieniem zawadził o jedną z obszernych peleryn, wiszących w przedsionku. Rozległ się cichy szelest. Długowłose przystanął. Ci, którzy byli w środku, na szczęście go nie usłyszeli, rozmawiali ze sobą. Wsłuchał się w ich słowa.

- Ale mnie jędzą urządziła! - basował jeden. - Gębę rozharatała pazurami. Powinni babom zakazać noszenia długich paznokci. To jest niebezpieczne narzędzie. A z tobą jak? Wszystko w porządku?

- Już dobrze. - Drugi głos był znacznie młodszy.

- Myślałem, że oczy stracę, błysnęło, jakbym stał przy spawarce. Ale teraz, teraz nawet coś widzę. Co z nią?

- Fikać już nie będzie! - Bas zaśmiał się, aż zadudniło w korytarzu. - Zakneblowana i związana. Wydra paskudna, niech ją diabli.

- Co z nią zrobimy?

- Zobaczymy. Całkiem niebrzydka, jak tak na nią popatrzeć. Tylko za chuda.

Długowłosey słuchał, oparty o regał. Mimochodem spojrzął na zgromadzone przez Estere książki. *Monologi waginy, Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*, dzieła zebrane Kazimierzy Szczuki... Faktycznie, Estera miała nietypowe zainteresowania. Z pewnością niedopasowane do środowiska, w którym przyszło jej mieszkać. Spojrzął niżej. Mignęły mu takie tytuły jak: *Biała bogini Gravesa, Złota gałąź Frazera czy Mroki Średniowiecza*. Obok stały roczniki jakiegoś czasopisma. „Zadra”, przeczytał na grzbiecie segregatora. I „Wróżka”.

W tej chwili usłyszał jęk.

- Ciszej tam! - warknął bas. - Bo jeszcze raz oberwiesz.

- Nie możemy jej tu zostawić. Uwolnić też nie, bo wyda się, że nas widziała. Znaczy...

- Znaczy, musimy zabrać ją ze sobą. Zamknij się ją w chlewiku na kilka dni, a potem zdecydujemy - zadudnił bas. - Już mówiłem, brzydka nie jest. Możemy z niej mieć niemałą uciechę. Tak czy siak, lepiej dla nas, że z miasteczka zniknie. A jak nie będziemy wiedzieli, co z nią zrobić, to wrzucimy do niegaszonego wapna i załatwione. Żal jej nie będzie. Wiedźma przecie. Tfu!

- Najpierw znajdziemy to, po co przyszliśmy.

- Racja - zgodził się bas. - A jęcza niech sobie leży, he, he, nie ucieknie. Tylko zabierz jej świecidełko, bo nie wiadomo, jaką jeszcze zarazę mogłaby nim sprowadzić.

Długowłosey usłyszał kolejny jęk. Dłuższy, niewyraźny. Kobieta protestowała. Rozległo się głucho uderzenie. Jęki ucichły momentalnie.

- I po zabawie! - powiedział młody. - Idziemy.

Drewniana podłoga zaskrzypiała pod ich butami. Długowłosey schował się w płytkiej wnęce. Czekał. Drzwi rozchyliły się szerzej, światło zachybotало, na chwilę powędrowało w inną stronę. Zwykła latarka, pomyślał.

Zaatakował, kiedy ręka z latarką wyłoniła się z pokoju. Uderzył mocno, precyzyjnie, podbijając dłoń niosącego latarkę. Słup światła na moment strzelił w górę, oświetlając twarze zaatakowanych. Latarka zgasła.

Długowłosey zanurkował, unikając potężnego prawego sierpowego wymierzonego przez barczystego mężczyznę. Kopnął w kolano idącego za nim chłopaka. Ten zawył. Zwalisty

chłop, który z ledwością mieścił się w korytarzu, odwrócił się z trudem i rąbnął pięścią na oślep. Dopisało mu jednak szczęście, trafił długowłosego w szczękę.

- Za kudły! - ryknął. - Znowu jakaś cholerna baba. Młody posłuchał. Sięgnął ręką, jego palce przeczesaly długie kosmyki. Szarpnięcie.

Kurwa, na co mi ta ekscentryczna fryzura, pomyślał motocyklista. Ból był przenikliwy, długowłosa zagryzł zęby, by nie krzyknąć. Ostatkiem sił uderzył tam, gdzie spodziewał się znaleźć przyrodzenie napastnika. Udało mu się, cios trafił bezbłędnie, o czym upewnił go krótki, acz bardzo głośny skowyt uderzonego. Motocyklista uwolnił się od uchwytu, kopnął młodego, ale sam znów oberwał. Zwalisty nie próżnował.

- Spieprzamy! - zadudnił bas. - Diabli nadali tę małą. Jeszcze suki przyjadą. Spieprzamy, mówię.

Siłą postawił na nogi młodego, z rozmachem otwierając drzwi i wybiegając z domku.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o policyjne plomby - mruknął długowłosa.

Dyszał jeszcze przez dobrych kilka chwil. Za stary na to jestem, pomyślał, zdecydowanie za stary. Koncept, mój drogi, powinienes używać konceptu, nie siły. Argumenty siły w twoim wykonaniu brzmią żałośnie słabo.

Kiedy napastnicy biegli przez przedsionek, coś wypadło z kieszeni młodego i potoczyło się po podłodze. Długowłosa wstał. Bursztyń czarodziejki. No, kochany, czasem i do ciebie uśmiechnie się głupie, ludzkie szczęście! Przez dłuższy moment przypatrywał się wisiorowi. Wzmacniacz mocy, a zarazem podręczna pamięć najczęściej używanych czarów. Najważniejszy atrybut wysoko postawionych wiedźm. Wiedział, że kiedy to cacko zwisa na szyi Koraliny, jest śmiertelnie niebezpieczne.

Czuł, jak klejnot drga pod jego palcami, jak się buntuje, gdy opuszkami gładził suchą powierzchnię. Bursztyń zachowywał się niby złapany szczupak, który przeżył się, to udając martwego, to znów stara się uwolnić węzowymi ruchami.

- Tym razem trafiłeś na rybaka. - Długowłosa wyszczerzył w brzydkim uśmiechu zakrwawione zęby.

Gładząc klejnot, wyszeptał coś cicho, potem wszedł do pokoju, dłonią poszukał kontaktu. Pojaśniało.

Leżała pod ścianą, ręce miała związane paskiem tkaniny, oderwanym z okiennej zasłony, podobnie nogi. Choć przebrała się już z kostiumu, który miała na sobie rano, ubrana była równie drogo, tyle że sportowo. Elastyczne, niekrępujące ruchów spodnie, sportowe buty, wygodna, ale podkreślająca linię bluzeczka - wszystko markowe, z najwyższej półki.

Diabeł ubiera się u Prądy.

Obraz całości psuł tylko fakt, że polar miał udarty rękaw, który posłużył napastnikom za knebel. No i siniec, potężny siniec pod okiem. Istotnie, pomyślał długowłosey, przypatrując się uważnie Koralinie, istotnie napastnicy mogliby mieć z niej pożytek.

I wcale nie jest zbyt chuda.

Pochylił się nad kobietą i delikatnie rozsuptał węzły na rękach i nogach. Potem wyciągnął knebel. Dopiero wtedy otworzyła oczy.

- Ty, ty? - zdziwiła się, rozpoznając wybawcę. A potem uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła.

- Dziękuję - powiedziała.

Długowłosey skinął głową, mimowolnie potarł uderzoną szczękę. Poczuł, że po brodzie ścieka mu krew.

Naprawdę ładna, pomyślał. Szkoda, że zaraz znów wskoczy w rolę, że znów stanie się czarownicą, mającą jeden cel. Wygrać, wygrać, wygrać.

- Widziałeś, kim byli? - spytała, wstając.

O właśnie, już się zaczyna, zacisnął usta. Już myślimy o zadaniu. Tylko o zadaniu.

- Nie - skłamał.

W tym momencie czarodziejka zamrugła, zachwiała się. Gdyby jej nie podtrzymał, upadłaby na podłogę. Musiała naprawdę mocno oberwać, zauważył.

- Chodź, zawiozę cię do motelu. Nie zaprotestowała.

4

Siedzieli przy małym stoliku, filarem osłonięci od gwaru sali. Nieco dalej ekipy telewizyjne piły na umór.

Dziennikarze rozmawiali głośno, klócili się i śpiewali sprośne piosenki. Motel przeżywał prawdziwe obleżenie. Przy stoliku pod ścianą kilku aktywistów z Ruchu na rzecz Racjonalizmu, którzy przyjechali do miasteczka, by nie dopuścić do średniowiecznego samosądu, toczyło całkowicie irracjonalną kłótnię o to, kto z nich powinien postawić następną kolejkę. Kłótnia trwała już drugą godzinę.

- Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę - powiedziała czarodziejka. Jej głos wyrwał długowłosego z rozmyślań. - Gdyby nie ty...

- Nieważne - machnął ręką. - Jesteś pewna, że nie chcesz złożyć doniesienia na policję?

Pokręciła energicznie głową. Przetykając kawę, odpowiedziała:

- Dom był opieczętowany, nikt nie powinien był tam chodzić. Nawet ja. To, że pomogłam tej dziewczynie, nie ma znaczenia. Zresztą... - przerwała, wzięła od niego papierosa, zaciągnęła się.

Obserwował jej ręce. Nawet nie zadrżały. Co za opanowanie, pomyślał z uznaniem, ani śladu zdenerwowania. Pełen profesjonalizm. Proszę, proszę.

- Zresztą, gdybym powiedziała o dzisiejszym zdarzeniu na policji - kontynuowała - zaraz by to się rozniosło. Ludzie znów zaczęliby rozpowiadać, że Estera to wiedźma, bo przecież inna wiedźma - nie krzyw się, wiem, że tak na mnie wołają - bo inna wiedźma węszy. To małe środowisko, tutaj plotki rozchodzą się jak dżuma po slumsach.

- A właśnie, miałem spytać. Czego tam szukałaś? Prychnęła.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ta dziewczyna jest niewinna. Niewinna, słyszysz! I z pewnością nie zasługuje na samosąd. Na lincz. Była bliska śmierci. I to z ręki tych bydlaków! Widziałeś ich?

Długowłosey potaknął.

- Jeden w drugiego, szowinistyczne męskie świnię.

Czarodziejka przekrzywiła głowę.

- Ejże. Naśmiewasz się? Lecz racja. Z nimi nie można dyskutować, nimi możesz co najwyżej...

- Manipulować? - Znowu się uśmiechnął.

Te zęby, pomyślała Koralina, jakie on ma równe zęby. Poczowała lekkie mrowienie w dole brzucha. Jej rozmówca nie był może najmłodszy, ale wiek wcale nie odbierał mu uroku. Wręcz przeciwnie.

- Obraziłabym się - powiedziała, wydymając wargi - gdyby to nie była prawda. Bystry jesteś.

Skłonił głowę. Nieco przesadnie.

- Gdzie mi równać się z tobą. Wspaniale sobie poradziłaś dzisiaj, tam przed domem. Gdyby nie ty, Estera byłaby martwa.

Pojaśniała. Komplement - prawdziwy czy nie - działa zawsze, nawet na wyemancypowane, pewne swej wartości czarodziejki.

- Och, to nie było trudne. - Kokietyjnie spuściła wzrok. - Nowoczesna magia to w niewielkim stopniu efektowne sztuczki i widowiskowe czary. Najskuteczniejsze zaklęcie to wcale nie takie, które sprawi, że zmienisz się w sowę czy kota, a z palców strzelą błyskawice. To drobnostka, podstawy, które znane są średnio zaawansowanej studentce Akademii Ezoterycznej. Nowoczesna magia to budowa eksperymentalnych osiedli mieszkaniowych,

takich jak wiszące ogrody, to przygotowywanie wróżb i horoskopów dla wielkich korporacji, pozwalających prognozować zmiany kursu akcji czy trendy na rynku. Współczesne czarownictwo to wreszcie manipulowanie tłumem. A tłumem złożonym z samych baranów sterować łatwo, zwłaszcza jeśli ma się rację. Gorzej z ludźmi inteligentnymi, twojego pokroju.

- Czy temu zawdzięczam, że ze mną rozmawiasz?

- Nie, nie temu. Zawdzięczasz to mojej ciekawości. Ja, widzisz, też chciałabym wiedzieć, co robiłeś w domu Estery. I kim jesteś?

- Spacerowałem - powiedział długowłosey. Nawet powieka mu nie drgnęła. - Zobaczyłem podejrzający samochód, później dywan. A potem w domu coś błysnęło.

- Próbowałam się bronić. Nie spostrzegłam, że było ich dwóch.

- Ten błysk mnie zaalarmował, wszedłem do domku i udało mi się spłoszyć napastników.

Oto i cała historia.

Przyjrzała mu się uważniej. Miał regularne rysy i wyniosłe spojrzenie. Twarz była trochę zmęczona, ale bez wątplenia inteligentna. Gdzie ja go już widziałam, zastanowiła się. Gdzie ja go widziałam?

- Ta cała afera z żabą - mówił, trzymając dłoń na kufle - zainteresowała mnie. Bo jeśli nie Estera zamieniła tę drugą, to kto? Kto?

- Żyłka detektywa? - Czarodziejka musnęła klejnot, leciutko, niby to przypadkiem, od niechcenia, ot, zwykła kobieca rzecz poprawiać biżuterię.

Długowłosego nie oszukała. Sprawdza mnie, pomyślał, zauważając drgnięcie bursztynu.

- Nazwij to, jak chcesz. Może być hobby. Albo zawodowa ciekawość reportera. To odpowiedź na twoje drugie pytanie. Jestem dziennikarzem. Nie łowcą newsów jak tamci. - Skinął głową na pijanych w sztok redaktorów telewizyjnych. - Długo gromadzę materiał, zbieram notatki, potem publikuję. Postanowiłem napisać reportaż o wydarzeniach w Wilkowie.

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę. Zmarszczyła czoło.

- Wybacz - mruknęła, przerywając kłępującą ciszę. - Przez moment myślałam, że jesteś od czarnych. Czyli ksiądz albo któryś z ich sługusów. Może egzorcysta. Ostatnio bardzo uważnie patrzą nam, czarownicom, na ręce. Zwłaszcza w Poznaniu. Ale ty mówisz prawdę.

- Jesteś pewna? - teraz to on się z nią droczył. - Niby skąd możesz wiedzieć. Nie jestem podłączony do wariografu.

- Mam coś lepszego. - Uśmiechnęła się promiennie. - Kobiecą intuicję.

Wykonała nieznaczny gest, znów muskając klejnot. Taaa, intuicję, pomyślał.

- I co podpowiada ci intuicja, jeśli chodzi o rozwiązanie zagadki zamienionej w żabę dziewczyny? - zmienił temat, nie chciał, by rozmawiano o nim. - Masz już sprawcę?

- Nie - przyznała niechętnie. - Ale mam kilka punktów zaczepienia. Nie chciałbyś mi pomóc?

Długowłosa milczał jakiś czas, patrząc jak bąbelki długimi warkoczami unoszą się na powierzchnię.

Wreszcie oderwał wzrok od kufla, spojrzął czarownicy w twarz. Nawet ten siniec nie przeszkadza. Nawet on. Jest bardzo ładna. Ile ona może mieć lat? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia sześć? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Przeszkadzałbym ci - oznajmił. - Ale mogę obiecać, że kiedy trafię na coś interesującego, dam znać. Nie za darmo, rzecz jasna. W zamian chciałbym pierwszy usłyszeć rozwiązanie zagadki, kiedy już je znajdziesz. Bo że znajdziesz, nie mam żadnych wątpliwości. Zgoda?

Wyciągnął przed siebie rękę. Koralina wahała się przez moment, ale krótko. Odwzajemniła uścisk. Miała delikatne, aksamitne dłonie.

- Wiesz - zaczęła cicho, spoglądając w poszarzały od tytoniowego dymu sufit - w biblijnym Izraelu funkcjonował specyficzny obrzęd. Dzień Przebłagania. Izraelici, chcąc uwolnić się od win, które przecież obrażały Boga, swoje grzechy składali na głowę kozła, wybranego do tego celu przez kapłana. Kozioł wyprowadzany był na pustynię i tam zdychał. Kapłan natomiast wracał, mył się i wszystko było dobrze. Grzechy zniknęły. Tutaj... - urwała. - Tutaj mogłoby być tak samo. Najpierw miejscowy klecha agresywnymi kazaniem przygotował grunt pod oskarżenie. A Chudziński to wykorzystał. Estera spłonęłaby uwięziona we własnym domu, natomiast ludzie, którzy znaleźli w niej kozła ofiarnego, wróciliby do siebie, wzięliby prysznic, splukaliby z rąk resztki popiołu i krwi, a potem zasnęliby snem sprawiedliwych. Szlag ich!

Uderzyła kantem dłoni w stół.

- Spójrz na to od innej strony. - Długowłosa delikatnie dotknął nadgarstka czarodziejki. Napięcie opadło równie szybko, jak się pojawiło. - Gdyby nie to, nie miałbym szansy cię poznać.

Jego słowa zaskoczyły dziewczynę. Długo wpatrywała się w brązowe oczy siedzącego naprzeciw niej lekko podstarzałego harleyowca.

- Chciałabym, żeby sprawa była jasna - powiedziała cicho. - My czarodziejki...

- Wiem - przerwał jej i znowu się uśmiechnął. - Nie macie czasu i ochoty na uczucia. Związki emocjonalne to przeżytek dawnych czasów, ślepa uliczka ewolucji. Uliczka, która

sprowadza na manowce z drogi wiodącej ku doskonałości. A każda emocja jest bodźcem do zaspokajania potrzeb, niczym więcej.

- Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy - odetchnęła. A potem, z miną niewiniątka, zapytała:

- Może pójdziemy do mnie?

Czarodziejka nie była pięknoscią z okładek kolorowych pism. Rysy miała ostre, a spojrzenie gniewne. Mimo wszystko długowłosa nie mógł odmówić jej urody. Urody porywającej i wyrafinowanej, urody szlachetnej jak wytrawne wino, urody zdecydowanej nie dla mas czytających kolorowe pisma.

Zaspokojenie potrzeb?! Niech ją diabli, pomyślał, przypatrując się jej nogom. Mam swój honor, swoją godność! Zlekceważę propozycję, wzruszę ramionami, obrócę wyniosłe głowę, planował. Niech wie, że nie każdy facet myśli penisem!

Wyszedł od niej kilka godzin przed świtem.

Dopiero wtedy, leżąc w gorącej pościeli, Koralina zdała sobie sprawę z tego, że nie spytała nawet, jak nieznajomy ma na imię.

5

Nie zasnął po powrocie z pokoju czarodziejki. Z małego, skórzanego woreczka wygrzebał ostrożnie kilka czerwonych jagód. Z Zaświatów, przemknęło mu przez głowę, importują wszystko. Rozgryzł owoce, zmiądzzył pestki. Cierpki smak rozlał się po języku. Czerwone owoce działały lepiej niż jakikolwiek napój energetyzujący. Po chwili wróciły mu siły, a oczy rozblęły entuzjazmem.

Wysunął spod łóżka płaską walizeczkę. Rozsunął zamek błyskawiczny - wewnątrz krył się prostokątny czarny przedmiot wyglądający jak notebook. Zwolnił zatrzaski przypominające dla odmiany staroświeckie kufry, które od czasu do czasu można spotkać w antykwariatach.

Górna część, ta, która w laptopie stanowiła ekran, teraz kryła lustro. Dolną część, będącą odpowiednikiem klawiatury, tworzyła płaska czarna płyta, na której wyrysowano cienkimi białymi liniami różne symbole magiczne. Był więc pentagram, był krzyż ankh, a także symbole, którymi posługiwali się różokrzyżowcy. W centrum widniał wyrysowany zodiak, tu i ówdzie pojawiały się łacińskie napisy. Diagramy i rysunki tworzyły powiązany ze sobą labirynt, na pierwszy rzut oka całkowicie nieczytelny.

Oto jeden z ostatnich hitów eksportowych Rzeczypospolitej, który podbija rynki na całym świecie i bezwzględnie wypiera komputery, pomyślał długowłosa. Na razie kosztował majątek, ale wart był swej ceny. Personal Mirror, w skrócie PM.

Teraz Polska!

Mężczyzna z dużą wprawą przemknął palcem po wyrysowanych diagramach, aktywując szereg zaklęć, w tym czar szyfrujący, na wypadek, gdyby Koralina prowadziła nasłuch. Cicho szepnął kilka słów po łacinie.

Lustro ożyło, dając w pokoju bladą poświatę. Potrzebował informacji.

- Lustreczko, powiedz przecie... - zaczął formułę inicjującą „poszukiwania”.

Powierzchnia zwierciadła zafalowała, obraz na moment zmętniał. Lustro oczekiwało na pytania. Spojrzał na zrobione w wolnej chwili notatki - sporo niewiadomych, wiele kwestii, które należało wyjaśnić.

Wszystkie dotyczyły poznańskiej czarodziejki.

Czerń drgnęła, zawirowała. Na moment pojawił się awatar ducha zaklętego w przedmiocie. Zimne stalowe usta powtarzały mechanicznie: „Proszę czekać. Trwa przeszukiwanie”.

Poznańskie fabryki sprzedawały tysiące lusterek na Zachód, do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji i za Atlantyk. Lustra na razie „mówiły” tylko po polsku. Długowłosa z rozbawieniem wyobraził sobie, jak londyńczycy czy paryżanie próbują wymówić polskie „przeszukiwanie”.

Duchy w maszynie szybko przygotowały ekstrakt, wyławiając perły z morza informacji o Koralinie. Perły, niestety, tylko i wyłącznie zdaniem kompilatora.

W zwierciadle pojawił się profil czarownicy, kilkanaście stron tekstu, sporo zdjęć, filmy, wypowiedzi. Nie tylko Kościół się wami interesuje, pomyślał mężczyzna, widząc, że lustro połączyło się z policyjną bazą danych. Nie tylko. Spojrzał na zdjęcie, potem przeszedł do opisu.

Jedna z najbardziej aktywnych działaczek ruchu wiedźm i czarownic. Bardzo poważana w kręgach żywo zainteresowanych magią. Znana z radykalnych poglądów. Potrafi działać energicznie i szybko. IQ 170. Ma rozległe koneksje sięgające wysokich szczebli władzy w Piątej Rzeczypospolitej. Znana również w środowiskach biznesowych. Prowadzi własną firmę, sprzedając międzynarodowym korporacjom rozwiązania typu ESB (Esoteric Support for Business). Firma zarejestrowana z siedzibą w wiszących ogrodach. Koralina jest głównym udziałowcem i sprawuje funkcję dyrektora wykonawczego. Oprócz tego aktywna działaczka i współzałożycielka Kościoła Białej Bogini, członkini Koła Czarownic Miejskich. Filantropka,

ale wspiera jedynie inicjatywy zgodne z jej światopoglądem i wyznawaną linią ideologiczną. Miejsce zamieszkania: Rajskie Ogrody Doktora, Fool's Tower 4/46.

Charakter, przeczytał tytuł kolejnej zakładki.

Wyrachowana, w każdej sytuacji potrafi powściągnąć emocje. Znana ze złośliwości, ma bardzo wysokie poczucie własnej wartości, ile reaguje na towarzystwo osób, które uważa za gorsze od siebie. Wybijały temperament seksualny.

Długowłosa ze zrozumieniem pokiwał głową. Policja miała znakomitych informatorów.

Urodzona w Rogalinie, nieopodal Poznania, w wielodzietnej rodzinie. Jako jedyna wybiła się tak wysoko. Kiedy zrobiła karierę, całkowicie zerwała kontakty z bliskimi, przybierając pseudonim wzięty z powieści Neila Gaimana (prawdziwe nazwisko Rabe Karolina). Publicznie twierdziła, że to z powodów ideologicznych. Rodzice byli katolikami.

Przerzucił jeszcze kilka stron tekstu. Nic ciekawego. Nic. Cóż, mógł się tego spodziewać. Prawdziwe tajemnice, również te, które skrywa policja, chronione są dużo mocniej. Zwykłe PM, nawet podrasowane, to zdecydowanie zbyt słaby sprzęt. Może byłoby lepiej, gdyby w lustrze zaklęty był džinn, nie flagum, czyli zwykły duch służebny, pomyślał. Trzeba będzie to poprawić.

Jeszcze tylko data urodzenia, pomyślał. Zwierciadło wznowiło szukanie. Trwało to dość długo, długowłosa zaczął się już zastanawiać, czy system jest stabilny, czy może motel ma jakieś stabilizatory pola astralnego, które spowalniają pracę PM-a (wynajęliby radiestety? niemożliwe!), gdy znów pojawił się awatar. Jego twarz była bledsza niż wcześniej i wyraźnie niezadowolona.

- Brak danych - wyrecytowało lustro. - Brak danych.

Scena jak z tandetnego filmu kryminalnego. Zniesmaczony mężczyzna odwrócił głowę. Swoją drogą publiczne zbiory są nic niewarte, skoro nie zawierają nawet tak podstawowych informacji. Prawda, że część kobiet trzymała swój wiek w tajemnicy, obejmując go klauzulą zastrzeżenia na podstawie ustawy o ochronie danych osobowych. Wtedy informacje trafiały do Sezamów, które miały dużo lepsze zabezpieczenia, z całkowitym wyłączeniem pola astralnego włącznie. W wypadku Koraliny tego typu zastrzeżenia nie miały jednak najmniejszego sensu. Ona swojego wieku nie musiała się wstydzić. Tak piękna, że aż nienaturalna, pomyślał, a przecież ani śladu operacji, a nawet magii korekcyjnej.

Otrząsnął się i spojrzał spode łba na awatara. Cóż, biedny duch niczego więcej nie mógł zrobić. Długowłosa zerknął na zegarek. Piąta. O tej porze w centrali wszyscy śpią, pomyślał. Wdowiak urwie mi, hmmm, wiele rzeczy, jeśli teraz do niego zadzwonię. Ostatecznie data urodzenia Koraliny nie była kluczową informacją. Zdecydował, że nic się nie stanie, jeśli

otrzyma ją jutro. Korzystając ze zwierciadła, wysłał po szyfrowanych łączach astralnych zapytanie. Wiedział, że następnego dnia centrala przyśle odpowiedź.

Przesunął palcami po diagramach. Awatar posłusznie zniknął, powierzchnia zwierciadła szerniała. Tak jak cały świat przed oczyma mężczyzny, gdy chwilę potem wyczerpany runął na łóżko.

6

Wstał późno. Spojrzał za okno, na słońce - było już po jedenastej. Ręką przejechał po twarzy, równie miłej w dotyku jak ściernisko. Przez moment szperał w torbie, szukając brzytwy. Jest! Drogocenna oprawka z rogu jelenia kryła srebrne ostrze. Brzytwa zaślśniła w słońcu. W metalu wygrawerowano gotykiem trudny do odczytania napis, który w pierwszej chwili można było wziąć za znak towarowy producenta.

Malleus Maleficarum.

Prezent od kolegów z pracy. Chłopcy, zauważył, mieli specyficzne poczucie humoru.

Golił się przy oknie, z którego miał widok na motelowy taras. Właśnie kończył zdrapywać szorstkie włoski z szyi, gdy zobaczył uśmiechniętą Koralinę, jak wychodziła z budynku, zajęta rozmową z chudym jegomościem o cerze żółtej od papierosów. Długowłosey nie znał go, ale mężczyzna wzbudził w nim instynktowną niechęć.

Wziął szybki prysznic i zbiegł na dół, do sali. Barmanka powitała go uśmiechem, odkłonił się, zamówił śniadanie. Wszystkie stoliki były wolne, zabawa dziennikarzy trwała do późna, żaden więc nie kwapił się, by wstać. Długowłosey się ucieszył. Głowa ciążyła mu nieznośnie, sześć godzin snu to niezbyt wiele. Gdyby ekipy telewizyjne zeszły na dół, gwar byłby nie do zniesienia.

Kończył jajecznicę, gdy kątem oka złowił cień w pobliżu. Podniósł wzrok znad talerza. Obok stał antypatyczny typ, który wcześniej rozmawiał z Koraliną na tarasie. Typ przyglądał mu się krytycznie. W jego oczach czaiło się ledwie skrywane poczucie wyższości.

Bardzo wychudzony, zauważył długowłosey. Nie wygląda na tutejszego. Kolejny dziennikarz?

- Jestem doktorem socjologii. Krzysztof Banach z Akademii Ezoterycznej - szczupły okularnik przedstawił się, podchodząc bliżej. - Koralina, to jest, chciałem powiedzieć, pani Rabe, wspomniała mi o panu przed wyjściem. Pisze pan rzekomo reportaż o wypadkach wilkowskich, czy nie?

Długowłosey ograniczył się do prawie niezauważalnego, lekceważącego skinienia głową, nie odzywając się do przybysza ani słowem. Każdy normalny człowiek, pomyślał, poczułby się obrażony. Jednak doktor socjologii

Krzysztof Banach pochlebiał sobie, że normalnym człowiekiem nie jest (w czym, istotnie, było sporo racji). Naukowiec uwielbiał rozmówców, którzy niewiele mówili, a najlepiej nie odzywali się wcale. Sam miał przecież wystarczająco dużo do powiedzenia.

- Dopiero co przyjechałem, mam zamiar przyjrzeć się ostatnim wydarzeniom szkiełkiem i okiem badacza. Ciekaw jestem, czy ma pan jakąś teorię, która opisuje to, co stało się w miasteczku? - zaczął Banach.

Nie doczekał się odpowiedzi. Prawdę rzekłszy, wcale nie czekał na odpowiedź, liczył nawet, że reporter znów będzie milczał. Długowłosey mimowolnie spełnił oczekiwania przybysza.

- Bo ja, widzi pan, mam swoje przemyślenia. Szereg przemyśleń i spostrzeżeń - wyjaśnił naukowiec. - Punkt pierwszy to kler. Oczywiście, tutejszy proboszcz nie jest winny bezpośrednio, nie on rzucił fałszywe oskarżenie. Lecz kto kształtuje świadomość tej społeczności? A jak słyszałem od pani Rabe, w przeszłości zdarzyło się kilka niezwykle agresywnych wystąpień miejscowego kapłana przeciwko nieszczęsnej Esterze Bielskiej, pionierce ezoteryzmu. Ha, mieli pod bokiem prawdziwą siłaczkę, żywcem z Żeromskiego, a nie potrafili tego docenić. Czy to do pana dociera?

Biorąc pod uwagę siłę, z jaką doktor socjologii prezentował swoje argumenty, długowłosey musiałby być głuchy jak pień, by nie docierało.

- Wie pan - podjął po chwili milczenia Banach, który, jak wielu naukowców, czuł potrzebę udowodnienia własnej wartości, dzieląc się zgromadzoną wiedzą, obojętnie czy słuchacze życzyli sobie tego, czy - jak długowłosey - wręcz przeciwnie. - Ja to przewidziałem, kilka lat temu. Odrodzenie Magiczne dokonujące się tu i teraz, na naszych oczach, musiało wiązać się z efektami ubocznymi. Czytał pan może mój esej *Lokalne społeczności w obliczu niepoznanego*? Nie, widzę, że nie. Radzę nadrobić zaległości. Zrozumie pan wiele z tego, co się tutaj dzieje.

- Nie wątpię, że będzie pan tak miły i przybliży mi tezy swojego eseju - rzucił przez zęby długowłosey.

- Tak, bym szybciej pojął, jakie to zjawiska zachodzą w Wilkowie. Jakich to zjawisk nie rozumiem.

Naukowiec przybrał pozę wykładowcy, popatrzył na swego rozmówcę z wyższością i kontynuował:

- Polowania na czarownice spełniały w dawnych społeczeństwach określoną rolę. W psychologii społecznej funkcjonuje nawet termin, opisujący tego typu zachowania - to tak zwana reorientacja. Społeczeństwa potrzebują kogoś, na czyje barki mogłyby złożyć winę za dokonujące się nieszczęście. Nieszczęście, którego przyczyny są nieznane, trudno zrozumieć. Oskarżenia o czary przesuwają ciężar winy z abstrakcyjnej, nieuchwytniej siły, na jednostkę, którą niezwykle łatwo zidentyfikować, osądzić i spalić na stosie. Tak było, kiedy płonęły setki tysięcy stosów w dawnej Europie, kiedy w imię Boga popełniano straszliwe mordy i realizowano przyziemne cele społeczne. Przyziemne, bo zazwyczaj okazywało się, że czarownica, znacznie rzadziej czarownik, miała coś, czego potrzebował oskarżyciel - na przykład kamienicę, kantor czy ziemię. Ewentualnie wiedźma była z jakichś powodów dla oskarżyciela niewygodna albo posiadała informację, którą chciano ukryć. A nie istniał prostszy sposób, aby zamknąć jej usta, niż stos. Owszem, przez kilka stuleci panował spokój. Era racjonalizmu sprawiła, że zarazę tłumaczono już nie urokiem, ale działaniem bakterii. Lecz wraz z Odrodzeniem Magicznym demony przeszłości musiały wrócić. W eseju, o którym panu wspomniałem, antycypowałem te zdarzenia. Trzeba jeszcze poczekać, aż postęp i cywilizacja przetworzą polską prowincję, przeorają świadomość. Na razie naród polski zamieszkujący takie miasteczka, jak to, nadal pozostaje ciemny i ograniczony. A my skazani jesteśmy na podobne wilkowskemu spektakle przemocy.

- Najczęściej ofiarami padały kobiety - wywodził Banach. - Samotne kobiety bez opieki. Nie miał kto wziąć ich w obronę, nikt się o nie nie upominał. Całe szczęście, że od tamtej pory świat się zmienił. Że są takie organizacje, jak ta, w której działa pani Rabe. I że są takie kobiety jak ona.

Długowłosa przymknął oczy. W wyobraźni znów zobaczył czarodziejkę. Całkowicie naga.

- Tak - powiedział cicho. - Też się cieszę, że są na świecie takie kobiety.

- Swoją drogą - naukowiec nieco się uspokoił, ochłonał, jego policzki znów nabrały koloru zeschniętej trawy - ironią losu jest, że chciano doprowadzić do samosądu właśnie w Wilkowie. W miasteczku, które Koralina tak lubi.

- Lubi? Nie wiedziałem, że bywała tu wcześniej.

- Och - Banach wzruszył ramionami - jeździła do Wilkowa kilkakrotnie. Wspominała, że tutejsze powietrze niebywale jej służy. I faktycznie, co wyjazd, to wyglądała młodziej, bardziej kwitnąco. Niewiarygodne. Aż przyjemnie było na nią patrzeć.

Gniew uderzył długowłosemu do głowy. Zaraz w Wilkowie pojawi się druga żaba, pomyślał, zaraz znowu zostanie tutaj rzucone zaklęcie transformujące. Nie wytrzymam. Diabli z kodeksem etycznym, diabli z centralą...

- Pan wybaczy - poderwał się gwałtownie znad stolika. Zgrzytał zaciśniętymi zębami i starał się nie spoglądać Banachowi w oczy. - Mam sprawę do załatwienia.

- Szkoda - mruknął naukowiec do pleców długowłosego. - Tak miło się dyskutowało.

7

Masywne, pokryte korą ramiona, grzywa zielonych liści, wykrzywiona twarz pnia i setka ptasich głosów - stojący przed wilkowskim ratuszem monumentalny dąb przypominał długowłosemu krzepkiego starca. Starca, który wciąż zachowuje pełnię sił, który niejednemu młodemu mógłby pogruchotać kości i pokazać, kto tu naprawdę rządzi. Starca, który na długowłosego patrzył spode łba, wyczuwając w nim intruza.

Dąb nie lubił obcych.

Przecież to tylko drzewo, zwykła roślina, w dodatku wiekowa i w środku zjadana przez korniki. Potrząsnął głową i szybkim krokiem poszedł w stronę zaniedbanej kamienicy, w której mieściło się Muzeum Ziemi Wilkowskiej.

Kustosz muzeum, brodaty chudzielec o wzroście koszykarza, siedział w kącie sali, czytając gazetę. Czytając - bo przecież do muzeum nie zaglądał nikt od lat. Czasem smętną, zakurzoną ciszę przerywał gwar wycieczki szkolnej. Bywało, że pojawił się jakiś zbłąkany turysta, który jednak, widząc ekspozycje, natychmiast rezygnował ze zwiedzania. W zwykłe dni muzeum świeciło pustkami. To była dla kustosza - pasjonata historii i archeologii - prawdziwa tragedia. Chwilami miał wrażenie, że rozpoczął przedwcześnie odbywanie kary za grzechy, że już tu na ziemi jego egzystencja zbliżała się niebezpiecznie w stronę inferna. Jak opisać piekło? - zastanawiał się. Ognie? Diabły? Kadzie ze smołą? Nie, kustosz swoje prywatne piekło wyobrażał sobie inaczej - całkowity bezruch, wyczekiwanie na gości, którzy nigdy nie odwiedzą muzeum, albo, jak nieliczni, nawet ku niemu spojrzą, ale tylko po to, by wzbudzić w sercu zwodniczą nadzieję.

Rzeczywistość zastraszająco szybko zaczynała przypominać te rojenia.

Podniósł wzrok znad gazety. Pustka oczywiście, wiatr lekko stukał otwartymi oknami. Na parapecie wygrzewał się duży kocur. Nagle zwierzę zbudziło się ze snu, zjeżyło sierść, prychnęło. Przez moment rudy kocur paradował z zadartym wysoko ogonem, raptem skoczył przed siebie, umykając w bok. Kustosz wzruszył ramionami - kto odgadnie, o czym myślą zwierzęta? Wrócił do czytania gazety.

Naraz drgnął. Mimo pięćdziesięciu pięciu lat wzrok miał niezły. Na skraju pola widzenia zamajaczył jakiś cień. Kustosz uniósł głowę. Przy gablocie numer dwa stał długowłosy mężczyzna w ciężkiej ramonesce i z uwagą oglądał eksponaty. Kustosz w pierwszej chwili sądził, że to złudzenie. Słyszałby przecież skrzypnięcie drzwi czy kroki przybysza, tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. Czy to bies? - pomyślał.

Długowłosy był człowiekiem z krwi i kości. Oderwał spojrzenie od gabloty, popatrzył na swego gospodarza. Ukłonił się.

- Dzień dobry - powiedział. - Nie chciałem panu przeszkadzać. Bardzo był pan zaabsorbowany artykułem.

- Ach, to. - Kustosz lekceważąco machnął ręką i w mgnieniu oka był przy odwiedzającym. - Nieważne. Całkiem nieważne. Widzę, że zainteresowała pana nasza mała wystawa?

Kariera kustosza na tym stanowisku trwała już ponad dwadzieścia lat. W trakcie tego czasu wielokrotnie zadawał to pytanie swoim gościom. Nie zdarzyło się jednak, by usłyszał odpowiedź twierdzącą - co najwyżej słowa pełne taktu i fałszu, który rozpoznawał na kilometr. Ale to był dzień szczególny.

- Owszem - potaknął szczerze długowłosy. - Nawet bardzo.

Na dowód swojej deklaracji zamilkł na chwilę i znów wbił wzrok w gablotę. Pod nieco przykurzoną szybą leżało kilkadziesiąt wycinków prasowych, pochodzących z końca XIX i początków XX wieku. Między nimi jeden, niepozorny skrawek pożółkłej gazety, który szczególnie zainteresował zwiedzającego. To było ogłoszenie:

„Towarzystwo ubezpieczeń zachęca i namawia. Polisy od gradobicia, od mleka kwaśniejącego krowom w wymienkach i od robactwa wszelakiego. Proponujemy też polisy na życie od złych uroków”.

Pod spodem była data - 1890.

- Zabobon! - wykrzyknął siwobrody, spostrzegłszy, co studiuje jego gość. - Hańba dla naszego miasta! Europa podążała ścieżką postępu, a Wilkowianie wierzyli w czary. Ale to był czas przemian, czas niepewny, gdy Hakata z ziem rugowała, gdy Komisja Kolonizacyjna lokowała bambrów po okolicznych siołach. To musiało wywołać reakcję. Tak, historyk nie powinien zamykać oczu na realia, na panującą w tamtych czasach świadomość. A że świadomość była marna, pod adresem nowych osadników pojawiły się zarzuty czarostwa, mieszkańcy wszędy widzieli magów i wiedźmy. Oczywiście upatrywano ich w przyjezdnych, na których próbowano rozładować frustrację. Znany mechanizm psychologiczny.

- Tak - długowłosy zgodził się skwapliwie. - Estera Bielska na przykład.

- Niech pan przestanie! - Kustosz rozpaczliwie zamachał rękami. - Taki wstyd, taki wstyd...

Przybysz schylił się nad gablotą, palcem wskazał na ogłoszenie.

- Wtedy też zdarzyły się tutaj podobne zamieszki? Byłem przekonany, że ostatnią czarownicę spalono w Polsce wcześniej.

- U nas do samosądu nie doszło. Bóg był szybszy niż widły okolicznych chłopów i odwołał z tego świata nieszczęsną Irene Weiss. Dziewczyna, posądzona o czary, zmarła w połogu. Została po niej mała córeczka, na której, co zrozumiałe, nikt już się nie mścił. Dziecko ochrzczono, wierząc, że w ten sposób złe zostało wypędzone. Ktoś ją adoptował. Miejscowym starczyło, że wybito cały żywy inwentarz, jaki znaleziono w gospodarstwie.

- Inwentarz? - Długowłosa uniósł brew.

- A tak, tak. Okoliczni wierzyli, że wiedźma pośród kaczek, świń, kóz, krów i czego tam jeszcze, utrzymuje chowańca - pomniejszego diabła na swoje wyłączne usługi. Sprawili się szybko, w kilka godzin ze sporej trzody ani jedno zwierzę nie zostało przy życiu. Sprytne, prawda, bardzo sprytne.

- Sprytne? Co pan ma na myśli?

- Widzi pan, wtedy w mieście i okolicy był głód. Zbiory okazały się kiepskie, bieda zajrzała ludziom do garnków i zobaczyła w nich dno. Ta nędza była czynnikiem, który spowodował eksplozję oskarżeń o magię. Nieurodzaj, oczywista, sprawiły czary, ha, ha. Susze, gradobicia, wie pan. Ale chowańce chowańcami, a z zabitymi zwierzętami coś należało zrobić. Mięso nie mogło się zmarnować. Mięso *non olet*.

- Rozumiem - stwierdził długowłosa. - Ale dlaczego padło na panią Weiss?

- Pannę Weiss - poprawił kustosz. - Pannę. I w tym określeniu ma pan odpowiedź.

- To dziecko, które urodziła... miała je z jakimś miejscowym? - domyślił się przybysz.

Kustosz potaknął energicznym ruchem głowy.

- W dodatku - powiedział, uśmiechając się nieco głupkowato, jak zwykli uśmiechać się niektórzy mężczyźni, gdy rozmawiając o kobietach, schodzą ze swoimi wywodami poniżej pasa - nie wiadomo było, z którym. Zapiski z tamtych czasów, wspomnienia, notatki, fragmenty kazań, wskazują, że niektóre przybyłe z okolic Bambergu dziewczyny prowadziły się dość swobodnie. Nie przystawały do surowej obyczajności katolickich miasteczek takich jak Wilków. Choć tutejsi mężczyźni przyjęli je z otwartymi ramionami. A one z tego korzystały.

- Chce pan powiedzieć, że panna Weiss była ówczesną prostytutką?

- Myślę, że to właśnie przyczyniło się do jej zguby. Wyobraża pan sobie strach kilkudziesięciu dorosłych mężczyzn, ojców rodzin, zamożnych gospodarzy, cieszących się szacunkiem proboszcza, kiedy gruchnęła wieść o ciąży? Każdy z nich z pewnością pytał - a jeśli to moje dziecko? Jeśli prawda wyjdzie na jaw? Sposób zaś, by nie wyszła, był jeden.

- Oskarżenie o czary.

- Trzeba przyznać, że miejscowym nie zabrakło zmysłu politycznego. Chcieli, że tak powiem, upiec trzy pieczenie na jednym stosie: znaleźć winnego nieurodzaju, pozbyć się niewygodnej osoby i wreszcie zniechęcić innych niemieckich osadników.

- I pan mówi o Wilkowie tamtych czasów jako o katolickim miasteczku? - Długowłose krzywo spojrzął na kustosza. - Niewiele w zachowaniu mieszkańców katolickiej miłości bliźniego.

- Święta racja. - Kustosz przeczesał palcami brodę. - Daleko odeszli od ideałów, które głosiła sto lat wcześniej święta Anna.

- Zabawne - mruknął przybysz. - Jestem tu drugi dzień i drugi raz słyszę o świętej Annie.

- Wcześniej zapewne w kontekście proboszcza Radzińskiego? - Kustosz ponuro popatrzył na gościa. - Nieszczęsny człowiek, wszystko mu się pomieszało. Nie wiem, dlaczego episkopat nie interweniuje. A wracając do świętej Anny - tak, to ta sama, która, rzekomo, ukazała się proboszczowi. Patronka naszego kościoła i miasta. Jest nawet na wilkowskim herbie. Żyła w XVIII wieku. Przez wiele lat była zwykłą, bogobojną obywatelką Wilkowa, choć już wtedy, przed zarazą, wiadomo było o jej wielkiej pobożności. W 1790 nastąpiła zaś plaga. Objęła kilkadziesiąt miast i miasteczek, w tej liczbie i Wilków. Choroba siała spustoszenie. Niektóre miejscowości traciły po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent ludności. Powiadano, co zawsze powtarza się w takich wypadkach, że to kara za grzechy. Inni znów mówili, że to czarnoksiężnicy króla pruskiego rzucili zły urok. Jeszcze inni lamentowali, popadali w apatię i bezwład, które do spółki z chorobą - obecnie sądzi się, że bardzo ostrą gripą - zabijały niezawodnie. Święta Anna, wtedy jeszcze po prostu młoda wdowa, Anna Augustyniak, wybrała własną drogę. Zaczęła działać. Była osobą majątną, ale jednym podpisem pozbawiła się wszystkiego, sprzedając włości. Za uzyskane w ten sposób pieniądze zakładała domy chorych, sprowadzała lekarstwa, zatrudniała medyków. O medyków było podówczas bardzo trudno, bo żaden nie chciał tu przyjechać - bali się po prostu. Annie strach był całkowicie obcy. Własnoręcznie pielęgnowała dotkniętych zarazą, dni i noce spędzając pośród szpitalnych łóżek. Rzecz dziwna - podczas gdy wszyscy wokół zapadali na chorobę, ona cieszyła się dobrym zdrowiem. Wkrótce zaczęto rozpowiadać, że to łaska boża ją chroni przed plagą, co więcej, ci chorzy, którzy trafiali do jej szpitali, zdrowieli, chociaż lekarze nie

dawali im żadnych szans. Ona szans nie rozważała, ona modliła się i robiła, co w jej mocy, żeby pomóc. Zaraza została powstrzymana.

- Nie dziwię się, że trafiła na ołtarze - skonstatował długowłosey.

- Niestety, jak napisała w swoim pamiętniku na kilka tygodni przed śmiercią, co Bóg darował, Bóg może odebrać. Zachorowała, gdy plaga już przygasła. Wtedy to jej pomagali wszyscy, do niej przyjeżdżali lekarze z samego Poznania - na próżno. Była ostatnią ofiarą epidemii.

- Tutejsi mają wobec niej dług.

- Owszem - kustosz skwapliwie zgodził się z długowłosym. - I przez wiele lat o tym zobowiązaniu pamiętali. Ten stary drewniany krzyż na rynku został ustawiony na jej cześć. Bardzo szybko uznano ją za świętą. Do tutejszego kościoła ciągnęły swego czasu prawdziwe pielgrzymki, zachowały się relacje o cudownych uzdrowieniach i objawieniach, w których święta Anna pouczała swoją trzódkę, jak postępować. Ale w miarę upływu czasu kult słabł, zamazane przez lata widmo plagi przestało przerażać. Jakieś sto lat później miasteczko całkowicie zubożyło na nauki swojej patronki. Przypadek panny Weiss dobrze to obrazuje.

Mężczyzna w skórzanej kurtce ponownie spojrzął na gablotę z dokumentami.

- Ma tu pan sporo interesujących wycinków z tamtych lat. Wiele na nich niemieckich nazwisk. Emigracja z tamtych stron musiała być duża. Ale kiedy przechodziłem przez tutejszy cmentarz, nie zauważyłem ani jednego nagrobka z niepolskim nazwiskiem.

- I nie zauważy pan. Niemcy chowali swoich zmarłych gdzie indziej. Ich cmentarz jest z drugiej strony miasteczka. Teraz to właściwie kilka omszałych kamieni, wszystko zarośnięte chwastami, gąszcz wchłonał ich nekropolię, bo nie było nikogo, kto zadbałby o groby. Po pierwszej wojnie większość osadników opuściła miasteczko. Ci, co zostali, zasymilowali się z Polakami, wstyd im było się przyznawać do swoich przodków. Niektórzy zmienili nazwisko.

- Na skraju miasta, mówi pan, ten cmentarz? - Długowłosey zamyślił się.

- A tak, tak. Ruiny starego ewangelickiego kościoła, a za nimi, w gęstwie krzaków, na skraju lasu - groby. Ale wiele ciekawego pan tam nie znajdzie, głównie butelki po alkoholu i inne ślady libacji. To ulubione miejsce tutejszych nastolatków.

- Bardzo ciekawie pan opowiadał. Nie chcę zabierać czasu. - Przybysz popatrzył wymownie na zegarek. - Z chęcią przeczytałbym jeszcze o Wilkowie.

- Ależ oczywiście, nie ma nawet najmniejszego problemu!

Kustosz był zachwycony gościem. Nie wiedział wprawdzie, kim był nieznajomy, ale gotów był go nosić na rękach. Właśnie tacy ludzie nadają sens mojej pracy, pomyślał.

- Mamy tutaj, przy muzeum, bibliotekę. Jest tam kilkanaście pozycji o naszym regionie. - Zaprowadził długowłosego wąskim korytarzem do małego pokoju zastawionego regałami książek. - Tam na końcu są książki o Wilkowie - wyjaśnił. - A tutaj ma pan biurko. Gdyby chciał pan coś zanotować, to proszę, oto kartki.

Zostawiam teraz pana samego, ale w razie potrzeby proszę wołać. Jestem do usług.

Przybysz podziękował skinieniem głowy. Z półki zdjął kilkanaście książek, stosik ułożył na blacie stołu i zaczął przeglądać poszczególne pozycje. Zanim przekartkował wszystkie, upłynęło kilka godzin. Co jakiś czas wynotowywał jakieś szczegóły, ale nie było tego, niestety, wiele. Wyglądało na to, że większość ciekawostek opowiedział kustosz. Mężczyzna westchnął zrezygnowany. W tym samym momencie coś zaszurało między regałami. Obejrzał się przez ramię - to sprzątaczką ustawiała książki na półkach, przecierała kurze. Długowłose zmarszczył brwi - kiedyś już ją widział. Tak, to była ta sama kobieta, która stała pod krzyżem, gdy przyjechał do miasteczka.

Uśmiechnął się. Kobieta odpowiedziała uśmiechem. Zapatrzywszy się na przybysza, potrąciła ręką grzbiety kilku książek, które z hukiem spadły na podłogę. Wstał, chcąc jej pomóc. Schylił się nad woluminami. Na samym wierzchu leżał opasły tom. Przeczytał tytuł wydrukowany czarnymi literami na grzbiecie książki: *Polowania na czarownice w Europie zachodniej w wieku XVII*. Chwycił ją i otworzył na chybił trafił.

W obszernym, wydanym w latach dziewięćdziesiątych XX stulecia opracowaniu każdy rozdział rozpoczynał się autentyczną grafiką pochodzącą z opisywanego okresu. Druk był nie najlepszy, niewyraźny, widocznie książkę wydano w pierwszych latach po zmianie ustroju, kiedy wszystko robiono na kolanie, pospiesznie i niestarannie. Mimo to długowłose z uwagą wpatrywał się w kartkę, którą miał przed sobą.

Czarno-biały rysunek przedstawiał postawną kobietę. Jej włosy rozwiewał wiatr. Stała w narysowanym na piachu kręgu, dookoła którego spacerował wielki, czarny kocur. Rysunek, choć niewyraźny, pozwalał stwierdzić, że kobieta była w ciąży. Pod ilustracją widniał opis: „Oskarżana o czary, mieszcanka niemiecka Isabelle Weiss, spalona na stosie. Bamberg, rok 1623”.

8

Stary kościół ewangelicki stał w parku pełnym majestatycznych drzew, których pnie porastały bluszcze i powoje. Park był ciemny i wilgotny, gęste krzewy tworzyły zielony mur, przesłaniając świat dookoła. Chodniczki zarastały trawą, mech skrył krawężniki, pełno było

niskich chwastów i pokrzyw. Kościół niegdyś ogrodzono murem, który teraz rozpadał się i pękał podziurawiony jak ser szwajcarski. Sam budynek świątyni był w kondycji nie lepszej niż mur. Wieża przekrzywiała się lekko, tynk ciemnoszary i brudny schodził całymi płatami jak skóra po oparzeniach, odsłaniając czerwone mięso cegieł. Przez okna pozbawione szyb co rusz wlatywały ptaki, wijące gniazda tuż pod dachem, pośród wielkich, zmurszałych belek stropu.

Władze miejskie zdobyły się tylko na to, by zablokować wszelkie wejścia do budynku, zabijając je deskami. Zrobiono to bardziej dla bezpieczeństwa (kto wie, czy wieża by nie runęła, gdyby wdrapał się tam jakiś ciekawski wyrostek) niż dla ochrony przed złodziejami - bo wszystko, co było w kościele cennego, okoliczni mieszkańcy rozkradli znacznie wcześniej.

Przez gąszcz parku wiodło kilka ścieżek, wydeptanych pomiędzy trawą a pokrzywami. Prowadziły one dalej, do ewangelickiej nekropolii. Tego dnia, choć już szarzało, pośród ledwie widocznych spod mchu grobów wciąż błyskały ogniki. Kilku nastolatków chciwie kończyło dopalać skręty. Na murowanym grobowcu stała butelka wódki, w której została jeszcze ponad połowa trunku.

- Kurwa, bierze mnie! - powiedział z dzikim śmiechem najwyższy z chłopców, Arek. - Bierze. Dobry towar.

- E tam. - Krzysiek, prawdziwy kolos, sto dwadzieścia kilo żywej wagi, wrzucił ramionami. Znany był z tego, że ma najmocniejszą głowę. - Dla pańienek to dobre. Ja muszę jeszcze.

Chwycił stojącą na grobowcu butelkę i bez zastanowienia wypił potężny łyk. Pozostali zaszemrali. Krzysiek - to był gość!

- Co innego grzyby - mruknął Krzysiek, ocierając usta rękawem. - Kiedy z Marianem nawpierdalaliśmy się grzybów, była jazda. Widzieliśmy okręty wikingów. Takie, kurwa, wielkie. Płynęły prosto na nas. A ten tu towar to chłam jakiś. Ktoś, kto ci to, Arek, wcisnął, wydymał cię bez żelu pod prysznic.

- Spad! - Arek prychnął. - Towar działa. Patrz. Coś się, kurwa, dzieje z drzewami. Widzę przecież.

Istotnie, coś się działo z drzewami, trawami, pokrzywami - z całym gąszczem, pośród którego znaleźli się chłopcy. Wielkie pnie rozchylały się, jak gdyby ustępowały komuś miejsca, pokrzywy kładły się dywanem, kolczaste akacje rozsuwały gałęzie. Zawiało chłodem.

Cały park, dotąd rozświergotany, zamilkł.

- Ktoś idzie. - Krzysiek nerwowo rozejrzył się na boki. Co będzie, jeśli go tutaj zobaczą rodzice, z butelką i skrzętem w ręku?

Poczuł, że coś śliskiego owija się wokół jego kostki i w tej samej chwili uświadomił sobie, gdzie jest. To był przecież cmentarz, dookoła trupy, setki trupów. A jeśli one zaczną wstawać, pomyślał, co jeśli jeden z nich właśnie chwycił mnie za kostkę? Przez moment się wahał, wreszcie spojrzał w dół. To był powój, zwykły powój, porastający płytę nagrobną. Chłopak zamarł, wpatrzony w roślinę.

Zwykły powój zachowywał się zgoła niezwyczajnie. Wił się niby wąż, oplatał nogi, miotał się w ekstatycznym tańcu jak kobra przed fakirem. Krzysiek podskoczył, zrywając łądygę, ale zaraz dotknęły go olchy, wyciągając ku niemu ostre gałęzie. Znow uskoczył, drapiąc sobie przy tym dotkliwie twarz.

Rozejrzył się - pozostali mieli podobne problemy, walczyli z oplatającymi ich bluszczami i trawami, oganiali się od giętkich gałęzi, potykali, klęli, tratowali atakujące ich krzaki.

- Spadamy! - W głosie Krzyśka pobrzmiwała panika.

Ruszył przed siebie z szybkością, o którą nikt, zważywszy na tuszę chłopca, nie mógł go podejrzewać. Reszta, uskakując przed zdziczałymi roślinami, pomknęła za nim.

Cmentarz opustoszał.

Długowłose wyszedł zza potężnego kasztana. Gestem uspokoił rozedrgany gąszcz. Nekropolia znow zmieniła się w oazę spokoju.

Mężczyzna westchnął, rozejrzył się. Odkopnął butelkę, stojącą na grobowcu. Przeczytał nazwisko. To nie ten, pomyślał.

Przez pół godziny przyglądał się poszczególnym nagrobkom, przystawał, odgarniał mech i powój, wrywał trawy, kamień po kamieniu, płyta po płycie badał dziewiętnastowieczne cmentarzysko. Wreszcie, kiedy był już mocno znużony poszukiwaniami - znalazł.

Grób bez krzyża.

Wprawdzie napis zatarł się, a skromny nagrobek na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym, długowłose był jednak pewny, że trafił we właściwe miejsce.

Z trudem odczytał nagrobny napis.

Irene Weiss.

Dookoła nazwiska widniały ornamenty - liście? - nie był pewien, zbyt dużo mchu, zbyt wytarta płyta. Boże, ile to już lat.

Grób stał z boku, na piachu, którego nie zdołała zarosnąć trawa. Mężczyzna z zadowoleniem pokiwał głową - miejsce sprzyjało jego zamierzeniom. Ułamał grubą, olchową gałąź i natarł ją krwią gołębią z malutkiej ampułki, którą wyjął z kieszeni. Za pomocą tak

przygotowanej laski starannie wyrysował na piachu krąg, a następnie, wewnątrz niego, skreślił imiona duchów - Yoth, Dyptan, Araf, Luphat, wreszcie - własne imię. Do naczynka, które wyciągnął z podręcznej torby, wsypał sproszkowaną mirrę, aloes i bluszcz. Błysnął płomień zapalniczki i po chwili po cmentarzu rozszedł się wonny dym. Okadziwszy grób Irene, długowłosey znów sięgnął do kieszeni po kolejną ampułkę.

Tym razem namoczył palec we krwi i, podciągając koszulę, wypisał na sercu imiona czterech ewangelistów. Z drugiej kieszeni wydobyl pergamin zrobiony ze skóry czarnej kozy, ponownie zanurzył palec w gęstej krwi. Skreślił na nim imię i nazwisko zmarłej. Pergamin wraz z laską położył na brzegu wyrysowanego na piachu koła.

Z westchnieniem stanął pośrodku kręgu. Magia halucynogenna to jedno, pomyślał, a nekromancja to zupełnie coś innego. Mimo oficjalnego pozwolenia biskupa delegowanego do zajmowania się materią ezoteryczną, mimo zabezpieczeń i najlepszych formuł, jakie udało się wyszukać w traktatach magicznych, mimo niedawnej spowiedzi świętej - wciąż się bał.

- Słuchaj, Irene Weiss, nieodzownej mej woli i nie bądź uparta - wyrecytował mocnym głosem, unosząc dłonie. - Wzywam cię!

Przez chwilę stał bez ruchu, gotów bronić się przed nadciągającym bytem astralnym. Dusze zmarłych, zwłaszcza tych, którzy odeszli dawno temu, niechętnie wracały na ziemię. Lecz nic, nie było żadnej poświaty, żadnego ruchu, żadnej reakcji.

Opiera się, pomyślał, wie, po co przyszedłem. Niektóre duchy w zaświatach potężnieją, więc może ona, jeśli rzeczywiście miała jakąś styczność z magią, może teraz bez problemu zignorować mój nakaz?

Powtórzył formułę.

Znów nic.

Jeszcze raz.

- Słuchaj, Irene Weiss, nieodzownej mej woli i nie bądź uparta! - wykrzyknął z mocą.

Czarownica czy nie, musiała zareagować na trzykrotne wezwanie. Trzykrotnemu wywołaniu nikt nie jest w stanie się oprzeć, wiedział to doskonale. Grób domniemanej wiedźmy pozostał jednak nieruchomy. Duch nie przybył.

Długowłosey zrobił na piersi znak krzyża i ostrożnie wyszedł poza krąg. To mógł być podstęp, wiedział, że w środku był bezpieczny, a na zewnątrz - wystawiony na ciosy jak bezbronne dziecko. Duch mógł więc czekać w nadziei, że dopadnie prześladowcę, nim ten znów skryje się za magiczną osłoną. Lecz nie, i tym razem zjawą się nie pokazała.

Mężczyzna podszedł do grobów stojących nieopodal, przyjrzał im się, wrócił do kręgu i wypisał gołębią krwią imię i nazwisko, które widniały na sąsiednim nagrobku.

- Słuchaj, Fryderyku Dorf, nieodzownej mej woli i nie bądź uparty - powiedział spokojnie.

Półmrok zmierzchu natychmiast rozjaśniło zimne, bladoniebieskie światło. Niewyraźna sylwetka niemieckiego młynarza zamajaczyła nad płytą nagrobną i popłynęła w powietrzu w stronę wzywającego ją czarownika.

- *Wer bist du, verdammt...?! - zaczął wściekle duch.*

Długowłosy ruchem dłoni natychmiast odesłał go z powrotem w zaświaty. Formuła jest niezawodna, pomyślał. Wniosek może więc być tylko jeden. Grób Irene Weiss był pusty.

9

W motelowym barze panował zwyczajny w tych dniach tłok. Długowłosy przeciskał się powoli, omijając grupki mocno podpitych mężczyzn. Barmanka, widząc go, mrugnęła porozumiewawczo okiem. Gdy zachęcony jej gestem stanął przy kontuarze, nachyliła się do niego i szepnęła:

- List dla pana. Kurier dzisiaj przyniósł.

Korzystając z zamieszania, przesunęła po blacie zapieczętowaną kopertę. Długowłosy podziękował dziewczynie i przez kilka chwil wpatrywał się w pieczęć - w ciemnoczerwonym laku odcisnięto literę „W”. Centrala dba o bezpieczny przepływ danych, pomyślał. Koperta z czerpanego papieru, wyczuł to, była wygłuszona, co uniemożliwiało odczytanie listu za pomocą magii. Z kolei przed otwarciem...

Przed otwarciem koperty chroniła właśnie pieczęć. Gdyby złamała ją osoba niepowołana, list uległby zniszczeniu. Co gorsza, dezintegracji uległby zapewne również ten, kto pieczęć przełamał. A może nawet - długowłosy rozejrzał się dookoła - może nawet szlag trafiłby cały motel. W centrali często przesadzali z zabezpieczeniami. Szybkim ruchem ukrył przesyłkę w kieszeni spodni.

Nim zdążył wymknąć się z sali na górę, do swojego pokoju, by bez świadków odczytać wiadomość, znalazła go Koralina. Zwinnie ominęła dwóch pijaniuteńkich działaczy Ruchu na rzecz Racjonalizmu i ująwszy długowłosego pod ramię, uśmiechnęła się do niego.

Uroczo, pomyślał, wpatrując się w pogodną twarz dwudziestokilkulatki. Uśmiecha się uroczo. Dla mnie.

- I jak zbieranie materiałów? - spytała konfidencjonalnym szeptem. - Masz coś dla mnie?

- Być może. - Odwzajemnił uśmiech. - A tobie jak idzie śledztwo? Znalazłaś winnego?

Znowu błysnęła zębami, tym razem zagadkowo.

- Zapraszam na górę - powiedziała jeszcze ciszej.

- Wszystko ci opowiem.

Kiedy znaleźli się na piętrze, oddzieleni od kawiarnianego gwaru podłogą i drzwiami, oboje doszli do wniosku, że ich opowieści mogą poczekać. Liczyły się wzajemne uśmiechy, liczyły się słowa szeptane prosto do ucha, liczyły się delikatne pieszczoty i każdy guzik jej bluzeczki. Przez półtorej godziny motel, komisariat, dom Estery, cały Wilków i cała afera - nie istniały. Liczyli się tylko oni.

Niestety, rzeczywistość ma to do siebie, że prędzej czy później wypada do niej wrócić. Koralina wróciła, leżąc wyciągnięta na łóżku. Długowłosy wdział spodnie, położył się znowu, obejmując jej talie, ale ona lekko, choć stanowczo zaprotestowała.

Zaczyna się, pomyślał z niechęcią.

- Niedługo to miasteczko będzie równie spokojne jak nasz pokój - szepnęła.

- Sprawcy zidentyfikowani? - zaciekawił się. - Powinnaś pracować w policji.

- Policyjna pensja nie starczyłaby mi na kosmetyki.

- Pogardliwie wydeła wargi. - Poza tym intryga była wyjątkowo prosta do rozwiązania.

- Zamieniam się w słuch - powiedział, siadając na pościeli.

Spojrzał na nią. Jej oczy, jeszcze przed momentem sypiące iskry, teraz były zimne i wyrachowane.

- Zanim dam ci odpowiedź, najpierw kilka faktów. Pierwszy, o którym być może wiesz, jest następujący: Robert Chudziński, ten, który miał żenić się z dziewczyną rzekomo zamienioną w żabę, przez długi czas romansował z oskarżoną o czary Esterą. Chłopak miał ognisty temperament, słyszałam, że zwiedził wszystkie okoliczne agencje towarzyskie. Ale to w Esterze, wyglądało, jest zakochany. Mimo że dziewczyna nie miała zbyt dobrej opinii w miasteczku.

- Ze względu na to, że prowadziła sklepik z ziołami i amuletami?

- Również, choć nie tylko. Sklepik nie przynosił chyba zbyt dużych dochodów. Estera dorabiała inaczej. Musisz przyznać, że jest niebrzydka.

Długowłosy przyznał i zaraz zrozumiał, skąd brała się niechęć do Estery. Zwłaszcza niechęć Wilkowianek.

- Najbliższe agencje towarzyskie są kawałek drogi stąd, a klienci na miejscu - rzekł.

- Właśnie. - Koralina sięgnęła po papierosa. Podał jej ogień. Katem oka spojrzała na zapalniczkę Zippo. - Tyle że Wilków to obyczajowy zaścianek. Stary Chudziński nie pozwoliłby, by jego syn związał się kobietą lekkich obyczajów. Starał się, jak mógł, by

Robert zerwał z Esterą. I się wystarał. Wprawdzie kosztowało go to spore pieniądze, bo z własnej kasy zafundował Ewie Kubiak oryginalny lubczyk, prosto z Ezoterycznego Poznania, ale, jak widać, opłaciło się. Młody Chudziński o poranku opuścił dom Estery, a następnego wieczora - już nie wrócił. To fakt pierwszy.

- Fakt drugi - zaczęła po chwili przerwy - Edmund Chudziński jako najbogatszy okoliczny gospodarz wciąż powiększa swoje włości. Co mógł, już wykupił, wliczając w to grunty popegeerowskie i ziemie małorolnych. Oprócz niego jest w okolicy jeszcze kilkudziesięciu dużych gospodarzy, którzy ani myślą sprzedawać ziemi. Na rynku nie pozostała żadna nieruchomości rolna do wzięcia. No, prawie żadna. Spory teren, odziedziczony po matce, posiada właśnie Estera. Która jednak, po tym jak Robert Chudziński z nią zerwał, ani myśli iść staremu Chudzińskiemu na rękę i pozbywać się roli.

- A trzeci?

- Ha, trzeci jest oczywisty dla każdego, kto ma oczy i widział Estere. Ta dziewczyna jest w ciąży. W miasteczku wszyscy wiedzą, kto był jej najlepszym i najczęstszym klientem. Kto miał u Estery zniżki i promocje. Już teraz mówi się, że to Robert jest ojcem. Wyobrażasz sobie, co będzie po porodzie? Nie najlepsza perspektywa dla małżeństwa Roberta.

- Nie najlepsza - zgodził się długowłosy. - Ale wciąż nie widzę związku.

- Twój bystry wzrok dziwnie się przytępił - mruknęła, gasząc papierosa na oparciu łóżka.
- Dla mnie to było oczywiste. Chudzińscy rzucili oskarżenie na dziewczynę po to, by pozbyć się osoby, która zaczęła zawadzać. Dlaczego więc nie usunąć Estery z pola widzenia? Chudzińscy są bystrzy. Wiedzieli, że ludzie pójdą za nimi. Powiem nieskromnie, że gdyby nie ja, już byłoby po sprawie. Rozgniewany tłum dostałby ofiarę, na której barki złożyłby swoje grzechy i swoje frustracje.

- Co chcesz zrobić? - spytał.

Coś w jej głosie go zaniepokoiło, jakaś zła nuta, groźba. Przyczajony tygrys?

- Na jutro zwołałam konferencję prasową. Przed wilkowskim ratuszem. Ujawnię prawdę. Myślę, że ludzie wydadzą właściwy werdykt. Jestem wręcz tego pewna. Chcą ofiary i będą ją mieli.

- Chwilkę - zastopował jej wywód, unosząc dłoń. - Elementy układanki pasują do siebie, zgoda. Lecz wciąż nie wyjaśniają najważniejszego: co się stało z Ewą Kubiak? Kto rzucił urok? Kto zamienił ją w żabę?

Koralina parsknęła pogardliwym śmiechem. Po raz pierwszy nieprzyjaźnie, jak gdyby zniecierpliwily ją zgłaszane przez motocyklistę-reportera wątpliwości.

- Moim zdaniem to była mistyfikacja. Ewa Kubiak czeka cała i zdrowa na moment, gdy heca wreszcie się zakończy. I zaśmiewa się do łez - nie ma przecież powodów, by lubić swą dawną rywalkę. Masz inną teorię?

Długowłosa uśmiechnął się szelmowsko.

- Owszem - odparł, rozpierając się na łóżku. - Słyszałaś kiedyś o biskupie Johannie Georgu II?

Z pięknych ust czarodziejki padło wyjątkowo plugawe przekleństwo.

- O tym bandycie? A jakże. Na akademii jest przecież Katedra Pamięci i Tożsamości, a wykłady z prześladowań cieszą się dużą popularnością. Można na nich posłuchać opowieści o tym, jak ów biskup spalił w Bambergu ponad sześćset czarownic. Zajęło mu to ledwie dziesięć lat, poczynawszy od 1623. Krwawa dekada.

- Biskup Johann wyróżnił się nie tylko, jeśli idzie o liczbę zabitych niewinnych ludzi - podjęła, odkaszlnawszy. - Zasłynął również, budując okryty czarną legendą, wiedźmi dom. Dom, w którym próżno szukać kuchni czy sypialni, za to sal tortur i cel było w nadmiarze. Miejsce kaźni. Tu ci, którzy nie przyznawali się od razu do czarów, byli do przyznania nakłaniani. Przez wyrozumiałe, ale i stanowcze Inkwizytorium. Wszak *confessio est regina probationum*. - Zaśmiała się sarkastycznie. - Tak, oczywiście, słyszałam o Johannie Georgu II. Ale jaki to ma związek z wypadkami wilkowskimi?

- Ów biskup - zaczął wolno długowłosa - tępił w Bambergu czarownice. Jednak, moim zdaniem, nieskutecznie.

- Nieskutecznie? - Piękną twarz Koraliny ścisnął grymas gniewu. - Sześćset osób to dla ciebie mało?

- Przynajmniej jedna ocalała.

- Do czego zmierzasz? - Czarodziejka ze zdziwieniem spojrzała na rozmówcę.

- Znasz historię Wilkowa? - zapytał. - Te ziemie to był w XIX wieku zabór pruski. Pod koniec XIX wieku Bismarck rozpoczął wielką akcję germanizacji ludności polskiej. Wspierano osadnictwo niemieckie w Wielkopolsce, w czym pomagała niesławna Komisja Kolonizacyjna. Osadników było wielu i w dużej części pochodzili z Bambergu. Pośród nich znalazła się młoda, niezamężna dziewczyna. Nazywała się Irene Weiss. Irene, jeśli wierzyć opisom, była kobietą piękną, lecz niezbyt majątną. Dorabiała na wiele sposobów, również tak, jak czyniła to Estera. Cała sytuacja nie trwała długo. Dziewczyna została oskarżona o czary, bo rzekomo parała się magią. Takie oskarżenie to był, jak mówiłaś, popularny sposób na pozbywanie się osób niewygodnych.

Czarodziejka potwierdziła ruchem głowy. Milczała wpatrzona w długowłosego, który kontynuował wywód:

- Do samosądu nie doszło. Irene Weiss zmarła podczas porodu. Pozostała po niej córeczka, Isabelle, wychowana przy jednej z rodzin wilkowskich Niemców. Dziewczynka rosła nadzwyczaj szybko. Traf, że również ona, kiedy tylko nieco podrosła, zaczęła interesować się sztuką czarnoksiężką. Nikt, na szczęście, nie rzucił na nią oskarżenia o czary, nikt nie chciał spalić jej na stosie. Niestety, dziwny przypadek, Isabelle jak matka, zmarła, gdy tylko powiła córkę. W tym samym wieku co Irene - miała 27 lat. Historia powtórzyła się w następnym pokoleniu. Znowu narodzinom córki towarzyszyła śmierć matki. Geny do dupy, co?

Koralina pokręciła głową. Wydawało się, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

- Jaki to ma związek z obecną sytuacją? - spytała szorstko.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek odwiedzałaś tutejszy cmentarz. Nie? Powinnaś. Można na ten przykład prześledzić genealogię Estery Bielskiej. Można spojrzeć na nagrobek jej matki. I babki. Wyczytasz tam, że babka Leokadia Bielska, zmarła w roku 1971. Matka zaś - w 1998. Czy muszę dodawać, w jakim wieku były obie panie? I w jakich okolicznościach opuściły nasz padół łez?

- Nie - powiedziała cicho. - Nie musisz. Ale to niczego nie dowodzi. Zwykły zbieg okoliczności. Poza tym Estera jest Polką. Spójrz na nazwisko.

- Nazwisko? - Długowłosy wzruszył ramionami. - Po wojnie wiele osób spolszczyło nazwiska. Wiesz, po tym, co zrobił tutaj Hitler, „Weiss” zdecydowanie źle się kojarzyło. Nazwisko Bielska brzmi o wiele lepiej. Bardziej swojsko.

- Estera Bielska - mężczyzna zauważył, że czarodziejka wygląda na zdenerwowaną, lecz mówił dalej - za kilka dni kończy 27 lat. Jest w zaawansowanej ciąży. Niebawem umrze. I narodzi się na nowo!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Głos Koraliny stwardniał, brzmiał teraz bardzo oficjalnie.

Długowłosy, pochłonięty wyjaśnieniami, nie zwrócił jednak uwagi ani na ton głosu czarodziejki, ani na złe błyski w jej oczach. Ani na ledwie wyczuwalne drgnięcie bursztynowego medalionu.

- Sugeruję, że Irene Weiss, Isabelle Weiss, Estera Bielska i szereg innych Lili, Leokadii, Helg i Lott to wciąż jedna i ta sama osoba. Jedna i ta sama czarownica z Bambergu, która znalazła sposób, by przechytrzyć biskupa Johanna. Cóż, wasza ekscelencjo, podsądna zmarła w lochach. Lecz niech ekscelencja sobie wyobrazi, pozostawiła po sobie dziecko. Zupełnie

bez znamion. Dziecko, które jest w stu procentach nią samą, które zachowuje pamięć i umiejętności swej poprzedniczki. Bystre. Nawet Inkwizycja dała się nabrać. Estera znalazła klucz do nieśmiertelności. Podejrzewam, że zawierając pakt z diabłem.

- Zwariowałeś - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Czy wszyscy faceci muszą być stuknięci? Czy wy macie jakieś genetyczne konotacje, aby wierzyć w takie bzdury? Co ty możesz wiedzieć o paktach z diabłem?

- Zapewniam cię, że wiele. Bardzo wiele - mruknął. - Wracając do Estery, istotnie, tak jak mówiłaś, moja droga, miała ona romans z Robertem Chudzińskim, odkryłem to. Zdrada ze strony chłopaka musiała ją mocno zboleć. Przecież to nie lada despekt dla czarownicy, zostać porzuconą dla zwykłej wsiowej dziewczki. Być pozbawionym zdobyczy za sprawą czaru - despekt tym większy. Obiekt zemsty musiał wydać się wiedźmie oczywisty - wsiowa dziewczka właśnie. Dla kogoś, kto potrafi cyklicznie umierać i się odradzać, kto transformuje swoje ciało wedle woli, czar zmieniający kogoś w żabę to przecież fraszka!

- Tak sądzisz? - spytała Koralina, odwracając głowę do okna. Jej śliczny profil odbijał się w ciemnej szybie.

- Sądzisz, że ktoś uwierzy w te bajki?

- Nie mam wątpliwości! - Mężczyzna z uśmiechem rozparł się na tapczanie. Czuł się teraz panem sytuacji.

- Ludzie wiele już widzieli, wiedzą, że magia faktycznie działa. Uwierzą.

- Hmm... - Czarodziejka stała przez chwilę wpatrzona w rozgwieżdżone niebo za oknem. - Możesz mieć rację. Tak, ludzie mogą w to uwierzyć... - urwała. - I dlatego...

Uniosła dłoń. Długowłosa teraz dostrzegł wibrację medalionu. Zrozumiał, że dziewczyna odwróciła się do niego plecami, by wymówić zaklęcie. Chciał zerwać się z łóżka.

Był zbyt wolny.

- ...nie wyjdiesz samodzielnie z tego pokoju! Poczuł, jak pościel, na której leżał, zaczyna wic się i oplatać jego ciało - nadgarstki, dłonie, ramiona, szyję, nogi, tułów. Prześcieradło na jego oczach skręciło się w gruby rulon i zniemacka uderzyło go w zęby, zapychając usta. Węzły tężały, zaciskały się coraz mocniej. Jeszcze moment i krew przestanie płynąć w moich żyłach, pomyślał.

Nim zdążył cokolwiek zrobić - był unieruchomiony. W jednej chwili. W mgnieniu oka.

Jak dziecko.

- Długo zastanawiałam się, kim jesteś - warknęła czarownica, mierząc swego więźnia spojrzeniem, które ciskało gromy. - I wciąż ta dziwna amnezja, niemoc zadania banalnego

pytania - o imię. A przecież widywałam twoją twarz. Nie raz. I nie dwa. Studiując, uczyłam się o tobie. Kształciłam się z twoich dzieł!

Przerwała wzburzona, łapiąc oddech.

- Ale nie wiedziałam, że żyjesz. Oczywiście słyszałam rozmaite plotki. O ożywionym magu. O dziwnych wypadkach w Babel Tower. W naszym środowisku aż huczy od plotek o tajnej komórce Wojska Polskiego, o Malleus Maleficarum. O przybudówce Królikarni, kierowanej przez ożywionego czarownika, która zajmuje się inwigilowaniem, tropieniem i tępieniem czarownic. O współczesnej inkwizycji.

Odetchnęła.

- Mimo wszystko myślałam, że to bajki. Czarownice są inteligentne i wykształcone, ale nie przestają być kobietami. Plotki, tłumaczyłam sobie, urojenia i wyolbrzymienia. Oczywiście, że Polski Monopol Magiczny będzie chciał zdobyć informacje o organizacjach wieźm, myślałam, ale nie ma żadnej komórki, żadnego supertajnego departamentu, który by nas inwigilował!

Podeszła do niego bliżej. Czuł wyraźnie jej oddech, a w nim intensywny zapach papierosów.

- Szkoda. Naprawdę mi przykro - powiedziała, spoglądając mu głęboko w oczy. - Naprawdę mi przykro, że nasza znajomość musi skończyć się w ten sposób. Przykro mi, że od praktykowania magii przeszedłeś do jej tępienia. Jak mogłam tak długo pozostawać ślepa? - Tupnęła ze złością. - Przecież czytałam twój *Opus magicum*. Czytałam i *Liber viginiti artium*, ba, widziałam odcisnięty ślad diabelskiej łapy. Faktycznie, wiele możesz wiedzieć o paktach z czartem. Piszą, że uczyłeś się u samego Fausta. Prawda to?

Stęknął, ale prześcieradło blokowało usta. Gdyby mógł mówić, ach, chociaż kilka słów, jedno zaklęcie, wtedy sprawy wyglądałyby inaczej.

- Stałeś po złej stronie barykady. Twoja inteligencja cię zgubiła. Gdybyś nie rozwiązał zagadki, wtedy, być może, rozstalibyśmy się w zgodzie. Ale - mimowolnie zerknęła na swoje dłonie, potem rzuciła szybkie spojrzenie w lustro - Estera jest mi potrzebna. Nie dopuszczę do tego, by cokolwiek jej się stało.

Popatrzyła na niego.

- Największy z polskich magów - zamyśliła się - skończy jak jego brytyjski odpowiednik. Cóż ty na to, by podzielić los Merlina? Będę twoją Nimue, wiesz?

Jej śmiech zabrzmiał naprawdę złowrogo. Nachyliła się do jego ucha. Gdyby tak sięgnąć po brzytwę, myślał. Srebrna brzytwa w kieszeni spodni, starczyłby jeden szybki ruch, jedno cięcie po tej smukłej, młodziutkiej szyi.

Magiczne okowy trzymały jednak pewnie.

- Wiesz, jak to jest umierać. Robiłeś to już przedtem, prawda? - szeptęła. - Prawda, Mistrzu Twardowski?

10

Mit arturiański - któż go nie zna? Pod koniec XX wieku i na początku następnego stulecia był to mit bodaj najbardziej wyeksploatowany w kulturze popularnej. Kto mógł, pisał książki oparte na tej dziejącej się na Wyspach Brytyjskich legendzie, kręcono liczne filmy, były i gry - komputerowe i RPG. A jeśli nawet ktoś nie pisał o królu Arturze, jeśli ktoś nie opisywał Avalonu czy Camelotu, jeśli w opowieści nie pojawiały się znajome imiona - Perceval, Lancelot czy Morrigan - to przecież każdy za punkt honoru stawiał sobie, by do swoich różnej jakości dzieł wpleść choć błahą wzmiankę, choć drobną aluzję, która skieruje czytelnika lub widza na arturiański trop. Wtedy dzieło zyskiwało „głębię”, dodatkowy wymiar, którego - rzekomo - bez owych wzmianek i aluzji byłoby pozbawione. Twórcy czynili tak, mimo rosnącego zmęczenia tych, którzy ich produkty konsumowali.

Nazywali to postmodernizmem, niech go szlag.

Jan Twardowski, ożywiony mag, a zarazem szef tajnego departamentu Królikarni, zajmującego się ściganiem czarownic postępujących wbrew wydanej dziesięć lat wcześniej Konstytucji Magicznej, nie cierpiał postmodernizmu i nawiązań do mitów arturiańskich. Zwłaszcza gdy doświadczał ich w wersji *live*.

Przez dłuższy czas nie mógł się zorientować, gdzie się znalazł. Przed oczami wciąż miał pokój, zgrabną sylwetkę Koraliny na tle rozgwieźdzonego okna, wciąż czuł, że jest skrzepowany, że nie może się ruszyć. Otaczały go ciemność i chłód, a przecież w pokoju czarownicy było przyjemnie ciepło. Nie zabiła go, wiedział, jak się umiera. To nie było to. Jeszcze nie.

Spróbował się odwrócić - bez skutku, coś twardego blokowało mu ramiona, uciskało plecy, uniemożliwiało ruch nogami. To coś pachniało drewnem, starym drewnem, w którym od wielu lat pracowały korniki. Zauważył natomiast, że może poruszać ręką i głową. Przynajmniej tyle, pomyślał. Oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku. Wyczuł lekkie podmuchy wiatru. Obrócił głowę w prawo, potem w lewo - nic, czerni. Zerknął do góry.

Nocne niebo mrugało do niego gwiazdami.

A potem przypomniał sobie słowa Koraliny. I własny irracjonalny strach, gdy wjechawszy na rynek Wilkowa, zobaczył dąb, stojący tam od czasów, gdy w Polsce panowało pogaństwo.

Skończysz jak Merlin.

Twardowski zdążył poznać wiele wersji mitu arturiańskiego - to była część przymusowej edukacji, jaką przeszedł po powrotnym sprowadzeniu go na świat. Według niektórych autorów, Merlin po śmierci został pochowany wewnątrz dębu. Skrzywił się. Były i takie warianty legendy, z których wynikało, że Merlin został uwięziony w dębie żywcem.

Pomyślał, że Koralina czytała nieodpowiednie książki.

Był więźniem, a jego więzieniem okazał się pogański dąb stojący naprzeciw ratusza. Spostrzegł, że gdzieś w grubej korze drzewa zieją pokaźne szpary, które pozwalają obserwować, co dzieje się na rynku. Zastanawiał się przez moment, dlaczego czarodziejka wybrała właśnie to miejsce. Nie wydawała się osobą przesadnie przywiązaną do symboliki, wprost przeciwnie, sprawiała wrażenie bardzo pragmatycznej.

Zdecydowanie bardziej pragmatycznie byłoby zaś zabić maga wtedy, gdy bezbronny leżał w jej pokoju. Ot, jeden cios nożem, a jeśli wzorem innych kobiet miała wstręt do krwi, starczyłoby jedno zaklęcie. Po chwili zadumy, podczas której wsłuchał się w odgłosy drzewa, zrozumiał.

Dąb trzeszczał, napinał się, żył - i powoli, acz nieubłaganie zaciskał się dookoła niego. Ma więc zginąć w trzewiach drzewa, zmiążdżony, kawałek po kawałku, organ po organie. Agonia wydłużona w nieskończoność.

Piękna śmierć, nie ma co.

Proces był wolny, na razie ledwie zauważalny, ale nieuchronny.

Na rynku pojawił się nagle bezpański pies. Wyrzwał z akacji, rozglądając się w obie strony. Twardowski zagwizdał na niego. Pies podbiegł w stronę dębu. Przez moment mężczyzna obserwował go przez szparę w korze. Pomyślał, że pies słyszy gwizd. A skoro pies słyszy, to głos więźnia usłyszą również przechodzący ludzie.

Pies stanął pod drzewem. Twardowski zobaczył, jak zwierzę unosi nogę. Gorąca ciecz spłynęła po pniu. Więzień poczuł, jak w kilku miejscach wilgotnieją mu spodnie. Dąb miał szpary i w dolnych partiach pnia.

Mężczyzna krzyknął na zwierzę, chcąc je odpędzić od drzewa. Bezskutecznie. Pies w ogóle nie reagował, najwyraźniej wcale nie docierały do niego rozpaczliwe wrzaski Mistrza.

Więc jednak.

Nie popsuka zaklęcia.

Nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła.

Wtedy przypomniał sobie o kopercie. O przesyłce od Wdowiaka, którą miał w kieszeni spodni. Przesunął ręką po biodrze. Sięgnie? Wnętrze dębu było chropowate, kilka razy zadrapał się porządnie, lecz w końcu - sukces. Trzymał list w dłoni, w szarym świetle poranka przyglądał się pieczęci. Co jest w środku? Może wybawienie iście *deus ex machina*¹. Ach, marzył właśnie o takim wybawieniu, niespodziewanym, sprzecznym z logiką całej opowieści, niechby i kiczowatym. Marzył o funkcjonariuszach Królikarni, którzy wyłaniają się z cienia i uwalniają go z pułapki. Oczywiście, gdyby był to film czy książka, takie zabiegi były niedopuszczalne - zaraz wywołałyby falę krytyki, że autor głupi, że historia niedopracowana. W tamtej chwili Twardowski miał gdzieś podobne zastrzeżenia. Z nadzieją wpatrywał się w kopertę. Marzył.

Nic innego mu nie pozostało.

Niecierpliwie przełamał pieczęć i... przeżył rozczarowanie.

To były dane, o które prosił. Dane personalne więdźmy. Zastrzeżone, schowane w Sezamie przed okiem ciekawskich, *for personal use only*. Dla Wdowiaka nie było jednak rzeczy niemożliwych.

Gdyby tylko wiedział, co się w tej chwili dzieje z jego podwładnym.

W lichej poświacie poranka Twardowski wyteżając wzrok, przeczytał kilka linijek tekstu. Niestety, nie było tam niczego, co mogłoby go uratować. Czytał więc dalej. Wreszcie natknął się na PESEL.

Ożywiony, spędził we współczesnym świecie ledwie kilka lat, ale doskonale wiedział, co oznacza pierwsze sześć cyfr numeru ewidencyjnego. Przeczytał je, pokręcił głową. Cholerne światło, w tej szarzyźnie musiał coś pomylić.

Przeczytał PESEL jeszcze raz. Bardzo uważnie. Cholera.

To nie mogła być prawda.

A potem zrozumiał. Ciągłe spojrzenia w lustro, pytania o to, czy mu się podoba, czy skóra wystarczająco gładka, czy piersi dość jędrne, czy nie widać śladów cellulitisu. Twardowski pojął, dlaczego Koralina tak często z niepokojem zerka na swoje wypielęgowane, młode dłonie, dlaczego tak martwi się, czy wokół oczu nie pojawiają się pierwsze, nieznaczące zmarszczki. Wiedział już, jaki był powód okrycia jej danych osobowych klauzulą tajności. Domyślił się, dlaczego czarodziejka potrzebowała Estery i po co kilkakrotnie wcześniej odwiedzała Wilków.

Siedemdziesiąt siedem, jedenaście, zero cztery.

Siedemdziesiąt siedem.

PESEL.

Koralina miała pięćdziesiąt dwa lata.

11

Twardowskiego zbudził krzyk. Krzyk był rozpaczliwy, pełen bólu i cierpienia, ale krótki. Ledwie sekunda, może półtorej. Mimo to było w nim tyle przerażenia, że mężczyzna ocknął się w jednej chwili. Na moment zapanowała cisza, ale zaraz znów usłyszał głosy, wiele głosów, które złożyły się w nieprzyjemny jazgot tłumu.

Pomyślał, że wszystko, co zdarzyło się w nocy, to był tylko sen, a w rzeczywistości wciąż jest w pokoiku czarodziejki. Spróbował się obrócić na drugi bok.

Jednak nie.

Świadomość tego, gdzie jest, wróciła wraz z bólem kręgosłupa. Starzejesz się, powiedział do siebie. A potem uświadomił sobie, że to i tak nie ma znaczenia. Nie zanosił się, by umarł ze starości. Wewnątrz dębu było coraz mniej miejsca. Nie mógł już ruszać rękami, przyciśniętymi przez korę do tułowia.

Jak długo to jeszcze potrwa? Kilka godzin? Kilkanaście?

Niewiele.

Mimo wszystko cały czas mógł poruszać głową. Z trudem, bo z trudem, ale zawsze. Właśnie przykladał oko do prześwitu w korze dębu, kiedy usłyszał kolejny wrzask.

Pamiętał dobrze podobne krzyki. Kilkakrotnie, jeszcze za poprzedniej bytności na ziemi, w XVI wieku miał okazję uczestniczyć w przesłuchaniach, prowadzonych przez prawdziwych fachowców, wprawionych w dziedzinie zadawania bólu. Kilkakrotnie też widział na własne oczy samą egzekucję. Pamiętał zatem dobrze, jak głośno krzyczały czarownice, gdy rozciągano je na strapaddo, kiedy miażdżono im imadłami kciuki, a krępulec zaciskał się mocniej i mocniej. Głośniej jeszcze krzyczały wiedźmy, które sadzano na podgrzewanych od dołu ogniem krzesłach. Najgłośniej zaś wyły owe skwierczące na stosach i łamane kołem. Wszystkie te przyprawiające o dreszcze jęki, płacze, zawodzenia i wrzaski sprawiały, że otaczający stopy tłum wiwatował. Tłum się cieszył. Po raz kolejny znaleziono winnego. Po raz kolejny złożono ofiarę na ołtarzu populizmu.

Robert Chudziński nie był łamany kołem, nie płonął też na stosie. Mimo to krzyczał równie mocno jak niegdysiejsze czarownice. A może nawet mocniej.

Twardowski nie widział wszystkiego, co działo się na rynku. Wielkość otworu znacznie ograniczała pole widzenia. To, co widział, całkowicie mu jednak wystarczyło.

Ojciec Roberta Chudzińskiego, Edmund, zwiisał bezwładnie z gałęzi pobliskiej akacji, powieszony na grubym kablu wyciągniętym z jednego z wozów transmisyjnych. Jego ciało, poruszane podmuchami wiatru, kiwało się to w lewo, to w prawo, przypominając wielkie wahadło. Nieco dalej, tam gdzie kończył się skwer, a zaczynał asfalt, rósł tłum. Wyglądało na to, że na rynek wylegli wszyscy mieszkańcy Wilkowa, a oprócz nich - wszystkie obecne w miasteczku ekipy dziennikarzy wraz z pozostałymi przyjezdnymi. Trochę z tyłu, na podwyższeniu, zbudowanym przed komisariatem policji, postawiono zaś ławę, za którą siedziały Koralina i Estera Bielska.

Zaimprovizowana konferencja prasowa, pomyślał Twardowski, widząc szereg mikrofonów, ustawionych przed obiema kobietami. Zwrócił uwagę, że Estera Bielska uśmiecha się. Z każdym jękem coraz bardziej promiennie.

Koralina mówiła, że ujawni wyniki swojego śledztwa, przypomniał sobie. A skoro to Chudzińscy otworzyli puszkę Pandory, oni będą musieli ją zamknąć.

Spojrzał w lewo, w miejsce, gdzie była sporych rozmiarów ciężarówka. Tam kłębił się największy tłum. Stamtąd dobiegał przeraźliwy krzyk Roberta.

Wyteżył wzrok.

Chłopak leżał na jezdni, tuż przed ciężarówką. Silnik potężnej scanii mrucał nisko. Pojazd posuwał się powoli, centymetr po centymetrze, miażdżąc kołami nogi młodego Chudzińskiego. Twardowski patrzył przez chwilę i doszedł do wniosku, że stosowany w jego czasach stos był, w porównaniu z metodami użytymi w Wilkowie, bardzo niewyszukany.

Cywilizacja, pomyślał. I postęp.

Potem jego uwagę zwrócił drugi wrzask, tym razem z prawej strony. Mimo rosnącej ciasnoty zdołał odwrócić głowę, aby tam spojrzeć.

Postać, odziana w czarną sutannę, szamotała się z kilkoma otaczającymi ją mężczyznami. Miejscowy proboszcz, pomyślał Twardowski, postanowił walczyć z wiatrakami. Widać uroił sobie, że powstrzyma egzekucję, że stawi czoło tłumowi, nie rozumiejąc, że obecni na rynku ludzie, złapani w sidła biblijnego archetypu, po prostu muszą złożyć ofiarę. Ot, psychologia społeczna.

Psychologia wspomagana magią Koraliny. Twardowski kątem oka złowił złowróżbny błysk bursztynu. Czarodziejka dyskretnie szeptała zaklęcia.

Zapłacisz za to, pomyślał smutno Twardowski, patrząc na proboszcza, zapłacisz za to, że próbowałeś przerwać ten obłąkańczy rytuał. Tłumowi nie można się przeciwstawiać. Tłum to osobny organizm, z którym nie da się negocjować, z którym nie można porozmawiać, który

rozumuje w sposób zero-jedynkowy, a na wszystkie stany pośrednie jest głuchy i nieczuły. Albo przyłączasz się do niego, składając ofiarę...

...albo sam jesteś następną.

Zgromadzeni na rynku ludzie byli pogrążeni w amoku, ogarnęła ich zbiorowa psychoza. Wielu rzuciło się na księdza. W morzu głów mignęła Twardowskiemu sucha, pożółkła twarz doktora socjologii, Krzysztofa Banacha, który z zaciętą miną kopał proboszcza w genitalia. Dziennikarz obok w pośpiechu obwiązywał nadgarstek kapłana kablem, ktoś inny przymocował już ten sam przewód do haka stojącego nieopodal samochodu. Drugą rękę księdza przykuto łańcuchem do stojącej na skwerze lampy. Burmistrz Wilkowa, spokojny łysawy pięćdziesięciolatek, wskoczył do samochodu, do którego przywiązano proboszcza. Przekręcił kluczyk.

W jego oczach czaił się obłęd.

Zaraz rozerwą go na strzępy! - pomyślał Twardowski. Zacisnął wściekle pięści. Uwięziony w dębnie nic nie mógł zrobić, tylko beczynnie przyglądać się wyreżyserowanemu przez czarownicę spektaklowi.

Czy to była część kary, którą Koralina dla mnie obmyśliła? - zastanowił się.

Ksiądz zaczął krzyczeć, zanim samochód ruszył. Wzywał imię Pana Boga swego - nadaremno, wołał na ratunek anioły, wreszcie jał wypowiadać jedno po drugim imiona świętych, którzy, niestety, też nie kwapili się przyjść mu z pomocą. Prosił o zmiłowanie, płakał, próbował mówić o miłosierdziu - na próżno. Burmistrz, siedzący za kierownicą, uśmiechnął się okrutnie i nacisnął lekko pedał gazu.

- Święta Anno!!! - wydarł się proboszcz. - Święta patronko tego miejsca, dopomóż mi! Dopooooomóż! I zlituj się nad nimi...

- ...choć dokładnie wiedzą, co czynią - dopowiedział Twardowski, zaciskając zęby w bezsilnej wściekłości.

Nagle ksiądz umilkł. Jego twarz rozpogodziła się jak niebo po krótkiej, wiosennej burzy. Mimo że samochód ruszył, a kapłan musiał odczuwać straszny ból, uśmiechał się błogo. Patrzył w kierunku starego, stojącego na skraju skweru krzyża.

- Święta Anno! - krzyknął w ekstazie. - Jesteś przy mnie w godzinie próby!

Biedny szaleniec, pomyślał Twardowski. Może obłęd zagłuszy rwący ból, może pozwoli stłumić cierpienie?

A potem sam spojrział w stronę krzyża.

Z prostego, drewnianego kłęcznika wstała kobieta. Miała białe włosy i smutne oczy. Ubrana była w jasnobezową suknię. Twardowski uświadomił sobie, że widział ją już wcześniej. To ją spotkał na wilkowskim rynku pierwszego dnia. Jej głowa mignęła mu pośród tłumu, który chciał zlinczować Esterę. To ona pojawiła się w bibliotece.

Teraz stała przed krzyżem, a jej oczy były pełne łez.

Twardowski zdał sobie sprawę, że kobieta patrzy na dąb.

Na mnie, pomyślał. Widzi mnie! Widzi!

Czas przestał płynąć. Nawet nie spostrzegł, gdy kobieta znalazła się tuż obok. Spracowaną dłonią pogłaskała pień, nucąc coś cicho. Drzewo zadrżało, skrzypnęło. W następnej chwili Twardowski poczuł ulgę. Znowu mógł ruszać rękoma, mógł swobodnie oddychać, obracać się wewnątrz pnia.

Czar Koraliny opadł jak zasłona zdarta z oczu.

- Zadbaj o nich - powiedziała miękko kobieta. - Chciała mi ich ukraść. Chciała ukraść moje miasto.

Później uśmiechnęła się do niego łagodnie i ze zrozumieniem. A potem już jej nie było - ot, narkotyczna halucynacja.

Twardowski mógł wyjść na zewnątrz.

Był żołnierzem Królikarni. Obowiązki wzywały.

Zakłębieniem uciszył zaskoczoną Koralinę. Czarodziejka zamarła z na wpół otwartymi ustami, nie mogąc wykrztusić z siebie ni słowa. Nie mogła go jeszcze widzieć, ale szybko pojęła, że to magia. Zdenerwowana rozglądała się na wszystkie strony. Na rynku tymczasem zapanował chaos - czar, którego Twardowski nauczył się jeszcze od Fausta, na moment pomieszał zgromadzonym języki, uniemożliwiając jakiegokolwiek wspólne działanie. Bezradni oprawcy porzucili księdza, który nie odniósł żadnych obrażeń. Długowłosem ruchem dłoni zatrzymał ciężarówkę, pod której kołami leżał wciąż żywy Robert Chudziński. Korzystając z zamętu, jaki wywołał czarem, Twardowski uwolnił zaskoczonego proboszcza, a następnie ruszył w stronę Estery.

Nie było jej za stołem, stała tam tylko Koralina zmagająca się z nagłym paraliżem krtani. Kreśliła w powietrzu znaki, klejnot na jej szyi lśnił, ale nie potrafił przełamać blokady Twardowskiego. Tym razem to on zaskakiwał.

- Później - powiedział do siebie, walcząc z pokusą, by zatrzymać się przy poznańskiej czarodziejce. - Ta druga jest ważniejsza.

Gdzieś pośród mrowia głów mignęły znajome włosy, ktoś usiłował przepchnąć się między zdezorientowanymi ludźmi i wydostać z rynku. Pobiegł w tamtym kierunku. Estera

nie mogła przecież iść zbyt szybko, przeszkadzał jej brzuch, przeszkadzały sandały, przeszkadzała obszerna suknia, którą włożyła, by ciąża była nieco mniej widoczna. Pomimo to porządnie się zmęczył, zanim ją dogonił.

Stała zdyszana w jednej z wąskich uliczek, odchodzących z rynku. Zuchwale patrzyła na Twardowskiego, kiedy szedł w jej stronę. Splunęła.

- Zdrajca! - syknęła. - Czteryście lat temu polowałiby na ciebie tak samo jak na mnie.

Nie dać się wyprowadzić z równowagi! W myślach powtarzał formuły pozwalające spętać demony. Musiał być skoncentrowany, nie mógł pominąć nawet zgłoski.

Nie dać się wyprowadzić z równowagi! Zacisnął zęby.

- Nigdy mnie nie złapiecie!

Czytała w jego myślach. Niedobrze. Cień za jej plecami zgęstniał. Słońce zaszło za chmury? Zbliżał się wieczór? A może...

Bardzo niedobrze.

Twardowski, nie namyślając się dłużej, wypowiedział zaklęcie. Estera zaśmiała się gardłowo i spojrzała na niego z pogardą.

- Tylko na to cię stać? Tylko na to? - Zrobiła w jego stronę krok, potem drugi. Jej twarz wykrzywiła się w demoniczną maskę. - Tylko na to? - Kolejny krok.

Twardowski czekał w napięciu. Zaraz dojdzie do granicy, pomyślał. Jeszcze...

...krok.

Krzyknęła, odbijając się jak od szklanej ściany. Mężczyzna odetchnął - zaklęcie wytrzymało.

Cień za Esterą zrobił się jeszcze bardziej gęsty i intensywny, prawie lepki. Wydawało się, że czarna plama pochłania światło.

Twardowski zmarszczył brwi. Widział już takie cienie. Dawno temu.

Gdy podpisywał cyrograf.

Dziewczyna wyprostowała się. Wiedziała już, gdzie są granice kręgu utworzonego przez Twardowskiego. Nie mogła ich przekroczyć, ale jej zachowanie nie przypominało zachowania zwierzęcia w potrzasku. Stała spokojnie, wpatrując się w przeciwnika.

- Dobrze więc - powiedziała zmienionym głosem. - Wygrałeś. Ale mojej tajemnicy nie poznacie nigdy.

Uniosła dłonie.

Co ona chce zrobić?

- Wracam do Pana! - Jej krzyk był mocny, zdeterminowany. - A ty, zdrajco, wiedz jedno. On kiedyś po ciebie przyjdzie. Przyjdzie.

Twardowski wiedział, że to niemożliwe, ale przysięgłby, że plama cienia za Esterą poruszyła się niecierpliwie. Na moment spuścił dziewczynę z oka, koncentrując uwagę na krzepnącej czerni. Kiedy znów spojrział w stronę wiedźmy, buchnęły dookoła niej płomienie. Jej twarz wykrzywił grymas bólu, ale nie krzyczała. A w zasadzie - starała się nie krzyczeć.

Chciał jej pomóc, ugasić ogień, lecz odbił się od kręgu jak od tarczy. Teraz to on nie mógł przekroczyć granicy, to on był bezradny, to on musiał patrzeć, jak ciało Estery ginie w płomieniach.

Plama cienia uśmiechnęła się do niego drwiąco.

12

Wilków na kilka dni zamienił się w miasto zamknięte, odseparowane od świata. Nad rogatkami miasteczka zawisły wozy bojowe nowej generacji, wyposażone w napęd dywanowy. Drogi prowadzące do Wilkowa zostały czasowo zaklęte, tak by nikt nie mógł dotrzeć do miejsciny ani z niej wyjechać, a wszelka łączność urwała się nagle, jak ucięta nożem. Patrole policjantów o dziwnych twarzach, z olbrzymimi cerberami na łańcuchach, przeczesywały okoliczne lasy. Nocą ulice pustoszały, bo, szeptano, wojsko, które zawitało do miasteczka, przywiozło ze sobą kilku nekromantów.

Wilków zaroił się od funkcjonariuszy tajnych służb. Uważne oko mogłoby wychwycić, że na niektórych samochodach i mundurach widnieje dziwny napis - Królikarnia.

Przesłuchania trwały drugi dzień. Spisywano zeznania, rejestrowano wszystkich świadków, zakreślano krąg podejrzanych, a wszystko przy udziale telepatów, weryfikujących prawdziwość zeznających. Opieczętowano sklepy ezoteryczne, w których skrupulatni funkcjonariusze dokonywali inwentaryzacji. Intensywnym badaniom, w tym hipnotycznym, poddawano Ewę Kubiak, która mimo odzyskania dawnego wyglądu wciąż miała problemy z mową i odżywianiem - w dalszym ciągu łakomym wzrokiem spoglądała na wszelkiego rodzaju owady. Niektórzy funkcjonariusze wspominali półgębkiem, że jedynie wizyta w wojskowym sanatorium położonym po Drugiej Stronie Lustra może jej pomóc.

Wszystkie wojskowe zabiegi i wysiłki pozornie tylko koncentrowały się na wyjaśnieniu całej sprawy - w rzeczywistości głównym celem było odnalezienie poznańskiej czarodziejki, Koraliny Rabe. Kilku śledczych pieczołowicie odtwarzało obraz tego, co działo się na rynku, starając się ustalić, gdzie zniknęła wiedźma. Na każdym wilkowskim murze, na każdym drzewie i na każdej ścianie widniało zdjęcie młodziutkiej czarodziejki. Ona jednak zaginęła. Kamień w wodę. Nikt nie wiedział, dokąd zbiegła.

Zważywszy na urodę magiczki, mało prawdopodobne było, by żaden z mężczyzn jej nie zauważył. Było to tym bardziej nieprawdopodobne, że w miasteczku wszyscy ją znali, a jak zapewniał Twardowski, zawczasu rzuciwszy czar monitorujący, czarodziejka Wilkowa nie opuściła. Zresztą jej bezcenny dywan cały czas stał zwinięty w rulon w przybudówce motelu.

Po kolejnej, męczącej turze przesłuchań i weryfikacji przez telepatów tego, czy mówi prawdę, znudzony Twardowski zaszedł do baru. Rozejrzył się. Pusto - z dziennikarzami na komendzie właśnie rozmawiali jego koledzy, a nikt nowy nie przyjeżdżał, bo przyjechać, ze względu na zaklęcia maskujące, nie mógł. Chociaż...

Siedziała w rogu, przy kawie. Obok filiżanki, oparty o popielniczkę, tlił się papieros. Jak ona tu się dostała? - pomyślał. Blokada przecież. A nie mieszkała wcześniej w motelu. Poznałbym.

Przyjrzał się uważniej kobiecie, odwróconej do niego plecami. Jego wzrok przesunął się łakomie po zgrabnych nogach, zatrzymał na wypielęgnowanych dłoniach. Włosy były idealnie czarne, ale mógłby się założyć, że gdyby nie farba, dostrzegłby pasemka siwizny. Bez wątplenia miała klasę, ale nie była już młoda.

Twardowski zdążył przywyknąć w Wilkowie do młodszej.

Zainteresowała go jednak. Podszedł bliżej, a wtedy ona drgnęła. Znajomo.

- Więc taka miała być cena za długowieczność? - zapytał cicho. - Taka miała być cena za wieczną młodość? Pomoc w zemście na Chudzińskich, a w zamian - co? Tajemnica Estery?

Spojrzała na niego.

Czas nie oszczędził ani policzków, które opuściły się i powiększyły, ani nosa, który już nie był tak zgrabny jak jeszcze dwa dni wcześniej, ani czoła posiekanego zmarszczkami. Oczywiście, starała się to wszystko maskować makijażem, ale mimo wszystko zmiany były wyraźne. Bardzo okrutne.

Nic dziwnego, że nikt nie mógł jej rozpoznać, pomyślał.

Tylko oczy były takie jak zawsze. Żywe. Inteligentne. Ciskały na Twardowskiego gromy.

- Chciałam tego uniknąć - powiedziała cicho.

- Właśnie dlatego włamałam się do domu Estery. Chciałam wydrzeć jej sekret bez tego całego cyrku. Niestety.

- Niestety, nie udało się. Chudzińscy musieli więc zginąć. W imię twojej urody i twojej przyjemności.

Popatrzyła na swoje dłonie. Skóra nie była już tak jędrna, przypominała nieco zwiędły, wysuszony przez słońce liść, wczesnojesienną trawę, nadal zieloną, ale gdzieś tam pokrytą brązowymi plamami zwiastującymi, że nadchodzi zima. Starość.

- Nie zrozumiesz tego. - Pokręciła głową. - Zresztą Chudzińscy sami byli sobie winni. A ty - odgarnęła kosmyk włosów, który spadł jej na policzek - co zrobisz? Aresztujesz mnie? A może od razu wykonasz egzekucję? Przecież wy, Inkwizytorzy, macie specjalne uprawnienia.

- Od sądenia są inni - mruknął niewyraźnie. Jeszcze raz przyjrzał się jej pięćdziesięcioletniej twarzy. Ale ty już poniosłaś karę, pomyślał.

- Chodź!

Popchnął ją delikatnie w stronę tarasu. Kiedy oparli się o barierkę, skinął w stronę przybudówki.

- Twój dywan - oznajmił. - O pierwszej jest przerwa w blokadzie. Spada magiczna kurtyna i można się stąd wydostać. Trwa to piętnaście minut. Drogi prostują się, znika bąbel niepamięci otaczający Wilków. Zdażysz.

- Wydajesz na siebie wyrok. Pójdiesz pod sąd polowy, jeśli się dowiedzą! Nie - poprawiła się - nie „jeśli” się dowiedzą. Oni dowiedzą się na pewno. Więc sąd to tylko kwestia czasu. Czeka cię banicja. Do najgorszej z najgorszych kolonii. Do Twierdzy.

Starła się nad sobą panować. Starła się nie pokazywać emocji. Usta jednak ledwie zauważalnie, ale drżały, a palce nerwowo szukały w torebce papierosów. Propozycja długowłosego zrobiła na niej wrażenie.

Wzruszył ramionami.

- Chyba jestem zmęczony służbą - powiedział. - A poza tym... nie chciałbym, by nasza znajomość skończyła się aresztowaniem. Lub stosem, jeśli rozpoznałby cię ktoś z wilkowień, którzy teraz z równą gorliwością pomagają Królikarni, jak wcześniej pomagali tobie dokonywać samosądów.

Przez moment patrzyła na niego bez słowa. Przygryzła wargę.

- Idź. - Wcisnął jej w dłoń kluczyk od przybudówki, w której zamknięto dywan. - Może kiedyś...

Nie dokończył. Odwrócił się i odszedł do motelu.

- Wszystko przez ciebie - szepnęła, patrząc na oddalającą się sylwetkę. - To wszystko twoja wina. Nienawidzę cię. Nienawidzę!

KONGESJA

(...) Tam na skraju świata dziwy Tam na skraju świata cuda Byli tacy, co wierzyli Że tam dojdą, że się uda (...)

„W kamień zakłęci”,
muz. A. Korzyński, sł. M. Dutkiewicz; wykonanie:
Armia, album „Pocałunek mongolskiego księcia”.

1

Licząca siedmioro jeźdźców karawana bez pośpiechu zbliżała się do wioski.

Pierwszy zauważył ich młody krzat, który zbyt poważnie traktując zabawę w chowanego, skrył się w płataninie kosodrzewów daleko od osady. Siedząc w zaroślach z rozdziawioną z przerażenia buzią, w której brakowało kilku zębów, wpatrywał się w nadciągających olbrzymich jeźdźców. Pierwszy z nich, najwyższy, musiał być przewodnikiem karawany. Był to krótko ostrzyżony mężczyzna ze zniszczoną twarzą. Jego kurtka pełna kieszonek miała kolor jesiennych liści - tu zielona plama, tam żółta, to znów brązowa. Przewodnik trzymał coś dziwnego w ustach i co jakiś czas ział dymem niby górski smok.

Wzrok młodego krzata zatrzymał się na znaku naszytym na prawym rękawie kurtki jeźdźca. To był znak tych z Twierdzy, symbol budzący powszechną grozę. Grozę większą niż hordy wilków, rok w rok dziesiątkujące stada, większą niż ciemnoskrzydłe przełęcznice porywające dzieci z górskich ścieżek czy złe duchy zalegające w jaskiniach. Rysunek, na którego widok truchleli najwięksi wojownicy, a dzieci w kołyskach zaczynały płakać.

W czerwonym polu lśnił biały orzeł w złotej koronie.

Chłopczyk zamarł przekonany, że przyjezdni - demony z Twierdzy - zaraz go znajdą. Ci jednak nie rozglądali się na boki. Nie dostrzegli skrytego w gęstwie karłowatych drzew dziecka. Gdy tylko przejechali, krzat wyskoczył z kryjówki. Na szczęście znał skrót, wąski przesmyk między skałami. Dobrze. Zdążył zanieść ostrzeżenie, pomyślał, i pomknął w stronę kotliny. Kiedy karawana pokonała ostatni zakręt i wyłoniła się zza skał, przed sobą mając wioskę, połowie mieszkańców udało się już uciec w góry.

To było harde plemię krzatów. Górski ludek walczył z wypełzającymi z jaskiń gromadami gnomów, dał się we znaki bandom rabusiów wałęsającym się po okolicy. Swego czasu nie uląkł się nawet smoka, który opanował sąsiednią dolinę. Z tymi, którzy nosili na ramieniu znak orła, krzaty wołały jednak nie zadzierać.

Jadący na przodzie krótko ostrzyżony mężczyzna, widząc niknące w oddali sylwetki uciekinierów, uśmiechnął się. Zнали go tutaj.

Nie wszyscy opuścili siolo. Kiedy karawana jechała przez wioskę, barykadowano wejścia, trzaskały okna i stukały zasuw. Tu i ówdzie, przez szparę w ścianie, spoglądały na nich ciekawskie oczy. Oprócz przewodnika jeszcze jeden z przyjezdnych był demonem z Twierdzy. Obok tego drugiego jechała smukła dziewczyna o niezaprzeczalnej urodzie. Gdyby nie groza całej sytuacji, zapewne w nią wpatrywaliby się wszyscy mieszkańcy osady. Tragarze, doglądający mułów, podobnie jak dziewczyna, nie byli demonami spod znaku orła. Bez wątplenia pochodzili z tego świata, może nawet z samych Gór. Byli dwakroć tak wysocy jak mieszkające w wiosce krzaty, więc prawdopodobnie były to elfy z puszczy na zachodzie. Wszystkie muły obładowano ciężkimi tobołami. Przez grzbiet jednego przewieszono szczególnie duży pakunek. Na płótnie worka widniały mokre plamy krwi.

Demon przewodnik zatrzymał wierzchowca przed największą chatą. Zeskoczył z konia, kopniakiem otworzył małe drzwi i pochylając się, wkroczył w mrok wnętrza.

- Gdzie metamorf? - rzucił w ciemność. - Wiem, że tu był.

Ciemność poruszyła się, zaszurała w kącie izby. Przewodnik zamrugał, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Ciemność przybrała kształt złężnionego włodarza, który kulił się w narożniku, usiłując wsunąć się między ławę i wielką kadź z piwem.

- Miałeś nie wracać, panie! - krzyknął histerycznie. - Nie wracać!

- Gdzie on jest? - Głos przewodnika złagodniał. Przybysz nachylił się nad włodarzem, bez mała dwukrotnie niższym. Wyglądało to tak, jakby surowy belfer nachylał się nad niesfornym uczniem, z tą wszakże różnicą, że uczeń, wiekowy krzat w szpiczastej czapce, miał długą siwą brodę. - Musiał iść tędy, przez Niedźwiady. Widziałem trop.

- Nie powiem! - Włodarz odskoczył od przewodnika jak oparzony. - Ściągnę klątwę na swój ród. Ty spytasz się, odjedziesz, a my? Przekleństwo na każdego, kto Innego wyda.

- Zanim odjadę... - zaczął przewodnik. W jego głosie nie było złości. Właśnie ten spokój, ta spokojna pewność siebie najbardziej przeraziły włodarza. - Sprawię, że nie będzie na kogo rzucać klątw. Sprawię, że nie będzie już tej wioski. Domy strawi ogień, a potoki spłyną krwią. Wiesz, że nie żartuję. Znasz mnie.

- Znam - sapnął włodarz. - Janie bez Serca.

- A ja i tak się dowiem. Żywy czy martwy, wyjawisz mi prawdę.

Włodarz zadrżał. Przy poprzednim spotkaniu z przewodnikiem przekonał się, że niebezpiecznie mówią o nim Jan Nekromanta.

- Mam jednak dla ciebie ciekawszą propozycję - kontynuował mężczyzna. - Po co przelewać krew? Lepiej przelać coś innego...

Jedną ręką sięgnął do szerokiej kieszeni spodni, wydobył stamtąd płaską butelkę. Drugą z małej kieszonki na piersi wyłuskał zapalniczkę. Płomyk oświetlił butelkę.

Włodarz znał rysunek, widniejący na naklejce. Chciwie przełknął ślinę.

- Hejkum, kejkum - wyjąkał zaferowany.

- Żubrówka. Autentyczna. - Przewodnik zaśmiał się, widząc tęskne spojrzenie krząta. - Gdzie metamorf?

- Był tu wczoraj - wyrzucił z siebie zapytany, chwytając butelkę. - Nad ranem. Tylko przechodził przez wieś, nie zatrzymał się, podążając ku Starej Krawędzi, szlakiem przez Radycz i Strzepogórę.

- Nie od razu w stronę Przesmyku? Kręcisz... Więcej kręctw i znajdziesz się w prawdziwych opałach, Koszałek.

- Przysięgam na, na... eliksir! - Krztał, czy to chcąc wzmocnić przysięgę, czy to intuicyjnie pojmując przeznaczenie butelki, przycisnął piersiówkę do piersi. - Nie szedł na Przesmyk.

- Dziwne. Niespieszno mu, by skryć się u swoich? - mruknął przewodnik do siebie. - Dziwne...

- Panie - zagadnął nieśmiało włodarz - ta duża paczka na mule? Zdobycz to?

Przewodnik przytaknął.

- U nas głód na przednówku - ciągnął Koszałek. - Stada przez wilki i przełęcznice postrzępione, rabusiów włóczą się kopy, zapasy nam maleją. Was tylko siedmiu, w tym dziewczyna, nie zjecie wszystkiego. A co za pożytek z zepsutego mięsa?

- Żaden - odparł ostro przewodnik. - Ale nie sądzę, żebyście byli zainteresowani.

Zbliżył się do okna, otworzył okiennice. Światło padło na duży posąg stojący przy wejściu. Drewniany niedźwiedź naturalnych rozmiarów rozpościerał łapy, chcąc pochwycić każdego, kto wchodził do domu włodarza.

- Misterna robota. - Mężczyzna pokręcił głową. - Wy, kurduple, macie diablo zręczne dłonie. Elektronikę wam składać, nie w drewnie dłubać. Jesteście lepsi niż Chińczycy.

- Co to owa elektronika, panie? - zainteresował się włodarz.

- Nieważne. - Przewodnik machnął ręką. - Ten niedźwiedź żyjący w jaskini, dwie godziny drogi stąd... To wasze święte zwierzę, tak? Bóstwo?

Włodarz potwierdził skinieniem, zajęty odkręcaniem żubrówki.

- Panicz, którego prowadzę - rzekł przewodnik - nie jest przesadnie religijny. Nie ma pojęcia o bogach swojego świata, cóż mówić o tutejszych, całkiem mu obcych. Był głodny.

Nakrętka ustąpiła, krztał właśnie podnosił butelkę do ust. Zastygł w pół ruchu.

- Dla niego to było zwykłe zwierzę. - Przewodnik stanął w drzwiach, zapalniczką, którą wciąż trzymał w ręce, zapalił papierosa. - Radziłbym poszukać innego bóstwa.

2

- Wydaje się, że niezbyt nas tu lubią - powiedział Patryk Leopold Lubomirski, spoglądając na wioskę krztałów, którą zostawiali za plecami.

Zrównał swojego wierzchowca z koniem przewodnika, poprawił rękawiczki do konnej jazdy, zerknął w małe lusterko, które zawsze nosił przy sobie. Trzeba skorygować brwi, pomyślał, nie wyglądają wystarczająco wyniośle.

- Czy oni mają powód, żeby czuć do nas coś prócz nienawiści? - Przewodnik zmarszczył czoło. - Dla nich jesteśmy najeźdźcami, demonami, które nagle zawładnęły światem. Ich światem. Minęło ledwie kilka lat, odkąd Rzeczpospolita założyła we Śnie swoją stałą bazę. Pamiętam czas, kiedy tutaj nie było nic, przechodziłem wówczas przeszkolenie. Przez rabbithole dopiero przrzucano materiały do budowy Twierdzy. Ledwie kilka lat - a podbiliśmy kawał tego świata. Co znaczą te ich łuki i proce, co znaczą ich miecze i topory, choćby i zaczarowane, przy naszych peemach, miotaczach ognia, myśliwcach, helikopterach i naszych chorobach? Do przeciwników, z którymi tubylcy musieli się zmagać, doszedł nowy, nieprzewidywalny i potężny. My.

Zakaszłał. Papieros był wyjątkowo ostry. Odkąd koncerny tytoniowe przeniosły produkcję do Ezoterycznej Strefy Ekonomicznej, papierosy stały się wyjątkowo paskudne.

- W dodatku mordujemy bezczelnie ich święte zwierzęta - podjął. - Po jaką cholere, pytam? Co cię podkusiło, Lubomirski, żeby wygarnąć serię do tego futrzaka? Niedźwiedź był stary i bezzębny, nie miałby cię czym ugryźć, nawet gdyby chciał. A oni... Oni nam tego nie wybaczą.

- Właśnie dlatego papa wynajął ciebie. Zapłacił Królikarni masę pieniędzy, żebyś mnie chronił podczas safari przed wszystkimi. Również przed idiotami, co myślą, że niedźwiedź może być bogiem. Rzekomo jesteś najlepszy. Przestań więc biadolić, tylko to udowodnij.

Do roboty. - Lubomirski spojrzał na przewodnika z wyższością. - Płacę i wymagam.

- Safari. - Gdyby Lubomirski wciąż patrzył na przewodnika, dostrzegłby, jak bardzo ten jest zniesmaczony. - Safari! Bardzo rzadko zdarza się nam, Polakom, okazja, by uczyć się na cudzych błędach. Teraz taką mieliśmy. Europejczycy zdziesiątkowali faunę Afryki. Gdyby Hitler mógł zorganizować Żydom Holocaust taki, jaki Amerykanie urządzili bizonom, byłby zachwycony. Ale my, Polacy, jesteśmy na to ślepi. W XXI wieku na wszelkie sposoby rekompensujemy sobie brak zamorskich kolonii. Zachwyceni, że teraz, kurwa, my, że my jesteśmy eksploratorami, że mamy rozległe posiadłości w zaświatach, urządzamy rzezie miejscowym zwierzętom. Safari! Czeakać tylko, aż przyjdzie pora na tubylców.

- Słyszałem, że już przysłała. - Patryk Lubomirski uśmiechnął się ironicznie. Był przekonany, że dzięki takim uśmiechom wygląda bardziej dojrzałe, jak godny dziedzic swego ojca. Niedawno czytał o arystokratycznej ironii i termin ten bardzo mu się spodobał. - Na salonach, w wiszących ogrodach opowiada się historię jatki, jaką urządził autochtonom pluton Królikarni z tutejszej Twierdzy. Mówi się też, że to ty nim dowodziłeś, Janie. Myle się?

- Różnica między nami jest taka, że ja zabijam na rozkaz, ty dla przyjemności - odpowiedział przewodnik. Jego głos był zimny jak woda w górskim potoku. - Ja nie marzę o tym, żeby upolować metamorfa, nie chcę powiesić na ścianie salonu jego skóry i patrzeć, jak zmienia się wraz z porami dnia.

- I właśnie na tym polega różnica między arystokracją a plebsem. - Lubomirski wyciągnął ze złotej papierośnicy skręta. Zapachniało lekko odurzającym ziołem sprowadzanym do Poznania przez Królikarnię. - Na tym polega różnica między owcami a wilkami. Ty, Janie, chociaż szczyrzenie zębów i wydawanie z siebie warkotu idzie ci wyśmienicie, wilkiem nie jesteś. I nigdy nie będziesz. Pozujesz na twardziela, lecz pod tą pozą kryje się przeżytek minionych epok - skrupuły.

- Niezrozumiałe słowo, co? - zadrwił przewodnik. - Że też nie mam pod ręką Kopalińskiego.

- Owszem, niezrozumiałe - przyznał z uśmiechem Lubomirski. - I dlatego właśnie świat należy do mnie i mnie podobnych.

- Ci podobni tobie urządzają sobie w zaświatach rzezie ezoterycznych stworów. A to wykończą Bogu ducha winną wielogłową hydrę, a to złapią do złotej klatki żarptaka, żeby świecił im w nocy podczas orgiastycznych przyjęć. Tacy jak ty nie gardzą smokami, zabijają na wypródki byki o złotej sierści, trzebią jednorożce w przekonaniu, że proszek z rogu wzmacnia potencję, polują na mówiące psy, tylko po to, by nagrać na dyktafon ich ostatnie przed śmiercią słowa. Tobie podobni potrafią podejść z akumulatorem do jeziora i wybić wszystkie ryby, by znaleźć tę jedną jedyną - złotą. Tacy jak ty zatrują studnie, byle postawić

na szafie zasuszone truchło pięćsetletniego gadającego szczupaka. Ci z was, których okrucieństwo jest szczególnej próby, polują na bazyliuszki tylko po to, by ku uciesze gawiedzi zamykać je w gabinetach luster i patrzeć, jak powoli konają, zabijane własnym spojrzeniem. I mówisz, że nie należę do tego grona? Lubomirski, prawisz mi komplementy!

- Jak na osobę, która tak się brzydzi zabijaniem tutejszej fauny, wykazujesz zadziwiająca znajomość przedmiotu - odparł Lubomirski z sarkazmem. - Ale mnie nie interesują tak pospolite trofea jak smocza skóra. Taki gadżet ma co drugi mieszkaniec Fool's Tower w wiszących ogrodach. Chcę metamorfa.

- Przecież ty nawet nie wiesz, jak one wyglądają. Nie widziałeś czarnej, włochatej kuli miotającej się po celi w lochu pod Twierdzą. Nie widziałeś, jak jej kasztanowe furto znika, a bestia transformuje w łuskowate monstrum, podobne do małego tyranozaura, jak traci kształt, stając się płataniną mięśni i żył. Mówię ci, przy metamorfie rozjuszony dresiarz to pestka. Gdyby nie srebrne kraty, zapewne uciekłyby z klatki.

- I tak wam uciekł. - Lubomirski wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. - Spapraliście sprawę. Gdyby nie wasza niekompetencja, nie musielibyśmy tłuc się teraz po górach, a objamy tyłki już od tygodnia. Ja, w odróżnieniu od moich licznych znajomych, nie jestem szczególnym miłośnikiem uciążliwych wędrówek w towarzystwie śmierdzących stajnią tubylców i równie intensywnie śmierdzącego stajnią przewodnika. Mnie interesuje cel ostateczny, wystarczyłaby mi sama skóra, którą Królikarnią obiecała dostarczyć na zamówienie w określonym terminie. Tak się ucieszyłem, kiedy dzięki talerzykowi i medium przesłano z Twierdzy wiadomość, że złapaliście stwora. Myślałem, jeszcze dzień, dwa, i umowa będzie sfinalizowana. Lecz nie, metamorf spieprzył z Twierdzy, parchu niemyty. A ja już zdążyłem rozesłać zaproszenia na przyjęcie, w którym zapowiedziałem prezentację skóry.

- Nie dziel skóry na metamorfie, jak powiadają.

- Jak na kogoś, kto ma mi pomóc w upolowaniu tegoż, jesteś obrzydliwie sceptyczny. Więcej wiary w misję. Więcej wizji! I więcej posłuszeństwa. Zdaje się, że to przez niesubordynację tutaj trafiłeś.

- Trudno mi zdobyć się na optymizm, kiedy pomyślę, że, być może, ścigamy inteligentną istotę. Istotę, która myśli i czuje.

- Chcę skóry metamorfa - warknął Lubomirski. Jego oczy zwęziły się niebezpiecznie. - Nie jego myśli i uczuć. Skończ z tanim moralizatorstwem, bo niedobrze mi się od tego robi. Jakbym słyszał księżula, nie sławnego Jana z Twierdzy. Przyjmij do wiadomości, że twój system wartości jest przestarzały i bezużyteczny. Teraz na Ziemi myślimy inaczej. Przyjmij do wiadomości również to, że albo zdobędziesz dla mnie tę skórę, albo napiszę raport i poślę

go do centrali. Wiesz, że mój ojciec ma znakomite kontakty z Wdowiakiem. Ile czasu zostało ci do końca zesłania? Dwa miesiące? Trzy? Jedna wzmianka o niesubordynacji i zrobi się z tego dziesięć lat. Zapamiętaj sobie - jestem tu legalnie. Lubomirscy wykupili od rządu Rzeczypospolitej koncesję. Koncesję na metamorfa. I tego metamorfa dostaniemy, Królikarnią się zobowiązała.

- Wy na wszystko wykupujecie koncesje i zezwolenia. To na metamorfa, to znów na halucynogenne grzyby Alicji, to na nimfy, które służą w waszych domach jako pokojówki. Ciekawym, kiedy będziecie kupowali koncesję na polowanie na ludzi. Zasilacie budżet państwa, to prawda, może nawet te wasze pieniądze, przyznaję, niemałe, służą dobremu celowi, ale przez to wydaje się wam, że jesteście ponad prawem. Gdybym ja rządził, gównem byście dostali, nie koncesję.

- Lecz nie rządzisz - burknął Lubomirski, wyraźnie już zniecierpliwiony. - Więc zamknij się. Jeszcze słowo w podobnym stylu i moja skarga trafi do twoich przełożonych.

Przez długą chwilę milczeli. Stukot kopyt niósł się głębokim wąwozem.

- Mógłbyś przynajmniej nie utrudniać mi pracy. - Przewodnik mówił teraz bezbarwnym głosem przynębionego człowieka. Jego zapal przygasł. - Najpierw bezsensowna utarczka z krzotami, potem niedźwiedź. I jeszcze dziewczyna. Po co ty ją ciągniesz aż z Twierdzy? Dlaczego ktoś taki jak ty zadaje się ze zwykłą służką?

- Jeśli służka ma takie walory jak ona, nie widzę przeciwwskazań. Jeśli chodzi o seks, mam gdzie arystokratyczne przesady. Poza tym tutaj, po Drugiej Stronie Lustra, pewne rzeczy są prostsze.

- Rozumiem. - Przewodnik pokiwał głową. - Słyszałem, że panicz Patryk Lubomirski zareczył się z panną premierówną. Fakt, narzeczeństwo zobowiązuje. Nie wypada pokazywać się z innymi kobietami. A tutaj nikt nie widzi, nie ma natrętnych jak muchy dziennikarzy. Przewodnik posiedzi sobie jeszcze dobrych kilka miesięcy na zesłaniu w Twierdzy. A jak się napisze niekorzystny raport, to posiedzi i lat dziesięć. Do wesela nikt się nie dowie. Mimo wszystko, nie widzisz, że obecność twojej nałożnicy opóźnia pochód? Metamorf jest ranny, osłabiony. Byłby nasz, gdyby nie ona.

Lubomirski wydał wargi.

- Płacę za wyprawę, a ponieważ jest wyjątkowo nudno, potrzebuję rozrywek. Na razie jedynie ona mi ich dostarcza. Swoją drogą, gdzie ona jest? Theresa? Thereeesaaa?

Dziewczyna zjawiała się przy nich natychmiast. Lubomirski pogłaskał ją po policzku. Uśmiechnęła się. W kąciakach jej oczu czaił się triumf.

Patrzyła na przewodnika.

3

Śliczna jest ta dziewczyna, pomyślał Lubomirski, gładząc piersi Theresy. Miał już wiele kobiet, ale żadna nie odpowiadała mu tak bardzo. Nawet nimfy sprowadzane z odległych zaświatów do Poznania przez ezoprzemysłników nie budziły w nim takiego pożądania. Nie miały nawet połowy powabu Theresy. I takich umiejętności. Gdzie ona się tego nauczyła? W kuchni? Czasami miał wrażenie, że jest giętka jak guma, potrafiła robić ze swoim ciałem rzeczy niestworzone. Włączając w to części ciała najbardziej intymne.

Spotkał ją przez przypadek. Na Ziemi, gdy wchodził do króliczej nory otwartej przez jednego z pogrążonych w letargu ludzi Kapelusznika, było późne popołudnie. Mgnienie oka później stał na tarasie Twierdzy i oglądał wschód nieznanego słońca nad nieznanym globem. Twierdza spała, czuwali tylko operatorzy rabbitholi i służba. Pośród służby - ona. Jedząc, co właściwie - wczesne śniadanie? późną kolację? - spostrzegł ją, gdy przemykała między dębowymi krzesłami, przygotowując nakrycia dla żołnierzy. Zauważył, jak zwinnie wygina ciało, jak lekko stawia kroki. Patryk Lubomirski pochlebiał sobie, że ma wyśmienity gust, jeśli chodzi o kobiety.

Nie mógł nie zwrócić na nią uwagi.

Nie umknęła, jak można było się spodziewać po służce. Przystanąła, odważnie wytrzymała jego spojrzenie. Klejnot w rynsztoku, pomyślał wtedy, patrząc jej głęboko w oczy, diament między plastikowymi świecidełkami. Owszem, był zaręczony, zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie jego stanu nie mogą żenić się z byle kim, a ona, Theresa, będzie co najwyżej kolejną przygodą. W żadnym wypadku nie miał zamiaru zrywać zaręczyn. Małżeństwo z młodziutką Anną Derkacz to strategiczna decyzja biznesowa, choć, przyznawał, premierówna jak na ziemskie standardy była bardzo ładna. Jednak ziemskie kobiety dawno już go znużyły, potrzebował nowych doznań, nowych wrażeń. Theresa była takim doznaniem. I wyzwaniem.

Po prostu musiał ją zagadnąć.

Całkiem niezłe mówiła po polsku. Zadziwiające, bo jak się później dowiedział, była w Twierdzy ledwie od kilkunastu tygodni. Tak krótki czas - a już została nałożnicą panicza z Drugiej Strony! Kariera w prawdziwie amerykańskim stylu, skonstatował. Czy raczej w polskim, poprawił się, przecież największe kariery na Ziemi robiło się teraz w wiszących miastach Poznania i Warszawy, a Amerykanie, Niemcy i Chińczycy, wpatrzeni w podręczniki do nauki języka, klnąc, powtarzali: „W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”.

Śliczna jest ta dziewczyna, pomyślał i pocałował ją w ramię. Otworzyła oczy, oddała pocałunek.

- Mój pan - szepnęła mu do ucha i przytuliła się mocniej. Noc była chłodna, ziąb ciągnął od bystrego strumienia, który przecinał dolinkę, zajęta przez nich na obozowisko. - Mój władca. Kiedy już złapiemy stwora, zabierzesz mnie ze sobą? Tam, skąd przyszedłeś.

Lubomirski skrzywił się. Całe szczęście, że jest ciemno, pomyślał. Daj kobiecie palec, a będzie chciała całą rękę. Ciągle mało, mało, mało.

- Przepisy nie pozwalają - mruknął. - Tłumaczyłem ci.

- Ale ty przecież jesteś ważny. Najważniejszy. Twój ojciec jest w zaświatach wielkim królem, ma olbrzymie posiadłości, wielkie stada i mrowie poddanych. Opowiadałeś.

- Bo to prawda. A ja jestem jego dziedzicem. Jedną z najważniejszych osób w Polsce.

- Przewodnik się tym nie przejmuje - powiedziała z przekąsem. - Mówi do ciebie, jakby w ogóle się ciebie nie bał. Czasami mówi jak do sługi.

Lubomirski uniósł głowę. Przewodnik nie spał. Siedział kilkadziesiąt kroków od nich, wpatrując się w ciemność, która przesłaniała wejście do dolinki. Wystarczająco daleko, by nie słyszeć ich rozmowy. Jak dotąd młodzik trzymał go w szachu, ale gdyby przewodnik wiedział, jakie papiery miał w sakwie Lubomirski, gdyby wiedział, co działo się tam, na Ziemi, i jak bardzo potrzebowało go kierownictwo Królikarni, zhardziałby jeszcze i zopryskliwiał. Dlatego Patryk Leopold skrzętnie skrywał akt ułaskawienia, które - gdyby nie owo polowanie, za które, to fakt, jego rodzina zapłaciła masę pieniędzy - nastąpiłoby już, w tej chwili.

Gdyby przewodnik to wiedział, nie przeżyłbym następnej nocy, pomyślał.

- On? - burknął do dziewczyny, siląc się na pogardę. - On jest nikiem, to tylko pionek na szachownicy. Graczami są inni, w tym my, dom Lubomirskich. Jan musi mnie słuchać.

- Tutaj wszyscy się go boją. Opowiadają o nim straszne rzeczy. Podobno w pojedynkę wymordował całe miasto na południu. Zna czary i uroki, potrafi przyzywać demony. Nawet komendant Twierdzy ma dla niego wielki respekt. Widziałam, jak rozmawiali podczas posiłków w refektarzu. Kiedy tak na nich patrzyłam, to miałam wątpliwości, który to komendant, a który podwładny. Teraz gdy słyszę, w jaki sposób zwraca się do ciebie, też się nad tym zastanawiam.

- To tylko pionek - odparł Lubomirski wyraźnie zniecierpliwiony. - Pionek. Lecz na razie go potrzebuję. Jest najlepszy ze wszystkich.

- Ale chyba powinien cię szanować? Nie może przecież gardzić moim panem!

Lubomirski zacisnął zęby.

- Zgadza się - wycedził. - Nie może mną gardzić. Nie może mną poniewierać. Policzę się z nim, kiedy wyprawa dobiegnie końca.

- Czy nie mogłaby skończyć się już? Zaraz? Metamorfa nigdy nie złapiemy, a dookoła same niebezpieczeństwa. Same potwory, z którymi trzeba walczyć. Nieprzyjaźni ludzie. Słyszałam w wiosce, przez którą przejeżdżaliśmy, że krzaty burzyły się, obrzucały nas wyzwiskami. Tylko czekać, aż na nas napadną. Wracajmy. W Twierdzy było nam tak dobrze, razem, w twoich komnatach.

- Nie bądź śmieszna. - Spojrzał na nią zdziwiony. - Chcesz, żebym zbłądził się w oczach moich znajomych? W oczach prasy? W oczach mediów ezoterycznych? Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to by było szkodliwe dla mojej reputacji, dla reputacji całej rodziny. Jak tragiczne miałyby to konsekwencje. Specjaliści ojca od PR urwaliby mi głowę.

- Kim są specjaliści od PR? - spytała zdumiona. - Czy to jacyś czarodzieje?

- Nie - zaśmiał się - ktoś znacznie bardziej potężny. Dokładnie ci nie wyjaśnię, bo i tak byś nie zrozumiała.

- Uważasz, że jestem głupia? Głupia kuchta, tak? - Nadąsała się. - Już ci się nie podobam?

Pocałował ją w odpowiedzi. Dłonią sięgnął do płaskiego brzucha i niżej. Westchnęła.

Śliczna jest ta dziewczyna, pomyślał.

4

Wyruszyli wczesnym rankiem. Tragarze w pośpiechu gasili ogniska, zwijali namioty, uprzęтали koce i skóry służące za posłanie. W tym samym czasie Patryk Lubomirski, stojąc przed sporych rozmiarów lustrem, dokonywał porannej toalety.

Biwak czy nie, myślał, nie jestem przecież zwykłym facetem. Bycie Lubomirskim zobowiązuje. Poprawił fryzurę, przetaił policzki tonikiem. Cholernie kosztowna wyprawa, przyznał, wkładając jedwabną białą koszulę. Jeden dzień - a koszula była do wyrzucenia i trzeba było wyciągać z pakunków następną. Do tej pory zużył już osiem sztuk i właśnie nakładał dziewiątą. Po chwili odstąpił zwierciadło Theresie, która też chciała poprawić włosy, i rozejrzał się dookoła.

Przewodnik również siedział pochylony nad lustrem, tyle że jemu zwierciadło służyło do całkiem innych celów.

- Pozycja: pasmo Gór Srebrnych, masyw Strzępogóry - mówił do zwierciadła. - Wczoraj przeszliśmy przez Niedźwiady. Zgodnie z uzyskanymi od krzatów informacjami metamorf

wyprzedza nas mniej więcej o dwadzieścia godzin czasu lokalnego, co w przeliczeniu na czas ziemski daje dwadzieścia cztery i pół godziny. Obóz rozbiliśmy w Dolinie Duchów. Obecności jakichkolwiek bytów astralnych nie stwierdzono pomimo całonocnej obserwacji. Przeprowadzone kilka miesięcy temu egzorcyzmy okazały się więc skuteczne. Rekomendacja: można rozpocząć prace wydobywcze, jak wskazuje wcześniej przeprowadzony wywiad, są tutaj bogate złoża uranu. Plany: idziemy za metamorfem szlakiem na Radycz. Metamorf traci siły, jest ranny, o czym świadczą ślady krwi na szlaku. Istnieje prawdopodobieństwo kontaktu w ciągu jednego - dwóch dni. Bez odbioru.

Przewodnik zasalutował niedbale i szybkim ruchem zamknął zwierciadło. Drugiego dnia wyprawy Lubomirski spytał go, dlaczego do komunikacji nie używa zwykłego radia.

- Nie działa - odparł zapytany. - Tutaj nie wszystkie ziemskie gadżety funkcjonują tak samo jak w Poznaniu czy w Warszawie. Radio jest kompletnie bezużyteczne, tak samo komputery, które działają jedynie na terenie

Twierdzy i w dolinie skolonizowanej przez nas, czyli w Strefie A. Helikoptery i F-18 też wykazują cholernie dużą awaryjność, chociaż, co dziwne, komputery pokładowe w tych maszynach pracują nawet po opuszczeniu strefy B. Na szczęście kałasznikowy strzelają, jak strzelały. Upraszczając, zasada jest taka: im bardziej zaawansowany sprzęt, tym bardziej się tu psuje.

Lubomirski zapytał oczywiście, dlaczego tak się dzieje. Przewodnik tylko wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Żaden naukowiec nie potrafił tego wytłumaczyć. A Wdowiak ścigał tutaj już wielu speców z różnych dziedzin. W pewnym momencie można było założyć w Twierdzy uniwersytet, tylu ich było. Moim zdaniem problem wynika ze starcia dwóch porządków, scjentyistycznego i magicznego. Im silniejsza nauka, tym słabiej działają prawa magii, i na odwrót, tam gdzie teren jest jeszcze dziki, nieucywilizowany, możesz zapomnieć o wyszukanej technice. A zwierciadła, chociaż tłuką się często, są mimo wszystko jedynym rozwiązaniem. Bo telepata ze mnie raczej kiepski.

Przez długi czas szli głęboką rynną wcinającą się w masyw skalny. Jak wyjaśnił przewodnik, szlak na Radycz przez pierwszą część drogi jest łagodny, dopiero drugi odcinek pnie się ostro w górę. Lubomirski, nie przepadając za wspinaczką, starał się nie myśleć o drugim odcinku. Palił odurzającego skręta, cieszył się przyjemnym słońcem i obecnością Theresy, a nade wszystko tym, że dno rynny było płaskie.

- Płynie tędy jakiś strumień? - zagadnął przewodnika, widząc, że podmyte korzenie drzew wystają z piasku.

- Kiedy są silne opady, takie jak wczoraj rano, wtedy ta rynna zamienia się w rwący potok. Całe szczęście, że potem się rozpogodziło. Słońce przesuszyło błoto i dzięki temu możemy przejść. W przeciwnym razie musielibyśmy iść na Radycz okrężną drogą. To byłoby... - przewodnik urwał w pół zdania.

- To byłoby co? - Lubomirski rozejrzał się niespokojnie. - Coś jest nie tak? Coś nam grozi?

Przewodnik tylko machnął ręką, zeskoczył z konia i zatrzymał karawanę. Następnie sam poszedł do przodu kilka kroków, kucnął i wbił oczy w zbrylony piach. Kiedy Patryk się zbliżył, usłyszał, jak mężczyzna mówi do siebie:

- Stopy, niech to diabli. Ślady stóp. Wielkość wskazuje, że to była kobieta.

Przyszłość rodu Lubomirskich zajrzała przez ramię wojskowego. Faktycznie, ślady stóp musiały odcisnąć się w błocie, a nim deszcz je zmył, słońce przesuszyło dno wąwozu.

- I co w tym dziwnego? - Lubomirski odetchnął, widząc, że to nic groźnego. - Podobno gdzieś w okolicy jest wioska. Pewnie jakiś tubylec szwendał się tutaj. Został go deszcz i to cała tajemnica.

- Szwendał się, powiadasz? Tubylec? - Przewodnik wyszczerzył zęby w szyderyczym uśmiechu, którego nawet nie starał się ukryć. - Lubomirski, widziałeś już wielu mieszkańców tych gór. To przeważnie krzaty. Powiedz mi, jaki one mają rozmiar buta? A nawet gdyby zdarzył się jakiś szczególnie wyrośnięty - powiedz mi, czy chociaż jeden szwendałby się na bosaka?

Patryk zamilkł, przełykając złośliwość. To prawda, w błocie były odcisnięte ślady bosych stóp. Nie wydawało się prawdopodobne, by ktokolwiek odszedł od wioski na taką odległość bez obuwia.

- Co to znaczy? - spytał.

Twarz przewodnika momentalnie spoważniała.

- Nie wiem - powiedział cicho - ale wcale mi się to nie podoba.

5

Godzinę później czasu lokalnego dotarli do małego zagajnika. Gąszcz powyginanych jodeł przecinał szlak, który przy wielkim kamieniu rozwidłał się na dwie drogi. Przewodnik przystanął. Widząc pytający wzrok Lubomirskiego, wyjaśnił:

- Droga na prawo prowadzi na Radycz, a dalej na skraj zbadanego przez nas świata, do Przesmyku Innych. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa metamorf powinien uciekać właśnie tędy.

- Zatem ruszajmy! - ponaglił Patryk, spoglądając w prawą odnogę traktu.

Marzył o tym, by podróż wreszcie się skończyła, niewygody prymitywnego życia doskwierały mu coraz mocniej. Tęsknił do przestronnych salonów w wiszących ogrodach, tęsknił do gwaru rozmów i okrzyków uwielbienia pod swoim adresem. W dodatku kończył mu się zapas skrętów.

- Nie możemy tamtędy iść - odparł przewodnik. - Tam metamorf a nie znajdziemy.

- Skąd wiesz? Droga jest kamienista, nie widać na niej żadnych śladów.

Przewodnik zignorował słowa Patryka.

- Skręcimy w lewo. Ta ścieżka jest mniej wygodna i mniej bezpieczna. Wiedzie nad przepaścią. To wąska skalna półka, która kończy się załomem, ostrym na dziewięćdziesiąt stopni. Poniżej są gołoborza i głębokie jeziora. Nie lubię tego szlaku. Mimo wszystko właśnie nim musimy pójść.

- Żołnierzu! - krzyknął Lubomirski. - Rozkazuję ci natychmiast powiedzieć dlaczego? Zgodnie z poleceniem komendanta masz wykonywać moje rozkazy.

- Jeśli pójdziemy prawą odnogą, wpadniemy w zasadzkę - odparł niechętnie zapytany. - Jest tam miejsce, które znakomicie nadaje się do tego, by zatrzymać idących.

W tym momencie do Lubomirskiego przysunęła się Theresa. Jej długie, ciemnokasztanowe włosy rozwiewał wiatr.

- Boję się tej drogi - szepnęła, pokazując na lewą ścieżkę. - Tam spotka nas coś złego.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Głos przewodnika zabrzmiał szorstko. Zmierzył dziewczynę ostrym spojrzeniem, ona jednak nie spuściła wzroku.

- Przeczucie - powiedziała. - Mieszkańcy tej krainy miewają przeczucia, które często się sprawdzają. Wiesz o tym.

Przewodnik zmarszczył brwi. Żył po tej stronie lustra długo, wiedział, że mówiła prawdę. Nie należało lekceważyć przeczuc tubylców. Zwłaszcza przeczuc dziwnej dziewczyny o kasztanowych włosach i zimno-zielonych oczach. Niemniej jego własna intuicja podpowiadała mu co innego. Niejasne obrazy, jakie zobaczył rano w lustrze, też zdawały się wskazywać na to, że to on, nie Theresa, miał rację. Poza tym w górze, nad drogą prowadzącą na Radycz, kołowały przełęcznice. To nie była dobra wróżba.

- Skręcamy w lewo - oznajmił sucho. Ze skórzanego futerału u boku konia wyciągnął potężną srebrną strzelbę.

Dziewczyna próbowała jeszcze protestować, przekonywać, ale Lubomirski uciszył ją obcesowo:

- On prowadzi - warknął. - A ty się lepiej zamknij!

Stanowczo za dużo gada, pomyślał Patryk, o tym, żeby zabrać ją do Poznania jako nałożnicę, nie mogło być mowy.

Na znak dany przez przewodnika tragarze zdjęli z ramion kałasznikowy, odpięli skórzane klapy na bokach mułów, przykrywające rzędy granatów. Podwieszenia były tak skonstruowane, by zrywając granat, od razu wyrwać zawleczkę.

Posuwali się powoli, w milczeniu. Tragarze kroczyli przy mułach, bacznie rozglądając się dookoła. Lufy kałasznikowców poruszały się z wolna, omiatając mijane krzaki i skalne załomy. Przewodnik szedł, rzecz jasna, na przodzie. Zerknął na tubylców z kałasznikowcami. Elfy, wszystkie objęte zakłębieniem lojalnościowym, stanowiły część pierwszej jednostki Wojska Polskiego utworzonej z miejscowej ludności. Czy jednak po tym, co zobaczyły w wykonaniu Lubomirskiego, można było na nie liczyć? Przewodnik bardzo chciał wierzyć, że tak.

Przez dłuższy czas nic szczególnego się nie działo. Szli nieniekajeni górką dróżką, po lewej mając przepaść, po prawej - rozległe pola pełne nagich głazów, to znów gęste zagajniki skarłatych jodeł i świerków. W pewnym momencie zobaczyli, jak zza drzew wyłaniają się ostre, niewysokie skałki.

- Krwawniki - wyjaśnił przewodnik, wskazując na nie głową - zwane też Zbójcekim Siedliszczem. Skały ciągną się kilkaset kroków, łącząc obie odnogi traktu, lewą i prawą. Tam kryli się napastnicy łupiący karawany podążające prawą ścieżką. Zostańcie tutaj, ja pójde się rozejrzeć.

Konia oddał jednemu z tragarzy. Trzymając w pogotowiu srebrnego shotguna, wolno zbliżył się do krawędzi lasu. Zszedł ze szlaku i zniknął wśród drzew. Posuwał się bardzo ostrożnie, omijając zdradliwe suche gałązki trzaskające pod butami. Kluczył między jodłami, starając się, by szelest nie był zbyt głośny. Kiedy las zaczął rzednąć, kiedy pokazały się pierwsze Krwawniki, nic nie wskazywało na to, by pośród nich kryło się jakiegokolwiek zagrożenie. Przewodnik mimo wszystko przystanął. Miał złe przeczucia.

Okolica jednak była wprost idyllicznie spokojna.

Kilkoma szybkimi susami pokonał odległość pomiędzy lasem a pierwszą ze skał. Zatrzymał się przy niej, nieznacznie wychylił głowę - nic, pusto, można iść dalej.

Tylko skąd ten niepokój? Jak wówczas, w podpoznańskiej Wieży.

Odegnął od siebie nieprzyjemne myśli i z palcem na spuście ruszył w głąb skalnego labiryntu. Nie uszedł daleko, gdy coś trzasnęło pod jego stopą. Już zdążył przekląć suchą gałązkę, która mogła go zdradzić, kiedy zerknął pod nogi. To nie była gałązka.

Spod czarnego wojskowego buta wystawała złamana strzała. Spojrzał uważniej na ostrze - czarne, najprawdopodobniej zatrute. Takich pocisków używały krzaty w polowaniach na przełęcznie. Słyszał ponadto, że zatrute strzały były stosowane przeciwko trollom. Z autopsji znał jeszcze jedno zastosowanie. Górale maczali belty strzał w wywarze z silnie trujących ziół również wtedy, gdy szykowali się do walki z najniebezpieczniejszym ze swych wrogów.

Gdy szykowali się do walki z Wojskiem Polskim.

Nim zdążył przyjrzeć się dokładniej strzale, usłyszał w oddali głosy. Wyrzął zza skały i zobaczył szpiczaste czapki dwóch krzatów, stojących przy dużym białym kamieniu. Wsłuchał się w ich rozmowę. Znał ten dialekt, choć z takiej odległości z trudem rozróżniał słowa.

- Demony jeszcze nie przybyły - mówił jeden. - Wszystko przygotowane, łucznicy i oszczepnicy na miejscach, trolle gotowe zawalić skały za nimi, by odciąć im drogę ucieczki, gnomy czekają ze szmatami nasączonymi olejem. Niech się tylko demony pojawią na trakcie - walka będzie krótka. Nie pomogą im ogniste kije, czarownik wykreślił już odpowiednie znaki, ich broń nie będzie działać.

- Inny mówi, że będą lada chwila. Że kilka godzin temu wyruszyli z obozowiska. Muszą być naprawdę blisko.

- Inny jest dobrze poinformowany - powiedział z przekąsem pierwszy. - Ciekawe, skąd on to wszystko wie.

- To chyba jasne. Dziś wpatrywał się w zwierciadło.

Inny, pomyślał przewodnik. Metamorf!

- Swego czasu, kiedy do wioski zawitał prawdziwy mag, nie ten nasz nędzny kuglarz, ów czarownik opowiadał, że zawsze musi być drugie zwierciadło.

- No przecież, że musi! I jest... - zaczął drugi z górali.

Mężczyzna nadstawił uszu. Zdrada? Kto?

Huk wystrzału zagłuszył dalsze słowa krzاتا. Przewodnik zaklął cicho. To był strzał z rewolweru Lubomirskiego.

Wystrzał zaalarmował nie tylko przewodnika.

- Poszli starą drogą nad przepaścią! - krzyknął jeden z wartowników. - Biegnij do włodarza, powiadom Innego. Ja sprawdzę...

- Gównu sprawdzisz! - syknął przewodnik, wyłaniając się zza skały.

Długi nóż świsnął w powietrzu, kończąc lot w piersi górala. Drugi strażnik również nie zdążył krzyknąć na alarm. Nim o tym pomyślał, mężczyzna był tuż obok. Zimna dłoń zacisnęła się na krtani krzاتا. Zanim skonał, przewodnik zobaczył w oczach swej ofiary prawdziwe przerażenie.

I tu, i na Ziemi, wszyscy jednakowo boją się śmierci. Niesłusznie, pomyślał mężczyzna. Życie bywa znacznie gorsze.

Może dlatego mówią na mnie Jan bez Serca?

Rozejrzał się. Zabił wartowników bez jednego wystrzału. Czy pozostali zwrócą uwagę na niedawny huk? A może przeoczą hałas, pomyślą, że przez góry przetacza się wiosenna burza? Głosy, które usłyszał pomiędzy skałami, przekonały go, że nadzieja była płonna. Uskoczył w cień skał. Czekał.

Gdy kilka krzatów zgromadziło się wokół trupów swoich współplemieńców, cisnął w ich kierunku granat i pognął w stronę swoich. Nie zwracał sobie głowy, by wracać tą samą drogą, którą skradał się ku Krwawnikom, obecność karawany i tak została odkryta. Zostaliśmy zaatakowani od tyłu, myślał, zapomniałem o asekuracji, byłem pewny, że nikt nie idzie naszym tropem. Ale dlaczego tylko jeden strzał? I to z rewolweru! Gdzie kałasznikowy?!

Zadając sobie te pytania, wybiegł z zakrętu przy ostrej skale.

- Są i kałasznikowy - rzucił przez zęby, przystając.

Trzy kałasznikowy mierzyły w pierś Lubomirskiego, za którego plecami kryła się Theresa. Czwarty leżał w kałuży krwi, tuż obok swojego właściciela. Młody bogacz trzymał w dłoni rewolwer, ale ręka drżała mu jak człowiekowi w gorączce.

Zdrada? Niemożliwe, pomyślał przewodnik, sam przecież układałem czar posłuszeństwa. Nie licząc czarownika z wioski, którego nie musiał się obawiać, w pobliżu nie było innego maga, a wioskowy szaman nie byłby zdolny rozplatać zaklęcia lojalnościowego. Więc dlaczego? Ci, których zabrał, to byli najbardziej karni z karnych.

- Bacność! - ryknął.

Posłuchali natychmiast, opuścili broń.

Lubomirski chciał skorzystać z okazji, strzelić do tragarzy... Nie był w stanie. Rewolwer wysunął mu się z palców i upadł na ziemię. Patryk zamrugał. Stał przed nim już nie przygaszony przewodnik, nie zgorzkniały żołnierz, lecz mag. Prawdziwy mag, o którym krążyły legendy w poznańskich salonach, o którego przygodach tam, po Drugiej Stronie, kręcono filmy i pisano książki. Z pozoru nic się w nim nie zmieniło, twarz wciąż tak samo ponura, te same zmarszczki, tu i ówdzie siwe włosy, ten sam grymas na ustach, na plecach ta sama bluza moro. Z pozoru.

W rzeczywistości dopiero w tamtej chwili Lubomirski zrozumiał, z kim przyszło mu podróżować.

- Co tu się stało? - Głos przewodnika był niski, Patrykowi wydało się, że dobiega gdzieś z dołu, ze studni. - Lubomirski, coś ty zrobił?

- Dobierał się do Theresy - wyjąkał młodzik. - Nie chciał mnie słuchać.

- Łziesz jak polityk! - Wściekłość maga rosła, widać to było gołym okiem. Lubomirski przestał się dziwić, że tubylcy mieli go za demona. - Oni nie są zdolni do takiej niesubordynacji. W Twierdzy przeszli przez rytuał związania. Łziesz!

Patryk Lubomirski zaprzeczył ruchem głowy. Przewodnik już doskakiwał do niego, gdy jeden z tragarzy zawołał:

- Idą!

- Masz szczęście - syknął mag. Niemoc nagle ustąpiła, Lubomirski poczuł, że znów może poruszać ręką. - Podnieś broń! Twój metamorf nadchodzi, głupku, będziesz go miał na talerzu. Razem z setką tubylców, którzy przestraszyli się, że ich świętość też zbrukasz. Pogratulować skuteczności w zdobywaniu wrogów. A teraz walcz!

To mówiąc, przewodnik odwrócił się i strzelił, nawet nie mierząc.

Wielka czarna przełęcznica niosąca na grzbiecie włodarza wioski właśnie zniżała swój lot. Prawą głową usiłowała dosięgnąć jednego z tragarzy, który ukrył się za skałą, lewa głowa pluła jadem. Pocisk trafił w brzuch stwora, wybuchając w środku. Niby-ptak przeokoziółkował i runął w przepaść wraz z włodarzem.

- Siły światła kontra siły ciemności, zero jeden - mruknął przewodnik.

W tym samym momencie któryś z tragarzy posłał serię w kierunku nadchodzących ścieżką zbrojnych. Kilku padło na trakt, zagrządzając przejście. Napastnicy zatrzymali się, błyskawicznie przegrupowali siły. Po chwili w stronę karawany posypały się strzały, kamienie i szmaciane kule nasączone płonącym olejem. W powietrzu zrobiło się gęsto od kwaśnego dymu. Przewodnik wykonał nieznaczny gest ręką i dwaj tragarze, którzy przycupnęli za kamieniami, zerwali się i cisnęli granaty tam, skąd frunęły strzały. Dwie detonacje wstrząsnęły przełęczą, po zboczu leżącym po drugiej stronie przepaści zeszła lawina kamieni.

- Siły światła dostają w dupę. - Mag uśmiechnął się nieznacznie, ale właśnie wtedy strzała trafiła jednego z tragarzy w brzuch.

Chwała Bogu, że zatruta, nie będzie długo cierpieć, pomyślał przewodnik. Znowu strzelił w dym, bo wydało mu się, że widzi tam jakąś sylwetkę. Miał rację, głośny jęk upewnił go, że strzał był celny. Odetchnął, przekonany, że przeciwnicy, którzy musieli ponieść duże straty, chcą odstąpić od natarcia.

Wtedy nastąpił zmasowany szturm.

Przodem szedł wielki troll, ledwie mieszcząc się na ścieżce. Stąpał powoli, jeden nieostrożny krok groził upadkiem w przepaść. Troll pełnił rolę tarczy - pociski odbijały się od jego piersi niczym od skalnej ściany. W jego cieniu poruszało się kilka dziesiątek górali,, kryjąc się za potworem jak piechota za czołgiem.

Jeszcze parę kroków i dojdą do stanowiska najdalej wysuniętego tragarza, pomyślał przewodnik. Żołnierz trwał na posterunku, ostrzeliwał się, lecz nie mógł powstrzymać monstrum powołanego do życia z samego kamienia. Mag nie zastanawiał się długo. Odbezpieczył granat. Zdawał sobie sprawę, że niewielki ładunek wybuchowy nie wystarczy, by zniszczyć potwora. Nie o to jednak mu chodziło.

Odczekał kilka sekund, rzucając granat, gdy troll unosił nogę do kolejnego kroku. Wybuch zachwiał cielskiem stwora, który nagle stracił równowagę. Potężne łapy zatoczyły półokrąg, troll próbował chwycić się czegoś, ale jego ramiona zagarnęły tylko kilku idących za nim zbrojnych, których pociągnął za sobą w przepaść.

Kiedy tylko potwór runął, rozterkotały się kałasznikowy, którym zawtórował rewolwer Lubomirskiego. Parę chwil i napastnicy zostali zdziesiątkowani. Przewodnik uniósł rękę. Tragarze przerwali ogień. Nad przepaścią zapanowała nagła cisza.

Po chwili pośród dymów z dopalających się tu i ówdzie szmat przewodnik dostrzegł masywną sylwetkę. Ruchem głowy zaprzeczył, gdy jeden z tragarzy wycelował broń do strzału. Podmuch wiatru od Radyczy rozwiął chmurę dymu i broniący się zobaczyli, że stoi przed nimi samotny wojownik. Wojownik trzymał w ręku srebrny miecz, którego klinga zdobiona była magicznymi napisami. Słońce odbijało się w kunsztownym napierśniku.

- Tego, który wam przewodzi, wyzywam na pojedynek! - wykrzyknął. - Dość masakry. Niech rzecz zostanie załatwiona w sposób honorowy. Ten, który zwycięży, dostanie to, po co przyszedł.

- Zapiardolę pajaca! - zaśmiał się Lubomirski.

- Nie. - Przewodnik spiorunował go wzrokiem. - Załatwię to po swojemu.

Wstał i bez pośpiechu poszedł w stronę wojownika. Zatrzymał się kilka kroków od niego. Wojownik zbladł.

- Inny nas okłamał - rzekł ze złością. - Mówił, że będziemy walczyć z demonami z Twierdzy. Nie powiedział, że z samym diabłem. Witaj, Janie bez Serca.

- Nie musisz walczyć. Odejdź, Bestryju. Szans nie masz żadnych.

- Wiem - wojownik skłonił głowę - lecz honor nie pozwala...

- Odejdź, zostawiając mi metamorfa. Życie jest lepsze niż honor.

- Nie życie bez honoru.

- Zabiję wszystkich, którzy nie odstąpią wraz z tobą. Nie przeżyje nikt, kto mógłby opowiedzieć o twojej rejteradzie.

Wojownik, dotąd spokojny i zrezygnowany, spojrział na przewodnika z zainteresowaniem. Oczy mu się zaświeciły.

- Wszystkich? Obiecujesz?

Mag uśmiechnął się. Dotrzymywał obietnic.

- Więc postanowione!

Bestryj z Radyczy, znany powszechnie jako Nieulekły, odetchnął głęboko. Z ulgą.

- Pamiętaj, co do jednego - powiedział jeszcze i rzucił się do ucieczki.

Tym z napastników, którzy pozostali przy życiu, zajęło chwilę, by zrozumieć, co się wydarzyło. Z początku wpatrywali się w uciekającego Bestryja z niedowierzaniem, potem z pogardą, wreszcie - ze strachem. Nie trwało długo, nim sami poszli w jego ślady.

Teraz, pomyślał przewodnik. Teraz go złapię. Zerwał się i przeskakując nad ciałami zabitych, pobiegł za uciekającymi. Pośród nich musiał być metamorf, zdezorientowany, oszołomiony - takiego najłatwiej będzie dopaść. Skrzywił się na myśl, że stwór dostanie się w ręce Lubomirskiego. Po tym, jak się przekonał, że metamorfy były istotami myślącymi (potrafiły przecież komunikować się z góralami!), miał duże wątpliwości, czy powinien kontynuować polowanie.

Oprócz wątpliwości miał jednak rozkazy. Wyjątkowo precyzyjne.

Dojrzał zmiennokształtnego w cieniu Krwawników, przyczajonego za głazem przypominającym zarys końskiej głowy. Stworzenie było w trakcie przemiany, lecz jego oczy wciąż pozostawały takie same - wielkie, zimnozielone. Przewodnikowi wydało się, że owe oczy wpatrują się w wycelowaną w nie lufę.

Strzelił.

W tej samej chwili poczuł uderzenie w ramię. Któryś z krzatów, ukryty między skałkami, trafił go kamieniem.

Przewodnik zachwiał się, dostrzegł jeszcze, że mimo wszystko trafił metamorfa, zamachał rękoma, próbując odzyskać równowagę, lecz daremnie. Spadł w przepaść.

Złapał się skalnego gzymsu kilka metrów niżej. Usłyszał, że właśnie nadbiega Lubomirski i tragarze.

- Lina! - wrzasnął. - Lubomirski, szybko! Patryk stanął zaskoczony. Szybko zorientował się, skąd dobiega głos. Pakunek z linami niosła Theresa, która została z tyłu. Doskoczył do niej.

- Nie rób tego - powiedziała cicho. - Nie pomagaj mu. To zły człowiek.

Popatrzył w jej zielone oczy. Zawahał się na moment. Przewodnik nie szanował go, to prawda, należała mu się nauczka za to, że nie miał respektu przed Lubomirskim. I tę nauczkę mag dostanie, pomyślał Patryk, co się odwlecze, to nie uciecze. Ale nie był to najlepszy czas, by spełniać zachcianki Theresy. Na razie przewodnik był potrzebny.

- Ja też jestem złym człowiekiem! - warknął. - Theresa, lina!

Pokręciła głową z niechęcią, ale widząc spojrzenia tragarzy, widząc wycelowane w siebie trzy lufy kałasznikowów, sięgnęła wolno do plecaka. Chwilę później lina wspinaczkowa spłynęła po skalnej półce.

- Dzięki, mam ją! - krzyknął przewodnik.

Lina naprężyła się pod jego ciężarem. Raz, dwa, w myślach liczył centymetry, które dzieliły go od krawędzi. Już niedaleko, naprawdę niedaleko!

Wtedy lina drgnęła. Przewodnik usłyszał niepokojący dźwięk.

To niemożliwe, pomyślał, te liny wytrzymują dużo większe obciążenia. Wykorzystuje się je przy wspinaczkach na najwyższe góry świata.

Trrr...

Niemożliwe, żeby się przetarła.

Trrr...

To niemożliwe!

Runął w dół.

6

Patryk Lubomirski zbudził się z niespokojnego snu. Ze snu, w którym wciąż przeżywał niedawne wydarzenia, w którym jeszcze raz spoglądał ze skalnej półki w przepaść. Ze snu, podczas którego patrzył na plataninę rozbitych ciał, leżących na brzegu jeziora, dookoła olbrzymiego trolla. Kałuże krwi, strzępy ubrań, nienaturalnie powykręcane kończyny - gdzie wśród nich był przewodnik?

Nieważne, pomyślał. Co za różnica?

Mimo wszystko zdecydował, że będą kontynuowali wyprawę. Metamorf był ranny, nie mógł uciec daleko, a górale zostali rozbici. Niestety, wraz z przewodnikiem przepadło magiczne lustro służące do komunikacji z Twierdzą, dlatego nie mogli liczyć na jakiegokolwiek wsparcie, lecz w tym punkcie wędrowni Lubomirski po prostu nie mógł się cofnąć!

Półprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Było zimno, a Theresa, która ogrzewała go podczas snu, gdzieś zniknęła. Nieopodal głośno chrapał jeden z tragarzy.

Ależ hałasuje, pomyślał Lubomirski, wsłuchując się w ciężki, urywany charkot. Tragarz zarzęził raz i drugi, zabulgotał, kaszlnął i z tym kaszlnięciem ucichł tak nagle, jak wcześniej rozpoczął swój koncert. Lubomirski przez moment kontemplował ciszę.

To było dziwne; przyszło mu do głowy, że ludzie chrapią inaczej. Cóż, Sen różnił się od Ziemi, tubylcy musieli więc różnić się od mieszkańców Poznania. Wyglądali inaczej, cóż niezwykłego w tym, że inaczej też chrapali?

Mimo wszystko wstał z posłania i podszedł do tragarza.

Żołnierz leżał na brzuchu twarzą ku ziemi. Nie ruszał się. Lubomirski szarpnął go za ramię, lecz nic, nie było żadnej reakcji.

- Jak trup - szepnął Patryk i wtedy spostrzegł gwiazdy. Odbijały się w kałuży krwi, która otaczała głowę tragarza.

Lubomirski podskoczył, rozglądając się nerwowo. Jego ręka bezwiednie sięgnęła po rewolwer.

Drugi tragarz leżał kilka kroków dalej, za krzakiem kosówki. Nie charczał, nie rzeził, nie wydawał z siebie najmniejszego dźwięku. Postać, która nad nim klęczała, zadbała o to, by umarł w ciszy.

Metamorf. Wreszcie.

Nie namyślając się, Lubomirski strzelił.

Nie rozległ się żaden huk, siła wystrzału nie szarpnęła ramieniem Patryka, a metamorf nie padł trafiony pociskiem. Lubomirski jeszcze raz pociągnął za spust. I jeszcze raz. Nic, pusty bębenek obracał się bezradnie, kiedy potwór wstał z kolan i ruszył w stronę chłopaka. Lubomirski w panice zerkał na boki. Gdzie Theresa, dziewczyno, na pomoc, potrzebuję cię!

Stała niedaleko. W jej zimnych zielonych oczach odbijało się światło księżyca tego świata. Uśmiechała się. Spomiędzy palców jej prawej dłoni wypadły srebrne naboje, które zadzwoniły o skały.

- Ty zdiro! - syknął Patryk. Dziewczyna zdradziła go, sprzymierzając się z metamorfem!

Wtedy przyjrzał się uważniej jej dłoni, dłoni, która wielokrotnie doprowadzała go do rozkoszy. Tym razem zamiast smukłych delikatnych palców zobaczył ostre szpony. Po szponach spływała krew.

-Ty też... Ty jesteś... Więc ty... - dukał.

- Tak - powiedziała cicho. - Jesteśmy do siebie bardzo podobni. My, Zmienni, i wy, demony z Rzeczypospolitej. Bardzo podobni. Dlatego nie możemy dopuścić, byście zawładnęli naszym światem.

Drugi metamorf wyszedł z cienia. Nie miał odzienia. Wyglądał niemal identycznie jak Theresa, te same oczy, podobna budowa ciała, długość włosów. I pazury, które budziły w Lubomirskim przestach. Na udzie metamorfa widniała nie do końca zagojona rana, ślad po trafieniu przez przewodnika.

Metamorf ruszył w stronę Patryka.

- Może twoja śmierć czegoś was nauczy? - ciągnęła dziewczyna. - Może inni moi z twego świata zawahają się, zanim wyślą swych synów na polowanie? Może widok twojej głowy zahamuje zapal kolonizatorów?

Metamorf był coraz bliżej, jeszcze kilka kroków i będę w zasięgu jego pazurów, pomyślał Lubomirski.

- Musieliśmy się przekonać, kim jesteście - mówiła tymczasem Theresa. - Dlatego Lear dał się złapać i przez kilka miesięcy był więziony w Twierdzy. Obserwowaliśmy was. Cały czas, podczas polowania również. Początkowo miałam zadbać o to, by Lear bezpiecznie uszedł pogoni. Lecz w trakcie podróży stało się jasne, że tacy jak ty zniszczą ten świat. Trzeba was powstrzymać.

Metamorf zamierzył się do uderzenia.

- Nie! - krzyknęła Theresa. - Ja sama! Lubomirski zadrzał. Opuściły go siły, choć powinien uciekać - nie potrafił. Paralizujący strach spętał mu myśli, nie był zdolny niczego przedsięwziąć. Wyobrażenia podsuwała mu tylko krwawe obrazy, a na każdym z nich to on, Patryk Leopold Lubomirski, był ofiarą.

Theresa była tuż-tuż, kiedy drugi metamorf dziwnie chrząknął. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi, ale metamorf chrząknął ponownie, tym razem głośniejsze. Zrobił krok w stronę Lubomirskiego. Patrykowi ten krok wydał się wyjątkowo chwiejny i niepewny, zmienno-kształtny jakby szedł na oślepi, nie patrzył pod nogi. Potknął się na pierwszym większym kamieniu leżącym na jego drodze. Upadł na twarz.

Z jego pleców sterczał długi srebrny nóż.

Coś świsnęło, lądując tuż przed dziewczyną. Patryk wyteżył wzrok. Co to było? Kawalek liny?

- Liny nie przecierają się w ten sposób, Thereso - usłyszeli za sobą.

Lubomirski od razu poznał ten głos, drwiący i pewny siebie. Theresa również.

- Demony nie chcą umierać - powiedziała cicho, odwracając się w stronę przewodnika. - Trzeba im pomóc.

Mężczyzna stał na skalnej półce, metr, może dwa metry wyżej niż ona. Jego ubranie było przemoczone, twarz miał brudną od błota i krwi. Na policzku przybyła kolejna, świeża szrama.

- Upaść prosto w głębokie jezioro u stóp przepaści, przyznasz, że to prawdziwy fart. Jak widać szczęście mi sprzyja. Nie radzę więc próbować tego, o czym w tej chwili myślisz.

Theresa zatrzymała się, kręcąc głową.

- Polowanie skończone - mówił dalej przewodnik. - Koncesja zrealizowana. Z naszej strony to koniec. Możesz odejść. Słuchałem przez moment twojej mowy. Wcale nie musimy się zabijać. Sama powiedziałaś - jesteśmy podobni. Odejdź.

- Nie, czarowniku. Nie odejdę - prychnęła. - Gdyby tacy jak ty rządzą Twierdzą i tym, co jest po drugiej stronie, to może... Może przełknęłabym to, że zabiłeś władcę mojego ludu, może nawet starałabym się powstrzymać moich współplemieńców przed próbą odwetu. Jesteś mądry, mądrzejszy, niż myślałam. Moglibyśmy się porozumieć. Ale ty jesteś tylko sługą, podwładnym. Rządzą zaś wami takie kanalie jak ta, która stoi za moimi plecami. Co za dziwny świat, gdzie najlepsi służą najgorszym. Tam u was musi być strasznie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Dlatego - ciągnęła, a Patryk zauważył, że jej pazury robią się coraz dłuższe - do możliwych twojego świata musi trafić ostrzeżenie. Muszą zrozumieć, że jeśli chcą podbić naszą rzeczywistość, drogo ich to będzie kosztowało. On musi zginąć!

Kilka rzeczy zdarzyło się jednocześnie.

Theresa, nagle zmieniając się w panterę, wzleciała parę metrów w górę, skacząc w stronę Lubomirskiego.

Przewodnik krzyczał coś niezrozumiale, jak zdążył się zorientować Patryk, chyba po łacinie.

Silny podmuch wiatru odrzucił Patryka w bok na kilka kroków. Chłopak wylądował twarzą w kosówce.

Biały rozbłysk rozświetlił na moment skałki.

Zagrzmiało.

Kątem oka Lubomirski zobaczył jej ciało, leżące na kępie trawy. Znowu była sobą, zniknęły gdzieś kły i pazury, zniknęło cętkowane futro. Wyglądała prawie tak, jak ją pamiętał

- smukłe nogi, krągłe piersi i aksamitna skóra. Tylko plecy znaczył paskudny płat oparzenia - ślad po błyskawicy.

Przewodnik cały czas stał na skale. Teraz, kiedy było już po wszystkim, wyglądał bardzo, bardzo staro.

- Twardowski! - zawołał Patryk, ścierając krew z twarzy podrapanej igłami kosówki. - Zapomnij, że ci groziłem. To była głupota, tak, głupota, teraz to widzę. A tutaj, o... - Podbiegł do sakwy i jął szperać w papierach, wreszcie wydobył lekko pogniecione pismo.

- Tutaj masz ułaskawienie! - wysapał. - Fakt, że wtedy, podczas tej hecy z żabą, pozwoliłeś odejść owej wiedźmie, nie ma już znaczenia. Znow jesteś potrzebny Królikarni. No, bierz! Zasłużyłeś sobie. Uratowałeś dumę rodu Lubomirskich! A Lubomirscy potrafią być wdzięczni.

Przewodnik nawet nie spojrzał na papier, zacisnął tylko usta.

- Nie cieszysz się? Twardowski, mówię ci, masz ułaskawienie. Jak w banku! I to w Banku Lubomirskich!

Wracasz do Poznania. No, kurwa, co jest? Nie chcesz wracać?!

Jan Twardowski, mag i żołnierz Królikarni, skazany na karny pobyt Po Drugiej Stronie Lustra, popatrzył na ciała metamorfów, potem znow na Patryka. Jeszcze niedawno bardzo tęsknił do Poznania, do wiszących ogrodów, do Wielkiego Ognia, do pracy w sztabie głównym Królikarni. Jeszcze niedawno liczył dni, kiedy skończy się jego zesłanie. Jeszcze...

- Zażadasz obu skór? Nie myślę się, prawda? - zapytał Patryka.

Lubomirski wzruszył ramionami. To było przecież oczywiste. Oba trupy to były jego łowieckie trofea. Wszyscy w wiszących ogrodach zawyją z zazdrości.

Przewodnik uśmiechnął się. Bardzo smutno. Poznań chyba mocno się zmienił przez te dziesięć miesięcy. Wyrosły nowe fortuny, niektóre rodziny jeszcze zyskały na znaczeniu. Przypomniawszy sobie słowa Theresy.

- Tam u was... - spojrzał na Lubomirskiego - musi być strasznie.